SPIS TREŚCI

Przedmowa do drugiego wydania 9

Wstęp 13

Rozdział I
Sztuka prawa rzymskiego 17

1. *Praecepta iuris*, czyli o tym, co jest w prawie naprawdę ważne 17
2. *Suum cuique* 24
3. *Civis Romanus sum*! 33
4. *Suprema lex* 41
5. *In dubio pro reo* 50
6. *Audiatur et altera pars* 57
7. Dobre obyczaje z masochizmem w tle 72
8. Pocałunek w prawie rzymskim 78
9. Lew i wspólnicy 86
10. Diabelskie prawo 101
11. Krótka kariera łacińskich paremii w prawie 110

Rozdział II
Prawo rzymskie w sztuce 119

1. Jak powinna wyglądać Sprawiedliwość? 119
2. Wyobrażenia Sprawiedliwości na prawniczych exlibrisach 130
3. Termy Dioklecjana – punkt zwiedzania obowiązkowy 135
4. Jak fantastyczne stwory pomagały w nauce prawa 140
5. Trybonian po liftingu 146
6. „Instytucje" w sześć tygodni! 157

7. *Per aspera ad astra* 165
8. Justynian I – bóg rzymskiego prawa? 173
9. Kandinsky, abstrakcja i prawo rzymskie 178

Rozdział III
Prawo rzymskie a literaci i literatura 189

1. „Dobre" prawo rzymskie – fundament naszej cywilizacji 189
2. O prawie rzymskim w „Trębaczu z Säckingen" 204
3. Ale szopka!..... 215
4. Witold Gombrowicz – „leń" po wydziale prawa 220
5. Czesław Miłosz – noblista po wydziale prawa 228
6. Jan Brzechwa – bajkopisarz po wydziale prawa..... 245
7. Stefan Napierski – komu ciążą pandekta?..... 252
8. Zbigniew Herbert – „barbarzyńca" po wydziale prawa 262
9. Jerzy Waldorff – meloman po wydziale prawa..... 272
10. Jan Parandowski – „alchemik słowa" o prawie rzymskim i nie tylko 281

Rozdział IV
O recepcji inaczej 291

1. Sylwestrowy spleen Gregora Jellinka 291
2. Pojawienie się kobiet w adwokaturze a kłopotliwy balast rzymskiego prawa..... 297
3. *Cosmopolis* 311
4. *Nunc est bibendum*! 318
5. O prawniczej łacinie (podzwonne) 326
6. *Gaudeamus igitur*! 341
7. Było... minęło… – „rzymskie" epizody ze studenckiego żywota osób znanych i mniej znanych 348
8. Prawo rzymskie – dla jednych błogosławieństwo, dla innych trauma ... 374
9. Rafał Taubenschlag we wspomnieniach i anegdocie..... 382
10. Adwokat diabła 403
11. Inny świat. Prawo rzymskie a stalinowska Rosja 419

Zakończenie **435**

Bibiografia..... **437**

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA

Ogłaszając pierwsze wydanie „Marginaliów" w roku 2012, po cichu liczyłem na przychylne przyjęcie ich przez Czytelników z i spoza środowiska prawniczego. Dziś mogę już przyznać, że miałem wówczas nielichą tremę. Reakcja odbiorców przeszła jednak moje najśmielsze oczekiwania. Zewsząd posypały się wyrazy poparcia i gratulacje. Pozytywne recenzje wyszły spod piór prof. Witolda Wołodkiewicza, prof. Marka Kuryłowicza, a także prof. Anny Pikulskiej-Radomskiej oraz dr Dagmary Skrzywanek-Jaworskiej. Jestem za nie ogromnie wdzięczny, a wszelkie uwagi w nich zawarte starałem się uwzględnić w wersji „przejrzanej, poszerzonej i poprawionej" oddawanej właśnie do rąk Czytelnika.

Gdzieniegdzie pojawiły się jednak również głosy lekceważące i niechętne. Spodziewałem się tego i nie jestem zdziwiony. Wielu znakomitych uczonych podejmowało przede mną żmudne starania, które miały na celu popularyzację uprawianej przez siebie dyscypliny naukowej i spotykało się z podobnego rodzaju reakcjami. Racje frakcji – nazwijmy ją – „popularyzatorów", do której śmiem zaliczyć również i swoją skromną osobę, pozostają niezmienne. Sposób pisania o zagrożeniach, jakie w przeszłości dostrzegano w związku z postępującą technizacją życia oraz spadkiem poziomu wykształcenia ogólnego społeczeństwa, wydaje się zaskakująco podobny do dyskursu toczonego obecnie. Wciąż istnieje zatem nie tyle potrzeba, ile konieczność przybliżania społeczeństwu nieprzemijających wartości prawa rzymskiego. Aby jednak ziarno mogło paść na podatny grunt, należy przemawiać do Czytelnika głosem prostym i zrozumiałym. W przedmowie do wydanego w roku 1961 zbioru esejów zatytułowanego „Ludzie i martwe paragrafy" Jerzy Sawicki (1910-1967) pisał: „w naszym

kraju popularyzacja wiedzy wcale jeszcze nie jest popularna. Socjolog, badając przyczyny tego zjawiska, ujawniłby zapewne złożony zespół warunków, które ukształtowały szereg kompleksów i zrodziły panującą dość powszechnie awersję naszych naukowców do prac typu popularyzatorskiego. Bez względu jednak na przyczyny i szkodliwość skutków tej awersji, daje się ona ostatnio odczuwać coraz dotkliwiej. Traktowanie działalności popularyzatorskiej jako niegodnej poważnego naukowca i nie licującej z jego dostojeństwem pogłębia w konsekwencji izolację świata nauki od społeczeństwa, otwierając tym samym furtkę, przez którą zamiast rzetelnej, kompetentnej informacji wciska się niebezpieczna wulgaryzacja"[1]. Istotę zjawiska, polegającego na stopniowym odseparowywaniu nauk humanistycznych i społecznych od masowego odbiorcy, trafnie podsumowuje uwaga Pawła Jasienicy (1909-1970): „Nie mogło być inaczej, skoro uczeni, pragnąc odosobnić się od pospólstwa, wezwali na pomoc nudę"[2].

Prawo rzymskie to nie tylko zachowane strzępy dawnych ustaw i pism jurystów oraz monumentalne kodyfikacje Teodozjusza i Justyniana. To również przepyszne kulturowe dziedzictwo, na które składa się nieprzebrane bogactwo form i środków wyrazu. Skupianie się jedynie na rekapitulacji tego, co wielokrotnie powiedzieli już inni (bądźmy nareszcie sami ze sobą szczerzy: co – co, nie jak! – nowatorskiego można powiedzieć o rzymskim prawie cywilnym po pandektystach? Co o prawie karnym po Mommsenie?), stanowi strategię nader ryzykowną, która zamiast ożywiać, petryfikuje ukochaną dyscyplinę nauki.

Od chwili ukazania się pierwszego wydania „Marginaliów" udało mi się opublikować na łamach „Edukacji Prawniczej" kilkanaście tekstów, które – jak mam nadzieję – już wkrótce znajdą się w osobnym zbiorze. Niektóre z nich jednak od początku nadawały się jednak raczej jako uzupełnienie i rozwinięcie „Marginaliów". Włączenie ich do innej kompilacji wywołałoby zapewne efekt odwrotny od pożądanego. Dlatego z wielką radością zareagowałem na przychylność Rektora KUL, ks. prof. dr hab. Antoniego Dębińskiego, okazaną wobec planów wznowienia dzieła. Nie

---

1 J . Sawicki, *Ludzie i martwe paragrafy*, Warszawa 1961, s. 7.

2 P. Jasienica, *Długie szczęśliwe życie Marka Tulliusza*, [w:] *Tylko o historii*, Warszawa 2009, s. 36.

mniejszy dług wdzięczności zaciągnąłem u Wydawnictwa KUL, które dołożyło wszelkich starań, by graficzna forma oddawanej do rąk Czytelnika książki zaspokoiła najbardziej nawet wyrafinowane gusta. Wyrazy wdzięczności składam również na ręce osób, które udostępniły mi prawa do swoich dzieł bądź fotografii, a są to: Nicola Buhl, Izabela Leraczyk, Józef Mélèze-Modrzejewski oraz Sławomir Przybyliński.

WSTĘP

„Studiowanie antyku nigdy nie jest dziedziną martwą, niezależnie od tego, jak martwe mogą się komuś wydawać języki klasyczne i kultury, które się nimi posługiwały. Tak ogromna część kultury europejskiej ma swe korzenie w wielowiekowym zgłębianiu dziedzictwa świata antycznego, że w niemal wszystkim, co dziś mówimy, spostrzegamy czy myślimy, możemy gdzieś głęboko odkryć jego ślady" – powiadają Mary Beard (ur. 1955) i John Henderson (ur. 1948)[1]. To bardzo trafna uwaga, którą naturalnie odnieść można również do wielowiekowej tradycji prawa rzymskiego obecnej w naszym kraju. Jeżeli na pierwszy rzut oka jej nie widzimy, wystarczy uważniej się przyjrzeć. W krajach niegdyś zamieszkiwanych przez Rzymian sprawa jest prosta. Wybitny polski fizyk żyjący na emigracji, Andrzej Krzywicki (ur. 1937), zachwycony francuskimi zwyczajami odnotował we wspomnieniach: „Poziom kultury. (…) Piotr Słonimski miał studenta z Prowansji, chłopskie dziecko. Po doktoracie zaprosił profesora na fermę rodziców. Tam stary gospodarz tłumaczył Piotrowi zasady lokalnego prawa zwyczajowego, jego korzenie w prawie rzymskim… Dwa tysiące lat cywilizacji to nie bagatela"[2]. Z lekką modyfikacją chronologiczną, to samo można powiedzieć o Polsce. Proszę mi wierzyć, do takiego wniosku można dojść, unikając metody Jasia, któremu wszystko się kojarzy.

---

1 M. Beard, J. Henderson, *Kultura antyczna. Bardzo krótkie wprowadzenie*, przeł. G. Muszyński, Warszawa 1997, s. 142.

2 A. Krzywicki, *Diabelski młyn*, Warszawa 2005, s. 191.

W niniejszym, nieco chaotycznym, zbiorze esejów, starałem się pokazać różne drogi oddziaływania prawa rzymskiego, kulturę polską i europejską w najszerszym rozumieniu tego słowa. Pisząc o prawie rzymskim, często miałem przed oczyma nie system stworzony przez starożytnych Rzymian, a następnie wspaniale rozwinięty i dopełniony przez wieki średnie i epokę nowożytną, ale *romanesimo*, czyli pewną ideę przywoływaną przy okazji różnorakich dyskursów, zwłaszcza poświęconych zagadnieniom optymalnego kształtu prawa. Jak wyjaśnia autor tego pojęcia, profesor Ricardo Orestano (1909-1988), *romanesimo* „(…) nie odpowiada żadnemu konkretnemu porządkowi prawnemu. Jest to bowiem hipostaza licznych i różnorodnych dążeń, które posługują się wprawdzie pojęciem prawa rzymskiego, ale rozumieją je na swój – zupełnie niezwykły i abstrakcyjny – sposób. Prawo rzymskie służy zresztą do różnych celów: czasem jest czymś, dzięki czemu można się wzmocnić – wtedy chwali się je głośno i wypisuje na sztandarach; czasem zaś jest tylko synonimem złego prawa, które trzeba stanowczo zwalczać. Tak czy inaczej – jest zawsze prawem, o którym myśli się, a często i pisze dużą literą, którego trzeba bronić albo należy je zwalczać, odwołując się do ocen, które same w sobie pozbawione są zupełnie dogmatycznej treści”[3].

Taka wizja prawa rzymskiego wydaje mi się niezwykle inspirująca i perspektywiczna. „Żądzę wiedzy – trafnie zauważa Marc Bloch (1886-1944) – poprzedzają zwykle upodobania; pracę naukową, w pełni świadomą swych celów, poprzedza instynkt, który do niej prowadzi. Rozwój naszych postaw intelektualnych obfituje w tego rodzaju rodowody. Czyż fizyka nie zawdzięcza pierwszych swych kroków w dużym stopniu starym »gabinetom osobliwości«? Podobnie, drobne rozkosze antykwarskiego szperactwa towarzyszyły narodzinom niejednego kierunku badań, który z czasem nabierał powagi. Taka była geneza archeologii i, bliżej naszych czasów, folklorystyki”[4]. Nie da się wykluczyć, a wręcz przeciwnie – należy zakładać, że już wkrótce *romanesimo* traktowane będzie z atencją porównywalną do tej, którą otacza się obecnie badania źródłoznawcze i prawnoporównaw-

---

[3] Cyt. za: W. Wołodkiewicz, *Europa i prawo rzymskie. Szkice z historii europejskiej kultury prawnej*, Warszawa 2009, s. 96.

[4] M. Bloch, *Pochwała historii, czyli o zawodzie historyka*, przeł. W. Jedlicka, Kęty 2009, s. 36.

cze. Tym bardziej, iż „doświadczenie nauczyło nas przede wszystkim, że nie można rozstrzygnąć z góry, czy rozważania, z pozoru najbardziej bezinteresowne, nie okażą się pewnego dnia zdumiewająco przydatne dla praktyki”[5].

Teksty zebrane w niniejszym opracowaniu częściowo ukazały się na łamach „Edukacji Prawniczej”. Jeden z nich, poświęcony ekslibrisom, w wersji skróconej wydrukował kwartalnik „Iustitia”. Pozostałe stanowią efekt luźnych przemyśleń oraz hobbystycznych poszukiwań. Zostały przelane na papier, a następnie powędrowały „do szuflady”. Oddawany do rąk Czytelnika zbiór wydobył je z niebytu. Zamiarem moim było pokazanie, że można o „skamieniałym przez stulecia” prawie rzymskim pisać w formie beletrystycznej, w moim odczuciu, atrakcyjnej dla odbiorcy. Przecież prawo w ujęciu dogmatycznym „nie wyczerpuje żadnego z aspektów rzeczywistości”[6], a „myśl, której administracyjny schemat analizy przypomina o jej niewiadomych źródłach, przestaje być myślą”[7].

Z góry uprzedzam zarzut, że nie warto zajmować się problematyką równie „niepoważną” i szkoda czasu na publikowanie podobnych drobiazgów. Warto i trzeba. Choć nie można mieć co do tego pewności, to istnieje szansa, że w ten sposób uda się skutecznie dotrzeć do Czytelnika spoza środowiska romanistycznego i wzbudzić w nim zainteresowanie prawem rzymskim, wykraczające poza konieczność obcowania z podręcznikiem na pierwszym roku studiów. Nie musi nim zresztą być student lub absolwent prawa, choć to właśnie ich łaskawej pamięci w pierwszej kolejności polecam niniejsze dziełko. Wszak, jak mawiał Martin Luther (1483-1546): „prawnik, który nie jest niczym więcej, jak tylko prawnikiem, to biedne stworzenie” (*Ein Jurist, der nicht mehr sei als ein Jurist, sei ein arm Ding*). Ucieszę się, jeżeli na zaprezentowane niżej teksty łaskawym okiem spojrzą historycy, historycy sztuki czy poloniści, a także każdy, komu bliska jest taka wizja kultur narodów Europy, uformowana na bazie starożytności klasycznej.

Sprzeciwiam się wizji uprawiania nauki, zgodnie z którą odpowiedniemu problemowi, w tym wypadku prawnemu, odpowiada szczególny

---

5 *Ibidem*, s. 37.

6 *Ibidem*, s. 139.

7 T.W. Adorno, *Minima moralia. Refleksje z poharatanego życia*, przeł. M. Łukasiewicz, Kraków 1999, s. 82.

typ źródeł i literatury przedmiotu. Koledzy „po fachu" muszą mi więc wybaczyć, że zrobiłem wszystko, aby pominąć wspominanie dzieł i przemyśleń uznanych w naszym środowisku osobistości. Takie formy literackie, jak esej czy felieton rządzą się swoimi prawami. Świadomie zrezygnowałem więc z podpierania się również i Waszym autorytetem na rzecz uproszczenia przekazu. Przypisy w pracy oczywiście są. Odsyłam do źródeł i literatury pięknej, ale głównie do pism uczonych spoza naszego środowiska. Dobór materiałów, z których korzystałem, to pewna nowość na tle innych prac pisanych przez prawników. Takie spojrzenie na badane problemy pozwoliło, mam nadzieję, na odsłonięcie nowej perspektywy w badaniach nad recepcją prawa rzymskiego.

Pragnę wyrazić wdzięczność Księdzu Profesorowi Antoniemu Dębińskiemu, który nie tylko nad wyraz życzliwie odniósł się do moich pomysłów „wydawniczych", ale również skutecznie je wsparł. Bez jego życzliwej postawy nie udałoby się zachować niniejszej formy wydawniczej. Namolnymi i nużącymi zagajeniami, często przeradzającymi się w rozmowę dającą asumpt do nowego tekstu, zamęczałem wiele osób. Imiennie za cierpliwość i inspiracje chciałbym podziękować Profesorowi Markowi Kuryłowiczowi z Katedry Prawa Rzymskiego UMCS, Profesorowi Dariuszowi Słapkowi z Katedry Historii Starożytnej UMCS, Doktor Agacie Łuce z Katedry Filologii Łacińskiej KUL oraz Magister Izabeli Leraczyk z Katedry Prawa Rzymskiego KUL. Swoje usłyszał również ks. Andrzej Sacher z Sądu Metropolitalnego w Katowicach.

I jeszcze jedno. Theodor W. Adorno (1903-1969) ma rację w słowach: „Nieomylnym znakiem skrytej pogardy dla ludzi u ostatniego adwokata ludzkiej godności jest odwaga wypowiadania banałów, tak jak gdyby nikt nie śmiał ich zauważyć"[8]. Jeżeli w którymkolwiek z prezentowanych niżej tekstów mimowolnie kogoś uraziłem w taki właśnie sposób, przepraszam.

[8] T.W. Adorno, *op. cit*., s. 62.

Rozdział I

SZTUKA PRAWA RZYMSKIEGO

1. *PRAECEPTA IURIS*, CZYLI O TYM, CO JEST W PRAWIE NAPRAWDĘ WAŻNE

Żyjący na przełomie er Hillel Starszy (zm. I w. n.e.), jeden z najwybitniejszych żydowskich teoretyków prawa, przeszedł do historii między innymi jako autor tzw. złotej zasady. Pewnemu poganinowi, który oświadczył, że przyjmie religię żydowską pod warunkiem, iż zostanie nauczony „Tory", stojąc na jednej nodze, Hillel wyjaśnił: „Nie czyń bliźniemu twemu, co tobie niemiłe: to cała »Tora«. Reszta jest komentarzem – idź i poznaj go"[1]. W kulturze prawnej, zbudowanej na dorobku rzymskiej jurysprudencji, można znaleźć podobną złotą myśl, która na przestrzeni wieków podtrzymywała i nadal podtrzymuje moralny kręgosłup prawniczego świata.

Lux ex oriente

Sformułowano ją na początku III wieku n.e., kiedy państwem rzymskim rządziła wywodząca się z północnej Afryki dynastia Sewerów. Wraz z nowymi władcami do stolicy przybyło wiele osób o zbliżonej proweniencji. Wśród nich znalazł się Domicjusz Ulpian (zm. 223), który konsekwentnie pnąc się po szczeblach kariery, w czasach Aleksandra Sewera (208-235) zdobył godność prefekta pretorianów. Współczesność pamięta go jednak raczej jako wybitnego prawnika, który pozostawił po sobie

[1] Szabb. 31.

bogatą spuściznę. Do historii przeszedł również jako ten, który podjął się niełatwego zadania stworzenia definicji sprawiedliwości.

W ujęciu rzymskiego jurysty: „Sprawiedliwość to stała i wieczna wola oddawania każdemu tego, co mu się należy. Zasady prawa są takie: żyć uczciwie, nie szkodzić drugiemu, oddać każdemu, co mu się należy" (*Iustitia est constans et perpetua voluntas ius suum cuique tribuendi. Iuris praecepta sunt haec: honeste vivere, alterum non leadere, suum cuique tribuere*)[2].



Apoteoza cesarza Justyniana. Dyptyk konsularny wykonany z kości słoniowej (VI w.)

Przytoczona wyżej opinia znalazła swe miejsce w zbiorze praw ogłoszonym w imieniu cesarza Justyniana (483-565). Umieszczono ją w pierwszej księdze „Digestów" niczym swoistą deklarację programową. Zabieg ten najdobitniej świadczy o tym, że już bizantyjscy znawcy prawa przywiązywali wielką wagę do wartości etycznych, które miały stać

[2] D. 1.1.10 *pr.* 1-2.

u podstaw stanowienia i stosowania każdego prawa. Do dalszej popularyzacji ulpianowskich idei przyczyniło się oddziaływanie kodyfikacji justyniańskiej na kulturę prawną Zachodu.



Wejście do *Forgen Smith Building* na uniwersytecie w Queensland w Australii

Dobry prawodawca za granicą

W średniowieczu sformułowane przez Ulpiana zasady przywoływano zwłaszcza analizując powinności władcy oraz podstawowe wartości, którymi powinno się rządzić państwo prawa. Z rozwiązań zaproponowanych przez Rzymian skorzystał między innymi Kościół. I tak we wstępie do „Dekretałów", monumentalnej kodyfikacji prawa kanonicznego ogłoszonej w 1234 roku przez papieża Grzegorza IX (zm. 1241), czytamy: „Z tego powodu nadaje się [niniejszą ustawę – M.J.], aby chęć występków została ograniczona przez zasadę prawa, dzięki której ród ludzki niech uczciwie żyje, drugiemu nie szkodzi, oddaje każdemu to, co mu się należy"[3].

Niedługo potem angielski prawnik Henri de Bracton (1210-1268) w traktacie „O prawach i zwyczajach Anglii" w następujący sposób określił sylwetkę dobrego króla: „Król został stworzony i wybrany do tego, by wszędzie krzewić sprawiedliwość (…). Powinien zatem król, skoro jest przedstawicielem Boga na ziemi, oddzielić prawo od bezprawia, słuszność od niegodziwości, aby wszyscy jego poddani żyli uczciwie, nikt nie

[3] Greg. IX. *const. Rex pacificus.*

krzywdził drugiego i każdy otrzymał we właściwej części to, co mu się należy”[4].

Poglądy Ulpiana dobrze znał również Hugo Donellus (1527-1591), francuski prawnik i humanista, jeden z czołowych przedstawicieli prądu myśli prawniczej określanego jako *mos Gallicus*. Odniósł się do nich w swych „Komentarzach do prawa cywilnego”: „Sprawa, o której piszę, to sztuka stosowania tego, co słuszne i dobre, tak bowiem jest definiowana w komentarzach. Chodzi o kwestię stworzenia i strzeżenia sztuki sprawiedliwości. Sztuka stanowienia prawa jest podobna do sztuki pielęgnowania sprawiedliwości. Obie mogą powstać w oparciu o zasady prawa i dołączoną do nich definicję sprawiedliwości (…). Zatem zasadami prawa są te: żyć uczciwie, drugiemu nie szkodzić, oddać drugiemu, co mu się należy”[5].

Ulpianowska triada pojawia się również w pismach prawnika i prominentnego działacza Nowej Szkocji Beamisha Murdocha (1800-1876), który w dziele „Epitome praw Nowej Szkocji” wyjaśnia: „Najważniejsze zasady prawa zostały przez Justyniana zredukowane do trzech preceptów: *honeste vivere*, *alterum non laedere*, *suum cuique tribuere* – żyć uczciwie, drugiemu nie szkodzić, oddać drugiemu, co mu się należy. Ten sam sens zawarł w boskim przykazaniu nasz Zbawiciel: traktować innych tak, jak oni powinni traktować nas”[6].

Dobry prawodawca w Polsce

Nie jest do końca pewne, czy myśl rzymskiego jurysty literalnie znana była Kazimierzowi Wielkiemu (1310-1370) lub komuś z jego otoczenia. Z pewnością jednak dotarła ona do naszego kraju stosunkowo wcześnie w oryginale lub swych późniejszych mutacjach – chociażby przez prawo kanoniczne. To nie przypadek, że w nadanych przez króla w 1346 roku statutach wiślickich znalazło się znamienne oświadczenie: „Aby nasi poddani dowolnego pochodzenia i majątku żyli uczciwie, nie szkodzili drugiemu i by każdemu oddawano należne mu prawo”[7].

---

4 H. de Bracton, *De legibus et consuetudinibus Angliae*, t. II, London 1964, s. 172.

5 *Comm. de iur. civ*. 1.16.2.

6 B. Murdoch, *Epitome of the Laws of Nova-Scotia*, t. I, Halifax 1832, s. 17.

7 Cyt. za: J. Lelewel, *Polska wieków średnich*, t. III, Poznań 1859, s. 270, przyp. 35.

Wątek powyższy podjął również w swoich rozważaniach rektor Akademii Krakowskiej, Stanisław ze Skarbimierza (1365-1431) – „Niech książęta i możnowładcy rozumieją, że w państwie każdemu powinno się zapewnić prawo, które egzystuje jedynie w wielkim i starannym wymiarze sprawiedliwości. Zatem jeżeli piraci i rabusie, jeżeli nie podzielą równo łupów, nie chcąc być oszukanymi przez uszczerbek na sprawiedliwości, mordują się nawzajem, to o ileż bardziej uważamy, że sprawiedliwi przywódcy społeczeństw powinni dokładać starania, by nikt nikomu nie szkodził i każdy otrzymał, co mu się należy!".

W podobnym duchu, tym razem jednak w odniesieniu do stosunków międzynarodowych, zabrał głos Jakub Przyłuski (zm. 1554): „Prawo narodów właściwe jest tylko ludziom. Prawo narodów to powszechna świadomość dzięki dobrodziejstwom natury wszczepiona w umysły ludzkie, nakazująca najlepszy rodzaj życia. Za nią idąc, bez żadnych pism i praw, uczymy się szanować rodziców i nauczycieli, urzędników i ludzi starszych, miłować cnoty, ganić występki, społeczność ludzką wspierać przez należyte wykonywanie obowiązków, używać rzeczy wspólnych wspólnie, prywatnych we własnym zakresie, a te przede wszystkim nakazy prawa narodów zachowywać: żyć uczciwie, innym nie szkodzić, przyznawać każdemu, co mu się należy"[8].

Zbliżoną wizję na temat pozycji i obowiązków władcy wyraził inny nasz krajan, dominikanin Szymon Okolski (1580-1653). W opublikowanym diariuszu, opisującym zawarcie pokoju między wojskiem koronnym i zaporoskim, autor przywołał początek treści przysięgi złożonej przez Zygmunta Augusta przed objęciem tronu: „Ja, Zygmunt August, z Bożej łaski przyszły król Polski, oświadczam i przyrzekam przed Bogiem i jego aniołami, w przyszłości ustawy, sprawiedliwość oraz pokój Kościoła Bożego (…) krzewić i zachowywać". Dalej zaś duchowny zamieścił krótkie wyjaśnienie: „Sprawiedliwości te są *praecepta*: *honeste vivere, alterum non laedere, ius suum unicuique tribuere*"[9].

---

[8] Cyt. za: *Dla dobra Rzeczpospolitej. Antologia myśli państwowej*, oprac. K. Budziło, J. Prószyński, Warszawa 1996, s. 59.

[9] Cyt za: *Krótkie zebranie rzeczy potrzebnych z strony wolności a swobód polskich zebrane, przez tego, który wszego dobrego życzy ojczyźnie swojej, uczynione roku 1587, 12 Februarii*, Kraków 1859, s. 98-99.



Szymon Okolski

Podstawa prawniczej moralności

Zasady sformułowane przez Ulpiana mają charakter dosyć ogólny. Dzięki temu od wieków wskazuje się je nie tylko jako drogowskaz dla prawodawców, ale również jako fundament prawniczej etyki. Karol August Helman (1796-1872), znany warszawski prawnik i działacz polityczny, zapragnął przeszczepić na rodzimy grunt niektóre z rozwiązań w zakresie nauki oraz wykonywania prawa, które miał okazję zaobserwować podczas studiów odbytych w Berlinie i Getyndze. W tym celu w 1862 roku na łamach „Biblioteki Warszawskiej" ogłosił drukiem noszącą cechy manifestu rozprawę zatytułowaną „Pomysł nowego kursu jurysprudencyjnego, ku ożywieniu w umysłach woli sprawiedliwości a podniesieniu jej do wszechwładnej potęgi". Można w niej przeczytać między innymi: „Teoretyczny podział ducha ludzkiego na wiedzę i wolę sprawiedliwości znika w zarządzaniu wymiarem sprawiedliwości i prawa. W tem działaniu duchowem wiedza i wola są nierozerwalnemi, dlatego jurysprydeń-

cya wymaga równego udziału tak prawości, jak umiejętności w umyśle i sumieniu sędziego; dlatego jeden z najcelniejszych jurysprudentów rzymskich Domitius Ulpianus, z godności *prefectus praetorio*, pierwszy minister Aleksandra Sewera, w ocenianiu zlewku uroczystej woli sprawiedliwości, z głęboką wiedzą tego, co jest prawem, a co nie prawem, porównał powołanie sędziego z kapłaństwem, *sacerdotium*, objaśniając: powołani ku czci sprawiedliwości, wyznawamy naukę dobrego a prawości, oddzielamy prawość od nieprawości, co się godzi, a co nie godzi. Dlatego według jurysprudencyjnego komentarza imperatora Justyniana, Słowianina z rodu [*sic!* – M.J.], na samem początku nauki, w młode umysły uczniów prawa wpajano *praecepta iuris*: Żyj obyczajnie, nikogo nie krzywdź, oddaj każdemu, co mu się należy”[10].

Podczas zamętu, który towarzyszył narodzinom Republiki Weimarskiej, w Niemczech pojawiły się propozycje, by w programie studiów prawniczych prawo rzymskie zastąpić filozofią prawa. Jeden z przeciwników tej idei, którym był profesor prawa rzymskiego, Gerhard von Beseler (1878-1947), odparował: „Filozofia prawnika jest prosta: *honeste vivere, alterum non laedere, suum cuique tribuere*. My, mądrzy mieszkańcy XX wieku, możemy wyrazić tę myśl, używając o wiele więcej słów i bardzo naukowych terminów. Lepiej jednak nie potrafimy jej ująć”[11].

A jednak opinia Ulpiana, w której wymieniono zasady prawa, w Polsce nie została umieszczona na kolumnach okalających gmach Sądu Najwyższego w Warszawie. To dziwne, skoro myśl seweriańskiego prawnika w trafny sposób dotyka wartości dla funkcjonowania prawa fundamentalnych. Nieobecność wśród innych paremii, skojarzonych z nowoczesnym państwem prawa idei, takich jak: „żyć uczciwie, drugiemu nie szkodzić, oddać drugiemu to, co mu się należy”, nie oznacza wszakże, że którakolwiek z nich straciła na wartości bądź aktualności. Przeciwnie! Wszystkie są bardziej „na czasie” niż kiedykolwiek.

---

10 K.A. Helman, *Pomysł nowego kursu jurysprudencyjnego, ku ożywieniu w umysłach woli sprawiedliwości a podniesieniu jej do wszechwładnej potęgi*, „Biblioteka Warszawska” 4 (1862), s. 121.

11 G. von Beseler, *Römisches Recht und Revolution*, [w:] G. Radbruch, *Gesamtaufgabe, XIII, Politische Schriften aus der Weimarer Zeit*, t. I, red. A. Kaufmann, Heidelberg 1993, s. 44.

Profesor Lech Falandysz (1942-2003) trafnie kiedyś zauważył: „Nie dajcie się opętać manii nowoczesności. Prawnicy powinni bronić wszystkiego tego, co cenne ze starego świata. Zapytajcie więc Wasz komputer, czy wie, co to znaczy: *honeste vivere, alterum non laedere, suum cuique tribuere*. Jeśli odpowie, to znaczy, że nie jest tak źle, jak myślę"[12].

Podsumowanie

Gdybyśmy dziś mieli okazję oświadczyć Ulpianowi: „Zostanę prawnikiem, jeżeli wyjaśnisz mi, na czym polega prawo, kiedy będę stał na jednej nodze", prefekt pretorianów Aleksandra Sewera z pewnością odpowiedziałby mniej więcej tak, jak kiedyś Hillel Starszy: „Żyć uczciwie, drugiego nie krzywdzić, oddać każdemu to, co mu się należy – oto całe prawo. Reszta jest komentarzem – idź i poznaj go".

2. *SUUM CUIQUE*

Podczas omawiania fundamentalnych dla prawnika wartości wymieniona została ulpianowska triada zachowań znamionujących człowieka żyjącego zgodnie z prawem, a mianowicie: „żyć uczciwie, nie krzywdzić drugiego, każdemu oddać, co mu się należy". Ostatnie z zaleceń, występujące po łacinie jako *suum cuique* (lub w wersji dłuższej: *suum cuique tribuere*), doczekało się licznych wzmianek, omówień, komentarzy oraz interpretacji i reinterpretacji. Niektóre dziwią, niektóre wywołują uśmiech, inne szokują.

U źródeł

Idea sprawiedliwej nagrody i odpłaty, a także zasada respektowania praw podmiotowych jednostki towarzyszy ludzkości od bardzo dawna. Na egipskiej inskrypcji grobowej datowanej na czasy osiemnastej dynastii znalazła się następująca wzmianka: „Zobacz, że wszystko zostało wykonane zgodnie z ustawą pomagającą każdemu w realizacji jego prawa". W „Dekalogu", który społeczność żydowska traktowała nie tylko jako zbiór zasad moralnych, ale również obowiązujące prawo, powiedziano:

---

[12] L. Falandysz, *Warto być prawnikiem*, Warszawa 2004, s. 76.

„Nie kradnij. Nie pożądaj żony bliźniego swego ani żadnej rzeczy, która jego jest". Jezus z Nazaretu nie miał wątpliwości co do tego, że Cezarowi należy oddać, co Cezara, a Bogu – co Boga, natomiast Paweł z Tarsu (zm. ok. 64-67) w liście do Rzymian pouczał współbraci: „Oddajcie każdemu to, co mu się należy: komu podatek – podatek, komu cło – cło, komu uległość – uległość, komu cześć – cześć".

Formuła *suum cuique* częściej kojarzona jest jednak z kręgiem kulturowym Greków i Rzymian. Platon (427-347 p.n.e.) w „Prawach" dowodził: „Każdy obywatel powinien zajmować się czymś jednym, tym, do czego ma największe predyspozycje wrodzone (…). I że robić swoje, a nie bawić się i tym i owym to jest sprawiedliwość, tośmy i od wielu innych słyszeli, i samiśmy to niejeden raz powiedzieli. (…) to gotowa sprawiedliwość – robić swoje". Arystoteles (384-322 p.n.e.) w „Etyce nikomachejskiej" wyjaśniał zaś: „sprawiedliwość, jedyna spośród cnót, zdaje się być »cudzym dobrem«, ponieważ obejmuje też stosunek do innych osób". Do greckich koncepcji odwołał się Marek Tulliusz Cyceron (106-43 p.n.e.) w stwierdzeniu: „Oddać każdemu, co mu się należy – oto najwyższa forma sprawiedliwości". W literaturze rzymskiej fraza *suum cuique* funkcjonowała jako dosyć popularny związek frazeologiczny. „Potomność odda każdemu to, czego jest godzien" – pouczał między innymi Tacyt. Zasadę *suum cuique tribuere* Ulpian (zm. 223) włączył do swoich *praecepta iuris*, a potem odwołał się do niej cesarz Justynian (483-565), który na początku „Instytucji" oświadczył: „Sprawiedliwość jest stałą i niewzruszoną wolą, aby oddać każdemu, co mu się należy".

W prawie i nie tylko

Bez wątpienia apogeum popularności w sferze prawa, ale i filozofii oraz teologii moralnej formuła *suum cuique* przeżyła w okresie średniowiecza. Anonimowy autor traktatu „Nauczanie filozofów na temat kwestii moralnych" pouczał, że idea sprawiedliwości mieści w sobie pierwiastek surowości i łagodności, w związku z czym złoczyńców powinno spotkać zło, dobrych zaś pochwała i nagroda. Tomasz z Akwinu (1225-1274) bez większych zmian włączył do swej „Summy teologicznej" wzmiankowane wyżej rozważania jurystów rzymskich na temat prawa i sprawiedliwości[13].

[13] Thom. *Aq. Summ.* II.2.q.58.2.

Stąd *suum cuique* stale było obecne zarówno w teorii, jak i w orzecznictwie sądów kościelnych. Kardynał Henricus de Segusio (Hostiensis; ok. 1200-1271), otwierając własną „Summę" do „Dekretałów" papieża Grzegorza IX, podkreślał: „abyśmy wiedzieli, jaka jest różnica pomiędzy sprawiedliwym i niesprawiedliwym, słusznym i niesłusznym, byśmy żyli uczciwie, nie szkodzili drugiemu i każdemu oddali, co mu się należy". Dla tej i innych mądrych zasad wyznawanych przez uczonego kardynała, Dante Alighieri (1265-1321) umieścił go w Niebie[14].

Glosatorzy zastanawiali się głównie nad tym, jak rozumieć powinność oddania każdemu jego należności. I tak Rogerius (zm. ok. 1162), w fikcyjnym dialogu toczonym ze Sprawiedliwością, powiada: „Jeżeli sprawiedliwość jest cnotą »oddającą każdemu, co jego«, nikt nie może zostać określony jako sprawiedliwy, nikt bowiem nie jest w stanie oddać każdemu, co mu się należy". Jego rozmówczyni rozwiała jednak te wątpliwości: „Jakkolwiek czynem nikt nie jest w stanie oddać każdemu, co mu się należy, to przeważnie jest to możliwe przez wolę i nastawienie umysłu, na czym, jak powiedzieliśmy, sprawiedliwość się opiera. Stąd słusznie mianem sprawiedliwego określany jest ten, kto wykazuje taką wolę i chęć, aby, o ile jest w stanie, oddawać wszystkim, co im się należy. Jeżeli bowiem nie czynem, to przez nastawienie umysłu, który jest siedzibą wszelkich cnót, należy obdarowywać uprawnionych". Z opinią powyższą w pełni zgodzili się między innymi Azo (ok. 1150–1230) i Accursius (ok. 1182-1263).

Poza glosatorami idei *suum cuique* wiele miejsca poświęcił francuski jurysta Hugo Donellus (1527-1591) oraz jego krajanie. Jej sensu poszukiwano również w Polsce. Stanisław ze Skarbimierza (ok. 1365-1431) rozumiał *suum cuique* jako powinność polegającą na okazywaniu posłuszeństwa przełożonym, udzielaniu rad równym sobie oraz pomocy osobom o niższej pozycji społecznej, zwłaszcza dotkniętym chorobą.

W wiekach XVII i XVIII idea oddania każdemu jego „należności" zajmowała teoretyków prawa natury. Hugo Grocjusz (1583-1645) rozumiał *suum cuique* jako konieczność powstrzymania się przed sięganiem po to, co należy do innych. Thomas Hobbes (1588-1679) nieco przewrotnie dowodził, że w społecznościach nieznających pojęcia „należnego" nie

14 *Parad*. 12.82-85.

może dojść do aktów niesprawiedliwości. John Locke (1632-1704) z kolei uznał ideę *suum cuique* za fundamentalną zasadę prawa natury. Natomiast Immanuel Kant (1724-1804) postrzegał *suum cuique tribuere* jako możliwość funkcjonowania w państwie, w którym każdy może posiadać to, co należy do niego, będąc jednocześnie skutecznie zabezpieczony przez próby pozbawienia go tego przez innych ludzi.



Hugo Donellus, francuski profesor prawa, jeden z najznakomitszych przedstawicieli humanizmu prawniczego we Francji

Gottfried Wilhelm Leibniz (1646-1716) odwoływał się do omawianego zwrotu, dyskutując nawet na tematy związane z naukami ścisłymi. W liście do wybitnego matematyka – Johanna Bernoulli (1667-1748), przed rozpoczęciem wywodu zaznaczył: „Jeżeli chcemy być sprawiedliwymi sędziami, godzi się oddać każdemu, to co mu się należy”[15].

Odniesienia do *suum cuique* pojawiają się również w opracowaniach poświęconych tzw. zasadzie sprawiedliwości formalnej, zwanej również regułą równej miary. Kazimierz Ajdukiewicz (1890-1963) dowodził:

[15] *Leibnizes Gesammelte Werke aus den Handschriften der Königlichen Bibliothek zu Hannover*, red. G.H. Pertz, Bibliothek zu Hannover, t. III.3, *Mathematik*, Halle 1855, s. 254.

„nikomu nie należy się nic z tego tylko tytułu, że to właśnie on, a nie kto inny". Chaim Perelman (1912-1984) stwierdził zaś, że parafrazą *suum cuique* jest postulat: „każdemu według tego, co przyznaje mu prawo".

Interpretacje i reinterpretacje

Suum cuique to formuła niezwykle pojemna, dlatego przez wieki wykorzystywano ją jako chwytliwy slogan. Frazy *suum cuique*, *suum cuique tribuere* czy *suum cuique tribuens* doskonale sprawdzały się jako motta wybierane przez arystokratyczne rody zamieszkujące Wyspy Brytyjskie (m.in.: Bickerseth, Etery, Grant, Milne, Russel, Thompson, Dunbar czy Walford)[16] oraz Niemcy (m.in.: von Wrisberg). Zawołaniem tym posługiwał się książę Mantui – Gugliemo Gonzaga (1538-1587). W pismach i korespondencji chętnie korzystali z niego mężowie stanu, tacy jak Charles Talleyrand (1754-1838) czy Klemens Lothar von Metternich (1773-1859). W wiekach późniejszych fraza *suum cuique* z równym powodzeniem funkcjonowała w wymiarze bardziej prozaicznym. Oto *Fishermen's Protective Union*, walcząca o prawa rybaków w Nowej Funlandii, nazwała się *suum cuique*, a w Newton w roku 1969 hippisi otworzyli „sklep", któremu nadali identyczną nazwę.

Największą słabość do wyrażenia *suum cuique* miał jednak król pruski Fryderyk I (1657-1713), który nie tylko uznał je za motto dynastii, ale również opatrzył nim ustanowiony przez siebie Order Czarnego Orła. Adam Mickiewicz (1789-1855) w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego" nie krył niechęci dla tych poczynań: „i ten Fryderyk na pośmiewisko dawnym zakonom rycerskim ustanowił zakon bezbożny, czyli order, któremu na pośmiewisko dał hasło *suum cuique*, czyli oddaj każdemu, co jest jego; a ten order nosili słudzy jego, którzy cudzą własność zabierali i łupili". Kiedy książę Meklemburgii dziękował jego synowi, Fryderykowi II (1712-1786), za okazaną łaskę, władca miał odpowiedzieć: „Nie zrobiłem nic ponad to, co powinienem. Przeczytaj dewizę na moim orderze: *suum cuique*". Polacy wykazywali jednak daleko mniej sympatii wobec poczynań ambitnego króla. Po sejmie grodzieńskim, który usankcjonował kolejny rozbiór Polski, wzdłuż ziem zagarniętych przez Prusy stanęła niezliczo-

[16] B. Burke, *The General Armory of England, Scottland, Ireland, and Wales*, London 1864, s. 1182.

na liczba słupów, na których wisiały tablice z czarnym orłem oraz napisem: *suum cuique*. Polacy bardzo szybko zaczęli dopisywać do tego *rapuit*, przez co fraza zyskała sens następujący: „co swoje – każdemu zrabował".

Podobne opinie gościły nie tylko na ustach Polaków. W swoich wspomnieniach po podróży po Polsce odbytej w roku 1863 angielski uczony William George Clark (1821-1878) przywołuje widok berlińskiego pomnika Fryderyka II. Ukazany na nim władca dzierży w dłoni kartkę opatrzoną napisem *suum cuique*. Zaznajomiony z trudnym położeniem Polaków Anglik wyraża jednak opinię, że o wiele bardziej pasowałaby tu fraza *vae victis* (biada pokonanym).

We współczesnych opracowaniach, i to bynajmniej nie utrzymanych w duchu *gender studies*, niekiedy pojawiają się tezy, że w przypadku Fryderyka II zasada *suum cuique* miała konotacje seksualne[17]. Znając preferencje władcy, tak obrazowo opisane między innymi przez Voltaire'a (1694-1778), pewnie miała.



Fryderyk II. Na piersi władcy widnieje Order Orła Czarnego

17 R.J. Jarymowycz, *Cavalry from Hoof to Track*, bmw 2008, s. 130.

Ku irytacji naszych rodaków, fraza *suum cuique* nie odeszła w zapomnienie wraz ze śmiercią Fryderyka II. Powoływały się na nią często i chętnie konserwatywne kręgi arystokracji pruskiej, co sprawiło, że w wielu współczesnych opracowaniach zasada ta niesłusznie określana jest mianem „pruskiej". Motto to wygrawerowane było również na kaskach ulubieńców cesarza Wilhelma II (1859-1941) – gwardii cesarskich kirasjerów. Obecnie noszą ją na beretach żołnierze niemieckiej żandarmerii wojskowej.

Kłamliwa nadinterpretacja

Sens frazy *suum cuique* został zbrodniczo wypaczony w Niemczech pod rządami narodowych socjalistów. Szermując frazą: „każdemu, co mu się należy" (*Jedem das Seine*), rozpoczęto zakrojoną na szeroką skalę akcję pozbawiania praw oraz wykluczania poza nawias społeczeństwa zbiorowości i jednostek niepożądanych.



Jedem das Seine. Motto z bramy wejściowej do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Jego twórcą był artysta „zdegenerowany", więzień obozu, Franz Ehrlich

W periodyku narodowosocjalistycznej nauki prawa, jakim było czasopismo *Deutsches Recht*, można było przeczytać: „Odróżnienie obcego typu może między innymi prowadzić do ograniczenia jego statusu prawnego w określonych sferach prawa powszechnego, do jego wykluczenia z określonych sfer wspólnotowego życia, co służy fundamentalnemu porządkowi narodu. (…) teraz stworzyliśmy tylko przestrzeń naturalnej, racjonalnej równości w sensie *suum cuique*"[18]. Cynizm autorów podobnych wywodów sięgał zenitu, kiedy dowodzili oni, że ich postulaty, skwapliwie realizowane najpierw przez bojówki, a następnie przez aparat pań-

stwowy, nie stały w sprzeczności z artykułem 119 Republiki Weimarskiej, gwarantującym wszystkim równość.

Jak widać, w dogmatycznej analizie maksymy nastąpiło przy tym znamienne przeniesienie akcentów. O ile bowiem dotychczas reguła *suum cuique* wiązana była w piśmiennictwie z ochroną praw podmiotowych, o tyle narodowosocjalistyczna doktryna zaczęła wiązać ją z koniecznością zintensyfikowania represji karnej wobec wrogów systemu. Brama wejściowa prowadząca do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie ozdobiona została właśnie hasłem: *Jedem das Seine*. Perfidia tego zabiegu miała podwójny wymiar. Nie tylko wypaczono sens pradawnej rzymskiej mądrości, ale również wykonanie napisu zlecono przedstawicielowi „sztuki zdegenerowanej", byłemu studentowi Bauhausu – Franzowi Ehrlichowi (1907-1984).

Poczynania nazistów w Niemczech z niepokojem obserwowała międzynarodowa społeczność. Ceniony historyk prawa i profesor na Uniwersytecie Jagiellońskim – Stanisław Kutrzeba (1876-1946), w wydanym w roku 1937 studium zatytułowanym „Państwa totalne. Światła – cienie – przyszłość", pisał: „Nie ma gwarancji wolności osobistej ani nietykalności majątku, ani prawa zgromadzeń, stowarzyszeń itd. Przez wprowadzenie w tych państwach w zakresie prawa karnego – nie we wszystkich jednak – pojęcia analogii przestępstwa usunięto pewność, iż nie będzie się pociągniętym do odpowiedzialności, jeśli karą za taki czyn nie grozi kodeks karny. Sędzia ma rozstrzygać nie według rzymskiej jeszcze zasady, że każdemu oddać należy, co mu się należy – *suum cuique tribuere*, ale pod kątem widzenia dobra państwa i jego celów. Prawo staje się płynne".

Po pewnym czasie historia zatoczyła koło. Slogan, którego naziści nadużywali w walce ze swoimi przeciwnikami, został wykorzystany przeciw nim. Zasada *suum cuique* stała się jednym z pryncypiów, na których oparto procesy przeciw zbrodniarzom wojennym w Norymberdze.

Nie na długo. Już w roku 1945 oburzeni planowanymi procesami norymberskimi zwierzchnicy niemieckich Kościołów ewangelickich pisali w specjalnie przygotowanej na tę okoliczność petycji: „Miłość Chrystusa popycha nas do pracy nad odzyskaniem wiary w państwowy porządek

---

[18] Cyt. za: D. Majer, *„Non-Germans" Under the Third Reich: The Nazi Judicial and Administrative System in Occupied Eastern Europe with Special Regard to Occupied Poland*, Baltimore 2003, s. 618.

przez zdesperowane, sceptyczne i nihilistyczne społeczeństwo, w porządek, w którym zasady *suum cuique* oraz *audiatur et altera pars* zostaną zachowane na tyle, na ile jest to możliwe wśród istnień ludzkich"[19].

W świecie sztuk

Z frazy *suum cuique* w wersji narodowej korzystali liczni artyści. Znał ją doskonale Dante Alighieri, który wielokrotnie pośrednio i bezpośrednio nawiązał do niej w „Boskiej komedii". I tak przebywający w Piekle Odyseusz z żalem wyznał, że nie dał żonie należnej jej miłości[20]. Tymczasem cesarz Justynian, zażywający wszelkich przyjemności w szóstym kręgu Nieba, z satysfakcją przyznał, że nic go tak nie cieszy, jak boska sprawiedliwość, zgodnie z którą wszyscy dostali po śmierci to, na co zasłużyli. Dante nie był jedynym artystą, odwołującym się do popularnej maksymy. W sztuce Williama Szekspira (1564-1616) „Tytus Andronikus" – jeden z bohaterów oświadcza: „*Suum cuique* to nasza rzymska sprawiedliwość"[21]. Rafael Santi (1483-1520) na tabliczce dzierżonej przez Sprawiedliwość z sufitu watykańskich apartamentów Juliusza II (1443-1513) napisał: *Ius uniquique tribuit*.

Jan Sebastian Bach (1685-1750) nazwał kantatę nr 163 *Nur jedem das Seine*. Autorem podobnie brzmiącego wiersza *Jedem das Seine*, napisanego w roku 1862, był poeta Eduard Mörike (1804-1875). Naturalnie omawiana formuła musiała dostać się również do poezji polskiej. Julian Tuwim (1894-1953) zatytułował jeden ze swoich wierszy *Suum cuique*. Podmiotem lirycznym jest poeta-prostaczek, który nie ukrywa rozczarowania życiem. W strofie otwierającej czytamy:

Komu antyckie dzieła,
Włoskie słońce, muzea
I inne wspaniałości,
A mnie w szynku, w dzień dżdżysty
Duże jasne po czystej
I sztukamięs przy kości[22].

---

19 Cyt. za: N. Frei, *Adenauer's Germany and the Nazi Past: The Politics of Amnesty and Integration*, New York 1983, s. 105.

20 *Inf*. 26.95-96.

21 Tit. Andr. 1.1.280.

22 Cyt. za: J. Tuwim, *Poezje wybrane*, Warszawa 1977, s. 136.

W interesujący sposób do omawianej frazy nawiązał ks. Ignacy Lasocki (1860-1933), prawnik i społecznik. Otóż jednej ze swoich prac nadał następujący tytuł: „*Suum cuique:* uwag parę o restauracji i malowaniu katedry płockiej oraz wogóle o polichromji u nas kościelnej”[23].

Podsumowanie

Idea tego, że każdy zasługuje na nagrodę adekwatną do swych zasług znakomicie nadaje się do wykorzystania w okolicznościowych przemówieniach, odczytach czy nawet w niezobowiązujących rozmowach. Laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, sir Eduard Appelton (1892-1964), wygłaszając zwyczajową oracje w Sztokholmie, nie odmówił sobie drobnej złośliwości: „W Londynie musicie koniecznie obejrzeć Whitehall. Po jednej stronie ujrzycie posąg jednego z naszych królów, którego ścięto; po drugiej posąg tego, który to uczynił. Jest to przykład naszych starań, aby oddać każdemu, co mu się należy”[24].

Niemniej formuła *suum cuique* to coś więcej niż prawo, sztuka, czy erudycyjne popisy inteligentów. Może być ona również postrzegana, czy sobie zdajemy z tego sprawę czy nie, jako sposób życia, a niekiedy i umierania. Sándor Marai (1900-1989), wspominając ostatnie chwile przed śmiercią ojca, napisał: „Umarł jak wielmoża, który nie pozostawia za sobą długów, starannie i precyzyjnie wydawał dyspozycje, każdemu oddał, co mu się należy, wszyscy otrzymali uśmiech, spojrzenie, uścisk ręki. »To mój ostatni dzień« – powiedział rankiem w dzień swej śmierci”[25].

3. *CIVIS ROMANUS SUM*!

Siła państwa leży nie w napuszonych deklaracjach, ale w skuteczności i konsekwencji, z którą wymusza ono respektowanie ustanowionych przez siebie norm prawnych, a także na tym, że jest w stanie zapewnić własnym obywatelom skuteczną ochronę poza granicami. Rzymianie

---

23 I. Lasocki, *„Suum cuique”: uwag parę o restauracji i malowaniu katedry płockiej oraz wogóle o polichromji u nas kościelnej*, Płock 1910.

24 Cyt. za: M. Grydzewski, *Silva rerum*, Gorzów Wielkopolski 1994, s. 145.

25 S. Marai, *Wyznania patrycjusza*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2005, s. 489.

mawiali: *Civis Romanus sum* (Jestem obywatelem rzymskim), a oświadczenie to miało moc zaprawdę potężną w całym śródziemnomorskim świecie. Sposób, w jaki państwo rzymskie traktowało swoich obywateli, do dziś stanowi niedościgniony wzorzec do naśladowania.

Apostoł z „rzymskim paszportem"

Wszystkim mieszkańcom Imperium Romanum obywatelstwo przyniósł osławiony edykt cesarza Karakalli wydany około roku 212. Wcześniej nieliczni szczęściarze mogący oświadczyć – „jestem obywatelem rzymskim" – cieszyli się mnogimi przywilejami, zarówno w sferze prawa prywatnego, jak i publicznego. Cyceron (106-43 p.n.e.), zarzucając byłemu namiestnikowi Sycylii, Werresowi (zm. 43 p.n.e.), dopuszczenie się nadużyć i niesprawiedliwości, wykrzykiwał: „Występkiem jest więzić obywatela, przestępstwem biczować, niemal ojcobójstwem zabić. Jak mam więc nazwać powieszenie na krzyżu?"[26]. Kiedy Paweł z Tarsu (zm. ok. 64-67) został pojmany w Jerozolimie pod zarzutem wzniecenia tumultu, „(…) trybun rozkazał wprowadzić go do twierdzy i przy pomocy chłosty wydobyć zeznania, aby się dowiedzieć, z jakiego powodu Żydzi podnieśli wrzask przeciw niemu. Kiedy związali go rzemieniem, Paweł powiedział do stojącego obok setnika: »Wolno wam biczować Rzymianina i to bez sądu?«. Usłyszawszy to, setnik zbliżył się do trybuna i oznajmił mu: »Co zamierzasz uczynić? Ten człowiek jest Rzymianinem«. Trybun, zbliżywszy się, zapytał: »Powiedz mi, jesteś Rzymianinem?«. A on odpowiedział: »Jestem«. Trybun odrzekł: »Ja obywatelstwo to nabyłem za wielką sumę«. Paweł zaś powiedział: »A ja mam je od urodzenia«. Natychmiast więc odsunęli się od niego ci, którzy mieli go przesłuchiwać. Dowiedziawszy się, że jest Rzymianinem, także trybun przestraszył się, że kazał go skrępować"[27]. Rzymski „paszport" pomógł Pawłowi jeszcze wielokrotnie, a ostatecznie właśnie dzięki niemu nitkę ziemskiego żywota apostoła narodów przeciął miecz kata (kara niehańbiąca, obywatelska, dyskretna i „bezbolesna"), a nie na przykład zęby dzikiej bestii w Koloseum.

---

26 Cic. *in Verr*. 2.5.170.

27 *Act. ap*. 22.22.



Paweł z Tarsu. Żyd z „rzymskim paszportem". Ilustracja pochodząca z IX-wiecznego rękopisu

Civis Polonus sum

Odpryski rzymskich zwyczajów naturalnie przywędrowały również nad Wisłę. Pan Onufry Zagłoba zwykł mawiać: „Zagłoba *sum*!", traktując własną osobę niczym instytucję odrębną od wszystkiego, co znane. Wszelako inni panowie bracia, nawiązując do ideologii rzymskiej, niejednokrotnie przedstawiali się cudzoziemcom słowami: *Eques Polonus sum*, *Latine loquor* (Jestem polskim szlachcicem, mówię po łacinie). Zdarzało się i tak, że wprost mawiali o sobie: *Civis Romanus sum*. „Baśniami o rzymskim pochodzeniu – zauważa Paweł Jasienica (1909-1970) – szczególnie przejęło się rycerstwo Wielkiego Księstwa Litewskiego: my stara szlachta *rimskaja*, a wy – Lachowie – z chłopów… Dla bezstronności przypomnijmy, że według Paprockiego dwadzieścia tysięcy szlachciców wywodziło się na Mazowszu z nasienia jednego jedynego patrycjusza rzymskiego, który tam kiedyś przybył – w świecie wyobraźni"[28]. Ducha wspólnotowego okazywała również polska arystokracja. Hetman Jan

[28] P. Jasienica, *Ziemia wszystkim wspólna*, [w:] *Tylko o historii*, Warszawa 2009, s. 44.

Zamoyski (1542-1605) wsławił się jako autor twierdzenia: *Nobilis Polonus omnibus par* (Polski arystokrata wszystkim równy).



Paweł Jasienica: „Baśniami o rzymskim pochodzeniu szczególnie przejęło się rycerstwo Wielkiego Księstwa Litewskiego my stara szlachta *rimskaja*, a wy – Lachowie – z chłopów"

W liście Cypriana Kamila Norwida (1821-1883) do Joanny Kuczyńskiej, napisanym z emigracji i datowanym na 1 grudnia 1862 roku, znalazł się podpis: *Polonus natus*, *civis Romanus* (Polak z urodzenia, obywatel rzymski). Następnie zaś poeta biadał: „Jak wiadomo Pani, jestem obywatelem rzymskim – *Civis Romanus sum* – Władca Rzymu jest moim monarchą – nie wiem przeto bynajmniej, jakie są urządzenia w Polsce, i nie wiem, jakie cenzury są prawa, ani wiedzieć tego nie mam obowiązku, będąc Rzymianinem, choć w Polsce urodzonym – tak jak niegdyś Paweł Apostoł Żydem z urodzenia był, a jednakże prawo obywatela rzymskiego obowiązywało go"[29].

Po odzyskaniu niepodległości polskie obywatelstwo cieszyło się wielkim „wzięciem". W dniu 24 lutego 1919 roku żydowski polityk Izaak Grunbaum (1879-1970) wołał w parlamencie: „Wzywamy was tedy Panowie: nie odtrącajcie trzech milionów obywateli od współpracy nad odbudową państwa polskiego! Dajcie nam takie warunki życia, aby każdy

[29] C.K. Norwid, *Do pani na Korczewie: wiersze, listy, małe utwory, proza*, Warszawa 1969, s. 86.

Żyd polski na całym świecie z dumą wołać mógł: *Civis Polonus sum et nihil civitatis Poloniae a me alienum puto!* (Jestem obywatelem polskim i nic co ma związek z państwem polskim nie jest mi obce!)"[30]. Decyzja parlamentu okazała się zbawienna. W czasach II wojny światowej polski paszport uczynił wszystkich Żydów, którzy udali się na Zachód, obywatelami pierwszej kategorii. Postrzegano ich jako sprzymierzeńców w prowadzonej wojnie i traktowano z należnym respektem. W przeciwieństwie do politycznych uchodźców z paszportami państw osi.

W nieco innym kontekście odwoływał się do rzymskich tradycji kardynał August Hlond (1881-1948), przemawiając do młodzieży polskiej na kongresie „Odrodzenia" dnia 19 listopada 1929 roku: „Pewnego dnia stanął przed rzymskim urzędnikiem Paweł Apostoł. (…) Wtedy odzywa się do tego urzędnika św. Paweł: *Civis romanus sum* – jestem obywatelem rzymskim, nie jestem drugorzędnym obywatelem tego państwa, jestem panem rzymskim, istotnym, nieponiżalnym i apeluję do tego prawa. Chcę, aby każdy z was miał pełną świadomość swych praw w narodzie i w Rzeczypospolitej Polskiej, abyście stanęli na szczycie zawsze tam, gdzie program wyznacza pierwsze miejsce jako tym, którzy szerzą prawo i najczystszą wyznają moralność"[31].

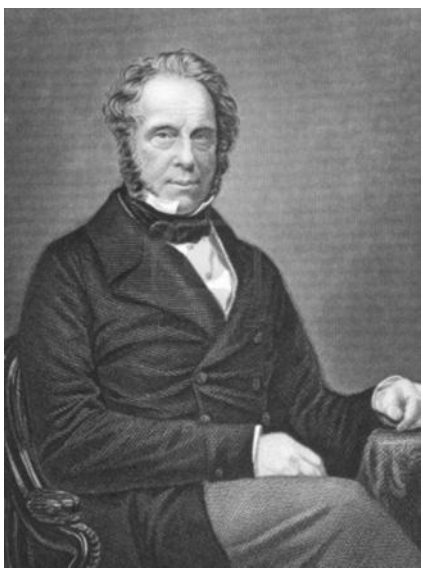
Koncepcja „Lorda Pumeksa"

Na świecie slogan: *Civis Romanus sum* został spopularyzowany w XIX wieku dzięki imperialnej polityce Wielkiej Brytanii. Henry John Temple, 3. wicehrabia Palmerston (1784-1856), nazywany „Lordem Pumeksem" (*Lord Pumice Stone*), zwykł mawiać: „Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników ani wiecznych wrogów; wieczne są tylko interesy Wielkiej Brytanii i obowiązek ich ochrony".

Okazją do przetestowania tej doktryny stało się spalenie w Atenach sklepu niejakiego Don Pacifico (1784-1854), Żyda urodzonego na Gibraltarze. Incydent miał miejsce na fali antysemickich zamieszek, które spowodowały chaos w mieście w roku 1847. Ponieważ rząd Grecji ociągał się z wypłatą odszkodowania, Don Pacifico, jako poddany Korony Brytyjskiej, zwrócił się o pomoc do Wielkiej Brytanii. W roku 1850 brytyjska flota zablokowała wejście do Aten i pozostała na miejscu do momentu, aż

30 M. Fuks, *Prasa żydowska w Warszawie*, Warszawa 1979, s. 172.
31 A. Hlond, *Nauczanie 1897-1948*, Toruń 2003, s. 239.

sprawa została pozytywnie załatwiona. Palmerston ściągnął na siebie krytykę nie tylko Grecji, Rosji i Francji. Doszło do tego, że francuski ambasador Edouard Drouyn de Lhuys (1805-1881) na pewien czas opuścił Londyn. „Pumeks" był jednak nieugięty. Blokada trwała dwa miesiące i zakończyła się wypłaceniem zainteresowanemu stu dwudziestu tysięcy drachm i pięciuset funtów szterlingów. W międzyczasie intensywnie dyskutowano w brytyjskim parlamencie. Wrogowie zażądali dymisji lorda Palmerstona. Przed głosowaniem w sprawie odwołania go z urzędu, które odbyło się 28 czerwca 1850 roku, „Lord Pumeks" w historycznym przemówieniu podkreślił: „Tak jak Rzymianin w dawnych czasach był zabezpieczony przed zniewagą, kiedy oświadczył *Civis Romanus sum!*, tak samo brytyjski poddany, w jakim bądź kraju się znajdzie, powinien czuć pewność, że czujne oko i silne ramię Anglii będą chronić go przed złem i niesprawiedliwością!"[32]. Wniosek opozycji przepadł, a postępowanie Wielkiej Brytanii rychło stało się wzorem dla Stanów Zjednoczonych i Niemiec.



Henry John Temple. Trzeci wicehrabia Palmerston

[32] R. Katani, *Defining British citizenship: empire, commonwealth and modern Britain*, Routlege 2003, s. 59.

John Kennedy „strzela" uroczą gafę

Stwierdzenie: *Civis Romanus sum* było jednym z ulubionych retorycznych motywów prezydenta Johna Kennedy'ego (1917-1963). Zwracając się do mieszkańców Nowego Orleanu, oświadczył: „Dwa tysiące lat temu największą chlubę przynosiło stwierdzenie: »Jestem obywatelem Rzymu«. Wierzę, że dziś, w roku 1962, największą chlubę przynosi stwierdzenie: »Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych«"[33]. Podczas pobytu w Berlinie, rok później, prezydent postanowił skorzystać z tego samego konceptu i skierował do berlińczyków następujące słowa: „Dziś w świecie pokoju największą chlubę przynosi stwierdzenie: »*Ich bin ein Berliner*«. Wokół zaległa krępująca cisza, po czym tłum odpowiedział głośnym śmiechem i wiwatami. Sytuacja wyjaśniła się natychmiast. Prezydent, łamiąc sobie język, chciał zapewnić, że jest berlińczykiem, tymczasem w zachodnioberlińskim slangu zabrzmiało to jako: „największą chlubę przynosi stwierdzenie: »jestem pączkiem z dżemem«"[34]. Berlińczykom jednak ani w głowie było gniewać się na sojusznika zza oceanu. Wszak to Amerykanin. Ważne, że się starał. A *Berliner* do dziś pozostaje jednym z najpopularniejszych lokalnych przysmaków.



John Fitzgerald Kennedy

Prawo i sprawiedliwość po angielsku

Osobną kwestię stanowi problem respektowania prawa ustanowionego dla własnego terytorium oraz krzewienie na świecie rodzimej kultury

33 A.W. Daum, *Kennedy in Berlin*, Washington 2008, s. 152-153.

34 H.R. Ryan, *U.S. presidents as orators: a bio-critical sourcebook*, Greenwood 1995, s. 219.

prawnej. Kiedy Żydzi prosili rzymskiego prokuratora Festusa o uśmiercenie Pawła z Tarsu, usłyszeli: „Rzymianie nie mają zwyczaju skazywania kogokolwiek na śmierć, zanim oskarżony nie stanie wobec oskarżycieli i nie będzie miał możności bronienia się przed zarzutami”[35].

W tym zakresie wiele można się nauczyć również od Brytyjczyków. Francuski pisarz, Nicolas de Chamfort (1741-1794), przytacza znamienną anegdotę: „Car Piotr Wielki, bawiąc w Spithead, chciał zobaczyć, co to jest kara przeciągania pod okrętem, na którą skazują majtków. Nie było na razie żadnego winnego; Piotr rzekł: »Niech wezmą którego z moich ludzi«. »Najjaśniejszy panie – brzmiała odpowiedź – ludzie Waszej Cesarskiej Mości są w Anglii, tym samym znajdują się pod ochroną praw«”[36].

Podobny incydent wydarzył się w roku 1943 w Teheranie. W trakcie konferencji, w której udział wzięła Wielka Trójka (Churchill, Roosevelt i Stalin), poruszono między innymi problem osądzenia nazistowskich zbrodniarzy wojennych. Wieczorem, podczas suto zakrapianej kolacji zorganizowanej przez Stalina, w pewnym momencie gospodarz powstał i wygłosił zdumiewające oświadczenie: „»Wznoszę toast – powiedział ponuro – za jak najszybsze osądzenie wszystkich niemieckich zbrodniarzy wojennych. Wznoszę toast za sprawiedliwość plutonów egzekucyjnych! (…) Wznoszę toast za nasze zdecydowanie, by załatwiać ich natychmiast po wzięciu do niewoli, i to wszystkich, a musi ich być nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy«. Obecni jakby zamarli. I nagle ciszę przerwał hałas. To Churchill błyskawicznie poderwał się ze swego miejsca (…). »Tego rodzaju postępowanie – ciężkim od brandy językiem wykrzyknął czerwony na twarzy premier – stoi w jawnej sprzeczności z brytyjskim rozumieniem prawa! (…) Naród brytyjski – kontynuował gniewnie – nigdy nie zaaprobuje tego rodzaju masowego mordu«. (…) Jednak Stalin nie chciał ustąpić i ponownie wzniósłszy kieliszek, powtórzył: »Trzeba rozstrzelać pięćdziesiąt tysięcy!«. »Skorzystam z okazji – odpowiedział lodowatym głosem Churchill – by oświadczyć, że moim zdaniem nikogo, czy to nazisty, czy nienazisty, nie można postawić przed plutonem egzekucyjnym w wyniku sumarycznego postępowania, a to znaczy bez procesu

---

35 *Act. ap*. 25.16.

36 N. Chamfort, *Anegdoty i charaktery. Małe dialogi filozoficzne. Maksymy i myśli*, przeł. T. Boy-Żeleński, Warszawa 2010, s. 19.

sądowego i bez uwzględnienia zebranych dowodów i faktów«. I drżącym głosem dodał: »Wolałbym raczej zostać wyprowadzonym w tej chwili do ogrodu i rozstrzelanym, aniżeli okryć hańbą siebie i mój naród, pozwalając na podobną niegodziwość«"[37].

Zamiast podsumowania

Margot Horspool we wstępie do podręcznika prawa Unii Europejskiej zauważa: „Rzymskie obywatelstwo często stanowi inspirację dla tworzenia nowej idei obywatelstwa europejskiego. Cyceron, prawnik, twierdził, że w imperium rzymskim największą chlubę przynosiło jednostce stwierdzenie: *Civis Romanus sum*, aspiracją zaś dnia dzisiejszego jest, by pewnego dnia obywatel Europy takim samym szacunkiem i dumą otaczał obywatelstwo europejskie"[38]. Wygląda na to, że w sprawie idei *Civis Romanus sum* wciąż nie powiedziano ostatniego słowa.

4. *SUPREMA LEX*

Na kolumnach Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej Polskiej umieszczono szereg łacińskich paremii prawniczych. W listopadzie, miesiącu, który upamiętnia odzyskanie przez Polskę niepodległości, warto przypomnieć zwłaszcza jedną: *Salus rei publicae suprema lex esto* – Dobro Rzeczypospolitej niechaj będzie najwyższym prawem[39].

Pierwowzór i mutacje

W pierwotnej wersji wspomniana wyżej maksyma brzmiała: *Salus populi Romani suprema lex esto* (Dobro ludu rzymskiego niech będzie najwyższym prawem). Różnica pomiędzy pierwowzorem a jego późniejszą wersją nie jest znacząca. Tym bardziej, że w politycznej retoryce Rzymian okresu republiki *populus Romanus* (lud rzymski) oraz *res publica*

---

37 J.J. Heydecker, J. Leeb, *Proces w Norymberdze*, przeł. M. Zeller, Warszawa 2009, s. 81-82.

38 M. Horspool, *European Union Law*, Oxford 2006, s. 2.

39 Zob.: *Regulae Iuris. Łacińskie inskrypcje na kolumnach Sądu Najwyższego Rzeczpospolitej Polskiej*, red. W. Wołodkiewicz, Warszawa 2006, s. 104.

(rzeczpospolita; państwo) stanowiły synonimy. Autorem formuły: *Salus populi Romani suprema lex esto* był Marek Tulliusz Cyceron (106-43 p.n.e.), zręczny mówca sądowy, zdolny karierowicz, nuworysz na arystokratycznych salonach rzymskich, konsul w roku 63 p.n.e. W jego traktacie „O prawach" czytamy: „Dwie osoby niech sprawują władzę typu królewskiego, oni też, ponieważ przewodzą, wydają wyroki i decydują, niech zwą się pretorami, sędziami, konsulami. Niech przysługuje im zwierzchnia władza nad wojskiem, a nikomu niech nie podlegają. Niech dobro ludu rzymskiego będzie im najwyższym prawem"[40].

Nie wiadomo, kto jako pierwszy dokonał modyfikacji ostatniego zdania. W każdym razie, kiedy w roku 1771 Johann Wolfgang Goethe (1749-1832) przedstawił na sztrasburskim wydziale prawa zbiór 56 łacińskich tez zatytułowany *Positiones iuris*, jedną z nich była właśnie maksyma: *Salus rei publicae suprema lex esto* (nr 46). Warto wspomnieć, że zdanie Cycerona stało się źródłem innych łacińskich reguł. Dla własnych celów zagospodarował je między innymi Kościół katolicki, zainspirowany formułą anglikańskiego duchownego Stephena Marshalla (1594-1655). Mając na myśli własną wspólnotę wyznaniową, w roku 1642 Marshall oznajmił podczas kazania, że „najwyższym prawem jest dobro Kościoła" (*Salus Ecclesiae suprema lex*). W prawie kanonicznym do dziś obecna jest myśl, zgodnie z którą najwyższym prawem w Kościele powinno być zbawienie dusz (*Salus animarum in Ecclesia suprema lex semper esse debet*)[41]. Z kolei w środowisku lekarskim funkcjonuje powiedzenie: „Dobro pacjenta najwyższym prawem" (*Salus aegroti suprema lex*).

Owoc z zatrutego drzewa

Cała literacka spuścizna Cycerona nakierowana była na jeden cel. W swych pismach Arpinata z premedytacją stosował wobec czytelników sztuczki, które dziś śmiało można nazwać technikami manipulacji ideologicznej. Z gorliwością neofity budował w nich wizję idealnego, w swym odczuciu, ustroju – republiki arystokratycznej. Ustroju, w którym nieliczni dobrze urodzeni, a zatem „lepsi" i „mądrzejsi", troszczą się (czytaj: rządzą, kierują, rozkazują) o większość pośledniejszego stanu.

40 Cic. *de leg*. 3.8.

41 Kan. 1752 CIC.

Krótko mówiąc, formuła: *Salus populi Romani suprema lex esto*, stanowi jeszcze jedną frazę-wytrych służącą do usprawiedliwiania aktów pogwałcenia prawa dokonywanych w zamiarze zduszenia opozycji i zachowania władzy.

W systemie prawnym Stanów Zjednoczonych obowiązuje zasada metaforycznie nazywana *fruit of the poisonous tree principle* (zasada owoców z zatrutego drzewa). Jej twórcy oparli się na fragmencie z „Ewangelii św. Mateusza": „Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, złe zaś drzewo złe owoce. Dobre drzewo nie może rodzić dobrych owoców ani złe drzewo dobrych"[42]. Tak zatem wszelkie dowody uzyskane drogą nielegalną nie mogą zostać wykorzystane w sądzie. Cyceron napisał traktat „O prawach" nie tylko w nadziei uzyskania doraźnych korzyści politycznych, lecz również z przemożną chęcią zafałszowania historii. Pozostaje zapytać, czy na jednym zdaniu wyrywkowo wyjętym z kontekstu da się zbudować coś trwałego. Owszem.

Stany nadzwyczajne

Nolens volens został Cyceron ojcem konceptu stanu nadzwyczajnego. Mowa o sytuacji, w której można znieść lub ograniczyć prawa przysługujące obywatelom. Problematyka ta zajęła największych filozofów i teoretyków prawa. Wymieńmy niektórych. Thomas Hobbes (1588-1679) uznawał władzę monarszą, którą król powinien sprawować „dla bezpieczeństwa ludu", do czego obligować go miało prawo naturalne. John Locke (1632-1704), gorący zwolennik ustawowego zakreślenia ram władzy zwierzchniej, dopuszczał istnienie królewskich prerogatyw, w których władca miał prawo samodzielnie reagować na „wypadki i stany konieczności, które mogły dotyczyć sfery publicznej". Jako przykład podaje sytuację, w której płonie kilka domów. Władza może wówczas arbitralnie rozebrać kolejne, by zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się pożaru, mimo że w innych okolicznościach byłoby to jaskrawe pogwałcenie własności prywatnej. Co ciekawe, fraza: *Salus populi suprema lex esto* posłużyła mu jako motto do „Drugiego traktatu o rządzie". Również Monteskiusz (1689-1755), autor przełomowego dzieła „O duchu praw", zauważał, że nawet w krajach, „gdzie wolność otaczana jest wielkim szacunkiem, istnieją ustawy,

[42] Matt. 7.17-19.

na mocy których jednostka jest jej pozbawiana, aby zachować ją [tj. wolność – M.J.] dla całej społeczności". Podobną opinię wyraził w „Umowie społecznej" Jean Jacques Rousseau (1712-1778), pisząc, że wzgląd na uświęconą naturę ustaw powinien ustąpić wtedy, kiedy chodzi o bezpieczeństwo państwa. Nie inaczej myślał wielki liberał i zarazem zwolennik parlamentaryzmu John Stuart Mill (1806-1873), a także wielu innych. Po wielu wiekach Karl Joachim Friedrich (1901-1984) nazwie stan nadzwyczajny „konstytucyjną dyktaturą".



Masowe aresztowania w północnoirlandzkim mieście Derry będące skutkiem rozruchów, które wybuchły 30 stycznia 1970 roku, a przeszły do historii jako „krwawa niedziela"

Jakie sytuacje uzasadniają ograniczenie, a niekiedy i zupełne wyłączenie podstawowych praw obywatelskich? Posłużmy się przykładem. Jedną z podwalin angielskiej konstytucji jest przesławny *Habeas corpus act*, zgodnie z którym niedozwolone jest aresztowanie kogokolwiek bez zezwolenia sądu. Pragmatyczni wyspiarze zdawali sobie wszakże sprawę, a opinie wyrażane w traktatach filozoficznych tylko utwierdziły ich w tym przekonaniu, że zasada ta nie może obowiązywać zawsze i w każdych warunkach. Po raz pierwszy więc jej działanie zawieszono już w roku 1715. Najliczniejsze aresztowania i internowania z pominięciem postawienia zarzutów i wyroku sądu miały jednak miejsce podczas pierwszej i drugiej wojny światowej (zwłaszcza po kompromitującej ewakuacji korpusu ekspedycyjnego spod Dunkierki w 1940 roku). Rząd nie miał również skrupułów podczas tłumienia rozruchów, a następnie w walce

z terroryzmem w Irlandii Północnej w latach 70-tych XX wieku. Wówczas, usprawiedliwiając zabójstwa cywili, bezprawne areszty oraz tortury prorządowa prasa uzasadniała konieczność podjęcia podobnych działań, jako że wymagała tego *salus reipublicae*.

Druga strona medalu

John Selden (1584-1654) w rozprawie zatytułowanej „Rozmowa przy stole" słusznie zauważył, że „nic na świecie nie było bardziej nadużywane niż formuła *salus populi suprema lex esto*". Nie tylko „dobrzy" teoretycy państwa i prawa zainteresowali się ideą wyrażoną ongiś przez Cycerona. Zachwycił się nią również florencki prawnik, filozof i dyplomata – Nicolo Machiavelli (1469-1527). W „Księciu" udzielił monarsze licencji na wszelkie działania, które mogą przynieść polityczne korzyści. W „Rozważaniach nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Tytusa Liwiusza" Machiavelli trzeci rozdział opatrzył podtytułem *Salus populi suprema lex*. W pracy tej uznał dyktaturę za okresową konieczność i, o dziwo, środek o charakterze konstytucyjnym.



Niclòlo Macchiavelli. Szczególnie przywiązany do maksymy: *Salus rei publicae suprema lex*

Fraza: *Salus rei publice suprema lex esto* była wykorzystywana przez ludzi dążących do obalenia istniejącego ustroju, chcących usprawiedliwić dokonany już przewrót lub pragnących umocnić dyktaturę. Gorącym orędownikiem wykorzystania jej w procesie narzucania totalistycznej wizji państwa był Friedrich Nietzsche (1844-1900).

Omawianą maksymę z pewnością znał ostatni niemiecki cesarz Wilhelm II (1859-1941). Pewnego razu zdarzyło mu się nawet dokonać jej drobnej modyfikacji. Podczas wizyty w Monachium, które cieszyło się

wówczas statusem wolnego miasta, w następujący sposób wpisał się w złotej księdze miejskiej: „Wola króla najwyższym prawem" (*Voluntas regis suprema le*x). Oświadczenie to wywołało zrozumiałe zgorszenie wśród rajców.

Zwolennicy konającej Republiki Weimarskiej zastanawiali się, czy nie oprzeć się na przykazaniu Cycerona i nie podjąć sprzecznych z konstytucją kroków, mających na celu uniemożliwienie Hitlerowi objęcia władzy. Ostatecznie nie podjęto jednak żadnych działań. Podobnych dylematów nie miał Adolf Hitler (1889-1945), który lubował się w tłumaczeniu dobrem państwa swych zbrodniczych poczynań. W nazistowskich Niemczech maksyma *salus rei publicae suprema lex* unaoczniać miała brak jakichkolwiek praw jednostki wobec społeczeństwa. Stara rzymska mądrość w wypaczonej wersji zastąpiła francuską maksymę *laissez faire*, *laissez aller*, zgodnie z którą jednostka powinna się cieszyć maksymalną wolnością – zwłaszcza w sferze ekonomicznej. Słabość do sformułowania *suprema lex* wykazywali również dyktatorzy, jak: Benito Mussolini (1883-1945), Francisco Franco (1892-1975), Antonio Salazar (1889-1970) oraz Józef Stalin (1892-1975).

Suprema lex w Polsce

Powszechnie znana jest niechęć szlachty polskiej do prawa rzymskiego i wypracowanych przez nie zasad. Panowie bracia konsekwentnie odrzucali system zbudowany na podstawie starożytnej myśli prawniczej w obawie przed „tyranią", która chyłkiem mogła się zadomowić nad Wisłą wraz z przyjęciem idei głoszonych przez Gajusza, Ulpiana i ich następców. Niemniej w warunkach powszechnej wśród szlachty znajomości łaciny oraz kultury klasycznej, będących efektem działalności kolegiów jezuickich, zasada: *Salus populi suprema lex* była obecna w powszechnej świadomości. Wiedział o tym Henryk Sienkiewicz (1846-1916), który włożył w usta małego rycerza znamienne sformułowanie: „Kto, prócz niego [tj. Jeremiego Wiśniowieckiego – M.J.], tę wielką myśl rozumie? (…) On jeden – nikt więcej! Do niego idzie szlachta, do niego ściągają wojska, w jego ręku miecz Rzeczypospolitej. Przecież Rzeczpospolitą, nawet gdy pan jest na tronie, a cóż dopiero gdy pana nie ma, rządzi wola tego narodu. Ona to *suprema lex*"[43].

[43] H. Sienkiewicz, *Ogniem i mieczem*, t. I, Warszawa 1987, s. 364.

Naturalnie, w państwie rządzonym przez wszystkich, *ergo* przez nikogo, każdy miał prawo na swój sposób rozumieć, czym jest dobro kraju. Z tym stanem rzeczy próbowali walczyć oświeceniowi publicyści. Stanisław Staszic (1755-1826) powoływał się na rzymską zasadę w zamiarze kształtowania postaw patriotycznych wśród młodzieży. W zakończeniu „Przestróg dla Polski" napisał: „Róbcie z młodzieży szlacheckiej i miejskiej jeden naród! Dajcie im równie uczuć, że gdy się razem trzymać będą, Polska zostanie wolną, mocną i sławną. Powtarzajcie im często to wielkie cnotliwego Rzymianina zdanie: nie całość jednego stanu, ale całość narodu całego jest Prawem najwyższym – *Salus Reipublicae suprema lex esto*"[44].

Idea dobra państwa znajdującego się pod zaborami szczególnie żywo oddziaływała na społeczeństwo polskie w dobie jego wielkich narodowych zrywów. W roku 1864, kiedy dogorywało powstanie styczniowe, podjęto ostatnią próbę pozyskania kleru do włączenia się w walkę o wolność w zaborze austriackim. W tym celu rozpowszechniono trzydziestodwustronicową broszurę noszącą znamienny tytuł *Suprema lex salus populi*. Anonimowy autor, podpisujący się jako *Unus ex Vestris* (jeden z was) podkreślał, że na sercu kapłana zbawienie ojczyzny powinno leżeć tak bardzo, jak zbawienie poszczególnych dusz.

W odrodzonej Rzeczpospolitej formuła: *Salus rei publicae suprema lex* utrwaliła się w słowniku politycznej retoryki. W sferze publicznej przywoływano ją nie tylko chcąc przeforsować ustawy, ale również w zamiarze usprawiedliwienia przewrotu majowego. Postrzegana była jako „zasada ponadkonstytucyjna", czego wyrazem stało się jej umieszczenie na suficie w sali obrad Sejmu. W roku 1925 wybito serię okolicznościowych i obiegowych pięciozłotówek, które na rancie miały wygrawerowaną formułę: *Salus rei publicae suprema lex*. Jedna z nich, bodaj najpiękniejsza z tej serii, znana jest właśnie jako „konstytucja"[45]. Jako swe hasło omawianą paremię przyjęła poznańska korporacja studencka „Baltia".

---

44 S. Staszic, *Wybór pism*, Warszawa 1952, s. 99.

45 Z faktem tym wiąże się pewne zabawne wydarzenie zapamiętane przez Jana Miodka (ur. 1946). Otóż „pewien starszy pan opowiadał mi niedawno, że na przedwojennych polskich monetach figurował napis »*Saius* [tak!!] *rei publicae supre-*



Salus rei publicae suprema lex. Przedwojenna karykatura

Po wojnie szybkiej absorpcji rzymskiej maksymy dokonała ideologia komunistyczna. Początkowo, zwłaszcza w kołach związanych z Polską Partią Robotniczą, korzystano z cycerońskiego pierwowzoru: *Salus populi suprema lex*, co w języku rewolucjonisty miało oznaczać: powodzenie rewolucji najwyższym prawem (*salus revolutionis suprema lex*). Lud (*populus*) lepiej wpisywał się w partyjną ideologię niż mająca sanacyjne konotacje *res publica*. Powoływano się przy tym na pisma Plechanowa, Lenina i Stalina. Rychło jednak, kiedy dobro państwa utożsamiono z interesem przewodniej siły narodu, do łask wróciła również *res publica*.

Co pozostało?

Współcześnie reminiscencją myśli sformułowanej niegdyś przez Cycerona jest nie tylko napis na jednej z kolumn Sądu Najwyższego. Jej odbicie znajdziemy również w szeregu obowiązujących przepisów. Na przykład jedną z fundamentalnych zasad obecnych na gruncie polskiego porządku prawnego jest zasada jawności postępowania. A jednak „Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej" oraz „Europejska konwencja praw

ma lex esto«. Chyba *salus* – zaoponowałem ja – rocznik powojenny. »Ależ skąd« – uciął dyskusję starszy pan" – J. Miodek, *Rzecz o języku*, Wrocław 1983, s. 20.

człowieka", a za nimi „Kodeks postępowania karnego" stanowią, że wyłączenie jawności rozprawy może nastąpić między innymi ze względu na bezpieczeństwo państwa[46]. Omawiana zasada mogłaby również stanowić motto dla całego rozdziału XI polskiej ustawy zasadniczej, poświęconego stanom nadzwyczajnym (tj. stanowi wojennemu, stanowi wyjątkowemu oraz stanowi klęski żywiołowej), w których mogą zostać ograniczone wolności i prawa człowieka, a także obywatela[47]. Wszystko zgodnie z wymogami, które stawia się przed „demokratycznym państwem prawa urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej".



„Konstytucja"

Aktualnym pozostaje wciąż pytanie: czymże jest owa *suprema lex*. Powraca ono zwłaszcza przy okazji dyskutowania granic suwerenności państw w ramach Unii Europejskiej, a także relacji, w jakich znajdują się ich ustawy zasadnicze wobec przepisów unijnych[48]. Bądźmy czujni. *Salus rei publicae suprema lex esto* to zasada pochodząca z zatrutego drzewa, a licho nie śpi.

---

46 Art. 45 Konst.; art. 6 ust. 1 EKPC; art. 360 § 1 pkt 3 KPK.

47 Zob.: art. 228 pkt 3 Konst.

48 R.M. Małajny, *Constitutio suprema lex? (Unia Europejska a ustawy zasadnicze państw członkowskich)*, [w:] *Prawo a wartości. Księga jubileuszowa Profesora Józefa Nowackiego*, red. I. Bogucka, Z. Tobor, Zakamycze 2003, s. 206-212.



Nowy herb włoskich sił zbrojnych

5. *IN DUBIO PRO REO*

Jedną z fundamentalnych zasad o charakterze konstytucyjnym, obowiązujących na gruncie polskiego procesu karnego, jest zasada domniemania niewinności. W art. 42 ust. 3 „Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej" czytamy: „Każdego uważa się za niewinnego, dopóki jego wina nie zostanie stwierdzona prawomocnym wyrokiem sądu". Podobne sformułowanie znalazło się w „Kodeksie postępowania karnego": „Oskarżonego uważa się za niewinnego, dopóki wina jego nie zostanie udowodniona i stwierdzona prawomocnym wyrokiem"[49]. Idea ta pozostaje w ścisłym związku z zasadą interpretowania wszelkich wątpliwości na korzyść oskarżonego, wyrażoną w łacińskiej sentencji: *in dubio pro reo*[50]. Jaka jest geneza obu uregulowań?

Arystoteles i Rzymianie

Racjonalna postawa wobec oskarżonych okazjonalnie cechowała już starożytnych. „Każdy z nas wolałby raczej uwolnić winnego, niż skazać

[49] Art. 5 § 1 KPK.

[50] Zob. art. 5 § 2 KPK: „Niedające się usunąć wątpliwości rozstrzyga się na korzyść oskarżonego".

niewinnego... Wolelibyśmy bowiem uznać każdego raczej za niewinnego, nawet jeśli stawiane zarzuty były prawdziwe, niż skazać go, gdyby prawdziwe nie były. W razie wątpliwości trzeba wybrać to, co naraża na mniejszy błąd" – twierdził Arystoteles (384-322 p.n.e.) w „Zagadnieniach przyrodniczych"[51].

W Rzymie jurysta Gajusz (II w.) zauważał, że na gruncie procesu cywilnego „korzystniejszą sytuację mają pozwani niż powodowie"[52]. Zdarzało się jednak również, że sędziowie wyrokowali bez uprzedzeń w sprawach karnych. Abstrahując od trafnego rozpoznania konkretnego przypadku oraz zdrowego rozsądku, ich postawa bazowała przede wszystkim na wartościach głoszonych przez filozofię stoicką. Seneka Młodszy (4 r. p.n.e. – 65 r. n.e) twierdził: „Kiedykolwiek oskarżony bywa uwalniany przy równej liczbie głosów za i przeciw, zawsze kiedy istnieje przy tym jakaś wątpliwość, humanitaryzm skłania do wydania łagodniejszego werdyktu"[53].

Przysłowiowa stała się opinia cesarza Trajana (53-117), który pouczał swych urzędników, że „lepiej jest wypuścić bez kary kogoś, kto wyrządza zło przestępstwem, niż skazać niewinnego"[54]. W rzymskich źródłach prawniczych znaleźć można również przestrogi przed zbyt pochopnym wydawaniem ocen oraz zakazy wywierania represji na osobach, które nie zostały skazane[55]. Niemniej, zwłaszcza w procesach politycznych, rzymskim standardem było wydawanie wyroków skazujących jedynie na podstawie oskarżenia. Tendencje te wzmacniały ustawowo zagwarantowane nagrody dla donosicieli, którzy w przypadku skazania zadenuncjowanej osoby, mogli liczyć na przejęcie części jej majątku.

„Mroki" średniowiecza

Idea okazywania łagodności wobec oskarżonego, któremu nie dowiedziono winy w sposób niezbity, nieobca była również prawnikom średniowiecznym. Tym razem jednak u jej źródeł leżały wartości czysto chrześci-

---

51 Arist. 29.959 b.
52 D. 50.17.125.
53 Sen. *ep. ad Lucill.* 10.81.
54 D. 48.19.5 *pr.*
55 Np. D. 48.3.6 *pr.*; 48.20.2.

jańskie, jak: łagodność, miłosierdzie oraz wiara w sprawiedliwość Bożą. „Jest rzeczą haniebną i niebezpieczną skazywać kogoś jedynie w oparciu o podejrzenia. W razie wątpliwości wyrok skazujący należy zostawić Bogu" – czytamy w kapitularzu Karola Wielkiego. Podobnie w powstałym około 1010 roku „Dekrecie" Burcharda z Wormacji powiedziano: „Niech nikt nie będzie określany mianem winnego przed wydaniem wyroku. Sędzia badający sprawę karną, przed ogłoszeniem ostatecznej sentencji, niech nie bierze pod uwagę niczego, do czego nie przyznał się sam oskarżony lub co nie zostało dowiedzione zeznaniami wiarygodnych świadków".

Postglosator Albertus Gandinus (1278-1310) dodał do powyższego dwa osobliwe domniemania, które zakwalifikował odpowiednio jako „faktyczne" oraz „wynikające z natury". W pierwszym twierdził, że „kto dawniej był zły, tego i dzisiaj uważa się za złego", i na odwrót. W drugim dowodził, że „jeżeli ktoś pochodzi z dobrego rodu i ma dobrych rodziców, uważa się, że i on sam jest dobry". W innym zaś miejscu pisał jednak tak: „Kiedy istnieją wątpliwości, a dowody nie są pewne, lepiej wypuścić złoczyńcę bez kary, niż skazać niewinnego, gdyż w przypadku niepewności lepiej karać łagodniej niż surowiej".

Dopełnienie dla powyższych poglądów przyniosło prawo kanoniczne. W *Glossa ordinaria* do „Dekretałów" papieża Grzegorza IX (1160-1241) umieszczono domniemanie, zgodnie z którym: „każdy uważany jest za dobrego, dopóki nie dowiedzie się przeciwnie". Podobne sformułowanie, choć w nieco ograniczonym zakresie, znalazło się w „Summie teologicznej" Tomasza z Akwinu (1225-1274) – dziele, które wywarło przemożny wpływ na kształtowanie się kultury prawnej średniowiecza. Jak widać, zasada, którą dziś określamy mianem domniemania niewinności, w wiekach średnich należała zarówno do sfery prawa, jak i teologii moralnej.

Odrodzenie

Przy okazji rozważań nad naturą człowieka w renesansowej doktrynie udało się jeszcze raz zdefiniować pojęcie domniemania w prawie karnym. I tak Andreas Alciatus (1492-1550) dowodził: „Domniemanie nie jest niczym innym, jak prawdopodobnym twierdzeniem, przyjętym na podstawie powszechnej opinii, w oparciu o to, co często się wydarza lub wydarzać powinno". Tymczasem zasada, zgodnie z którą każdego należy

uważać za dobrego, zyskała miano domniemania generalnego (*praesumptio generalis*).



Andreas Alciatus

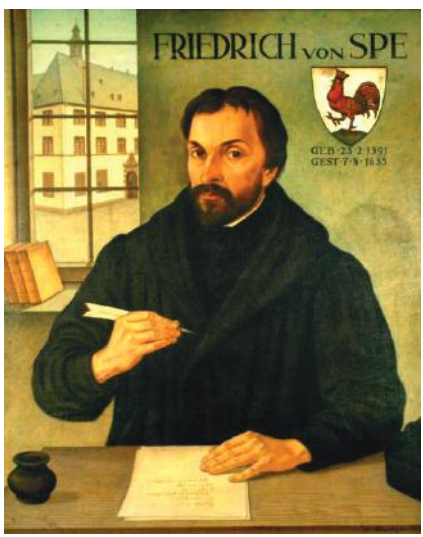
Prawnicy świeccy przejęli punkt widzenia kanonistów w zakresie postrzegania oskarżonego w procesie karnym. Niekiedy jednak naginano sens zasady domniemania niewinności do konkretnych potrzeb. „Niewinność przypisuje się oskarżonemu, który zeznaje ochoczo i bez trwogi" – twierdził rzymski jurysta Prosper Farinacius (1554-1618) w wywodzie poświęconym wykorzystywaniu tortur w procesie karnym.

Kiedy więc mediolański prawnik Aegidius Bossius (1487-1546) w swym dziele *Tactatus varii* wyraził szereg opinii w rodzaju: „Przede wszystkim musisz wiedzieć, że sędzia nie może być prędki w karaniu, lecz musi wszystko starannie rozważyć (…). Musi przestrzegać procedur i starać się ustalić prawdę, a wyrok wydać dopiero potem (…). Jeżeli sędzia chełpi się śmiercią człowieka, jak to czyni niemała ich liczba dzisiaj, jest mordercą", oraz literalnie sformułował frazę: *in dubio pro reo*, nie był to przełom na miarę kopernikańską. Niemniej w późniejszych czasach, nieco na wyrost, nadano Bossiusowi miano „ojca chrzestnego" tej zasady. Ponieważ mediolański jurysta obficie korzystał w swym wywodzie z tek-

stów rzymskich, przeto mit ten z ochotą podtrzymuje również światowe środowisko romanistyczne.

Więcej światła

W wiekach XVII i XVIII teoretyków prawa mało zajmowała kwestia pochodzenia omawianej zasady. „Istnieje wspólna reguła teologów i prawników wyprowadzona z samego prawa natury – dopóty należy każdego uważać za dobrego, dopóki w dostateczny sposób nie udowodni się, że ktoś jest zły" – głosił Friedrich Spee von Langefeld (1591-1635), jezuita i nieprzejednany przeciwnik procesów czarownic. Nie zapominano wszakże i o prawie rzymskim, choć również nie wyolbrzymiano w sztuczny sposób jego znaczenia. Jacob Friedrich Ludovici (1671-1723) w dziele z 1701 roku zatytułowanym „O domniemaniu dobra" dowodził: „Nawet gdybyśmy do naszych rozważań nie włączyli tekstów prawa rzymskiego, w których reguła powtarza się w określonych słowach, w razie konieczności nie nastręcza trudności wyprowadzenie argumentów z obowiązującego prawa (…). Reguła ta brana jest pod uwagę przez wszystkich ludzi prawych i przy zdrowych zmysłach, na czym powinna bazować cała racjonalna wiedza prawnicza".



Friedrich Spee von Langenfeld. Orędownik domniemania niewinności oraz zagorzały przeciwnik procesów czarownic



Exlibris dla adwokata M.A. Herberlego (Mathile Ade)

Wagę zasady domniemania niewinności podkreślali wszyscy bodaj nowożytni teoretycy prawa, filozofowie i publicyści. Wymieńmy najbardziej znane nazwiska: Thomas Hobbes (1588-1679), Samuel Pufendorf (1632-1694), Christian Wolff (1679-1754), Charles Louis de Montesquieu (1689-1755), Voltaire (1694-1778) oraz Cesare Beccaria (1738-1794). Gabriel Bonnot de Mably (1709-1785) w rozprawie zatytułowanej „Zasady praw" pisał zaś tak: „Niech prawo zakłada zawsze, że oskarżony jest niewinny; niech go chroni przed strachem i niepokojem, niech mu udostępni wszelkie środki do wykazania niewinności, lepiej bowiem narazić się na to, że stu czy nawet tysiąc winnych uniknie zasłużonej kary, niż ukarać niewinnego. Jeśli takie nieszczęście się zdarzy, niech to będzie żałobą dla państwa i niech zbada ono swój kodeks karny"[56]. Omawiana zasada była i jest obecna również w pismach i doktrynie myślicieli późniejszych, poszukujących idealnej formuły procesu karnego. Po roku 1848 znalazła stałe miejsce w większości ustawodawstw europejskich.

[56] Cyt. za: *Utopia walcząca*, oprac. R. Brandwajn, Warszawa 1962, s. 106.

Studenckie wprawki

O tym, że znajomość łacińskich maksym, a zwłaszcza mądrości w nich zawartych, może się okazać przydatna w najmniej spodziewanych momentach, świadczy historia odnotowana przez Józefa Górskiego (1904-1983). Historia wydarzyła się w międzywojennym Poznaniu na miejscowym wydziale prawa. „Wiosną 1926 – pisze Górski – przygotowywałem się do III egzaminu prawniczego. Razem ze mną uczył się mój kolega, pracownik Izby Skarbowej, Kazimierz Bieniewski. Na 2-3 dni przed egzaminem oświadczono mu w dziekanacie, że nie zostanie dopuszczony do egzaminu, gdyż podpis prof. Znamierowskiego, stwierdzający uczestnictwo w wykładach, nie jest autentyczny. Bieniewski był tym przerażony. Powtarzał rok, a teraz groziła mu nie tylko powtórna utrata roku, ale nawet skreślenie z listy studentów.

Na jego prośbę zdecydowałem się pójść do dziekana, którym był wówczas prof. Bossowski. Przyniosłem ze sobą szereg indeksów na dowód, że skrócone podpisy prof. Znamierowskiego mają bardzo różny kształt i trudno jest stwierdzić, że podpis w indeksie Bieniewskiego nie jest autentycznym podpisem prof. Znamierowskiego. Sprawa była o tyle trudna do doraźnego rozstrzygnięcia, że prof. Znamierowski nie uznał podpisu za własny. Oświadczyłem wówczas, że nawet gdyby przyjąć, że podpis jest podrobiony, trudno jest przypisać karygodny czyn Bieniewskiemu. Ten bowiem na wykłady niemal nigdy nie uczęszcza, a podpisy zbierają za niego koledzy. Indeks swój otrzymał Bieniewski od nich w takim stanie, w jakim się znajduje. Czy więc Pan Dziekan w tym stanie rzeczy mógłby, jako sędzia, wymierzyć tak surową karę? Przecież *in dubio pro reo*. Dziekan długo się zastanawiał – wreszcie wręczył mi kwestionowany indeks ze słowami: »Przekonany o niewinności B. nie jestem, ale broni go Pan prawidłowo«”[57].

Do powyższego należy dodać, że nie zawsze prymat domniemania niewinności spotykał się ze zrozumieniem i społeczną sympatią. „Kryzys denazyfikacji przeprowadzonej w Niemczech Zachodnich – zauważa Aleksander Rogalski (1912-1996) – miał za przyczynę m.in. wpływ wywierany na sądy przez pewne koła kościelne, które skłonne były uważać każdego podsądnego za niewinnego, o ile było wiadome, że pilnie chodził do kościoła”[58].

---

57 J. Górski, *Wspomnienia z minionych lat*, Poznań 2000, s. 83.

58 A. Rogalski, *Katolicyzm w Niemczech po II wojnie światowej*, Warszawa 1952, s. 59.

Nie to źródło

W przeciwieństwie do ubiegłych wieków obecnie nie brakuje uczonych, którzy uparli się, by dotrzeć „do źródeł" zasady: *in dubio pro reo*. Wdzięczny obszar dla tego rodzaju poszukiwań zawsze stanowiło prawo rzymskie. Dlatego nie brakuje opinii, że zarówno wspomniana wyżej zasada, jak i koncept domniemania niewinności mają swoje korzenie w antycznym *ius Romanum*. Musimy jednak zmartwić wszystkich wielbicieli kunsztu starożytnej jurysprudencji. Prawo rzymskie nie znało zasad domniemania niewinności oraz *in dubio pro reo*, podobnie jak obca mu była większość zasad prawnych prezentowanych we współczesnym ujęciu.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że nie brakowało wśród Rzymian jednostek cechujących się poczuciem humanitaryzmu oraz zdrowym rozsądkiem. Ammian Marcellin (330-392) odnotował pewne ciekawe wydarzenie z życia cesarza Juliana (331-363).

Kiedy były namiestnik Galii, Numeriusz, został oskarżony o kradzież, władca postanowił przeprowadzić drobiazgowe śledztwo. Konsekwentne negowanie zarzutów przez oskarżonego wyprowadziło z równowagi przyjaciela cesarza, Delfidiusza, który oburzony wykrzyknął: „Najjaśniejszy Cezarze, kogóż będzie można teraz uznać za winnego, jeżeli wystarczy wszystkiemu zaprzeczać?". Reakcja cesarza była natychmiastowa: „A kogo będzie można uznać za niewinnego, jeżeli wystarczy oskarżyć?"[59].

Szkoda, że następne wieki zapomniały o wspaniałym geście cesarza idealisty. Wszak jego postawa znakomicie wpisuje się w system standardów obowiązujących we współczesnych państwach prawa. Niewykluczone, że podróż do „nowoczesności" z Julianem, po śmierci przezwanym Apostatą, mogła być znacznie krótsza, niż droga przebyta ze średniowiecznymi teologami.

6. *AUDIATUR ET ALTERA PARS*

„Procedury przyswajania i adaptowania cudzych lub dawnych tworów kultury, które w świecie po-antycznym stać się miały istotnym czynnikiem formacji humanistycznej, wykształciły się, kiedy jeszcze to, co

[59] Amm. Marc. 18.1.4.

dopiero stać się miało dziedzictwem po starożytności, było ciągle żywą aktualnością. Wytworzyły one pewną wspólną dla wielu wieków dziejów europejskich postawę, którą nazywam postawą użytkowniczą" twierdzi profesor Juliusz Domański (ur. 1927)[60]. Zjawisko powyższe znakomicie ilustruje proces wtapiania się w europejską kulturę zasady: *audiatur et altera pars*. Formuła ta znana jest każdemu studentowi prawa i nie tylko, a oznacza: należy wysłuchać również drugiej strony. Jej geneza, ewolucja oraz tło recepcji nie różnią się zbytnio od wielu innych łacińskich życiowych i prawniczych prawd towarzyszących nam na co dzień. Ona jednak nie znalazła swojego miejsca na żadnej z kolumn okalających budynek Sądu Najwyższego w Warszawie, co z kolei stało się przyczyną tyleż pouczającej co wartej przypomnienia polemiki.



Pierwowzór paremii *audiatur et altera pars*

Krótkie spięcie

Kto by pomyślał, że wiekowe łacińskie formuły są jeszcze w stanie rozpalać umysły i wzbudzać tak ożywione dyskusje! A jednak. Wszystko zaczęło się od tekstu autorstwa ks. profesora F. Longchampsa de Bériera (ur. 1969) zatytułowanego „*Audiatur et altera pars*. Szkic o *brakującej* kolumnie Pałacu Sprawiedliwości"[61]. Jak wiadomo, kolumny otaczające siedzibę Sądu Najwyższego w Warszawie zdobi 86 łacińskich paremii

60 J. Domański, *Użytkownicy i badacze dziedzictwa antycznego, czyli o różnicy między humanizmem i humanistyką*, Lublin 2006, s. 23.

61 F. Longchamps de Bérier, *Audiatur et altera pars. Szkic o brakującej kolumnie Pałacu Sprawiedliwości*, [w]: *Leges sapere. Studia i prace dedykowane prof. Januszowi*

prawniczych wraz z polskim tłumaczeniem[62]. Zabrakło na nich jednak formuły *audiatur et altera pars*, co dało księdzu profesorowi powód do uczczenia jubileuszu profesora Janusza Sondla (ur. 1937) okolicznościowym trenem. „Patrząc na kolumnadę Pałacu Sprawiedliwości – żali się krakowsko/warszawski uczony – która mówi i o korzeniach prawa, i o jego dniu dzisiejszym, trudno przejść do porządku nad brakiem filaru z zasadą *audiatur et altera pars*"[63]. Następnie Autor, odesławszy po resztę pożądanych informacji do artykułu profesora Andreasa Wacke (ur. 1936)[64], sam dokonał omówienia trzech źródeł: a) reskryptu Septymiusza Sewera oraz Antonina Karakalli zakazującego skazywania nieobecnych; b) fragmentu tragedii Seneki Młodszego zatytułowanej „Medea"; c) fragmentu „Dziejów Apostolskich", w którym prokurator Festus, następującymi słowami odpowiedział Żydom domagającym się śmierci Pawła z Tarsu: „Rzymianie nie mają w zwyczaju skazywania kogokolwiek na śmierć, zanim oskarżony nie stanie wobec oskarżycieli i nie będzie miał możności bronienia się przed zarzutami"[65].

W odpowiedzi prof. Witold Wołodkiewicz (ur. 1929) napisał: „Chyba nie trzeba tego z »trudem« dociekać i doszukiwać się rodzaju spisku. Przy dokonywaniu wyboru autorzy muszą podejmować samodzielne decyzje, aby nie znaleźć się w sytuacji młynarza z bajki La Fontaine'a »Młynarz, syn jego i osieł« (tłumaczenie I. Krasickiego). Podczas naszych dyskusji nad wyborem paremii zastanawialiśmy się również nad umieszczeniem i tej maksymy. Doszliśmy jednak do wniosku, że ma ona bardziej retoryczny niż prawny charakter. Wydawało się nam, że pożyteczniejsze będzie podanie bardziej szczegółowych zasad, dotyczących tak podstawowych zasad państwa prawa, jak zagadnienie ciężaru dowodu w procesie, czy też obecności oskarżonego/pozwanego (por. inskrypcje na kolumnach: 29, 68, 72,

---

Sondlowi w 50 rocznicę pracy naukowej, red. W. Uruszczak, P. Święcicka, A. Kremer, Kraków 2008, s. 271-283.

62 Zob. W. Wołodkiewicz, *Regulae iuris. Łacińskie inskrypcje na kolumnach Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej Polskiej*, Warszawa 2006.

63 F. Longchamps de Bérier, *op. cit.*, s. 278.

64 A. Wacke, *Audiatur et altera pars. Zum rechtlichen Gehor im romischen Zivil- und Strafprozess*, [w:] *Ars Boni et Aequi. Festschrift fur Wolfgang Waldstein zum 65. Geburtstag*, red. M.J. Schermaier, Z. Vegh, Stuttgart 1993, s. 375-376.

65 *Act. Ap*. 25.16.

74, 79, 83, 86) niż podawanie retorycznej paremii *audiatur et altera pars*. Autorzy wyboru, umieszczając w projekcie inskrypcji na kolumnach Sądu Najwyższego takie paremie, jak: *nostrum est iudicare secundum allegata et probata* (kol. 62), *ne quis absens puniatur* (kol. 71), *ne eat iudex ultra petita partium* (kol. 74), *ei incumbit probatio qui dicit, non qui negat* (kol. 79), uważali, że wyrażą one równie dobrze jak oklepana maksyma *audiatur et altera pars* – tak ważną, we wszelkich rodzajach postępowania sądowego, zasadę wysłuchania obu stron"[66]. Następnie ponownie czytamy, że „maksyma *audiatur et altera pars*, mająca charakter retoryczny, jest wielokrotnie powoływana w literaturze nieprawniczej"[67].

Retoryka czy prawo?

Szczerze powiedziawszy, jest pewien problem z „retorycznością" formuły *audiatur et altera pars*, o której pisze prof. Wołodkiewicz. Wertując opasłe tomiszcze Heinricha Lausberga (1912-1992) zatytułowane „*Retoryka literacka.* Podstawy wiedzy o literaturze" niezwykle trudno mi znaleźć jakąś figurę retoryczną, którą można by skojarzyć z omawianą paremią[68]. Intencje profesora można jednak zrozumieć. Powiedzenie to tak ściśle wrosło w polski krajobraz kulturowy, że stało się wręcz przysłowiowe, a zakres jego oddziaływania dawno już wykroczył poza sferę li tylko prawa. Już w wydanej w roku 1892 „Księdze przysłów, sentencji i wyrazów łacińskich używanych przez pisarzów polskich" znalazło się następujące wyjaśnienie: „formuła prawa rzymskiego i zasada wyrokowania w jakiejkolwiek sprawie"[69].

Zapewne dlatego również Iwona Bartoszewicz, w pracy „Krainy retoryczne: zapiski z podróży", ujmuje ten problem następująco: „są tzw. toposy prawnicze, ustalające zasady prawodawstwa oraz wykonywania prawa. Zalicza się do nich maksymy, w znakomitej części pochodzące

---

66 W. Wołodkiewicz, *Europa i prawo rzymskie. Szkice z europejskiej kultury prawnej*, Warszawa 2009, s. 397.

67 *Ibidem*, s. 298.

68 Por. H. Lausberg, *Retoryka literacka*. *Podstawy wiedzy o literaturze*, przeł. A. Gorzkowski, Bydgoszcz 2002.

69 L. Czapliński, *Księga przysłów, sentencji i wyrazów łacińskich używanych przez pisarzów polskich*, Warszawa 1892, s. 48.

jeszcze z czasów rzymskich, jak *audiatur et altera pars*…"[70]. Podobnie Jerzy Ziomek (1924-1990) na kartach „Retoryki opisowej" twierdzi: „Stara rzymska zasada prawnicza: *audiatur et altera pars* jest etosem obowiązującym sąd i dlatego właśnie – a nie mimo to – dopuszcza zwalczające się wzajemnie zeznania"[71].

Na koniec dodajmy, że członkowie zespołu opracowującego zestaw łacińskich paremii prawniczych mających ozdobić kolumny siedziby Sądu Najwyższego (proszę mi wybaczyć, ale jako historyk sztuki mam duże opory przed nazywaniem tego budynku pałacem) nie byli pierwszymi, których trapiły wątpliwości odnośnie do charakteru omawianej formuły. Uważny Czytelnik nie znajdzie również słowa na jej temat w znakomitym dziele Petera Steina (ur. 1926) zatytułowanym *Regulae Iuris. From Juristic Rules to Legal Maxims*[72].

Rzymska zasada?

Ks. prof. Franciszek Longchamps de Bérier z kolei nie jest pierwszym ani jedynym autorem piszącym o „rzymskiej zasadzie *audiatur et altera pars*". „Gdy więc na próżno – wyjaśnia dostojny krakowsko/warszawski uczony – poszukiwać w starożytnych tekstach prawniczych samego sformułowania *audiatur et altera pars*, choćby na podstawie zacytowanego fragmentu [D. 48.17.1 pr. – M.J.][73] nie ma wątpliwości, że wyraża ono oryginalną rzymską treść – myśl w pełni obecną w prawie rzymskim"[74].

W podobny sposób wypowiadają się na ten temat zarówno prawnicy, jak i „laicy". Oto skromny przegląd, pominąwszy wymienione wyżej, dzieł wybranych metodą „na chybił trafił": „Wstęp do prawoznawstwa" („prawnicy korzystają też z międzynarodowych formuł, które wypracowała już rzymska kultura prawna")[75], „Zarys prawa administracyjnego

---

70 J. Bartoszewicz, *Krainy retoryczne: zapiski z podróży*, Wrocław 2008, s. 134.

71 J. Ziomek, *Retoryka opisowa*, Wrocław 1990, s. 296.

72 Por. P. Stein, *Regulae Iuris. From Juristic Rules to Legal Maxims*, Edinburgh 1966.

73 D. 48.17.1 *pr*.: „I to prawo stosujemy, aby nieobecni nie byli skazywani, jest bowiem sprzeczne z zasadą słuszności skazanie kogoś bez wysłuchania, czego dotyczy sprawa".

74 F. Longchamps de Bérier, *op. cit.*, s. 275.

75 T. Stawecki, P. Winczorek, *Wstęp do prawoznawstwa. Skrypt dla studentów I roku Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1993, s. 35.

i nauki administracji" („stara zasada prawa rzymskiego")[76], „Klerk i diabeł. Literatura, ideologia, mity" („zasada prawa rzymskiego")[77], „Czas przeszły niedokonany" („zawsze młoda zasada prawa rzymskiego")[78], „Odnowiciel" („jak mówi rzymskie jeszcze prawo: *audiatur*…")[79]. Wyliczankę tę można ciągnąć jeszcze bardzo długo. Większym wyważeniem odznacza się opinia Wiesława Litewskiego (1933-2004): „obowiązek wysłuchania obu stron, co w czasach porzymskich ujęto w regułę: *audiatur et altera pars*"[80].

Na tle suchych na ogół uwag i dygresji swego rodzaju świeżością wyróżnia się głos niezwykle zasłużonego dla kultury polskiej tłumacza i literaturoznawcy Karla Dedeciusa (ur. 1921): „pamiętajmy o tym, że jedną z zasad prawa rzymskiego – a więc europejskiego – był kanon: *audiatur et altera pars*. Krytyk, pisarz i tłumacz polski początku wieku, Karol Irzykowski, polonista i germanista, przypomniał tę regułę europejskiej jurysprudencji w swoim aforyzmie: »A gdyby ustanowić święto wysłuchiwania cudzych argumentów?«"[81]. Bardzo dobry pomysł, nawiasem mówiąc.

Pisanie jednak o powinności wysłuchania obu stron sporu przed wyrokiem jako o zasadzie, która rzekomo miała obowiązywać już w Rzymie, co natychmiast kieruje uwagę czytelnika w kierunku dogmatycznych konstrukcji zasad współczesnych, może budzić pewne wątpliwości. W przypadku formuły *audiatur et altera pars* trudno dostąpić łaski wiary w to, że wielcy Rzymianie postrzegali skazanie niewysłuchanego jako wyrok wydany z naruszeniem prawa, *ergo* formalnie nieważny, a nie jako zwykłą podłość, wyraz serwilizmu wobec władzy, świadectwo słabości charakteru oraz, zawsze idące z tym wszystkim w parze: brak przyzwoitości i sumienia sędziego.

---

76 Z. Rybicki, *Zarys prawa administracyjnego i nauki administracji,* Warszawa 1988, s. 100.

77 J. Prokop, *Klerk i diabeł. Literatura, ideologia, mity,* Kraków 1999, s. 125.

78 J. Stambrowski,*Czas przeszły niedokonany, Londyn 1980 s. 19.*

79 K. Bunsch, *Odnowiciel*, Kraków 1984, s. 57.

80 W. Litewski, *Rzymski proces cywilny*, Kraków 1988, s. 60.

81 K. Dedecius, *Kraków – Niemcy – Europa*, [w:] *Kraków – dialog tradycji*, red. Z. Baran, A. de Vincenz, Kraków 1991, s. 61.

Pierwsi Rzymianie?

Profesor Wołodkiewicz słusznie podnosi, że formuła *audiatur et altera pars* „jest wielokrotnie powoływana w literaturze nieprawniczej. Wspominają o niej: Demostenes, Demokryt, Arystofanes, Plutarch, Cicero, Seneka, Dzieje Apostolskie, św. Augustyn, Grzegorz z Nazjanzu"[82]. Ma również rację w twierdzeniu, że kontekst wypowiedzi poszczególnych autorów nie zawsze zasługuje na dookreślenie go szlachetnym przymiotnikiem „prawniczy". O co jednak chodzi? O formułę, czy o pewien sposób postępowania, zgodnie z którym przed wydaniem wyroku godziło się wysłuchać obu wadzących się stron?

Źródła są naszymi sprzymierzeńcami i z reguły odpowiedzą na pytanie, które im zadajemy. Wszystko zależy jednak od tego, jak będzie ono sformułowane. „Kiedy jakiś tekst staje się »święty« dla danej kultury, – pisze Umberto Eco (ur. 1932) – zaczyna być poddawany procesowi podejrzliwej lektury, skutkiem czego dochodzi do niewątpliwych przerostów interpretacyjnych"[83]. Mechanizm jest niezwykle prosty. Chcemy odnaleźć źródła zasady *audiatur et altera pars* w Starym Testamencie? Proszę bardzo. Kiedy Mojżesz zszedł do ludu z góry Horeb, wśród Bożych zaleceń nakazał rodakom również i to: „Wtedy też rozkazałem sędziom: Przesłuchujcie waszych braci i sprawiedliwie rozsądzajcie spory, jakie toczą między sobą lub z obcymi. W sądzeniu unikajcie stronniczości i tak samo wysłuchujcie małych i wielkich. Nie bójcie się nikogo, bo sąd należy do Boga"[84]. Mamy? Mamy.

Postawę Greków, a ściśle mówiąc: Ateńczyków, w tym zakresie najlepiej oddaje uwaga autorstwa Johna Maurice'a Kelly'ego (1931-1991): „Brak jest również formalnej doktryny dotyczącej tychże zrozumiałych sposobów albo kryteriów sądowych, które rozstrzygałyby problem wagi dowodu lub tego, co dziś zwiemy sprawiedliwością naturalną (*natural justice*). Jednak treść najbardziej sławnego rysu naturalnej sprawiedliwości, jakim jest obowiązek wysłuchania obydwu stron sporu i danie oskarżonemu szansy na usprawiedliwienie się, była już w ogólny sposób przyjęta. Ateńska przy-

---

82 W. Wołodkiewicz, *op. cit.*, s. 398.

83 U. Eco, *Nadinterpretowanie tekstów*, [w:] *Interpretacja i nadinterpretacja*, red. S. Collini, przeł. T. Bieroń, Kraków 2008, s. 59.

84 Deut. 1.16-18.

sięga sędziowska (przypisywana przez Demostenesa Solonowi) zawierała przyrzeczenie wysłuchania zarówno oskarżyciela jak i obrońcy[85], a komediopisarz Arystofanes wydaje się oddawać powszechne poczucie, że obie strony sporu powinny być wysłuchane (choć w odpowiednim fragmencie opinia ta przeciwstawiona jest poglądowi, iż nie jest to konieczne, gdy sprawa jest oczywista i »głośno krzyczy«[86]). Co prawda, u Arystofanesa i Eurypidesa są też fragmenty ukazujące zasadę wysłuchiwania obu stron raczej jako zalecenie mądrości niż sprawiedliwości[87], jednak po zgromadzeniu wszystkich krytycznych odwołań do skazania bez procesu albo wysłuchania, jest oczywiste, że istniało – w każdym razie wśród Ateńczyków – silne, a może nawet zorganizowane profesjonalne nastawienie popierające regularne, bezstronne postępowanie sądowe"[88]. Dodałbym do tego jeszcze może skromny fragmencik „Eumenid" Ajschylosa[89] i basta! Należy przy tym podkreślić, że czym innym jest „zorganizowane profesjonalne nastawienie popierające" ten czy inny sposób postępowania, czym innym zasada prawa *sensu stricto* w rozumieniu współczesnym.

Powinność wysłuchania obu stron przed wydaniem wyroku postrzegali Rzymianie, podobnie jak Żydzi czy Grecy, jako pewien imperatyw etyczny. Zadziwiające, jak mało śladów na ten temat zachowało się w rzymskich źródłach. Owszem, we wzmiankowanej wyżej sztuce Seneki Młodszego „Medea" pojawia się zdanie: „Kto wydał wyrok nie wysłuchawszy drugiej strony, choć orzekł sprawiedliwie, nie był sprawiedliwy"[90]. Nie trzeba chyba jednak nikogo przekonywać, że rzymska przeróbka greckiej tragedii to słaby materiał do pracy dla dogmatyków. Andreas Wacke poszukuje podobnych śladów między innymi w takich utworach, jak „Udynienie boskiego Klaudiusza" czy „Historia rzymska" Ammiana Marcellina[91]. To też mało zachęcające źródła, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że obok mamy „pod ręką" dzieło Gajusza, kodeks Teodozjusza, całą kodyfikację Justyniana i wiele innych pomniej-

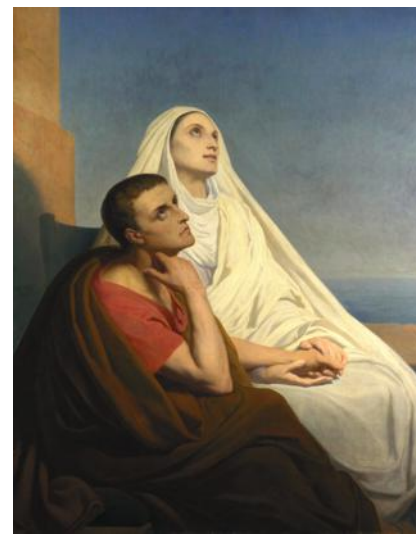
85 Dem. *Tim*. 149-151.
86 Aristph. *sphek*. 919 n.
87 Por. J.M. Kelly, *Audi Alteram Partem*, „Natural Law Forum" 9 (1964), s. 104-105.
88 J.M. Kelly, *Historia zachodniej teorii prawa*, Kraków 2006, s. 51-52.
89 Aesch. *Eum*. 431, 435.
90 Sen. *Med*. 194.
91 A. Wacke, *op. cit.*, s. 375-376.

szych pomników prawa rzymskiego. Naturalnie, szuka się i tam, ale to wróżenie z fusów.

Święty Augustyn, papieskie dewizy i niedoceniane ratusze

Dowodzenie oczywistości, czyli tego, że we wszystkich niemal epokach i we wszystkich kulturach obowiązywał zwyczaj wysłuchania stron przed wydaniem wyroku, mija się z celem. Dużo ciekawsze jest przeprowadzenie małego śledztwa, które pomogłoby ustalić skąd literalnie wzięło się powiedzenie *audiatur et altera pars* i czemu zawdzięcza ono swoją spektakularną karierę na przestrzeni wieków.

Otóż po raz pierwszy fraza zbliżona do dzisiejszego kształtu omawianej formuły pojawiła się w traktacie Augustyna z Hippony (354-430) „O dwóch duszach". *Audi partem alteram* – napisał Ojciec Kościoła i nie miało to bynajmniej nic wspólnego z wąsko czy szeroko pojmowanym prawem. Rozprawiając się z błędami doktryny sekty manichejczyków na temat ludzkiej duszy, uczony biskup zachęcił swoich adwersarzy do zapoznania się z twierdzeniami obozu przeciwnego[92].



Augustyn z Hippony z matką (Ary Scheffer)

92 August. *de duab. anim*. 22.

Według legendy, frazę *audiatur et altera pars* miał wybrać na swoje zawołanie cesarz Lotar III (1075-1137). Aandreas Wacke wykazał jednak, że w pierwszej połowie XII wieku cesarze rzymscy nie posługiwali się jeszcze ani dewizami ani herbami[93]. Co innego papieże, którzy od czasów Leona IX (1002-1054) przyjmowali dewizy, które miały wyznaczać kierunek ich przyszłych działań. Niewykluczone, że znalazła się wśród nich również formuła *audiatur et altera pars*.



Tablica wisząca w ratuszu w Münster pod powałą „Sali Pokoju"

Bardzo dobrze udokumentowane jest jej wykorzystywanie w praktyce sądów miejskich na terytorium cesarstwa niemieckiego. W ratuszu hanzeatyckiego miasta Münster, w tak zwanej Sali Pokoju, w której odbywały się posiedzenia sądowe, do dziś można podziwiać zawieszoną pod powałą masywną drewnianą tablicę, na której wyryto napis: *Audiatur et altera pars*. W ratuszu w Hadze zawisł obraz barokowego artysty Jacoba de Wita (1695-1754) przedstawiający otoczoną puttami alegorię sprawiedliwości. Pod przedstawieniem znalazła się maksyma: *Audi et partem alteram*. W innych ratuszach posługiwano się rodzimymi i mającymi przysłowiowy charakter mutacjami łacińskiej formuły. I tak w Norymberdze zawisło przysłowie: *Eins manns rede ist eine halbe red*, | *Mann soll die teyl verhören bed* (słowo jednego człowieka to tylko połowa | należy wysłuchać obu), w Lubece: *Beide part schal ein Richter horen und den ordel* (sędzia powinien wysłuchać obie strony, a potem wydać wyrok). Johan Wolfgang von Goethe (1947-1842) wspomina, że podobne motto wisiało również w ratuszu we Frankfurcie nad Menem. W ratuszu w Bernie z kolei do sali sądowej można się było dostać dwoma drzwiami, nad którymi zawisły paremie: *Iuste iudicate filii hominum* (Sądźcie sprawiedliwie synowie człowieczy) oraz *Audiatur et altera pars*. Tymczasem w przepięknie deko-

93 A. Wacke, *op. cit.*, s. 372.

rowanej sali posiedzeń sądowych ratusza lüneburskiego znalazła się, między innymi, zbliżona łacińska mądrość: *Iudex debet esse pater pauperum et causa quam nescit diligentissime investigare* (Sędzia powinien być ojcem ubogich i skrupulatnie rozpoznać sprawę, której nie zna)[94].

Wszystkie wymienione wyżej mądrości, lub, lepiej powiedziawszy: kanony procesowej etyki, przedostały się do sądowej praktyki niemieckich miast nie *via* prawo Rzymian, ale dzięki recepcji konkretnych wartości wynikających z chrześcijańskiej teologii moralnej. Również w lubelskiej siedzibie Trybunału Koronnego sędziowie stale patrzyli na cytat z Biblii: *Iustitias vestras iudicabo* (Osądzę waszą sprawiedliwość)[95], który miał im przypominać, że i oni kiedyś będą musieli wziąć udział w najważniejszym dla nich procesie. W postanowieniach IV soboru laterańskiego z roku 1215 znalazł się kanon zwany „sądem krwi", zakazujący sądów bożych. Odtąd sędziowie sami, pomni na bezpieczeństwo własnej duszy, musieli tak prowadzić proces, by wydając niesprawiedliwy wyrok nie ściągnąć na siebie wiecznego potępienia[96]. Przypominać miały im o tym z jednej strony umieszczone w widocznym miejscu maksymy zaczerpnięte z Biblii oraz nauki Kościoła, z drugiej zaś, nieodzowny element wyposażenia rajeckich sal sądowych: malowane sceny Sądu Ostatecznego. Niewysłuchanie którejś ze stron postrzegano zatem w pierwszej kolejności jako śmiertelny grzech, a dopiero w dalszej jako uchybienie natury proceduralnej.

Mądrość Małego Rycerza

Podczas omawiania tak pobudzającej intelektualnie kwestii, jak problem genezy paremii *audiatur et altera pars*, nie może się obyć bez skojarzeniowych „wycieczek". Na temat wczesnych lat Michała Wołodyjowskiego (ok. 1624-1672) herbu Korczak, postaci literackiej stworzonej przez Henryka Sienkiewicza (1846-1916), wiadomo niewiele. W „Ogniem i mieczem" poznajemy go bowiem już jako mężczyznę dojrzałego, żołnierza i wyśmienitego szermierza. W „Potopie" widzimy go już w randze

94 Por. *Hiob*. 29.

95 Por. *Ps*. 75.2.

96 Zob. J.Q. Whitman, *The Origins of Reasonable Doubt. Theological Roots of the Criminal Trial*, New Haven – London 2008.

pułkownika, a w „Panu Wołodyjowskim" objawia się jako dowódca stanicy w Chreptowie, następnie zaś ofiarny obrońca Kamieńca Podolskiego. Wołodyjowski miał zbierać w sobie wszystkie pozytywne cechy polskiego Sarmaty. Skoro zaś tak, zapewne swego czasu ukończył jakieś niezłe jezuickie kolegium i sprawnie posługiwał się łaciną. Być może „liznął" i odrobinę prawa rzymskiego? Istnieją przesłanki pozwalające obronić tę tezę.



Jerzy Łomnicki w roli Michała Wołodyjowskiego

Na łamach „Trylogii" to imć pan Onufry Zagłoba zasłużył sobie na uznanie z powodu ciętego dowcipu, ale i sprytu oraz mądrości, dzięki którym niejednokrotnie udawało mu się wybawiać z opałów siebie i przyjaciół. Pan Wołodyjowski kreowany jest raczej na człowieka dobrodusznego, prostolinijnego (momentami wręcz naiwnego), choć zawsze wspaniałego żołnierza i niezrównanego mistrza szabli. Zdarza się wszakże i tak, że i on potrafi zaskoczyć otoczenie uwagą tyleż mądrą, co nieoczekiwaną. Otóż w „Panu Wołodyjowskim" znalazła się słynna scena, w której stary pan Nowowiejski rozpoznał w dowódcy oddziału Lipków posługującym się nazwiskiem Mellechowicz swojego byłego sługę:

„W tej chwili pan Nowowiejski podniósł głowę i nadzwyczajne zdumienie odbiło się na jego obliczu.

– Dla Boga! Co ja widzę! – rzekł.

Po czym wstał, poszedł wprost przed Mellechowicza i zakrzyknął:

– Azja! A ty tu co robisz, hultaju?!

(…)

– Panie komendancie – rzekł Nowowiejski – to znaczy, com rzekł: to jest mój człowiek imieniem Azja – i zbieg. Służąc z młodych lat wojskowo na Ukrainie, znalazłem go półżywego w stepie i przygarnąłem. To Tatarczuk. Chował się przez dwadzieścia lat w domu moim i uczył się razem z synem. Gdy syn uciekł, ów wyręczał mnie w gospodarstwie, póki mu się amorów z Ewuchą nie zachciało, co ja spostrzegłszy kazałem go wychłostać; on zasię potem zbiegł. Jak on się tu zwie?

– Mellechowicz!

– To sobie przybrał przezwisko. On zwie się Azja, nic więcej! Powiada, że mnie nie zna, ale ja go znam i Ewucha także.

– Dla Boga! – rzekła Basia – toż syn waszmościów wielekroć go u nas widział. Jakże go nie poznał?

– Syn mógł go nie poznać, bo gdy uciekł z domu, obaj mieli po piętnaście lat, a ten sześć jeszcze u mnie siedział, przez który czas odmienił się znacznie i dorósł, i wąsy mu wyrosły. Ale Ewucha wraz go poznała. Mości państwo, już też prędzej obywatelowi dacie wiarę niźli temu przybłędzie z Krymu!

– Pan Mellechowicz jest hetmańskim oficerem – rzekła Basia – nic nam do niego!

– Pozwól waść, że go wypytam. *Audiatur et altera pars!* – ozwał się mały rycerz”[97].

Autorami scenariusza do nakręconych w roku 1968 filmu oraz serialu są Jerzy Hoffman (ur. 1932) oraz Jerzy Lutowski (1923-1985). Scena, w której grający Azję Tuchalbejowicza Daniel Olbrychski (ur. 1945) odsłania pierś, zdradziwszy tym samym swoją prawdziwą tożsamość, przeszła do historii kina. W scenariuszu pominięto jednak mądre zdanie wypowiedziane przez małego rycerza. Szkoda.

***Ecclesia vivit lege Romana*!**

Pora na kolejne przykłady. Dziś do formuły *audiatur et altera pars* może odwoływać się każdy, a jej znaczenia oraz ścisłego związku z zasadami sprawiedliwego procesu, kontradyktoryjności, prawa do obrony czy równouprawnie-

97 H. Sienkiewicz, *Pan Wołodyjowski*, Warszawa 1954, s. 329.

nia stron nie kwestionuje nikt. Jej funkcjonowanie na gruncie procedur sądowych państw zachodnich zbadał Daan Asser (ur. 1945)[98]. Był jednak czas, i to wcale nie tak dawno, kiedy w naszym kraju nic nie było takie oczywiste. Ponieważ w dużej mierze dzięki działalności Kościoła formuła *audiatur et altera pars* zagościła w powszechnej świadomości, przykłady również będą „branżowe".

Kardynał Stefan Wyszyński (1901-1981), zanim został biskupem, a następnie prymasem Polski, studiował prawo kanoniczne i świeckie na KUL-u. Tam po raz pierwszy, zapewne za sprawą ks. Henryka Insadowskiego (1888-1946), poznał bliżej spuściznę prawną starożytnych Rzymian. Po latach, kiedy więziono go w Stoczku Warmińskim, pewny swoich racji, niezłomnie domagał się od władz poszanowania praw, które gwarantowała mu konstytucja PRL. Dnia 13 padziernika 1953 roku pisał: „Ponieważ jestem w nowym położeniu, składam jeszcze raz swoje oświadczenie, protestując przeciw takiej formie więzienia mnie. Jest ono dokonane: 1. z pogwałceniem praw przysługujących obywatelom na podstawie Konstytucji, gdyż uwięziono mnie na podstawie jednostronnego zarządzenia Rządu; 2. pogwałcona została elementarna zasada wymiaru sprawiedliwości *audiatur et altera pars*"[99]. Podobny motyw znalazł się w piśmie z dnia 7 sierpnia 1955 wystosowanym w Prudniku: „Oświadczam, że art. 6 [konstytucji – M.J.] też nie może mieć tu zastosowania, tym więcej, że nie przewiduje żadnych sankcji karnych, podczas gdy ja jestem dotknięty sankcjami karnymi, bez stwierdzenia winy, bez zachowania zasady: *audiatur et altera pars*, a więc zaocznie; stosowane są do mnie takie rygory, jakich nie stosuje się nawet do więźniów"[100].

Omawianą zasadę dobrze zapamiętał następca Stefana Wyszyńskiego na stanowisku prymasa – kardynał Józef Glemp (1929-2013). I on swego czasu studiował prawo kanoniczne i świeckie na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim, gdzie doktoryzował się z prawa rzymskiego na podstawie napisanej po łacinie rozprawy *De conceptu fictionis iuris apud Romanos* („O koncepcji fikcji prawnej u Rzymian")[101]. W kazaniu wygłoszo-

---

98 D. Asser, *Audi et alteram partem*: *a limit to judicial activity*, [w]: *The Roman Law Tradition*, red. A.D.E. Lewis, D.J. Ibbetson, Cambridge 1994, s. 209-223.

99 P. Raina, *Kardynał Wyszyński*, t. II, *Losy więzienne*, Warszawa 1993, s. 123.

100 *Ibidem*, s. 151.

101 Zob. J. Glemp, *De conceptu fictionis iuris apud Romanos,* Roma 1974.

nym niedługo po zniesieniu stanu wojennego, podkreślał: „Tymczasem po trzech latach słychać tylko głosy zwycięzców. Zwyciężony, skreślony z listy partner tamtych dni, zasługuje tylko na potępienie. Nie ma prawa ani możliwości powiedzieć nic na swoją obronę. [Oklaski] Ale proszę wysłuchać spokojnie do końca… A jeśli coś powie, to zostanie wyśmiany: bo gdzież stanąć robociarzowi w szranki z zawodowym polemizatorem! Otóż… [Oklaski] Otóż jednostronność publicznego osądu – a starożytni Rzymianie mówili – *audiatur et altera pars* – jest ową nieprawidłowością etyczną i wywołuje przykre nieraz reakcje, jak niegrzeczne gwizdy i krzyki”[102].

Podsumowanie

Dyskusja na temat tego, czy powiedzenie *audiatur et altera pars* ma charakter prawniczy, retoryczny i czy jest dziś otaczana należytą atencją, przywodzi na myśl przyśpiewkę sławiącą spór górali o piękną Kasię i radę, której udzielił im podmiot liryczny. I ja chcę powiedzieć: nie ma o co kruszyć kopii. Ważne, że zasada, powiedzenie, formuła czy co tam jeszcze, po upływie tylu wieków wciąż jest z nami. Trudno znaleźć spór, nieważne czego dotyczący, w którym wadzące się strony nie licytowały się mutacją rady udzielonej kiedyś przez świętego Augustyna manichejskim sekciarzom.

Pragnę również asekuracyjnie zaznaczyć, że, zabierając głos w dyskusji, nie zamierzałem pchać paluchów między drzwi, niegrzecznie wtrącać się do uczonej polemiki „starszych” czy (broń mnie Boże!) podważać czyjkolwiek autorytet. Chciałem raczej zająć takie samo stanowisko, jakie zajął roztropny rabin w starym dowcipie o dwóch zwaśnionych stronach. Otóż, po wysłuchaniu jednej z nich, mędrzec rzekł: „Masz rację”, kiedy zaś druga przedstawiła mu własnym punkt widzenia, z tym samym niezmąconym spokojem zawyrokował: „Ty też masz rację”. Wtedy żona rabina, zirytowana zachowawczą, w jej opinii, postawą męża, poczęła jazgotać i czynić mu wymówki. „I ty też masz rację” podsumował rabin.

---

[102] J. Glemp, *Kościół na drogach Ojczyzny: wybór kazań i homilii z lat 1982-1985*, Poznań 1985, s. 131.

7. DOBRE OBYCZAJE Z MASOCHIZMEM W TLE

Kodeks cywilny w art. 58 § 2 stwierdza: „Nieważna jest czynność prawna sprzeczna z zasadami współżycia społecznego". Nawiązanie do tego wątku następuje w art. 351 tegoż kodeksu, w którym sformułowano zasadę swobody umów: „Strony zawierające umowę mogą ułożyć stosunek prawny według swego uznania, byleby jego treść lub cel nie sprzeciwiały się właściwości (naturze) stosunku, ustawie ani zasadom współżycia społecznego". Z pozoru wszystko jest jasne. Diabeł jednak tkwi w szczegółach. Jak daleko sięga zasada swobody umów?

Zasady współżycia społecznego – a cóż to takiego?

Mówiąc bez ogródek, ze stylistycznego punktu widzenia sformułowanie: „zasady współżycia społecznego" jest koszmarne. Pewien problem stanowi również właściwe zrozumienie, czym owe zasady są.

W jednym z komentarzy do kodeksu czytamy: „Przez zasady współżycia społecznego rozumie się – w myśl dominującego w doktrynie poglądu – oceny moralne wyrażone w postaci uzasadnionych przez te oceny norm postępowania (norm moralnych), regulujących postępowanie jednych osób wobec innych. Ocena moralna to przeżycie polegające na udzieleniu aprobaty lub dezaprobaty jakiemuś czynowi ludzkiemu ze względu na to, w jakim stopniu przyczynia się ono do sprawiedliwego dobra innych ludzi. (…) Zasadami współżycia społecznego są tylko takie reguły moralne, które mają charakter imperatywny – wyrażają żądanie określonego postępowania moralnie aprobowanego lub zakazów postępowania moralnie dezaprobowanego. (…) Oceny i normy moralne kształtują się w danym środowisku społecznym często spontanicznie; są niesformalizowane i nieskodyfikowane. Dlatego ich ustalenie i stosowanie przez organ wymiaru sprawiedliwości nastręcza szczególne trudności, niewystępujące w procesie stanowienia norm prawnych"[103].

Dalej dowiadujemy się, że normy moralne mają charakter względny, zwłaszcza w nowoczesnym społeczeństwie, „złożonym i nieprzejrzystym", a organ stosujący prawo, kiedy stanie przed dylematem odpowiedniej

[103] E. Gniewek (red.), *Kodeks cywilny*, t. I, *Komentarz do artykułów 1-534*, Warszawa 2004, s. 21-22.

wykładni pojęcia zasad współżycia społecznego, ma orzekać na podstawie własnej „intuicji moralnej". Coś się wyjaśniło…?

Niby tak samo, a lepiej

Zerknijmy zatem, jak inni poradzili sobie z problemem zakreślenia granic swobody w dokonywaniu czynności prawnych, zwłaszcza umów. Starożytni Rzymianie posługiwali się pojęciem dobrych obyczajów (*boni mores*). Źródła rzymskie kompleksowo nie precyzują wprawdzie, czym dobre obyczaje są, jednak zachowała się znacząca wzmianka Papiniana w tym zakresie. Zdaniem jurysty, sprzeczne z dobrymi obyczajami są wszelkie działania, które obrażają „naszą powinność wobec bogów, rodziny oraz państwa, a także cześć i honor"[104].

Stworzoną przez Rzymian konstrukcją przez wieki posługiwano się w procesach legislacyjnych oraz w praktyce stosowania prawa. Francuski jurysta Hugo Donellus (1527-1591) nawet nie zadawał sobie trudu, by wyjść poza ustalenia poczynione niegdyś przez antyczną jurysprudencję. Poprzestał na lakonicznym stwierdzeniu: „wszystkie umowy sprzeczne z dobrymi obyczajami nie wywołują skutków prawnych".

Z rozwiązań rzymskich skorzystały również komisje kodyfikacyjne, które opracowały kodeksy cywilne dla nowoczesnych państw europejskich. Na przykład w austriackim kodeksie cywilnym znalazło się następujące zastrzeżenie: „Czynność prawna wymierzona przeciw ustawie lub dobrym obyczajom jest nieważna"[105]. Podobnie § 138 (1) niemieckiego kodeksu cywilnego (BGB) głosi: „Czynność prawna wymierzona przeciw dobrym obyczajom jest nieważna". W Kodeksie Napoleona ustawodawca francuski postanowił, że zobowiązanie nie wywołuje skutków prawnych między innymi wtedy, kiedy zostało zawarte na bazie niedozwolonej podstawy[106]. Tymczasem „niedozwolona podstawa zachodzi wtedy, kiedy jest sprzeczna z ustawą, dobrymi obyczajami lub publicznym porządkiem"[107]. Zbliżone uregulowania bez trudu odnajdziemy również w kodeksach cywilnych Włoch, Hiszpanii, Portugalii itd.

---

104 D. 28.7.15.

105 Art. § 879 (1) ABGB.

106 Art. 1131 c.c.

107 Art. 1133 c.c.

Nie inaczej musiało być również w porządku prawnym międzywojennej Polski. W ogłoszonym w 1933 roku Kodeksie Zobowiązań, którego twórcami byli wybitni lwowscy cywiliści – Roman Longchamps de Bérier (1883-1941) oraz Ernest Till (1846-1926), napisano: „Strony, zawierające umowę, mogą stosunek swój ułożyć według własnego uznania, byleby treść i cel umowy nie sprzeciwiały się porządkowi publicznemu, ustawie ani dobrym obyczajom”[108].



Ernest Till, jeden z twórców przedwojennego prawa zobowiązań, w gronie rodzinnym

Wenus w futrze

Każdy doświadczony praktyk wie, że prawa najlepiej uczyć się, aplikując abstrakcyjne normy do konkretnych sytuacji z życia. Przywołajmy więc jeden, dosyć nietypowy, przykład umowy zupełnie sprzecznej z dobrymi obyczajami lub, jeśli ktoś woli, zasadami współżycia społecznego. Chodzi o porozumienie między Leopoldem von Sacherem-Masochem (1836-1895) oraz młodziutką baronówną Fanny von Pistor.

Wcześniej dwa słowa godzi się jednak poświęcić postaci inicjatora kontraktu. Leopold von Sacher-Masoch był austriackim pisarzem i działaczem politycznym urodzonym we Lwowie. W 1848 roku wyjechał do Pragi, gdzie studiował prawo, matematykę i historię. Rozpoczęte studia kontynuował następnie w Grazu. W wieku 19 lat został doktorem obojga praw, a niedługo potem tytuł doktorski zdobył w dziedzinie historii. Od 1860 roku wykładał historię na uniwersytecie we Lwowie oraz pisał.

108 Art. 51 KC.

W swej twórczości nie stronił od tematów uważanych ówcześnie za tabu, ściśle związanych ze sferą erotyki i seksualności.

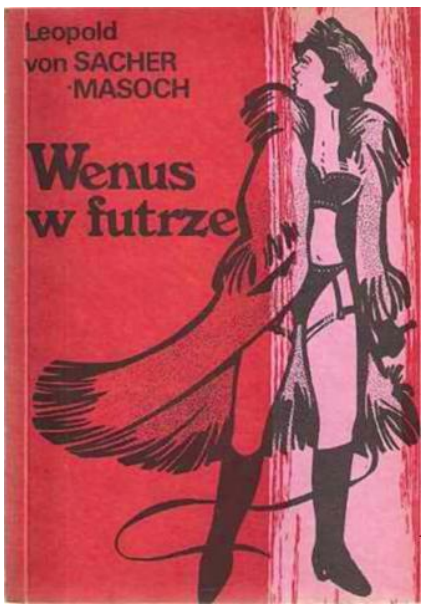


Leopold von Sacher-Masoch

Jego nazwisko stało się nieśmiertelne za sprawą austriackiego psychiatry Richarda von Kraffta-Ebinga (1840-1902), który w 1886 roku wydał dzieło zatytułowane *Psychopatia sexualis*. Zawarto w nim katalog seksualnych zaburzeń, wśród których znalazł się również masochizm – zachowanie polegające na czerpaniu podniecenia seksualnego w sytuacji, kiedy jednostka doznaje poniżenia, upokorzeń, a także kiedy zadaje się jej psychiczny i fizyczny ból.

Ebing opisał powyższe zaburzenie, zapoznawszy się z wydaną w 1870 roku książką von Masocha zatytułowaną „Wenus w futrze" (*Venus im Pelz*). Autor streścił w niej doświadczenia będące pokłosiem umowy, którą zawarł 8 grudnia 1869 roku z Fanny von Pistor. Para umówiła się, że von Sacher-Masoch przez sześć miesięcy będzie niewolnikiem kobiety. Zastrzeżono, że bez względu na to, co się stanie, umowa nie może zostać zerwana przez żadną ze stron. Na czas jej obowiązywania mężczyzna dobrowolnie zrzekał się wszystkich przysługujących mu praw i przywilejów, ale jego „pani" nie mogła wymagać od niego podejmowania działań, które mogły w oczach społeczeń-

stwa dyskredytować go jako człowieka i obywatela. Co więcej, zobowiązywała się, że codziennie przez sześć godzin pozwoli mu na swobodną pracę oraz że nie będzie czytać jego listów i innych pism. W kontrakcie znalazła się również klauzula mówiąca o tym, że „pani" ma nosić futra tak często, jak to tylko możliwe – zwłaszcza kiedy będzie w kiepskim nastroju. Dalej napisano: „jeżeli nastąpi jakiekolwiek uchybienie, niedbałość czy obraza majestatu, pani może w dowolny sposób wymierzyć karę swemu niewolnikowi".



Okładka pierwszego i jak dotąd jedynego wydania dzieła von Masocha „Wenus w futrze"

Wkrótce po złożeniu podpisów para udała się pociągiem do Wenecji. Dalszy ciąg historii da się zrekonstruować jedynie na podstawie obscenicznego utworu, w którym epizody z życia poprzetykano literacką fikcją. Jedno jest wszakże pewne – po upływie terminu przewidzianego w umowie jej sygnatariusze rozstali się bez wzajemnych pretensji.

Jak to możliwe, że podobny dokument był ważny?! – wykrzykniemy, zaskoczeni. Cóż, z punktu widzenia ówczesnego prawa oczywiście ważny nie był, co nie przeszkodziło otwartej na nowe wrażenia parze w rzetelnym dotrzymaniu zawartych w nim postanowień.

Podsumowanie

Różnica między dobrymi obyczajami a zasadami współżycia społecznego ma charakter jedynie semantyczny. W obu przypadkach odwołujemy się bowiem do pewnego utrwalonego i powszechnie akceptowanego w społeczeństwie systemu wartości. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że eleganckie „dobre obyczaje" brzmią jednak o niebo lepiej niż z daleka zalatujące marksizmem „zasady współżycia społecznego".

Na szczęście dobre obyczaje powoli zaczynają powracać do naszego kodeksu cywilnego. Na przykład w art. 351 czytamy: „Postanowienia umowy zawieranej z konsumentem nieuzgodnione indywidualnie nie wiążą go, jeżeli kształtują jego prawa i obowiązki w sposób sprzeczny z dobrymi obyczajami, rażąco naruszając jego interesy (niedozwolone postanowienia umowne)". Kolejny przepis wyjaśnia: „Oceny zgodności postanowienia umowy z dobrymi obyczajami dokonuje się według stanu z chwili zawarcia umowy, biorąc pod uwagę jej treść, okoliczności zawarcia oraz uwzględniając umowy pozostające w związku z umową obejmującą postanowienie będące przedmiotem oceny"[109]. Pojęcie dobrych obyczajów pojawia się również w przepisie poświęconym nieuczciwemu prowadzeniu negocjacji[110]. Niemniej zasady życia społecznego wciąż trzymają się mocno (poza wspomnianym art. 351 KC, zob. chociażby art. 5 KC).

Tymczasem przykład Leopolda von Sachera-Masocha pokazuje, że przy zawieraniu umowy i jej wykonaniu najważniejsza jest „dobra wola" stron. Szokujący kontrakt, zawarty z Fanny von Pistor, zachował się i z pewnością nie jest jedynym, który jeszcze dziś jest w stanie wprawić w osłupienie „normalnego" czytelnika. Odnalezienie innych tego rodzaju dokumentów dostarczyłoby nie tylko dalszych wrażeń, ale i dało asumpt do pogłębionych rozważań nad granicami zasady swobody umów. Temat niezwykle ciekawy, choć również niebezpieczny. Dla psychiki.

---

109 Art. 352 KC.

110 Art. 72 § 2 KC.

8. POCAŁUNEK W PRAWIE RZYMSKIM

Pocałunek, który rozumiemy jako kontakt ust z ciałem, zwłaszcza z ustami innej osoby, stanowi zjawisko od wieków przyciągające raczej uwagę poetów niż prawodawców. Niekiedy obie sfery zgrabnie się przenikały, jak to miało miejsce w przypadku pewnego ucznia, uznanego znawcy prawa, Andreasa Alciatusa (1492-1550). Mowa o Johannesie Secundusie (1511-1536), prawniku i sekretarzu arcybiskupa Toledo. Młodego jurystę pocałunki fascynowały do tego stopnia, że pasja zaowocowała powstaniem zbioru poematów opatrzonych tytułem „Księga pocałunków" (*Liber Basiorum*).



Pocałunek (Antonio Canova)

Prywatnie i publicznie

W sferze prawa zwyczajowego pocałunek odgrywał ważną rolę od bardzo dawna[111]. Na gruncie rodzinnym wyrażał miłość, szacunek, oddanie, ale również dominację i podporządkowanie. Był gestem o charakterze

[111] Informacje na temat zjawiska pocałunku w świecie grecko-rzymskim zaczerpnięte zostały głównie z prac: N.T. Steinlauf, *The Kiss in Roman Law*, The Classical Journal 41 (1945), s. 24, 37; M. Brown Pharr, *The Kiss in Roman Law*, „The Classical Journal" 42.7 (1947), s. 393-397.

niezwykle osobistym i intymnym. Plutarch wspomina niejakiego Manliusza, który z inicjatywy Katona Starszego został wydalony z rzymskiego senatu za pocałowanie swojej żony w dzień w obecności córki[112]. Waleriusz Maksymus z kolei zapamiętał sylwetkę srogiego Publiusza Meniusza, który śmiercią ukarał swego wyzwoleńca, gdyż ten pocałował jego córkę[113]. Pocałunek nieźle sprawdzał się również jako środek o charakterze dowodowym. Jeżeli wierzyć podaniom, w czasach archaicznych rzymskie kobiety obowiązywał bezwzględny zakaz picia wina. Jego złamanie mogło skutkować nawet śmiercią. Grek Atenajos z rozbawieniem opowiada o tym, że Rzymianki przy pierwszym danego dnia powitaniu musiały całować każdego ze swych męskich krewnych, co dla tych ostatnich stanowiło doskonałą okazję, by wybadać, czy panie nie są przypadkiem „po spożyciu"[114].



Skradziony pocałunek (Adolphe Lalauze)

112 Plut. *Cat. Mai*. 17.
113 Val. Max. 6.1.4.
114 Athaen. 10.440.

Na gruncie publicznym pocałunek stanowił ważną część powitania, która dawała świadectwo pozycji społecznej. Oktawian August przejął ze Wschodu i spopularyzował w Rzymie zwyczaj całowania w usta swoich przyjaciół[115]. Długość pocałunku składanego przez cesarza była wyznacznikiem nie tylko sympatii władcy, ale również pozycji, którą na dworze zajmowała osoba całowana. Pocałunek w usta świadczył o równości.

Z czasem przywilej ucałowania cesarza nazwano *ius osculi* (ewentualnie *ius osculandi*), czyli prawem do pocałunku. W okresie późnego cesarstwa o równości oczywiście nie mogło być mowy, przeto cesarskie konstytucje precyzyjnie wymieniają kategorie urzędników, którym przysługiwało prawo „adorowania" władcy pocałunkiem. Lepiej sytuowani mogli, klęcząc, ucałować rąbek jego purpury. Pozostali musieli zadowolić się stopą[116]. Podstępne zabiegi, mające na celu uzyskanie powyższego przywileju, podlegały karze[117].

Mniej ustosunkowane osoby pozdrawiały ludzi stojących wyżej w społecznej lub urzędowej hierarchii pocałunkiem w dłoń, policzek, szyję, w rąbek sukni albo w stopę. Brak zgody na pocałunek był wyrazem niełaski lub lekceważenia. U schyłku cesarstwa wyżsi urzędnicy mieli obowiązek całowania ludzi o odpowiedniej pozycji społecznej. Uchybienie na tym polu było karane nawet śmiercią[118].

Na tropie nowego rodzaju kontraktu

Studenci przygotowujący się do egzaminu z prawa rzymskiego mają szansę przypomnieć sobie podział rzymskich kontraktów na: realne, konsensualne, werbalne oraz literalne. Jako punkt odniesienia dla powyższej klasyfikacji przyjmuje się moment powstania poszczególnych umów[119]. Kontrakty realne stają się ważne z chwilą przeniesienia posiadania rzeczy, konsensualne po osiągnięciu zgodnego porozumienia stron, werbalne w momencie wypowiedzenia określonych słów, a literalne przez złożenie wzajemnego oświadczenia woli na piśmie. Młodzi adepci prawa w żad-

115 Suet. *Tib*. 10.2; *Oth*. 6.2; Front. 112.
116 CTh. 6.8.1; 6.13.1; 6.23.1; 8.7.4; 8.7.8; 8.7.16; 10.22.3.
117 CTh. 6.24.4; 7.1.7; 8.7.9; 12.1.70.
118 Np. CTh. 6.24.4.
119 Zob. Gai. 3.89.

nym podręczniku nie przeczytają jednak o kontrakcie oskularnym, jak musielibyśmy go roboczo nazwać, czyli takim, który powoduje skutki prawne z chwilą pocałowania się przez upoważnione osoby.

Czy jednak słusznie? Warto zastanowić się w tym kontekście nad zaręczynami, czyli, jak mawiali juryści rzymscy: „wzajemnym przyrzeczeniem przyszłego małżeństwa"[120]. Był to przecież kontrakt zawierany między dwiema rodzinami, które w połączeniu węzłem małżeńskim „wydelegowanych" krewnych upatrywały szeroko rozumianych korzyści. Już w zamierzchłych czasach można było ustalić, że w razie zerwania umowy stronie poszkodowanej przysługiwała specjalna skarga o zapłatę określonej kwoty pieniężnej (*actio certi ex sponsione*)[121]. W okresie prawa klasycznego, przynajmniej na papierze, obowiązywała zasada zręcznie sformułowana przez Domicjusza Ulpiana (zm. 223): „samo porozumienie stron wystarczy do powstania zaręczyn"[122]. Tymczasem do zerwania umowy wystarczyło niczym nieskrępowane oświadczenie woli jednej ze stron, przez co rozumiano również zdanie wyrażone przez rodziców niedoszłych małżonków. Niezwykle ważnym elementem, wieńczącym i niejako stanowiącym potwierdzenie zawartej właśnie umowy narzeczeńskiej, był pocałunek narzeczonych i wzajemne wręczenie sobie podarunków.

Zmiany, zmiany, zmiany

Chrześcijaństwo przyniosło tendencję polegającą na wzmacnianiu znaczenia zaręczyn i nadawania im skutków podobnych do małżeństwa. Cesarz Konstantyn I (272-337) posunął się do tego, że zabronił zrywania zaręczyn[123]. Prawdziwą rewolucję stanowiło jednak prawne usankcjonowanie instytucji zadatku wręczanego „na poczet przyszłego małżeństwa" (*arrha sponsalicia*).

Zwyczaj ten przywędrował do Rzymu wraz z wyznawcami Chrystusa pozostającymi, przynajmniej początkowo, pod przemożnym wpływem kultury żydowskiej. Ludy semickie od wieków praktykowały, początkowo realnie, później już tylko w wymiarze symbolicznym, wręczanie przez

120 D. 23.1.1.
121 Varr. *de ling. lat*. 6.70
122 D. 23.1.4.
123 CTh. 3.5.2.

zalotnika zapłaty rodzinie wybranki. W Rzymie również rozpowszechnione było wzajemne obdarowywanie się narzeczonych. Nikt jednak nie nazywał podobnych prezentów zadatkiem, choć nie da się wykluczyć, że niekiedy darczyńcy mogły towarzyszyć zbliżone intencje. Publiczność oglądająca komedię Plauta zatytułowaną „Żołnierz samochwał", widząc na scenie pierścień nazwany „miłosnym zadatkiem" (*arrabo amoris*)[124], nieodmiennie reagowała śmiechem. Tymczasem *arrha sponsalicia* miała cel prosty i odarty z wszelkiej poetyki. Jeżeli mężczyzna nie wywiązał się z kontraktu, wręczony przez niego zadatek przepadał[125]. Kiedy jednak to z winy kobiety nie doszło do zawarcia małżeństwa, należało go zwrócić w poczwórnej wysokości[126].



Cesarz Konstantyn. York

To smutny paradoks, że tego rodzaju zasada „wzbogaciła" system rzymskiego prawa akurat po epoce prawa klasycznego, na którą przypada tyleż kategoryczne, co mądre stwierdzenie cesarza Aleksandra Sewera: „Małżeństwa mają być wolne"[127]. Jak widać, nie upłynęło wiele czasu, a porządek prawny Rzymian stoczył się do poziomu, w którym planowanie małżeństwa zostało zrównane z umową przedwstępną dotyczącą kupna krowy.

---

124 Plaut. *mil. glor*. 957.
125 CTh. 3.5.2.
126 CTh. 3.5.10.
127 C. 3.38.2.

Prawne skutki pocałunku

Cóż to jednak ma wspólnego z pocałunkiem? Wiele, o czym świadczy niezwykle ciekawa konstytucja wydana 15 lipca 335 roku. Wspomniany wcześniej cesarz Konstantyn I w następujący sposób zwrócił się w niej do Tyberiana, wikariusza Hiszpanii: „Jeżeli ktoś wręczył narzeczonej jakiś podarunek, jednocześnie ją całując, a potem przed ślubem jedno z nich przypadkiem umarło, radzimy, by połowę podarowanych dóbr zachowała osoba, która pozostała przy życiu, druga połowa zaś niech przypadnie dziedzicom zmarłego lub zmarłej, bez względu na stopień pokrewieństwa i prawo, według którego dziedziczą, tak że darowiznę uznaje się za utrzymaną w połowie, w połowie zaś za wygasłą. Jeżeli jednak pocałunek nie miał miejsca, a narzeczony lub narzeczona umrze, darowizna w całości jest nieważna i wraca do narzeczonego lub jego dziedziców”[128].

Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jakim stopniem innowacyjności cieszyło się przytoczone wyżej rozwiązanie. Wydaje się jednak, że wspominając pocałunek jako element wieńczący ceremoniał zawierania zaręczyn, władca nawiązał do praktyki dawnej i utrwalonej. A jednak na pierwszy rzut oka jego decyzja może się wydać nieco absurdalna. Zwłaszcza skojarzenie pocałunku dwojga zakochanych, jak chcemy wierzyć, z bliżej nieokreślonym „prezentem” kojarzy się niezbyt dobrze. Co więcej, kto byłby na tyle małostkowy, by domagać się zwrotu „drobiazgów” wręczonych sobie wcześniej przez narzeczonych w obliczu tragedii, jaką jest śmierć jednego z nich?

Drugie pytanie musimy pozostawić bez odpowiedzi. Odnośnie do pierwszego, zacznijmy od uwagi, że wyjąwszy szowinistyczną innowację w postaci „zaręczynowego zadatku”, Kościół, a za nim prawo państwowe, pozostały przy dotychczasowej formie zawierania zaręczyn. Jej charakterystycznymi elementami były: umowa posagowa, wręczenie zaręczynowego pierścienia oraz pocałunek. Ostatnia czynność miała charakter dosyć sformalizowany i, przynajmniej z naszego punktu widzenia, dosyć krępujący, gdyż dokonywano jej w obecności świadków. Apologeta Tertulian (ok. 155 – ok. 220) obrazowo wspomina, że w tym momencie narzeczeni podawali sobie prawe dłonie[129].

---

128 C. 5.3.16.

129 Tert. *de virg. vel.* 11.

Życie po życiu patentu Konstantyna

To niezwykle ciekawe, że cesarz Konstantyn uzależnił zwrot połowy podarunku po zmarłym narzeczonym od tego, czy podczas zaręczyn para dała sobie całusa. Wszak tego rodzaju kwestie regulowały dosyć szczegółowo umowy posagowe. Bez wątpienia cesarz, wychwalany przez biskupów za pobożność, znalazł inne, bardziej oryginalne rozwiązanie.

Cesarska regulacja została włączona do Kodeksu Teodozjusza[130], ogłoszonego w 438 roku. Znalazła się również w zbiorze konstytucji cesarskich wydanym w 506 roku dla rzymskiej ludności zamieszkałej w królestwie Wizygotów, zwanym „Brewiarzem Alaryka"[131]. Jej znaczenie dostrzegł Justynian I (483-565), który umieścił ją w swym kodeksie pochodzącym z 534 roku[132].

Wspomniane rozwiązanie przejęły w średniowieczu między innymi statuty miast włoskich oraz prawo francuskie. Pocałunek często wymieniają również ówczesne umowy posagowe. Naturalnie wymogi czasów wymusiły pewne modyfikacje pierwowzoru. W pochodzącym z 1265 roku hiszpańskim zbiorze praw znanym jako *Las Siete Partidas* ustawodawca przewidział sytuację, w której to kobieta obdarowuje swego narzeczonego, co, jak podkreślono, zdarza się rzadko, gdyż panie są „z natury fałszywe i chciwe". W przypadku jej śmierci przed zawarciem małżeństwa kategorycznie nakazano, odmiennie niż „starożytni mędrcy", zwrot całej darowizny bez względu na to, czy pocałunek miał miejsce, czy nie, gdyż w przypadku pocałunku mężczyzna „odczuwa przyjemność, a kobieta okrywa się wstydem"[133].

Problemu z wydaniem orzeczenia nie mieli również namiestnik Kastylii, Diego Lopez d'Alfaro oraz archidiakon Don Mate, kiedy stanął przed nimi rycerz domagający się zwrotu posagowych podarunków. Złożyły się na nie: ubrania, ozdoby oraz muł z damskim siodłem. Narzeczona wprawdzie nie umarła, ale małżeństwo nie doszło do skutku. Archidiakon orzekł, że kobieta może zatrzymać dary, jeżeli publicznie przyzna, że mężczyzna „całował ją i obejmował podczas zaręczyn"[134].

---

130 CTh. 3.5.6 *pr*.
131 Brev. 3.5.5 *pr*.
132 C. 3.5.6.
133 *Las Siete Partidas* 4.11.3.
134 *Libro de los Fueros de Castiella* 241.

Jeszcze o pocałunkach

Obecnie w naszym kraju problem pocałunku częściej stanowi raczej przedmiot zainteresowania prasy kobiecej niż ustawodawców. Podobnie było i kiedyś. Jeden z numerów pisma „Wanda" z roku 1821 informował swoje czytelniczki: „Trudniejszymi są prawidła wstydu dla kobiet niż dla mężczyzn. Nazon twierdzi, że żona winna całować męża i że tą oznaką przywiązania nabywa prawa do jego wdzięczności. Zwyczaj ten z Rzymu przywędrował do Niemiec. U nas jak dawnym jest zwyczaj całowania, nie wiadomo z pewnością; zdaje się, że powstał za wprowadzeniem chrześcijańskiej religii. Pomiędzy Francuzami całowanie się jest nadto powszechne i bardzo często obojętne. Jest przysłowie, że »pocałowanie we Francji niedrogo kosztuje«. Utrzymują, że w Szwecji niewiasta, przyrzekłszy pocałować mężczyznę, nie powinna przyjąć jego wizyty. Anglicy, równie jak Holendrzy, całują się w twarz z wielką śmiałością. Filozofowie rzymscy sądzili, że oczy, szyja, ręce i wszystkie części ciała poświęcone były szczególnym bóstwom, składano więc im cześć winną, całując członki pod opieką ich zostające"[135].

Kolejne ciekawe informacje na temat obyczajowego znaczenia pocałunku zebrał Florian Greif w swoim artykule zatytułowanym „Pocałunek i jego historia". Czytamy w nim: „Według podania Polydora Wegiliusza z Urbino, pisarza teologicznego (zm. 1555), przełożeni Kościoła rzymskiego podawali zbliżającym się do nich prawą rękę do pocałowania i zwyczaj ten dotąd zachowali papieże. Każdy przystępujący do Ojca Świętego, bez względu na stan i dostojeństwo swoje, obowiązany jest w pewnych odległościach trzy razy przyklęknąć i całować go w rozmaity sposób, a mianowicie: cesarz całuje go w usta, kardynałowie, królowie, książęta w prawą rękę, biskupi w kolana, wszyscy niżsi od nich w stopę. (…) Również i cesarze niemieccy wymagali od swoich poddanych, ażeby im cześć należną ucałowaniem stóp ich okazywali. (…) Wypada nam wspomnieć o jednym jeszcze zwyczaju niemieckim jako zabytku dawnego bratniego pocałunku. Jest to tak zwany »pocałunek akademicki«, jaki dziekan wydziału daje młodemu uczonemu, któremu przyznano stopień doktorski, a to jako znak koleżeństwa. W niektórych uniwersytetach zwyczaj ten dotąd się utrzymuje"[136].

---

135 Cyt. za: R. Kaleta, *Sensacje z dawnych lat*, Wrocław 1986, s. 517.

136 *Ibidem*.

Podsumowanie

Ustanowienie praw człowieka i rewolucja seksualna sprawiły, że dziś całus nie wywołuje już takich emocji, jak kiedyś. Zaręczyny od dawna nie mają znaczenia prawnego, przeto fakt pocałunku złożonego przy tej okazji zyskuje walor jedynie obyczajowy. Kodeks rodzinny i opiekuńczy oraz kodeks prawa kanonicznego nie wspominają, że zaraz po przysiędze małżeńskiej młodzi powinni „dać sobie buzi", chociaż praktyka ta jest w naszej kulturze stosunkowo powszechna. Od czasów Jana XXIII (1881-1963) wierni nie muszą już całować papieża w stopę, choć złożenie pocałunku na sygnecie jest mile widziane. Krótko mówiąc, prawo współczesne zasadniczo ignoruje zjawisko pocałunku, choć stosunkowo łatwo znaleźć przepisy, które znajdują zastosowanie w sytuacjach, kiedy jedna ze stron nie życzy sobie pieszczot w jakiejkolwiek postaci[137]. I bardzo dobrze.

9. LEW I WSPÓLNICY

Zgodnie z artykułem 51 § 1 polskiego kodeksu spółek handlowych w spółkach osobowych: „każdy wspólnik ma prawo do równego udziału w zyskach i uczestniczy w stratach w tym samym stosunku bez względu na rodzaj i wartość wkładu". Przepis ten ma charakter dyspozytywny. Wspólnicy, zwłaszcza w przypadku nierównych wkładów, mogą postanowić, że udział w zyskach i stratach będzie się kształtował inaczej. Wzorem rozwiązania przyjętego w spółkach kapitałowych wysokość jego udziału można uzależnić od rodzaju i wielkości wniesionego wkładu. Z § 3 omawianego artykułu dowiadujemy się, że umowa spółki może całkowicie zwolnić wspólnika z udziału w stratach. Zabieg powyższy znajduje zastosowanie na przykład w przypadku pozyskiwania przez spółkę inwestora strategicznego. Niekiedy uprzywilejowane stanowisko zapewnia się również wspólnikowi noszącemu znane nazwisko, które gwarantuje rozpoznawalność firmy, pod jaką działa przedsiębiorstwo.

---

137 Zob. np. art. 197-199 KK; art. 140 KW; art. 183a § 6 KP.

Uwagi wprowadzające

Niedozwolone w polskim porządku prawnym jest natomiast wykreowanie w umowie spółki takiej sytuacji, w której jeden lub kilku wspólników uczestniczy jedynie w zyskach, podczas gdy inny (inni) ma (mają) udział tylko w stratach. Wyłączenie przynajmniej jednego ze wspólników z udziału w zyskach sprawia, że wszelka działalność wykonywana przez niego na rzecz spółki przybiera charakter charytatywny. Umowa taka jest sprzeczna z naturą spółki oraz zasadami współżycia społecznego.

Wspólnik, który mimo wszystko zostałby umownie pozbawiony udziału w zysku, zachowuje do niego prawo, a swych roszczeń może dochodzić przed sądem. Co więcej, w wyroku Sądu Najwyższego z 9 lutego 1963 roku czytamy: „zobowiązanie jednego ze wspólników jawnych do ponoszenia odpowiedzialności za drugiego wspólnika jawnego za wszelkie straty spółki jest w świetle przepisów bezskuteczne wobec osób trzecich”[138].

Rozwiązanie to nie stanowi ewenementu na tle regulacji przyjętych w innych państwach europejskich. Ograniczmy się do kilku przykładów. W piątej, wydzielonej części szwajcarskiego kodeksu cywilnego, funkcjonującej pod nazwą *Obligationsrecht*, znajdujemy treść niemal identyczną, jak w art. 51 § 1-3 KSH. Zgodnie z jego przepisami, wspólnika nie można wykluczyć z udziału w zyskach, choć „umowa, że jeden ze wspólników, który jako swój wkład do spółki wniósł pracę, będzie miał udział w zyskach, ale nie w stratach, jest dopuszczalna”[139]. W porządku prawnym Niemiec zawarcie omawianej spółki nie jest możliwe na podstawie § 705 BGB, w którym czytamy: „Przez umowę spółki wspólnicy wzajemnie zobowiązują się dążyć do osiągnięcia wspólnego celu, w sposób przewidziany w umowie, szczególnie przez wniesienie ustalonych wkładów”. Ponieważ w omawianym przypadku brakuje porozumienia co do celu, który ma być wspólnie osiągnięty, w doktrynie niemieckiej przyjmuje się, że spółkę, w której przynajmniej jeden ze wspólników jest wyłączony z udziału w zyskach, inny zaś w stratach, należy traktować raczej jako darowiznę lub umowę gwarancyjną. Tworzenia podobnych spółek wyraźnie zakazuje *codice civile italiano*. Włoski ustawodawca postanowił,

---

138 IV CR 129/62, RPEiS 1964, nr 2, s. 327.

139 Art. 533 Abs. 3 OR.

że „nieważne jest postanowienie, zgodnie z którym jeden lub kilku wspólników jest w całości wykluczonych z udziału w zyskach lub stratach”[140]. Analogicznie we francuskim *code civil* w umowie spółki nie jest możliwe zamieszczenie klauzuli, która całkowicie wykluczyłaby wspólnika z udziału w zyskach lub w całości obciążyła jedynie uczestnictwem w stratach (tzw. *clause léonine*)[141]. To samo rozwiązanie przyjęto w kodeksach cywilnych Hiszpanii[142], Portugalii[143] oraz Federacji Rosyjskiej[144].

Dlaczego lwia spółka?

Wspomniany rodzaj spółki od wieków nosi nazwę „lwiej” (łac. *societas leonina*; niem. *Löwengesellschaft*, *Leonischer Vertrag*; wł. *patto leonino*; fr. *société léonine*; hiszp. i port. *sociedade leonina*; ros. *львиное товарищество*). Cóż jednak to wszystko ma wspólnego z lwem? Skąd wzięła się ta osobliwa nazwa? Większość znawców współczesnego prawa polskiego nie zaprząta sobie zbytnio głowy tym zagadnieniem. Wiele komentarzy do KSH nie wspomina nawet o wariancie zawarcia lwiej spółki, wychodząc z założenia, że skoro wyraźnie nie wymienia jej kodeks, to nie ma o czym mówić. Inni zamieszczają na ten temat jedynie suche wzmianki, słusznie wywodząc, że art. 51 KSH formułuje *a contrario* zakaz tworzenia takich spółek w Polsce. Z dyrektywy, że każdy wspólnik ma prawo do udziału w zyskach, można bowiem wywieść, iż nie można go tego udziału pozbawić.

Odrobinę więcej uwagi poświęca się genezie omawianej instytucji w publikacjach zagranicznych. Określenie „lwia spółka” bez wątpienia nawiązuje do popularnych dawniej i dziś bajek, których bohaterami są zwierzęta. Współcześnie kojarzymy je zwłaszcza ze słynnymi nowożytnymi zbiorami zwięzłych, opowiedzianych dowcipnie i z polotem powiastek z morałem. Przypuszczalnie dlatego Francuzi, wspominając o lwiej spółce lub lwiej części (*part du lion*; ang. *lion's share*), wyrażeniu, do którego jeszcze powrócimy, tak chętnie odsyłają do pomnikowego dzieła pt. „Bajki”

[140] Art. 2265 c.c.i.
[141] Art. 1844 c.c.
[142] Art. 1691 c.c.s.
[143] Art. 994 c.c.p.
[144] Ст 1046 ГК РФ.

autorstwa Jeana de La Fontaine'a (1621-1695). Rosjanie z kolei powołują się na historyjki tworzone przez ich rodaka Iwana Kryłowa (1769-1844).

Większość uczonych wszakże kojarzy lwią spółkę z bajkami Ezopa. Trop jest dobry, choć wiadomości na temat tego autora są wyjątkowo szczątkowe i niespójne. W starożytnej Grecji przypisywano mu wynalezienie bajki, tak jak Homerowi dialektyki, Koraksowi z Syrakuz sztuki wymowy czy Likurgowi i Solonowi nowoczesnych kodyfikacji prawa.

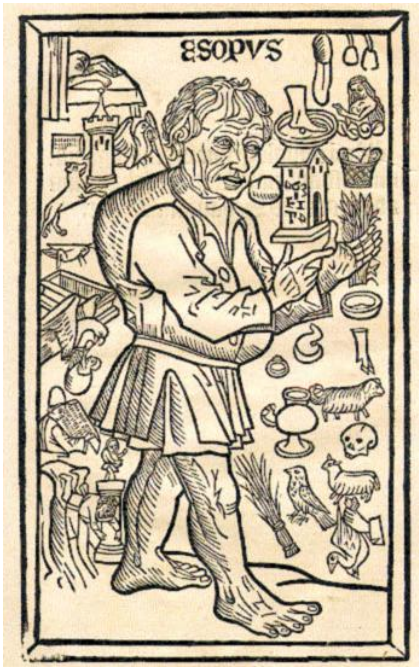


Portret Ezopa (Diego Velázquez)

Z pochodzenia był prawdopodobnie Frygijczkiem. Żył w czasach słynnych greckich polityków V w. p.n.e. – Solona, Pizystrata oraz Krezusa. Był niewolnikiem należącym do pewnego obywatela wyspy Samos. Wiele wskazuje na to, że musiał się zmagać z licznymi ułomnościami ciała. Jego domniemany portret z posągu przechowywanego obecnie w Villa Albani w Rzymie (kopia w Muzeum Puszkina w Moskwie) pokazuje postać z dużą głową i małym, nienaturalnie poskręcanym tułowiem. Eurypides w komedii zatytułowanej „Żaby" przechował informację, że bajkopisarz słynął z niewyparzonego języka, czym mocno naraził się kapłanom przesławnej wyroczni Apollona w Delfach[145]. W efekcie, na podstawie sfingowanych dowodów oskarżono go o świętokradztwo i skazano na śmierć. Życie skończył strącony ze skały[146].

145 Aristoph. *ran*. 1497-1500.
146 Herod. 2.134.

Ezop istotnie był twórcą krótkich wierszowanych utworów z morałem. Z pewnością wiele z nich sam wymyślił, choć trudno ocenić skalę nowatorstwa, którą wykazał na tym polu, gdyż bajka jako gatunek istniała długo przed nim nie tylko w Grecji, ale również na Bliskim Wschodzie. Zbiór opowiastek jego autorstwa nie zachował się do naszych czasów. Znamy je jedynie z późniejszych mutacji, z których za najsławniejszą uchodzi kompilacja autorstwa Babriosa (II w.), odnaleziona w 1842 roku w bibliotece klasztornej na górze Athos.



Ezop

Dlaczego lew?

Zadajmy kolejne pytanie: Dlaczego właśnie lew użyczył nazwy spółce, w której przynajmniej jeden ze wspólników jest ewidentnie krzywdzony przy podziale zysków i strat? Wszak współcześnie lew kojarzy nam się z powagą, dostojeństwem i królewskim majestatem. W „Apokalipsie świętego Jana" czytamy: „przestań płakać: oto zwyciężył lew z pokolenia Judy"[147].

Sympatia okazywana temu stworzeniu przez scholastycznych mędrców sięgała tak daleko, że na podstawie dostępnych bestiariuszy potrafili oni doszukać się licznych analogii pomiędzy zwyczajami lwa a kolejami życia Chrystusa. Dużo rzadziej kojarzono lwa z szatanem[148]. Co prawda zdawano sobie sprawę z jego wad, ale przyjmowano, że jest to jedynie tymczasowa ułomność tego stworzenia. Wszak już prorok Izajasz obiecywał, że nadejdą czasy, w których „cielę i lwiątko, i tuczne bydło będą razem, a mały chłopiec je poprowadzi", tymczasem „lew będzie karmił się słomą, jak wół"[149].

Zatem przez pryzmat ukształtowanych już w wiekach średnich schematów lepiej do roli zaborczego wspólnika z pewnością pasowałyby takie zwierzęta, jak: wilk, lis czy niedźwiedź. Przecież, jak wkrótce zobaczymy, w bajkowej spółce zawieranej z lwem kumulują się: „wilcze prawo", „lisi podstęp" oraz „niedźwiedzia siła". Znamienne, że Jan Brzechwa (1898-1966) w bajce, której morał wypacza umysły dzieci do dnia dzisiejszego („mówią odtąd jaskółki, że niedobre są spółki"), kazał zawrzeć oszukańcze porozumienie jaskółce i lisowi, a nie lwu.

Szukając odpowiedzi na postawione pytanie, zacznijmy od stwierdzenia, że w przeciwieństwie do czasów późniejszych, w Grecji i Rzymie zwierzę to, mimo iż cenione za swą majestatyczną posturę i siłę, nie było postrzegane jako stworzenie związane z którymś bóstwem uosabiającym sprawiedliwość. Niewiele wspólnego miał lew również z królem ludzi i bogów, a zarazem najwyższym sędzią – Zeusem. Najczęstszym atrybutem władcy Olimpu był bowiem orzeł. Dodajmy, że bajki Ezopa w swej pierwotnej formie miały bardzo niewiele wspólnego z ich współczesnym ekwiwalentem. Były to bowiem utwory przeznaczone dla dorosłych. W luźno opowiadanych historyjkach z morałem jest pełno nieprzyzwoitych scen. Nie stroniono również od posługiwania się słowami, które jeszcze dziś mogłyby uchodzić za odważne. Na kartach bajek Ezopa wcielone ideały spotyka się niezwykle rzadko, a już na pewno nie występują one pod postacią lwa[150].

---

147 *Apocal*. 5.5.

148 *Ps*. 91.13; Petr. *epist. ad Rom*. 1.5.8.

149 *Isai*. 11.6-8.

150 Przekłady bajek Ezopa przytaczam za zbiorem: M. Wojciechowski, *Wielka księga bajek greckich. Ezop i inni*, Kraków 2006.

W dziełach greckiego bajkopisa lew jest dziką bestią[151], lubiącą pysznić się swą posturą i siłą[152], chętnie korzystającą z przymiotów, którymi obdarzyła ją natura, dla osiągania korzyści – z reguły kosztem słabszych[153]. Chwile słabości dopadają go rzadko[154]. Zdarza się, że powodowany chciwością, popełnia błędy[155], innym razem osobliwie wykazuje zdrowy rozsądek[156]. Nawet w podeszłym wieku lew jest niebezpieczny. Podstępem zwabia zwierzęta do swej jaskini, by je następnie uśmiercać[157]. Jest cyniczny i świetnie daje sobie radę w bajkowym świecie bezprawia, co ilustruje następująca opowieść: „Wilk, porwawszy kiedyś owcę ze stada, niósł ją do jamy. Jednakże lew, napotkawszy go, porwał owcę. Wilk, stojąc z dala, rzekł: »Bezprawnie (gr. *adikaios*) zabrałeś, co moje«. Lew ze śmiechem powiada: »Tobie za to zgodnie z prawem (gr. *dikaios*) została podarowana przez przyjaciela...«"[158]. W innej bajce wilk obrabowany przez lwa, tym razem z prosięcia, oświadcza zrezygnowany: „Sam bym się bardzo dziwił, gdyby pozostała mi tak szczęśliwa zdobycz"[159]. Ezopowy lew nie tylko grabi słabszych, ale również nie dotrzymuje umów: „Osioł i lis, zawarłszy ze sobą spółkę, wyruszyli na polowanie. Gdy natrafili na lwa, lis, widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, poszedł do niego i obiecał wydać mu osła, jeśli jego samego przyrzeknie puścić bez szkody. Gdy ten rzekł, że mu daruje, lis poprowadził osła w pułapkę, tak żeby w nią wpadł. Lew, widząc, że osioł nie może uciec, najpierw złapał lisa, a potem rzucił się na osła"[160]. Zaiste mało budujący wzorzec. Tylko w jednej bajce pewien lew króluje, „Nie będąc ani gniewliwy, ani okrutny, ani gwałtowny, lecz łagodny i sprawiedliwy jak człowiek. Pod jego rządami powstało zgromadzenie wszystkich zwierząt", które miało pomóc władcy w wymierzaniu sprawiedliwości[161]. Historia ta to jednak nic więcej jak tylko wyjątek potwierdzający regułę.

---

151 *Fab*. 197.
152 *Fab*. 194; 201; 206.
153 *Fab*. 205.
154 *Fab*. 210; 384; 385.
155 *Fab*. 198; 204.
156 *Fab*. 203.
157 *Fab*. 196; 199.
158 *Fa*b. 227.
159 *Fab*. 394.
160 *Fab*. 270.
161 *Fab*. 195.

Wspólnicy lwa

Niekiedy okazuje się, że lew nie jest w stanie działać sam. Wtedy w sprawach „politycznych" zawiera sojusze (gr. *symmachia*; nieraz bardzo oryginalne, jak na przykład z delfinem)[162], w „prywatnych" zaś „spółki" (gr. *koinonia*). Jego częstym partnerem jest osioł, który mimo ofiarności i zaangażowania (pamiętajmy, że wkład do spółki może polegać również na wykonaniu określonej pracy)[163], rzadko wychodzi „na swoje"[164]. Oddajmy głos Ezopowi: „Lew, osioł i lis, zawarłszy między sobą spółkę, wyszli na polowanie. Gdy schwytali dużo zwierzyny, lew nakazał osłu podzielić ją między nich. Gdy ten ułożył trzy części, po równo, i poprosił lwa, żeby wybrał jedną, oburzony lew skoczył na niego i pożarł go, a dzielić kazał lisowi. Lis zgromadził wszystko w jedną porcję, sobie zostawiając mało, i poprosił lwa, żeby wybierał. Gdy ten zapytał, kto go nauczył tak dzielić, lis rzekł: los osła"[165]. To jeszcze nie jest lwia spółka w czystej formie. Wszak lis zostawił sobie jakieś mało wartościowe ochłapy. Bajka ta daje natomiast początek wspomnianemu już wyrażeniu „lwia część" (łac. *pars leonina*).



Lwia spółka. Ilustracja z „Bajek" Ezopa wydanych w roku 1501 (wydał H. Steinhöwel)

Nie wiadomo, jakie motywy kierowały lwem. Być może jego postawę uwarunkowała zapobiegliwość, będąca efektem wcześniejszych doświad-

162 *Fab*. 202.
163 Por. art. 48 § 2 KSH.
164 *Fab*. 208.
165 *Fab*. 209.

czeń? Zresztą, mówiąc szczerze, lew nie miał zbyt wielu powodów, by lubić lisa. W innej bajce czytamy: „Lew i niedźwiedź, znalazłszy jelonka, walczyli o niego. Zadawali sobie nawzajem groźne ciosy, aż słabnąc, położyli się półżywi. Przechodzący lis, który zobaczył ich osłabłych i jelonka leżącego między nimi, wziął go i oddalił się, przechodząc pomiędzy. Oni zaś, nie mogąc się podnieść, rzekli: »Jacy my głupi, tyle wysiłków dla lisa!«"[166].



Lew i inne zwierzęta. Ilustracja z „Bajek" Ezopa wydanych w roku 1867 (wydał F. Barlow)

Pierwowzór lwiej spółki odnajdujemy w innej przypowiastce: „Lew i dziki osioł polowali na zwierzynę, lew za pomocą swej siły, osioł zaś – większej szybkości nóg. Gdy upolowali jakieś zwierzę, lew podzielił je na trzy części. Tę jedną wezmę jako pierwszy; jestem bowiem królem. Tę drugą zaś, gdyż jesteśmy wspólnikami na zasadzie równości. Ta trzecia natomiast przyniesie ci wielkie nieszczęście, jeśli nie będziesz wolał uciec"[167]. Przy okazji bajkę tę warto wskazać jako źródło innego powiedzenia, mianowicie „harować jak dziki osioł".

166 *Fab*. 200.
167 Babr. *myth*. 207.

Bajki i prawo

Sformułowanie *societas leonina* stało się częścią europejskiej kultury prawnej za sprawą prawa rzymskiego. W powstałych w latach 530-533 „Digestach" Justyniana zachowała się lakoniczna opinia wybitnego prawnika z przełomu II i III wieku – Domicjusza Ulpiana. Uczony jurysta, a zarazem prefekt pretorianów na dworze cesarza Aleksandra Sewera, odnotował: „Arytson podaje, że Kasjusz odpowiedział, iż nie można stworzyć spółki, w której jeden czerpałby jedynie korzyści, drugi zaś miał udział tylko w stratach. Spółkę taką zwykł nazywać lwią. My także uważamy taką spółkę za nieważną, kiedy jeden czerpie zyski, inny zaś pozbawiony udziału w zyskach odpowiadałby jedynie za straty"[168].

Gajusz Kasjusz Longinus, w którym Ulpian widzi, jeżeli nie wynalazcę, to w każdym razie popularyzatora omawianego wyrażenia, był wybitnym prawnikiem, którego żywot przypadł na pierwszą połowę I wieku n.e. Wywodził się ze znakomitej arystokratycznej rodziny. Jego dziadek, noszący to samo imię, był jednym z filarów spisku zawiązanego w 44 roku p.n.e., a zakończonego morderstwem Cezara w słynne idy marcowe[169]. Wskutek sympatii okazywanej poczynaniom dziadka wnuk w 65 roku został wygnany z Rzymu przez Nerona. Powrócił po 69 roku odwołany przez Wespazjana. Uchodził za głównego przedstawiciela jednego z dwóch wiodących w Rzymie nurtów myśli prawniczej, zwanego dziś szkołą Sabinianów.

W jaki sposób Kasjusz przeniósł schemat zaobserwowany w bajkach na grunt prawny? Wydaje się, że z twórczością Ezopa i jego greckich naśladowców zetknął się już w dzieciństwie – być może za sprawą piastunki lub greckiego pedagoga. Wiedzę w tym zakresie miał okazję ugruntować także w późniejszych latach. Nauka bajek stanowiła bowiem ważny element w początkowym stadium wykształcenia mówcy. O tym, że ich znajomość mogła się okazać przydatna każdemu, kto chciał publicznie zabierać głos, był głęboko przekonany już Arystoteles[170]. Na identyczną opinię natykamy się w traktacie „O kształceniu mówcy", autorstwa żyjącego w I wieku rzymskiego retora Kwintyliana. Autor podkreśla w nim edukacyjny walor

168 D. 17.2.29.2.

169 Tac. *ann*. 16.7; Suet. *Ner*. 37.1; Dio Cass. 59.29.3.

170 Arist. *rhet*. 2.20.2 i n.

bajek. Jego zdaniem, uczeń, który poradzi sobie z ich „obróbką", w przyszłości będzie w stanie nauczyć się absolutnie wszystkiego[171].

Arystoteles i Kwintylian nie rzucali słów na wiatr. Zastosowanie się do tych dobrych rad bardzo pomogło Meneniuszowi Agryppie, który w roku 493 p.n.e. zdołał zażegnać poważny państwowy kryzys. Otóż w krytycznym momencie doprowadził do zgody pomiędzy zbuntowanym wojskiem a rzymskim patrycjatem właśnie przez opowiedzenie Ezopowej bajki[172]: „W czasach, kiedy części ciała nie zgadzały się ze sobą, jak to ma miejsce dziś, lecz każda miała własne opinie i pomysły, wszystkie członki ciała uznały, że to niesprawiedliwe, iż muszą swą troską, pracą i radą dostarczać wszystkiego brzuchowi, podczas gdy ten siedzi w środku i nie ma nic do roboty poza rozkoszowaniem się tym, co mu podadzą. Uknuły więc razem spisek, że ręka nie będzie podnosić jedzenia do ust ani usta przyjmować czegokolwiek, zęby zaś nie pogryzą tego, co otrzymają. Podczas gdy w swej złości chciały głodem zmusić brzuch do posłuszeństwa, tak członki, jak i całe ciało osiągnęły stan skrajnego wyczerpania. Okazało się bowiem, że także brzuch ma ważne zadanie do wykonania i nie był żywiony bardziej, niż sam żywił innych..."[173]. Współczesny Kasjuszowi Paweł z Tarsu z całą powagą wykorzystał powyższą, zresztą powszechnie znaną bajkę, w pracy ewangelizacyjnej[174]. Identycznym konceptem posłużył się w pierwszym „Liście do Galatów": „Podobnie jak jedno jest ciało, choć składa się z wielu członków, a wszystkie członki ciała, mimo iż są liczne, stanowią jedno ciało, tak też jest i z Chrystusem. Wszyscyśmy bowiem w jednym duchu zostali ochrzczeni, aby stanowić jedno ciało (...). Wy przeto jesteście ciałem Chrystusa i jego poszczególnymi członkami"[175].

Lew bohaterem politycznego pamfletu?

Gajusz Kasjusz Longinus z racji swego retorycznego wykształcenia i znajomości historii z pewnością doceniał korzyści, które znajomość

---

171 Quint. *inst. or*. 1.9.2–3.
172 Aes. *fab*. 132.
173 Liv. 2.32.9-11.
174 Zob. Xen. *mem*. 2.3.18; Cic. *de off*. 3.5.22.
175 Paul. *epist. ad Corynth*. 1.12.12.

bajek mogła przynieść prawnikowi. Paralela pomiędzy spółką, w której przynajmniej jedna osoba jest wyłączona z udziału w zyskach, a historyjką Ezopa o lwie i jego wspólniku ośle nasuwa się sama. Przypomnijmy jednak również hipotezę, którą w 1972 roku przedstawił Antonio Guarino (1914-2014)[176]. Według włoskiego uczonego Kasjusz stworzył sformułowanie *societas leonina* pod wpływem lektury dzieł współczesnego sobie bajkopisarza Fedrusa.

O Fedrusie, podobnie jak o jego mistrzu Ezopie, wiadomo niewiele. Powszechnie twierdzi się, że urodził się około 8 roku p.n.e. w Pydnie (w rzymskiej prowincji Macedonia). Żył w latach panowania Augusta, Tyberiusza, Gajusza i Klaudiusza. Był niewolnikiem cesarskim, który następnie uzyskał wolność z rąk władcy. Podobnie jak kiedyś Ezopa, cechował go cięty dowcip. Politycznymi aluzjami, zawartymi w niektórych bajkach, ściągnął na swą głowę gniew wszechwładnego prefekta pretorianów na dworze Tyberiusza, Lucjusza Eliusza Sejana.

A trzeba wiedzieć, że czasy następcy Augusta na cesarskim tronie nie sprzyjały amatorom tworzenia satyry wymierzonej przeciw władzy. Był to okres, w którym senat i trybunały nie nadążały z wydawaniem wyroków w procesach o charakterze politycznym. Za wieloma procesami, w których skazywano niewinnych ludzi, stała szara eminencja cesarskiego dworu – Sejan. Tak jak wielu innych, również Fedrus został oskarżony o zdradę stanu i ukarany. Szczęśliwie udało mu się jednak zachować życie. Po latach w swoim stylu wspominał problemy z wymiarem sprawiedliwości: „Niektóre z wybranych przeze mnie tematów stały się przyczyną mego nieszczęścia. Gdyby oskarżycielem był ktoś inny niż Sejan, ktoś inny świadkiem, ktoś inny donosicielem i wreszcie ktoś inny sędzią..."[177].

Czy jedną z bajek, które stały się powodem perypetii pisarza, była opowieść o spółce, jaką lew zawarł z innymi zwierzętami? Bardzo możliwe. Oto ona:

Z siłaczami spółka jest zawsze zdradliwa,
A prawdę tę moja bajeczka odkrywa.
Krowa, koza i owca, co się brzydzi złem,

---

176 A. Guarino, *La societa col leone*, „Labeo" 18 (1972), s. 72-77.

177 Phaed. *fab*. 3 *praef*. 39-42.

Do spółki jawnej w lasach przystąpiły z lwem.
Gdy upolowano wielkiego jelenia,
Rzecze do wspólników lew podczas dzielenia:
„Zabieram, bo jestem królem i zwierzchnikiem,
Część pierwszą, a drugą, bo jestem wspólnikiem,
I dalej za siłę trzecia mi przypada,
Wierzcie mi, temu, kto tknąłby czwartą – biada!".
Podłość sprawiła tu,
Że przepadł cały łup[178].

(przełożył M. Jońca)

Na uwagę zasługuje sposób aranżacji bajki. W przeciwieństwie do wersji Ezopa, lwu towarzyszy jeszcze bardziej egzotyczne towarzystwo niż lis czy osioł (wszak ten ostatni, podobnie jak krowa, koza i owca, z natury jest przecież wegetarianinem!). Poczynania „najsilniejszego ogniwa" w tym zespole jako żywo przypominają działania Sejana, który bez skrupułów zmuszał upatrzone osoby do fabrykowania dowodów, składania donosów i fałszywych zeznań. Konfiskaty dóbr osób skazanych za zdradę stanu przyniosły mu ogromną fortunę. Co się zaś tyczy jego współpracowników biorących udział w tym niecnym procederze, to każdy z nich doskonale zdawał sobie sprawę, że w przypadku nieposłuszeństwa lub zbyt wygórowanych ambicji tragiczny koniec może spotkać także jego.

Nie wiadomo dokładnie, w którym roku Fedrusowi wytoczono proces. Bajka z pewnością powstała, kiedy nic jeszcze nie zwiastowało zmiany na stanowisku prefekta pretorianów. Sejan został bowiem niespodziewanie aresztowany, skazany na śmierć i stracony w 31 roku n.e. Tymczasem Kasjusz sprawował urząd pretora około 27 roku, a w roku 30 rozpoczął swe urzędowanie jako *consul suffectus*. Lament Fedrusa nad formą i przebiegiem procesu, który mu wytoczono, z pewnością nosi cechy poetyckiej przesady. Sejan raczej na pewno nie był donosicielem, oskarżycielem, świadkiem i sędzią w jednej osobie podczas tej rozprawy. Ba, wątpliwe jest, czy w ogóle odegrał w niej jakąś rolę. Kusząco brzmi natomiast teza postawiona przez Antonia Guarina, że około 27 roku n.e.

178 Phaed. *Fab*. 1.5.

to właśnie Kasjusz, jako najwyższy urzędnik sądowy w Rzymie, miał okazję zapoznać się z twórczością niesfornego autora.

Łacińska wersja, stworzona na podstawie greckiego pierwowzoru, mogła o wiele silniej przemówić do umysłu pretora przyzwyczajonego do operowania ścisłymi łacińskimi terminami. Grecki rzeczownik *koinonia*, używany przez Ezopa na opisanie spółki, jest znaczeniowo dosyć nieostry. Poza spółką może bowiem oznaczać również państwo, gminę, współwłasność, wspólnotę dziedziców, stowarzyszenie o charakterze religijnym itd. Co więcej, prawnicza nauka na temat spółek w starożytnej Grecji w zasadzie nie istniała, choć wątek porozumień zawieranych w różnych celach pomiędzy osobami prywatnymi pojawiał się tu i ówdzie w greckim ustawodawstwie, a także w pismach filozofów i retorów[179]. Tymczasem prawniczy wydźwięk łacińskich terminów pojawiających się w wersji Fedrusa jest jednoznaczny. Spółka zawarta pomiędzy lwem i pozostałymi zwierzętami to *societas*, a jej wspólnicy to *socii*. Stąd tylko krok do stworzenia terminu *societas leonina*.

Tyle Antonio Guarino. Aby zachować właściwie proporcje w toczonych rozważaniach, należy wszakże stwierdzić, że zbudowanie powyższego założenia na podstawie tekstu greckiego również nie jest zabiegiem szczególnie skomplikowanym i z pewnością nie mogło stanowić dla Kasjusza większego problemu.

Lwia spółka? Chwytliwy slogan!

Tak zatem to bajka autorstwa Ezopa lub Fedrusa (a może obu?) dała początek sformułowaniu *societas leonina*. Pora na kolejne pytanie: Co sprawiło, że taki drobiazg, jak dowcipna nazwa roboczo nadana przez sławnego prawnika niedozwolonej formie spółki, został zapamiętany przez współczesnych i potomnych?

Wróćmy do tekstu Ulpiana. Można w nim przeczytać, że Kasjusz odpowiedział komuś na pytanie dotyczące dopuszczalności zawarcia takiej spółki, w której jeden wspólnik będzie uprawniony jedynie do udziału w zyskach, drugi zaś obciążony tylko odpowiedzialnością za straty[180]. Jako wybitny prawnik i głowa szkoły Sabinianów Kasjusz raczej nie

[179] Np. D. 47.22.4.
[180] D. 17.2.29.2.

narzekał na brak petentów proszących o poradę prawną. Jest oczywiste, że przynajmniej części zgłaszającej się do niego klienteli obce były niuanse i zawiłości rzymskiego prawa cywilnego. Te starano się wyjaśniać w uczonych traktatach. Odpowiedź na pytanie zadane w konkretnej sprawie powinna być zwięzła, klarowna i możliwie łatwo zapadająca w pamięć. W omawianym przypadku z pomocą przyszła bajka o lwie i jego niefortunnych wspólnikach. Na jej podstawie Kasjusz stworzył chwytliwy koncept *societas leonina*, którym następnie chętnie się posługiwał.



Lwia spółka. Ilustracja z XIX-wiecznej antologii autorów łacińskich

Postąpił tym samym zgodnie z najlepszymi retorycznymi wzorcami. Zgodnie z argumentacją wspomnianego już Kwintyliana, w żmudnym procesie przekonywania ludzi do własnych racji „do wykorzystania nadają się również te bajeczki, które jakkolwiek nie biorą swego początku od Ezopa (wydaje się, że ich pierwszym autorem był Hezjod), to jednak najszerzej znane są pod nazwą »ezopowych«. Zwykły one poruszać zwłaszcza zmysły wiejskiego gminu oraz niewyrobionych prostaczków, którzy w duchu prostoty słuchają fikcyjnych historii i ukontentowani przyznają rację temu, co im tak przypada do gustu”[181].

[181] Quint. *inst. or*. 5.11.19.

Podsumowanie

Strategia okazała się skuteczna. Poza laikami z określeniem Kasjusza miał okazję zapoznać się jego uczeń, a potem również wybitny znawca prawa, Tytiusz Aryston, w którego pismach z kolei wyczytał o nim Ulpian. Kompilatorzy Justyniana włączyli informację na ten temat do „Digestów", które w średniowieczu stały się obiektem zainteresowania wielkich szkół prawniczych: glosatorów i komentatorów. Dzięki temu pojęciem *societas leonina* posługujemy się do dziś. Kasjusz odniósł zresztą na tym polu sukces większy, niż się spodziewał. Na przestrzeni wieków sformułowanie „lwia spółka" stało się wręcz przysłowiowe. Nie od dziś regularnie gości na ustach polityków. Ale to już zupełnie inna bajka.

10. DIABELSKIE PRAWO

Łacina z nami była, jest i – czy się to komuś podoba czy nie – będzie. Od łaciny wręcz niepodobna uciec. Stare, nieco zapomniane dziś, porzekadło głosi, że błogosławieni w niebie zapewne będą mówić po łacinie. Kto się do nieba nie wybiera, nie powinien się cieszyć z dwóch powodów. Pierwszy jest oczywisty – wieczyste potępienie to nie przelewki. Drugi niejednego zaskoczy. Otóż wygląda na to, że i w piekle łacina jest językiem urzędowym. Co więcej, w piekielnych czeluściach wciąż obowiązuje prawo rzymskie! Ślad tej niedocenianej przez historyków prawa drogi recepcji można odnaleźć w średniowiecznych opowieściach, z których zwykle korzystali kaznodzieje, dwojący się i trojący, by ratować przed wieczystym ogniem zagubione dusze[182]. Swoje zrobiły też ludowe podania i obiegowe stereotypy.

Diabelski dowód

Jednym z podstawowych procesowych środków służących ochronie prawa własności była i jest skarga windykacyjna (*actio vindicatoria*; por. art. 222 § 1 KC). Przysługuje ona właścicielowi nieposiadającemu, a kierowana jest przeciwko każdorazowemu posiadaczowi rzeczy (stąd twier-

[182] Obszernie na temat średniowiecznych egzemplów, w których diabeł odgrywa główną rolę – W. Brojer, *Diabeł w wyobraźni średniowiecznej. Trzynastowieczne exempla kaznodziejskie*, Wrocław 2003, *passim*.

dzenie, że jest skuteczna *erga omnes* – w stosunku do wszystkich; każdy, kto posiada rzecz nie będąc jej właścicielem może zostać przy jej pomocy pozwany). Celem skargi jest wydobycie rzeczy z rąk osoby nieuprawnionej i zwrócenie jej właścicielowi.



Diabeł (fot. Nicola Buhl)

Konstrukcja omawianego procesowego instrumentu nie zmieniła się na przestrzeni wieków w sposób znaczący. Niemniej w starożytności i w średniowieczu korzystanie z niego niekiedy niosło za sobą spore niegodności. Otóż powód, który podnosił, że rzecz należy do niego, winien był dowieść, że prawo własności na niej nabył w sposób pierwotny. Jeżeli zaś uzyskał je w sposób pochodny, należało wykazać, że nie tylko on sam jest właścicielem, ale byli nimi również wszyscy jego poprzednicy. Można sobie wyobrazić, że w wielu przypadkach zadanie to przekraczało ludzkie możliwości. Zapewne dlatego w średniowiecznej doktrynie dowód ten zaczęto nazywać „diabelskim" (*probatio diabolica*). Maniera ta utrzymuje się do dnia dzisiejszego[183].

Źródeł osobliwego określenia należy doszukiwać się w popularnych ówcześnie opowiastkach nawiązujących do wyobrażeń na temat Sądu

[183] Zob. np. S. Wójcik, *Windykacyjna ochrona własności w polskim prawie cywilnym*, Kraków 1965, s. 70.

Ostatecznego. W mających krzewić pobożność opowieściach zdarzało się bowiem, że diabeł, zwykle wcielający się w rolę oskarżyciela, incydentalnie występował jako powód. Przewód sądowy, o ile można tak nazwać całą „procedurę", przypominał standardowy proces windykacyjny, a „rzeczą", o którą toczył się „spór", była dusza grzesznika. Aby dać nadzieję strapionym, niektóre historie zostały konstruowane tak, że nawet sam diabeł nie był w stanie dowieść, że dusza od początku do końca należała do niego. Stąd tylko krok do „diabelskiego dowodu" w zwyczajnym cywilnym procesie o rzecz.

Niektórzy uczeni źródeł omawianego pojęcia doszukują się w założeniu, że nie można dowieść istnienia diabła. Skoro zaś nie można dowieść jego istnienia, nie można również wykluczyć, że go nie ma. To naturalnie droga na skróty, choć warto pamiętać, że *probatio diabolica* to nie tylko dowód własności w procesie windykacyjnym. Pojęcie to stanowi synonim dowodu niezwykle trudnego bądź niemożliwego do przeprowadzenia.

Diabelskie przynależności

Przejdźmy do historii uwiecznionej w rękopisie przechowywanym obecnie przez Bibliotekę Uniwersytecką we Wrocławiu (sygn. 1 F 115). Księga powstała najprawdopodobniej w kręgu niemieckich cystersów, ale około wieku XIII przeredagowano ją na potrzeby dominikanów[184]. Jest to zbiór opowieści zwanych egzemplami. Duchowni posługiwali się nimi w pracy duszpasterskiej. Charakter poszczególnych historii jest bardzo różny: od opisów zdziałanych przez łaskę bożą cudów aż po opowieści drastyczne, obrazowo pokazujące jaki los czeka tych, którzy swym postępowaniem przeczą ideałowi chrześcijańskiego życia.

Właśnie w duchu idei „wychowywać przez strach" skomponowana została następująca opowieść: „Żył raz w Mediolanie przebogaty lichwiarz, sługa mamony, bogacący się bezustannie. Kiedy czuł, że zbliża się śmierć, zaprzysiągł swojego wspólnika z powodu zaufania, jakie w nim pokładał i dał mu dziesięć denarów w złocie, aby pieniądze zostały z nim później pochowane. Na początku człowiek ten odmówił. Później jednak wypełnił, co mu poruczono. Po wszystkim postanowił zdać sprawę burmistrzowi. Burmistrz, uradowawszy się bardzo, wysyła swoje

184 W. Brojer, *op. cit*., s. 610.

sługi z rozkazem otwarcia grobu i przyniesienia sobie pieniędzy. Ci jednak, gdy chcieli je zabrać, zostają przepędzeni przez diabła i z pustymi rękami wracają do sędziego. Rozgniewany burmistrz osobiście wchodzi do grobu, a kiedy próbuje wyjąć złoto z rąk zmarłego, nieboszczyk po gwałtownej walce w końcu go dusi. Zobaczywszy to, słudzy jego w panice uciekają i oznajmiają o wszystkim swojej pani [tj. żonie burmistrza – M.J.], którą zobaczyli. Z nastaniem świtu kobieta w rozpaczy opowiada o tym wydarzeniu biskupowi oraz mieszkańcom miasta. Biskup spieszy do grobu, gdzie wszyscy ze zgrozą spostrzegają uduszonego. Biskup zaś przystąpiwszy bliżej i zobaczywszy złoto w dłoniach lichwiarza zaklął go na łaskę Chrystusową, aby puścił pieniądze. Wtem powietrze przeszył przerażający głos: »Rozstrzygnijcie prawny problem. Czy ktoś, kto kupił konia, może również żądać wydania uzdy?«. Wszyscy zamilkli. W końcu ktoś powiedział, że słusznie może się tego domagać. Wtedy diabeł powiada: »Mam już dusze tych dwóch, a pragnę posiadać również ich ciała«. Po czym, zostawiwszy złoto, wśród straszliwego wycia i łoskotu wraz z duszami wciągnął zwłoki obu nieboszczyków do piekieł" (przeł. M. Jońca)[185].



Lichwiarz i jego żona (Quentin Matsys)

[185] Na podstawie tekstu łacińskiego za: J. Klapper, *Erzählungen des Mittelalters in deutscher Übersetzung und lateinischem Urtext*, Breslau 1914, s. 352-353.

Godzi się przypomnieć, czym są przynależności, skoro wie o tym nawet książę ciemności. Otóż już Rzymianie zauważyli, że istnieje pewna kategoria rzeczy, które wprawdzie nie są fizycznie złączone z rzeczą główną, ale pozostają z nią w związku funkcjonalnym. Dzięki nim w sposób lepszy, pełniejszy można korzystać z rzeczy głównej. Tego rodzaju kategorię rzeczy zna również nasz kodeks cywilny, którego art. 51 § 1 stanowi: „Przynależnościami są rzeczy ruchome potrzebne do korzystania z innej rzeczy (rzeczy głównej)". Tłumacząc z polskiego na nasze: pilot jest przynależnością telewizora, futerał jest przynależnością okularów, kostka jest przynależnością gitary itd. Wróćmy jednak do prawa rzymskiego. Zgodnie z postanowieniami *ius Romanum*, czynność prawna dotycząca rzeczy głównej automatycznie – o ile nie zastrzeżono inaczej – wywoływała skutek również wobec przynależności, czemu kodeks cywilny wtóruje w następujący sposób: „Czynność prawna mająca za przedmiot rzecz główną odnosi skutek także względem przynależności, chyba że co innego wynika z treści czynności albo z przepisów szczególnych" (art. 52 KC).



Diabeł przy kościelnej wieży (Nikolai Anklam)

Cóż jednak, można zapytać, wynika dla prawnika z przytoczonej powyżej opowiastki? Ano, w wymiarze eschatologicznym – jak chcą nas przekonać średniowieczni kaznodzieje – „rzeczą główną" jest dusza, ciało zaś jej „przynależnością". Kto weźmie duszę, ma prawo również do ciała. Na pozór nic nowego. Wszyscy przecież wiedzą, że, zgodnie z nauczaniem Kościoła, kiedy nastanie dzień Sądu Ostatecznego, zmartwychwstałe ciała zostaną oddelegowane w odpowiednie miejsca według następującego rozdzielnika: dusza do nieba, więc i ciało do nieba; dusza do piekła, przeto i ciało do piekła. Od każdej reguły, a więc również od tej, na co zwraca uwagę opowieść z wrocławskiego rękopisu, istnieją odstępstwa. Piekło niekiedy przyjmuje wykładnię odmienną od powszechnie akceptowanej. Ciała dwóch chciwców dużo wcześniej zostały zabrane tam, gdzie ich miejsce. Uwagę zwraca jednak coś innego. Teraz czy przy końcu świata, sprawa zostanie załatwiona w oparciu o standardy wypracowane przez prawo rzymskie.

Diabelskie pieniądze

Kolejna opowiastka pochodzi ze zbioru pod nazwą *Speculum laicorum*. Kompilacja powstała prawdopodobnie w kręgu angielskich franciszkanów pod koniec XIII wieku[186]. Tym razem opowieść jest bardziej zwięzła, niemniej równie obrazowa. Jej akcja rozgrywa się w Irlandii – kraju zwanym przez Rzymian Hibernia, a schrystianizowanym w V wieku przez świętego Patryka. Rzecz ma się tak: „Pewien człowiek w arcybiskupstwie Dublina, kiedy chciał otworzyć swoją skrzynię pełną denarów, zastał siedzącą na niej małpę, która powiedziała: »Nie ruszaj tych pieniędzy, albowiem należą do Kolewina«, to znaczy diabła. Nic dziwnego, ponieważ co nabywa sługa, dla pana swojego nabywa, jak powiedziano w prawie rzymskim" (przeł. M. Jońca)[187].

W łacińskim oryginale opowieść kończy się frazą *ut dicitur in iure civili*, co bywa niekiedy tłumaczone jako „jak stanowi prawo cywilne"[188].

---

186 W. Brojer, *op. cit*., s. 610.

187 Na podstawie tekstu łacińskiego za: J.K. Ingram, *On Two Collections of Medieval Moralized Tales: A Paper Read Before the Royal Irish Academy (Read: 10th April 1882)*, „Proceedings of the Royal Irish Academy" 16 (1879-1888), s. 139.

188 Por. W. Brojer, *op. cit*., s. 315.

Ius civile w doktrynie średniowiecznej to jednak nic innego, jak prawo rzymskie, na naszych ziemiach zwane również cesarskim. Koncepcja głosząca wyłączną zdolność majątkową pana domu (*pater familias*) jest rdzennie rzymska. Tylko on mógł rozporządzać rodzinnym majątkiem we własnym imieniu. Dzieci pozostające pod jego władzą oraz niewolnicy nabywali prawa i zaciągali zobowiązania w imieniu i na rzecz swojego pana.

Naturalnie, w wiekach średnich nie istniał już antyczny model niewolnictwa. W wielu aspektach zmieniła się również konstrukcja rodziny rzymskiej, choć nadal powszechnie uznawano zwierzchnią władzę pana domu. Stare rzymskie rozwiązania zaczęto jednak aplikować nie tylko do rodzinnych stosunków majątkowych, ale również rozciągnąć na takie sfery, jak: relacje lenne, zarząd majątkiem dworu a nawet majątkowy ustrój klasztorów. Powyższa opowiastka pokazuje, że nie gorzej sprawdzały się one w pracy duszpasterskiej. Nie wiadomo, jakie powody złożyły się na to, że bogacz został sługą diabła. Mogła to być nadmierna chciwość – jeden z grzechów głównych. Będąc zaś sługą (użyty w oryginale termin *servus* oznacza niewolnika, ale w odniesieniu do średniowiecza należy tłumaczyć go właśnie jako sługa) szatana, chciwiec działał w imieniu i na rzecz swojego pana. Wszystko, co nabył, bogacąc się za wszelką cenę, nabył dla swojego zwierzchnika z piekła rodem. Trzeba przyznać, że diabelski małpiszon miał niezłą orientację w zawiłościach i niuansach antycznego *ius Romanum* oraz sposobów jego praktycznej aplikacji w czasach średniowiecza.

Diabelska umowa

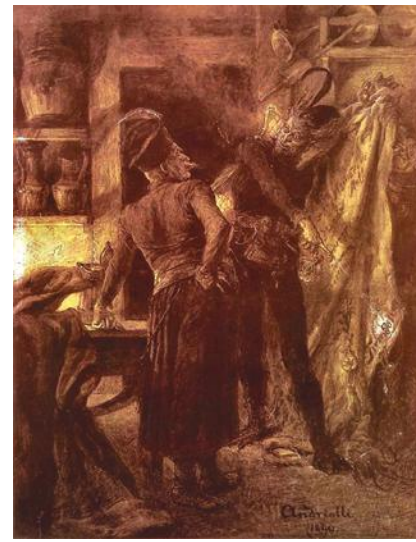
Chirographum to tyle co skrypt dłużny napisany własnoręcznie, w jednym egzemplarzu i wręczony wierzycielowi (gr. *cheirographon*; *cheir* – ręka, *graphein* – pisać). Jego treść opiewała na przyrzeczenie przez dłużnika spełnienia określonego świadczenia. Udział świadków przy sporządzaniu tego rodzaju dokumentów nie był konieczny. W prawie rzymskim forma ta pojawiła się na skutek przenikania do Rzymu hellenistycznych wzorców. Początkowo popularnością cieszyła się jedynie wśród peregrynów (osób przebywających na terytorium *imperium Romanum*, ale nieposiadających rzymskiego obywatelstwa). Z czasem uznanie zyskała również w oczach rzymskich obywateli.

W średniowieczu i w epoce nowożytnej znaczenie *chirographum* nie uległo zasadniczym zmianom, choć od pewnego momentu zrezygnowano z łacińskiej nazwy *chirographum*, na rzecz swojsko brzmiącego cyrografu. Istotna innowacja „dogmatyczna" pojawiła się pod koniec XVIII wieku za sprawą Johanna Wolfganga von Goethego (1749-1832), który kazał doktorowi Faustusowi podpisać *chirographum* w zupełnie nowej formie. Tym razem umowa, jak pamiętamy, dotyczyła następujących podmiotów: człowieka i diabła. Co więcej, to diabeł przygotował treść skryptu dłużnego, co już w znaczący sposób odbiega od grecko-rzymskich standardów. Kwestię tego, czy szatan ma osobowość prawną, chwilowo pomińmy. Co się zaś tyczy Fausta, to z jednej strony jego rola została zredukowana jedynie do złożenia podpisu, z drugiej jednak nie był to podpis byle jaki. Doktor winien się bowiem podpisać na dokumencie własną krwią!



Faust i diabeł (Richard Roland Holst)

W podobny sposób zachował się nasz rodak – Jan Twardowski. Za pewną lokalną osobliwość należy uznać fakt, że zgodnie z relacją Adama Mickiewicza (1798-1855), Twardowski złożył swój podpis pod tekstem przygotowanym zawczasu na byczej skórze. Jak widać, sposób zawierania umowy z diabłem i w tym wypadku różnił się od antycznego kanonu.



Pan Twardowski i diabeł (Michał Elwiro Andriolli)

Warto zestawić legendy Fausta oraz Twardowskiego i przyjrzeć im się okiem prawnika. „Historia doktora Johanna Fausta, słynnego czarnoksiężnika i mistrza czarnej magii" podaje, że Faust, chcąc posiąść znajomość licznych nauk oraz zdobyć ukochaną kobietę, podpisał z czartem umowę. Kontrakt opiewał na 24 lata, podczas których ambitny doktor mógł we wszystkim liczyć na pomoc piekielnego pomocnika. Po upływie przepisanego czasu diabeł odnalazł swego kontrahenta w gospodzie w Rimlich, po czym bezceremonialnie skręcił mu kark i porwał duszę. Wszystko odbyło się więc, można powiedzieć, bardzo po niemiecku, ale i w duchu rzymskiego prawa. Świadczenia wzajemne zostały spełnione, a zobowiązanie wygasło.

Zgodnie z rodzimymi podaniami, początkowo identycznie poczynał sobie z diabłem polski szlachcic – Jan Twardowski. Nasz krajan spowodował jednak, że w umowie znalazła się specjalna klauzula, zgodnie z którą miejscem wykonania umowy miał być Rzym, po czym, jak to nasi, ani myślał wybrać się na pielgrzymkę do Wiecznego Miasta. W efekcie diabeł musiał się nieźle natrudzić, by zwabić go do feralnej karczmy i „położyć na nim areszt". Pojmanie Twardowskiego zapewne zakończyłoby opowieść, gdyby toczyła się ona gdzieś na Zachodzie Europy. W Polsce jednak, gdzie

formalnie nigdy nie doszło do recepcji prawa rzymskiego, nadzieja umiera ostatnia. Oto Twardowski, niesiony w czarcich szponach, rozpoczął odmawiać nowennę do Najświętszej Panienki, co spowodowało, że diabeł upuścił go i pierzchł. Twardowski szczęśliwie wylądował na Księżycu, gdzie, jeżeli wierzyć legendom, do dziś ma się dobrze i gwiżdże na swojego wierzyciela.

Epilog

Dość już strachów. Trzeba żywić nadzieję, że powyższe opowiastki osiągną swój efekt zarówno pedagogiczny (skarga windykacyjna, zdolność majątkowa w rodzinie rzymskiej, przynależności, *chirographum* – pamiętajmy!), jak i wychowawczy (pieniądze to nie wszystko!). Nadmiar grozy niczemu przecież nie służy.

Co się zaś tyczy prawa zarówno materialnego, jak i procesowego, w oparciu o które funkcjonuje miejsce „gdzie robak ich nie umiera i ogień nie gaśnie" (*Marc*. 9.44), to mamy wszelkie powody, by zakładać, że jego podstawowy korpus ukształtowany został w oparciu o kanony znane z prawa rzymskiego. Trudno powiedzieć, czy sugerowany zabieg coś pomoże, „kiedy wypełnią się twoje dni i będziesz musiał odejść do twoich przodków" (*Cron*. 1.11), ale na wszelki wypadek warto się jednak prawa rzymskiego uczyć. Nie dla oceny…

11. KRÓTKA KARIERA ŁACIŃSKICH PAREMII W PRAWIE

Umiejętność posługiwania się łacińskimi paremiami prawniczymi stanowi część warsztatu współczesnego prawnika. Jeszcze dziś wielu ustawodawców opiera się na nich w procesie tworzenia prawa, zaś sądy przy wydawaniu wyroków. Łacińskie reguły stanowią teoretyczną podbudowę prawniczej wiedzy. Często poza skarbnicą prawniczej mądrości stanowią także nośnik uniwersalnych wartości etycznych. Odwoływanie się do nich świadczy o erudycji mówiącego i podnosi rangę jego wypowiedzi. Tradycja wykorzystywania w prawniczej praktyce sformułowań o sentencjonalnym charakterze, trafnie oddających istotę rzeczy, sugestywnych i łatwo „wpadających w ucho", ma długą tradycję w historii prawa Europy.

Starożytni Grecy stworzyli obszerny system wyrażeń, które określali jako *gnomai*. Były to krótkie powiedzonka, zawierające pewną mądrość w ogólnym, często filozoficznym znaczeniu. Z dzisiejszego punktu widzenia wiele z nich ma ewidentnie prawniczy charakter. Gnomy, z których najstarsze odnajdujemy już w pismach Homera i Hezjoda (VIII w. p.n.e.), wplatali do swych utworów nie tylko poeci, prozaicy, historycy czy filozofowie, ale także z lubością posługiwali się nimi mówcy sądowi.

To jednak antyczny Rzym spopularyzował stosowanie prawniczych paremii, oczywiście w wersji łacińskiej. Zwięzłe reguły prawne obecne były już w myśli prawników okresu republiki (509-27 p.n.e.). W okresie tym wyrażenia o sentencjonalnym charakterze częściej bywały przeszczepiane na grunt prawny z dzieł o charakterze literackim. Spośród ich twórców na pierwszy plan wysuwa się Marek Tulliusz Cyceron (106-43 p.n.e.), którego celne uwagi od wieków służą nie tylko prawnikom. Do bardziej znanych cycerońskich powiedzeń należą: „Przed dobrym sędzią argumenty znaczą więcej niż świadkowie”[189], „Komu [przestępstwo – M.J.] przyniosło korzyść?”[190], „Wszelkie dochodzenie i kara mają być wolne od zniewagi”[191], „Najlepszym świadkiem jest oskarżony przyznający się do winy [ewentualnie pozwany uznający roszczenie – M.J.]”[192]. Niektóre z jego opinii, mimo swego kolokwialnego charakteru, na stałe weszły do kanonu prawniczej retoryki, jak: „O czasy, o obyczaje!”[193], „Bezpieczeństwo państwa najwyższym prawem”[194], czy „Największe prawo największą niesprawiedliwością”[195].

W Rzymie po raz pierwszy pojawiła się praktyka sporządzania kompilacji powiedzeń i sentencji, z których gros miało charakter prawniczy. Przykładem tej tendencji jest dziełko Publiliusza Syrusa (I w. p.n.e.), autora zbioru powiedzeń zatytułowanego „Powiedzenia” (*Sententiae*). To od niego pochodzą m.in. wyrażenia: „Kto unika sądu, przyznaje się

---

189 Cic. *de rep*. 1.38.59: *Apud bonum iudicem argumenta plus quam testes valent.*

190 Wg Cic. *pro Rosc. Am*. 84: *Cui bono fuisset?*

191 Cic. *de off.* 1.25.88: *Omnis autem et animadversio et castigatio contumelia vacare debet.*

192 Cic. *pro Lig*. 1.2: *Optimus testis confitens reus.*

193 Cic. *in Cat*. 1.2: *O tempora, o mores!*

194 Cic. *de leg*. 3.8: *Salus publica suprema lex.*

195 Cic. *de off*. 1.33: *Summum ius summa iniuria.*

do winy”[196], „Prędkość w sądzeniu jest przestępcza”[197], „Wspólnikiem w winie staje się ten, kto wspiera wyrządzającego szkodę”[198].

Od I wieku do powszechnego użycia także w obrocie prawniczym zaczęły trafiać także liczne wyimki z pism Seneki Młodszego, jak: „Chwalebną jest rzeczą czynić to, co wypada, nie to, co wolno”[199], „Kto wydał wyrok nie wysłuchawszy drugiej strony, choć orzekł sprawiedliwie, nie był sprawiedliwy”[200], „Ustawy powinny być krótkie, aby można było je łatwiej zrozumieć”[201], „Nikt roztropny nie karze dlatego, że popełniono przestępstwo, ale po to, by nie popełniono go w przyszłości”[202], „Siła wyższa usprawiedliwia”[203].

Juryści epoki klasycznej (II-III w.), mimo skłonności do kazuistycznego rozwiązywania problemów prawnych, zapoczątkowali spisywanie zasad o charakterze prawnym, w tzw. księgach reguł (*libri regularum*). Przede wszystkim jednak przełamali głęboko zakorzenioną niechęć do tworzenia definicji i podjęli próbę określenia istoty reguły prawnej. Żyjący na przełomie II i III wieku Paulus odnotował: „Regułą jest zwięzłe wyjaśnienie istoty rzeczy. Nie z reguły wyprowadza się prawo, ale z obowiązującego prawa powstaje reguła”[204].

Z drugiej strony, najwybitniejsi prawnicy tego okresu mniej lub bardziej intencjonalnie zawierali rozstrzygnięcia niejednokrotnie skomplikowanych problemów prawnych w krótkich zdaniach o charakterze wprowadzającym do dalszych rozważań lub je podsumowujących. W okresie późniejszym wiele z nich funkcjonowało w oderwaniu od swego pierwotnego kontekstu. Przykładowo: „Przyrost przypada właścicielowi rzeczy głównej”[205], „Ciężar przeprowadzenia dowodu spoczywa na tym,

---

196 Publ. Sir. F 9: *Fatetur facinus, qui iudicium fugit.*

197 Publ. Sir. I 25: *In iudicando criminosa est celeritas.*

198 Publ. Sir. S 35: *Socius fit culpae, qui nocentem sublevat.*

199 Sen. *Oct*. 454: *Id facere laus est, quod decet, non quod licet.*

200 Sen. *Med*. 199-200: *Qui statuit aliquid parte inaudita altera, aequum licet statuerit, haud aequus fuit.*

201 Sen. *ep. ad Luc*. 94.38: *Leges breves esse oportet, quo facilius teneantur*.

202 Wg Sen. *de ir*. 1.19.7: *Nemo prudens punit, quia peccatum est, sed ne peccetur*.

203 Sen. *de benef*. 4.39.4: *Vis maior excusat.*

204 D. 50.17.1: *Regula est, quae rem quae est breviter enarrat. Non ex regula ius sumatur, sed ex iure quod est regula fiat.*

205 D. 34.2.19.13: *Accessio cedit principali.*

który twierdzi, a nie zaprzecza”[206], „Nikt nie jest zobowiązany do niemożliwego”[207], „To, co jest trwale związane z gruntem przypada właścicielowi gruntu”[208], „Siłę wolno odeprzeć siłą”[209].

W okresie poklasycznym (IV-VI w.), kiedy na skutek skomplikowanej sytuacji politycznej, społecznej i ekonomicznej, w której znalazło się państwo rzymskie, nauka prawa popadła w kryzys. W trudnych warunkach to właśnie krótkie, treściwe reguły były najchętniej kopiowane, a następnie powielane jako spłycony, choć praktyczny i czytelny obraz obowiązującego prawa. Z najbardziej znanych kompilacji warto wymienić *Pauli Sententiae* oraz *Regulae Ulpiani*. W VI wieku kodyfikatorzy justyniańscy posiłkowali się nimi, tworząc siedemnasty tytuł w pięćdziesiątej księdze „Digestów” – „O różnych regułach dawnego prawa” (*De diversis regulis iuris antiqui*). Znalazło się w nim dwieście jedenaście różnorakich zasad prawnych ujętych w zwięzłej, sentencjonalnej formie.

Po upadku cesarstwa zachodniego (476) depozytariuszem wartości prawa rzymskiego na zachodzie Europy stał się Kościół, który nie tylko przechował dla potomności cenne zwoje zawierające prawniczą mądrość, ale także w swym wewnętrznym porządku aplikował wiele z rzymskich regulacji. Zadziwia ilość i trafność rozwiązań wypracowanych na gruncie prawa rzymskiego przez prawo kanoniczne, do dziś stosowanych w większości porządków prawnych świata. Wszak to kanoniści są autorami następujących powiedzeń: „W sądach nie należy mieć względu na osoby”[210] czy „Wykonywanie obowiązków służbowych nie powinno nikogo narażać na szkody”[211]. Zakończmy fundamentalnym: „Umów należy dotrzymywać”[212].

Nowy rozdział w historii rozwoju prawa rzymskiego, a zatem także powstawania i upowszechniania łacińskich paremii prawnych, napisały powstałe we Włoszech prawnicze szkoły glosatorów (XI-XII w.) i komentatorów (XIV w.). Pierwsi dokonywali szczegółowej, wręcz laboratoryjnej,

---

206 D. 22.3.2: *Ei incumbit probatio qui dicit, non qui negat.*

207 D. 50.17.185*: Impossibilium nulla obligatio est.*

208 Gai. 2.73: *Superficies solo cedit.*

209 D. 43.16.1.27*: Vim vi repellere licet.*

210 *Lib. sex*. 5.13.12: *In iudiciis non est acceptio personarum habenda.*

211 *Reg. can*. 76: *Officium suum nemini debet esse damnosum.*

212 *Decr*. 1.35.1 *summ*.: *Pacta sunt servanda.*

analizy przepisów prawa rzymskiego, którą uzupełniali krótkimi uwagami (tzw. glosami). Wiele z nich, jak: „Przesadna ostrożność nie szkodzi”[213] czy „Domniemuje się istnienie dobrej wiary”[214], zyskały ponadczasową popularność. Komentatorzy koncentrowali się raczej na tworzeniu obszernych omówień poszczególnych regulacji. Także z ich pism zaczęto „wyjmować” bardziej celne sformułowania, które wkrótce zaczęły żyć własnym życiem, jak: „Zgromadzenie wyraża wolę ludu”[215], „Rozpoczęty dzień uważa się za zakończony”[216], „Dzień wzywa zamiast człowieka”[217], „Fikcja prawna wywołuje te same skutki co prawda”[218], „Tam powinno się karać, gdzie zostało popełnione przestępstwo”[219]. Wiele podobnych przemyśleń zebrano następnie w specjalnych zbiorach (*regulae*, *generalia*, *brocarda*). Poza swą funkcją praktyczną spełniały one także istotną rolę w procesie nauczania prawa.

W średniowiecznej i nowożytnej Francji prawnicy poświęcali nieco mniej uwagi regułom prawnym, choć prześmiewca François Rabelais (ok. 1494-1553), wytknął im przesadne przywiązanie do łacińskich formułek. Faktem jest, że korzystanie z nich miało wielu zwolenników. Charles Dumoulin (Molinaeus; 1500-1566), głoszący ideę wprowadzenia we Francji jednolitego systemu prawnego, postulował wprowadzenie niektórych zasad prawa rzymskiego, które miały służyć jako spoiwo. Podobnie Jean Bodin (1530-1596) w swej teorii sprawowania rządów na podstawie woli suwerena wychodził od justyniańskich „Digestów”. Do reguł prawnych obszernie odwoływał się w swych pracach Jean Domat (1625-1696), którego twórczość substancjalnie wpłynęła na kształt francuskiego *Code civil*.

W Niemczech w najpełniejszym stopniu dokonała się recepcja prawa rzymskiego. W 1495 roku powołano Sąd Kameralny Rzeszy (niem. *Reichskammergericht*, łac. *Camerae Imperialis Judici*). Jego sędziowie musieli posiadać znakomitą orientację w prawie rzymskim. Przykład naj-

213 Azo ad D. 4.8.21.6: *Abudans cautela non nocet.*
214 Accursius ad Inst. 2.6 *pr.*: *Bona fides praesumitur.*
215 Baldus ad D. 1.4.1: *Consilium repraesentat mentem populi.*
216 Gothofredus ad D. 28.1.5: *Dies coeptus pro completus habetur.*
217 Baldus ad D. 12.1.14: *Dies interpellat pro homine.*
218 Gothofredus ad D. 12.1.14: *Fictio operatur quod veritas.*
219 Bartolus ad D. 48.2.7: *Ibi debet puniri, ubi quis delinquit.*

wyższego sądu oddziaływał na instancje niższe, które w wielu aspektach brały z niego wzór. W procesie sądzenia posługiwanie się łaciną, w tym łacińskimi paremiami, odgrywało substancjalną rolę. Rzymskie zasady zostały szeroko wykorzystane także w procesie przystosowywania prawa rzymskiego dla potrzeb praktyki, dokonującym się między XVI a XIX wiekiem.

Paremie prawnicze powstawały i funkcjonowały nawet w tak różnym od kontynentalnego porządku anglosaskim. Wiele z nich (początkowo prawie wszystkie), mimo że odnosiły się do systemu *common law*, były tłumaczone na łacinę dla podkreślenia ich powagi. Niekiedy ich rzymski rodowód był oczywisty, jak w przypadku: „Dwóch nie może niepodzielnie posiadać tej samej rzeczy”[220]. Innym razem pojawiają się uzasadnione wątpliwości. Trudno bowiem orzec, czy trzeba koniecznie wyjść ze szkoły prawa rzymskiego, by wpaść na koncept: „Nikt nie daje tego, czego nie ma”[221]. Semantycznie zdecydowanie angielskie pochodzenie ma paremia: „Chcącemu nie dzieje się krzywda”[222].



Fiat iustitia, ruat coelum – „herb” rodziny Josepha Drewa

[220] *Duo non possunt in solido unam rem possidere*; por. D. 41.2.3.5.
[221] *Nemo dat quod non habet*; por. D. 50.17.54.
[222] *Volenti non fit iniuria*.

Bez przesady można stwierdzić, że w I Rzeczpospolitej łacina była drugim oficjalnym językiem. Na skutek dynamicznej działalności Kościoła oraz studiów podejmowanych przez licznych naszych rodaków za granicą, prawo rzymskie było nad Wisłą znane. Niemniej jego przepisy nigdy nie zostały recypowane. W czasach Polski piastowskiej wpływ na ten stan rzeczy miała stworzona przez glosatorów teoria, zakładająca ciągłość pomiędzy imperium rzymskim oraz cesarstwem niemieckim. Zgodnie z nią cesarze niemieccy uznali się za panów całego chrześcijańskiego świata. W odczuciu zawsze nieufnych Polaków, przyjęcie systemu prawa rzymskiego oznaczałoby także symboliczne przyjęcie zwierzchnictwa cesarstwa.

Od XV wieku polityczne zagrożenie ze strony cesarstwa niemieckiego odeszło w niepamięć. System stworzony przez rzymskich jurystów nie został jednak recypowany. Złożyły się na to dwa powody, a niewykluczone, że literalne brzmienie dwóch sentencji prawniczych – „Władca nie podlega prawom”[223] oraz „Co się podoba władcy ma moc ustawy”[224].

Na użytek własny niekiedy tworzono jednak zasady ubrane w łacińską szatę. Wspomnijmy o dwóch najbardziej znanych. Pierwsza z nich brzmi: „Nikogo nie uwięzimy bez wyroku sądowego”[225]. Zasada ta została sformułowana na podstawie postanowień przywilejów jedlneńsko-krakowskich (1430, 1433), nadanych szlachcie przez Władysława Jagiełłę. Z kolei w 1505 roku na sejmie radomskim uchwalono konstytucję, która przeszła do historii pod nazwą: *Nihil novi nisi commune consensu*, czyli „Nic nowego bez zgody ogółu”.

Sentencje świetnie nadawały się dla prowadzenia polityki krajowej i międzynarodowej. Kiedy w 1225 roku Edward I zwoływał stan duchowny na obrady parlamentu, posłużył się maksymą: „Co dotyczy wszystkich, niech zostanie przyjęte przez wszystkich”[226]. Sparafrazował tym samym odpowiedni fragment z *Liber sextus*[227]. W sporze pomiędzy prawnikami Henryka VIII a papieżem Pawłem III, dotyczącym zwierzchnictwa nad Kościołem angielskim, zwolennicy króla przytoczyli maksymę: „Król jest

---

223 D. 1.3.31: *Princeps legibus solutus.*

224 D. 1.4.1 *pr.*: *Quod principi placuit, legis habet vigorem.*

225 *Neminem captivabimus nisi iure victum.*

226 *Quod omnes tangit ab omnibus aprobetur.*

227 *Lib. sex*. 5.13.29.

cesarzem na swym terytorium”[228]. Tymczasem na terytorium Rzeszy Niemieckiej aż do roku 1806 obowiązywała jej mutacja: „Książę cesarzem na własnym terytorium”[229]. Jedno z kluczowych postanowień pokoju augsburskiego (1555), kończącego wyniszczające wojny religijne, zostało streszczone przez Joachima Stefanusa w dziele „Instytucje prawa kanonicznego” w słynnej formule: „Czyj kraj, tego religia”[230]. Odtąd zasada stanowiła wyznacznik w rozwiązywaniu sporów religijnych o charakterze wewnętrznym.

Wiek XIX to okres wielkich kodyfikacji. W 1804 roku Francja przyjęła *Code Civile des Français*, zwany także Kodeksem Napoleona. W dobie wojen napoleońskich idee w nim zawarte rozprzestrzeniły się po całej Europie. Śladem Francuzów rychło podążyły kraje niemieckojęzyczne. W 1811 roku nowy kodeks cywilny został wprowadzony na terytoriach znajdujących się pod panowaniem Habsburgów (ABGB). 1 stycznia 1900 roku akt prawny tego samego rodzaju wszedł w życie na obszarze Rzeszy Niemieckiej (BGB). Niedługo potem, bo w 1912 roku, nowy kodeks zaczął obowiązywać w Szwajcarii (ZGB). W tych i innych europejskich kodyfikacjach prawa cywilnego w wielu miejscach ustawodawca oparł się na rozwiązaniach o rzymskiej proweniencji często funkcjonujących w formie łacińskich regułek.

Obecnie prawo rzymskie ma charakter wciąż szanowanej, choć w gruncie rzeczy nieco kostycznej dyscypliny akademickiej. Niemniej łacińskie reguły prawne nadal znajdują swoje zastosowanie przed sądami polskimi, gdyż liczne treści w nich zawarte zostały przeszczepione na grunt obowiązującego prawa polskiego. W lepszych wydaniach ustaw oraz komentarzach do nich czytelnik niejednokrotnie, obok przepisu w języku polskim, natyka się na jego łaciński pierwowzór. Sytuacja taka ma miejsce zwłaszcza wtedy, kiedy norma jest nośnikiem pewnych ogólnych wartości, jak: „prawo nie działa wstecz”[231], „w razie wątpliwości [sędzia powinien rozstrzygać – M.J.] na korzyść oskarżonego”[232], „nie

---

228 *Rex est imperator in teritorio suo.*

229 *Dominus imperator in teritorio suo.*

230 *Cuius regio eius religio.*

231 *Lex retro non agit.* Zob. np. art. 42 ust. 1 Konst.; art. 3 KC; art. 1 § 1 KK.

232 *In dubio pro reo*. Zob. art. 5 KPK. Por. art. 42 ust. 3 Konst.

ma przestępstwa bez ustawy”[233], „nie wolno dwa razy procesować się w tej samej sprawie”[234], „nikt nie jest sędzią we własnej sprawie”[235] i wiele innych. Zasady prawne odziane w łacińską szatę wciąż mają także swoje miejsce we współczesnym systemie edukacji prawniczej. Zdarzeniem bez precedensu stało się ozdobienie łacińskimi sentencjami gmachu Sądu Najwyższego w Warszawie. Sześćdziesiąt siedem kolumn przyozdobiono paremiami wyrażającymi uniwersalne prawnicze wartości. Akt ten najdobitniej świadczy o żywotności łaciny w prawie.

Co się tyczy perspektyw dla łacińskich sentencji prawniczych, to wydaje się, że nie rysują się one najgorzej. Nie ma sensu podważać faktu, że współcześnie łacina jako taka od bardzo dawna nie jest w stanie odgrywać roli języka nauki prawa. Niemniej łacińskie reguły prawne na dobre zadomowiły się w doktrynie i praktyce. Naturalnie nic nie stoi na przeszkodzie, by z nich zrezygnować. Nawet łatwiej byłoby posługiwać się sformułowaniem „nieznajomość prawa szkodzi” zamiast *ignorantia iuris nocet* czy „surowe prawo, ale prawo” zamiast *dura lex sed lex*. Czy jednak nie brzmi to jakoś inaczej? Gorzej…?

---

233 *Nullum crimen sine lege*; zob. np. art. 42 ust. 1 Konst.; art. 7 ust. 1 EKPCz; art. 1 § 1 KK.

234 *Bis eadem re agere non licet*; zob. art. 199 § 1 pkt 2 KPC.

235 *Nemo iudex in causa sua*; zob. np. art. 48 § 1 pkt 1 KPC; art. 40 § 1 pkt 1 KPK.

Rozdział II

PRAWO RZYMSKIE W SZTUCE

1. JAK POWINNA WYGLĄDAĆ SPRAWIEDLIWOŚĆ?

Asumpt do powstania niniejszego tekstu dała niezwykła wystawa zatytułowana „Wina i kara. Sprawiedliwość w grafice europejskiej XVI--XIX w.", na której pokazano grafiki pochodzące ze zbiorów Gabinetu Rycin Biblioteki Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk. Ekspozycja, ulokowana w Międzynarodowym Centrum Kultury, była dostępna dla zwiedzających od 14 lutego do 19 kwietnia 2009 roku. Podzielono ją na siedem korespondujących ze sobą tematycznie sekcji: „W kręgu Temidy", „Prawodawca i sędzia", „Sceny sądowe", „Zbrodnia i przestępcy", „Kara", „Miłosierdzie i przebaczenie" oraz „Sąd Ostateczny"[1].

Tytułem wstępu

W pierwszej kolejności warto poczynić kilka uwag odnośnie do pierwszej, niejako otwierającej części wystawy, w której przedstawiono kilka przykładów personifikacji sprawiedliwości. Obecnie wyobrażenia Sprawiedliwości spotkać można właściwie wszędzie. Pojawiają się nie tylko na posągach, rzeźbach, płaskorzeźbach, obrazach, porcelanie, witrażach, okolicznościowych medalach, pieczęciach, monetach, logo (najczęściej korporacji prawniczych i stowarzyszeń studentów prawa), ale także na ubraniach, w karykaturach prasowych, komiksach itd. Umiarkowaną popularnością (ale jednak!) cieszą się nawet tatuaże o tej tematyce. Ujrzawszy kobietę w przepasce na oczach, dzierżącą w jednej ręce miecz,

[1] *Wina i kara. Sprawiedliwość w grafice europejskiej XVI- XIX wieku*, Kraków 2009.

w drugiej wagę, nie potrzebujemy dodatkowych objaśnień. To bez wątpienia Sprawiedliwość. Jej wyobrażenie, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę, nie zawsze jednak wyglądało tak samo.

Wizerunek Sprawiedliwości

Zacznijmy jednak od początku. Wizerunek Sprawiedliwości, który niejako „przez opatrzenie" stał się nieodłączną częścią naszego krajobrazu kulturowego, jest stosunkowo młody. Nic dziwnego. Wielu artystów zadawało sobie z pozoru banalne pytania: Jak namalować Sprawiedliwość? Jak ona wygląda? Czy ona w ogóle wygląda? Wszak nie jest to rzecz materialna czy człowiek, ale idea, określona koncepcja filozoficzna i prawna, co sprawia, że przy tworzeniu jej wizerunku nie było możliwości skorzystania z modela.

Rozwiązanie tego problemu znaleźli starożytni Grecy, wymyślając pojęcie alegorii, której szczególną odmianą jest personifikacja. Niezwykle istotnymi elementami alegorycznego przedstawienia jakiegoś fenomenu, którego nie ma w postrzegalnej okiem rzeczywistości, są atrybuty, czyli dodatkowe przedmioty, w które wyposaża się przedstawianą postać. Chcąc zatem przedstawić Okrucieństwo, malowano kobietę o przerażającym wyglądzie, w czerwonych szatach, ze słowikiem na ramieniu, duszącą dziecko. Półnagi starzec, trzymający klepsydrę lub węża, to Czas. Analogicznie: obskurnie ubrana kulawa stara kobieta z batem to Kara itd. Postać ludzką przyjmowały także liczne instytucje prawa, jak: dług, kredyt, akcyza, podatek, lichwa, szkoda, nagroda, skrucha, amnestia i wiele, wiele innych. A jak wyobrażano samą Sprawiedliwość?

W starożytności czyniono to w sposób, który dla współczesnego odbiorcy byłby zupełnie nieczytelny. W Egipcie ideę prawa, boskiego porządku i prawdy uosabiała bogini Ma'at, przedstawiana jako młoda kobieta trzymająca w jednej ręce wagę, w drugiej symbol wiecznego życia – znak *ankh*. Niekiedy rozpoznajemy ją jako kobietę ze skrzydłami zamiast rąk. Jej znakiem rozpoznawczym jest pióro strusia wetknięte we włosy. Grecki mędrzec Horapollon, autor traktatu „Hieroglyphica", wyjaśnia, że Egipcjanie, przedstawiając człowieka bezstronnie wymierzającego sprawiedliwość, rysowali pióro strusia. „Zwierzę to bowiem, w przeciwieństwie do innych ptaków, ma ze wszystkich stron równe upierzenie"[2].

[2] Herap. *Hier*. 118.

Grecy postrzegali sprawiedliwość jako jedną z cnót stanowiących właściwość ludzkiej duszy. Oddawali jej cześć pod dwiema postaciami – Temidy oraz Astrei. Wyobrażenia Temidy w niczym nie różnią się od przedstawień większości innych bogiń zamieszkujących Olimp. Na rzeźbach i malowidłach widzimy piękną kobietę, niekiedy z wieńcem wplecionym we włosy. Grecki autor Chryzyp pokusił się o opisanie jej cech charakteru: „Mówią, że to dziewica, co ma symbolizować jej czystość i stanowić wskazówkę, że nigdy nie ustąpiła przed złoczyńcami, nigdy nie ugięła się przed zręczną mową, modlitwą, błaganiem, zwodzeniem ani niczym w tym rodzaju. Dlatego słusznie jest też wyobrażana jako postać surowa i dostojna, z poważnym wyrazem twarzy i przenikliwym, niezłomnym spojrzeniem, aby mogła wzbudzać strach w złych, odwagę zaś w dobrych. Tym ostatnim objawia się w przyjaznej postaci, jako przyjaciołom; w stosunku do pierwszych okazuje srogą twarz”[3]. Charakterystyczne atrybuty posiadała natomiast Astrea, która zgodnie z legendą opuściła ziemię oburzona zbrodniami ludzi i udała się do niebios, gdzie do dziś jaśnieje jako konstelacja Panny. W charakterze znaku zodiaku od starożytności po czasy współczesne wyobrażana jest jako młoda kobieta trzymająca wagę i kłos.



Moneta rzymska. Na awersie Klaudiusz II Gocki. Na rewersie bogini *Aequitas*

Również Rzymianie czcili sprawiedliwość w dwóch bóstwach – *Iustitia* oraz *Aequitas*. Na monetach z okresu cesarstwa (I-V w.) *Iustitia* ukazywana była w dwóch wariantach. Na pierwszym widzimy szlachetny kobiecy profil. Sprawiedliwość z włosami upiętymi w niewielki kok ubrana jest w togę. Jej głowę zdobi diadem. Kolejny schemat ukazuje kobietę w todze

[3] Aul. Gell. *noct. att*. 14.4.4.

siedzącą na tronie lub krześle kurulnym. W jednej ręce dzierży berło, w drugiej – gałązkę lub naczynie w kształcie patery. Wyobrażenie *Aequitas* nieco bardziej przywodzi na myśl współczesne wizerunki Sprawiedliwości. Na licznych monetach pojawia się ona jako stojąca postać kobieca trzymająca w jednej ręce wagę, w drugiej włócznię lub róg obfitości.

Do naszych czasów niestety nie zachowały się posągi bogini. Wiemy jednak, że istniały. Antykwarysta Aulus Gelliusz w traktacie zatytułowanym „Attyckie noce" zawarł rzeczowy opis ich wyglądu: „Kształt i postawa dziewicy, o srogim i przerażającym spojrzeniu, przenikliwym błysku w oczach oraz dostojeństwie nie podstępnym czy okrutnym, lecz wzbudzającym strach". Takie upozowanie Sprawiedliwości miało wpływać na sędziego, który będąc „kapłanem Sprawiedliwości" (*Iustitiae antistes*), podobnie jak ona, powinien być dostojny, święty, surowy, nieprzekupny, niedający się zagadać, bezlitosny, niewzruszony w stosunku do złoczyńców, energiczny, dumny i potężny, straszny przez moc oraz majestat prawdy i słuszności[4]. Niektóre wyobrażenia Sprawiedliwości były tak przerażające, że liczni filozofowie postrzegali je raczej jako uosobienie okrucieństwa.

Jezuita Maciej Kazimierz Sarbiewski (1595-1640), powołując się na neapolitańskiego prawnika Alessandra d'Alessandra (ok. 1461-1523), przedstawia inny osobliwy zwyczaj Rzymian związany z kultem Sprawiedliwości: „Sprawiedliwość (*Iustitia* czy *Aequitas*) czczona była w postaci posągu bez głowy. Ten bowiem sędzia jest najsprawiedliwszy, który posłuszny jest nie względom prywatnym lub argumentom i władzy, lecz przede wszystkim prawom. Dlatego trzeba, aby Sprawiedliwość była bez głowy"[5].

Nadejście przesiąkniętego chrześcijańskim mistycyzmem średniowiecza jedynie pozornie położyło kres kulturze pogańskiej. Barwny i złożony świat pogańskich bóstw i postaci mitologicznych zachowały alegorie. Nie inaczej stało się ze Sprawiedliwością, która w wiekach średnich skupiła w jednej osobie (*Iustitia*) cechy związane z boskim porządkiem, prawem i wymiarem sprawiedliwości. Obok Męstwa (*Fortitudo*), Roztropności (*Prudentia*) i Umiarkowania (*Temperantia*), *Iustitia* zasiliła grono cnót kardynalnych. W tym zacnym towarzystwie pozostaje zresztą do dziś[6].

---

4 Aul. Gell. *noct. att*. 14.4.3.

5 *Dii gentium* 53.1.20-26.

6 Zob. pkt 1810 *Katechizmu Kościoła Katolickiego*.



Maciej Kazimierz Sarbiewski

Średniowiecznym teologom zawdzięcza Sprawiedliwość, tym razem już nie jako bogini, ale personifikacja czystej idei, „zaopatrzenie" w miecz i wagę. W starożytności „prawem miecza" (*ius gladii*) określano kompetencje sędziego, które pozwalały mu skazać na śmierć obywatela. Osobliwie jednak nie kojarzono tego atrybutu z personifikacją Sprawiedliwości. W średniowieczu miecz postrzegano tymczasem jako symbol Sprawiedliwości Bożej. Nieprzypadkowo, kiedy Adam i Ewa zostali wygnani z raju, Jahwe ustawił przy wejściu do Edenu dwóch cherubinów wymachujących mieczami[7]. Podobnie Chrystus jako najwyższy sędzia dzierży miecz na licznych wyobrażeniach Sądu Ostatecznego. Abstrahując od antycznych konotacji, waga również wchodziła w skład atrybutów Bożej Sprawiedliwości. W „Starym Testamencie" Jahwe za pomocą swej wagi precyzyjnie odmierza zasługi sprawiedliwych[8]. Archanioł Michał zaś w czasie Sądu Ostatecznego miał „ważyć dusze". Średniowieczna Sprawiedliwość nie

[7] *Rdz*. 3.24

[8] *Jb* 31.6; *Prz*. 11.1; 20.10.

rozstaje się z obydwoma przedmiotami. Dodatkowo z reguły ma na głowie koronę i zasiada na tronie.

Poza monumentalnymi przedstawieniami malarskimi i rzeźbiarskimi Sprawiedliwość w opisanej postaci na dobre zagościła na kartach tarota. Na unikatowym egzemplarzu pochodzącym z włoskiej talii wyprodukowanej około 1465 roku widzimy damę w długiej szacie, trzymającą miecz i wagę. Z tyłu leniwie przechadza się… pelikan. Na dole umieszczono napis: *IVSTITIA XXXVII*.

Struś to kolejny, choć rzadko wykorzystywany, atrybut sprawiedliwości. W tym charakterze pojawiał się już w starożytnym Egipcie. Obecność ptaka w otoczeniu nowożytnych wyobrażeń Sprawiedliwości w następujący sposób tłumaczy autor monumentalnego dzieła zatytułowanego „Ikonologia" Cesare Ripa (ok. 1560 – ok. 1622): „Struś poucza nas, że rozsądzane sprawy, jakkolwiek by były zagmatwane, zawsze trzeba próbować rozplątać i rozwikłać z wielką cierpliwością, tak jak struś trawi żelazo, choć przecież substancja to bardzo twarda"[9].

A co z opaską na oczach?

Otóż motyw ślepej Sprawiedliwości po raz pierwszy pojawia się w europejskiej sztuce dopiero w XV w. – i to jako karykatura niewydolności wymiaru sprawiedliwości. W średniowiecznej symbolice opaska nie oznaczała ślepoty, ale zaślepienie. W „Ewangelii św. Łukasza" żołnierze pilnujący Chrystusa, chcąc poniżyć więźnia i wykazać, że jest fałszywym prorokiem, zawiązali mu oczy, a następnie pluli na niego i bili go ze słowami: „Prorokuj, kto cię uderzył"[10]. W ikonografii religijnej kobieta z zasłoniętymi oczyma często stanowiła personifikację synagogi, która nie potrafiła dostrzec w Jezusie Zbawiciela.

W związku z powyższym trudno było o pozytywne skojarzenia na widok Sprawiedliwości z zawiązanymi oczyma. Poprzestańmy na kilku przykładach. W 1494 roku Sebastian Brandt (1457-1521), prawnik, profesor prawa rzymskiego i kanonicznego na uniwersytecie w Bazylei oraz urzędnik magistralny tegoż miasta, opublikował swe pomnikowe dzieło zatytułowane „Statek głupców" (*Narrenschiff*). Jeden z rozdziałów

9 C. Ripa, *Ikonologia*, przeł. I. Kania, Kraków 2008, s. 169.

10 Luc. 22.63.

poświęcono w nim rozprawom przed sądem, których jedynym sensem było, zdaniem autora, nieustanne nabijanie kabzy sędziom i adwokatom. Głupcy, pisze Brandt, udają się do sądu, by bogacić się, a nie dochodzić sprawiedliwości. Na ilustracji zamieszczonej przy tym fragmencie, autorstwa najprawdopodobniej Albrechta Dürera (1471-1528), widzimy siedzącą na tronie Sprawiedliwość, której od tyłu wiąże oczy przepaską jeden z głupców. Podobnym konceptem posłużył się Luca Penni (1500-1556) w cyklu akwafort zatytułowanym „Sprawiedliwość i siedem grzechów głównych". Na jednym z wyobrażeń żołnierz zawiązuje oczy Sprawiedliwości, co miało stanowić sprzeciw wobec wszelkich prób siłowego wpływania na wydawanie wyroków. Ewidentnie prześmiewczy charakter ma również grafika, którą stworzył w 1550 roku Dirk Volkertsz Coornhert (1519-1590). Artysta w stylu, którego nie powstydziłby się Salvador Dali, przedstawił „ślepą" Sprawiedliwość, zrzucaną znienacka przez znarowionego konia. Kobieta próbuje wprawdzie utrzymać się w siodle, ale z zasłoniętymi oczyma jest zupełnie bezradna.



Ślepa sprawiedliwość. Grafika ilustrująca dzieło zatytułowane „Statek głupców" Sebastiana Brandta. Albrecht Dürer (1494)

Ślepota Sprawiedliwości jeszcze dziś jest wyszydzana w karykaturach. Podkreśla się w nich nie tylko to, że pozbawiona wzroku bogini nie jest w stanie rzeczowo ocenić sytuacji, ale także fakt, iż w takim stanie niezwykle łatwo nią manipulować. Co ciekawe, motyw ten pojawia się również w przedstawieniach Niesprawiedliwości. Wspomniany już Cesare Ripa zdradza, jak ją rozpoznać: „Niewiasta w sukniach białych, poplamionych, z mieczem w prawej dłoni i ropuchą w lewej. Na ziemi walają się strzaskane na kawałki tablice praw oraz książka. Postać jest ślepa na prawe oko, pod stopami ma wagę"[11].

Niemniej już w XV wieku artyści zaczęli przekonywać się do idei, że przepaska na oczach może oznaczać również bezstronność. Na oryginalnej akwarelі z 1524 roku autorstwa Petera Visschera Młodszego (1487-1528), ukazującej apoteozę Marcina Lutra i sławiącej zwycięstwo reformacji w Niemczech, widzimy tronującego protestanckiego księcia, któremu Sprawiedliwość (*Iustitia*) wiąże oczy, aby nic nie mąciło mu sprawiedliwego osądu. Na miedziorycie Petera Gallego (1537-1612) z 1559 roku Sprawiedliwość z wagą, mieczem i zawiązanymi oczyma ukazana została wśród przedstawień poszczególnych etapów ówczesnego procesu karnego. Mimo dantejskich scen, które odbywają się wokół, takich jak: tortury oraz wykonywanie kary śmierci pod najbardziej przerażającymi postaciami, Sprawiedliwość zachowuje pełną dostojeństwa obojętność.

Znaczeniowa ewolucja omawianego motywu sprawiła, że Cesare Ripa, zebrawszy w swej „Ikonologii" motywy, które kojarzono ze Sprawiedliwością, mógł napisać: „Niewiasta odziana na biało, z oczyma zawiązanymi; w prawej dłoni trzyma wiązkę rózeg z przywiązanym do niej toporem, w lewej płonący ogień, u boku zaś ma strusia, albo też powinna dzierżyć miecz i wagę. Jest to ta sprawiedliwość, którą w trybunałach wykonują sędziowie i egzekutorzy świeccy. Ubrana jest na biało, gdyż sędzia nie może być splamiony własnym interesem ani namiętnością. Oczy ma zawiązane, gdyż nie powinna widzieć nic, co by mogło sprawić, że u sędziego nad rozumem wezmą górę zmysły, jego wrogowie. Wiązkę rózeg z toporem noszono ongiś w Rzymie przed konsulami i przed trybunem ludu na znak, że nie wolno ociągać się z karaniem tam, gdzie żąda tego sprawiedliwość ani też nie należy być pochopnym, lecz rozplątując

[11] C. Ripa, *op. cit*., s. 169.

ów pęk, trzeba pozostawić czas na dojrzenie osądu. Płomień wskazuje, że umysł sędziego ma być zawsze skierowany ku niebu”[12].



Sprawiedliwość z pelikanem. Grafika wykonana na podstawie fresku Rafaela z watykańskich Stanz

Opis Ripy wyznaczył pewien schemat przedstawiania Sprawiedliwości i na nim wzorowały się pokolenia artystów w następnych wiekach. Dobrym przykładem tej tendencji jest miedzioryt Baltazara Westerhouta (1670-1728) z 1708 roku, na którym ukazano Sprawiedliwość z zawiązanymi oczyma, zasiadającą na tronie.

Należy wszakże podkreślić, że zaproponowanego przez Ripę wzoru nie trzymano się w sposób niewolniczy. Do XVIII wieku, zwłaszcza opaska na oczach wyobrażanych postaci, nie była postrzegana jako atrybut nierozerwalnie związany z personifikacją sprawiedliwości. Równie chętnie bowiem wiązano oczy Szałowi, Sprawiedliwość zaś oddawano, wzorując się na przedstawieniach antycznych.

12 *Ibidem*.



Karta tarota z wyobrażeniem Sprawiedliwości. W tle pelikan

W dobie Oświecenia powrócono do jeszcze jednego atrybutu Sprawiedliwości, mianowicie oka. Już Platon (427-347 p.n.e.) powiadał, że Sprawiedliwość wszystko widzi, a kapłani bogini określali ją jako „tę, która wszystko widzi". Świetnym przykładem wykorzystania tego motywu w czasach nowożytnych jest wspaniałe malowidło wykonane w 1762 roku przez Matthiasa Blumenthala (1719-1793) na zamówienie magistratu miasta Bergen w Norwegii. Usadowiona pod przepysznym baldachimem Sprawiedliwość nosi na piersi kolię z wyrzeźbionym okiem. Praca ta jest interesująca również z innego powodu. Otóż „królowa" poza wagą, zamiast miecza dzierży berło. Przypomnijmy, że dwa lata później ukaże się drukiem przełomowy traktat Cesarego Beccarii „O przestępstwach i karach" (*Dei delitti e delle pene*).



Iustitia (Mathias Blumenthal). Obraz wiszący w ratuszu norweskiego miasta Bergen

Podsumowanie

Obecnie, jak już wspomniano, dominuje kanon przedstawiania Sprawiedliwości jako kobiety odzianej w togę, z opaską na oczach, trzymającej miecz i wagę. Okazjonalnie wciąż łamią go jednak odważniejsi artyści. W swych pracach nawiązują do tradycji, choć zdarzają się również bardziej autorskie spojrzenia. I tak, przed budynkiem Sądu Najwyższego Kanady widzimy rzeźbę kobiety odzianej w powłóczystą szatę, z płaszczem narzuconym na głowę, opierającą się na potężnym katowskim mieczu. Autorem dzieła jest Walter Seymour Allward (1876-1955). Gdyby nie podpis, można by odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z personifikacją śmierci lub przedstawieniem figury rodem z powieści *science fiction*. Sprawiedliwość patrzy poważnym, spokojnym, ale jednocześnie przeszywającym wzrokiem. Zaiste, przerażająca postać! Ci jednak, którzy nie mają nic na sumieniu, nie powinni się jej obawiać.



Iustitia (Walter Seymour Allward)

2. WYOBRAŻENIA SPRAWIEDLIWOŚCI NA PRAWNICZYCH EXLIBRISACH

Każdy, widząc wyobrażenie kobiety z przepaską na oczach, dzierżącej wagę i miecz, bez trudu odgadnie, że ma do czynienia z personifikacją Sprawiedliwości. I nic dziwnego. Przez ostatnie wieki przyzwyczailiśmy się do operowania schematami. Schematy jednak mają to do siebie, że szybko się „przejadają", a w konsekwencji zamiast cieszyć nużą i drażnią.

Kto ma dość utartych szablonów, powinien sięgnąć do prawniczych exlibrisów, czyli znaków własnościowych książek. Są to zwykle niewielkie karteczki z obrazkiem, przyklejane po wewnętrznej stronie okładki. W ubiegłych stuleciach każdy, kto posiadał zasobną bibliotekę, a prawnicy zawsze zaliczali się do tej grupy, zamawiał znak, który czynił z jego księgozbioru niepowtarzalną kolekcję. Zleceniodawca z reguły pragnął, by artysta w małym obrazku oddał jego charakter, zainteresowania lub wykonywaną profesję. Niekiedy w jednym przedstawieniu udawało się skumulować wszystkie wymienione elementy.

Tematycznie niezwykle ciekawy exlibris sporządził niemiecki artysta Peter Johann Theodor Janssen (1844-1908) dla bliżej nieznanego prawnika podpisanego jako doktor praw L. Beer. Widzimy na nim Sprawiedliwość w długiej szacie, z nakrytą głową, która głaszcze po głowie nagiego człowieka, udzielając mu wskazówek. Co ciekawe, wbrew współczesnym wyobrażeniom, bogini nie ma oczu przesłoniętych opaską, a na czas rozmowy z „petentem" miecz i wagę oddała giermkowi. To prawdziwa *Iusti-*

tia Preventiva, która woli pouczać niż karać. Człowiek spogląda na nią bez strachu i czuje się przy niej bezpiecznie.



Exlibris doktora L. Beera (Peter Johann Theodor Janssen)

Zupełnie inną aranżację wybrał Karl Ritter (1887-1977), tworząc znak mający dekorować księgozbiór doktora (praw?) Tellera. Tym razem widzimy nagą kobietę z zasłoniętymi oczyma, siedzącą na platformie podpartej paragrafami. W wyciągniętej ręce trzyma wagę. Tymczasem w tle, na podeście, majaczy figura kata dzierżącego potężny miecz. U stóp Sprawiedliwości klęczy zrozpaczony mężczyzna, który złożył dłonie w błagalnym geście. Głowę wtulił w ramiona, nie śmiąc podnieść wzroku na boginię. Ona jednak nie zwraca na niego uwagi. Jej twarz jest wyniosła i obojętna. To *Iustitia Retributiva*, która zawsze i w każdych okolicznościach trzyma się litery prawa. Dla nieszczęśnika nie ma nadziei. Z przedstawioną scenką wyraźnie kontrastuje wywodząca się z rzymskiego prawa maksyma: *Ius est ars boni et aequi*.

Dwa ekslibrisy i dwa jakże odmienne rozumienia idei sprawiedliwości! Czy oddają postępowanie i światopogląd doktorów Beera i Tellera? Tego raczej się nie dowiemy. Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby tak było.



Exlibris doktora Tellera (Karl Ritter)

Niekiedy, co wcale nie jest mniej ciekawe, mimo że exlibris bywał sporządzany na zamówienie prawnika, dzieło więcej mówi o jego wykonawcy niż o zamawiającym. Obecnie na rynku antykwarycznym dużym wzięciem cieszą się grafiki austriackiego artysty Franza von Bayrosa (1866-1924). Von Bayros zasłynął, obok Francuza Aubreya Beardsleya (1872-1898) oraz Belga Félicien Ropsa (1833-1898), jako jeden z „wielkich erotomanów" drugiej połowy XIX wieku. W istocie, kiedy patrzy się na jego twórczy dorobek, nietrudno zgadnąć dlaczego. Od odważnych motywów nie stronił, również projektując exlibrisy. Do jego szerokiej klienteli należeli oczywiście także prawnicy.

Jednym z nich był bliżej nieznany notariusz Hejna, na którego znaku własnościowym rozkosznie pręży się półnaga Sprawiedliwość w typie *fin de siècle*. Nie zabrakło tam mnóstwa kwiecia, amorka z kołczanem oraz zachwyconego prawnika z księgą. Całość wieńczy łacińskie, choć bynajmniej nieprawnicze (w sensie technicznym), motto: *SALVE VITA*. Kto się wysili, w pobliżu dostrzeże również sowę i paragraf.

Sceneria drugiego exlibrisu, który obstalował dla siebie doktor praw Walter Wendel, jest bardziej statyczna. Widzimy więc na nim filigrano-

wą kobietę, malującą serce na todze onieśmielonego prawnika. Kim jest ta przemiła osóbka? Można zakładać, że to dosyć autorska wariacja na temat wizerunku Sprawiedliwości. Serce malowane na todze pozwala wiązać ją również ze starorzymską *Aequitas*.



Exlibris doktora Heyny (Franz von Bayros)

Ostatnia z prezentowanych tu prac von Bayrosa powstała na zamówienie Aleksandra Dillmanna, zapewne prawnika, bez wątpienia miłośnika Polihymnii. Widz musi nieźle natrudzić się, zanim nacieszywszy oko roznegliżowaną panią, dwustronną harfą oraz popiersiem Straussa, dostrzeże na obrazku motywy prawnicze. A jest ich kilka. Po pierwsze – uwagę zwraca postać prawnika z sążnistymi księgami pod pachą. Mocno wydekoltowana pani, choć trzyma na kolanach partyturę, w lewej dłoni od niechcenia dzierży wagę. Niżej putto w turbanie, ze złowieszczym uśmieszkiem prezentuje na tacy ściętą głowę Jana Chrzciciela.

Obrazy Sprawiedliwości w koncepcji von Bayrosa mogą się podobać. Ech, te filigranowe kobietki o słodkich buziach! Ech, te proporcje! Toporne baby z gołym cycem, przepasanymi oczyma i odziane w kawał drelichu stylizowanego na togę, które tak często widujemy w sądach, urzędach i biurach, mogą im czyścić pantofelki.



Exlibris doktora Waltera Wendela (Franz von Bayros)



Exlibris doktora Aleksandra Dillmanna (Franz von Bayros)

3. TERMY DIOKLECJANA – PUNKT ZWIEDZANIA OBOWIĄZKOWY

„Nigdy dotąd twórczość artystyczna nie była równie cyniczna i nie ocierała się do tego stopnia o skatologię, nieczystość i brudy. Nigdy też – co jeszcze bardziej zbija z tropu – nie była tak ceniona przez instytucje, zupełnie jak w dawnych pięknych czasach sztuki oficjalnej. Bardziej niepokojąca od fabrykacji tych obiektów jest bowiem ich recepcja. Dyrektorzy muzeów, organizatorzy wielkich wystaw międzynarodowych, krytycy, cały establishment smaku zdaje się przyklaskiwać owej sztuce upodlenia" – czytamy w rozpaczliwym w swojej wymowie traktacie *De immundo* autorstwa francuskiego historyka sztuki Jeana Claira (ur. 1940)[13]. Nie wszystko jednak stracone. Remedium na ten stan rzeczy od dziesięcioleci oferują kolekcje i zbiory sztuki starożytnej. Najlepiej zacząć od Term Dioklecjana w Rzymie.

Termy Dioklecjana

Przyjezdnych docierający do stacji *Termini* w Rzymie witają położone nieopodal Termy Dioklecjana. A raczej byłe termy Dioklecjana, gdyż obecnie ich pozostałości w równomiernym stopniu służą wierze i nauce. W miejscu pozostałości przepysznych antycznych łaźni wzniesiono bazylikę Matki Bożej Anielskiej i Męczenników. Autorem projektu był sam Michał Anioł Buonarotti. Artysta zaprojektował również założenie klasztorne, które miało sąsiadować ze świątynią. To właśnie w tych budynkach zdecydowano się pod koniec XIX wieku urządzić muzeum. Ekspozycja, której rdzeń stanowiła wspaniała kolekcja starożytności, należąca ongiś do niemieckiego jezuity Atanazjusza Kirchnera (1602-1680), została udostępniona publiczności w roku 1911. W latach kolejnych uzupełniły ją eksponaty pochodzące z wykopalisk oraz darów osób prywatnych.

Atmosfery panującej na dziedzińcu muzeum nikomu nie udało się lepiej opisać od Pawła Muratowa (1881-1950), rosyjskiego pisarza, podróżnika i wytrawnego krytyka sztuki: „Czy powietrze, którym oddychamy na rozległym dziedzińcu muzeum w Termach Dioklecjana, nieposiadającego tak pierwszorzędnych obiektów, jak *British Muzeum*, nie jest bliższe

[13] J. Clair, *De immundo*, przeł. M. Ochab, Gdańsk 2007, s. 21-22.

owym istotom ze świata starożytnego? *Chiostro*, zbudowany według rysunków Michała Anioła, służył kiedyś jako dziedziniec klasztorów kartuzów, mieszczącego się przy sąsiednim kościele *Santa Maria degli Angeli*. Część zbiorów antycznych zgromadzono tu w zacisznych celach, przy których zachowały się jeszcze małe, oddzielne ogródki. Zwiedzający, który ogląda tu płaskorzeźby antyczne, może nieraz usłyszeć odgłos spadającej na ziemię dojrzałej gruszki lub stuk uderzającej w okno gałęzi drzewa figowego o liściach rozcapierzonych na kształt dłoni. Pośrodku dziedzińca, pod cyprysami, bije fontanna, bluszcz oplata białe byki ofiarne. Pozostawiane tu liczne odłamki rzeźb i sarkofagi toną w słońcu, w którego blasku trawertyn błękitnieje i staje się niemal przejrzysty, a marmur nabiera ciepła i życia. Płatki uwiędłej róży w fałdach stroju kobiety, wyrzeźbionej nie wiadomo kiedy i przez kogo, nadają jej więcej uroku niż wszelkie wypowiedzi znawców i spory uczonych. W owych płatkach, w owych przesuwających się po marmurze cieniach liści i gałęzi oraz przemykających wśród odłamków jaszczurkach tkwi jak gdyby coś, co łączy świat antyczny z naszym światem, co pozwala nam odczuć tamten świat i uwierzyć w jego istnienie.



Dziedziniec przy byłych Termach Dioklecjana. Widok współczesny

Twórcy *Museo Nazionale* wpadli na wyborny pomysł i część przechowywanych tu zbiorów sztuki antycznej ustawili pod gołym niebem, w blasku słońca”[14].

[14] P. Muratow, *Obrazy Włoch*, t. I, przeł. P. Hertz, Warszawa 1972, s. 284.

Posąg adwokata

„Niedzielni" turyści mogą poprzestać na zaprawdę niezwykłych wrażeniach, które oferuje były klasztorny wirydarz zarzucony antycznymi rzeźbami, płaskorzeźbami, sarkofagami oraz marmurowymi tablicami z inskrypcjami. Prawnicy jednak koniecznie powinni pofatygować się do środka, gdzie umieszczono dalsze inskrypcje, biżuterię, broń, porcelanę, rzeźby, wyroby rzemiosła artystycznego itd.



Posąg prawnika z Muzeum Term

Na pierwszym piętrze, wśród urn oraz epitafiów, nie rzucając się w oczy, stoi rzeźba, jakich z pozoru zachowało się dziesiątki, o ile nie setki. Kiedy jednak przyjrzeć się jej bliżej, okaże się, że to unikat. Otóż marmurowa statua naturalnej wielkości przedstawia adwokata. Na pierwszy rzut oka nic nie zdradza zawodowej proweniencji modela. Posąg ukazuje mężczyznę odzianego w togę, który prawą dłonią podtrzymuje rąbek szaty. Lewej dłoni niestety brakuje, niemniej materiał porównawczy pozwala mniemać, że była ona nieznacznie uniesiona ku górze i dzierżyła zwinięty

papirusowy zwój. Głowa nie jest oryginalna; została dołączona dopiero w XIX wieku. Obok postaci rzeźbiarz umieścił pojemnik na papirusy. Napis rozrzucony na pokrywie, rolkach oraz skrzyni brzmi: *Constitutiones corporis munimenta* (Cesarskie konstytucje ochrona kolegium). Rzeźbę wystawiono więc najwyraźniej człowiekowi, który zasłużył się w zdobyciu dla kolegium korzystnych cesarskich decyzji. Niewykluczone, że na skutek jego zabiegów stowarzyszenie cieszyło się nawet imperialnym patronatem.



Napis na skrzynce: *Constitutiones corporis munimenta*

Wróćmy do pojemnika. W epoce rzymskiej podstawowym materiałem piśmienniczym był papirus. Pierwsze książki miały formę właśnie papirusowych zwojów. Skrzynki do ich przechowywania, określane jako *scrinia* lub *capsae*, miały formę cylindryczną, co dokładnie widać na omawianej rzeźbie. Wykorzystywano je do zabezpieczenia ksiąg przed zniszczeniem oraz ich wygodnego transportu. Wspomina je w swoich utworach poeta Katullus[15]. Widok tych *capsae* znamy z licznych wyobra-

żeń posągów oratorów, filozofów, poetów itd. To samo dotyczyło mniejszych objętościowo, aczkolwiek ważnych dokumentów o charakterze prawnym.

***Argumentum ex sculptura*?**

Rzeźba prawnika ginie w gąszczu innych, bez wątpienia bardziej atrakcyjnych eksponatów. A jednak uczeni zajmujący się prawem rzymskim nie powinni mijać jej obojętnie nie tylko dlatego, że posąg ten stanowi najwcześniejsze zobrazowanie rzymskiego jurysty.

Współcześnie zachwycamy się sążnistymi traktatami Ulpiana, Papiniana i ich uczonych kolegów. Niedoścignionym wzorem dydaktycznej precyzji nadal pozostają „Instytucje" Gajusa. Od jakiegoś czasu pisze się nawet i mówi o istnieniu antycznego rzymskiego *soft law*, na które miał składać się właśnie intelektualny dorobek rzymskich jurystów. Pisma prawników, jak chcą zwolennicy tej tezy, choć pozbawione mocy powszechnie obowiązującej, w znacznym stopniu wpływały na kształtowanie praktyki prawnej w starożytnym Rzymie. No cóż, może tak było, a może nie. *Ignoramus et ignorabimus* (Nie wiemy i nie będziemy wiedzieć), jak mawiał niemiecki zoolog Emil du Bois-Reymond (1818-1896).

Coś jednak nie daje mi spokoju, kiedy o tym myślę. „Porównajmy – pisze Marc Bloch (1886-1944) – historię Rzymu Rollina, a nawet Niebuhra, z tym, co znajdujemy dziś w pierwszym lepszym zarysie dziejów; tamci czerpali wiadomości głównie z Tytusa Liwiusza, Swetoniusza czy Florusa; w drugim przypadku opierano się przeważnie na napisach, papirusach i monetach. Jedynie na tej drodze można było odtworzyć olbrzymie połacie przeszłości; całą prehistorię, prawie całą historię gospodarczą, prawie całą historię struktur społecznych"[16].

A porównajmy, co pisały na temat historii prawa rzymskiego, rzymskiej jurysprudencji, a także poszczególnych instytucji, na czele z antyczną koncepcją osoby prawnej, kolejne pokolenia romanistów. Prawdziwa feeria poglądów, metod i punktów widzenia. Z drugiej strony mamy zaś kawałek ociosanego kamienia z koślawo wydłubanym napisem: *Constitu-*

---

15 Catull. 36.68.

16 M. Bloch, *Pochwała historii, czyli o zawodzie historyka*, przeł. W. Jedlicka, Kęty 2009, s. 76.

tiones corporis munimenta. Kamień ma jednak nad wszystkimi generacjami uczonych romanistów jedną przewagę. On TAM wtedy był.

Czy to nie znamienne, że na zwojach umieszczonych na *scrinium* przy posągu prawnika z Muzeum Term nie znalazło się imię żadnego ze słynnych starożytnych prawników? Podobnego motywu nie znajdziemy zresztą na żadnej innej rzeźbie pochodzącej z czasów rzymskich. Ktoś powie: nie było miejsca. Och, miejsce było! Sztuka, kiedy trzeba, potrafi, proszę mi wierzyć, być konstruktywna i kreatywna. Kiedy trzeba posłuży się również powszechnie zrozumiałym skrótem. Na zwojach należących do anonimowego adwokata nie wymieniono jednak żadnego ze znakomitych rzymskich jurysprudentów. Dlaczego? To proste. W *scrinium* znajdował się materiał, mający zasadniczą wartość i kluczowe znaczenie dla działalności stowarzyszenia. Scharakteryzowano go krótko: *Constitutiones corporis munimenta*. Cesarskie konstytucje ochrona kolegium. To było wtedy ważne.

4. JAK FANTASTYCZNE STWORY POMAGAŁY W NAUCE PRAWA

Nauka prawa polega przede wszystkim na pamięciowym opanowaniu zadanego materiału. Tradycja ta sięga czasów bardzo dawnych, a utrwalona została przez średniowieczną scholastykę. *Omnis disciplina memoria constat* – nauczał antyczny retor Kwintylian (ok. 35 – ok. 96), a za nim Hugon od świętego Wiktora (1096-1141)[17]. W tych warunkach od wieków poszukuje się sposobów optymalnego przyswajania niewdzięcznej materii. Celowi temu służyły i służą najprzeróżniejsze sztuczki mnemotechniczne. Obecnie do tych najpopularniejszych wykorzystywanych przez studentów prawa należą: podkreślanie odpowiedniej partii tekstu ołówkiem, długopisem lub markerem, stawianie znaczków (wykrzykniki, „fajki", gwiazdki, strzałki itd.) na marginesie ważnych fragmentów, ewentualnie zamieszczanie tam krótkich uwag. W średniowieczu radzono sobie inaczej.

---

17 *De tribus maximis circumstantiis gestorum* 11.2.1.

Zanim wymyślono słowo drukowane

Zacznijmy jednak od krótkiej charakterystyki materiałów, z których się uczono. Około roku 100 wyszedł z użycia nieporęczny zwój, który został zastąpiony kodeksem (nie mylić ze współczesnymi kodeksami prawa!). Jego pierwowzorem były konsularne dyptyki oraz woskowane tabliczki służące pierwotnie do robienia podręcznych notatek. Późnoantyczne i średniowieczne kodeksy przypominały współczesne książki. Tworzono je w ten sposób, że między okładkami z desek umieszczano pergaminowe strony zapełnione tekstem, po czym całość zszywano.



Średniowieczny kodeks. Lubelski egzemplarz Dekretu Gracjana

Forma ta natychmiast znalazła szerokie zastosowanie w środowiskach prawniczych, gdyż w kodeksie szybciej i łatwiej można było znaleźć konkretną normę lub jej omówienie, bez konieczności „rolowania" całości dzieła, jak to miało miejsce w przypadku papirusowych zwojów.

W wiekach średnich przepisywaniem tekstów, które następnie umieszczano w kodeksie, początkowo zajmowały się klasztorne skryptoria, gdzie dziesiątki zakonników w trudzie i znoju utrwalało duchowy dorobek teraźniejszości i przeszłości (niedawno średniowieczne skryptorium zostało zrekonstruowane w opactwie tynieckim). Z czasem, zwłaszcza po powstaniu uniwersytetów, działalnością „wydawniczą" zajęły się również warsztaty świeckie. Największy rozgłos zyskały te ulokowane w miastach o charakterze akademickim lub w ich pobliżu. Jako przykłady można przywołać chociażby Bolonię czy Paryż. Tworzone tam księgi powstawały na zamówienie, a trzeba wiedzieć, że nie każdy mógł sobie na nie pozwolić. Sam pergamin, czyli wyprawiona zwierzęca skóra, był dosyć drogi. Do tego należało doliczyć robociznę oraz materiały pisarskie zużyte podczas tworzenia dzieła.

Pisarze czy malarze?

Wysoka cena nie zniechęcała wszakże dobrze sytuowanych osób pragnących zgłębić tajniki prawniczej wiedzy. Popyt na jurydyczne traktaty rychło sprawił, że stały się one bogato zdobione, co z kolei doprowadziło do tego, że ich cena poszybowała w górę. Prawnicze księgi stały się towarem luksusowym. Dla ich posiadaczy zaś stanowiły wizytówkę dobrego smaku i zamożności. Dante Alighieri (1265-1321) wspomina jednego z bolońskich mistrzów sztuki iluminatorskiej – Franco Bolognese (zm. XIV w.). W relacji poety, strony dekorowane przez mistrza wręcz śmiały się do czytelnika[18].

Ten stan rzeczy nie wszystkim się podobał. Oto Odofredus (zm. 1265), jeden z najsłynniejszych profesorów na uniwersytecie w Bolonii i wybitny znawca prawa rzymskiego, w swym komentarzu do Kodeksu Justyniana odnotował pewne ciekawe wydarzenie, którego, jak się domyślamy, był naocznym świadkiem:

„Rzekł ojciec do syna: Jedź [na studia – M.J.] do Paryża lub Bolonii, a ja rocznie będę ci posyłał po sto funtów złota. A ten co zrobił? Pojechał do Paryża i kazał sobie zrobić książkę, w której tekst ozdobiono wyobrażeniami stworów inkrustowanych złotem"[19]. Dodajmy do tego, że za zamówione dzieło trzeba było zapłacić dokładnie sto funtów złota, czyli sumę, która miała młodemu człowiekowi wystarczyć na rok!

Boloński jurysta z niesmakiem wspominał tę historię. Ubolewał również, że w jego czasach skrybowie przestali się zajmować prostym przepisywaniem tekstów, a przez zamiłowanie do umieszczania w księgach wyszukanych dekoracji stali się malarzami.

Stwory pomagają się uczyć

Cóż to za wyobrażenia znalazły się w prawniczym traktacie, którego jakość i cena tak oburzyły Odofredusa? Do naszych czasów zachowały się liczne rękopisy, których zdobienia dają nam wyobrażenie tego, co mogło się znaleźć w rzeczonej księdze.

Zanim wymienimy niektóre z nich, należy zaznaczyć, że ilustracje, umieszczane zwłaszcza na marginesach prawniczych traktatów, nie sta-

---

18 *Purg.* 11.82-87.

19 *Lectura super Codicem*, Lyon 1552, f. 226 rb.

nowiły wyłącznie efektu swobodnej inwencji ich twórcy. Wiele z nich, choć dziś wywołuje efekt komiczny, nie miało na celu jedynie poprawienia samopoczucia czytelnika. Ich zadaniem było raczej zwrócenie jego uwagi na odpowiedni fragment tekstu, przy którym zostały umieszczone.

Niezwykle popularnymi motywami wykorzystywanymi w tym celu były przedstawienia fantastycznych stworów, określanych w średniowieczu jako „małpoludy" (*babuini*). Oczywiście zakres pojęciowy tego terminu był szerszy i obejmował wszelkie fantastyczne postacie, jak: chimery, części ludzkie, fragmenty zwierząt, roślinno-ludzkie, a także zwierzęco-ludzkie hybrydy itd.



Kot grający na skrzypcach

Ich obecność była tym bardziej pożądana, że księgi jurydyczne zawsze ukazywały hierarchiczny porządek prawny. Treść poszczególnych traktatów stanowiła odzwierciedlenie struktury średniowiecznego społeczeństwa. W jawnej opozycji do tekstu stała przestrzeń marginesów, gdzie królował bezład i chaos – przeciwieństwo prawa i porządku. To tam najczęściej gościły stworzenia, które przy całym swym komizmie i antypatyczności miały za zadanie pomóc czytelnikowi w zapamiętaniu najważniejszych fragmentów dzieła.

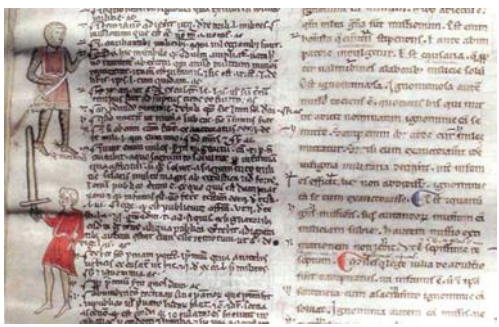
W prawniczych rozprawach spotykamy więc, poza scenkami rodzajowymi umieszczanymi w tzw. kapitalikach (litera rozpoczynająca odrębny wywód; z reguły większa i bogato zdobiona), nieprzebrane mnóstwo dziwnych postaci wałęsających się na marginesach. Są tam ludzie pierwotni, z długimi brodami, całkowicie pokryci sierścią, syreny, centaury, olbrzymy, karły, a także personifikacje pewnych cnót, wad i określonych

zjawisk. Niezależnie od tego pojawiają się również liczne zwierzęta, niekiedy w dosyć nietypowych aranżacjach.

Zdarza się oczywiście, że ich obecność jest uzasadniona omawianą materią (kot – cudzołóstwo, małpa – nadużycia i instrumentalne wykorzystywanie władzy, hiena – kradzież itd.). Wtedy ilustracja koresponduje z tekstem i służy do jego lepszego zapamiętania i utrwalenia. Bywa jednak i tak, że jej zadaniem jest jedynie zwrócenie uwagi czytelnika na odpowiedni fragment. Przykładem może być wyobrażenie małpy z berdyszem (rodzaj halabardy), kot grający na skrzypcach, lis zasiadający na tronie, wskazujący berłem na odpowiedni werset itp.

Osobną kategorię stworów stanowią hybrydy. W przechowywanym w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL rękopisie Dekretu Gracjana, w przestrzeni pomiędzy tekstem głównym i glosą, natykamy się na postać ludzko-zwierzęcą strzelającą z łuku do żurawia. W innym miejscu, celem wykpienia wróżbiarstwa, obok tekstu umieszczono roślinne pnącze, które przechodzi w wężowy korpus. Całość wieńczy głowa małpy dmącej w trąbę.

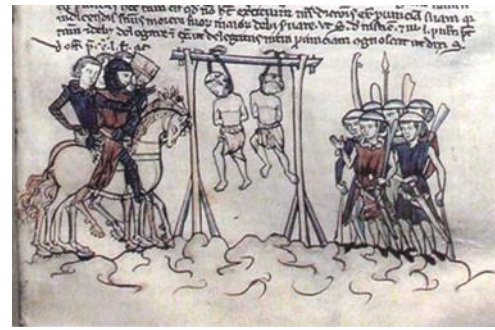
Co się tyczy strzelców, to był to motyw w rękopisach dosyć popularny. Pojawia się również między innymi w Kodeksie Justyniana, znajdującym się obecnie w bibliotece Moulins we Francji. Bardzo prawdopodobne jest, że pozostałością tych postaci w dzisiejszych opracowaniach pomocniczych są strzałki odznaczające omawiane zagadnienia lub odsyłające do innej partii tekstu.



Ilustracja marginesowa uzupełniająca rozważania na temat wydalenia żołnierza z wojska (*missio ignominiosa*). Digesta Kórnickie

Sprawdzonym sposobem zatrzymania i przykucia uwagi czytelnika było umieszczanie na marginesach nagich postaci kobiecych. W bardzo

pięknym rękopisie Digestów, przechowywanym w Bibliotece Kórnickiej, znajduje się między innymi taki właśnie motyw. Wizerunek nagiej damy zachował się bardzo dobrze, chociaż kilka wieków temu jakiś czytelnik purysta wydrapał farbę w tym miejscu jej ciała, które łacina określa jako *pudenda*.



Ilustracja marginesowa uzupełniająca rozważania na temat „prawa miecza" (*ius gladii*) namiestników rzymskich. Digesta Kórnickie

Epatowanie seksem nie zawsze jednak było mile widziane. Zwłaszcza kiedy nabywcą księgi miała być osoba duchowna. Dlatego wielu artystów odwoływało się również do uczucia strachu lub obrzydzenia czytelnika. I tak na kartach manuskryptów pojawiają się wiedźmy, karykatury mężczyzn i kobiet, a nawet diabeł.

Podsumowanie

Czy fantastyczne stwory obecne na kartach prawniczych rękopisów istotnie pomagały w studiowaniu? Podziw i zainteresowanie, jakie do dziś budzi pomysłowość ich twórców, stanowią najlepszy dowód na to, że tak.

Fakt ten budził jednak niechęć profesorów prawa, którzy żyli z wyjaśniania wątpliwości oraz zwracania uwagi młodych adeptów prawa na to, „co ważne". Przywołany wyżej Odofredus zasłynął z tego, że rozpoczynając wykład, często zwracał się do swych słuchaczy słowami: „Słuchajcie, panowie…" (*Or, signori*). Pewnego dnia wygłosił również oświadczenie, które wprawiło jego audytorium w niejakie zakłopotanie: „I powiadam wam, że w najbliższym roku będę nauczać zwyczajnie – dobrze i według zasad – jak to czyniłem dotychczas. Wysilać się nie zamierzam, gdyż studenci nie są zbyt hojni. (…) Tak więc wiedzieć chcą wszyscy, ale uregu-

lować należności żaden. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia, idźcie z bożym błogosławieństwem”[20]. Boloński uczony był w tej szczęśliwej sytuacji, że odpowiedzialnością za swą sytuację finansową mógł obciążyć „małpoludy”, które bez wątpienia stanowiły dla niego konkurencję. Współcześni wykładowcy nie mają tak lekko.

5. TRYBONIAN PO LIFTINGU

„Obrazy – powiada święty Jan z Damaszku (ok. 675-ok. 749) – odkrywają i pozwalają pojąć sprawy, które są ukryte. Na przykład człowiekowi jest trudno pojąć istotę rzeczy, która jest niewidoczna, ponieważ jest ona osłonięta materią. Podobnie człowiek nie może pojąć rzeczy, które są odległe jedna od drugiej lub oddzielone przestrzenią, ponieważ on sam jest ograniczony przestrzenią i czasem. Przeto obraz został wynaleziony, by wesprzeć wiedzę, odsłonić znaczenie rzeczy tajemnych i uczynić je zrozumiałymi”[21].

Współcześnie znaczenie komunikatów zaszyfrowanych w obrazach z dawnych wieków uległo zapomnieniu. Powodem tego zjawiska jest postępująca zmiana znaczenia i funkcji symboli. Ich właściwe odczytanie dodatkowo utrudnia fakt, że wiele obrazów zostało wyjętych z ich naturalnego kontekstu i umieszczonych w muzeach. Francuski historyk sztuki Jean Clair (ur. 1940) podkreśla: „Choć nieznajomość ikonografii – brak wiedzy o znaczeniach, jakie kryje w sobie dane dzieło – uniemożliwia zwykłemu zwiedzającemu zrozumienie tego, co ma przed oczyma, rytualnej wizycie w muzeum towarzyszy nadal naiwna wiara, że zgromadzone tam obrazy lub rzeźby przemawiają doń w sposób bezpośredni, na tyle prosty, że nie potrzeba żadnego wysiłku, by pojąć, co dzieło przedstawia”. Tymczasem jest wręcz przeciwnie: „zrozumienie »Melancholii« Dürera, ikonografii »Koronowania Marii« Enguerranda Quartona lub rozszyfrowanie »Wielkiego Szkła« Duchampa wymaga tyle samo wysiłku, co zrozumienie procesji osi Ziemi lub rozszczepienia atomu”[22].

---

20 *Lectura super Dig.* 24.2.11, t. II, f. 192 rb.

21 Cyt. za: K. Lenk, *Krótkie teksty o sztuce projektowania*, Gdańsk 2010, s. 7.

22 J. Clair, *Kryzys muzeów*, Gdańsk 2009, s. 35.

Rafael w Rzymie

W roku 1508 do Rzymu przybył Rafael Santi (1483-1520). Dzięki uprzednim kontaktom z papieskim architektem, Donatem Bramantem (1444-1514), artysta został przyjęty na audiencji przez Juliusza II (1443-1513), który zlecił mu udekorowanie swoich komnat w pałacu watykańskim. Rafaelowi zlecono ozdobienie czterech pomieszczeń: Sali Konstantyna (*Stanza di Costantino*), Sali Heliodora (*Stanza di Eliodoro*), Sali Sygnatury (*Stanza della Segnatura*) oraz Sali Pożaru (*Stanza dell'Incendio di Borgo*). Nad ich dekoracją artysta pracował aż do swojej śmierci w roku 1520. Dzieło zostało dokończone przez jego uczniów i pomocników.

Bez wątpienia wszystkie freski umieszczone na ścianach pałacu cechują się najwyższym artystycznym mistrzostwem i stylistycznym wyrafinowaniem. Z punktu widzenia „romanistycznego" na uwagę zasługuje zwłaszcza dekoracja *Stanza della Segnatura*. Prace nad nią ukończono w roku 1511. Pierwotnie sala ta miała służyć jako papieska biblioteka. Niemniej już za pontyfikatu Leona X (1475-1521) zaczęła pełnić rolę miejsca posiedzeń najwyższego papieskiego sądu – Sygnatury Łaski.

Iustitia

Analizę stylistyczną programu Rafaela w *Stanza della Segnatura* należy rozpocząć od dekoracji sufitu. Na jego środku umieszczono symbol papiestwa: tarczę z kluczami świętego Piotra. Otaczają ją cztery medaliony, w których znalazły się postacie kobiece będące personifikacjami Sprawiedliwości, Teologii, Poezji oraz Filozofii. Na osobnych polach umieszczono sceny nawiązujące do „Biblii", historii Rzymu oraz mitologii.

Lokalizacja Sprawiedliwości, Teologii, Poezji oraz Filozofii odpowiada dekoracjom ze ścian komnaty. Teologia kieruje wzrok widza na „Dysputę o Najświętszym Sakramencie", Poezja pozostaje w związku z „Parnasem", a Filozofia koresponduje ze słynną „Szkołą ateńską". Schemat ten da się zaobserwować również w przypadku Sprawiedliwości. „Patronuje" ona dekoracjom na Ścianie Sprawiedliwości. W jej lunecie umieszczono wyobrażenie trzech cnót kardynalnych, a następnie niżej – Justyniana otrzymującego „Digesta" oraz Grzegorza IX przyjmującego „Dekretały".

Koncepcja Sprawiedliwości Rafaela nie odbiega od maniery jego epoki. Jest to kobieta w koronie, odziana w szaty stylizowane na antyczne, dzierżąca miecz i wagę. Nie zasiada jednak na tronie, ale na obłoku.

Zgodnie z chrześcijańską ikonografią obłok był atrybutem Boga. Dlatego w popularnych i często powielanych od średniowiecza przedstawieniach Sądu Ostatecznego na obłoku umieszczano Jezusa. Watykańska *Iustitia* powinna być tym samym kojarzona z ideą Sprawiedliwości Bożej.



Personifikacja Sprawiedliwości. Malowidło na suficie *Stanza della Segnatura*

Na fresku Rafaela Sprawiedliwość jest otoczona przez putta, spośród których dwa trzymają tablice z napisem: *IUS SUUM UNICUIQUE TRIBUIT*. Napis ten nawiązuje do definicji Ulpiana: *Iustitia est constans et perpetua voluntas ius suum cuique tribuendi. Iuris praecepta sunt haec: honeste vivere, alterum non laedere, suum cuique tribuere*. Można zapytać, dlaczego artysta nie zacytował wiernie źródła rzymskiego prawa. Frazami bez wątpienia bardziej uniwersalnymi i lepiej pasującymi do omawianego fresku byłyby na przykład: *Ius suum (uni)cuique tribuens*, *Ius suum (uni)cuique tribuere*, czy też *Ius suum (uni)cuique tribuendi*. Rozwiązania tej zagadki należy poszukiwać w ideologicznym przesłaniu obrazu. Rafael najwyraźniej nie chciał bezpośrednio skojarzyć idei Sprawiedliwości z prawem rzymskim. Dlatego nie oparł się na pismach Ulpiana, ale na twórczości świętego Tomasza z Akwinu (ok. 1225-1274). Doktor Kościoła w swojej „Summie teologicznej" zawarł własną definicję sprawiedliwości: *Iustitia est habitus secundum quem aliquis constanti et perpetua voluntate ius suum unicuique tribuit*. Artysta skopiował z niej ostatnie cztery słowa. W wymiarze ideologicznym zabieg ten ma olbrzymie znaczenie. Sprawiedliwość chrześcijańska, chce powiedzieć wielki malarz, bazuje na prawie

rzymskim przetworzonym w duchu chrześcijańskim przez średniowieczną scholastykę.



„Ściana Sprawiedliwości". Widok ogólny

Nawiązania do prawa rzymskiego towarzyszą nie tylko Sprawiedliwości. Na podtrzymywanych przez putta tablicach, które towarzyszą wizerunkowi Teologii napisano: *DIVINARUM RERUM NOTITIA*. Pierwowzór tej frazy znajduje się nie w uczonych teologicznych rozprawach, ale w „Instytucjach" Justyniana, gdzie, znalazła się definicja: *Iuris prudentia est divinarum atque humanarum rerum notitia*. Prawnicze konotacje posiada również fraza *CAUSARUM COGNITIO*, którą umieszczono obok Filozofii. Nawiązuje ona do fragmentu „Topik" Cycerona, w których autor przekonuje, że niezbędną „znajomością praw" wykazywać powinni się nie tylko poeci i prawnicy, ale również filozofowie.

Cnoty kardynalne

W lunecie Ściany Sprawiedliwości znalazło się przedstawienie trzech cnót kardynalnych: Męstwa, Roztropności oraz Umiarkowania. Personifikacje te traktować należy jako swoisty „orszak" Sprawiedliwości. To bardzo ciekawe, że sama Sprawiedliwość nie pojawia się wśród nich, mimo że doktryna średniowiecznych scholastyków zaliczała ją do grona cnót kardynalnych. Tworząc omawianą kompozycję, artysta mógł się zasugerować fragmentem „Praw" Platona, w którym powiedziano, że Męstwo, Roztropność oraz Umiarkowanie nie są cnotami, które można

zestawić ze Sprawiedliwością. Dzięki nim jednak da się Sprawiedliwość odnaleźć. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że Rafael znowu skorzystał z przemyśleń świętego Tomasza z Akwinu. Doktor Kościoła uznawał sprawiedliwość za najwyższą z cnót kardynalnych. Dlatego również Rafael „wywyższył" Sprawiedliwość, umieszczając ją na suficie, podczas gdy Męstwo, Roztropność i Umiarkowanie znalazły swoje miejsce niżej.

Kompozycja sceny została starannie przemyślana. Podobnie jak w medalionie ze Sprawiedliwością, cnotom kardynalnym towarzyszą putta. Ich rola nie ogranicza się jedynie do funkcji dekoracyjnej. Pierwsze z prawej strony unosi rękę ku górze i wskazuje na coś. Jest to tradycjonalny gest symbolizujący nadzieję. Kolejne, trzymające pochodnię i lustro, można pokojarzyć z wiarą. Drzewo, na które wspina się ostatnie putto w nadziei zerwania owoców stanowi alegorię chrześcijańskiej miłości. Całość luźno nawiązuje zatem do „Hymnu o miłości" z „Listu św. Pawła do Koryntian": „Tak więc trwają: wiara, nadzieja, miłość – te trzy. Z nich zaś największą jest miłość".

Dwa porządki: między polityką i nauką

Pod lunetą, na dwóch polach podzielonych przez okno, znalazły się sceny symbolizujące dwa filary ówczesnego porządku prawnego – prawo rzymskie oraz prawo kanoniczne. Do prawa rzymskiego nawiązuje przedstawienie wręczenia „Digestów" cesarzowi Justynianowi. Prawo kanoniczne reprezentuje Grzegorz IX (ok. 1160-1242) otrzymujący „Dekretały". Oba systemy artysta potraktował równorzędnie. Aranżacja całości jest niezwykle ciekawa. Prawo rzymskie i prawo kanoniczne zamknięto w jednym gmachu, który może stanowić alegorię ziemskiego porządku prawnego. Pomieszczenia, w których ukazano przekazanie prawa, przypominają absydy antycznych bazylik.

Na Ścianie Sprawiedliwości artysta kreśli nieco wyidealizowany obraz prawa rzymskiego jako fundamentu prawa obowiązującego w Kościele łacińskim oraz w państwie kościelnym pod rządami Juliusza II. W rzeczywistości Kościół traktował prawo rzymskie jako źródło pomocnicze dla prawa kanonicznego. W razie konieczności wybiórczo stosowano te tylko starożytne przepisy, które nie zostały włączone do regulacji kościelnych.

Ścisły związek pomiędzy obiema dyscyplinami istniał natomiast na płaszczyźnie edukacji uniwersyteckiej. Oba przedmioty wykładano w tych samych ośrodkach naukowych oraz zbliżone były metody ich nauczania. Źródła zarówno prawa rzymskiego, jak i kanonicznego, a tak-

że komentarze do nich sformułowane były po łacinie. Obie dyscypliny przenikały się więc wzajemnie. W efekcie wielu legistów było zarazem wytrawnymi znawcami prawa kanonicznego i odwrotnie. W prawniczym półświatku dużą popularność zdobyło powiedzenie: „Legiści bez znajomości kanonów niewiele znaczą, kanoniści bez znajomości ustaw świeckich nie znaczą nic". Tymczasem XV-wieczny kanonista Peter Rebuffus (1497-1557) podkreślał: „Prawo kanoniczne i rzymskie połączone są ze sobą do tego stopnia, że jedno bez drugiego z trudem da się zrozumieć".

Juliusz II studiował w młodości prawo kanoniczne i doskonale zdawał sobie sprawę z rozmieszczenia zbiorów w bibliotekach. Wyraźny podział literatury prawniczej na „sekcje" prawa rzymskiego i kanonicznego obowiązywał między innymi w bibliotece awiniońskiej, którą przyszły papież wielokrotnie odwiedził. Podobnie musiała wyglądać biblioteka w Perugii, gdzie studiował prawo kanoniczne. Wiele wskazuje na to, że systematyka dotycząca bibliotecznych zbiorów posłużyła jako wzór dla koncepcji Ściany Sprawiedliwości.

Przywołanie na fresku postaci Justyniana i Grzegorza IX mogło mieć jednak również ukryty podtekst polityczny. Juliusz II zasłynął jako „straszny papież" (*il papa terribile*). Kreował się na żołnierza i zdobywcę, a zarazem na duchowego zwierzchnika Kościoła. Podobne nastawienie przypisywano Justynianowi, który siłą pragnął odbudować świetność Imperium Romanum, ustanowić prymat wiary katolickiej oraz skodyfikować prawo. Tymczasem papież Grzegorz IX, poza tym, że dał się zapamiętać jako wybitny prawodawca, zasłynął ze swojej nieustępliwości w walce o polityczne prawa Kościoła w Europie. Jego spór z niemieckim cesarzem Fryderykiem II (1194-1250) mógł przywodzić na myśl walkę, którą Juliusz II toczył z francuskim królem Ludwikiem XII (1492-1515).

Wspomnieć również należy, że w XVI wieku za spadkobierców starożytnych cesarzy rzymskich nadal uznawali się cesarze niemieckiej Rzeszy. Fakt ten został jednak zupełnie pominięty w koncepcji fresku. Przyczyna tego jest prosta. Juliusz II również wyprowadzał korzenie swojej politycznej władzy od starożytnego Rzymu, dlatego wszelka konkurencja na tym polu była z góry wykluczona.

Wręczenie Digestów Justynianowi

Do niedawna uważano, że fresk przedstawiający wręczenie Digestów Justynianowi należy do mniej udanych, ewentualnie niedopracowanych

dzieł Rafaela w *Stanza della Segnatura*. Ostatnie badania dowodzą jednak, że jego wykonawcą nie był Rafael, ale jeden z jego pomocników, najprawdopodobniej Lorenzo Lotto (1480-1556). Nie zmienia to jednak faktu, że autorem koncepcji jest Rafael, o czym świadczy przede wszystkim przygotowawczy rysunek jego autorstwa znajdujący się obecnie w *Städelches Kunstinstitut* we Frankfurcie nad Menem.

Na watykańskim fresku przed władcą klęczy Trybonian, w latach 529-532 oraz 535-542 „minister sprawiedliwości" na dworze Justyniana i kierownik komisji powołanej do skodyfikowania rzymskiego prawa. Georgio Vasari (1511-1574) w następujący sposób objaśnił tę scenę: „obraz cesarza Justyniana dającego uczonym kodeks praw celem ich polepszenia". Istotnie, w roku 529 komisja kodyfikacyjna, w skład której weszli między innymi Trybonian oraz Teofil, ukończyła pracę nad kodeksem określanym w nauce jako *codex vetus*. Efekt ich pracy nie był jednak zadowalający, skoro po kilku latach, w roku 534 ogłoszono nowy kodeks, którego treść zachowała się do naszych czasów.



Justynian otrzymuje Digesta z rąk klęczącego Tryboniana

Interpretacja Vasariego nie tłumaczy jednak, jaka jest treść ksiąg trzymanych przez dwóch mężczyzn stojących za Trybonianem. W roku 529

Digesta i Instytucje nie były jeszcze gotowe. Założenie, że pierwsza wersja kodeksu sporządzona została w trzech tomach, jest możliwe, ale mało prawdopodobne. Wydaje się, że księga, którą Trybonian wręcza władcy to Digesta, a nie kodeks. W średniowieczu, dla potrzeb kształcenia uniwersyteckiego, „Digesta" podzielone zostały na trzy części: *Vetus*, *Infortiatum*, *Novum*. Rafael mógł w swoim dziele wykorzystać tę informację. Zgodnie z tą hipotezą, Trybonian trzyma w dłoni jedną z części Digestów, a jego współpracownicy dwie pozostałe. Naturalnie na omawianej scenie władca nie nadaje, jak błędnie założył Vasari, a po nim szereg innych uczonych, ale przyjmuje prawnicze dzieło. To nie jest scena w stylu *traditio legis*, do której przyzwyczaiły nas absydy kościołów, sarkofagi i średniowieczne rękopisy. Rafael był człowiekiem renesansu. Wiedział, kto jest autorem kompilacji i postanowił ten fakt wyzyskać.



Rafael i Trybonian

Uwagę widza zwraca różnica w sposobie, w jaki artysta potraktował sylwetkę cesarza oraz postacie z jego otoczenia. Władca ubrany jest w szatę stylizowaną na togę oraz „rzymskie" sandały. Jego głowę zdobi wieniec z liści laurowych. Postać ta nie przypomina jednak bynajmniej wizerunków Justyniana znanych z monet, szkiców, a przede wszystkim ze słynnej mozaiki w Rawennie. Wydaje się, że Lorenzo Lotto, o ile to on był auto-

rem dzieła, nie przeprowadził w tym zakresie pogłębionych badań. Postać z watykańskiego fresku łudząco przypomina za to zachowane wizerunki Hadriana. Nie tylko zresztą jego. W oczy rzuca się również podobieństwo z profilami takich cesarzy, jak Marek Aureliusz czy Lucjusz Werus.

Zastanawiający jest również wygląd Tryboniana. Nie ulega wątpliwości, że postać, która pojawia się na fresku Rafaela, nawet w przybliżeniu nie przypomina przewodniczącego justyniańskiej komisji kodyfikacyjnej. Chociaż nie zachowały się żadne portrety jurysty pochodzące z VI wieku, jest niemal pewne, że i w tym wypadku Lotto nie zadał sobie trudu, by stworzyć wiarygodną rekonstrukcję tej postaci. Datę urodzin Tryboniana wyznacza się na rok mniej więcej 475. W chwili ukończenia prac nad „Digestami" (533) zasłużony prawnik miał zatem około pięćdziesięciu ośmiu lat. Tymczasem młodzieniec klęczący przed Justynianem na fresku nie wygląda na więcej niż lat trzydzieści. W związku z tym pod uwagę brane są dwie hipotezy. Rafael mógł na fresku sportretować sam siebie. Ponieważ jednak za wykonawcę fresku uchodzi Lorenzo Lotto, zasadniejsze jest identyfikowanie postaci Tryboniana, z którymś z modeli weneckiego artysty. Uwagę zwraca zwłaszcza podobieństwo twarzy bizantyjskiego prawnika oraz osoby z portretu znanego jako „Portret młodzieńca przed białą zasłoną" (*Bildnis eines Jünglings vor weißem Vorhang*), wiszącego obecnie w *Kunsthistorisches Museum* w Wiedniu.



Portret młodzieńca (Lorenzo Lotto)

Uczeni zebrani wokół Tryboniana, a także on sam, ubrani są w togi akademickie popularne w średniowieczu i w epoce nowożytnej. O ich randze świadczy fakt, że wszyscy noszą szaty purpurowego koloru w większości obszyte gronostajami. Część z nich ma na głowach birety. Nie są to dworzanie, ale grono profesorskie. W powstanie kodyfikacji justyniańskiej zaangażowano profesorów prawa z prawniczych szkół w Bejrucie i Konstantynopolu. To oni właśnie otaczają tronującego na fresku władcę. Chcąc podkreślić naukowy charakter tej grupy, Rafael odział ich w akademickie szaty z czasów sobie współczesnych.

Wręczenie „Dekretałów" Grzegorzowi IX

Prawo kanoniczne na Ścianie Sprawiedliwości reprezentuje scena wręczenia „Dekretałów" papieżowi Grzegorzowi IX przez Rajmunda z Penyafort (1175-1275). Zbiór, w skład którego weszły głównie dekretały papieskie oraz kanony soborowe, został promulgowany bullą *Rex pacificus* dnia 5 sierpnia roku 1234. Identyfikacja księgi nie nastręcza trudności, gdyż jest ona podpisana. Podobnie jak w przypadku fresku z Justynianem, wbrew utrwalonym w literaturze opisom, papież nie nadaje, ale przyjmuje dzieło opracowane przez komisję pod przewodnictwem Rajmunda z Penyafort.



Grzegorz IX otrzymuje „Dekretały" z rąk klęczącego Raymunda z Penyafort

Jako model dla postaci kościelnego prawodawcy posłużył Juliusz II. Poza nim na fresku zauważyć można również inne postacie z epoki. Georgio Vasari wyjaśnia: „w postaci papieża sportretował Juliusza II i towarzyszącego mu Jana Medyceusza, który później był papieżem pod imieniem Leona X, Antoniego kardynała di Monte, kardynała Aleksandra Farnese, późniejszego Pawła III, i inne jeszcze osoby".

Umieszczanie w scenach historycznych i alegorycznych twarzy możnych mecenasów nie było i do dziś nie jest niczym nadzwyczajnym. Z ideologicznego oraz prawnego (*sic*!) punktu widzenia niezwykle interesujący jest natomiast fakt, że papież kazał sportretować się z brodą. Jeszcze na fresku „Dyskusja o Najświętszym Sakramencie", ukończonym w roku 1509, Juliusz II (ukazany jako Grzegorz Wielki) pojawia się z ogolonymi policzkami. W kolejnych jego postaciach prezentuje się już jednak zupełnie inaczej. To zastanawiające, gdyż abstrahując od kanonów ówczesnej mody, noszenie brody uchodziło za nieprzyzwoite i niegodne kapłana. Było również sprzeczne z prawem kanonicznym.

Powodem zmiany wyglądu Juliusza II, uwiecznionej na freskach Rafaela, były niepowodzenia polityczne, których papież doznał w walce z królem Francji Ludwikiem XII. Decyzja papieża o zmianie wyglądu miała charakter symboliczny. W historii można znaleźć kilka zbliżonych zachowań. Swetoniusz (ok. 69-130) wspomina, że Juliusz Cezar (100-44 p.n.e.) na wieść o klęsce swoich żołnierzy zapuścił brodę i włosy, których nie obciął zanim nie zemścił się na wrogu. Grzegorz z Tours (538-594) opisuje natomiast zachowanie pokonanych w bitwie Saksonów, którzy złożyli przysięgę, że nie będą się strzyc ani golić dopóki nie odegrają się za doznane niepowodzenie. W roku 1511, kiedy kończono dekorację *Stanza della Segnatura*, broda papieża była już długa. W identyczny sposób papież kazał sportretować się na obrazie wiszącym obecnie w *National Gallery* w Londynie.

Na ironię zakrawa, że zakaz noszenia bród przez duchownych znajduje się w „Dekretałach" Grzegorza IX, do których odnosi się opisywany fresk. Co więcej, Grzegorz IX był niezwykle wyczulony na punkcie przestrzegania tego zakazu. Juliusz II postanowił jednak nie zwracać uwagi na podobne drobiazgi. Vasari zaświadcza, że papież „był bardzo zadowolony z tego malowidła". *Quo licet Iovi non licet bovi* powiada stare łacińskie przysłowie. Poza papieżem, wszyscy obecni obok głowy Kościoła kardynałowie i duchowni są, *secundum legem*, gładko ogoleni. Wyjątki stano-

wią jedynie postacie Rajmunda z Penyafort (był dominikaninem więc zakaz go nie dotyczył) oraz nieznana postać świeckiego mężczyzny.

Podsumowanie

Wśród uczonych romanistów wciąż nie docenia się roli, którą sztuka odgrywała i nadal odgrywa w popularyzacji mitu „dobrego rzymskiego prawa" w Europie. Specjalistów z zakresu prawa rzymskiego jest wprawdzie na świecie wielu, ale stanowią oni dosyć hermetyczne środowisko. Co więcej, przedstawiciele innych dyscyplin prawniczych, nawet historii prawa, zwykle nie są zainteresowani tym, co mamy do powiedzenia. Tym samym możliwość popularyzacji osiągnięć badawczych i, co za tym idzie, przybliżania laikom idei wynikających bezpośrednio lub pośrednio z prawa rzymskiego, jest mocno ograniczona. W tych warunkach sztuka jawi się jako nasz wielki sprzymierzeniec. Dość powiedzieć, że według bardzo nieścisłych szacunków, *Stanze* Rafaela odwiedza rocznie kilkanaście milionów turystów! Podjęcie pogłębionych badań na tym polu może przynieść zadziwiające rezultaty i przyczynić się do wyodrębnienia jeszcze jednego, nieznanego dotychczas, obszaru recepcji prawa rzymskiego w świecie współczesnym.

6 „INSTYTUCJE" W SZEŚĆ TYGODNI!

Ktoś, kto „przespał" semestr, ma wszelkie powody do niepokoju o wynik egzaminu. Co w podobnej sytuacji może pomóc? Łut szczęścia, skuteczna metoda oraz dobre pomoce naukowe. Z tymi ostatnimi nie ma problemu. Rynek oferuje sporą liczbę repetytoriów, testów, zbiorów kazusów, skryptów itd. Do dziś jednak nikt nie przebił wynalazku doktora Thomasa Murnera (1475-1537). Interesujący patent warto przypomnieć tym bardziej, że biogramu jego autora na próżno poszukiwać w kompilacjach poświęconych nauce i nauczaniu prawa rzymskiego w Europie. Z satysfakcją wypełniamy tę lukę.

Zaczęło się w Krakowie

Thomas Murner urodził się w alzackim mieście Oberehnheim (obecnie: Obernai). W Strassburgu uczęszczał do konwentu prowadzonego przez franciszkanów, po czym w roku 1490 w wieku piętnastu lat sam wstąpił do zakonu. Jego zwierzchnicy szybko dostrzegli ponadprzeciętne zdolności

młodego człowieka, dlatego zaraz po święceniach (1494) wysłali go na studia, które odbywał w różnych ośrodkach uniwersyteckich. Serię naukowych pobytów rozpoczął we Fryburgu Bryzgowijskim, a następnie, w różnych odstępach czasu, przebywał w Kolonii, Paryżu, Rostoku, Krakowie, Pradze i Wiedniu. Tytuł magistra sztuk wyzwolonych zdobył we Fryburgu Bryzgowijskim, a bakałarza w zakresie teologii w Krakowie. W międzyczasie parał się poezją na tyle skutecznie, że w roku 1505 cesarz Maksymilian I (1459-1519) wyróżnił go wieńcem oraz tytułem *poeta laureatus*. We Fryburgu w roku 1506 uzyskał tytuł doktora teologii, po czym wrócił do Krakowa.

Pobytowi Murnera nad Wisłą warto poświęcić chwilę uwagi. Na Uniwersytecie Jagiellońskim nauczał logiki w latach 1506-1507. Na ten użytek wymyślił i zaczął wykorzystywać w praktyce dydaktycznej grę w karty, zwaną *Chartiludium Logicum*. Całość ukazała się w formie książki, we wstępie której autor poinformował czytelników, że jest jak najdalszy od zamiaru propagowania hazardu. Jego celem, jak wyjaśniał, było jedynie ułatwienie studentom przyswojenia niewdzięcznej materii. Uwaga tego rodzaju była konieczna, gdyż od roku 1329, zgodnie z postanowieniami synodu w Würzburgu, obowiązywał zakaz wszelkich gier hazardowych. Narzucone restrykcje były dosyć radykalne. Na liście niedozwolonych rozrywek znalazły się nie tylko karty czy kości, ale nawet szachy i kule.



Thomas Murner (Ambrosius Holbein)

Każda z „naukowych" kart Murnera opatrzona została ilustracjami, które korespondowały z odpowiednim fragmentem tekstu. William Andrew Chatto (1799-1875), badając genezę gier karcianych, zwrócił uwagę na osiągnięcia Murnera na tym polu. Niemiecki zakonnik nie zyskał jednak uznania w oczach miłośnika gier losowych. Chatto doszedł do wniosku, że Murner był hazardowym laikiem, a efekt jego prac stanowi „dzieło scholastycznego pedanta", który na dodatek nie za bardzo wie, „jak używać rozumu".



Karta „dydaktyczna" z dzieła Murnera *Logica memorativa*

W grodzie Kraka jednak metoda opracowana przez pomysłowego franciszkanina spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem. Wybitny znawca kultury polskiej, Jerzy Samuel Bandtkie (1768-1835), zaznacza: „Tam bowiem zacny pan z Głogowa zaświadcza mu, że on [tj. Murner – M.J.] bez czarów wyuczył w przeciągu miesiąca logiki lepiey, jak inni za dwa lata, którzy podług Piotra Hiszpana (potem Papieża Jana XXI, rodem z Portugalii) logikę dawali; co sprawiło podeyrzenie, że oyciec Tomasz Murner (Zako-

nu św. Franciszka) czarami tego dokazywał". Polski uczony dodaje: „Akademia Krakowska dała mu za ten wynalazek uczenia logiki przez grę karcianą 24 czerwonych złotych. Pierwsza edycya pierwszey przez grę nauki wyrosła w Krakowie". Finalnie jednak Bandkie stwierdza, że to i inne dzieła Murnera były „pełne przesadzonego dowcipu, a zatem niedorzeczne".

Za ciosem

Z Krakowa Murner wyjechał już w roku 1507, ale doświadczenia zdobyte w Polsce zaowocować miały kolejnymi śmiałymi projektami dydaktycznymi. Kolejnym celem, który ambitny uczony wyznaczył sobie po zdobyciu laurów na polu teologii, poezji i logiki, było uzyskanie tytułu doktora praw, ze specjalizacją w zakresie prawa rzymskiego. Nie wszystkim jednak spodobały się jego zamiary. I nie chodziło bynajmniej o tak mocne obecnie przywiązanie do departamentalizacji wiedzy (wszak była to epoka renesansu!), ale o metody, za pomocą których żądny wiedzy mnich postanowił zrealizować swój plan.

Dyscyplina, na którą postawił Murner, była niezwykle przyszłościowa. Z chwilą powołania do życia Sądu Najwyższego Rzeszy (*Reichskammergericht*) w roku 1495 nastąpiła kolejna fala recepcji prawa rzymskiego na terytorium niemieckiego cesarstwa. W składzie osobowym tego organu przynajmniej ośmiu na szesnastu członków musiało być „uczonymi w prawie rzymskim". Wiele spraw wnoszonych przed *Reichskammergericht* nie było rozstrzyganych na podstawie praw niemieckich, ale na bazie rozwiązań wypracowanych jeszcze przez prawo rzymskie. Praktyka orzecznicza najwyższej instancji sądowniczej Rzeszy naturalnie oddziaływała na sądy instancji niższej. W tych warunkach zapotrzebowanie na prawników legitymujących się znajomością prawa rzymskiego w krótkim czasie stało się olbrzymie.

Niemniej nauka tego przedmiotu, podobnie jak dzisiaj, była żmudna i niewdzięczna. W tym właśnie Murner dostrzegł dla siebie szansę i postanowił ponownie skorzystać z patentu wypróbowanego w Krakowie. W roku 1515 powstał rękopis-prototyp nowej gry zatytułowanej *Chartiludium Institute* (zachował się do czasów współczesnych; można go podziwiać w bibliotece miejskiej w Norymberdze)[23]. Podobnie jak dzieło poprzednie, również i ta kompilacja ukazała się w wersji książkowej w roku

[23] P. Corsi, *The Enchanted Loom: Chapters in the History of Neuroscience*, Oxford 1991, s. 39.

1518. Autor podzielił ją na trzy części: *Theoretica Institute*, *Chartiludium* oraz *Practica Ludi Institute*. Całość miała, zgodnie z zasadą *solvite problema ludentes* (rozwiązujcie problemy przez zabawę), w swobodnej konwencji przybliżyć studentom treść „Instytucji" Justyniana. Najciekawiej jawi się jej rozdział środkowy. Zgromadzono w nim sto dwadzieścia jeden kart, którym odpowiadało dwanaście kolorów. Kolorom przyporządkowano po dziesięć kart, obok których funkcjonowała jeszcze „swobodnie" karta herolda. Na dwunastu „asach" umieszczono wizerunki przedstawicieli dwunastu książąt-elektorów Rzeszy. Ponadto, każda karta ozdobiona została przedstawieniem figuralnym lub schematem, które uzupełniała fraza z justyniańskich „Instytucji". Na przykład na karcie otwierającej talię umieszczono wizerunek władcy, zapewne niemieckiego cesarza, który w jednej ręce dzierży miecz, a drugą oparł na otwartej księdze. Po jego lewej stronie znalazł się medalion z napisem *Iustitia*, a na dole dalszy ciąg justyniańskiej definicji: *est constans et perpetua voluntas ius suum cuique tribuens* (jest stałą i niewzruszoną wolą oddającą każdemu, co mu się należy).



Karta „dydaktyczna" z dzieła do nauki „Instytucji" Justyniana

Obrazki miały pomóc studentom w zapamiętywaniu odpowiednich fragmentów „Instytucji" poprzez ich częste przeglądanie i powtarzanie. Murner był zdania, że jego metoda umożliwia opanowanie tego niełatwego materiału w okresie do sześciu tygodni. We wstępie do swojego dzieła gorąco zachęcał więc do wytężonej zabawy-pracy nawet tych, którzy „wiedzą mało lub nic". Zapewniał, że opanowanie materiału możliwe jest nawet „w cztery tygodnie", a także przestrzegał, by nikogo nie odstraszył krótki czas.

Autorytety kontratakują

Uczeni juryści ze zgrozą przyjęli wiadomość o tym, że ktoś w formie karcianej gry śmie przekazywać wiedzę, która dla nich samych stanowiła zbiór prawd objawionych. Tym bardziej, że gra w karty nie była jedyną oryginalną podjętą przez Murnera próbą wśliźnięcia się do społeczności znawców rzymskiego prawa. Już około roku 1500 zakonnik sporządził glosy oraz obrazkowy komentarz do „Instytucji" Justyniana. Obrazki umieścił na marginesie dzieła. W skutek zmasowanej krytyki, zarzucającej autorowi niekompetencję, a jego dziełu miałkość, komentarz nie ukazał się drukiem.

W pochodzącym z tego okresu liście strasburskiego prawnika Wolffa, adresowanym do przyjaciela Turnera, napisano: „Czymże nie zajmuje się ten najgadatliwszy ze wszystkich mnichów? Czyż nie oszpecił świętych »Instytucji« Justyniana głupimi glosami? A nie poprzestawszy na tym, umieścił na marginesie malowane obrazki. Cóż za świętokradztwo! Wciąż jeszcze cesarskie edykty ukazują się jako gra karciana. Nikt już nie może być bezpieczny przed jego trucicielskim ukąszeniem, odkąd cesarski majestat został naruszony w ten sposób".

Nieprzejednanym wrogiem Murnera okazał się również jeden z najwybitniejszych znawców prawa rzymskiego w XVI wieku, Urlich Zasius (1461-1536). W traktacie „O prawdziwej i fałszywej jurysprudencji" uczony grzmiał: „Uważamy, że na karę zasługują ci, którzy oszukańczo chcą wprowadzić w znajomość nauki prawa innych, a sami ledwo przekroczyli jej przedsionek i potrafią w jej języku wydukać pojedyncze słowa. Niektórzy z tych nadgorliwców wierzą, że przez pełne błędów i przeinaczeń tłumaczenia na język rodzimy lub przez durne gierki są w stanie rozpropagować wiedzę prawniczą. Są to jednak puste głowy, którzy na dodatek jeszcze

z innych robią durniów". Wszem i wobec rozsierdzony jurysta głosił również, że Murner wie tyle o prawie, co ślepy o kolorach. Ten odpowiedział mu w liście otwartym, który niestety nie zachował się naszych czasów.

Zasius walnie przyczynił się do tego, by starania franciszkańskiego mnicha o uzyskanie tytułu doktora obojga praw na uniwersytecie we Fryburgu Bryzgowijskim spełzły na niczym. To, czego odmówiono we Fryburgu, zyskał Murner na uniwersytecie w Bazylei w roku 1519. Jeden z przyjaciół franciszkańskiego mnicha, bo byli i tacy, Bonifacius Amerbach (1495-1562), nie omieszkał donieść o tym Zasiusowi. Z satysfakcją zacytował mu przy tym wiele mówiący fragment z „Dziejów Apostolskich": „Kamień odrzucony przez budujących, stał się kamieniem węgielnym". „Żebyś tu był, zobaczyłbyś…" – pisał jadowicie.



Urlich Zasius. Nieprzejednany przeciwnik metod nauczania krzewionych przez Murnera

Fakt ten nie poprawił jednak jego notowań w „środowisku". Nieliczne opinie potomnych również były mało pochlebne. Jeszcze w roku 1867 Roderich von Stintzing (1825-1883) z niesmakiem wyrokował, że dzieło Murnera nie stanowiło żadnej pomocy w trudach życia i nie rozwiązywało problemów niedouczonych praktyków. Niemiecki historyk prawa

postrzegał je jako przejaw pogoni za rozgłosem i popularnością, połączone ze świadomym zaniżeniem poziomu przez autora. Nie inaczej chciał widzieć Murnera amerykański historyk Sidney Bradshaw Fay (1876-1967), nazywając go literackim szarlatanem.

Podsumowanie

Dopiero w wieku XX Thomas Murner doczekał się uznania jako pedagog. Można zapytać, czy kiedykolwiek doczeka się dobrego słowa jako prawnik, skoro po zaciętych bojach udało mu się uzyskać upragniony tytuł doktora obojga praw. Pewnie nieprędko, gdyż teoretykiem był raczej kiepskim. Niemniej jego gwiazda na firmamencie romanistycznym, jakkolwiek tli się słabym światłem, nie powinna być ignorowana. Talia kart to nie jedyny wkład Murnera do rozwoju nauki prawa rzymskiego w Europie. W roku 1519 w Bazylei ukazało się tłumaczenie na język niemiecki „Instytucji" Justyniana jego autorstwa. Wydano je pod znamiennym tytułem: „Instytucje. Prawdziwe źródło i fundament prawa cesarskiego". Lata 1520, 1536, 1537 przyniosły wznowienia dzieła. Murner planował również przetłumaczenie „Digestów", ale nie doprowadził tego projektu do końca.

Franciszkański mnich był jednym z pierwszych, którzy łacińskie mądrości rzymskich prawników tłumaczyli na język ojczysty. Abstrahując od jakości przekładu (posiadał lepszy zmysł filologiczny niż prawniczy; całkiem udanie przełożył na niemiecki „Eneidę" Wergiliusza), jego działalność bezsprzecznie przyczyniła się do popularyzacji rzymskich koncepcji prawnych w krajach niemieckojęzycznych.

To ważne, gdyż istniało wiele miejsc, zwłaszcza w szwajcarskich kantonach, gdzie o prawie rzymskim nie chciano nawet słyszeć. Nieźle obrazuje to historia znana jako anegdota z Thurgau. Wspomina się w niej o wizycie pewnego Niemca o nazwisku Kreydenmann w wiosce Frauenfeld w kantonie Thurgau. Opowiedziano mu tam, jak to biegły w prawie rzymskim prawnik z Konstancji wystąpił przed miejscowym sądem. Zdążył zacytować jedynie dwóch najsłynniejszych komentatorów, Bartolusa de Saxoferrata (1313-1357) i Baldusa de Ubaldisa (1327-1400), kiedy niezbyt uprzejmie mu przerwano, po czym usłyszał: „Posłuchajcie no, doktorze! My, sędziowie przysięgli, nie pytamy tu o Bartele, Badele i innych

doktorów. Mamy świetny zwyczaj krajowy i prawo. Wynoście się, doktorze, wynocha!".

Thomas Murner zmarł w roku 1537 w swoim rodzinnymi mieście. Do dziś nie doczekał się godnego następcy w sferze racjonalizacji metod dydaktycznych w zakresie nauczania prawa rzymskiego.

7. *PER ASPERA AD ASTRA*

Dziś na prawie rzymskim trudno zarobić. Kiedyś było inaczej. Prawo rzymskie stanowiło podstawę wykształcenia każdego młodzieńca pragnącego w przyszłości uchodzić za człowieka wykształconego. Studiujący za granicą młodzi polscy nobilowie zgłębiali więc tajemnice antycznego *ius Romanum*, a ich rodziny nie skąpiły grosza na tego rodzaju edukację. Jan Zamoyski (1542-1605) uwieńczył swoje studia w Padwie rozprawą „O senacie rzymskim księgi dwie", w której doszukiwał się paraleli pomiędzy ustrojem republiki rzymskiej i Korony Polskiej. „A czymże jest – pyta retorycznie Stanisław Mackiewicz (1896-1966) – polskie siedemnastowiecze, jeśli nie marzeniem o starożytnym Rzymie. Polacy siedemnastego wieku chcieli być Rzymianami"[24]. Najświętsza prawda, chcieli. Tudno więc się dziwić, że zapał w kierunku nauki prawa rzymskiego przejawiali również trzej młodzi Radziwiłłowie: Jan Jerzy (1588-1625), Albrycht Władysław (1589-1636) oraz Krzysztof Mikołaj (1590-1607). Nauka prawa rzymskiego dała im okazję do poznania człowieka, który dokonał rewolucji na polu badań nieba.

Synowie „Sierotki"

Radziwiłłowie, jeden z najznakomitszych litewskich rodów, wywodzą swoją genezę od Lizdejki, pogańskiego kapłana, który miał wytłumaczyć księciu Giedyminowi sen o żelaznym wilku, co z kolei przełożyło się na założenie Wilna. Początek politycznej potęgi rodziny datuje się jednak na wiek szesnasty. Za jej twórców słusznie uchodzą Mikołaj Radziwiłł Czarny (1515-1565) oraz Mikołaj Radziwiłł Rudy (1512-1584). Wpływy udało się umocnić przez małżeństwo siostry tego ostatniego, Barbary (ok. 1520-

[24] S. Mackiewicz, *Dom Radziwiłłów*, Warszawa 1990, s. 98.

1551), z królem Zygmuntem Augustem (1520-1572). Potwierdzeniem znaczenia rodu stał się bezprecedensowy fakt. Otóż w roku 1547 obaj Radziwiłłowie uzyskali z rąk cesarza Karola V (1500-1588) dziedziczne tytuły książąt cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego.



Herb Radziwiłłów otrzymany od Karola V w roku 1547

Synem Mikołaja Czarnego był Mikołaj zwany Sierotką (1549-1616). Onże, pomny znaczenia, jakie udało się wywalczyć dla rodziny, zapragnął dla swoich synów światowego obycia i gruntownego wykształcenia. Koszty nie grały roli. Od roku 1364 działała na ziemiach polskich Akademia Krakowska znana dziś pod nazwą Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przyznać trzeba jednak, że w XVII wieku nie cieszyła się ona wśród naszych rodaków, zwłaszcza tych pochodzących z najznakomitszych polskich rodów, zbyt wielką estymą. Arystokraci polscy woleli kształcić swoje dzieci za granicą. Kwintesencją takiej postawy jest *Admonitorium* – program wychowawczy ułożony osobiście przez Radziwiłła Sierotkę. Autor pomieścił w nim wytyczne związane z ułożeniem synów oraz powierzonych jego opiece krewniaków. Co ciekawe, dokument nie miał charakteru aktu narzuconego odgórnie. Zainteresowani podpisali go bowiem, kiedy

doszli „do rozumu i wieku". Sierotka pragnął zapewnić swoim potomkom „wychowanie uczciwe, stanowi swojemu przystojne i ojczyźnie swej przystojne i godne". W tym celu mieli oni pobierać nauki w „jakiej niemieckiej katolickiej akademii"[25].

Wybór padł na kolegium jezuickie w Augsburgu, dokąd młodzi Radziwiłłowie – Jan Jerzy, Albrycht Władysław oraz Krzysztof Mikołaj – dotarli 5 marca 1604 roku. Paniczom towarzyszył naturalnie orszak sług. Miłym gestem ze strony społeczności Augsburga było uroczyste powitanie, jakie zgotowano przybyszom. Oto bowiem dwaj burmistrzowie w towarzystwie syndyka powitali ich u bram, po czym uraczyli… rybami i solą, a zatem w standardowy sposób, w jaki w Augsburgu witano książąt Rzeszy. Młodzi Radziwiłłowie wraz ze służbą zamieszkali w wygodnym, specjalnie na ich potrzeby wynajętym domu.

Poza pobieraniem nauk w miejscowym jezuickim kolegium, synowie Sierotki korzystali z usług prywatnych korepetytorów, zwłaszcza w zakresie nauki łaciny i niemieckiego. Zdobyte umiejętności były weryfikowane niemal natychmiast – jeszcze tego samego bądź następnego dnia. Przy obiedzie bowiem mówiono jedynie po łacinie, tymczasem przy kolacji można się było posługiwać wyłącznie językiem niemieckim. Niezależnie od tego, do stałych zajęć „pozakolegialnych" należała nauka gry na lutni oraz szermierka. W roku 1605 młodzi ludzie zakończyli naukę retoryki, po czym zaczęli zastanawiać się nad wyjazdem z miasta.

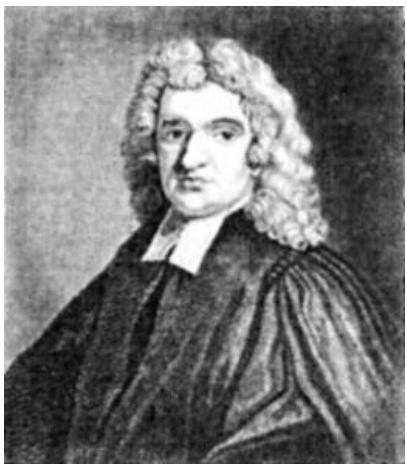
Ponieważ Jan Jerzy oraz Albrycht Władysław myśleli, by w przyszłości studiować prawo, rozpoczęto poszukiwania korepetytora, który mógłby ich wprowadzić w rudymenty tej dyscypliny. Całość operacji z daleka koordynował i finansował Sierotka. Wybór padł na „licencjata praw Jana Bayera", który miał wprowadzić młodych polskich nobilów w tajniki antycznej wiedzy prawniczej. Sierotka, który swego czasu również studiował w Niemczech, miał tam kontakt z prawem rzymskim. W liście z 5 stycznia 1564 r. jego ojciec, Mikołaj Czarny, zalecał mu lekturę „Instytucji" Justyniana upatrując w niej podstawę dla dalszego zgłębiania prawniczych mądrości starożytnych Rzymian. Po latach Sierotka ten sam program przewidział dla swoich synów. Nie był to przypadek. „Ustrój polski – zauważa Stanisław Mackiewicz – opierał się na łacinie, na rozczytywa-

[25] Wszystkie cytaty za: M. Chachaj, *Zagraniczna edukacja Radziwiłłów*, Lublin 1995.

niu się w Cyceronie, na rzymskiej obronie wolności człowieka. Wydawało się to tak słuszne, jak retorycznie brzmiało pięknie"[26]. Łacinę młodzi Radziwiłłowie znali już nieźle. Przyszła pora na prawo rzymskie.

Korepetytora życiorys (nie)typowy

Korepetytor Radziwiłłów, Jan Bayer (1572-1625), przyszedł na świat w bawarskim miasteczku Rain. Edukację rozpoczął w miejscowej szkole, w której językiem prowadzenia zajęć była łacina. Naukę kontynuował w Augsburgu, po czym w roku 1592 rozpoczął studia prawnicze i filozoficzne na uniwersytecie w Ingolstadt (Augsburg do roku 1970 nie miał własnego uniwersytetu). Pod koniec XVI wieku pożegnał się z uczelnią, uzyskawszy wprzódy tytuł „licencjata praw". Osiedlił się w Augsburgu, gdzie rozpoczął praktykę adwokacką. Od roku 1612 świadczył usługi prawne na rzecz miejscowej rady miasta.



Jan Bayer (1572-1625), korepetytor młodych Radziwiłłów

Nic wielkiego, można powiedzieć. Takich jak Bayer było wówczas w cesarstwie niemieckim tysiące. Prawnicy z wykształceniem uniwersyteckim, prowadzący skromną kancelarię gdzieś daleko od stolicy. Bayer jednak w istotny sposób zdołał wyróżnić się spośród kolegów po fachu.

[26] S. Mackiewicz, *op. cit*., s. 69.

W wolnych chwilach poświęcał się matematyce, archeologii oraz astronomii. Podczas krótkiego pobytu w Rzymie, zamiast peregrynować po niezliczonych kościołach, z entuzjazmem wziął udział w wykopaliskach archeologicznych prowadzonych przy Via Nomentana. Odkopany materiał opracował sporządzając serię szkiców.

Nasz bohater stosunkowo wcześnie zakończył akademicką przygodę z jurysprudencją. Trudno więc szukać jego nazwiska w leksykonach wielkich europejskich prawników. Jego biogram znajduje się za to w każdym biograficznym opracowaniu poświęconym astronomom. Wszystko za sprawą dzieła zatytułowanego *Uranometria*, a właściwie *Uranometria: omnium asterismorum continens schemata, nova methodo delineata, aereis laminis expressa*, czyli: „Uranometria: zawierająca wizerunki wszystkich konstelacji, wytyczona nową metodą, wyryta na miedzianych matrycach".

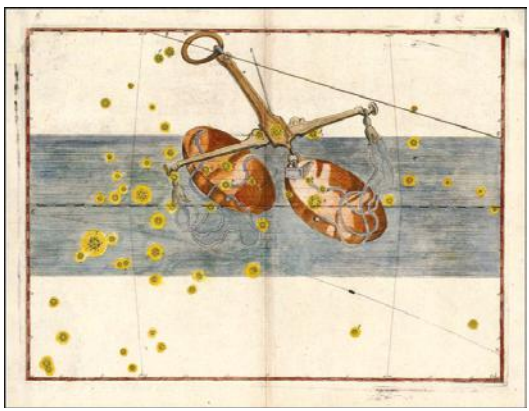
Jest to pierwsze dzieło, które objęło swoim zasięgiem całą sferę niebieską. Swoją znakomitą syntezę znalazły w nim rozległe zainteresowania i umiejętności Bayera. Tytuł nawiązuje do Uranii – greckiej bogini niebios i oznacza pomiar nieba. Na pięćdziesięciu jeden sporych rozmiarów kartach ukazano poszczególne konstelacje gwiezdne. Do znanych już antycznemu astronomowi Ptolemeuszowi czterdziestu ośmiu, Bayer dodał następne. Na jednej z kart zmieścił dwanaście nieznanych Ptolemeuszowi konstelacji nieba południowego. Dwie kolejne przedstawiają planisfery z opisami *Synopsis coeli superioris borea* (Przegląd półkuli północnej) oraz *Synopsis coeli inferioris austrina* (Przegląd półkuli południowej).



Konstelacja Herkulesa. Karta z astronomicznego atlasu Bayera



Konstelacja Oriona. Karta z astronomicznego atlasu Bayera



Konstelacja Wagi. Karta z astronomicznego atlasu Bayera

Każda z zaprezentowanych konstelacji poza dokładnym zaznaczeniem położenia poszczególnych gwiazd, wyobrażona została w formie figuralnej bądź przedmiotowej. Przedstawienia te stanowią przykład najwyższego kunsztu ilustracyjnego. Wiele z nich cechuje się oryginalnością na tle tego, co tworzono dotychczas. Ponadto, augsburski prawnik wprowadził własny system oznaczania gwiazd, przyporządkowując każdej z nich literę z greckiego alfabetu. Największa oznaczana była jako alfa, kolejna jako beta i tak dalej. Księga Bayera budzi uwagę również z inne-

go powodu. Otóż nie jest to zbiór połączonych tematycznie ilustracji, ale pierwszy dokładny atlas nieba w nowoczesnym tego słowa znaczeniu.

Prawo rzymskie nad matematyką

„Uranometria" przyniosła Bayerowi sławę, ale nie rozwiązała wszelkich bolączek związanych z codzienną egzystencją. To zresztą zjawisko normalne i ponadczasowe. Kiedy więc nadarzyła się okazja, by podreperować domowy budżet, admirator ciał niebieskich nie zastanawiał się długo, po czym dał się „zakontraktować" do nauczania młodych Radziwiłłów prawa rzymskiego i matematyki. Układ był zadowalający dla obu stron. Korepetytor miał bowiem zarabiać miesięcznie 16 florenów.

Przy okazji trzeba przyznać, że wybrano dosyć osobliwą formę przekazywania wiedzy. Otóż codziennie od godziny siódmej do ósmej augsburski prawnik miał czytać młodym ludziom „Instytucje" Justyniana. Następnie po południu od godziny drugiej do trzeciej, nauczał ich matematyki opierając się na podręczniku średniowiecznego uczonego Jana de Sacrobosco (ok. 1195-1256). Usłyszawszy o tym, Sierotka nie był zachwycony. Żaden z jego synów nie kształcił się przecież na geometrę. Radziwiłłów stać było na to, by w dowolnym miejscu i czasie zatrudnić najlepszych specjalistów. Geometria zaś nieodmiennie kojarzyła się Sierotce z pomiarami gruntów. Pragnął, by jego synowie, młodzi panicze, nabrali umiejętności bardziej... praktycznych. Prawo rzymskie – owszem, ale matematyka?

Podobnego zdania był mentor młodych ludzi i zarazem ich nauczyciel łaciny, jezuita Melchior Dicius (1554-1629). Mając poparcie ojca chłopców, postanowił wpłynąć na ich korepetytora. Ustalono, że do końca sierpnia roku 1605 Bayer zapozna młodych Radziwiłłów jedynie z najważniejszymi zagadnieniami matematycznymi, a czas dotąd zarezerwowany na matematykę wypełni lektura justyniańskich „Instytucji".

Niestety wielka polityka przeszkodziła Bayerowi w „komercjalizacji wiedzy" na dłuższą metę. W grudniu 1605 roku przebywający w Polsce Maksymilian I Bawarski (1573-1651), wezwał go na swój dwór. Odmowa nie wchodziła w grę, przeto Melchior Dicius musiał znaleźć kogoś innego, kto dokończyłby lekturę justyniańskiego podręcznika. Pracy nie było wiele, jako że Bayer rozpoczął już czwartą i ostatnią księgę. Jego następca, niestety nieznany z imienia i nazwiska, zakończył lekturę 1 lutego 1606 roku.

Przygoda młodych Radziwiłłów z prawem rzymskim nie zakończyła się jednak. W czerwcu tegoż roku bracia wyruszyli do Włoch. 30 czerwca dotarli do Mediolanu, po czym skierowali się do Bolonii – matecznika badań nad prawem rzymskim. Tu jeden z nich, Krzysztof Mikołaj, uczęszczał na korepetycje do nieznanego z nazwiska profesora, które miały pogłębić jego znajomość „Instytucji". Jego miejscowy mentor zachęcał go, by na uniwersytecie brał udział w zajęciach z logiki, pozostawiając decyzję ewentualnego udziału w wykładach z prawa Radziwiłłowi Sierotce. Znając nastawienie tego ostatniego, można zakładać, że ojcowska opinia była przychylna. Słabe zdrowie nie pozwoliło młodzieńcowi na praktyczne wykorzystanie zdobytej wiedzy. 4 maja 1607 roku Krzysztof Mikołaj zmarł.

Jego bracia w lipcu tego samego roku powrócili na Litwę. Niemniej Jan Jerzy miał jeszcze powrócić do Włoch. Zachowała się datowana na koniec 1621 roku metryka nacji polskiej na uniwersytecie w Padwie, w której widnieją jego personalia. Tymczasem 10 października 1625 r. wpisał się do studenckiej metryki uniwersytetu w Bolonii. Był już wówczas dojrzałym mężczyzną, więc trudno się dziwić, że inne to już było studiowanie. Wkrótce zresztą powody natury rodzinnej ponownie ściągnęły go na Litwę. Albrycht Władysław natomiast powrócił do Włoch jako ochmistrz królewicza Władysława Wazy, podczas jego podróży po Italii w latach 1624-1625. Na studia nie było już czasu. Niemniej wiedzę prawniczą nabytą wcześniej miał okazję spożytkować pełniąc funkcję podkanclerzego, a następnie kanclerza wielkiego litewskiego.

Epilog

Dzięki „Uranometrii" Bayer wywalczył sobie poczesne miejsce w panteonie uczonych. System oznaczania gwiazd, jaki wprowadził, wciąż jest wykorzystywany. Dla upamiętnienia jego dokonań, jeden z kraterów na Księżycu nazwano „kraterem Bayera", w jego rodzinnym mieście – Rein – można napić się piwa na Johannes-Bayer-Straße, a dziecko (od roku 1994) wysłać do *Johannes-Bayer-Grundschule*. Sukces i sława nie przyszły jednak same. Badania kosztowały, kosztują i będą kosztować. Sława również bywa fenomenem zgoła niewymiernym. Publikując swe dzieło, zyskał Bayer podziw, ale nie pieniądze. Kiedy więc praktyka adwokacka nie wystarczała, by wiązać koniec z końcem, trzeba było chałturzyć.

Imał się więc liencjat praw Bayer różnych zajęć. Wśród nich znalazło się nauczanie książąt Rzeszy – młodych Radziwiłłów.

Opisana historia pokazuje pewne stałe w procesie intelektualnego rozwoju ludzkości. Otóż młodzi Radziwiłłowie ewidentnie przedłożyli naukę prawa rzymskiego nad matematykę. Czyż i dziś nie jest to trend powszechny?

8. JUSTYNIAN I – BÓG RZYMSKIEGO PRAWA?

Posługiwanie się pieczęciami znane jest od zamierzchłej starożytności. Średniowiecze, a za nim czasy nowożytne, przejęły i rozwinęły tę praktykę. Przez wieki pieczęcie pełniły najprzeróżniejsze funkcje: stanowiły znak własności, zapewniały nienaruszalność przedmiotów, gwarantowały tajemnicę korespondencji, potwierdzały legalność zawartej czynności prawnej (np. przy testamencie). Przynajmniej od XII wieku przyłożenie oficjalnej pieczęci stanowiło jedyny sposób legalizacji dokumentu i nadania mu mocy prawnej.

Pieczęcie wydziałów prawa

Niezwykle ciekawym tematem poddawanym naukowym dociekaniom specjalistów z zakresu sfragistyki są motywy wizualne, które wykorzystywano na pieczęciach. W przypadku uniwersytetów niepisaną zasadą było odwoływanie się do wizerunków ich świętych patronów. Korzystano również ze znaków herbowych założycieli lub fundatorów uczelni. Własne pieczęcie posiadały również wydziały prawa. Obok świętego Iwona, patrona prawników, najpopularniejszymi wyobrażeniami, którymi posługiwały się owe jednostki, były przedstawienia papieża i cesarza (ewentualnie króla) jako przedstawicieli dwóch odrębnych porządków prawnych – prawa kanonicznego i świeckiego. Nie brakuje również pieczęci z personifikacjami Sprawiedliwości. Z kolei do najczęściej wykorzystywanych na nich przedmiotów należą: waga, miecz, klucze, korona oraz pastorał. Na tym tle dużą oryginalność wykazuje koncept, którym posłużono się na pieczęci wydziału prawa uniwersytetu w Fuldzie[27].

[27] H. Hattenhauer, *Sigillum Facultatis Juridicae. Siegel Juristischer Fakultäten im deutschen Sprachraum*, Heidelberg 2005, s. 74-75.



Pieczęć wydziału prawa uniwersytetu w Fuldzie

Dwa słowa godzi się poświęcić uczelni, która powstała stosunkowo późno. Swe narodziny zawdzięcza staraniom energicznego opata Adolfa von Dalberga (1678-1737). Duchownemu udało się w 1733 roku uzyskać przywilej od papieża Klemensa XII (1652-1740). Rok później podobny dokument wydał cesarz Karol VI (1685-1740). Na tej podstawie dotychczasowe seminarium papieskie przekształcono w uniwersytet, w którego ramach utworzono wydział prawa. Uczelnia miała być wspólnie prowadzona przez jezuitów, benedyktynów oraz miejscowe duchowieństwo. Kres jej działalności przyniosła decyzja wydana w 1805 roku przez księcia Wilhelma I von Nassaua-Dietza (1772-1843), który zdegradował uniwersytet do rangi gimnazjum.

„Wizytówka" wydziału prawa w Fuldzie

Wróćmy jednak do pieczęci. Do naszych czasów zachowała się tzw. pieczęć mniejsza (*sigillum minus*) wydziału prawa. Na jej obramowaniu umieszczono dosyć standardową formułę: *MDCC XXXIV SIGILL(UM) FACULTAT(IS) IURIDICAE FULD(ENSIS)*, czyli: 1734 Pieczęć Wydziału Prawa Uniwersytetu w Fuldzie. Wewnątrz na dole widzimy herb opata zwieńczony książęcą koroną. Po jej obu stronach widnieją inicjały zało-

życiela uczelni: A.A. – P.F., czyli *A(DOLPHUS) A(BBAS) – P(RINCEPS) F(ULDENSIS)*; w polskim tłumaczeniu, dosyć swobodnym, Adolf Opat – Rektor Fuldy. Najbardziej zadziwiające jest jednak przedstawienie, które znajduje się wyżej. Oto oczom naszym ukazuje się obłok, na którym wygodnie usadowił się… cesarz Justynian I (483-565), inicjator jednej z największych kodyfikacji prawa w dziejach, reformator i odnowiciel prawa rzymskiego. Dla rozwiania wszelkich ewentualnych wątpliwości obrazek opatrzono napisem: *DIVUS IUSTINIANUS* (ubóstwiony Justynian). Władcę zaopatrzono w należne mu atrybuty – koronę, berło i jabłko. Skrupulatnemu rzemieślnikowi-artyście udało się dodatkowo wcisnąć cesarzowi pod pachę opasłą księgę, którą bez wątpienia jest *Corpus Iuris Civilis*.

Boski Justynian

Zacznijmy od napisu. Przydomek *divus* (ubóstwiony), wcześniej *divi filius* (syn boga), stanowił określenie związane raczej z tytulaturą władców pogańskich. Cesarze chrześcijańscy jeszcze przez pewien czas utrzymywali tę tradycję, ale w czasach Justyniana (VI w.) już o niej nie słyszymy. Faktem jest jednak, że od średniowiecza okazjonalnie nadawano słynnemu prawodawcy tytuł *divus*. W sądowym rozstrzygnięciu z 1072 roku właśnie tak nazywa go archidiakon Hildebrand, późniejszy papież Grzegorz VII (ok. 1015-1085). Podobnie w jednym z praw wydanych przez niemieckiego cesarza Henryka II (978-1024) na początku wywodu umieszczono znaczący wstęp: „Ponieważ ubóstwiony Justynian słusznie postanowił…”[28]. „Ubóstwiony Justynian” pojawiał się jednak i w innych pismach. Oto w mowie sławiącej sztuki wyzwolone holenderski teolog Martinus Dorpius (1485-1525) w taki właśnie sposób określa cesarza. Pozostawienie władcy tego osobliwego przydomku miało stanowić wyraz podziwu i szacunku dla jego prawodawczych dokonań. Z maniery tej pokpiwał po latach Christoph Martin Wieland (1733-1813) pisząc o „prawnikach z tym ich *divus Iustinianus*”[29].

---

[28] Zob.: F. Theisen, *Studien zur Emphyteuse in audgewählte italienischen Regionen des 12. Jahrhunderts: Verrechtlichung des Alltags?*, Frankfurt am Main 2003, s. 229, przyp. 888.

[29] Ch.M. Wieland, *Sämtliche Werke*, Leipzig 1828, s. 301.



Scena apokaliptyczna (Albrecht Dürer)

Większe zaskoczenie wywołuje jednak wizualny kontekst, w którym umieszczono cesarza. To doprawdy zadziwiające, że wydział prawa katolickiej uczelni posłużył się tak odważnym motywem. Chrześcijańska ikonografia przyzwyczaiła nas do postrzegania obłoku jako atrybutu Boga. W „Starym Testamencie" obłok w sposób szczególny towarzyszy wielu objawieniom Jahwe. W „Księdze Psalmów" odnajdujemy znaczące stwierdzenie: „Pan króluje, niech się raduje ziemia, niech się weselą wyspy mnogie. Obłok i mgła wokoło niego, sprawiedliwość i sąd utwierdzeniem stolicy jego"[30]. W „Nowym Testamencie" obłok jest obecny podczas przemienienia na górze i wniebowstąpienia. Dzieło to upewnia nas również, że obłoki będą towarzyszyć Chrystusowi podczas jego powtórnego przybycia na ziemię. Święty Mateusz Ewangelista wspomina o Synu Człowieczym przechadzającym się na obłokach niebieskich z wielką mocą i chwałą[31]. Z kolei w „Apokalipsie św. Jana" czytamy: „I spojrzałem,

[30] Cyt. za: J.W. Wessels, *History of the Roman-Dutch law*, Grahamstown 1908, s. 113.
[31] Matt. 24.30; por. Luc. 21.27

a oto obłok biały, a na obłoku siedział ktoś podobny do Syna Człowieczego. Na głowie swej miał złotą koronę, a w ręku swym ostry sierp”[32]. Dlatego w popularnych i często powielanych od średniowiecza przedstawieniach Sądu Ostatecznego, Jezusa umieszczano na obłoku, który pełnił funkcję swoistego trybunału. Sędzia świata zasiadał tym samym na godnym siebie podwyższeniu. Dużo rzadziej po obłoku stąpała Matka Boża oraz wybrani święci.

Jak zatem omawiane przedstawienie ma się do przykazania z Mojżeszowego katalogu, mianowicie: „Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną”? Czy pokazanie cesarza Justyniana w konwencji stosowanej dotychczas głównie w stosunku do Boga i Dziewicy Maryi nie stanowi formy bałwochwalstwa, jednego z najcięższych grzechów? Pobożnemu opatowi Adolfowi von Adalbergowi, podobnie jak innym duchownym pracownikom uczelni, powyższe problemy najwyraźniej nie spędzały snu z powiek.

Santo subito!

Motyw wykorzystany przez Wydział Prawa Uniwersytetu w Fuldzie podsuwa pewien pomysł. Nad uniwersytetami *in corpore* czuwa wybitny znawca rzymskiego prawa Contardo Ferrini (1859-1902). Patronem prawników jest święty Iwo z Bretanii (1253-1303). Studentami jako całością opiekuje się kilku jego kolegów, z których najszerzej znany jest Pier Giorgio Frassati (1901-1925). A studenci prawa? To smutne, ale wygląda na to, że nie mają nikogo, kto w szczególny sposób dbałby w niebie o ich interesy. Paradoksalnie przyszli prawnicy pozostają więc bez przedstawiciela, który reprezentowałby ich przed najważniejszym z trybunałów. Cesarz Justynian świetnie nadawałby się do roli ich powiernika. Za jego kandydaturą, poza niezaprzeczalnymi zasługami na polu prawodawstwa, przemawia jeszcze jeden szczegół o kapitalnym znaczeniu. W konstytucji *Imperatoriam*, która rozpoczyna jedyny w swoim rodzaju podręcznik do nauki prawa – „Instytucje” – władca daje do zrozumienia, że zależy mu na przekazaniu potrzebnej przyszłym prawnikom wiedzy, ale bez zbędnego przeciążania ich wrażliwych umysłów. Czy można wyobrazić sobie większą życzliwość i wyrozumiałość wobec żaków?

---

32 *Apocal.* 14.14.

Pozostaje wszakże pewien szkopuł. Przed oficjalną nominacją należałoby przynajmniej beatyfikować człowieka, którego Prokopiusz z Cezarei (ok. 490 – ok. 561) uważał za wcielenie szatana i nazywał „księciem demonów”[33]. To wszakże detal. Nie takich rehabilitowano.

9. KANDINSKY, ABSTRAKCJA I PRAWO RZYMSKIE

„W życiu zresztą – czytamy w »Białej Gwardii« Michaiła Bułhakowa – przeważnie tak bywa. Człowiek przez dwadzieścia lat czymś się zajmuje, na przykład wykłada prawo rzymskie, a w dwudziestym pierwszym roku okazuje się nagle, że prawo rzymskie ani go ziębi, ani grzeje, że właściwie człowiek nie rozumie go nawet i nie lubi, w głębi duszy jest natomiast zawołanym ogrodnikiem i uwielbia kwiaty. Dzieje się tak zapewne z powodu niedoskonałości naszego ustroju społecznego, która sprawia, że ludzie dopiero u schyłku swych dni odnajdują prawdziwie powołanie”[34]. Zdarza się wszakże i tak, że iluminacja przychodzi wcześniej. Wtedy człowiek rzuca wszystko, odcina się od przeszłości i rozpoczyna nowe życie. Zupełnie jak Wasilij Wasiliewicz Kandinsky (1866-1944) – malarz, teoretyk sztuki, współtwórca i jeden z głównych przedstawicieli nowego nurtu w sztuce zwanego abstrakcjonizmem; absolwent prawa.

Prawnik z przypadku

Kandinsky urodził się w Moskwie 4 grudnia 1866 roku. W domu rodzinnym nie pielęgnowano prawniczego etosu. Nie było zresztą ku temu większych powodów. Ojciec handlował herbatą, a matka była „przy mężu”. W dzieciństwie zaszczepiono mu za to szereg zainteresowań artystycznych. Bajek wysłuchiwał w języku rosyjskim i niemieckim. Uczył się również gry na wiolonczeli i fortepianie. W 1871 roku przeniósł się z matką do czarnomorskiej Odessy, w której ukończył gimnazjum o profilu klasycznym. Przez cały ten okres nie przestawał rozwijać się artystycznie. Dlatego niejakie zaskoczenie wywołuje informa-

---

33 Proc. *anek*. rozdz. XIII.

34 M. Bułhakow, *Biała Gwardia*, przeł. I. Lewandowska, W. Dąbrowski, Warszawa 1998, s. 106.

cja, że w 1885 roku świeżo upieczony maturzysta powrócił do Moskwy, aby zapisać się na miejscowy wydział prawa. O dziwo, początkowo był ze swego wyboru bardzo zadowolony. W opublikowanych w 1913 roku wspomnieniach zatytułowanych „Retrospekcje" (*Rückblicke*) odnotował: „Poza wybraną przeze mnie specjalnością (…) pociągały mnie (…) również inne dyscypliny: prawo rzymskie (które oczarowało mnie wspaniałą, świadomą i wyrafinowaną konstrukcją i które jednak ostatecznie jako Słowianinowi nie mogło dać mi satysfakcji w swej o wiele za zimnej, o wiele za rozumowej i nieugiętej logice), prawo karne (które poruszyło mnie zwłaszcza i być może wyłącznie dzięki nowej ówcześnie teorii Lombrosa), historia prawa rosyjskiego i prawo rolne (które w przeciwieństwie do prawa rzymskiego zdobyło mój podziw i głęboką miłość jako wyzwolenie i szczęśliwe rozwiązanie w ustawie problemu o fundamentalnym charakterze)"[35]. W 1892 roku Kandinsky wspaniale zdał państwowy egzamin z prawa, po czym rozpoczął karierę naukową jako asystent na wydziale prawniczym.

Wobec prawa rzymskiego nie okazywał jednak przesadnej atencji. Przedkładał nad nie rodzime prawo chłopskie. Jego „prawnoporównawcze" wywody mogą dziś budzić niejakie zdziwienie. Dorobek starożytnych Rzymian interesował go bowiem raczej w ujęciu karnistycznym, a nie, jak można by się spodziewać, cywilistycznym. I tak wywodził wyższość rosyjskiego prawa chłopskiego nad zachodnim prawem „łacińskim", dostrzegając w tym pierwszym brak „cech bezpośredniej pomsty dla każdego rodzaju wykroczenia". Uważał, że prawo rzymskie zamiera, podczas gdy prawo chłopskie niewzruszenie trwa. Prawo chłopskie stanowić miało, jego zdaniem, ekwiwalent prawa chrześcijańskiego, podczas gdy prawo rzymskie było prawem pogańskim. „Wewnętrzna klasyfikacja – pisał – daje się wyjaśnić przy zastosowaniu śmiałej logiki w sposób następujący: ten czyn nie jest w przypadku tego człowieka przestępstwem, nawet jeżeli w przypadku innych ludzi powszechnie uchodzi za zbrodnię. Tak więc: w tym przypadku zbrodnia nie jest zbrodnią. Z tego wynika: absolutna zbrodnia nie istnieje. (Cóż za kontrast wobec *nulla poena sine lege*!). Dalej: nie czyn (realność), lecz jego korzenie (abstrakcja) tworzą zło (i dobro). I w końcu: każdy czyn jest obojętny. Stoi na krawędzi. Wola

35 W. Kandinsky, *Rückblicke*, Baden-Baden 1955, s. 13.

zadaje mu cios, a on pada na prawo lub lewo. Zewnętrzna elastyczność i wewnętrzna precyzja są w tym przypadku bardzo rozwinięte w rosyjskim narodzie, i sądzę, że nie przesadzam, jeżeli przypisuję Rosjanom ogólnie silną skłonność do takiego rozwoju. Nie ma w tym nic dziwnego, gdy narody, które rozwój swój zawdzięczają często cennym zasadom formalnego, zewnętrznie bardzo precyzyjnego rzymskiego ducha (wystarczy pomyśleć o *ius strictum* wcześniejszego okresu), kiwają głową nad rosyjskim życiem lub łajają je pogardliwie. Szczególnie powierzchowna obserwacja pozwala dostrzec w tym dla obcego oka osobliwym życiu jedynie miękkość i zewnętrzną elastyczność, która jest uznawana za brak zasad, ponieważ wewnętrzna przyczyna ukryta jest w głębi. W rezultacie wolnomyślicielscy Rosjanie okazują innym narodom o wiele więcej tolerancji, niż im samym przypada w udziale. W wielu przypadkach tolerancja ta zmienia się w zachwyt". „Zasada karania »odpowiednio do człowieka« działa tutaj szczególnie zdecydowanie".



Rosyjscy chłopi

O tym, czym w praktyce jest rosyjskie „prawo chłopskie" niejednokrotnie miał szansę przekonać się Konstanty Kawielin (1818-1885), prawnik i wykładowca uniwersytetu w Petersburgu, z przekonania zaprzysięgły liberał. Opierając się na własnych doświadczeniach zauważał, że na rosyjskiej wsi nie istnieje coś takiego, jak świętość kontraktu, co może szokować przybyszy z Zachodu. Zamiast tego rosyjscy włościanie zwykli odwoływać się do „instynktu i zwyczaju". Na przykład nie miano pretensji do chłopa, który zobowiązał się wykonać pracę bez wzięcia

zaliczki, po czym nie wywiązał się z danej obietnicy. Surowo potępiano za to kogoś, kto zawiódł zaliczkę wcześniej wziąwszy. Warunki pracy na polu mogły zmieniać się praktycznie co tydzień, a głównymi faktorami je kształtującymi były: płaca oraz... poczęstunek wódką. Stan ten prowadził do niebywałego chaosu. Tym bardziej zaskakująca jest konstatacja petersburskiego profesora, który – dostrzegając przecież irracjonalność panujących na rosyjskiej wsi praw i zwyczajów – pisze: „Lepsze to niż oglądanie się na prawo rzymskie”[36]. Krótko mówiąc: „Z jednej strony umowa, prawo rzymskie, przewidywalna, nawet przymusowa przyszłość (Zachód!), z drugiej strony jednostronne, dobrowolne oddanie się, dar (państwowość na Rusi wywołuje religijne uczucie »oddania siebie«)”[37].

Na rozstaju

Jeden z pięknych mitów o Heraklesie głosi, że we wczesnej młodości grecki heros spotkał na rozstajnych drogach dwie kobiety, które przedstawiły mu się jako Przyjemność i Cnota. Pierwsza zaproponowała życie spokojne, pełne luksusu i przyjemności. Druga oświadczyła, że jeżeli podąży za nią, czeka go życie ciężkie, ale pełne chwały. Młodzieniec bez wahania wkroczył na drogę obfitującą w nowe wyzwania[38].

Wasilij Kandinsky znalazł się na rozdrożu w 1896 roku. Rok wcześniej definitywnie zrezygnował z kariery uniwersyteckiej i objął, ku niezadowoleniu świeżo poślubionej żony, Anny, stanowisko dyrektora artystycznego w moskiewskim wydawnictwie. Szybko zresztą porzucił i to zajęcie. Zanim się to jednak stało, otrzymał propozycję objęcia katedry prawa rzymskiego na uniwersytecie w Dorpacie (obecne Tartu w Estonii). Uczelnia ta posiadała długą tradycję i cieszyła się utrwaloną renomą. Jej początki sięgają XVI wieku, kiedy pod rządami polskiego króla Stefana Batorego (1533-1586) powstało tam prowadzone przez jezuitów *Gymnasium Dorpatense*. Szwedzki król Karol X Gustaw (1622-1660) założył

---

36 Cyt. za: I. Sakowicz, *Między autokracją a rewolucją. Liberalizm Konstantego Kawielina w epoce wielkich reform*, Gdańsk 1999, s. 137.

37 Cyt. za: M. Broda, *Mentalność, tradycja kulturowo-polityczna i bolszewickie doświadczenia Rosji*, [w:] *Komunizm w Rosji i jego polskie interpretacje*, red. M. Broda, J. Kurczak, P. Waingertner, Łódź 2006, s. 153.

38 Xen. *mem*. 2.1.21-34.

w jego miejsce ośrodek naukowy funkcjonujący pod nazwą *Academia Gustaviana*. Po III wojnie północnej (1700-1721) całe Inflanty znalazły się we władaniu rosyjskim, a akademia zawiesiła swoją działalność. Odnowienia uczelni dokonał w 1802 roku car Aleksander I. Ponieważ była ona przeznaczona głównie dla niemieckiej i niemieckojęzycznej szlachty osiadłej na tych terenach, jej językiem wykładowym był niemiecki.



Dorpat około roku 1900

Oferta złożona Kandinskiemu była nader kusząca. Młodemu człowiekowi proponowano stanowisko dające twórczą niezależność oraz finansową stabilizację. Gest inflanckiej uczelni może dziwić tym bardziej, że, jak wspomniano wyżej, Kandinsky nie interesował się prawem rzymskim w sposób wykraczający poza obowiązki studenta oraz że również potem, już jako asystent, nie ogłaszał naukowych publikacji mających związek z tą dyscypliną.

A jednak (znowu ku rozczarowaniu żony) wspaniałomyślna propozycja została odrzucona. Kandinsky definitywnie postanowił poświęcić się sztuce. Wpływ na jego decyzję miały trzy wydarzenia, które rozegrały się w 1896 roku: wystawa impresjonistów w Moskwie, wystawienie wagnerowskiego „Lohengrina" w Teatrze Wielkim oraz rozszczepienie atomu. Ostatnie odkrycie uświadomiło mu, że coś takiego, jak pewność odnośnie do jednoznaczności i solidności świata realnego nie istnieje. W tym samym roku postanowił więc opuścić Rosję i udać się do Monachium (opinii żony w tej sprawie chyba nie trzeba przytaczać…). W stolicy Bawarii zamierzał studiować malarstwo.



Kandinsky w bawarskim mieście Murnau w roku 1909

Ku abstrakcji

W Monachium niedawny asystent moskiewskiego uniwersytetu uczył się rysunku w szkole słoweńskiego malarza Antona Ažbégo (1862-1905). Wkrótce zaangażował się w założenie artystycznego stowarzyszenia o nazwie Falanga (*Phalanx*), które skupiło w swych szeregach pierwsze nazwiska ówczesnej sztuki awangardowej. Grupa nie odniosła jednak większych sukcesów i w 1904 roku została rozwiązana.

W latach 1904-1911 artysta intensywnie poszukiwał własnego stylu. Pierwszy przełom przyniosła znajomość z Franzem Marcem (1880-1916), z którym w 1911 roku założył grupę „Niebieski Jeździec" (*Der Blaue Reiter*). Współcześni historycy sztuki uważają moment jej powstania za jedno z najważniejszych wydarzeń w historii sztuki XX wieku. Dalsze lata przyniosły Kandinskiemu taki rozgłos i uznanie, że powstałe ówcześnie prace bez wahania zestawia się obecnie z dziełami artystów tej miary co Henri Matisse (1869-1959), Umberto Boccioni (1882-1916) czy Pablo Picasso (1881-1973). Z roku 1913 pochodzi zaś mająca charakter deklaracji programowej rozprawa Kandinskiego zatytułowana „O pierwiastku duchowym w sztuce" (*Über das Geistige in der Kunst*).

Pasmo sukcesów przerwał wybuch I wojny światowej, który zmusił Kandinskiego do wyjazdu z Niemiec. Początkowo zatrzymał się w Sztokholmie, po czym powrócił do Moskwy, gdzie doczekał końca wojny oraz zmiany ustroju. Tu poznał swoją drugą żonę – Ninę Andrejewską. Mimo trudnej sytuacji finansowej nawet przez chwilę nie brał jednak pod uwagę powrotu do wykonywania profesji wyuczonej na uniwersytecie, czyli

prawa. W 1919 roku namalował obraz zatytułowany „W szarości", który uznał za „koniec dramatycznego okresu w twórczości". Od tej chwili tworzył dzieła wyłącznie niefiguralne.



„Kompozycja II" (Wasillij Kandinsky)

Pod rządami bolszewików Kandinsky początkowo zaangażował się w krzewienie kultury artystycznej. „Miał zostać dyrektorem Akademii – wspominała jego żona – jednak od momentu, kiedy okazało się, że nie jest ani marksistą, ani komunistą, to najważniejsze stanowisko stało się dla niego niedostępne"[39].

W 1921 roku artysta opuścił wraz z żoną sowiecką Rosję i przybył do Berlina. W Niemczech szybko nawiązał kontakt z założycielem Bauhausu – Walterem Gropiusem (1883-1969). W instytucji tej pracował i nauczał aż do jej zamknięcia w Dessau w roku 1932. Rok później osiedlił się we Francji. Do końca życia tworzył oraz wystawiał zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Stał się wzorem do naśladowania dla wielu pokoleń awangardowych twórców. Zmarł 13 grudnia 1944 roku w Neuilly-sur-Seine.

Abstrakcji inny wymiar

Kosztem porzucenia wyuczonej dyscypliny Kandinskiemu udało się więc osiągnąć życiowy cel. Można jednak zapytać, co z prawnikami, któ-

[39] N. Kandinsky, *Kandinsky und ich*, München 1976, s. 86.

rzy nie opuścili ojczyzny i pozostali przy swym zawodzie. Już niedługo miało się okazać, że nie ma dla nich miejsca w „społeczeństwie przyszłości". Kiedy w 1917 roku władzę w Rosji przejął Włodzimierz Lenin (1870-1924) i jego kamaryla, dotychczasowy porządek, również prawny, został postawiony na głowie. Początkowo nic nie zwiastowało radykalnych rozstrzygnięć. Wszak przyszły wódz rewolucji ze znakomitymi wynikami zakończył symbirskie gimnazjum klasyczne, a potem w 1887 roku rozpoczął studia prawnicze na uniwersytecie w Kazaniu (skąd jednak wydalono go już w grudniu tego samego roku). Ostatecznie udało mu się skończyć prawo w Petersburgu w 1892 roku. Patrząc z perspektywy na tamten okres, cierpko-słodką wzmiankę poświęcił „gadule Woroszyłowowi, którego jelita wypełnione były prawem rzymskim"[40]. Z drugiej strony stwierdzał jednak, że nauka prawa rzymskiego szkodzi rewolucji „deformując młode umysły", co miało pozostawać w interesie... carskiej policji[41].



Lenin około roku 1887

[40] Cyt. za: N. Valentinov, *The early years of Lenin*, University of Michigann Press 1969, s. 149.

[41] Zob. L. Trotski, *La jeunesse de Lenin*, Paris 1970, s. 37, 51.

Nowe pokolenie prawników miało zostać ukształtowane w oparciu o zupełnie inne wzorce. Już jako faktyczna głowa państwa Lenin, w liście do Sekretariatu Sprawiedliwości USSR z pasją deklarował, że dąży do „wprowadzenia w praktyce do prawodawstwa cywilnego nie *lex Romana*, ale naszej rewolucyjnej świadomości prawa”[42].

Nie wszystkim aklimatyzacja do nowych warunków przyszła łatwo. Nadieżda Mandelsztam (1899-1980) wspomina, że kiedy przeprowadzono rewizję, a następnie eksmitowano ich z rodzinnego domu, jej ojciec, Jakow Kazin, postanowił pozwać osławioną CzK (Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem). Wszyscy, na czele z sądem, byli do tego stopnia oszołomieni tym „absurdalnym” krokiem, że cała sprawa zakończyła się bez większych konsekwencji dla „winowajcy”. Przez chwilę Kazin planował również (z wykształcenia był fizykiem) uprawiać zawód obrońcy w sowieckiej Rosji. Jego córka wspomina przebieg „rozmowy kwalifikacyjnej”: „Zapytali go, czy zna prawo sowieckie. Odpowiedział: »Przez dwa tygodnie uczyłem się prawa rzymskiego, ale na wasze wystarczyłoby i dwie godziny«. (…) Nie przyjęli go w poczet obrońców i chwała Bogu. Gdyby go przyjęli, przepadłby od razu – wywlekałby na wierzch nagą prawdę i to byłby koniec”[43]. Ludzi takich jak Kazin były w sowieckiej Rosji tysiące.

Podsumowanie

Rezygnując z zajmowania się prawem rzymskim i prawem w ogóle, podjął Kandinsky trafną decyzję. Niemniej o prawie, jako dziedzinie, dzięki której zdobył dyplom uniwersytecki, na zawsze zachował bardzo dobre zdanie. Wspominając przedmioty, z którymi miał do czynienia podczas studiów w Moskwie, wyznał: „Wszystkie te dyscypliny kochałem i dziś z wdzięcznością myślę o godzinach satysfakcji, a może i inspiracji, które mi dały. Zbledły jednak godziny owe przy pierwszym kontakcie ze sztuką, która jako jedyna miała moc, by wyrwać mnie z czasu i przestrzeni. Praca naukowa nigdy nie dała mi takich przeżyć, wewnętrznych napięć, twórczych doznań”[44].

---

42 Zob. W. Wołodkiewicz, *Czy prawo rzymskie przestało istnieć?*, „Palestra” 1993, nr 1-2, s. 70.

43 Cyt. za: B. Holmgren, *Women's works in Stalin's time: on Lidia Chukovskaia and Nadezhda Mandelstam*, Bloomington-Indianapolis 1993, s. 102.

44 W. Kandinsky, *op. cit.*, s. 14.

Kiedy młody prawnik odrzucał intratną ofertę uniwersytetu w Dorpacie, liczył sobie trzydzieści lat. Hipokrytą będzie każdy absolwent prawa, który zaprzeczy, że przykład wielkiego malarza nie skłania do osobistej refleksji. We mnie w każdym razie wywołuje uczucia mieszane, ale na szczęście na razie nie wprowadza w nastrój całkowitej desperacji czy zrezygnowania. Zresztą perspektywa rzucenia prawa rzymskiego na przykład dla sadzenia kwiatów, o ile sama w sobie bardzo piękna i poetyczna, jawi mi się jako, no właśnie, czysta abstrakcja. Ale jeszcze kilka reform systemu prawniczej edukacji i… kto wie?

Rozdział III

PRAWO RZYMSKIE A LITERACI I LITERATURA

1. „DOBRE" PRAWO RZYMSKIE – FUNDAMENT NASZEJ CYWILIZACJI

Tempora mutantur et nos mutamur in illis (Zmieniają się czasy, a my wraz z nimi) zwykł powiadać władca Franków – Lotar I (795-855). Stale ewoluuje również sposób ideologicznej „obróbki" rzymskiego prawa. Ostatnio słychać, że między innymi dzięki Rzymianom w Europie Zachodniej zagościły demokracja i prawa człowieka. Prawo rzymskie przedstawiane jest przy okazji jako synonim prawa słusznego i sprawiedliwego. Rzućmy okiem na kilka dróg przenikania obu mitów do świadomości Polaków.

Trzy pagórki

Poszukiwanie korzeni „europejskości" jest współcześnie modne jak nigdy. Profesor Witold Wołodkiewicz (ur. 1929) podkreśla: „Wielkie powodzenie w polskim świecie prawniczym zyskało stwierdzenie Henryka Kupiszewskiego, który parafrazując Ernesta Renana, pisał: »Trzy dziedziny kultury antycznej wywarły szczególny wpływ na formowanie się duchowego i kulturalnego oblicza Europy. Są nimi: filozofia grecka najszerzej ujmowana, chrześcijaństwo i prawo rzymskie«[1]. Podobnie stwierdza Marek Kuryłowicz (ur. 1944): „Według przytoczonego już obrazowego określenia cywilizacja europejska spoczywa na trzech pagór-

[1] W. Wołodkiewicz, *Europa i prawo rzymskie. Szkice z historii europejskiej kultury prawnej*, Warszawa 2009, s. 122.

kach: Akropolu, symbolizującym sztukę i filozofię grecką, Golgocie jako symbolu chrześcijaństwa oraz na Kapitolu, oznaczającym tradycję prawa rzymskiego”[2].



Zygmunt Krasiński. Poeta i miłośnik starożytności klasycznej

Koncepcja powyższa nie jest nowa. W liście Zygmunta Krasińskiego (1812-1859), napisanym 17 sierpnia 1838 roku, czytamy: „Nie ma końca Rzymowi. (…) Czytaj więc i odczytuj z tej ogromnej materialnej i duchowej potęgi Rzymem zwanej, potem, gdy je zrozumiesz, reszta dziejów łatwo ci pójdzie. Świat nasz dzisiejszy cały wynikł z chrześcijaństwa osiadłego na gruzach Rzymu. Rzym Grecję pochłonął, duch chrześcijaństwa Rzym zagarnął. Przydaj do tego plemiona północne, które przed krzyżem padły na kolana, jak go tylko ujrzały na szczycie Kapitolu, a będziesz miał nas samych, dzieci filozofii greckiej, religii Chrystusa i kodeksu rzymskiego”[3].

Przekonanie o kulturotwórczej roli prawa rzymskiego ma zatem, jak widać, dość długą tradycję, choć dotychczasowa kolumnada jest stopniowo rozbudowywana. Ojciec Jan Maria Bocheński (1902-1995) ujmuje rzecz następująco: „Europa ma kilka fundamentów. Jesteśmy sektą żydowską, to jest oczywiste, to pierwszy fundament. Poprzez myśl Izraela przejęliśmy także dziedzictwo Egiptu, ich postawę wobec świętości. Trzeci fundament europejskiej kultury to Rzym, jego zasady życia społecznego, prawo rzymskie. Czwarty to kultura i nauka grecka, Arystoteles.

---

2 M. Kuryłowicz, *Prawo rzymskie. Historia, tradycja, współczesność*, Lublin 2003, s. 24.

3 Z. Krasiński, *Listy do różnych adresatów*, red. Z. Sudolski, Warszawa 1991, s. 367.

Kultura chrześcijańska, która znajduje wyraz w nauce św. Tomasza, jest jedną z pięciu tradycji Europy"[4]. Galeria wartości bywa poszerzana również o humanizm, oświecenie, racjonalizm, a niekiedy nawet o kulturę arabską.

Occident et Orient

Prawo rzymskie uchodzi w naszym kraju za ważny komponent kultury Zachodu. Jako symbol i nośnik wartości przeciwnych postrzegane jest natomiast prawo bizantyjskie, od XIX wieku kojarzone z porządkiem prawnym Rosji. „Między narodem polskim a moskiewskim, acz oba z jednego konaru słowiańskiego swój początek wiodą, wielka zachodzi różnica. (…) Polak przyjął wiarę katolicką, prawa rzymskie, kulturę Europy Zachodniej, ducha rycerskiego średnich wieków i na tej podstawie rozwinął uczucie wzniosłości, godności i honoru. Moskal został Grekiem, ale nie Grekiem rzeczypospolitej, tylko cesarstwa wschodniego" podkreślał Stanisław Barzykowski (1792-1872)[5]. Na brak recepcji prawa rzymskiego w Rosji zwrócił również uwagę prawnik, polityk i znakomity historyk – Jan Kucharzewski (1876-1952). Opisując represje dotykające ludność polską po roku 1863, zauważył sarkastycznie: „*In dubiis mitius* [W razie wątpliwości łagodniej – M.J.] – mówiło prawo rzymskie. Gdy nie podobna oznaczyć stopnia winy, niech wszyscy będą skazani według stopnia najwyższego, mówi Murawiew"[6].

To prawda, że Rosjanie za prawem rzymskim nie tęsknili. Aleksander Hercen (1812-1870) z przekonaniem dowodził, że nieprzyjęcie przez Rosję *ius Romanum* przyczyniło się do ocalenia przez nią instytucji gminnych, demokratycznych, komunistycznych i patriarchalnych. Tymczasem zdaniem Iwana Kirejewskiego (1805-1856) recepcja prawa rzymskiego w Polsce zniszczyła organiczne więzi społeczne, w miejsce których pojawiły się więzi kontraktualne. Przyczyniła się również do „dominacji indywidualizmu oraz racjonalizacji w życiu społecznym"[7].

---

4 *Między logiką a wiarą. Z Józefem M. Bocheńskim rozmawia J. Parys*, Warszawa 1998, s. 232.

5 S. Barzykowski, *Historya powstania listopadowego*, t. I, Poznań 1883, s. 72.

6 J. Kucharzewski, *Od Białego do Czerwonego Caratu*, Londyn 1958, s. 353.

7 Zob.: A. Walicki, *Rosja, katolicyzm i sprawa polska*, Warszawa 2002, s. 65.



Jan Kucharzewski. Prawnik, historyk i polityk. Autor dzieła „Od białego caratu do czerwonego"

Różnica w poglądach to nic złego. Problem pojawił się, kiedy cywilizacyjny „dorobek" Wschodu miał stać się towarem eksportowym. Jerzy Giedroyc (1906-2000) po latach podsumował: „Bolszewizm jest być może postępem dla Rosjan; dla nas nim nie jest i w żadnych okolicznościach być nie może (…). U nas idea ta [tj. demokracja – M.J.] kształtowała się przez znane etapy: prawo rzymskie – głoszenie Ewangelii – feudalizm – renesans – rewolucja francuska – pozytywizm – socjalizm. Rosja nie znała prawa rzymskiego. Rosja nie znała na serio feudalizmu; nie wytworzył się w niej typ wolnego człowieka. Rosja nie przeszła ani renesansu, ani rewolucji francuskiej. Miała u podstaw chrześcijaństwo i dostała w podarku od marksistów strzępy naszego pozytywizmu. (…) My potrzebowaliśmy dwóch tysięcy lat takich doświadczeń, takich walk, aby dojść do tego, czym jesteśmy; jakżeż oni mogli przeskoczyć to wszystko i stać się pod tym względem lepszymi?"[8].

Teoria znajdowała odbicie w praktyce. Historyk Marcin Kula (ur. 1943) następująco opisał wizytę w pewnej kancelarii adwokackiej w cza-

8 A. Giedroyc, K. Pomian, *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 1994, s. 273.

sach poprzedniego ustroju: „Poszedłem poradzić się, czy jest do przeprowadzenia jakaś operacja prawna związana z własnością mieszkania. Nie znany mi skądinąd adwokat powiedział: »Proszę Pana, istnieją w Europie dwie strefy prawne: prawa rzymskiego i prawa bizantyjskiego. W pierwszej obywatel po spełnieniu określonych przesłanek ma prawo domagać się tego, co mu się należy. W drugiej obywatel spełniający określone przesłanki ma prawo prosić. Żyjemy w tej drugiej strefie, a więc nie potrafię przewidzieć, co się Panu uda załatwić«"[9].

Swego czasu Dmitrij Miedwiediew (ur. 1965) wykładał prawo rzymskie na Uniwersytecie Petersburskim. Niemniej w jego ojczyźnie nadal: „Zachód jest dziś synonimem wszelkiego zła. Zachód to spuścizna cywilizacji rzymskiej (całkowicie przeciwstawnej kulturze rosyjskiej opartej na tradycji bizantyjskiej), to racjonalizm, liberalizm, spłycona wiara, umowa społeczna i racjonalne zewnętrzne prawo. (…) kategoria wartości ogólnoludzkich, przyrodzone prawa jednostki-człowieka, zachodnia idea państwa prawa, światopogląd humanistyczny, demokracja i prawo w rozumieniu zachodnim – to wszystko jest obce kulturowym tradycjom Rosji i wszystko, co płynie z Zachodu jest zagrożeniem dla rosyjskiej tożsamości"[10].

Nieoczekiwany sojusz

Skąd jednak pomysł, że prawo rzymskie jest „dobre"? Skąd pomysł, że można je postrzegać jako fundament praw podstawowych? „Społeczeństwo zachodnie – wyjaśnia Milan Kundera (ur. 1929) – zwykło przedstawiać siebie jako społeczeństwo praw człowieka; zanim jednak człowiek mógł otrzymać prawa, musiał ukonstytuować się jako jednostka, za taką siebie uznać i za taką zostać uznanym; nie mogłoby się to zdarzyć bez długotrwałego uprawiania sztuk europejskich, a w szczególności powieści, która naucza czytelnika ciekawości bliźniego i wysiłku zrozumienia prawd różniących się od jego własnych"[11]. Dodajmy do tego retoryczne pytanie Marcela Reicha-Ranickiego (1920-2013): „Jakaż literatura jest

---

9 M. Kula, *Czy bliżej nam do Europy, czy do Ameryki Łacińskiej?*, [w:] *Inni wśród swoich*, red. W. Władyka, Warszawa 1994, s. 47, przyp. 5.

10 J. Kowalski, *Konstytucja Federacji Rosyjskiej a rosyjska i europejska tradycja konstytucyjna*, Warszawa – Poznań 2009, s. 14.

11 M. Kundera, *Zdradzone testamenty*, przeł. M. Bieńczyk, Warszawa 2008, s. 13.

w stanie zdobyć czytelnika za granicą, skoro trzeba czytać ją z komentarzem?"[12]. Nie ma się co łudzić. Nikt, kto nie musiał, może z wyjątkiem takich „dziwaków", jak hrabia Aleksander Wielopolski (1803-1877), nie czytał z własnej nieprzymuszonej woli *Corpus Iuris Civilis*, dzieł glosatorów, traktatów Savigny'ego czy prac niemieckich pandektystów. Wydawało się przeto, że w XIX i na początku XX wieku, wraz z początkiem powolnej agonii łaciny oraz z końcem bezpośredniego stosowania prawa rzymskiego, los *ius Romanum* został przesądzony. Wtedy znalazło ono nowy nośnik: literaturę piękną oraz publicystykę. Te nie skupiły się jednak na dogmatycznym rozbiorze poszczególnych instytucji prawnych, lecz na eksponowaniu wartości etycznych tkwiących w prawie rzymskim.

Prawo rzymskie zresztą wcale nie jest od literatury oddalone aż tak bardzo, jak można by zakładać. Kazimierz Ajdukiewicz wyjaśnia: „Dzieła literatury pięknej mogą być pojęte jako czynność bądź jako wytwór. »Potop« Sienkiewicza, pojęty jako czynność, składa się z tego, co Sienkiewicz przeżywał w chwili, gdy dzieło to pisał i czemu w słowach pisanych przez siebie dał wyraz. Ów »Potop« pojęty jako czynność, na którą składają się myśli, przeżyte niegdyś przez Sienkiewicza, przestał istnieć z chwilą, kiedy Sienkiewicz przestał pisać. Prócz tego »Potopu«, pojętego jako czynność, wyróżnić można »Potop« pojęty jako wytwór, z którym każdy czytelnik wejść może w bezpośredni kontakt, a który stanowi treść myśli wyrażonych przez Sienkiewicza w jego dziele, czyli stanowi znaczenie językowe wypowiedzi składających się na książkę noszącą tytuł »Potop«.

W podobny sposób wyróżnić można np. prawo rzymskie jako czynność i prawo rzymskie jako wytwór. Prawo jako czynność składa się z myśli przeżytych kiedyś przez swego twórcę i wyrażonych w tekście ustawy; prawo jako wytwór składa się zaś ze znaczeń językowych zawartych w tekście paragrafów, a więc z treści myśli kodyfikatorów (o ile ci myśli swe trafnie w słowach wyrazili), które mogą się stać treściami myśli innych ludzi, którzy tekst ustawy będą z właściwym rozumieniem czytali"[13].

Zasługi ludzi pióra w utrwalaniu w naszym kraju mitu dobrego rzymskiego prawa są niezaprzeczalne. Oto kilka przykładów. Opisujący

---

12 M. Reich-Ranicki, *Najpierw żyć, potem igrać*, Wrocław 2005, s. 32.

13 K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie. Wybór pism z lat 1920-1939*, Warszawa 2006, s. 308.

okropności II wojny światowej wiersz Mieczysława Jastruna (1903-1983), w którym pojawia się słynna fraza: „Żyłem w czasach, kiedy prawo rzymskie przestało istnieć", doczekał się wnikliwych analiz[14]. „Trwałym wkładem Rzymu w dzieje Europy było prawo rzymskie regulujące stosunki osobiste i rodzinne, czyli zakres prawa cywilnego. Przez wiele wieków prawo rzymskie służyło za wzór licznym kodyfikacjom lokalnym, sięgając daleko na Wschód, bo na przykład zakres jego oddziaływań widać w tak zwanych statutach litewskich Wielkiego Xięstwa Litewskiego, pisanych cyrylicą w języku starobiałoruskim. Opatrznościowa wizja historii, szukająca odpowiedzi, jak doszło do powstania cywilizacji przemysłowo-technicznej, powołuje się na szczególny stop kilku kultur w obrębie cesarstwa rzymskiego, który zaowocował chrześcijaństwem. W chrześcijaństwie bowiem połączyło się dziedzictwo żydowskich proroków, greckich filozofów i rzymskich prawników. W średniowieczu z tego stopu wyłoniła się scholastyka, czyli szkoła logicznego rozumowania" – czytamy z kolei u Czesława Miłosza (1911-2000)[15]. Krócej rzecz ujął Zbigniew Grabowski (1903-1974): „Prawo rzymskie nie jest odległym pojęciem, mirażem, ale krąży we krwi naszej cywilizacji, odczuwamy je – wraz z męską zwięzłością języka Rzymu – jako część kultury zbiorowej"[16]. Inny pisarz i zarazem wybitny znawca antyku, Jacek Bocheński, na pytanie: „Co cywilizacja śródziemnomorska może dać dziś światu? Czy w ogóle może coś dać?", odpowiada: „Myślę, że może. I daje. Cywilizacja zależy nie tylko od poziomu techniki, zamożności i na przykład rozwoju medycyny w jakimś kraju, ale również od norm współżycia, rządzenia czy sądzenia ludzi. W tym sensie przestrzeganie podstawowych zasad prawa rzymskiego jest warunkiem wszelkiej cywilizacji na świecie. Nie sądzę, żeby państwo policyjnej dyktatury było niedobre dla Europejczyków, ale dobre dla Chińczyków, a kamienowanie kobiet zbyt okrutne dla polskich katoliczek, ale w sam raz dla nigeryjskich muzułmanek. To nie ma nic wspólnego z europocentryzmem"[17].

---

14 Zob.: M. Kuryłowicz, *Symbol prawa ludzkiego. Szkice o prawie rzymskim w utworach Louisa Aragona i Mieczysława Jastruna*, Lublin 2008.

15 Cz. Miłosz, *O podróżach w czasie*, Kraków 2010, s. 58.

16 Z. Grabowski, *Rosa mystica*, „Poets and Painters" 1966, s. 14.

17 J. Bocheński, *Wtedy. Rozmowy z Jackiem Bocheńskim*, Warszawa 2011, s. 256.

Literacko-publicystyczne wizje przyczyn upadku

Naturalnie i my sami nie jesteśmy idealni, choć na poczekaniu każdy jest w stanie znaleźć sto usprawiedliwień bazujących na doświadczeniach przeszłości. „Historia – pisze Janusz Tazbir (ur. 1927) – miała służyć także jako alibi dla naszego zacofania gospodarczego, które powstawało przez wieki. Ta ciągła »pogoń za Europą« nie mogła zostać uwieńczona tryumfem, skoro w doścignięciu Zachodu miały nam przeszkadzać skutki rozbiorów, stagnacja czasów saskich czy nawet, sięgając jeszcze głębiej, zwycięstwo kontrreformacji oraz lata »potopu«. Cywilizacyjne zacofanie »przedmurza chrześcijaństwa« usprawiedliwiano kolejnymi najazdami, która tak straszliwie niszczyły Rzeczpospolitą”[18]. Co ciekawe, w tym dyskursie, w którym udział wzięły poza politycznymi publicystami również tuziny literatów, niezwykle rzadko pojawiały się argumenty związane z brakiem recepcji przez I Rzeczypospolitą prawa rzymskiego. A przecież „prawo rzymskie jest prawem subtelnym i wielkim, ale Jagiełło i Witold pojęcia o nim nie mieli”[19].

Ba, z niejakim zażenowaniem przypomina się od czasu do czasu, co tak naprawdę o prawie rzymskim myśleli niektórzy nasi rodacy. W liście, który w roku 1548 ks. Stanisław Orzechowski (1513-1566) wystosował do biskupa Samuela Maciejowskiego (1499-1550), nadawca butnie zaświadcza, że zarówno on sam, jak i ks. Walenty z Krzczonowa „paragrafów ani gloss nigdychwa się nie uczyła, a co dekretał jest, nierozumiewa”. W innym zaś miejscu oświadcza: „*Quidquid principi placuit, legis habet vigorem* — tać jest ona pierwsza reguła prawa cesarskiego, dla której samej brzydzą się Polacy prawem cesarskim, że między tysiącem ledwie się jeden Polak i to nędznik jaki obierze, któryby się *jus civile* uczył”[20].

W dobie rozbiorów na podobne niuanse nie zwracano jednak uwagi. Powód tego był prosty: głębokie przekonanie, że na płaszczyźnie doświadczenia kulturalnego prawo rzymskie towarzyszyło Polsce, będącej nieodłączną częścią Zachodu, od zawsze. Zjawisko to wspaniale ilustruje fragment omówienia książki „Nadberezyńcy” autorstwa Floriana

---

18 J. Tazbir, *Długi romans z Muzą Klio*, Warszawa 2007, s. 78.

19 S. Mackiewicz, *Herezje i prawdy*, Warszawa 1962, s. 192.

20 S. Orzechowski, *Dyalog albo rozmowa około exekucyi polskiej korony*, Kraków 1859, s. 61.

Czarnyszewicza (1900-1964), które skomponował Melchior Wańkowicz (1892-1974): „Wspaniały blask. Ze Śródziemnego Morza. Z rzymskiego prawa. Z bazyliki Świętego Piotra. Z *neminem captivabimus*. Ze złota swobód. Ze złotogłowiu przywilejów. Jest tego złotego blasku, a blasku od piastowskich miodów po słuckie pasy"[21].



Ks. Stanisław Orzechowski: „między tysiącem ledwie się jeden Polak i to nędznik jaki obierze, któryby się *jus civile* uczył"

Entuzjasta Rzeczpospolitej Obojga Narodów, niezmordowany polemista Pawła Jasienicy (1909-1970) i monarchista, Stanisław Cat Mackiewicz w uroczej miniaturze poświęconej rodzinie Radziwiłłów z przekonaniem dowodził: „Polska XVI wieku miała króla elekcyjnego, miała Sejm złożony z dwóch izb: Senatu oraz Izby Posłów, oraz szereg instytucji, dających się obronić w oczach tych, którzy kochali prawo rzymskie. Toteż nie te same formy prawne, które jeszcze w wieku XVIII pochwalał Jan Jakub Rousseau, ale ustrój rzeczywisty, ogólny, popychał Polskę ku anarchii, która sprawiła, że państwo to, tak potężne za Jagiellonów, w wieku

[21] Cyt. za: *Szkice o polskich pisarzach emigracyjnych*, red. M. Kisiel, W. Wójcik, Katowice 1996, s. 45.

XVIII padło ofiarą rozbiorów między sąsiadami”[22]. Nieco dalej znajdujemy zaś prawdziwą perełkę: „Polacy bardzo kulturalni, wychowywani na prawie rzymskim, wywodzili, że *liberum veto* to źrenica wolności, że jeśli król będzie tyran, senatorowie sprzedajni, a posłowie skorumpowani, to wystarczy głos jednego uczciwego posła, aby to wszystko unicestwić. Trudno nawet odpowiadać na teorie tak bzdurne, broniące anarchii w państwie, ale swoje oburzenie i gniew powstrzymajmy uwagą, że nie był to pierwszy ani ostatni system, w rzeczy samej kompletnie idiotyczny klęskonośny, który byłby broniony w sposób uczony i patetyczny”[23]. Najciekawsze jest to, że broni go sam Mackiewicz, mieszając do tego przy okazji rzymskie prawo!



Stanisław Mackiewicz. Zdjęcie zrobione na dachu Domu Prasy w Krakowie

Wrócimy!

Opinie wygłaszane przez literatów pozostawały i pozostają w zupełnej separacji od sporów na temat roli prawa rzymskiego w polskim systemie edukacji prawniczej. Jeszcze w roku 1938 Czesław Znamierowski (1888-1967) szydził: „Wydawało im się, że swoiste wartości narodowe polskie tworzyli swemi czynami artyści, uczeni, że je umacniały bezimienne rzesze tych, którzy przez wieki orali ziemię polską. Aż tu nagle okazało się, że to zręby polskiej kultury kładł Justynian. Że też ten biedny

22 S. Mackiewicz, *Dom Radziwiłłów*, Warszawa 1990, s. 70.
23 *Ibidem*, s. 123-124.

naród polski wszystko zawdzięczać musi »obcym agentom« na całej przestrzeni dziejów"[24].



Józef Łobodowski. W roku akademickim 1931/1932 student prawa na KUL-u

Stonowanie sądów przyniosła klęska wrześniowa i pytanie: „co dalej?". Odpowiedzi na nie udzielił w roku 1940 przebywający we Francji poeta Józef Łobodowski (1909-1988). Zanim przytoczymy fragment jego manifestu opublikowanego na łamach pisma „Wrócimy", powiedzieć należy, że Łobodowski w roku akademickim 1931-1932 studiował prawo na KUL-u, po czym w związku z ogłoszeniem tomiku wierszy „O czerwonej krwi" został z wilczym biletem relegowany z uczelni „za szerzenie pornografii i bluźnierstwa". Po krótkim flircie z komunizmem powrócił jednak do zdrowych zmysłów, czym zasłużył sobie na dozgonną nienawiść Wandy Wasilewskiej (1905-1961). W roku 1940, na łamach redagowanego przez siebie pisma wywodził zaś tak: „Wielkość narodu zależy przede wszystkim od tego właśnie, w jakim stopniu ideę rozumie, uzna i oceni. (…)

[24] Cz. Znamierowski, *O naprawie studiów prawniczych*, Warszawa 1938, s. 104-105.

Kultura starorzymska, uszlachetniona przez wpływy greckie, a następnie uskrzydlona boskim elementem chrystianizmu, narzuciła Europie tę wizję świata, do której przyznawał się zawsze naród polski; a jeśli ją zdradzał czy chociażby tylko odchodził od niej na chwilę, płacił za to natychmiastowym upadkiem. (…) W takich walkach nie bywa kompromisów. Tu można tylko zginąć lub zwyciężyć. To zwycięstwo musi przyjść, jeśli Europa ma być uratowana. Tej Europy rzymskiego prawa i cnoty łacińskiej, gotyckich świątyń i krzyżowych rycerzy, Europy sprawiedliwości i wolności, sztuki i nauki, piękna duchowego i harmonii materialnej – my przede wszystkim mamy prawo nazwać się obrońcami”[25].

Prawo rzymskie wzorem

Sposób patrzenia literatów na prawo rzymskie jest niezwykle różnorodny i ciekawy. Ks. Karol Mikoszewski (1832-1886), polski działacz niepodległościowy, literat i publicysta, wspominając swoją podróż na syberyjską katorgę, zauważał: „Ja szanuję policjanta czy tam żołnierza, który ma oko na mnie, bym nie uciekł, lecz każdy przyzna, że nie daje mu się prawa pastwić się nade mną i w najniewinniejszej mojej zachciance robić mi przeszkody. Jeszcze prawo rzymskie powiedziało: *afflicto non est addenda afflictio* – nieszczęśliwemu nie godzi się dobawiać cierpienia. A po upływie tylu wieków aksjomat ten tym bardziej winien wcielić się w życie każdego narodu, który chce uchodzić za naród postępowy”[26].

Innym razem, w roku 1962, podczas obrad komisji mającej przyznać nagrodę literacką londyńskich „Wiadomości” głos zabrał jej fundator, wielki przyjaciel Polski i Polaków – Auberon Herbert (1922-1974). Pragnąc dodać otuchy pisarzom na wygnaniu, utyskującym na brak kontaktu z czytelnikami w kraju, oświadczył: „Nie potrzebujemy sobie nawzajem tłumaczyć, że słowo jest potęgą. Ale przypominam sobie w tej chwili zdanie znanego nam wszystkim x. prałata Waleriana Meysztowicza. Tłumaczył mi urzekającą siłę prawa rzymskiego. »Widzi pan – mówił, – pokazując na odrapany budynek senatu rzymskiego na Forum, – tu oto wisiały tablice miedziane z najstarszymi prawami Republiki; wisiały ponad tysiąc

---

25 Cyt. za: J. Szypowska, *Łobodowski – poeta świadomy dziejów*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza” 38 (2003), s. 22.

26 K. Mikoszewski, *Pamiętniki moje*, Warszawa 1987, s. 273.

lat; dziś nie tylko że nie ma tych tablic, ale nie ma dziur w ścianie po hakach, na których tablice wisiały: i mimo to prawo rzymskie trwa«"[27].



Ks. Walerian Meysztowicz: „tu oto wisiały tablice miedziane z najstarszymi prawami Republiki; wisiały ponad tysiąc lat; dziś nie tylko że nie ma tych tablic, ale nie ma dziur w ścianie po hakach, na których tablice wisiały: i mimo to prawo rzymskie trwa"

Tymczasem autor podpisujący się pseudonimem Abe, omawiając na łamach „Twórczości" słownik encyklopedyczny wydany pod redakcją profesora Wołodkiewicza przypomniał następujące wydarzenie: „kiedyś w pociągu, wyjątkowo pustym, przypadło mi miejsce w przedziale, który zajmował znany historyk literatury i literat – profesor Wacław Kubacki (1907-1992). Jakoś szybko doszło do rozmowy. (…) Profesor Kubacki miał jeden ze swoich świetnych dni, sypał złośliwościami i paradoksami. W pewnej chwili przedstawił pogląd, na czym się zasadza wielkość Lenina: przewyższył on samego Napoleona, gdyż miał odwagę przyjąć w swym postępowaniu zasadę, że prawo rzymskie nic go nie obchodzi"[28].

Wątpliwe, że prof. Kazimierz Z. Sowa (ur. 1942) dogłębnie zgłębiał tajniki prawa rzymskiego, jego historię i tradycję. A jednak w jego pismach

---

27 Cyt. za: *Od Herberta do Herberta. Nagroda „Wiadomości" 1958-1990*, oprac. S. Kossowska, Londyn 1993, s. 61.

28 „Twórczość" 45.1-4 (1989), s. 138.

znalazła się następująca uwaga: „Powszechnie uważa się, że obok chrześcijaństwa i kultury antycznej (greckiej) właśnie prawo (rzymskie) jest trzecim filarem europejskiego ładu społeczno-kulturowego. (...) Wczesne prawo rzymskie było prawem społecznym w tym sensie, że wyrastało z obyczajów ludu rzymskiego, które następnie senat Wiecznego Miasta podnosił do rangi prawa. Było więc najpierw zapisane w sumieniach ludzkich, a potem dopiero w kodeksach. Ta zgodność prawa z ludzkim poczuciem sprawiedliwości zasadniczo przez wieki była właściwa cywilizacji zachodniej, dlatego prawo było z reguły znane, rozumiane i szanowane przez obywateli. Jednakże czasy nowożytne, a zwłaszcza nam współczesne, w których zaszły i zachodzą liczne przemiany społeczne, gospodarcze i polityczne, charakteryzują się także wzrostem »ilości« i roli prawa w życiu zbiorowym”[29].

Prawo rzymskie w obronie zwierząt?

Na uśmiech pobłażania okraszony cierpką uwagą zasługują liczne podejmowane ostatnio próby sztucznego tworzenia „nowych” obszarów badawczych, ale czy można potępiać w czambuł dobrą publicystykę? Czy można szydzić z wywodów, które nie tylko zostały wspaniale przedstawione, ale również ujmują się za prawem rzymskim i przyczyniają się do jego popularyzacji? Nie można.

Kiedy więc romanista próbuje odszukać w „Digestach” „prawa zwierząt” po to, by swoje „odkrycie” co prędzej odnieść do tendencji obowiązujących w prawie współczesnym, twardo należy powiedzieć: *dedecet* (nie godzi się). „Do dziś pamiętam – rzeczowo relacjonuje prof. Teresa Liszcz (ur. 1945) – jak na egzaminie z prawa rzymskiego kolega poproszony o podanie przykładu rzeczy ruchomej, po pełnej napięcia chwili namysłu krzyknął radośnie: »zając!«. W pierwszym, nieskażonym prawniczą rutyną, odruchu pomyślałam: »idiota«, ale już za moment poprawiłam się – przykład był dobry. Według prawa rzymskiego zwierzę było rzeczą, przy tym niewątpliwie – zwłaszcza zając – ruchomą”[30].

---

29 K.Z. Sowa, *Uwagi* o *przejawach* i *przyczynach kryzysu moralnego* w *życiu publicznym*, [w:] *Kondycja moralna społeczeństwa polskiego*, red. J. Mariański, Kraków 2000, s. 226.

30 T. Liszcz, *Zwierzęta w prawie stanowionym*, „Więź” nr 7 (1998), s. 46.

Gdy jednak w podniosłe tony uderza jeden z najwybitniejszych polskich publicystów XX wieku, przywołany już wcześniej, Stanisław Cat Mackiewicz, wypada tylko przyklasnąć. A oto co „kresowy żubr" ma do powiedzenia w tej sprawie: „W XIV w. w Królestwie Obojga Sycylii był dzwon, w który uderzyć mógł każdy, kto domagał się od króla, by wymierzył mu sprawiedliwość i ukarał krzywdziciela. I oto pewnej zimnej nocy sznurem tego dzwonu targał ślepy koń. Był to wierzchowiec Marca Capecego, bogatego człowieka; uratował on kiedyś swojemu panu życie, unosząc go przed zbójcami. Ponieważ po długich latach pracy i służby oślepł, pan kazał go wygnać na ulicę. Brnąc po ciemku, koń, być może przypadkowo, chwycił zębami sznur dzwonu zawieszonego na ulicy. Ale wszyscy uznali, że ślepy koń miał prawo to uczynić i Karol Wspaniały, książę Kalabrii, który wtedy panował, wymierzył mu sprawiedliwość, rozkazując panu przyjąć konia z powrotem do stajni i karmić do śmierci.

Nie chcę być zbyt patetyczny, ale uważam, że w tej starej i małej powiastce z XIV wieku tkwią dwie rzeczy wielkie, bez których istnienia samo jej powstanie byłoby niemożliwe. Tymi rzeczami są »Ewangelie« św. Mateusza, Marka, Łukasza i Jana oraz rzymskie *Pandecta*. Bez nauki o współczuciu i miłosierdziu Jezusa Chrystusa i bez rzymskiego prawa o zobowiązaniach i uprawnieniach powiastka ta nie byłaby się urodziła na Sycylii"[31].

Podsumowanie

Myśl, nawet najbardziej świeża, mielona bez opamiętania, zaczyna zalatywać banałem. Trochę się boję, że jej powtórzenie w kolejnym wcieleniu może zostać odebrane jako przejaw perfidii albo, co gorsza, jakiegoś ograniczenia. Niemniej zaryzykujmy. To bardzo krótki fragment. Pochodzi z książki Agnieszki Osieckiej zatytułowanej „Zabiłam ptaka w locie". Jej bohaterka następująco zwraca się do swojego ojca: „Nauczyłeś mnie łaciny i rzymskiego prawa, abym wiedziała, skąd się wzięłam, dokąd zmierzam i jak się rządzili ludzie moich czasów"[32]. Tak, drodzy Państwo, literatom mit dobrego prawa rzymskiego zawdzięcza wiele. Kto wie, czy nie więcej niż armii naukowców, znawców rzymskiego prawa, od dziesięcioleci z uporem przekonujących siebie nawzajem, że są komuś potrzebni.

---

31 S. Mackiewicz, *Odeszli w zmierzch. Wybór pism 1916-1966*, Warszawa 1968, s. 168.

32 A. Osiecka, *Zabiłam ptaka w locie*, Warszawa 1970, s. 81.

2. O PRAWIE RZYMSKIM W „TRĘBACZU Z SÄCKINGEN"

Bad Säckingen, jak można przeczytać w przewodnikach, jest uzdrowiskowym miasteczkiem położonym na południu Niemiec, tuż przy granicy ze Szwajcarią. Od Bazylei dzieli je jedynie dwadzieścia pięć kilometrów. Jest niewielkie, ale turyści cenią sobie w nim pobyt ze względu na wszechogarniający spokój oraz uzdrowiskowe walory tamtejszej okolicy. Miejscowi szczycą się dwoma wybitnymi postaciami, związanymi z historią miasta. Pierwszą jest święty Frydolin, który zgodnie z tradycją ewangelizował te ziemie w VI wieku. Drugą zaś nietuzinkowa osobistość, o której chce pamiętać małe badeńskie miasteczko, to poeta Wiktor von Scheffel (1826-1866). Z wykształcenia naturalnie prawnik.



Wiktor von Scheffel

Krótko o autorze i jego dziele

Wiktor von Scheffel, jak tylu innych, nie wybrał sam dla siebie kariery prawnika. Podejmując studia uniwersyteckie, podążył raczej za wolą ojca – byłego wojskowego, a później inżyniera, człowieka twardych zasad i niezłomnego charakteru. Młodemu Wiktorowi emocjonalnie bliżej było raczej do matki, córki bogatego kupca, która zaszczepiła w nim zamiłowanie do sztuki w jej wszelakich przejawach. W wyborze życiowej drogi rozstrzygająca była jednak wola ojca. Po ukończeniu gimnazjum w rodzinnej miejscowości, Karlsruhe, młody von Scheffel rozpoczął stu-

dia prawnicze. Studiował na uniwersytetach w Monachium, Heidelbergu oraz w Berlinie. Oprócz wykładów „branżowych" interesowały go zajęcia z filologii germańskiej oraz literatury. W roku 1848 w ramach „bezpłatnych praktyk" sekretarzował badeńskiemu deputowanemu do frankfurckiego sejmu – Karlowi Teodorowi Welckerowi (1790-1869). Rok później zyskał na uniwersytecie w Heidelbergu tytuł doktora praw.

W latach następnych, które z punktu widzenia prowadzonych tu rozważań, nie są istotne, poświęcił się pracy w administracji Wielkiego Księstwa Badenii. Nie porzucił jednak literackich zainteresowań. Przeciwnie. Wkrótce ukazały się jego pierwsze utwory. Debiutował w roku 1854 epickim poematem zatytułowanym „Trębacz z Säckingen. Pieśń znad Górnego Renu". Opowieść dotyczy perypetii pewnego młodego człowieka dokładającego wszelkich starań, by zdobyć rękę ukochanej.



Trębacz z Säckingen

Popularność, którą z czasem zdobył ckliwy utwór, przerosła wszelkie oczekiwania autora. O ile na początku jego poczytność nie przedstawiała się imponująco, to już po roku 1870, sprzedaż wzrosła błyskawicznie. W roku 1884 Wiktor Nessler na kanwie utworu stworzył operę o tym

samym tytule, która przyczyniła się do dalszej popularyzacji dzieła von Scheffela, a fabryki porcelany rozpoczęły masową produkcję figurek wzorowanych na jego bohaterach. Przełom XIX i XX wieku przyniósł również zalew pocztówek z motywami zaczerpniętymi z „Trębacza". W efekcie „Trębacz z Säckingen" stał się najbardziej poczytną książką w Niemczech przełomu XIX i XX wieku. W roku 1921 ukazało się jego trzysta dwudzieste drugie wydanie!

Pisarza zainspirowała prawdziwa historia, która rozegrała się w XVII wieku. Otóż w latach 1633-1690 żył w tamtych okolicach Franz Werner Kirchhofer, pochodzący z rodziny mieszczańskiej. Już w czasach dzieciństwa poznał arystokratyczną rodzinę von Schönau, której nestor roztoczył nad nim opiekę. Uwagę młodego człowieka od początku zwróciła młoda Maria Ursula von Schönau, którą po wielu perypetiach poślubił w roku 1657 mimo oporów jej rodziny, zwłaszcza brata. Poza tym, że Werner był obrotnym przedsiębiorcą, członkiem rady miasta oraz przełożonym szkoły, zdradzał talenty muzyczne. Był kierownikiem chłopięcego chóru przy kościele św. Frydolina. Trębaczem jednak nie był.

O prawie rzymskim

Mimo historycznej osnowy szereg wątków poruszonych w poemacie ma charakter autobiograficzny. Jednym z nich bez wątpienia jest opis odczuć, które towarzyszyły młodemu człowiekowi rozpoczynającemu studia prawnicze. Nie wspominał ich dobrze… Oto fragment szóstego rozdziału, w którym bohater utworu zwierza się ze swoich studenckich doświadczeń szwardzwaldzkiemu proboszczowi:

Kiedy stuknęła mi osiemnastka,
„Młody Wernerze – tutor powiada
– Miej olej w głowie,
Dobrze radź sobie.
Nie miej nic z osła,
Prawnikiem zostań!
To da ci godność, na urząd wyniesie,
złote dukaty wnet zabrzęczą w kiesie!
Tak myślę sobie i już widzę ciebie,
Jak na książęcym najłaskawszym chlebie

Godność cnego urzędu w krąg roztaczasz sobą,
A ja kornie zdejmuję kapelusz przed tobą.
Przypuścić nawet się ważę,
Że jeśli się mądry okażesz,
To nie kto inny, lecz ty dumnie zasiądziesz,
W Wetzlar, mój chłopcze, przy najwyższym sądzie!
I tak prawnikiem się stałem.
Nabyłem sobie kałamarz,
Kupiłem skórzaną teczkę
I *Corpus Iuris* ciężki.
W tej auli trwałem gorliwie,
Gdzie z mumiożółtym obliczem
Sammuel Brunquel, profesor,
Uczył nas prawa rzymskiego.
Prawo rzymskie…, na twoje każde wspomnienie,
Sen spokojny mącą mi upiorne cienie!
Tyś jak w żołądku młyński kamień!
Głowę mam zabitą ćwiekami!
Musiałem słuchać farmazonów,
Jak to kiedyś na rzymskim forum
Warcząc spierano się w tłumie,
Jak coś tam pan Gajus rozumie,
A pan Ulpian jak innego coś widzi
I jak tam później partaczyli inni.
Aż pojawił się Justynian, imperator,
Największy z nich fuszerki amator.
I kopniakiem odesłał towarzystwo całe,
A ja się wtedy często niemądrze pytałem:
Czy na zawsze skazani jesteśmy,
By podnosić z ziemi „wielkie" resztki,
Które Rzymianie pospołu,
Pojadłszy, zrzucili ze stołu?
Czy nie wymaga tego wspólna sprawa,
By i tu zakwitł kwiat własnego prawa?
Pachnący lasem, prosty, nie za bujny
Lepszy od wijącego się krzewu z południa.
Jakież epigonów smutne przeznaczenie!
Napocić się muszą, cicho muszą siedzieć,

Ze splątanego kłębka za nici wciąż szarpać.
Nie ma na to miecza? Czy sposobu nie ma?
Często nocą, w lampy świetle
Tak ślęczałem nad kodeksem,
Cujasa czytałem i glosy,
Aż mi dęba stawały włosy!
Aż mi czaszka pęknąć chciała!
Na nic się ma męka zdała.
Com wtedy w głowie miał,
Wesoło frunęło w dal
Znad tekstów do srogiego Cujasa
Córki pięknej, która aż trzy razy
Przeszczęśliwej młodzieży paryskiej
z katedry śpiewnie czytała zapiski
Ojca. Zamiast *usucapio* i prawa spadków
I zamiast noweli sto osiemnastej
Widzę wzrok czarnulki-dziewczyny
Podniesiony znad *Corpus Iuris Civilis*.
Wtedy wysunęło się pióro z mojej ręki,
Wylałem atrament, przewróciłem pojemnik
z piaskiem i chwyciłem za trąbkę.
Zaraz *usucapio* i prawo spadkowe
Wraz ze słynną nowelą sto osiemnaście
W tempie *adagio* podciągnąłem żałośnie
Z okna auli wprost na strop gwieździsty.
Tak…, prawo rzymskie… Tu nie było ikry.
Ranka jednego wniknąłem w gąszcz ulic
Dzierżąc pod pachą ciężki *Corpus Iuris*.
(Było to Elzewira, wspaniałe
z Rotterdamu dzieła wydanie),
Dotarłem do Heugass, do lichwiarza,
gdzie Ben Marchol podły, dusza wraża
Żydzisko z okiem zezowatym
Wziął go ode mnie i zapłacił.
Zapłacił mi dwa dublony – ot i cała uciecha.
Niechaj teraz komuś innemu księga przyniesie pecha![33]

(przeł. M. Jońca)

Przy najwyższym sądzie

Fragment powyższy dostarcza wiele ciekawych wątków badawczych dla romanisty. Czegóż tam bowiem nie ma? Tutor młodego Wernera obiecuje, że po ukończeniu prawniczych studiów zwieńczeniem kariery pupila stanie się wejście w skład Sądu Kameralnego Rzeszy (*Reichskammergericht*), który stanowił odpowiednik sądu najwyższego dla ziem cesarstwa niemieckiego. Organ ten do życia powołany, jak pamiętamy, w roku 1495, miał swoją siedzibę początkowo we Frankfurcie nad Menem. Następnie orzekał w Worms, Augsburgu, Norymberdze, Regensburgu, Spirze oraz Esslingen am Neckar. W latach 1527-1689 obradował w Spirze. Kolejną przeprowadzkę wymusiło zniszczenie tego miasta podczas wojny palatynackiej (1689-1697). W kolejnych latach 1689-1806 *Reichskammergericht* wydawał więc wyroki w heskim mieście Wetzlar, o czym wzmianka pojawia się w omawianym utworze.

W postępowaniu przed Sądem Kameralnym Rzeszy znajomość prawa rzymskiego odgrywała niebagatelną rolę. Nie dziwi więc, że w nauczaniu uniwersyteckim zaczęto kłaść większy nacisk na nauczanie tego przedmiotu, co nie spotkało się z dobrą reakcją świeżo upieczonego studenta. Z utworu wynika, że poza tekstami antycznymi, z których wymieniono Kodeks Justyniana, a także pisma Gajusza i Ulpiana, do materiałów dydaktycznych zaliczały się również bliżej nieokreślona glosa, zapewne *Glossa Ordinaria* Akursjusza, oraz pisma Cujasa. Opis ten zasadniczo zgadza się z ustaleniami wynikającymi ze źródeł pozaliterackich.

Uciążliwe prawo

Niewykluczone, że von Scheffel, skarżąc się na uciążliwości związane ze zgłębianiem tajników rzymskiego prawa, wspominał swoją młodość, którą przepędził na studiowaniu prawniczych tekstów. W Berlinie jednym z jego tutorów był słynny Georg Friedrich Puchta (1798-1846), na którego drobiazgowość i ostrość skarżył się w listach do kolegów. Niemniej, kiedy wymagający profesor zmarł, rozgoryczony von Scheffel pisał w liście z 25 stycznia 1846 roku do przyjaciela: „Jak jednak, generalnie rzecz ujmując, nisko stoi berliński duch studencki, okazało się przy pogrzebie Puchty.

[33] Za oryginałem w: V. von Scheffel, *Der Trompeter von Säckingen. Ein Sang vom Oberrhein*, bmw. 1864, s. 36-39.

Liczono na wielki tłum odprowadzający trumnę. (…) ja również poszedłem (…). Niemniej kondukt liczył około czterdziestu do pięćdziesięciu studentów, a i ci uciekali po drodze, więc bramę cmentarza przekroczyło może z trzydziestu sześciu – było to nader godne pożałowania”[34].



Georg Friedrich Puchta

Sammuel Brunquel, profesor prawa rzymskiego, którego z przekąsem wymienia niesforny student, to postać zapewne wymyślona przez poetę, choć pogłębione badania tego wątku mogłyby dać odpowiedź zgoła odmienną. W każdym razie żaden z dostępnych leksykonów wymieniających znamienitych jurystów epoki nowoczesnej o nim nie wspomina.

Córka Cujasa

„Srogi Cujas” to naturalnie Jacques Cujas (Cujacius, Jacques de Cujas; 1520-1590) – francuski prawnik, prominentny przedstawiciel nurtu badań prawa rzymskiego, zwanego *mos gallicus*. Więcej jednak uwagi

[34] E. Wohlhaupter, *Dichter-Juristen*, t. III, Tübingen 1957, s. 197-198, przyp. 188.

przykuwa bez wątpienia obecność w utworze jego ślicznej czarnowłosej córki. Cóż, to przykre i rozczarowujące, ale von Scheffel zbytnio popuścił w tym miejscu wodze poetyckiej fantazji. Do XX wieku kobiety, co do zasady, nie wykładały na uniwersytetach. Jednym z kilku nielicznych wyjątków była urodziwa niewiasta, z którą miał do czynienia między innymi przesławny Petrarka. Jan Parandowski (1895-1978) rozwija ten wątek w życiorysie poety: „Petrarka ruszył na studia najpierw do Montpellier, później do Bolonii. Lecz nawet tu nie zdołał w sobie pokonać wstrętu do jurystyki, mimo że w tym, już starym, uniwersytecie wykładała uczona i piękna Novella, tak piękna, że przemawiała spoza zasłony, żeby jej uroda nie rozpraszała słuchaczy"[35].

Novella, czy też jak tam ją zwali weseli żacy, nie była potomkinią Cujasa (ten nigdy nie wykładał w Bolonii), ale najmłodszym dzieckiem wybitnego kanonisty, którym był Giovanni d'Andrea (1270/1275–1348). To ona odczytywała studentom notatki ojca, ale jedynie wtedy, kiedy ten, złożony chorobą, nie mógł pojawić się na uniwersytecie. Parandowski jest więc ścisły, a von Scheffel fantazjuje. O niezwykłej niewieście będzie jeszcze mowa.

Resztki ze stołu Rzymian

Utyskiwania podmiotu lirycznego na prawo rzymskie i jego tęsknota za wskrzeszeniem prawa rodzimego stanowią odzwierciedlenie sporu zapoczątkowanego przez Friedricha von Savigny'ego (1772-1861) i Antona Thibauta (1772-1840). Ten ostatni postulował stworzenie odrębnego kodeksu cywilnego dla Niemiec, czemu skutecznie sprzeciwił się von Savigny, publikując głośną rozprawę „O powołaniu naszych czasów do ustawodawstwa i nauki prawa". Mimo że moment uchwalenia nowej kodyfikacji odsunięty został na prawie sto lat, to jednak ożywione spory na tym polu naznaczyły w Niemczech cały wiek XIX. Sam Wiktor von Scheffel pozostawał zresztą pod wielkim wpływem dzieła Jacoba Grimma zatytułowanego „Starożytne niemieckie instytucje prawne" (*Deutsche Rechtsaltertümer*). Obaj bracia Grimmowie należeli do zaprzysięgłych zwolenników wprowadzenia kodeksu opartego w pierwszej kolejności na zwyczajowym prawie niemieckim. Poglądy ich podzielał von Scheffel.

35 J. Parandowski, *Petrarka*, Warszawa 1956, s. 10.

Przy okazji, to bardzo ciekawe, że autor poematu nie skarży się na inne dyscypliny prawnicze. Jedynie prawo rzymskie jest mu solą w oku…

Nie jemu jedynemu zresztą. Wiktor von Strauss und Torney (1809-1899), teolog, polityk i poeta, utyskiwał w jednym ze swych utworów:

> Zawsze Rzym nas zwycięża. Wprawdzie legiony przegnał Hermann,
> Lecz zaraz wysłał nam papież klechów na skaranie,
> A Luter i tych wypędził. Więc za to posyłasz dziś nam
> Rzymską ustawę i prawo, mściwy Justynianie[36].
>
> (przeł. M. Jońca)

Dwa dublony za wolumin

Niewydarzony student prawa miał, czym zasłużenie się pyszni, ekskluzywne materiały do nauki. Pod koniec zacytowanego wyżej fragmentu pojawia się informacja, że był on właścicielem *Corpus Iuris Civilis*, wydanego przez renomowane wydawnictwo Elzewira. Otóż ten dom wydawniczy (dosłownie i w przenośni) cieszył się w środowisku naukowym znakomitą renomą. Jego założycielem był Lodewijk Elsevier (1542-1617), który w roku 1583 założył w Lejdzie księgarnię naukową. Dzieło kontynuowali jego potomkowie do roku 1712. To pewnie wstyd spowodował więc, że niedoszły absolwent prawa, porzuciwszy tę dyscyplinę studiów, zdecydował się spieniężyć cenny wolumin poza granicami miasta, w którym pobierał nauki. Udał się więc do Heugass, gdzie pokątnie pozbył się uczonej księgi niczym uprzykrzonego balastu.

Biedny Scewola

„Trębacz z Säckingen" nie jest jedynym utworem von Scheffela, w którym pojawiają się wątki „antyromanistyczne". Oto w 1848 roku, na łamach satyrycznego pisma *Fliegende Blätter* ukazał się prześmiewczy utwór zatytułowany „Kiedy Rzymianie się rozzuchwalili" (*Als die Römer frech geworden*), a traktujący na temat bitwy w Lesie Teutoburskim. Wszedł on potem do wydanego w roku 1867 zbiorku *Gaudeamus*.

Przypomnijmy: w roku 9 n.e. trzy legiony dowodzone przez Publiusza Kwintyliusza Warusa zostały wciągnięte (ok. 46 p.n.e. – 9 n.e.) w zasadzkę przez

---

[36] Za oryginałem w: V. Strauss und Torney, *Gedichte*, Bielefeld 1841, s. 336.

germańskiego wodza Arminiusza. Armię liczącą ponad dwadzieścia tysięcy żołnierzy i personelu pomocniczego wycięto niemal do nogi. Generał Warus wraz ze swym sztabem, zdając sobie sprawę z rozmiarów klęski, popełnił samobójstwo. Bitwa w Lesie Teutoburskim definitywnie zahamowała rzymską ekspansję na terenie Germanii, a dla Niemców na wiele wieków stała się symbolem zwycięskiej walki z najeźdźcą. Do germańskiej wiktorii szczególnie chętnie zaczęto powracać w dobie wojen napoleońskich, a następnie później w warunkach krzepnącego niemieckiego nacjonalizmu. Napoleona, a potem wszystkich właściwie wrogów Niemiec kwalifikowano jako nowych „reprezentantów Rzymu". Szczególnie mocno akcentowano ten wątek w okresie wojny z Francją, w latach 1870-1871. W roku 1875 Arminiusz został uhonorowany monumentalnym pomnikiem nieopodal heskiego miasta Detmold.

Dla von Scheffela formą walki o „zrzucenie rzymskiego jarzma" był sprzeciw wobec prawa rzymskiego. Trudno się więc dziwić, że nie odmówił sobie przyjemności i wrócił do tematu w swojej humoresce. Otóż, przedstawiwszy butnych Rzymian, których do lasu, wśród dźwięku trąb, wprowadza sam *Generalfeldmarschall, Herr Quinctilius Varus* (generał-feldmarszałek pan Kwintyliusz Warus) i przeciwstawiwszy im walecznych Cherusków uderzających na wroga *Mit Gott für Fürst und Vaterland* (Z Bogiem za księcia i ojczyznę), opisawszy rzeź Rzymian i samobójstwo Warusa, dochodzi do wątku zgoła nieoczekiwanego:

W biednej rzymskiej sotni
Znalazł się ochotnik
Scewola, *Rechtskandidat*,
Który w nasze ręce wpadł
Tak, jak wszyscy inni.

A to pech! Już lecą wióry.
Już go podnoszą do góry.
Przeszywszy serce na wylot,
Wraz przybijają od tyłu
Do jego *corpus iuris*[37].

(przeł. M. Jońca)

[37] Za oryginałem w: V. von Scheffel, *Gaudeamus! Lieder aus dem Engeren und Weiteren*, Stuttgart 1872, s. 45.

Skąd tyle sadyzmu? Dlaczego tym gruncie rzeczy pogodnym – na tyle, na ile to możliwe – jedynie biedny *Rechtskandidat Scäwola* znalazł tak drastyczny koniec i został przybity gwoździem do kodeksu? Zapewne dlatego, że swego czasu pewien *Jurastudent* przez prawo rzymskie czuł się tak, jak gdyby ktoś zabił mu głowę ćwiekami. Dochowując naukowej rzetelności, należy wyraźnie podkreślić, że antyczne źródła nie wymieniają jakiegokolwiek przedstawiciela znamienitego rodu, który zostałby wzięty przez Germanów do niewoli, a już czystym absurdem jest pomysł przybicia go do *Corpus Iuris Civilis*. Mianem tym, jak pamiętamy, określa się przecież od średniowiecza kodyfikację justyniańską powstałą w VI wieku, podczas gdy Warus i jego legioniści zostali rozgromieni na początku wieku I-go. Poezja rządzi się jednak własnymi prawami, a *licentia poetica* nie uznaje ograniczeń chronologicznych czy rzeczowych. Zadra, jaka została von Scheffelowi po zajęciach z prawa rzymskiego, była chyba poważniejsza niż się mogło wydawać.



Ilustracja do satyry von Scheffela ukazująca smutny koniec „kandydata praw" Scewoli

Fatalna historia została około roku 1910 wydana w formie harmonijki do czytania (tzw. *leporello*). Dla uatrakcyjnienia wrażeń, opowieść przyozdobiono dowcipnymi ilustracjami autorstwa Arthura Thiele (1860-1936). Jest wśród nich i scena pokazująca smutny koniec Scewoli. Kto się dobrze przyjrzy, dostrzeże w rysach ubranego w mundur legionisty żołnierza, rysy… Georga Friedricha Puchty. Imponuje skuteczność odwetu von Scheffela. Przyśpiewka o bezczelnych Rzymianiach, którym nosa utarli dzielni Cheruskowie, śpiewana jest w Niemczech do dziś. Na ustach biesiadników, chcąc nie chcąc, gości również imię biednego kandydata praw.

Podsumowanie

Poszukiwania ekwiwalentu szyderstw von Scheffela w polskiej poezji na razie okazały się pozbawione rezultatów. Nic dziwnego. W XIX wieku prawo rzymskie było dla Polaków jednym z kulturotwórczych filarów zachodniej kultury, z którą tak się utożsamiali. Narzekania na ten przedmiot pojawią się w tekstach o charakterze pamiętnikarskim dopiero w XX wieku. Poezja polska nigdy nie przypuści tak frontalnego ataku na *ius Romanum*, jak von Scheffel. W jednym niemiecki poeta ma rację. Prawo rzymskie to „kobyła". *Nihil novi sub sole*.

3. ALE SZOPKA!

Jednym z najciekawszych i najmniej zbadanych zjawisk kulturalnych przedwojennego Wilna były organizowane co roku szopki akademickie. Pomysł narodził się na Wydziale Sztuk Pięknych USB w Wilnie, kiedy w roku akademickim 1920/1922 profesor Mieczysław Kotarbiński (1890-1943), młody malarz i grafik, który w przyszłości wsławi się między innymi zaprojektowaniem buławy marszałkowskiej Józefa Piłsudskiego (1867-1935), objął Katedrę Grafiki i Zdobnictwa na Uniwersytecie Wileńskim. Za jego sprawą powołano do życia Odrodzoną Szopkę Akademicką. Uczestniczka tamtych wydarzeń, Irena Pikiel-Samorewiczowa (1900-1991), pisze: „tak się szumnie nazywała. A inaczej, krócej i po tutejszemu »Betlejki Wileńskie«"[38]. Przedstawienia, z jedną przerwą w roku 1929, wystawiano nieprzerwanie przez dwanaście lat.

Pieśń Dziada Pietrego Daniuszewskiego z Korkorzyszek

„Nie tylko po to »kręciliśmy« Szopki – pisze Pikiel – żeby przeglądać się w krzywym zwierciadle, wykpiwać profesorów i znamienitsze osoby. Co innego nas frapowało – chodziło o kolędy. Do nich nas zapalił Kotarbiński i natychmiast zechciał, żeby były tutejsze. (…) Zafascynowani byliśmy wileńskim folklorem, wileńską gwarą. Tę fascynację wyrażała pierwsza, »tradycyjna« część każdej szopki"[39].

---

[38] Cyt. za: M. Olesiewicz, *Wileńskie szopki akademickie (1921-1933) jako świadectwo zbiorowego życia*, [w:] *Wilno teatralne*, red. M. Kozłowska, Warszawa 1998, s. 48.

[39] *Ibidem*.



Wileńska szopka akademicka wystawiona w roku akademickim 1921/1922. W środkowym rzędzie czwarty od prawej: Franciszek Bossowski; szósty od prawej: Lucjan Żeligowski

Jedną z najbardziej charakterystycznych postaci biorących udział w przedstawieniach był Dziad Petry Daniuszewski z Korkorzyszek. W postać tę początkowo wcielał się rzeźbiarz Czesław Szemberg (1890-1973). Następnie zastąpił go starszy asystent na wydziale medycznym, Antoni Sylwanowicz (1901-1975; po wojnie profesor anatomii na Akademii Medycznej w Warszawie). „Dziad – wyjaśnia Irena Pikiel – był postacią złośliwą i ślamazarną”[40] i pewnie za to publiczność go uwielbiała. W jego repertuarze znajdowały się pieśni „o charakterze odpustowym”, które Sylwanowicz wyśpiewywał znakomicie naśladując wileński akcent. W jednej z nich pojawia się motyw prawa rzymskiego oraz postać profesora wykładającego ten przedmiot w Wilnie. To „Pieśń o prawniku i medyczce”, która brzmi następująco:

Wy posłuchajcie, pienkne koleżanki,
i wy, brzydkie kolegowie,
o jakiem smentku przy wesołym czwartku
wam stary dziadziuś opowie:

Był kiedyś prawnik, jakby malowany,
i była sobie medyczka,
on nosił portki długie aż do ziemi,
a ona krótka spódniczka.
on czyta książki, do których zebrali

40 *Ibidem*.

z całego świata mondrości,
a ona sobie w prosektorii siedzi
i ludzkie rachui kości.

On prawa rzymska pilnie studyjuje
i Bossowskiego wciąż czyta,
a ona sobie w prosektorii siedzi
ciągajonc z trupa jelita.
Jakże sień skończył ten przepienkny romans?
pewno bendziecie pytali…
Odpowiem – nijak,
bo te młode ludzie
jeden
drugiego
nie znali
nie znali[41].

„»Dziad wileński« – z jego wyobrażeniami i wiedzą – stawał się zazwyczaj komentatorem spraw obcego dlań świata; śmiech wywoływał komizm słowa skojarzony z sytuacją nieporozumienia. »Dziadowskie« wyobrażenie świata nakłada się bowiem na obcą mu rzeczywistość akademicką" twierdzi Tadeusz Bujnicki (ur. 1933)[42].



Wileńska szopka akademicka wystawiona w roku akademickim 1925/1926

41 Cyt. za: J. Karbowska, *Z Mackiewiczem na ty*, Warszawa 1994, s. 87-88.
42 T. Bujnicki, *Szkice wileńskie. Rozprawy i eseje*, Kraków 2002, s. 241.

Mnie środowisko akademickie obce nie jest i być może dlatego nie zgodzę się z przedmówcą. Prawnik i medyczka stracili masę czasu na czynności, w których sens wykonywania podmiot liryczny, delikatnie mówiąc, wątpi. Wcale nie taki głupi ten dziad…

Gwiazda szopek

Profesor Franciszek Bossowski (1879-1940), znakomity wileński romanista, nie tylko pojawiał się w tekstach dowcipnych przyśpiewek. Jego postać stanowiła ważny element każdego przedstawienia. Trzeba wiedzieć, że każda wileńska szopka składała się z dwóch części. Pierwsza miała charakter tradycyjny. Druga poruszała zagadnienia ze świata wielkiej polityki. W pierwszej niewinnie żartowano z grona profesorskiego oraz lokalnych znakomitości. Cenzura rektorska pozostawiała autorom tekstów dosyć duży zakres swobody, aczkolwiek upierano się, by bohaterów scenicznych harców nie nazywać po nazwisku. I tak na użytek przedstawień z administratywisty Jerzego Panejki (1886-1973) robił się Pan Jajko, historyk prawa Iwo Jaworski (1898-1959) występował jako Piwo Jaworski, a profesor Bossowski zmieniał personalia na Bossesor Prossowski.



Głowa kukiełki profesora Franciszka Bossowskiego. Eksponat Muzeum Narodowego w Wilnie

Dla ostatniej szopki, wystawionej w roku 1933 kukiełki sporządził jeden z najbardziej wziętych wileńskich rzeźbiarzy, Tadeusz Godziszewski (1904-1977). Jak zauważa Witold Rudziński: „Szczególnie udana była lalka Franciszka Bossowskiego, specjalisty od prawa rzymskiego, znanego

z pewnych dziwactw, który był przedmiotem licznych anegdot”[43]. Zachował się miedziany odlew głowy jego kukiełki, który obecnie stanowi eksponat Muzeum Narodowego w Wilnie.



To przyszło później. Autor szopki politycznej wystawionej w wilnie Emanuel Hoff i kukiełki grające w przedstawieniu wykonane według projektu artysty rzeźbiarza Tadeusza Godziszewskiego. Rok 1936

Dodać trzeba, że był również Bossowski ważną figurą akademickiej społeczności Wilna. Jeden z satyrycznych wierszy Teodora Bunickiego (1907-1944) rozpoczyna się słowami:

Starożytne korytarze
Akademii batorowej
Kroki, głosy, brzuchy, twarze
Wszystko takie – naukowe
Fontes scientiae biją zewsząd
Tu Bossowski skądś wybiega
Tam poważnych grono dziewcząt
Obstąpiło Rudnickiego…[44].

Podsumowanie

Przełomowy dla wileńskich szopek akademickich okazał się rok 1929. Wtedy to doszło do porozumienia pomiędzy dwoma wileńskimi związkami twórczymi: Cechem św. Łukasza i Akademickim Klubem Włóczęgów. Na skutek ich zaangażowania oraz wciągnięcia do współpracy przy orga-

43 W. Rudziński, *Wileńska szopka akademicka 1933*, [w:] *Wilno i Kresy Północno-Wschodnie*, t. II, *Kultura i trwanie*, red. E. Felisiak, A. Kisielewska, Białystok 1996, s. 271-272.

44 Cyt. za: T. Bujnicki, *op. cit*., s. 256.

nizacji szopek takich literackich osobistości jak Teodor Bujnicki (1907-1944), Józef Maśliński (1910-2002), Czesław Miłosz (1911-2004), Jerzy Putrament (1910-1986), Leon Szreder (1911-2011), Jerzy Wiszniewski (1908-1990) czy Jerzy Zagórski (1907-1984), przedstawienia w krótkim czasie utraciły swój ludyczny charakter na rzecz literackiej finezji. Bossowskiego jednak nie wyrugowano z repertuaru. Był zbyt charakterystyczny, co zawsze stanowi pożywkę dla satyry. Chcąc nie chcąc, uznany romanista nadal odgrywał poczesną rolę w akademickich szopkach.

4. WITOLD GOMBROWICZ – „LEŃ" PO WYDZIALE PRAWA

Za granicą należy do grupy najbardziej rozpoznawalnych polskich pisarzy, a jego dzieła wciąż są wznawiane i cieszą się popularnością. W Polsce, obok oddanych admiratorów, posiada również sporą grupę czytelników niechętnych. Witold Gombrowicz (1904-1969) – powieściopisarz i nowelista, od roku 1927 legitymujący się tytułem magistra praw. A jednak okres studiów przyszłego autora „Ferdydurke" i „Transatlantyku" nie cieszy się zbytnim zainteresowaniem biografów. Niesłusznie.

Dlaczego prawo?

To paradoks, że przyszły prawnik nie znosił łaciny i w istocie chyba nigdy dobrze jej nie poznał. Zacięte boje toczył z nią w warszawskim Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki. Jego kolega ze szkolnej ławy wspominał: „Itek naszego łacinnika nie lubił razem z jego specjalnością. (…) wolał się bać, zamiast opanować podstawowe formy. Uczył się tej łaciny po trochu, dukał, a zabrać się do niej z nami uważał za niegodne siebie. (…) na łacinie siedział cicho, jakby nieobecny"[45].

W roku 1923 Witold Gombrowicz rozpoczął studia prawnicze. Po latach w bezpretensjonalny sposób tłumaczył: „Nic mnie nie pociągało między Bogiem a prawdą – trochę może filozofia – ale już wtedy zorientowałem się, że aby wiedzieć coś o filozofii, trzeba pójść do księgarni, kupić trochę książek i poczytać, nie tracąc czasu na wykłady i seminaria. Wybrałem w rezultacie wydział najwygodniejszy i najbardziej pociągający leniów: pra-

[45] T. Kępiński, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, Kraków 1974, s. 40-41.

wo"[46]. W swoim szczerym wyznaniu zaskakująco podobny okazuje się Gombrowicz do Władysława Tatarkiewicza (1886-1980), który pisze: „Po uzyskaniu matury żaden zawód mię nie pociągał, a najmniej myślałem o zawodzie uczonego. Usiłowałem dostać się na politechnikę, ale tylko dlatego, że tak chcieli moi rodzice. W duchu ówczesnym uważali, że najbardziej obiecującym zawodem jest zawód inżyniera. Nie miałem nań ochoty, ale nie miałem też ochoty na żaden inny zawód. Po niepowodzeniu egzaminowym zapisałem się na wydział matematyczny uniwersytetu, bo z niego miało być łatwiej dostać się później na politechnikę. Ale matematyka tak mnie nudziła, że wytrzymałem tylko trzy tygodnie. Przeniosłem się na wydział prawa. Nie dlatego, bym miał szczególne powołanie do studiów prawniczych, lecz że na tym wydziale byli koledzy, których najbardziej lubiłem. Jedyna rzecz, na którą naprawdę miałbym wtedy ochotę, to – hodować konie, ale na to nie byłem dość bogaty"[47]. Analogiczne tłumaczenia spotkać można we wspomnieniach wielu literatów, którzy ukończywszy ten sam kierunek, postanowili poświęcić się pisarstwu. Na przykład Józef Wittlin (1896-1976) argumentował: „Żeby nie marnować życia, zapisuję się na Wydział Prawa (…). Wolałbym na literaturę, ale wówczas trzeba chodzić na wykłady, na co nie mogę sobie pozwolić, natomiast studenci prawa, jeśli chcą, uczą się w domu z podręczników, zaś egzaminy składają ustnie przy końcu roku akademickiego"[48]. W bardziej wyważonym tonie wypowiada się późniejszy założyciel paryskiej „Kultury" – Jerzy Giedroyc (1906-2000): „Ponieważ do końca nie byłem zdecydowany co ze sobą zrobić po maturze, jak to się zwykle dzieje w takich wypadkach, zapisałem się na prawo"[49].

To nie rodzina, ani wbrew temu, co twierdził później, nie lenistwo (w każdym razie nie tylko!) sprawiło, że Gombrowicz zdecydował się zabiegać o indeks na Wydziale Prawa UW. Pamiętający tamte czasy Tadeusz Kępiński, wspomina: „Nie wiem, co ostatecznie skłoniło Itka do wstąpienia na prawo. Upodobania miał literackie, a trochę i filozoficzne. (…) W tych latach było coś w powietrzu. Wszyscy szli na prawo. Jurek Gombrowicz [starszy brat Witolda – M.J.] – na prawo, trzej chłopcy Balińscy – na prawo. Mój brat – również na prawo"[50].

---

46 W. Gombrowicz, *Dzieła*, t. XVI, Kraków 1996, s. 38.

47 T. i W. Tatarkiewiczowie, *Wspomnienia*, Poznań 2011, s. 164.

48 T. Wittlin, *Ostatnia cyganeria*, Warszawa 1989, s. 117.

49 Cyt. za: A.S. Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura"*, Wrocław 1999, s. 13.

50 T. Kępiński, *op. cit.*, s. 202.



Witold Gombrowicz w czasach studenckich

Wzmianka o braciach Balińskich kieruje trop w stronę ich ojca. Ignacy Baliński (1862-1951) z powodzeniem łączył pracę prawnika z działalnością literacką. Przed I wojną światową był pracownikiem Prokuratury Królestwa Polskiego, a od roku 1918 sędzią Sądu Najwyższego. W niepodległej Polsce zasłynął jako inicjator i współzałożyciel Zrzeszenia Sędziów i Prokuratorów oraz Warszawskiego Towarzystwa Prawniczego. W latach 1922-1927 sprawował mandat senatora z listy Narodowej Demokracji. W wolnych chwilach realizował się jako poeta, redaktor i tłumacz. To on jest autorem wierszyka:

> Chcesz być czymś w życiu, to się ucz,
> Abyś nie zginął w tłumie;
> Nauka to potęgi klucz,
> W tym moc, co więcej umie[51].

[51] Cyt. za: *Antologia poezji głupich i mądrych Polaków w Ludwika Stommy wyborze*, oprac. M. Zadworny, Warszawa 1995, s. 296.



Ignacy Baliński mentor i przyjaciel młodego Gombrowicza

Dla młodego Witolda przez wiele lat Ignacy Baliński był mentorem i wielkim autorytetem. „Cechą rodziny Balińskich wspólną – wyjaśnia Tadeusz Kępiński – była dobroć i mądra wyrozumiałość. (…) Nieprawdą jest, że Itek nie był zdolny tego odczuć. Przez lata dzieciństwa, lata pierwszej systematycznej nauki i kształtowania osobowości przebywał w tym domu stale"[52]. Kiedy więc bracia Balińscy zdecydowali się rozpocząć studia prawnicze, również dla młodego Gombrowicza wybór musiał wydawać się oczywisty.

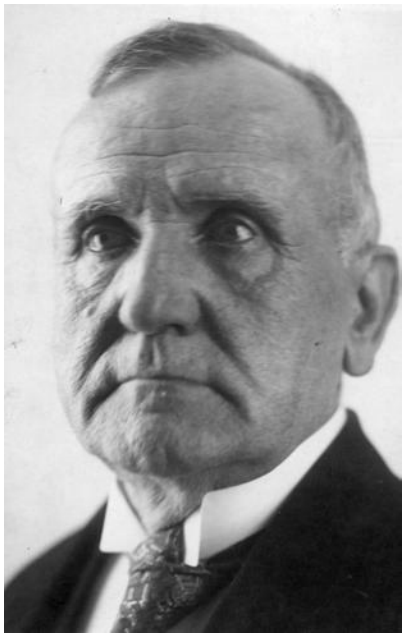


Brama wejściowa na Uniwersytet Warszawski

52 *Ibidem*, s. 149.

Bożyszcze

Będąc już znanym pisarzem, starał się Gombrowicz pomniejszać wkład studiów prawniczych w kształtowanie swojej sylwetki intelektualnej. Niemniej w czasach studenckich często powoływał się na opinię profesora Leona Petrażyckiego (1867-1931), zgodnie z którą studia prawnicze okazują się bardzo pomocne dla zrozumienia skomplikowanych zagadnień filozoficznych.



Ignacy Koschembahr-Łyskowski. Idol studenta I roku prawa Witolda Gombrowicza

Największą sympatię studenta pierwszego roku prawa zdobył jednak profesor Ignacy Koschembahr-Łyskowski (1864-1945). Tym samym Gombrowicz ponownie „trafił do lekceważonej i nie lubianej dotąd łacin. Wielu formuł i nazw łacińskich uczył się na pamięć i wypowiadał je z emfazą i wcale nie okazywał, że dzieje mu się krzywda. Profesor frapował go i imponował mu. (…) Zasady prawa rzymskiego – to był niewyczerpany temat opowiadań i dyskusji. Zadziwiały Itę instytucje tego prawa, obyczaje w nich się odzwierciedlające, a sam Koschembahr był dlań

wcieleniem ducha rzymskiego i nazywał go Rzymianinem. Twierdził, że i twarz ma rzymską, a ponieważ łatwo się denerwował i stawał wtenczas fioletowy, Itek obawiał się, że w każdej chwili może nastąpić katastrofa. (…) Najwięcej zachwycał Itka antyfeminizm Koschembahra. W każdym razie tak to nam przedstawiał. Nie wiem, ile wymyślił, ile zasłyszał, gdy profesor pod koniec trymestru odmówił jednej z koleżanek podpisania indeksu. Ta, mało nie płacząc, powiada: »Chodziłam punktualnie na wszystkie wykłady pana profesora«. »Tak, wiem o tym, widziałem, że pani chodziłaś, ale pani jesteś tak głupia, że nic z nich nie zrozumiałaś«. Innym razem któraś studentka weszła do gabinetu na egzamin i w tym momencie zorientowała się, że trzyma skrypta w ręku. Wiadomo było wśród słuchaczy, iż profesor nie uznaje uczenia się w ostatniej chwili. Aby je ukryć, usiadła na nieszczęsnych foliałach. I nagle słyszy: »Nawet tą drogą prawo rzymskie nie wejdzie pani do głowy«. Itek naśladował dykcję Koschembahra, co mu przychodziło tym łatwiej, że i on nie wymawiał »r«. Przechodził wyraźnie w »h« (…)[53]. Sądząc z zakresu czasu i napięcia – uczył się tego »rzymskiego«, jak niczego potem, a może i przedtem. Rozsławiał też szeroko poglądy profesora na uzdolnienia kobiet"[54]. Gombrowicz, jak zwykle, szedł pod prąd. Wykład z prawa rzymskiego uważany był bowiem przez jego rówieśników za trudny i nieatrakcyjny, a stosunek profesora do studentów, zwłaszcza kobiet, za odstręczający[55].

Oceny i sprawa sejfu

Nie był pilnym studentem, o czym świadczą jego stopnie – niemal same trójki. Sam zresztą wspominał: „O życiu studenckim niewiele mam do powiedzenia, bo prawie nie brałem w nim udziału. Co się tyczy studiów na wydziale prawnym, to sprowadzały się one do dwumiesięcznego obłędnego wkuwania się przed egzaminami, które miały tę zaletę, że wszystkie odbywały się jednego dnia. Po tym wysiłku mogłem wypoczywać dziesięć miesięcy do nowej próby, decydującej o przejściu na rok

53 Por. R. Bierzanek, *Przez wiek XX. Wspomnienia i refleksje*, Warszawa 2006, s. 62: „profesor Ignacy Koschembahr-Łyskowski, Pomorzanin i mówiący akcentem pomorskim, tradycyjnie rozpoczynał wykład słowami: »Phoszę panów«".

54 *Ibidem*, s. 204-205.

55 Zob. W. Wołodkiewicz, *Europa i prawo rzymskie*, Warszawa 2009, s. 616.

następny. Uczyłem się tedy bardzo mało, a na uniwersytecie prawie się nie pojawiałem, gdyż uczęszczanie na wykłady nie było obowiązujące”[56]. A w innym miejscu: „Nie chodziłem na wykłady. Mój służący, bardziej dystyngowany niż ja, słuchał wykładów zamiast mnie”[57].

Z czasów studenckich dobrze wspominał Gombrowicz jeszcze zajęcia z medycyny sądowej. Uważał, że udział w sekcjach zwłok przydaje mu splendoru w oczach kolegów z innych wydziałów. Studentom innych kierunków, którzy na jego zaproszenie gościnnie przychodzili posłuchać „prawniczych” wykładów, niezwykle imponował Ludwik Krzywicki (1859-1941), wykładający historię ustrojów społecznych. Pełna zgoda panowała tymczasem odnośnie do dydaktycznych możliwości profesora Eugeniusza Jarry (1881-1973), który zdaniem Gombrowicza dużo większym wzięciem cieszył się jako śpiewak wileńskiej operetki.

Wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli możliwość poznania autora „Ferdydurke”, a także jego późniejsi biografowie, są zgodni co do tego, że jedną z jego pasji było prowokowanie otoczenia. W pewnej sprawie z pomocą przyszło mu prawo. Otóż siostra jego, Lena, która zawsze uważała Witolda naturę za niestabilną i wykolejoną, powiedziała kiedyś do jednego z kolegów, wskazując na rodzinny sejf: „Prawo nie wychodzi Witkowi na dobre. Boję się, że wypaczy jego umysł do reszty. Wie pan, do jakich wniosków doszedł ostatnio? Że ta kasa nie należy już do ojca”. Gombrowicz tylko na to czekał. „Wystąpił z wywodem, że skoro szafa stoi we wnęce, a więc między dwoma murami – stała się własnością posiadacza domu, tak jak wszystko, co jest wmurowane”[58]. Opinia pierwszoroczniaka nie jest naturalnie do końca trafna. Któż z nas jednak, będąc na pierwszym roku prawa, z arcypoważną miną nie wygłaszał podobnych „ekspertyz”?

Studia prawnicze Gombrowicz skończył, choć finisz był dramatyczny. „Na ostatnim egzaminie z prawa cywilnego – wspominał – zdarzył mi się wypadek zdumiewający, dający się porównać tylko z wygraną wielkiego losu na loterii. Po kilku pytaniach, które jako tako przebrnąłem, profesor mi mówi: »Niech pan znajdzie ten artykuł w kodeksie«. Ja kodeksu na oczy nie oglądałem, nie wiedziałem w ogóle, czy tego artykułu na

---

56 W. Gombrowicz, *op. cit*., s. 44.

57 Cyt. za: A. Stawiarska, *Gombrowicz w przedwojennej Polsce*, Kraków 2001, s. 73.

58 T. Kępiński, *op. cit*., s. 70.

początku szukać, czy na końcu, myślę sobie: »koniec« – ale na chybił trafił otwieram. I cóż powiecie? Akurat na tym artykule otworzyłem, a książka pękata, choć z cieniutkiego papieru. Profesor: »No, widzę że pan kodeks zna dobrze«. Ja: »Boże!«"[59].

I na tym koniec

Przez chwilę wydawało się, że świeżo upieczony absolwent prawa zwiąże swoją przyszłość z wymiarem sprawiedliwości lub z polityką. Po studiach ojciec wysłał go do Paryża, aby pobierał nauki w Instytucie Wyższych Studiów Międzynarodowych. Niemniej w stolicy Francji niesforny przybysz zamiast pogłębiać wiedzę, zawierał coraz bardziej podejrzane znajomości. Ściągnięcie go do kraju okazało się koniecznością. Kiedy „(…) rozpoczął aplikację sądową, pan Baliński lubił poruszać z nim tematy prawnicze. Interesował się pracą Itka nie tylko przyjacielsko, ale był w tym również moment zawodowy"[60]. Przygoda Gombrowicza z Temidą trwała jednak nader krótko. Sam przerwał aplikację. W międzyczasie pojawiły się projekty zrobienia aplikacji adwokackiej. „Miał początkowo aplikować u ojca Wandy Przyłęckiej, znanego w Radomiu adwokata. Byłby jego dependentem – jak to się wtedy mawiało. (…) Nic jednak z tych planów nie wyszło. Palestra radomska nie zgodziła się na jego kandydaturę, a kandydatów miała sporo. Zaszkodziła mu opinia nowoczesnego liberała. Nie bez »winy« był także Jerzy Gombrowicz, który cieszył się wspaniałym darem wymowy, elokwencją, humorem. Radomscy adwokaci sądzili, że jego brat jest najprawdopodobniej taki sam. Przestraszyli się konkurenta"[61]. Zainteresowanego wcale to nie zmartwiło. „Po zerwaniu z ledwo zaczętą pracą w sądzie nie starał się już o stałą posadę. Współpracował z »Kurierem Porannym« i innymi gazetami, lecz pisał, co chciał i kiedy chciał"[62].

Podsumowanie

Nie licząc późniejszych doświadczeń związanych z pracą w Banco Polaco w Argentynie oraz nieporozumień na tle praw autorskich do

---

59 W. Gombrowicz, *op. cit*., s. 55.

60 T. Kępiński, *op. cit*., s. 153.

61 J. Siedlecka, *Jaśnie panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Kraków 2011, s. 161.

62 *Ibidem*.

jego utworów, głębsze emocje Witolda Gombrowicza związane z prawem skończyły się wraz z uzyskaniem dyplomu magistra.

Historia Gombrowicza może pokrzepić tych, którzy obecnie świadomie i dobrowolnie wegetują na wydziałach prawa. Wystarczy spojrzeć: mierny student, a potem taka kariera! Jeżeli mają talent i są gotowi do poświęceń na miarę tych gombrowiczowskich, to kto wie? Może opuszczanie zajęć i zadowalanie się najniższymi ocenami to dobra strategia…? Tym jednak, którzy talentu i silnej woli nie mają, z serca ją odradzam.

Ach, jeszcze jedno… Ponieważ trwa bezustanne bombardowanie uczelni wyższych nowymi programami nauczania, ramami, wytycznymi i tak w koło, *nomen omen*, Macieju, warto przytoczyć jeszcze jeden fragment ze spuścizny zbuntowanego pisarza. Warto, gdyż lektura dzieł Gombrowicza utwierdza w jakimś fatalistycznym przekonaniu, że jest jak było, a będzie jak jest. Tylko nazwy się zmieniają. O swojej szkole pisał tak: „W dniu, w którym ujawni się cała prawda o tym nauczaniu szkolnym – dzień ten jeszcze bardzo odległy – ludzkość znajdzie się w obliczu gigantycznej mistyfikacji i monstrualnego oszustwa. Wyjdzie na jaw wtedy, że nauczyciel ględzi, uczeń nie słucha; że nikt nic nie robi; że uczeń oszukuje, nauczyciel daje się oszukiwać, że gdyby ścisnąć, trzydzieści godzin intensywnej nauki starczyłoby za trzy kwartały obecnej szkoły. Szkoła w obecnej postaci jest znakomitym przygotowaniem… ale tylko do życia urzędniczego, do biurokratycznego trwonienia czasu i »markowania« roboty. To nauczanie rozwleczone, rozględzone, biurokratyczne, apatyczne, jest przeciwieństwem prawdziwej nauki, tej zwięzłej, natężonej i elektryzującej”[63]. To samo dotyczy współczesnych polskich uniwersytetów. Pracując w „sektorze szkolnictwa wyższego”, widziałem to i tamto, ale do niedawna trudno było mi nazwać pewne zjawiska. Gombrowicz bardzo mi pomógł.

5. CZESŁAW MIŁOSZ – NOBLISTA PO WYDZIALE PRAWA

Czesław Miłosz (1911-2004), literat uhonorowany literacką Nagrodą Nobla w roku 1980, a doktoratem *honoris causa* KUL-u rok później,

63 W. Gombrowicz, *op. cit*., s. 44.

z wykształcenia był prawnikiem. Motywy, które skłoniły go do podjęcia studiów, nie różnią się od pobudek, którymi kierowało się wielu innych ludzi pióra wybierających tę samą drogę. „Wbrew moim literackim zamiarom studiowałem prawo. Jeżeli trafnie ujmuję motywy mego wyboru, dokonałem go, kierując się przesądnym lękiem, że za wcześnie ujawniając, kim naprawdę chcę zostać, ściągnę na siebie porażkę. Była też w tym przezorność biurokraty *in spe*, a również potrzeba umartwienia, bo nuda rzymskich formuł – od nich oczywiście zaczynaliśmy – nie dawała się z niczym porównać" – wyjaśniał pisarz[64].



Czesław Miłosz w czasach studenckich

Zaczęło się od polonistyki

Po uzyskaniu matury w roku 1929 Miłosz rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Wybór przypadł młodemu człowiekowi do gustu. „W 1919 roku został utworzony przez

64 Cz. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Kraków 2001, s. 129.

Piłsudskiego. Właściwie powinien był się nazywać Uniwersytetem Piłsudskiego. W pewnym sensie Uniwersytet Wileński lat międzywojennych i grób na Rossie, gdzie leży serce Piłsudskiego, jakoś są ze sobą połączone. (…) Niemniej muszę powiedzieć, że przecież ten uniwersytet, który powstał w dziewiętnastym roku, był czymś bardzo specyficznym i organizowanym na gwałt, pospiesznie. Właściwie to dowód ogromnego talentu zorganizowania czegoś, stworzenia z nicości; powołania uczelni, która była inna niż inne uniwersytety polskie" – pisał po latach[65].



Czesław Miłosz w czasach studenckich

Wileńska uczelnia była „inna" również ze względu na proweniencję studiujących w niej żaków. „Prawie wszyscy na naszym starym uniwersytecie pochodzili z tych samych parafii i powiatów kraju, który już wtedy wydawał się przybyszom z zewnątrz egzotyczny. To znaczy urodzili się w zapadłych zakątkach odległych nie tylko od wielkich miast, ale też linii

65 A. Fiut, *Czesława Miłosza autoportret przekorny*, Kraków 2003, s. 207.

kolei, w dworkach, wioszczynach, zaściankach, siedzących nad rzeczką z jej olchami, przycupniętych pod górką, przy jeziorku, zawsze między ścianami lasu. Tak jak ja, znali od dziecka zapachy rojstu, moknącego w jesieni lnu, trocin, żywicznego drewna, mokre sierści psów, kiedy wracają z buszowania w gąszczu. Wiedzieli, gdzie i kiedy narestują szczupaki, jak przygotować oścień do połowu z łuczywem, jak czytać ślady lisa na ponowie, jaka jedlina najpewniej będzie miała gniazdo sójek. Posiadaliśmy więc pewną wiedzę, niezależnie od tej innej, nabywanej w klasie szkolnej i w salach wykładowych uniwersytetu"[66]. W tych warunkach „przybyszy" rozpoznawano od razu i bez większych trudności.

Student pierwszego roku polonistyki bardzo szybko doszedł do wniosku, że wybór kierunku studiów nie okazał się trafiony. Renacie Gorczyńskiej tłumaczył: „Krótko studiowałem polonistykę, ale mnie zmierziła, więc przeniosłem się na prawo. Polonistyka zmierziła mnie z różnych powodów, bo być może nie było zbyt dużego wyboru, jeżeli chodzi o profesorów w Wilnie, a poza tym to był taki matrymonialny wydział: same kobiety. I właściwie, jakie możliwości: zostać nauczycielem gimnazjalnym. A ja nie chciałem zostać nauczycielem"[67]. Innym razem w następujący sposób rozwinął ten wątek: „Myślę, że to, co mnie szybko przegoniło z polonistyki, było jakoś związane z moim *machismo*, z moim męskim samopoczuciem, ponieważ wydział ten nazywał się wydziałem »matrymonialnym«: dziewięćdziesiąt pięć procent studentów stanowiły panienki. Bardzo zresztą miłe, przeważnie noszące obfite pukle i koki pod czapkami"[68].

„Obcinka" z prawa rzymskiego

Polonistykę opuścił Miłosz bez większego żalu, przenosząc się na Wydział Prawa i Nauk Społecznych. „Dlaczego na prawo? Prawo było wydziałem ludzi, którzy nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Ogólne studia. (…) Czyli był to wydział, można powiedzieć, ogólnokształcący. Prawdopodobnie to samo można powiedzieć o prawie, które studiował Słowacki

---

66 Cz. Miłosz, *Piesek przydrożny*, Kraków 1997, s. 207.

67 R. Gorczyńska, *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze*, Warszawa 1993, s. 18

68 Cyt za: A. Fiut, *op. cit*., s. 207

na naszym uniwersytecie[69]. Poza tym prawo miało stygmat męskości, czyli *machismo*, dlatego że kobiet było tam stosunkowo niedużo i były bardzo inteligentne, co jest nie do pogardzenia. Zaletą prawa było to, że nie było tak ściśle zdefiniowane, jeżeli chodzi o karierę. Porównując wydział prawa w Wilnie z wydziałem prawa w Warszawie – co mogę zrobić, bo rok byłem w Warszawie – twierdzę, że w Wilnie był szereg bardzo interesujących postaci"[70].

Atmosfera na pierwszym roku prawa była dosyć typowa. „Pracowicie wkuwaliśmy więc łacinę i zdarzało się nam wplatać łacińskie słowa tudzież zdania w głupawe dowcipy i przekomarzania się niedorostków, a ci z nas, którzy studiowali prawo, uczyli się formuł prawa rzymskiego i prawa kanonicznego na pamięć, tak że nawet obudzeni w środku nocy mogli gładko recytować o zawiłościach *usu fructus* albo o przywilejach, którymi cieszy się *nasciturus*"[71].

W rozmowie z Aleksandrem Fiutem padło między innymi pytanie: „No właśnie, jak pan wspomina swoich profesorów?". Miłosz odpowiedział: „Na pierwszym roku najgroźniejszą postacią był profesor Bossowski, który pochodził z Galicji. To jest bardzo ciekawe, że grono profesorskie składało się częściowo z ludzi lokalnych, którzy reprezentowali tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego i byli do tych tradycji bardzo przywiązani, częściowo z ludzi z innych krain, jak Galicja. Bossowski był huzarem, zdaje się, Franciszka Józefa. Dla mnie postać jest enigmatyczna, ponieważ – z jednej strony – reprezentował karykaturalną postać profesora XIX wieku; jego łysość, jego wąs i kołnierzyki sztywne, tak że podbródek opierał się na tych kołnierzykach, właściwie kwalifikowały jego na roztargnionego profesora z karykatury. Ale z drugiej strony, w jego zachowaniu było coś z gwałtowności i niesłychanej sztywności. I dopiero później dowiedziałem się, że był huzarem. Więc połączenie tych dwóch cech. Wykładał prawo rzymskie. Należało umieć na pamięć wszystkie formuły prawa rzymskiego. Niektóre dotychczas pamiętam"[72].

---

69 Juliusz Słowacki studiował prawo w Wilnie w latach 1825-1828.

70 Cyt. za: A. Fiut, *op. cit.*, s. 208.

71 Cz. Miłosz, *Piesek przydrożny*, s. 207-208.

72 Cyt. za: A. Fiut, *op. cit.*, s. 209.

Dobrą okazję do tego, by utrwalić sobie materiał, dał niezdany egzamin z prawa rzymskiego. Miłosz we wrześniu miał podejść do poprawki. Sprawa była poważna. O ile bowiem wszystkich kandydatów na studia prawnicze przyjmowano bez egzaminu, to jednak selekcja następowała później, między innymi podczas egzaminu u profesora Bossowskiego.

Młody człowiek chyba przeczuwał, co go czeka. Można powiedzieć, że niewłaściwie ułożył sobie system wartości. Wśród jego spuścizny znalazł się bowiem i taki zapisek: „To prawo rzymskie (ładna frajda, jeżeli się obetnę – *avec mes ambitions* –) i zapach twoich piersi, Tolinka – wszystko to razem okropnie męczy”[73]. Klęska na egzaminie wisiała w powietrzu. „No więc kułem te skrypty – pisał później – uczyłem się, ale oblałem u Bossowskiego i dostałem poprawkę. Kułem przez całe lato – to było w Krasnogrudzie – do tej poprawki, a równocześnie tak dużo pływałem w jeziorze Hołny, że dostałem bardzo silnej anginy i jakichś szmerów w sercu. (…) Zdałem tę poprawkę na jesieni u Bossowskiego, po czym zaczął się drugi rok prawa”[74]. O Tolince zaś więcej nie słyszymy.

Austriacki huzar?

We wspomnieniach Miłosza uwagę przykuwa zwłaszcza informacja na temat kawaleryjskiej przeszłości profesora Franciszka Bossowskiego. Biogramy tego uczonego konsekwentnie pomijają przecież ten wątek. Niemniej Miłosz wrócił do niego jeszcze raz w swoim „Abecadle”, gdzie napisał: „Wyraźny był podział na swoich i obcych, których nazywano ogólnie »galileuszami«, choćby nie pochodzili z Galicji. W mojej szkole wyraźnym galileuszem był tylko Adolf Rożek, nauczyciel łaciny. Ale na uniwersytecie wyglądało to raczej pół na pół i wyróżniali się tacy wychowankowie Wiednia, jak mój profesor prawa rzymskiego, Bossowski, wyprostowany jakby kij połknął, noszący wysokie sztywne kołnierzyki, podobno dawny oficer c.k. huzarów”[75].

---

73 Cyt. za: A. Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Warszawa 2011 (http://books.google.pl/books?id=fZ5-AwAAQBAJ&pg=PT228&dq=zapach+Twoich+piersi&hl=pl&sa=X&ei=9xs5VK39BYqwPJy1gbAF&ved=0CBMQ6AEwAA#v=onepage&q=zapach%20Twoich%20piersi&f=false).

74 *Ibidem*, s. 210

75 Cz. Miłosz, *Abecadło*, Kraków 2001, s. 155.

Wygląda na to, że Miłosz uwiecznił w swoich zapiskach jedną z dziesiątek studenckich legend związanych z wileńskim wydziałem prawa. Franciszek Bossowski w istocie pochodził z Galicji. Urodził się w roku 1879 w Stryszawie koło Żywca, a nauki gimnazjalne pobierał w Wadowicach. W roku 1897 rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, które ukończył, a następnie w roku 1902, również na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskał tytuł doktora praw. Badacz jego biografii, doktor Krzysztof Szczygielski (ur. 1976), ustalił ponad wszelką wątpliwość, że w latach 1902-1918 Bossowski pracował w c.k. galicyjskiej ekspozyturze skarbu w Krakowie i we Lwowie[76]. Następnie w latach 1918-1920 zatrudniony był przez Prokuratorię Generalną Rzeczypospolitej Polskiej w Krakowie. W jego aktach osobowych nie ma żadnych informacji na temat tego, by Bossowski studiował kiedykolwiek w Wiedniu, co naturalnie nie wyklucza krótszych lub dłuższych jego pobytów w stolicy c.k. imperium, ani o tym, by kiedykolwiek został zmobilizowany przez austro-węgierską armię.



Posiedzenie rady wydziału prawa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (rok 1938). Pierwszy z prawej siedzi „austriacki huzar" profesor Franciszek Bossowski

Była to postać nietuzinkowa, budząca żywe reakcje wśród studenckiej braci, dlatego nic dziwnego, że Miłosz, podobnie jak wielu innych absolwentów wileńskiego wydziału prawa, do końca zachował ją w pamięci. Szczygielski zebrał kilka przekazów na temat sposobu bycia profesora: „Prowadząc zajęcia dydaktyczne, F. Bossowski miał zwyczaj używać przerywnika »pro-

[76] K. Szczygielski, *Franciszek Bossowski (1879-1940). Szkic do biografii*, „Miscellanea Historico-Iuridica" 7 (2009), s. 72.

szę państwa«. Podobno mówił tak: »W państwie rzymskim, proszę państwa, rodzina, proszę państwa, była państwem w państwie, proszę państwa«. Inny jego bon mot, wypowiadany w momentach irytacji, brzmiał: »Państwo rzymskie, proszę państwa, nie znosiło chuligaństwa!«. We wspomnieniach absolwentów wileńskiego Wydziału Prawa egzamin z prawa rzymskiego pełnił »funkcję gęstego sita, którego przejście wymagało opanowania ścisłości myśli i ich werbalizacji«. Profesor uchodził za postać niezwykle barwną, a o jego roztargnieniu krążyły liczne anegdoty. Zdarzało mu się czasami zapomnieć o studentach czekających godzinami pod drzwiami na egzamin. Kiedy już się pojawił, potrafił przyjść w jednej skarpetce żółtej, a w drugiej fioletowej"[77].

Witold Rudziński (1913–2004), kompozytor, pedagog i historyk, przytacza inną anegdotę: „pewnego razu Czesław Miłosz próbował dopaść profesora na wąskim korytarzu uniwersyteckim wydziału prawa (również humanistyki). Gdy zbliżał się z prawej – profesor oglądał się w lewo, gdy Miłosz podchodził z lewej, profesor obracał głowę w prawo. Wreszcie Bossowski stanął i powiedział: »Proszę pana, czy długo jeszcze będziemy z panem tańczyć kadryla, proszę pana?«[78].

Inni

„Na drugim roku, jeżeli się nie mylę, postacią interesującą był Zawadzki, profesor ekonomii, który pochodził ze sławnej rodziny drukarzy wileńskich. Mamy postać absolutnie lokalną. Z tej rodziny Zawadzkich, która drukowała Mickiewicza. Przychodził rano, z wielkim kacem, wyjmował lusterko i język swój badał… Niewątpliwie najciekawszą postacią na uniwersytecie był profesor Bronisław Wróblewski, prawo karne. Nie tylko prawo karne, penologia. (…) Wróblewski to było pewnego rodzaju otwarcie nowego wymiaru wiedzy o społeczeństwie. Ale nie był on pierwszy dlatego, że na pierwszym roku chodziłem na proseminarium Ejnikówny, wielbicielki Petrażyckiego. Tradycja Petrażyckiego na naszym uniwersytecie była dość silna. Przez pewien czas wykładał u nas Lande, ale kiedy przyszedłem na uniwersytet, Lande, zdaje się odszedł.

---

77 Cz. Miłosz, *Abecadło*, s. 75.

78 W. Rudziński, *Wileńska szopka akademicka 1933*, [w:] *Wilno i Kresy Północno-Wschodnie*, t. II, *Kultura i trwanie*, red. E. Felisiak, A. Kisielewska, Białystok 1996, s. 272, przyp. 1.



Leon Petrażycki. Pisma tego uczonego wywarły duży wpływ na studiującego prawo Czesława Miłosza

Dużo o Petrażyckim i Landem rozmawialiśmy z moim starszym kolegą na uniwersytecie, który był, zdaje się, o rok starszy czy o dwa, Stanisławem Stommą. On mnie wprowadził, wtajemniczył w Petrażyckiego. Mówię to, by podkreślić, że z całą problematyką socjologiczną, to znaczy badaniem historii instytucji od strony filozoficznej, byłem obznajomiony już na pierwszym roku prawa, i Wróblewski, który badał źródła powstania prawa karnego w społeczeństwie, był dla mnie niezwykle interesujący i zapładniający. Z tego powodu godziłem się nawet na mniej ciekawe aspekty jego wykładania. Otóż wykładał on prawo karne i trzeba było obowiązujący kodeks karny polski znać na pamięć, co umiałem. Równocześnie kochałem tego profesora i jego książki o penologii, czyli historii instytucji karnych w rozmaitych społeczeństwach. To mi dało bardzo dużo. Był profesor Wilanowski, który był od prawa kanonicznego. Był księdzem, ale takim trochę niedoksiędzem. Tłusty, trochę obleśny, niesłychanie sensualny we wszystkich swoich ruchach – taki duży kot. Prowadził, zdaje się, życie wytworne, niesłychanie sybarytyczne. To znaczy, czuło się atmosferę wygody, sączenia dobrego wina, kobiet. Jakieś dobre

urządzenie życia. Właściwie atmosfera – powiedziałbym – labusia wolteriańskiego. Czy należał do którejś z lóż masońskich w naszym mieście, nie wiem, ale pasowałoby to dobrze. Był profesor Panejko, Ukrainiec. Bardzo wytworny i – jak fama głosiła – mający swój dwór młodych ludzi, rodzaj akademii według najwyższych ideałów greckich. Co się sprowadzało, przetłumaczywszy na dzisiejszy język amerykański, do tego, że to była *gay academy*. Ale – jak powiadam – uniwersytet dawał mi jednak bardzo dużo, gdy patrzę z perspektywy: pewną orientację ogólną w tym, co się dzieje w zakresie badania ludzkiego społeczeństwa. Nie wiem, czy umiałbym tego dużo, gdybym studiował polonistykę. Nie jestem taki pewny…"[79].

Niebo i piekło

Będąc na trzecim roku prawa, Czesław Miłosz niespodziewanie przeniósł się do Warszawy. Powodem tej decyzji był strach (*sic*!) przed jednym z egzaminów. „Trzeci rok miał w Wilnie okropną opinię progu, którego nie można wziąć. Chodziło o jednego profesora, Gutkowski się nazywał. Skąd on był, nie mam pojęcia. W każdym razie Gutkowski wykładał skarbowość i statystykę. (…) I on właśnie tych nieszczęsnych studentów, Żydów z Lidy czy Oszmiany, dręczył straszliwie, każąc im zgłębiać tajemnice matematyki statystycznej. (…) Dostatecznie byłem sterroryzowany i przerażony, żeby to teraz mówić. Ponieważ więc w matematyce byłem okropny, z tego powodu… nie tylko z tego, były też inne powody, które zdecydowały o tym, że pomyślałem sobie: »Rok spędzę w Warszawie«"[80].

Po latach pisarz nie wspominał dobrze tego kroku. „To był jeden z najbardziej bezsensownych i głupich okresów w moim życiu. Zupełnie nie byłem przygotowany do tego, żeby poruszać się w dużym mieście. Żeby poruszać się w dużym mieście, trzeba mieć trochę, minimum, pieniędzy, a ja tych pieniędzy nie miałem. Uniwersytet Warszawski, w każdym razie oglądany ze strony prawa, przedstawił mi się jako *inferno* zupełne. Od strony polonistyki było może o wiele lepiej. Przede wszystkim – te niezliczone tłumy! Nie wiem, jak to odbiera dzisiaj student, który przychodzi na uniwersytet, jak ta tłumność na niego działa, ale na Uniwersytecie

[79] Cyt. za: A. Fiut, *op. cit.,* s. 201-212.
[80] Cyt. za: *ibidem*, s. 212-213.

Warszawskim do niczego nie można się było wtedy dopchać, do żadnego okienka”[81].

Pobyt w stolicy nie okazał się dla Miłosza szczęśliwy. „W Wilnie był Gutkowski, w pewnym sensie psychopatyczny, jeżeli chodzi o dręczenie studentów (Gutkowski został rozstrzelany przez Niemców w kilka lat później), a w Warszawie był Jarra. Jarra, nie tak dawno, umarł w Anglii otoczony chwałą uczonego. Był profesorem mianowanym dość przypadkowo; jednym z tych, którzy przez jakieś protekcje dostawali się na uniwersytet, zostawali mianowani profesorami, a w istocie reprezentowali nieuctwo kompletne. Jarra był profesorem teorii prawa i napisał podręcznik teorii prawa – ja od wieków nie miałem go w ręku, ale przypuszczam, że to jest kompilacja, jakiś zbiór, bełkot właściwie – i żądał, żeby na egzaminie tylko tymi słowami zdawać. Ponieważ chciałem coś tam rozumować, oblałem. Oblałem ten rok. (…) Ten rok nic mi nie dał poza strasznym upokorzeniem, jeżeli chodzi o uniwersytet. Nie chodziłem na wykłady polonistyki zupełnie. Natomiast zapomniałem powiedzieć, że na Uniwersytecie Wileńskim równocześnie ze studiowaniem prawa chodziłem na niektóre wykłady z polonistyki. (…) Czyli miałem to inne życie na uniwersytecie. Powiedziałbym, że Uniwersytet Wileński miał mnóstwo zakamarków, tak jak architektura tego miejsca; średniowiecznych jakichś murów, schowków, miejsc, seminariów. Natomiast Warszawa – nie”[82].



Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. Dziedziniec Sarbiewskiego

81 Cyt. za: *ibidem*, s. 213-214.
82 Cyt. za: *ibidem*, s. 214-215.

Na pytanie A. Fiuta: „Czy któryś z warszawskich profesorów prawa pozostał panu w pamięci?" – Miłosz odparł: „Nie. Żaden. Statystyka w Warszawie była dokładnym przeciwieństwem statystyki w Wilnie, bo był to egzamin, który w Ameryce nazywa się »Mickey Mouse«, to znaczy – czysta formalność. Ale cały ten rok akademicki, poza tym nieszczęsnym Jarrą, który – oby mu ziemia lekką była – był osłem zwyczajnym, był na nic"[83].

Porażka na egzaminie jeszcze po latach wywoływała rozgoryczenie u Miłosza. W rozmowie z Renatą Gorczyńską wyjaśniał: „Przeniosłem się, ponieważ trzeci rok prawa był w Wilnie obłąkanie trudny. Zupełnie niepotrzebnie. Było paru profesorów, którzy traktowali swoje przedmioty ze śmiertelną powagą. Właściwie przeniosłem się tylko z powodu profesora Gutkowskiego, który miał wykłady ze skarbowości i statystyki, i który urządzał zupełne orgie. To znaczy był u niego egzamin z matematyki, a ja byłem słaby z matematyki. Przed tym egzaminem odbywały się dantejskie sceny. Więc, żeby tego uniknąć, wyjechałem do Warszawy. I obciąłem się na wiosnę. Całe to studiowanie było bardzo problematyczne, zresztą przekonałem się do jakiego stopnia Uniwersytet Wileński był lepszy niż Warszawski. Ach, nie ma porównania, jeżeli chodzi o poziom i przyzwoite podejście do studiów. Studenci prawa w Warszawie to były tłumy wytwornych paniczów, Żydów – nie-Żydów, przeważnie z dobrych rodzin, którzy się tam pętali i niby zdawali egzaminy. Nie przynosi mi ujmy, że się obciąłem u profesora Jarry. Profesor Jarra wykładał teorię prawa i napisał podręcznik, który należało umieć na pamięć, dlatego, że jak się mówiło innymi słowami, to obcinał. Podręcznik ten, jak się patrzy z perspektywy lat, był bełkotem nieuka i głupca"[84].

Mała dygresja

Warto wspomnieć, że prawo w Warszawie studiował również Jerzy Giedroyc (1906-2000), późniejszy założyciel i wieloletni redaktor naczelny paryskiej „Kultury", która przez wiele lat wydawała emigracyjne dzieła Miłosza. W biografii Giedroycia można przeczytać: „Po maturze w 1924 roku Giedroyc studiuje prawo. Rzadko bywa na uniwersytecie; żeby się utrzymać, pracuje w biurze ogłoszeń Polskiej Agencji Telegra-

83 Cyt. za: *ibidem*, s. 216-218.
84 R. Gorczyńska, *op. cit*., s. 27.

ficznej na Krakowskim Przedmieściu. Ale uczestniczy w spotkaniach u profesora Leona Petrażyckiego, wybitnego teoretyka prawa. Nie zabiera głosu, siedzi w kącie i słucha. Uczony głosi nadrzędność prawa nad moralnością. W tych kontaktach kształtuje się legalistyczna postawa Giedroycia, poszanowanie dla państwa"[85].

Raczej wątpliwe, by obaj panowie mieli okazję zawrzeć znajomość już wtedy (Giedroyc skończył studia wcześniej), choć niewykluczone, że wątek ten poruszony został podczas licznych spotkań w Maison-Laffitte. Z Miłoszem dzielił Giedroyc niechęć do profesora Jarry, o którym wydawca „Kultury" pisał: „Jarra, człowiek zbliżony do ruchu narodowego i dosyć tępawy profesor, który wymagał wkuwania na pamięć teorii prawa. To on wyeliminował Petrażyckiego, a Petrażycki był człowiekiem bardzo popularnym wśród młodzieży. Właśnie Petrażyckiego, którego słuchałem z przyjemnością, wspominam szczególnie, chociaż jego wykłady były nieobowiązujące. Poza tym może Ruszkowski – koronna postać prawa rzymskiego – oraz ksiądz Grabowski, endecko nastawiony, który wykładał teologię". Po czym pada jakże znajoma samokrytyka: „Poza tym muszę wyznać: uczyłem się źle, do nauki się nie przykładałem, i wielkich rezultatów nie miałem; na Uniwersytecie byłem już wtedy bardzo pochłonięty działalnością społeczną, przede wszystkim w ruchu akademickim i w dziale zagranicznym Polskiego Związku Akademickiego. Tak, że praktycznie biorąc nie chodziłem na wykłady, uczyłem się, właściwie kułem przez ostatnie dwa miesiące czy miesiąc przed egzaminami"[86].

Powrót do Wilna i szczęśliwy finał

Po perypetiach związanych z pobytem w Warszawie Miłosz zdecydował się jeszcze raz spróbować szczęścia na Uniwersytecie Wileńskim. „Powtarzam trzeci rok, przygotowuję się i zdaję egzamin u Gutkowskiego. Zdaję! To był rok, kiedy mieszkałem w domu akademickim na Boufałłowej Górze. W ogóle zawsze byłem bardzo wrażliwy na rozkosze życia na bardzo niewysokim poziomie wymagań i dom akademicki był dla mnie ideałem rozkoszy życia. (…) Czwarty rok prawa w Wilnie, po

[85] M. Grochowska, *Jerzy Giedroyc*, Warszawa 2009, s. 35.

[86] J. Giedroyc, *Bardzo luźne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa*, „Archiwum Emigracji" 3 (2000), s. 227.

przekroczeniu progu trzeciego roku, był właściwie formalnością. Zresztą ja nie mogę powiedzieć, nie pamiętam, kiedy było prawo kanoniczne u Wilanowskiego: czy było na drugim roku czy na czwartym. W każdym razie czwarty rok to była kasza na mleczku, wszystko było w porządku i wiadomo było, że się dostanie dyplom"[87].

Z innych przedmiotów też poszło Miłoszowi nieźle. Pewności siebie z pewnością dodawał fakt, że był „u siebie". Zapamiętał go ówczesny wykładowca teorii prawa, Wiktor Sukiennicki (1901-1983): „Wychodząc z założenia – pisał po latach – że umiejętność operowania materiałem jest znacznie ważniejsza od »magazynowania« go w pamięci, niekiedy, zamiast zadawania pytania, pozostawiałem wybór tematu kandydatowi. Okazało się, że było to uważane za szczególnie »perfidne«, zwłaszcza przez »kujonów«, którzy zamiast skorzystać z prawa wyboru tematu, w zakłopotaniu oświadczali, że znają »cały kurs« i mogą mówić o »wszystkim«. Kandydaci bardziej inteligentni potrafili wykorzystać tę metodę na swoją doraźną korzyść. M.in. pozostało mi w pamięci, jak w pierwszym bodaj roku egzaminowania z tzw. »filozofii prawa« na III-im roku – w praktyce była to historia doktryn prawno-politycznych – Czesław Miłosz oświadczył, że chce mówić o Austinie i teoretykach anglosaskich. Nie byli oni wówczas specjalnie popularni w Polsce i w »kursach« przeważnie pomijani. Po wysłuchaniu kilkuminutowego »trzymającego się kupy« wywodu i paru związanych z nim dodatkowych pytaniach, postawiłem kandydatowi rzymską piątkę z plusem i zapamiętałem egzamin jako wyjątkowy". Egzaminowany podszedł jednak do sprawy inaczej. „Dopiero wiele lat później – zwierza się Sukiennicki – usłyszałem od Miłosza, że egzaminu u mnie w ogóle nie pamięta, angielskiego wówczas nie znał i Austinem się nie interesował"[88].

Poeta niejednokrotnie dowodził, że dyplom magistra prawa do niczego mu się w życiu nie przydał. Przede wszystkim pragnął pisać i konsekwentnie dążył do osiągnięcia tego celu. Przed wybuchem II wojny światowej zaliczano go, obok między innymi Józefa Łobodowskiego (1909-1988; swoją drogą też studenta prawa, ale KUL-u), do grona poetów katastroficznych. Na ich ówczesną artystyczną postawę mogła mieć wpływ formacja intelektualna, którą odebrali. Aleksander Rymkiewicz (1913-

87 Cyt. za: A. Fiut, *op. cit*., s. 218, 219.

88 W. Sukiennicki, *Legenda i rzeczywistość*, Paryż 1967, s. 42.

1983) jest o tym wręcz przekonany: „W pierwszym okresie »Żagarów« przeważała idea poezji społecznej, chociaż nowego już modelu, gdzie koncepcje »ekonomiczne« ujawnione w utworach, takich jak »Na cześć pieniądza« Miłosza lub »Oda na spadek funta« Zagórskiego, zastępowały dawny schemat wierszy społecznych – z barykadami, strajkami, uniesionymi transparentami, z przejawami niewolniczej pracy, z gruźlicą i prostytucją… Żeby zrozumieć nasze podejście do tych spraw, trzeba sobie uświadomić, że w większości byliśmy prawnikami, ekonomistami, uczyliśmy się prawa rzymskiego i wszelkich innych dyscyplin prawa, historii ustroju Polski oraz dawnego prawa polskiego i na kwestie społeczne mieliśmy własne, odrębne spojrzenie”[89].



Aleksander Rymkiewicz: „Żeby zrozumieć nasze podejście do tych spraw, trzeba sobie uświadomić, że w większości byliśmy prawnikami, ekonomistami, uczyliśmy się prawa rzymskiego i wszelkich innych dyscyplin prawa, historii ustroju Polski oraz dawnego prawa polskiego i na kwestie społeczne mieliśmy własne, odrębne spojrzenie”

Spojrzenie w przeszłość

Wśród spuścizny artystycznej pozostawionej przez Czesława Miłosza znalazł się niepublikowany wiersz, w którym wiekowy już poeta powrócił

89 *Dialogi o Żagarach. Wywiad z Aleksandrem Rymkiewiczem*, „Poezja” 16.5-6 (1981), s. 98.

do czasów studenckich w Wilnie. Po raz pierwszy Agnieszka Kosińska ogłosiła go na łamach „Zeszytów Literackich" w roku 2006[90]:

> W Wilnie kwitną bzy
>
> Amfiteatralne ławy w sali prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej Draugas, Leszek Raabe i Miłosz wracają o świcie z nocnej popijawy
>
> Na Uniwersytecie burdy Młodzieży Wszechpolskiej, która domaga się żeby dostarczano do sekcji również trupy żydowskie, a nie jak dotychczas tylko chrześcijańskie
>
> Policja oblega Dom akademicki na Bouffałowej górze i studenci oblewają ją z góry wodą z hydrantu
>
> Wedle prawa rzymskiego: *nasciturus pro iam nato habetur quotiens de commodis eius agitur* czyli: Ten kto ma się narodzić jest uważany za już urodzonego odkąd dba się o jego potrzeby
>
> Bzy pachną we wszystkich ogrodach miasta.
>
> Uważaj Miłosz, według Tomasza z Akwinu, w tym, co piszesz powinny być: *integritas*, *consonantia*, *claritas*.
>
> [29 listopada 2002]

Wygląda na to, że wspomnienie prawa rzymskiego towarzyszyło poecie przez całe życie. Mimo upływu lat tekst łacińskiej paremii dotyczącej prawnej ochrony interesów dziecka poczętego, *de facto* powstałej w średniowieczu, przytoczył Miłosz bezbłędnie. Niemniej, tłumaczenie pozostawia nieco do życzenia.

Pro domo mea

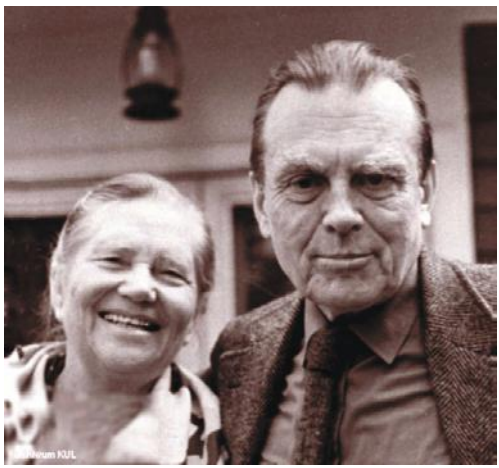
KUL, jak już wspomniano, uhonorował Miłosza doktoratem *honoris causa* w roku 1981. Postawa poety i jego środowiska wobec katolickiej uczelni była, delikatnie mówiąc, dwuznaczna. W liście do Miłosza Jerzy Giedroyc nazywał KUL pod „nadzorem" prymasa Stefana Wyszyńskiego (1901-1981) „trochę

90 Zob.: „Zeszyty Literackie" 95.3 (2006), s. 6.

ciemnogrodem, w którym tkwi kilka rodzynków”[91]. Poeta pytał zaś naczelnego „Kultury”: „Powiedz mi, co mam robić… Nie jestem za żadną religią narodową, błogosławioną przez Wyszyńskiego czy nawet papieża. Zostałem zaproszony do KUL na odebranie doktoratu honorowego, co mnie przywłaszczy i pokaże jako zwierzę oswojone przez ideologię narodową bez reszty…”[92].

Nieco cieplej wspominał poeta to wyróżnienie w „Alfabecie”, a to za sprawą koleżanki z czasów studenckich, polonistki, profesor Ireny Sławińskiej (1913-2004). „Cieszyłem się, że znalazła siedzibę i pole działania w Lublinie (…). Wydział Nauk Humanistycznych KUL-u wystąpił z inicjatywą doktoratu honorowego dla mnie i w 1980 Uniwersytet decyzję wydziału zatwierdził. Mnie się wydaje, że zadziałała tutaj głównie Sławińska, co przypisuję częściowo moim literackich zasługom, ale i niemało znanej solidarności wilnian. W każdym razie, na wielkiej uroczystości z udziałem tłumu studentów i Lecha Wałęsy, w czerwcu 1981 roku, ona mnie przyjmowała i najbardziej promieniała”[93].

Miało być *pro domo mea*, więc proszę: Irena Sławińska uczyła moją mamę.



Spotkanie po latach. Profesor Irena Sławińska i Czesław Miłosz. Lublin, 11 czerwca 1981

91 Cyt. za: M. Grochowska, *op. cit*., s. 482.
92 *Ibidem*, s. 484.
93 Cz. Miłosz, *Inne abecadło*, Kraków 1998, s. 149.

6. JAN BRZECHWA – BAJKOPISARZ PO WYDZIALE PRAWA

„Pochodziłem z rodziny mogącej poszczycić się dwoma wybitnymi poetami. Uważano, że na trzeciego nie ma już miejsca. Toteż moje próby literackie traktowano z pobłażliwą niechęcią, zwłaszcza, że sytuacja materialna obu rodzinnych poetów była godna pożałowania. Ulegając namowom, porzuciłem polonistykę i wstąpiłem na prawo. Służba wojskowa, studia uniwersyteckie, kilkuletnia aplikacja – pochłaniały czas i lata młodości" – pisał Jan Brzechwa (1900-1966) w jednym ze wspomnieniowych szkiców[94]. Autora tych słów, swego czasu wziętego warszawskiego mecenasa, znają wszyscy. Paradoksalnie jednak nie jako skutecznego sądowego obrońcę i wybitnego specjalistę z zakresu prawa autorskiego, ale… bajkopisarza.



Jan Brzechwa w czasach studenckich

[94] J. Brzechwa, *Okruchy wspomnień*, [w:] *Wspomnienia o Julianie Tuwimie*, red. W. Jedlicka, M. Toporowski, Warszawa 1963, s. 119.

Studia: tak. Wykłady: nie

Autor mnóstwa poczytnych wierszy dla dzieci urodził się jako Jan Lesman. Jego uzdolnionymi literacko kuzynami byli wybitni polscy poeci – Antoni Lange (1863-1927) i Bolesław Leśmian (1877-1937). Leśmian, sam z wykształcenia prawnik, nie był zachwycony literackimi ambicjami krewniaka. W przekonaniu tym utwierdził się, kiedy otrzymał od niego maszynopis pierwszego tomiku wierszy. Poradził mu wtedy: „Drogi Janku, weź się lepiej porządnie do studiów. Skończysz je, zostaniesz sędzią albo adwokatem, a pisanie wierszy wybij sobie z głowy”[95]. Później zmienił jednak zdanie i nawet wymyślił Janowi literacki pseudonim – Brzechwa[96].

Po zakończeniu służby wojskowej (36. Pułk Piechoty Legii Akademickiej; odznaczony za udział w wojnie polsko-bolszewickiej), w roku akademickim 1921/1922 Jan Brzechwa zapisał się na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Ciekawe wspomnienia z tego okresu zachował jego przyjaciel, również prawnik i literat, Władysław Rymkiewicz (1900-1984): „Łączyły mnie z Janem wspólne zainteresowania literackie i lęk przed egzaminami z prawa rzymskiego u wybitnego wykładowcy tej dyscypliny studiów prawniczych, profesora Ignacego Koschembahra-Łyskowskiego, o którym studencka fama głosiła anegdoty »mrożące krew w żyłach«. Między innymi słynna była odpowiedź profesora, jakiej udzielił studentowi nieprzygotowanemu do egzaminu. Profesor zadał pytanie: co to jest *stipulatio* (starodawna forma prawna kupna-sprzedaży). Egzaminowany nie wiedział. Profesor zadał drugie pytanie: co to jest *nexum* (starodawna forma pożyczki). Egzaminowany milczał. Profesor oświadczył: »Jest pan nieprzygotowany do egzaminu« i podziękował studentowi. Wówczas ten pozwolił sobie na uwagę, że do dyskwalifikacji konieczne są według regulaminu egzaminacyjnego trzy niedostateczne odpowiedzi. »Ma pan rację« – zgodził się profesor i zadał trzecie pytanie: »Proszę mi powiedzieć, jaka jest różnica między *stipulatio* a *nexum*«”[97]. Ponieważ czytają nas również studenci pierwszego roku, którzy mają przed sobą egzamin

---

95 S.R. Dobrowolski, *Brzechwa*, [w:] *Akademia Pana Brzechwy*, red. A. Marianowicz, Warszawa 1984 [dalej: *Akademia*], s. 38.

96 W niniejszym eseju konsekwentnie będę się posługiwał jego pseudonimem literackim.

97 W. Rymkiewicz, *Wierny przyjaciel*, [w:] *Akademia*, s. 27.

z prawa rzymskiego, godzi się poczynić w tym miejscu uwagę drobną, aczkolwiek już niedługo mogącą mieć dla nich fundamentalne znaczenie. Otóż, bardzo proszę nie wbijać sobie do głowy koncepcji prawnej stypulacji lansowanej przez pana Rymkiewicza. Jest błędna.

Dwa i pół tysiąca lat za późno

Na pytanie Krystyny Nastulanki, czy autor „Akademii Pana Kleksa" poszedł na prawo, żeby zdobyć „wolny zawód", Brzechwa odpowiedział: „Między innymi. Ale przede wszystkim dlatego, że będąc studentem prawa, nie musiałem chodzić na wykłady. A pracowałem wówczas u adwokata za obiady, nie przestając oczywiście »bałamucić się poezją«"[98].

To nie do końca prawda. Władysław Rymkiewicz doskonale zapamiętał, że „można było nie chodzić na wykłady z ekonomii politycznej i na wykłady z ogólnej teorii prawa, i ze skarbowości, ale biada temu, kto nie uczęszczał na wykłady z prawa rzymskiego. Profesor Koschembahr-Łyskowski miał fenomenalną pamięć wzrokową i znał z widzenia wszystkich słuchaczy. Kto nie został zauważony na wykładach i zapamiętany przez profesora, musiał liczyć się z tym, że czeka go ciężka przeprawa na egzaminie i jeśli chciał wyjść obronną ręką, musiał wyuczyć się na pamięć formuł i definicji ze skryptów"[99].

Brzechwa wiedział o tym, dlatego postanowił, że w przypadku niepowodzenia przy pierwszym podejściu nie będzie podejmował dalszych prób, ale przeniesie się na Wydział Humanistyczny. Rymkiewicz widział tę sprawę następująco: „jego niechęć do profesora tłumaczyłem sobie nie tyle lękiem »egzaminacyjnym«, ile antypatią wynikającą z diametralnie różnych charakterów, postaw i filozofii życiowej wykładowcy i słuchacza. Profesor był pryncypialny, systematyczny i drobiazgowy. W końcu trudno wymagać od naukowca, który młodość i resztę życia spędza na studiowaniu zwojów starożytnych papirusów, Dwunastu Tablic i Kodeksu Justyniana oraz na pisaniu traktatów naukowych w rodzaju *Conventiones contra bonos mores*, żeby był ujmujący, towarzyski, nieco lekkomyślny, jednym słowem, żeby posiadał te wszystkie czarujące cechy, którymi Janek podbijał znajomych i przyjaciół"[100].

---

98 *Ibidem*, s. 28.
99 *Ibidem*.
100 *Ibidem*.

„Jan Brzechwa był zdania, że profesor Koschembahr-Łyskowski urodził się o dwa i pół tysiąca lat za późno, i wyobrażał go sobie jako pretora w białej todze plisowanej u dołu szkarłatnym pasem (*toga praetexta*), zasiadającego na krześle kurulnym (*sella curulis*), zdobionym kością słoniową. Różnice obu utalentowanych osobowości można było ująć w schemat: »woda i ogień«. (…) Starałem się przekonać poetę, że profesor uosabia pracowitość, przezorność i precyzję naukową, czyli starożytne cnoty, które warto pielęgnować. Poeta wyśmiewał się ze mnie i z profesora, twierdząc, że są to cnoty starych nudziarzy. Udało mi się jednak namówić go, żeby zaczął chodzić systematycznie na wykłady groźnego starca" – powiada jeszcze przyjaciel Brzechwy z lat studenckich[101].

Różnica temperamentów (choć ich zestawienie na płaszczyźnie: profesor – student pierwszego roku prawa, wydaje się cokolwiek nietrafione) mogła odegrać pewną rolę w awersji, którą Brzechwa żywił do Koschembahra-Łyskowskiego. W większym jednak stopniu źródłem irytacji początkującego literata była wymuszona okolicznościami konieczność cotygodniowej obecności na wykładzie z prawa rzymskiego. Brzechwa chciał najwyraźniej „zjeść ciastko i mieć ciastko". Wyrażał więc umiarkowaną chęć zgłębiania nauk prawnych, ale już obowiązek udziału w zajęciach budził jego głębokie oburzenie.

Co ciekawe, młodemu leniuchowi udało się znaleźć rozwiązanie tego problemu. Otóż ówczesne roczniki studentów prawa były bardzo liczne. Brzechwa więc z dystansem odniósł się do legend o fotograficznej pamięci profesora i wdrożył własną taktykę uczęszczania na wykłady. Otóż pojawiał się na nich jedynie okazjonalnie, ale… zawsze się spóźniał. Zabieg ten sprawił, że profesor szybko zapamiętał wysokiego i postawnego młodego człowieka. Przygoda poety z prawem rzymskim zakończyła się pomyślnie. Bez większych problemów zdał egzamin.

Wirtuoz prawa autorskiego

W środowisku prawniczym Jan Brzechwa dał sie poznać przede wszystkim jako znakomity znawca prawa autorskiego. Przez wiele lat był również wziętym warszawskim adwokatem. Zasłynął, wygrywając proces, w którym pozwany, Tadeusz Pini (1872-1937), miał odpowiadać za

101 *Ibidem*.

wydanie dzieł wszystkich Norwida z naruszeniem praw autorskich przysługujących wówczas Zenonowi Przesmyckiemu (pseudonim Miriam; 1861-1944). Pozwany bronił się, zarzucając Przesmyckiemu kunktatorstwo oraz świadome odcinanie społeczeństwu dostępu do spuścizny wielkiego romantycznego poety. Pini, jak go określa Juliusz Wiktor Gomulicki (1909-2006), stał się wówczas „zawodowym edytorem-kompilatorem, szybko, ale niedbale, przygotowującym do druku popularnie opracowane »pisma zbiorowe« tych wielkich poetów polskich, których prawa autorskie albo już dawno wygasły (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński), albo miały wygasnąć w najbliższych latach". Z Norwidem nieco się jednak pospieszył, wskutek czego doszło do procesu. Reprezentujący powoda Brzechwa „(…) okazał się znakomicie przygotowany i miał, rzec można, dobry dzień. Doskonale rozprawił się z rzekomo złą wolą swego klienta i wspaniale uzasadnił jego troskę o przygotowanie do druku Cypriana Norwida. Zręcznie również dobrał się do rzeczywistych motywów edytorskiej działalności Piniego"[102].



Uroczystość otwarcia kabaretu „Nowy Momus" w salach „Oazy" w Warszawie. Rok 1933. Przy stoliku siedzą od prawej: dyrektor Zygmunt Woyciechowski, kierownik literacki Jan Brzechwa, aktor Eugeniusz Bodo, aktorka Vera Bobrowska, komik Władysław Walter, aktorka Loda Niemirzanka, aktorka Irena Grywińska, aktorka Jadwiga Andrzejewska. Po prawej stronie stoją: dyrektor orkiestry Henryk Gold, dyrygent Zygmunt Białostocki oraz aktor Wacław Ścibor-Rylski.

O swojej zawodowej specjalizacji wspominał również sam poeta: „ZAIKS powstał w roku 1918 jako związek autorów kabaretowych, byłem

[102] J. Kuropieska, ***, [w:] *Akademia*, s. 54. Zob. również: W. Gomulicki, *Sędzia Stanisław Rybiński – nieznany bohater norwidowskiego procesu Zenona Przesmyckiego z Tadeuszem Pinim. 1934-1938*, „Palestra" nr 3-4 (2002), s. 138-158.

jednym z jego założycieli. A prawem autorskim zainteresowałem się także bardzo wcześnie, przełomowym momentem był pierwszy proces o prawo autorskie w dziedzinie filmu dźwiękowego. Proces wygrałem i był to pierwszy wyrok w tego rodzaju sprawie na terenie Europy. Po wydrukowaniu relacji o tym procesie stałem się korespondentem zagranicznych czasopism prawniczych, następnie wybrano mnie do Międzynarodowej Komisji Prawa Autorskiego. Bardzo wiele publikowałem na ten temat"[103].

Prawem autorskim zajmował się Brzechwa również po wojnie. Udzielał się między innymi jako działacz, a później prezes ZAIKS-u. Jego sława wykraczała poza granice kraju. Aktor i reżyser, Henryk Szletyński (1903-1996), który w roku 1964 udał się do Meksyku na kongres Międzynarodowej Federacji Aktorów, poświęcony między innymi ochronie dóbr osobistych i własności intelektualnej aktorów na świecie, spotkał tam jednego ze specjalistów z zakresu ochrony własności intelektualnej. „Przy prezentacji prawnik ów spostrzegł na blaszce mojej marynarki, że jestem z Polski. Natychmiast zapytał o Jana Brzechwę. Z ożywieniem opowiadał, jak wysoko ceni jego sądy i jego osobę. Mówił, że to jeden z najznakomitszych znawców prawa autorskiego spośród tych, z którymi się spotykał w swojej rozległej praktyce. A przy tym *un homme d'un jugement juste et d'un charme exceptionnel*"[104].

Do końca życia adwokatem jednak Brzechwa nie był. „W trzecim roku naszego urzędowania w »Czytelniku« – wspomina Władysław Rymkiewicz – Jan zapytał, czy jest sens, żebyśmy tracili czas na pracę, która nie daje nam satysfakcji. Zgodziłem się z nim, że powinniśmy wykreślić się z listy adwokatów w Radzie Adwokackiej i zająć się pracą, która nas pasjonuje jako pisarzy. (…) Miałem zastrzeżenia, mówiąc delikatnie, co do sposobu, w jaki niektórzy adwokaci uprawiają swój szlachetny z natury zawód obrońcy. W rezultacie złożyliśmy w Radzie Adwokackiej odpowiednie podania"[105].

A jak to się wszystko zaczęło?

Każdy, kto został wychowany na „Kaczce dziwaczce", z pewnością zapyta, co skłoniło nieźle zarabiającego prawnika z ambicjami poetyckimi

---

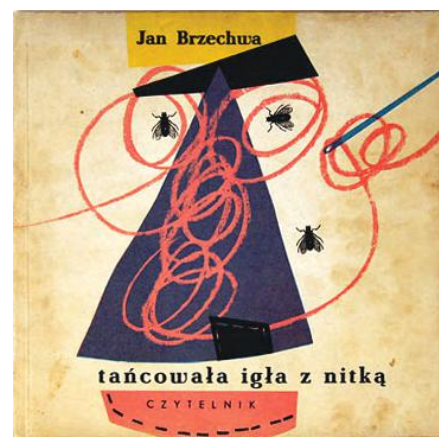
103 K. Nastulanka, *Bajkopisarz mimo woli. Rozmowa z Janem Brzechwą*, [w:] *Akademia*, s. 120.

104 H. Szletyński, *Garść wspomnień*, [w:] *Akademia*, s. 35.

105 W. Rymkiewicz, *op. cit*., s. 32.

do poświęcenia tylu fenomenalnych utworów dzieciom. Zjawisko to budzi zdziwienie tym bardziej, że Brzechwa w bezpośrednim kontakcie miał wyraźny problem w nawiązywaniu kontaktów z uwielbiającą go dziatwą. Dlaczego więc zaczął dla niej pisać? Wersji jest kilka. Mnie najbardziej podoba się następująca: „Przebywając w jakimś pensjonacie w Otwocku, nasz Przyjaciel poznał tam – najprawdopodobniej niepozbawioną wdzięku i urody – pensjonariuszkę, z zawodu, jakbyśmy to dziś określili, przedszkolankę. I dla niej to jął, traktując rzecz jako żart, pisać »wiersze dla dzieci«. Z czasem uzbierało się ich sporo. W ten sposób narodziła się jakoby książeczka »Tańcowała igła z nitką«, która dała początek karierze Jana Brzechwy jako pisarza dla dzieci”[106]. Wersja powyższa jawi się jako nader prawdopodobna, gdyż miłosne podboje Brzechwy z czasem stały się wręcz legendarne. „Uwielbiam – wspominał Antoni Marianowicz (1924-2003) – także jego opowieść o przygodzie z sądową stenotypistką, rekrutującą się z ówczesnych mniejszości narodowych. Osoba ta zdawała sobie widać sprawę z zaszczytnego wyróżnienia, bo w intymnej sytuacji szeptała ekstatycznie: »Oj, panie mecenasie… Uj, panie mecenasie!«”[107].

No właśnie. Tak to się zaczęło, drogie dzieci.



„Tańcowała igła z nitką”. Zbiór wierszy Jana Brzechwy wydany przez wydawnictwo „Czytelnik” w roku 1964

106 S.R. Dobrowolski, *op. cit*., s. 41.

107 A. Marianowicz, *Poeta piszący w niebie wiersze*, [w:] *Akademia*, s. 70.



Jan Brzechwa. Zawsze miłośnik pięknych kobiet

7. STEFAN NAPIERSKI – KOMU CIĄŻĄ PANDEKTA?

Stefan Napierski (1899-1940) to dziś poeta odrobinę zapomniany. Zapewne z tego powodu, że jego twórczość można scharakteryzować jako, powiedzmy, dosyć nierówną. Współczesne mu środowisko literackie pobłażliwie odnosiło się do utworów wydawanych własnym sumptem, na co Napierski (właśc. Marek Eiger) mógł sobie jednak pozwolić. Pochodzący z zamożnej żydowskiej rodziny światowiec wciąż żył ambicją wybicia się na polu literatury. W latach 1938-1939 wydawał nawet własny dwumiesięcznik ukazujący się pod nazwą *Athenaeum*. Lepiej sprawdzał się jednak jako tłumacz. Z powodzeniem przekładał między innymi wiersze Walta Whitmana (1819-1892), Lautréamonta (1846-1870) oraz Maxa Jacoba (1876-1944). Znakomicie wykształcony i niezależny finansowo, ale o mało atrakcyjnej powierzchowności, nie cieszył się sympatią w środowisku warszawskich literatów. „Mały, rudy człowiek o nieprawidłowym owa-

lu twarzy budził u wszystkich moich przyjaciół liczne zastrzeżenia" pisał Jarosław Iwaszkiewicz (1894-1980)[108]. Przyjaciele owi uważali Napierskiego za snoba, choć on sam wolałby raczej uchodzić za ostatniego dekadenta Młodej Polski. Na poczucie wyobcowania z pewnością wpływała również orientacja seksualna poety. Cóż jednak, można zapytać, ma to wszystko wspólnego z prawem rzymskim? Och, jak zwykle – wszystko i nic.



Stefan Napierski (Emma Kwiatkowska)

Święty Justynian

Okruchy prawniczych mądrości starożytnych Rzymian lub dalekie do nich nawiązania można znaleźć praktycznie wszędzie. Nie inaczej jest z twórczością Stefana Napierskiego. Ze zbiorku zatytułowanego „Ziemia, siostra daleka", wydanego w roku 1936, pochodzi utwór zatytułowany „Młody Heine".

U pani rektorowej przed bramą Albani,
gdy bardzo boli głowa i brak jest pieniędzy,

[108] J. Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1994, s. 192.

pośród krzaków różanych, budzon przez słowiki,
nie przez stuk pucybuta, przechadzasz się, smętny.
Ach, święty Justynianie! Jak ciążą pandekta,
gorączka tłucze w skroniach, trzeba znów pożyczać,
czekając nie przelotu Muzy, lecz jak puka
królewsko-hanowerski listonosz do okna.
Tu by spocząć w altanie, śmiać się do rozpuku,
do łez, które mglą oczy, jak tuman nad Brocken,
z ekscelencji Goethego, który przyjąć raczył
w uroczystym szlafroku, wielki egoista!
Z tych wszystkich miłych bliźnich, głupców nad głupcami,
i z przyjaciół zawistnych, i z własnej rozpaczy,
nad tym światem wiosennym śmiać się aż do szlochu:
sfuszerowanym wicem czelnego aktora!
Nie, lepiej wargi zagryźć, marę wyobraźni,
która w usta całuje, śmiertelnie wyziębłe,
za rude kudły chwycić, szarpać ladacznicę,
cudzołożyć, jak z dziewką, która gacie pierze!
A może się zapomni o własnej małości,
o samotności, która rośnie jasnym rankiem,
i o gwieździe straszliwej każdego wieczora,
co wzywa do powrotu na ziemię zbyt piękną.
Móc wtedy oczy przymknąć, obolałą głowę
w obie dłonie ująwszy, szeptać coś bezgłośnie,
chłodne palce wyciągnąć i na strunach nocy,
wdychając gorycz pustki, przedrzeźniać milczenie[109].

Napierski prawa nie studiował i pojęcie o nim miał raczej mgliste. Kojarzył jednak rolę prawa rzymskiego w systemie edukacji prawniczej, więc nie omieszkał włączyć tego elementu do swojego utworu. Jako erudycyjny fajerwerk należy potraktować inwokację do „świętego Justyniana". W istocie, bizantyjski cesarz, inicjator wielkiej kodyfikacji prawa, kreował się na „świętego męża". O ile okres rządów Dioklecjana (ok. 244-313) zapoczątkowuje w historii cesarstwa rzymskiego epokę biurokratyzacji i hierarchizacji dworu, o tyle czasy justyniańskie przynoszą jego „litur-

[109] Cyt. za: S. Napierski, *Wybór wierszy*, Warszawa 1962, s. 87.

gizację". Na szczycie państwa, rozumianej jako wspólnota ludu Bożego, miał stać święty mąż – cesarz. Święty Justynian. W świętość władcy wierzyli jego poddani. Bizantyjski historyk Niketas Choniates (zm. ok. 1215), opisując przerażające skutki splądrowania Konstantynopola przez Krzyżowców w roku 1204, odnotował, że podczas grabienia cesarskich miejsc pochówku, łupieżcy otworzyli również grób Justyniana. Mieli w nim znaleźć ciało zupełnie pozbawione cech rozkładu.

Pobłażliwy uśmiech czytelnika zapewne budzi wzmianka o wyczekiwaniu pod bramą pani rektorowej. Ano, takie to były czasy. W dobrym tonie należały nie tylko wizyty u rektorowych, ale i profesorowych, w tym naturalnie profesorowych prawa rzymskiego. Niegdyś wolny czas młodych studentów prawa mocno ograniczały takie właśnie powinności natury „światowej". Adolf Nowaczyński (1876-1944) w cyklu opowiadań zebranych w zbiorze „Małpie zwierciadło" z nostalgią wspomina, „kiedy się młodym prawniczkiem biegało po *jour fixach* parafialnych od doktorowej do adwokatowej, od radczyni do profesorowej prawa rzymskiego, stąd na posiedzenia komitetów balowych, nie zdejmowało smokinga i lakierów, bawiło ośmnastolatki opowiadaniem o tinglach, kontrolowało, czy damy »ze świata« na dobroczynnych wentach nie eskamotują banknotów z kasetek"[110].

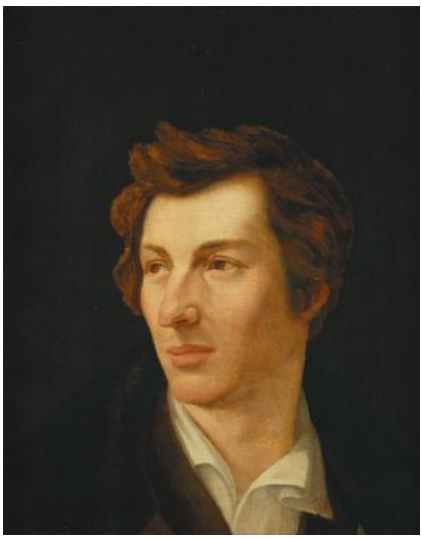
Młody Heine

Heinrich Heine (1797-1856), czołowy przedstawiciel niemieckiego romantyzmu, w przeciwieństwie do Napierskiego prawo studiował. Drogę tę wybrał dla niego ojciec, Samson Heine (1764-1828), kupiec tekstylny. Chcąc nie chcąc, w roku 1819 młody człowiek przybył więc do Bonn, by rozpocząć naukę. W tajniki prawa rzymskiego wprowadzał go tam Karl Teodor Welcker (1790-1869), bardziej chyba znany ze swych liberalnych poglądów i działalności politycznej niż z naukowych dokonań.

Po roku Heine opuścił jednak Bonn, by kontynuować studia w Getyndze. W mieście tym, znajdującym się pod panowaniem hanowerskim, młody człowiek czuł się fatalnie. Doznał tam wielu objawów arogancji i lekceważenia. Przede wszystkim po raz pierwszy zetknął się z arystokratycznym snobizmem i pogardą okazywaną ludziom z tytułu przyna-

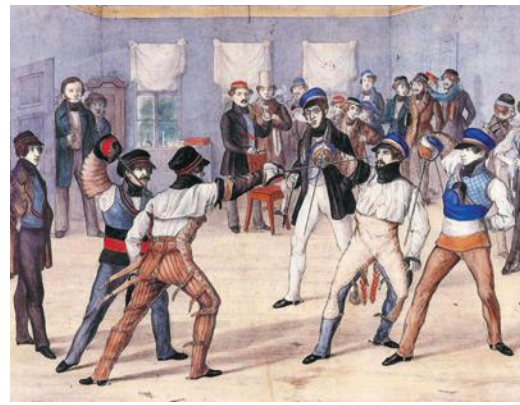
110 A. Nowaczyński, *Małpie zwierciadło 1897-1904*, Kraków 1974, s. 126.

leżności do niższej klasy społecznej. Doszło nawet do tego, że chciał się pojedynkować w obronie dobrego imienia. W tych warunkach studia nad prawem rzymskim uważał za dopust boży i torturę. W jego oczach niemiecka szkoła historyczna, popularyzując prawo rzymskie, legitymizowała tym samym niesprawiedliwy ustrój społeczny oraz wzmacniała reakcyjne formy rządów, których młody poeta – pomny własnych doświadczeń – stał się zagorzałym przeciwnikiem. Do historii przeszło porównanie Getyngi do Bolonii, miasta, za sprawą którego odżyły badania nad prawem rzymskim w średniowiecznej Europie: „w Bolonii są najwięksi prawnicy i najmniejsze psy, w Getyndze na odwrót". Odnosząc się do prawa rzymskiego, szydził zaś: „Justynian, Trybonian, Głuponian".



Heinrich Heine (Gottlieb Gassen)

Jak wielu innych studentów prawa zdradzających zainteresowania literackie, młody Heine najwięcej uwagi poświęcał zajęciom z historii i literatury, na które uczęszczał dobrowolnie. Wobec prawa żywił, jak wspomniano, uczucia więcej niż niechętne. Miewał koszmary związane z tą dyscypliną nauki. Zachował się list, w którym poeta przyznaje, że śniła mu się opera, której narracja zbudowana została na… rzymskim prawie spadkowym.



Menzura. Studencki pojedynek. Getynga ok. roku 1838

Wychuchany trubadur pandektów

Zmiana miejsca zamieszkania była kwestią czasu. Wybór padł na Berlin, do którego nieszczęsny student prawa przybył w roku 1821. Do pogodzenia z prawem rzymskim jednak nie doszło. Heinemu, frankofilowi i zaprzysięgłemu liberałowi, o wiele bliższy od wykładni prawa rzymskiego stosowanej przez niemiecką szkołę historyczną, był… Kodeks Napoleona. To jeden z powodów, dla których w stolicy z taką niechęcią reagował na osobę założyciela szkoły historycznej, Fryderyka von Savigny'ego (1779-1861), którego w roku 1821 miał okazję poznać jako profesora i kierownika katedry prawa rzymskiego na miejscowym uniwersytecie.

W pierwszej połowie XIX wieku von Savigny był w Berlinie postacią niezwykle wpływową. Cieszył się sławą jako autor przełomowego traktatu „O powołaniu naszych czasów do ustawodawstwa i nauki prawa" (*Vom Beruf unserer Zeit für Gesetzgebung und Rechtswissenschaft*) wydanego w roku 1814. Zaprotestował w nim gwałtownie przeciw wszelkim próbom wprowadzenia w Niemczech jednolitego kodeksu cywilnego. Dzieło przysporzyło mu w równej mierze zwolenników, jak i przeciwników. Do końca życia wytrwał przy swych poglądach, stając się ikoną niemieckiej szkoły historycznej. Fakt, że kodeks cywilny dla Niemiec uchwalono dopiero w roku 1896 (wszedł w życie 1 stycznia roku 1900), jest w dużej mierze jego zasługą. Savigny tymczasem zażywał owoców sławy i zwycięstwa, których mu nie skąpiono.



Friedrich von Savigny (rycina z epoki)

Na młodym studencie prawa splendor, jaki otaczał legendarnego profesora, nie robił większego wrażenia. W liście z 22 stycznia 1822 roku oświadcza, że „dziś zamierza pisać o balowych sukniach i kościołach, jutro o Savigny'm i bufonach, którzy paradują przez miasto w dziwnych procesjach, pojutrze o galerii Giustiniani, na następnie znowu o Savigny'm i bufonach". Niekiedy nadawca pozwala sobie na wiele. W liście datowanym na 16 marca 1822 stwierdza: „kiedy mówię o wspaniałym północnoniemieckim juryście, który pozwala swym włosom opadać po ramionach tak nisko, jak to tylko możliwe, który zerka w kierunku nieba swymi pobożnymi, miłującymi oczyma, który chciałby wyglądać jak wyobrażenie Chrystusa, który przypadkowo nosi francuskie imię, ma pochodzenie francuskie, a mimo to zachowuje się w tak gwałtownie niemiecki sposób, wtedy ludzie wiedzą, kogo mam na myśli". W piątym rozdziale *Die Bäder von Luccca* (1828) poeta z satysfakcją zauważa, że w Bolonii znają Gustawa Hugo (1764-1844) i Antona Thibaut (1772-1840), zwanych tam Ugone (bądź Ugolino) i Tibaldo. Dużo mniej za to wiedzą o Savigny'm oraz Edwardzie Gansie (1797-1839). Konkludując, wszystkich uznaje jednak za postacie karykaturalne, a ich naukowe wysiłki za groteskowego

kadryla. Z całej czwórki Savigny, co nie stanowi niespodzianki, wypada najgorzej. Włoscy rozmówcy Heinego próbują go bowiem przekonać, że w istocie jest to… kobieta[111].

Niewykluczone, że to przykry zbieg okoliczności sprawił, iż wzmianki na temat wielkiego romanisty, pochodzące z roku 1822, są tak cierpkie. Wiadomo, że von Savigny zapadł wówczas na chorobę nerwową, z której starał się wyleczyć podejmując dłuższą podróż. Obraz, który Heine zobaczył w chwilach największej „niedyspozycji" swojego profesora, mógł mu towarzyszyć przez całe dalsze życie.

I towarzyszył. Wątek kulturowej odrębności Niemców obecny jest chociażby w utworze *Zur Beruhigung* z roku 1844, gdzie poeta przeciwstawia Rzymian – naród zdradzieckich i krwiożerczych Brutusów – wiernym, rozsmakowanym w lokalnych specjałach, dobrodusznym i rubasznym Niemcom. W podsumowaniu możemy przeczytać:

> Gdy ojca widzimy podczas spaceru,
> To zdejmujemy kornie kapelusz.
> Niemcy z moresem w pobożnym sercu,
> To żadna rzymska banda morderców[112].
> (przeł. M. Jońca)

Upływ czasu nie był w stanie złagodzić sądów wygłoszonych w młodości. W datowanym na rok 1855 wierszu *Die Menge tut es* Heine kpiąco wspomina uniwersytet z profesorami o „mniej lub bardziej długich uszach". Zapytuje, jak się wiedzie „wychuchanemu, eleganckiemu trubadurowi Pandektów Savigny'emu". Gdyby jednak już nie żył, zwierza się poeta czytelnikowi, on sam nie będzie tego specjalnie przeżywał. Tajemnica tego niepoetyckiego zgoła dystansu wyjaśnia się szybko, kiedy Heine nazywa swojego byłego wykładowcę… psem, który chętnie uczyniłby z niemieckiego pięknoducha rzymskiego rycerza[113]. Savigny wówczas jeszcze żył.

---

111 Wszystkie cytaty za: *Rechtswissenschaft und Juristen im Werk Heinrich Heine*, red. T. Vormbaum, Berlin 2006, s. 38-39, 66-67.

112 Za oryginałem w: H. Heine, *Buch der Lieder. Neue Lieder. Tragödien*, Philadelphia 1860, s. 190.

113 Zob. H. Heine, *Sämmtliche Werke*, t. I, Hamburg 1869, s. 153.

Biblia Szatana

W roku 1824 Heine znalazł się jednak ponownie w Getyndze. Tu niechęć wobec prawa rzymskiego próbował przełamać w nim między innymi Karl Friedrich Eichhorn (1781-1854), jeden z filarów niemieckiej szkoły historycznej, niezwykle popularny wśród studenckiej braci. Jego wykłady do tego stopnia cieszyły się powodzeniem, że wskutek braku miejsca, mogącego pomieścić wszystkich słuchaczy, Eichorn zdecydował się wynajmować dużą salę w jednej z gospód. Rychło do nietypowego miejsca uprawiania nauki przylgnęła nazwa „pandektystyczna stodoła". Eichhorn okazał Heinemu wiele życzliwości i ciepła. Przyjmował go w gronie rodzinnym oraz poznawał z co bardziej interesującymi studentami starszych lat. Paradoksalnie to właśnie w mieście, którego tak nie znosił, w roku 1825 uzyskał Heine tytuł doktora praw.

Awersji do prawa rzymskiego nie udało się jednak zwalczyć nigdy. Przeciwnie, jego sądy na temat intelektualnego dorobku antycznych jurystów, formułowane były niezwykle surowo. Po latach, zestawiając *ius Romanum* z prawem żydowskim, pisał tak: „Judea zawsze wydawała mi się fragmentem Zachodu, który zgubił się w środku Orientu. W rzeczy samej, ze swą spirytualistyczną wiarą, swymi surowymi, cnotliwymi czy wręcz ascetycznymi zwyczajami, krótko mówiąc ze swą abstrakcyjną duchowością kraj ten wraz ze swym ludem stanowił wielce osobliwe przeciwieństwo sąsiednich krajów i narodów, które hołdując przesyconym bujnymi kolorami i namiętnościami kultom przyrody, trwoniły swój żywot w bachicznym rozpasaniu zmysłów. Izrael zaś siedział pobożnie pod swym figowcem i śpiewał na chwałę swego niewidzialnego Boga, ćwicząc się w cnocie i sprawiedliwości, podczas gdy w świątyniach Niniwy, Babilonu, Sydonu i Tyru odbywały się krwawe orgie, których opisy dziś jeszcze jeżą nam włos na głowie! Gdy pomyśleć o tym, nie sposób nadziwić się wielkości dawnego Izraela. O jego umiłowaniu wolności – w tym samym czasie nie tylko w jego sąsiedztwie, lecz u wszystkich narodów starożytnych, nawet u filozofujących Greków, za usprawiedliwione uznawano niewolnictwo, które też znajdowało się w pełnym rozkwicie – nie chcę tu mówić, by nie ściągnąć na Biblię podejrzeń współczesnych nam władców. Nie ma chyba socjalisty, który żywiłby zamiary bardziej terrorystyczne niż Pan nasz i Zbawiciel, a socjalistą takim był już Mojżesz, chociaż jako człowiek praktyczny, próbował jedynie przekształcić

nieco istniejące zwyczaje, zwłaszcza te dotyczące własności. Zamiast tedy brać się za bary z niemożliwością, zamiast szaleńczo dekretować zniesienie własności, Mojżesz dążył jedynie do umoralnienia tejże, próbował pogodzić własność z moralnością, prawdziwym prawem rozumu, i uczynił to przez wprowadzenie roku jubileuszowego, kiedy to wszystkie dziedziczne dobra, które przeszły w obce ręce, a wśród ludu uprawiającego rolę była to zawsze własność ziemska, powracały do pierwotnego właściciela, bez względu na to, w jaki sposób zostały zbyte. Ta instytucja stanowi jaskrawe przeciwieństwo do zasady »przedawnienia« u Rzymian, zgodnie z którą po upływie pewnego czasu legalny właściciel dóbr nie mógł zmusić faktycznego ich posiadacza do ich zwrotu, jeśli nie zdołał dowieść, że już wcześniej domagał się w stosownym trybie takiej restytucji. Ten ostatni warunek pozostawiał szerokie pole do rozmaitego rodzaju szykan, zwłaszcza w państwie, w którym kwitły despotyzm i jurysprudencja, oferując nieprawemu posiadaczowi wszelkie środki zastraszenia, zwłaszcza w stosunku do biedaka, nie posiadającego środków do prowadzenia procesu. Rzymianin był równocześnie żołnierzem i adwokatem, a cudzej własności, którą zdobył mieczem, potrafił później bronić giętkim językiem. Tylko naród rabusiów i kazuistów mógł wynaleźć proskrypcję i przedawnienie, a następnie konsekrować je w owej odrażającej księdze, godnej tego, by nazywać ją Biblią Szatana – kodeksie rzymskiego prawa cywilnego, który do dziś dnia niestety zachował swą władzę" (przeł. T. Zatorski).

W innym miejscu Heine stwierdził: „z siedmiu lat spędzonych na niemieckich uniwersytetach, trzy piękne, kwitnące lata roztrwoniłem na studiowanie rzymskiej kazuistyki, jurysprudencji – tej najnieliberalniejszej z nauk. Jakąż okropną księgą jest *Corpus Iuris Civilis*, ta biblia egoizmu! Podobnie jak sami Rzymianie, ich kodeks prawa był mi zawsze nienawistny. Ci rabusie, chcieli zabezpieczyć zrabowany łup, a co złupili mieczem, starali się chronić ustawami. Dlatego Rzymianin w tym samym czasie był żołnierzem i adwokatem, co tworzyło mieszankę obrzydliwego rodzaju. Zaprawdę tym rzymskim złodziejom zawdzięczamy teorię własności, która wcześniej była raczej stanem faktycznym, a rozwinięciem tej nauki prowadzące do jej najbardziej szkodliwych skutków, jest wychwalane prawo rzymskie, podstawa wszystkich nowoczesnych ustawodawstw, ba! – wszystkich współczesnych instytucji państwa, mimo że stoi ono

w najjaskrawszej sprzeczności z religią, moralnością, poczuciem człowieczeństwa i sumieniem"[114].

Epilog

Szczerze powiedziawszy, autora wiersza poświęconego rozterkom młodego Heinego rozterki młodego Heinego niewiele interesowały, choć dochował badawczej rzetelności i zobrazował je w miarę sugestywnie. Stefan Napierski został rozstrzelany podczas masowej egzekucji w podwarszawskich Palmirach wiosną 1940 roku. Po wojnie spekulowano, czy śmierci nie ściągnął na niego polski przekład kultowej powieści Ericha Remarque'a (1898-1970) „Na zachodzie bez zmian". Prawda była inna. Nadeszły czasy, w których zginąć miały miliony ludzi. Śmierć jednego, jakkolwiek strasznie by to nie zabrzmiało, niewiele znaczyła. Napierski, będąc człowiekiem o rozległych kontaktach, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jaka przyszłość czeka go pod niemiecką okupacją. Nie wyjechał świadomie, choć miał możliwości, by to uczynić. Był jednak zbyt zmęczony. Niemiecka kula zakończyła życie pełne niespełnionych ambicji, aktów rozpaczy i rozczarowań. Opublikowany w roku 1936 wiersz o Heinem jest w istocie autobiograficznym zobrazowaniem pogmatwanych losów polskiego poety. Aluzja do prawa rzymskiego znalazła się w nim przypadkowo. Ale jest!

8. ZBIGNIEW HERBERT – „BARBARZYŃCA" PO WYDZIALE PRAWA

Pisarzom polskim i obcym, którzy ukończyli studia prawnicze można poświęcić solidnej objętości monografię. Wśród kierunków, które wybrali ludzie pióra, prawo plasuje się na pierwszym miejscu, wyprzedzając nawet polonistykę i filozofię. Fakt ukończenia studiów prawniczych przez niezrównanego apologetę kultury antycznej, Zbigniewa Herberta (1924-1998), nie będzie zapewne dla nikogo zaskoczeniem. Naturalnie i on,

[114] Cyt. za: T. Vormbaum, *Einführung: „Kraft meiner akademischen Befugniß als Doktor beider Rechte"*, [w:] *Rechtswissenschaft und Juristen im Werk Heinrich Heine*, red. T. Vormbaum, Berlin 2006, s. 17.

podobnie jak jego liczni koledzy po piórze, prawa nie lubił i niewiele się nim interesował. Coś tam jednak zostało…

Kraków i Toruń

Urodzony we Lwowie Herbert wychował się w rodzinie prawniczej. Jego ojciec, Bolesław, napisał swego czasu doktorat pod kierownictwem wybitnego konstytucjonalisty Stanisława Starzyńskiego (1853-1935). Po wojnie młody poeta znalazł się w Krakowie, gdzie podjął studia na prywatnej jeszcze wówczas Akademii Handlowej. Zapisał się również na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Powody swej decyzji wyjawiał w liście do Zdzisława Rudziewicza: „Zapisujesz się na UJ, dostajesz za 10 obiady (można wykombinować 2 lub 3), jako *cives academicus* cieszysz się sympatią i poparciem (głównie pana Boga, karmiciela wróbli) i w końcu dostajesz (moja w tym głowa) stypendium miesięczne w kwocie 500. Na ogół wziąwszy, jest to bardzo mało, ale ja zaczynałem jeszcze gorzej. Studiujemy aż miło, a w międzyczasie coś niecoś handlujemy, szabrujemy, kręcimy, kiwamy. Można od biedy dostać jakąś posadkę lub lekcje"[115].

Jednym z jego krakowskich znajomych był późniejszy uznany ekonomista i utytułowany profesor, a wówczas były powstaniec i łagiernik, Witold Kieżun (ur. 1922), który wyznał J. Siedleckiej: „Łączyły nas jakieś »wspólne fale«, choć nie mówił o sobie, tyle tylko, że jest ze Lwowa, że był w AK, zrobił podchorążówkę, ale się nie ujawnił, nie dziwiłem się, zrobiłbym to samo, gdyby mnie nie rozpoznano. (…) Prawo też niespecjalnie go interesowało, nie ukrywał, że to głównie dla ojca, że traktuje je marginalnie, żeby coś studiować. Zbliżyła nas poezja, już wtedy pisywał – ja z kolei zacząłem w łagrze. (…) Organizowaliśmy więc literackie wieczory (…). Zbyszek też już coś czytał. Uciekaliśmy od prawa rzymskiego, ale przede wszystkim od coraz brutalniejszej rzeczywistości, od osławionych plakatów »AK zapluty karzeł reakcji«, »Precz ze zbirami z AK i NSZ«"[116].

Przyjaźnił się wówczas z Herbertem aktor Jan Adamski (1923-2010), który po latach wspominał: „Choć już wtedy interesował się poezją, literaturą, ani myślał o studiowaniu polonistyki, która, jak uważał, miłość

115 Cyt. za: J. Siedlecka, *Pan od poezji. O Zbigniewie Herbercie*, Warszawa 2002, s. 121.
116 Cyt za: *ibidem*, s. 125.

do literatury zabija, zatłukuje. Prawo natomiast zbliża do kultury łacińskiej, uczy ładu, porządku, dyscypliny. Akademia Handlowa z kolei to nie tylko rachunkowość, geografia, ale też historia handlu – wypraw fenickich i w ogóle solidarność, rzeczowość. Konkret, który widać w jego wierszach"[117].



Witold Kieżun, kolega Herberta z lat studenckich, podczas Powstania Warszawskiego

W roku 1947 przeniósł się do Torunia, gdzie zapisał się na prawo i filozofię. „Nie wiedziałam, co właściwie studiuje? – wspomina Zofia Skwarnicka. – Widywałam go na większości wykładów. Między innymi polonisty profesora Konrada Górskiego, psychologa ogólnego Andrzeja Lewickiego, na ćwiczeniach z psychologii, gdzie bywał jako wolny słuchacz. Żadnych specjalnych rygorów, list obecności, za to dużo swobody, zwłaszcza na prawie, wydziale na kółkach – jak go nazywano; studenci pracowali, wyjeżdżali, przyjeżdżali wyłącznie na egzaminy. Tak że oprócz prawa dołożył sobie jeszcze filozofię"[118].

Z wyboru nie był jednak do końca zadowolony. „Zrobię wszystko, tylko nie prawo, jest to bowiem dziedzina myśli (?) nudna i nad wyraz jałowa. (…) Siedzę w Toruniu i płaczę. Nad prawem płaczę. Jak ten ranny ptak…" – narzekał w liście do Zdzisława Ruziewicza (1925-1997)[119]. Studia jednak skończył. Tytuł magistra praw otrzymał w roku 1949. Co więcej, wydaje się, że był zadowolony z dokonanych w młodości wyborów.

---

117 Cyt. za: *ibidem*, s. 127.

118 Cyt. za: *ibidem*, s. 137.

119 M. Czajkowska, *„Kochane zwierzątka…". Listy Zbigniewa Herberta do przyjaciół Magdaleny i Zbigniewa Czajkowskich*, Warszawa 2000, s. 37-38.

W jednym z listów do Czesława Miłosza pisał bowiem: „choć nie lubię mojego prawniczego wykształcenia, to jednak muszę przyznać, że pomaga"[120]. Przesadnie wylewny w tej materii jednak nie był. Na próżno poszukiwać w jego pismach wyznań w rodzaju tego, którego autorem jest jego kolega po piórze Mieczysław Smolarski (1888-1967): „Nauczyłem się różnych określeń z prawa rzymskiego, którymi w przyszłości w moim »Pierścieniu z Apollinem« miał sypać palący się do wiedzy pachołek Kopernika. Uwierzyłem, że prawo rzymskie opiera się na podstawach tak niewzruszonych, iż na jego potężnym gmachu można stawiać tylko nadbudówki"[121].

„Na marginesie procesu"

Zbigniew Herbert zasłynął jako niezrównany piewca kultury antycznej. Niemniej Rzymowi, jako państwu, a potem supermocarstwu, nie dowierzał nigdy. Rzymian-zdobywców nazywał „Prusakami starożytności". Nie był wszakże, czego zapewne miał świadomość, autorem tego konceptu. Paweł Jasienica (1909-1970), wspominając swojego nauczyciela od łaciny, zapamiętał pewien charakterystyczny szczegół:



Młody Zbigniew Herbert

120 Z. Herbert, Cz. Miłosz, *Korespondencja*, Kraków 2006, s. 17.
121 M. Smolarski, *Miasto starych dzwonów*, Kraków 1960, s. 178.

„Wykładowcą łaciny był wtedy u nas – w Grodnie – Franciszek Dańko, syn chłopa z Małopolski, rozmiłowany w świecie klasycznym nad podziw. Zawsze porządnie ubrany, od modnych nowinek stronił, co mili wychowankowie objaśniali słowami: »Cycero getrów nie nosił, Cezar nie nosił i ja nie będę«.



Zbigniew Herbert na tle regału z książkami

Gdy doszło do drugiej wojny punickiej i opowiadania o Hannibalu, który puszczał na wolność jeńców wojsk pomocniczych, lecz samych Rzymian tępił bez miłosierdzia, profesor przerwał wykład i zasępił się.

– Pochwalać nie można, ale i dziwić się też nie – powiedział. – Rzymianie byli Prusakami starożytności”[122].

Postawę poety wobec imperialistycznej polityki Rzymian widać chociażby w takich utworach, jak „Przemiany Liwiusza” czy „Powrót prokonsula”. W jego twórczości nie ma natomiast zbyt wielu wątków związanych bezpośrednio z prawem rzymskim. Zdaje się, że „uciekał od niego” nie

[122] P. Jasienica, *Ziemia jest wszystkim wspólna*, [w:] *Tylko o historii*, Warszawa 2007, s. 47.

bez powodu. Jednym z utworów, w którym pojawia się nawiązanie do *ius Romanum*, jest wiersz zatytułowany „Na marginesie procesu". Po raz pierwszy ukazał się w tomiku „Napis", wydanym w roku 1969. Herbert napisał go jednak wcześniej – najprawdopodobniej w roku 1964 . Oto jego treść:

Sanhedryn nie sądził w nocy
czerń potrzebna wyobraźni
jaskrawo nie zgadza się ze zwyczajem

jest rzeczą nieprawdopodobną
aby gwałcono święto Paschy
z powodu mało groźnego Galilejczyka
podejrzana wydaje się być zgodność opinii
tradycyjnych antagonistów – Sadyceuszy Faryzeuszy

do Kajfasza należało przeprowadzenie śledztwa
ius gladii był w ręku Rzymian
po co więc wołać cienie
i tłum wyjący uwolnij Barabasza

jak się zdaje cała sprawa rozegrała się między urzędnikami
bladym Piłatem i tetrarchą Herodem
postępowanie administracyjne nienaganne
ale któż z tego potrafi uczynić dramat

Stąd sceneria płochliwych brodaczy
i motłoch który idzie pod górę zwaną
czaszka

To mogło być szare
bez namiętności[123]

Przytoczony wyżej utwór doczekał się szeregu wnikliwych analiz. Zwracano uwagę na to, że intencją Herberta było zdjęcie z Żydów odium, którym był posiadający prastarą tradycję zarzut bogobójstwa. Sam zainteresowany bynajmniej temu nie zaprzeczał. Przeciwnie. W liście do Mag-

[123] Cyt. za: Z. Herbert, *Poezje*, Warszawa 1998, s. 324.

daleny i Zbigniewa Czajkowskich wyjaśniał: „W wierszu »Na marginesie procesu« chciałem napisać, że Żydzi nie byli winni. Niech ta krew nie spada na ich głowy. Sanhedryn nigdy nie sądził w nocy. *Ius gladii* było w rękach Rzymian”[124]. Co ciekawe, tym razem poeta używa właściwego rodzajnika w stosunku do łacińskiego rzeczownika *ius*. W wierszu (na skutek redaktorskiego niedopatrzenia?) figuruje przecież wersja: „*ius gladii* był w ręku Rzymian”. To błąd, choć niekoniecznie poety. Trudno uwierzyć – więc znowu należy to zrzucić na karb redaktorskiej nierzetelności – że wychowanek Państwowego VIII Gimnazjum i Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego we Lwowie mógł napisać do Zdzisława Ruziewicza (1925-1997) w liście datowanym na rok 1950: „List Twój ciekawy i optymistyczny jak przystało na pater familiosa”[125].

Stanisław Barańczak (ur. 1946) zwrócił uwagę na osobiste doświadczenia poety, takie jak: wojna, repatriacja ze Lwowa oraz duszna atmosfera stalinowskiej nocy[126]. Stanowić one miały tło dla powstania wiersza, który w subtelny sposób odchodzi od rzymskich realiów oraz zamazuje rzeczywistość społeczną i prawną Palestyny z I wieku n.e.

Im bardziej sofistyczne podejście, tym większe prawdopodobieństwo, że analiza okaże się chybiona. Naturalnie, doświadczenia życiowe przyczyniły się do takiego, a nie innego spojrzenia Herberta na postępowanie w sprawie Chrystusa. To również oczywiste, choć niektórzy egzegeci wiersza wciąż z niejakim zdumieniem dochodzą do tego wniosku, że proces Zbawiciela miał charakter pokazowy. Nie mogło być inaczej, skoro zarzuty pozostawały w ścisłym związku z rzymską koncepcją zdrady stanu.

Wydaje się jednak, że Herbert nie musiał dokonywać projekcji własnych doświadczeń w przeszłość. W kwestii krwawych porachunków z politycznymi przeciwnikami to raczej współczesne totalitaryzmy mogłyby jeszcze niejednego nauczyć się od Rzymian, a nie na odwrót.

Romanista gdzie indziej jednak powinien rozpocząć poszukiwanie wartości zamkniętych w omawianym utworze. Zbigniew Herbert, poeta

---

124 Cyt. za: H. Seweryniak, *Medytacje z Herbertem*, Płock 2006, s. 71.

125 Zob. „Zeszyty Literackie” 127.3 (2014), s. 67.

126 S. Barańczak, *Uciekinier z Utopii: o poezji Zbigniewa Herberta*, Kraków 2001, s. 62-63.

i magister nauk prawnych, pisząc o „procesie" Chrystusa w wierszu „Na marginesie procesu", zwrócił uwagę na kwestię absolutnie fundamentalną – nie było żadnego procesu. Było „postępowanie administracyjne nienaganne".

Donna Novella

Wątek prawa rzymskiego pośrednio wrócił również w krótkim opowiadaniu zatytułowanym „Głos", poświęconym Petrarce (1304-1374). Na jego użytek Herbert „sfabrykował" list napisany rzekomo przez przyjaciela poety z lat studenckich, Guida Noii: „Dwa tygodnie temu zeszła z tego świata nasza niezapomniana preceptorka – Donna Novella. Piszę o tym *cum lacrimis*. Pamiętasz z pewnością jej wykłady. Mówiła zawsze spoza zasłony, ponieważ niezwykła jej uroda – tak powszechnie twierdzono – mogłaby rozpraszać uwagę słuchaczy. Jakie to śmieszne: nikt jej nie widział, ale wszyscy, także i ty, Francesco, kochaliśmy się w niej bez pamięci. O tę bezcielesną istotę gotowi byliśmy staczać boje i umierać z jej słodkim imieniem na ustach. Myślę, że byliśmy szaleni, Francesco, ale za nic nie odebrałbym tego szaleństwa młodości.

Jeszcze dzisiaj słyszę jej głos, melodyjny, dźwięczny, podobny do muzyki, o skali, która zdawała się obejmować *totum*. Głos niekiedy niski, stanowczy, prawie męski, a czasem bardzo kobiecy i uwodzicielski, zwłaszcza kiedy mówiła, monitowała, że prawo to *ars boni et aequi*. Owo *aequi* wymawiała czule jak wyznanie miłosne.

Ty, Francesco, jesteś poetą i obcujesz z wielkimi duchami przeszłości. Ja – nędzny sługa prawa, chociaż dostałem ostatnio list pochwalny od podesty za moje wysiłki zmierzające do uzdrowienia miejskich finansów, nie będę ukrywał, że to duże wyróżnienie, a więc ja, z racji mojego zawodu, spotykam się ze złem, nieprawością, ale wierz mi, do dnia dzisiejszego nie miałem pojęcia, jak wielka, jak haniebna, jak bezgraniczna jest ludzka niegodziwość. I o tym chciałbym tobie napisać.

Donna Novella, a raczej jej doczesne szczątki, spoczęły przed pogrzebem w kościele św. Wawrzyńca, na wysokich marach, przy blasku świec. Całe ciało okrywała czarna kapa, na której wyhaftowane były srebrne lilie i godła naszego uniwersytetu. Otóż, nocą, wyobraź sobie, zakradł się jakiś niegodziwiec i odsłonił twarz zmarłej. Nazajutrz całe miasto wiedziało, jakie jest prawdziwe oblicze Donny Novelli.

Jej twarz nosiła ślady ospy, którą zapewne przeszła w dzieciństwie. Skórę – śniadą, jak skóra pospolitej chłopki – pokrywała sieć zmarszczek. Miała po lewej stronie twarzy wielką bliznę, która biegła od skroni, przez policzek, aż do brody.

Ponieważ żyła samotnie i umarła nagle, nikt nie zamknął jej powiek. Na lewym oku ów niegodziwiec, powiem więcej świętokradca, dostrzegł bielmo. Usta, przez które – ileż to lat temu – sączyła w nasze serca i umysły słodki miód wiedzy, otwarte były jak w okrzyku przerażenia. A w dodatku, i to jest najgorsze, zapomniano, pewnie w pośpiechu, osłonić jej głowę czepkiem – pomyśl sobie kochany przyjacielu – Donna Novella była zupełnie łysa.

Całe miasto huczało od plotek. Kto tylko mógł, brał udział w tym turnieju nikczemności, dodając nowe szczegóły, które miały świadczyć o monstrualnej brzydocie zmarłej. A przecież tak niedawno wszyscy sławili pod niebo jej nieziemską urodę.

Pogrzeb odbył się szybko, jakby po kryjomu, bez oddania należnej czci tej niezwykłej istocie.

Tak sponiewierano naszą młodość i naszą miłość.

Płaczę, Francesco, i ty płacz wraz ze mną”[127].

List powyższy to naturalnie nic innego, jak wspaniały przykład literackiej wyobraźni i zarazem próba dobrej prozy. Potem zresztą jest jeszcze ciekawiej: „Petrarka – powtórzmy to raz jeszcze – kochał tylko jedną kobietę, Donnę Novellę, miłością beznadziejną, ślepą, złą, bo jak inaczej można kochać istotę bez ust, o nieznanym kolorze oczu, bez dłoni, której całym jestestwem – był głos. A przecież było to uczucie, uczucie nazbyt wielkie, to znaczy poza granicami formy”[128].

Novella d’Andrea, wspominana w utworach literackich nader często, zmarła młodo w roku 1333. Nie mogła więc wyglądać aż tak szpetnie, jak w utworze Herberta. Historia z welonem, zasłaniającym prelegentkę podczas wykładów, wydaje się być oparta na faktach. Pamięć o tym zwyczaju zachowała się dzięki Krystynie z Pizy (1364-1430), która napisała o nim w swojej „Księdze miasta kobiet”. Prawdzie nie odpowiada nato-

---

127 Z. Herbert, *Węzeł gordyjski oraz inne pisma rozproszone 1948-1998*, Kraków 2008, s. 55-56.

128 *Ibidem*, s. 61.

miast informacja, że Donna Novella była samotna. Otóż mężczyzna, którego poślubiła, nazywał się Giovanni Caldesimus i był, jakżeby inaczej, prawnikiem.



Novella d'Andrea (Marie-Eléonore Godefroid)

Ciekawa jest natomiast historia imienia nietuzinkowej wykładowczyni. Chociaż brzmi ono raczej jak przydomek czy też pseudonim, to kobieta w istocie miała na imię Novella. Romaniście przywodzi na myśl oczywiście nowele cesarza Justyniana. Tą samą ścieżką skojarzeń podążył zapewne Herbert, każąc jej czule opowiadać studentom o sztuce stosowania tego, co dobre i słuszne. Niemniej, jak pamiętamy, jej ojciec był kanonistą, a i ona sama, zastępując go, wygłaszała wykłady z prawa kanonicznego.

Podsumowanie

W roku 1958, dzięki stypendium uzyskanym od Związku Literatów Polskich, Herbert odbył swoją pierwszą podróż zagraniczną. Wybrał Francję. Po powrocie wydał zbiór esejów zatytułowany „Barbarzyńca w ogrodzie". Będąc pod wielkim wrażeniem miast Prowansji, z zachwytem napisał w jednym ze swoich krótkich utworów: „Miasta liczne i bogate były dziedzicami ducha wolności i starej śródziemnomorskiej

cywilizacji. Rządziły się prawem rzymskim, a demokratycznie wybierane organa władzy – rada miejska, konsulowie, były faktycznymi suwerenami"[129]. Pisał również o francuskich katedrach gotyckich (esej pt. „Kamień z katedry"), które natychmiast zawładnęły jego wyobraźnią. Wielokrotnie stwierdzał potem, że Europa jest tam, gdzie są katedry. „Dlatego Lwów, z którego pochodził, to była dla niego Europa. To był ciągle zasięg imperium rzymskiego. A już dalej nie…"[130].

Utwory Herberta warto czytać również z innych powodów. Wiele z jego przemyśleń, choć formalnie niezwiązanych z prawem rzymskim, można odnieść do tej właśnie dyscypliny. Prosty przykład. W tekście, zamieszczonym w zbiorze „Labirynt nad morzem", poeta dochodzi do następującego wniosku: „Nauczyliśmy się patrzeć na dzieła sztuki greckiej jak na fragmenty i ułomki. Wierzyliśmy zbyt łatwo, że swoją doskonałość i piękno zawdzięczają właśnie temu, że są fragmentami i ułomkami. Nie potrafimy, a nawet nie chcemy wyobrazić sobie Wenus z Milo ani także jakiejkolwiek świątyni greckiej takiej, jaką była ona naprawdę"[131]. Jeżeli z Grecji przeniesiemy się do Rzymu, a zamiast Wenus z Milo rozpoczniemy rozmowę na temat Ustawy XII Tablic, edyktu pretorskiego lub setek fragmentów dzieł starożytnych prawników, konkluzje zapewne będą podobne.

9. JERZY WALDORFF – MELOMAN PO WYDZIALE PRAWA

Zasłynął jako wybitny znawca muzyki poważnej, niezrównany publicysta oraz bojownik o renowację warszawskich Powązek. Jerzy Waldorff (1910-1999), a właściwie Jerzy Waldorff-Preyss, przez wiele lat rzucał wyzwanie siermiężnym czasom PRL-u. Mówiono o nim „ostatni baron". Jako osobistą dewizę przyjął powiedzenie: „Muzyka łagodzi obyczaje". Miał również odwagę twierdzić: „Powązki są ważne, bo leży na nich co najmniej tylu wybitnych Polaków, co na Wawelu, to skała, która ocala-

---

129 Z. Herbert, *Barbarzyńca w ogrodzie*, Lublin 1991, s. 119.

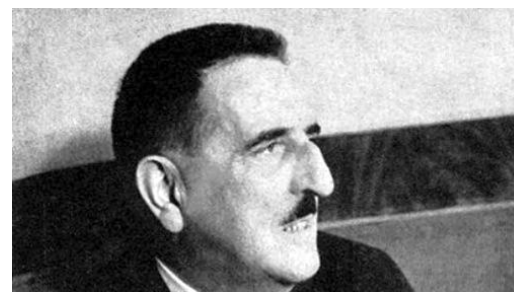
130 Zob. dokument „Zbigniew Herbert – errata do biografii" (http://www.youtube.com/watch?v=pxaxI31npOg).

131 Z. Herbert, *Labirynt nad morzem*, Warszawa 2000, s. 105.

ła i wystaje ponad bagno, którym jest dzisiejsza Warszawa. Naród nigdy nie był tak skołowany przez polityków i prasę, i tak zdemoralizowany; mówię to, bom żył w dawnej Warszawie". Tak go zapamiętano. O tym, że z wykształcenia był prawnikiem, a nawet aplikantem adwokackim, mówi się obecnie mało lub wcale. Pewnie dlatego, że on sam nie uważał tych kart swojego życiorysu za szczególnie ważne i godne eksponowania.

Dwa kierunki

Jerzy Waldorff urodził się 4 maja 1910 roku. W roku 1928 zdał maturę. Studia rozpoczął równolegle w Konserwatorium Poznańskim oraz na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. W zbiorze wspomnień, wdzięcznie zatytułowanym „Zbuntowane uszy", już jako uznany krytyk muzyczny, z nostalgią wrócił do czasów swojej młodości. „Nie od razu – pisał – było wiadomo, iż taką pójdę drogą! Z woli bliskich miałem poświęcić się adwokaturze. Rodzice uważali, że najpierw trzeba zdobyć solidny fach i kawałek chleba do ręki, a potem w wolnych chwilach – można oddawać się artystycznym fanaberiom. Dlatego ukończyłem wydział prawny i wstąpiłem na aplikaturę do kancelarii mecenasa Włodzimierza Kozubskiego, który był zarazem profesorem prawa rzymskiego na Uniwersytecie Warszawskim"[132].



Jerzy Waldorff, meloman z prawniczym wykształceniem

Studia prawnicze ukończył Waldorff w roku 1932. Fakt ten nie doczekał się szerszego omówienia w jego memuarach. Nie było ku temu większych powodów, gdyż zainteresowany traktował swą edukację na wydzia-

[132] J. Waldorff, *Zbuntowane uszy*, Warszawa 1968, s. 6.

le prawa jako dopust Boży i zło konieczne. Na większość ocen na jego świadectwie końcowym składały się dostateczne[133].



Gmach Uniwersytetu Poznańskiego w okresie międzywojennym

To dziwne, ale nie udało się Waldorffowi zdobyć dyplomu konserwatorium. Na ostatnim roku przerwał studia, na które nie powrócił. Latem 1933 roku trafił do Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, by przejść obowiązkowe dla absolwentów szkół wyższych przeszkolenie wojskowe.

Nie on jeden

Waldorff nie był jedynym melomanem i miłośnikiem sztuk scenicznych rozdartym pomiędzy muzyką a prawem.

Z licznej i bogatej galerii osobistości zmagających się z tego rodzaju dylematami przywołać wypada chociażby jednego z twórców komedii nowoczesnej, Carla Goldoniego (1707-1793). I on swego czasu, wbrew sobie, studiował i ukończył prawo. Wybitny reżyser i znawca teatru, Leon Schiller (1887-1954), pisze o nim: „W rok później [tj. w roku 1725 – M.J.] spotykamy go w Modenie, zagrzebanego w pandektach justyniańskich czy innych obrzydliwościach prawoznawstwa. (…) Goldoni obkuwa prawo rzymskie, niemające nic wspólnego z teatrem; żyje z dala od sceny; pomysły dramatyczne rozpierają jego fantazję, a nie ma możności ucieleśnienia ich; zamiar odrodzenia teatru ojczystego wydaje się czymś niesłychanie odległym, może nieziszczalnym; myśl o wyrzeczeniu się teatru

133 M. Urbanek, *Waldorff. Ostatni baron Peerelu*, Warszawa 2008, s. 40.

na rzecz togi adwokackiej straszy go zapewne jak upiór… Stąd zgęstnienie krwi i zamulenie hamulców w mózgu. Innymi słowy: melancholia. (…) W dwudziestym piątym roku życia, po nocy spędzonej na pijatyce i karciętach, udaje się niedoszłemu kapucynowi uzyskać na wszechnicy padewskiej stopień doktora *in utroque iure*"[134].

Ciekawe wspomnienia z priorytetów, które towarzyszyły mu na pierwszym roku studiów prawniczych, zachował również muzykolog Adolf Chybiński (1887-1952): „Zrobiłem się eleganckim akademikiem, posiadającym nie tylko ubrania marynarkowe, ale i frak (który służył mi przez bardzo nawet długie lata, bo aż do wielkiej wojny światowej, aż wreszcie padł ofiarą moli), ponadto »żliletkę« używaną do dnia dzisiejszego, jako że jest solidnym wyrobem amerykańskim. Miałem kilka par rękawiczek i krawatek, i – no trudno – perfumowałem się. A wykłady? Można powiedzieć: mniejsza o nie. Rzadko słuchałem wykładów przedmiotu, który nie pociągał mnie wcale. Próbowałem jednak zdawać kolokwia: zdałem jedno u starszego Zolla z prawa rzymskiego. Miałem tego dość. Po cichu, bez wiedzy ojca, przeniosłem się na filologię"[135].

Prawdziwe rozterki przeżywał młody Jan Kiepura (1902-1966), który początkowo, zgodnie z wolą ojca, w roku 1921 rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Waldorff, znawca życiorysu Kiepury i zapalony wielbiciel jego twórczości, napisał w biografii największego polskiego tenora: „Po naradzie rodzinnej – postanowiono wysłać go na wydział prawny uniwersytetu. Adwokat to może być intratne zajęcie i potrzebne ojcu, uwikłanemu w tyle rozmaitych interesów, za czym procesa idą nieuchronnie. Po co miałby pchać pieniądze do kieszeni obcym jakimś mecenasom!"[136]. Sam zainteresowany w liście z 3 grudnia 1920 roku zwierzał się przyjacielowi Mietkowi Szafrudze: „Ja, psiakość, namyślam się co do wyboru zawodu. Czuję, że jedynym moim powołaniem jest wszelka poezja, lecz z drugiej strony nie wiem, na co się w tej poezji rzucić, bo mój głos to cholernie niepewny"[137].

---

134 L. Schiller, *Na progu nowego teatru*, *1908-1924*, Warszawa 1978, s. 319-220.
135 A. Chybiński, *W czasach Straussa i Tetmajera*, Kraków 1959, s. 26.
136 J. Waldorff, *Jan Kiepura*, Warszawa 1974, s. 10.
137 *Ibidem*.



Jan Kiepura, światowej sławy śpiewak, niedoszły prawnik

Wstępnie stanęło więc na prawie. W innym liście Kiepury, z roku 1923, adresowanym do rodziców, czytamy: „Kochani rodzice! Chodzę w dziurawych butach i dziś leżę w łóżku. Piszę ten list, bo się przeziębiłem i mam trochę gorączki. (…) Postanowiłem zająć się gorliwiej prawem i śpiew usunąć na drugą linię. W ogóle widzę coraz bardziej, że śpiew jest popłatną, ale i ryzykowną rzeczą. Trzeba się zająć prawem, bo to jest spokojniejszy i pewniejszy kawałek chleba. Postanowiłem zdawać na prawo z roku na rok. Moje zaniedbywanie prawa i oddanie się z zapałem śpiewowi było dziecinnym zapaleniem się i oszołomieniem, które jednak miało uzasadnioną podstawę”[138]. Ostatecznie jednak miłość do muzyki zwyciężyła. „Chłopak z Sosnowca” wykazał więcej determinacji od Waldoffa i ku wielkiemu pożytkowi światowej kultury poświęcił się wyłącznie śpiewaniu.

Ten jeden raz

Młody absolwent poznańskiego Wydziału Prawa, Jerzy Waldorff, nie był perłą wśród aplikantów Włodzimierza Kozubskiego. Bumelował. W jednym z listów do matki, nadanych gdzieś we Włoszech, wił się

138 W. Panek, *Jan Kiepura: życie jak z bajki*, Poznań 2002, s. 44.

w wymówkach: „Kozubskiemu napiszę *express*, że się rozchorowałem i dlatego muszę o parę dni opóźnić przyjazd”[139].

Swój kunszt obrończy zdecydował się wypróbować jedynie raz. Dla aplikanta marzącego o adwokackich laurach sprawa mogła wydawać się wyzwaniem. Niemniej Waldorff, wysublimowany miłośnik sztuki, jeszcze po latach wspominał ją z niesmakiem. Otóż skarżącym był pewien krawiec i kolekcjoner sztuki w jednej osobie. Ponieważ do jego klienteli należeli przedstawiciele warszawskiej bohemy artystycznej, przeto mistrz nie wzdragał się przed przyjmowaniem zapłaty „w naturze”. Tym sposobem zgromadził wcale pokaźną kolekcję płócien. Nie wiadomo, jakimi kryteriami kierował się miłujący sztukę fachman i czy takowe w ogóle istniały. Jest natomiast bardzo prawdopodobne, że jego artystyczne gusta doskonale wyczuwali „kontrahenci”, którzy rozliczali się z nim dziełami, powiedzmy, nie najwyższych lotów.

Przyczyną sporu stał się wizerunek martwej dziewicy przystrojonej liliami i leżącej w trumnie, który Waldorff uważał za kicz straszliwy. Płótno nieco się zabrudziło. Majster postanowił więc oddać je do renowacji, ale podczas prac konserwatorskich wraz z zanieczyszczeniami usunięto również część farby. Firma, której powód powierzył swoje „cacko”, nie wykazała się na swoje nieszczęście profesjonalizmem. Tego rodzaju ubytki, o ile były drobne, uzupełnia się niejako „z urzędu”, czego zaniechano.

Krawiec postanowił pozwać nierzetelny zakład. Reprezentować miała go w tym kancelaria Włodzimierza Kozubskiego (1880-1951). Młody aplikant stanął na wysokości zadania. Omówił przed sądem straty, jakie kultura narodowa poniosła na skutek niefrasobliwości partaczy, którzy zniszczyli płótno godne Rembrandta lub Rubensa, po czym zażądał czterech tysięcy złotych odszkodowania dla krawca „na otarcie jednego oka”[140]. Sąd uwzględnił jego argumentację, przyznał odszkodowanie, co z kolei pociągnęło za sobą wypłatę sowitego honorarium dla Waldorffa. Dla młodego prawnika było to jednak pyrrusowe zwycięstwo. „Sąd – pisał – niestety uwierzył owym słowom. Krawiec zainkasował gotówkę, ja honorarium, lecz jednocześnie wzięło mnie takie obrzydzenie do tego, co robię, że z dnia na dzień rzuciłem aplikaturę, postanawiając oddać się wyłącznie pisarstwu i muzyce”[141].

---

139 Cyt. za: M. Urbanek, *op. cit*., s. 50.

140 J. Waldorff, *Zbuntowane uszy*, s. 6.

141 *Ibidem*.

Cóż, takie rzeczy się zdarzają. Sandor Marai (1900-1989), sam niedoszły prawnik, zachował następujące wspomnienie z dzieciństwa: „W pół drogi, przy Diabelskim Rowie, spotykaliśmy na ogół starego adwokata, jednego z najstarszych mieszkańców miasta, który nie znosił swej adwokackiej profesji, a nad jego biurkiem wisiała makatka z wyhaftowanym czerwoną nitką napisem: »Weksli nie żyruję!«; on sam zaś całymi dniami chodził po lesie i łowił motyle”[142]. Jerzy Waldorff skupił się na muzyce.

Po drugiej stronie

Drogi do świata muzyki Waldorffa i Kiepury, jak przedstawiono powyżej, były podobne. Oto jednak ślepy los pozwolił spotkać im się osobiście i to nie gdzie indziej, ale na sali sądowej. Otóż w roku 1938 wzięty warszawski adwokat – Zygmunt Hofmokl-Ostrowski (1873-1963), wytoczył Kiepurze proces. Powodem były słowa wygłoszone przez tego ostatniego na konferencji prasowej. Śpiewak wyznał wtedy, że gdyby nie został tenorem, wykonywałby zawód adwokata, gdyby zaś miał pobierać tak niską pensję, jak artyści opery warszawskiej, raczej zdecydowałby się na pasanie świń[143]. Porywczy mecenas, „wsławiony” oddaniem na sali sądowej strzałów z pistoletu do policjanta, który go znieważył, uznał, że jego dobra osobiste, jako adwokata, zostały naruszone. Wytoczył więc Kiepurze proces, w którym zażądał zadośćuczynienia za doznaną krzywdę. Rozprawa, na którą w charakterze świadków wezwani zostali wszyscy uczestnicy feralnej konferencji, przebiegała w iście sielskiej atmosferze. Jej uczestnicy zrobili sobie nawet pamiątkowe zdjęcie na schodach korytarza sądowego. Wśród nich rozpoznać można również Waldorffa. Ostatecznie, ku wielkiej uldze warszawskiej rady adwokackiej, sprawa zakończyła się ugodą.

Rok później doszło do procesu, którego stroną był sam Waldorff. Tym razem poszło o muzyczne gusta. Na łamach „Dziennika Narodowego” profesor Piotr Rytel (1884-1970) nazwał Festiwal Muzyki Współczesnej imprezą żydokomunistyczną. Waldorff napisał w odpowiedzi o rechocie zawistnych żab dochodzącym z głębi bagna. Skończyło się procesem o zniesławienie. Ponieważ adwokat pozwanego był człowiekiem małej

142 S. Marai, *Wyznania patrycjusza*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2005, s. 77.
143 M. Urbanek, *op. cit*., s. 54.

wiary, przeto skupił się na mataczeniu i przedłużaniu procesu. Ogłoszeniu werdyktu zapobiegła napaść hitlerowskich Niemiec na Polskę[144].

Na kłopoty Kozubski!

Przegrana w kampanii wrześniowej i będąca jej konsekwencją okupacja Polski przysporzyła Waldorffowi i jego rodzinie problemów finansowych. Sytuacja była na tyle trudna, że wzięty publicysta musiał zmienić mieszkanie na dużo tańsze, a także, o zgrozo, wrócić na aplikację do profesora Kozubskiego. „Dochody z rodzinnego majątku w Poznańskiem – pisał po latach – przestały wchodzić w rachubę, czynsze z kamienicy w Warszawie malały wraz z inflacją. Musiałem wrócić do aplikatury adwokackiej, którą przed rokiem z taką radością rzuciłem dla pisarstwa. I to szczęście, że mój patron – zarazem mecenas i profesor prawa rzymskiego na Uniwersytecie Warszawskim dr Włodzimierz Kozubski – okazał życzliwą wyrozumiałość i przyjął syna marnotrawnego na łono kancelarii"[145].



Włodzimierz Kozubski, romanista, adwokat, patron Jerzego Waldorffa

144 *Ibidem*, s. 74-75.
145 *Ibidem*, s. 69.

To jedna z wielu przysług, które, świadomie lub nieświadomie, profesor Kozubski wyświadczył mu podczas wojny. O sytuacji najbardziej dramatycznej opowiadał później Waldorff wielokrotnie. Jego biograf, Tomasz Urbanek, streścił ją następująco: „W pewnym momencie zatrzymał go niemiecki patrol.

– *Ausweiss* – zażądali żołnierze.

Pokazał papiery i staranną niemczyzną powiedział, że jest aplikantem adwokackim u profesora prawa rzymskiego na Uniwersytecie Warszawskim. To, w zestawieniu z niemiecko brzmiącym nazwiskiem, spowodowało, że żandarm natychmiast zmienił formę, w jakiej zwracał się do Waldorffa z *Du* (ty) na *Sie* (pan).

– Pan jest Niemcem – powiedział.

– Nie, Polakiem – odparł Waldorff.

– Jak to, takie nazwisko, i tak pan mówi po niemiecku?

– Proszę pana, ja o wiele lepiej mówię po angielsku i francusku”[146].



Rewizja dokonywana podczas ulicznej łapanki. Codzienność okupowanej Warszawy

146 M. Urbanek, *op. cit*., s. 81.

Dodać należy, że Włodzimierz Kozubski przez cały okres wojny nielegalnie prowadził wykłady z prawa rzymskiego na tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich[147]. Powoływanie się na niego niosło za sobą pewne ryzyko.

Nowo odzyskany aplikant naturalnie nie porzucił swoich muzycznych zainteresowań, które udało mu się połączyć z pracą społeczną. W roku 1941 zaangażował się bowiem w działalność Rady Głównej Opiekuńczej. Środki na działalność pozyskiwano różnymi sposobami. Jednym z nich było organizowanie koncertów. Waldorff był w swoim żywiole. „Że zaś aplikowałem jeszcze wtedy – przynajmniej nominalnie – u profesora Włodzimierza Kozubskiego, który był radcą prawnym Banku Komunalnego przy placu Napoleona, więc przez jego kontakty w świecie bankowym zdobyłem dla RGO salę na koncerty w suterenie gmachu, do dziś ocalałego Kasy Spółek Rolniczych, ulica Warecka 11a"[148].

Zamiast epilogu

Ostatni baron PRL-u zmarł 29 grudnia 1999 roku. Pochowano go, nie bez typowych dla tej szerokości geograficznej perturbacji, na warszawskich Powązkach, o które z takim zapałem i nieustępliwością walczył przez wiele lat. Na granitowej płycie znalazły się jego personalia oraz lata, w których żył. Nic na temat wykształcenia, zainteresowań czy przebiegu życia. Pewnie sam sobie tego życzył. My jednak nie zapominajmy.

10. JAN PARANDOWSKI – „ALCHEMIK SŁOWA" O PRAWIE RZYMSKIM I NIE TYLKO

Był jednym z najwybitniejszych polskich humanistów XX wieku, pisarzem, a przez pewien czas również oddanym wykładowcą KUL-u. Jan Parandowski (1895-1978) – wielki znawca i propagator kultury starożytnej oraz wizji Europy sięgającej do swoich antycznych korzeni. Podczas studiów uczęszczał na wiele wykładów, między innymi z filozofii, filologii

147 Zob.: Z. Krzemiński, *Kartki z dziejów warszawskiej adwokatury*, Warszawa 2008, s. 159.

148 J. Waldorff, *Zbuntowane uszy*, s. 136.

klasycznej, archeologii, historii sztuki oraz literatury polskiej. Najwięcej, jak sam później wielokrotnie podkreślał, zawdzięczał jednak lwowskiemu IV Gimnazjum im. Jana Długosza, w którym nauczyciel języków klasycznych, Jan Szczepański, zaszczepił mu umiłowanie kultury klasycznej. Wykładając po II wojnie światowej na KUL-u, pół żartem, pół serio zwykł mawiać, że absolwent jego gimnazjum posiadał lepszą znajomość łaciny i greki niż ówcześni absolwenci studiów wyższych na kierunku filologia klasyczna. I pewnie miał rację. Prawa nie studiował nigdy. Niemniej prawo rzymskie znał i doskonale rozumiał jego ducha, co zarówno wśród większości literatów, jak i sporej części prawników stanowi ewenement.



Jan Parandowski w młodości

„Assunta"

Profesor Ignacy Koschembahr-Łyskowski, od roku 1915 profesor prawa rzymskiego na Uniwersytecie Warszawskim, pojawia się w pamiętnikach byłych studentów tej uczelni wielokrotnie. Dodać przy tym należy, że pamiętnikarze odmalowują go zwykle jako sylwetkę dosyć chimerycz-

ną i niekiedy wręcz odpychającą, a przez to przerażającą dla młodych ludzi, którzy dopiero co wstąpili na uniwersyteckie ścieżki.



Ignacy Koschembahr-Łyskowski. W roku 1914 młody Parandowski dyskutował z nim po łacinie na włoskiej wyspie Grado

Zupełnie inaczej zapamiętał uczonego romanistę Jan Parandowski. Swoje wrażenia związane z poznaniem nieszablonowego uczonego uwiecznił w sentymentalnym wspomnieniowym opowiadaniu zatytułowanym „Assunta". Treścią utworu jest ostatni przed wybuchem I wojny światowej wakacyjny pobyt przyszłego pisarza, wówczas zaś jeszcze studenta filologii klasycznej Uniwersytetu Lwowskiego, na włoskiej wyspie Grado.

Była to wizyta inna od wszystkich poprzednich. Tym razem atmosfera wakacyjnego wypoczynku zmącona została napływającymi zewsząd niepokojącymi wieściami na temat sytuacji międzynarodowej. Autor „Mitologii" wspominał: „(…) [matka – M.J.] długo w noc zasypywała mnie pytaniami, na które nie umiałem nic odpowiedzieć, uspokajałem ją, że taka rzecz się nie zdarzy. Może nawet byłem tego pewny.

– Profesor radzi, żebym wcześniej wróciła do domu, bo potem będzie okrutny tłok na kolejach. Ty możesz zostać, ile się da.

Na tych słowach zasnąłem, obudziłem się w słońcu, którego promienie wszyły się w szparę okiennicy. Po śniadaniu wyszliśmy na plażę. Po drodze spotkaliśmy profesora. Był to Koschembahr-Łyskowski, profesor prawa rzymskiego. Słysząc, że studiuję filologię klasyczną i że dopiero co byłem w Rzymie, zaczął mówić po łacinie z wielką swadą. Z początku trochę oszołomiony, nabrałem animuszu i wszedłem w tę niezwykłą konwersację. Przechodnie patrzyli na nas z niedowierzaniem. Matka słuchała w skupieniu i zachwycie, jakbyśmy odprawiali nabożeństwo. Profesor twierdził, że wojna jest pewna, lecz potrwa krótko. Jeszcze raz doradzał, by matka wyjechała wcześniej"[149].

Pani Parandowska istotnie udała się w podróż do domu krótko po tej rozmowie. Jan jednak pozostał mimo coraz bardziej ponurych prognoz na przyszłość. „Z każdym dniem jednak – pisał po latach – przybywało popłochu, coraz więcej ludzi zabierało się do wyjazdu. »Chcę zostać do Assunty« – powtarzał profesor, ilekroć mnie spotkał. Assunta – Wniebowzięcie – była na Grado pięknym świętem. Łodzie, barki, małe stateczki, obwieszone kolorowymi flagami, płynęły do kościoła na jednej z pobliskich wysp, gdzie był obraz cudowny.

A tu już wojna się zaczęła. W parę dni Grado się wyludniło, hotele i restauracje zamykano, nasza signora płakała po całych dniach, bo jej mąż został zmobilizowany i poszedł na front serbski. Wkrótce cała Europa stała w ogniu. Stary świat trzeszczał we wszystkich spojeniach. Nikt już nie mógł usiedzieć na wyspie, która z roześmianej stała się żałobna, pod niezmąconym niebem. Profesor dotrzymał słowa: wytrwał do Assunty. Lecz nie pojechał do kościoła na wyspie, nie było czym. Wypłynęła tylko jedna barka, milcząca.

Był to mój ostatni dzień na Grado, nie wiedziałem, że ostatni na pół wieku czy więcej"[150].

Jan Parandowski przeżył wojnę w Rosji, której władze internowały go jako poddanego Franciszka Józefa. Ignacy Koschembahr-Łyskowski wrócił do Warszawy, gdzie, jak już wspomniano, w roku 1915 objął katedrę prawa rzymskiego. Czasy nie sprzyjały jednak pracy uniwersyteckiej. Wojnę przeżył w majątku Sikorskich w Wielkich Chełmach[151].

---

149 J. Parandowski, *Akacja. Opowiadania*, Warszawa 1967, s. 60.

150 *Ibidem*, s. 61.

151 J. Sikorski, *Ziemianin bez kompleksów. Wspomnienia*, Gdańsk 1990, s. 27.

Śmierć Petrarki

Marcel Reich Ranicki (ur. 1920), swego czasu bożyszcze krytyków literatury w Niemczech, a jeszcze wcześniej cenzor w Lublinie, miał do Parandowskiego wielką słabość. Po śmierci pisarza w roku 1978 ogłosił na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* nostalgiczne wspomnienie. Znalazła się w nim następująca anegdota: „Kiedy wiosną 1956 r. cała Polska mówiła tylko o destalinizacyjnym wystąpieniu Chruszczowa, Parandowski zauważył, całkiem poważnie: »Moja rodzina i ja opłakiwaliśmy w tych dniach śmierć Petrarki«[152].



Jan Parandowski, druga połowa lat 40-tych XX wieku

O fascynacji Parandowskiego Petrarką wspominają również jego bliscy. Pisarz poświęcił wielkiemu włoskiemu poecie przepełniony liryką szkic biograficzny. Ponieważ poeta studiował w młodości prawo, przeto i w jego biografii nie zabrakło o tym wzmianki: „»Na tych studiach straciłem siedem lat« – skarżył się Petrarka jeszcze w starości. Nie pierwszy to i nie ostatni poeta, który nudził się i męczył na studiach prawniczych, któremu ojciec chciał wybić z głowy poetyckie fraszki. Notariusz Petraccolo, widząc, że syn dla poetów zaniedbuje pandektów, w porywie

152 M. Reich-Ranicki, *Najpierw żyć, potem igrać*, Wrocław 2005, s. 85.

gniewu rzucił do ognia jego książki, ocalił tylko Wergilego i Cycerona, którego sam uwielbiał"[153]. Ten drastyczny środek nie przyniósł jednak spodziewanych efektów. Petrarka, o czym wspomina Parandowski, choć okazjonalnie podejmował się obron przed sądem i zajmował się pracą kancelaryjną, nigdy nie przekonał się do prawa. „Prawników uważał za szarlatanów, a ich wiedzę za zbiór bezdusznych formułek, zdatnych tylko do wyłudzania pieniędzy od poczciwych ludzi. Było to niezwykłe i śmiałe w tym wieku, w którym jurystyka dawała tyle zaszczytów i znaczenia. (…) Jemu przyświecał inny ideał nauki prawa, mianowicie opartej na filozofii i wymowie. On bodaj jedyny przeczuwał wielkość prawa rzymskiego i doniosłość dzieła dokonanego przez kolegium Justyniana. »Prawo naszych ojców – wołał – twór głębokiej i jasnej myśli, jest dziś niezrozumiane i oddane na poniewierkę«[154].

Zmysł syntezy

Na okolicznościowo zadane pytanie o potencjalne pola badawcze godne polecenia młodym polskim romanistom, profesor Marek Kuryłowicz odpowiedział: „Daje się zauważyć rozszerzanie się zainteresowań romanistyki z tradycyjnego prawa prywatnego na problematykę prawnoustrojową, administracyjną czy ostatnio szerzej rozwiniętą tematykę prawa karnego. (…) Nadto, występuje wyraźna potrzeba syntez, których brak odczuwa nie tylko romanistyka, ale przede wszystkim dyscypliny pokrewne, korzystające z dorobku romanistów"[155].

Jan Parandowski może uchodzić za wzór dla uczonych, dążących do doskonałości w zakresie syntetycznego streszczania wybranych problemów. Pisarz odznaczał się fenomenalnym wręcz zmysłem syntezy. W zbiorze esejów zebranym w książce pt. „Z antycznego świata" tak pisze o prawie rzymskim: „Rzymianie byli dumni ze swej kanalizacji i swych wodociągów, stawiali je wyżej od piramid egipskich i innych »cudów

153 J. Parandowski, *Petrarka*, Warszawa 1956, s. 11.

154 *Ibidem*, s. 12.

155 *Rozmowa – wywiad z Jubilatem. Rozmawiają dr hab. Krzysztof Amielańczyk oraz ks. prof. dr hab. Antoni Dębiński*, [w:] *Quid leges sine moribus? Studia nad prawem rzymskim dedykowane Profesorowi Markowi Kuryłowiczowi w 65. rocznicę urodzin oraz 40-lecie pracy naukowej*, red. K. Amielańczyk, Lublin 2009, s. 13.

świata«. Przemawiał w tym duch praktyczny, znamienna cecha ich umysłowości. Nietwórczy w sztuce, słabi w nauce i filozofii, stworzyli monumentalne prawodawstwo. Z wyraźną namiętnością oddawali się badaniom, w których oderwane pojęcia słuszności i sprawiedliwości wchodziły w konflikt z nieprzeliczonymi wypadkami codziennego życia. Nikt im w tym nie sprostał. Jeden Rzym miał uczonych prawników i kodyfikatorów w naszym pojęciu. Prawo rzymskie nawarstwiało się wiekami, w nieskończonym szeregu ustaw, dekretów, opinii sądowniczych, by wreszcie w chwili, gdy starożytność ustępowała miejsca nowym czasom, zamknąć się w wielkim Kodeksie Justyniana. Trudno dziś poruszyć jakiekolwiek zagadnienie prawnicze, żeby nie znaleźć w nim śladu myśli rzymskiej, która je pierwsza podjęła, a często rozwiązała tak, że do dziś, nie wiedząc o tym, jesteśmy posłuszni wyrokom zapomnianych pretorów"[156].

Krótko i na temat. Konia z rzędem temu, kto zwięźlej streści historię rozwoju prawa rzymskiego w starożytności!

W Polsce Ludowej

W młodości Jan Parandowski ogłosił rozprawę zatytułowaną „Bolszewizm i bolszewicy w Rosji"[157]. O istnieniu tego utworu, niemal zupełnie zapomnianego, adwokat Stanisław Mikke (1947-2010) przypomniał w roku 2008 na łamach „Palestry". „Wystarczy – dowodził w swoim felietonie mecenas – przeczytać kilka wierszy, aby sobie wyobrazić, co przeżywał Jan Parandowski, gdy do Polski wkraczała w 1944 roku Armia Czerwona. Musiał mieć bez wątpienia świadomość, że jest pierwszorzędnym kandydatem, jeśli nie na natychmiastowe rozstrzelanie, to już na pewno na syberyjską zsyłkę"[158]. Parandowski odniósł się w swoim studium między innymi do „własnościowych" koncepcji komunistów: „Indywidualizm nie istnieje. Szara masa pochłania wszystkich. Jednostka oddaje tej masie siły swoje i zdolności, majątek, życie, wszystko, co posiada i co ją stanowi. Nikt nie może mieć prawa do tego, co miał lub co ma, czym był lub czym jest. (…) Gdy ustanowią dyktaturę proletariatu, to w tym celu, aby bogatemu odebrać pieniądze i rozdzielić między tych, którzy nie posiadają,

156 J. Parandowski, *Z antycznego świata*, Warszawa 1971, s. 105.
157 *Idem*, *Bolszewizm i bolszewicy w Rosji*, Stanisławów 1919.
158 Zob. S. Mikke, *Bez togi*, Warszawa 2011, s. 326.

i to nie tylko, aby mogli żyć, lecz sami z kolei używać. (…) Odbiorą człowiekowi odwieczne prawo własności – ojcu nie pozwolą zostawić swego mienia synowi. (…) Ci »ludzie wolności« roztaczają nad człowiekiem najcięższą niewolę ciała i ducha. Głoszą jednakże wolność”[159]. Koncepcje, pozostające w radykalnej sprzeczności z wartościami przez wieki krzewionymi przez prawo rzymskie, wywoływały szczególne jego oburzenie. Pisarz bezlitośnie piętnował również służalczy stosunek bolszewików wobec Niemców: „Tymczasem w Brześciu Litewskim generałowie niemieccy naigrawają się z delegacji rosyjskiej, która jest śmieszna i naiwna. (…) Śmiano się i drwiono z ich min proletariackich, z głupoty niektórych delegatów podpisujących się pod protokołami znakiem krzyża”[160].

W roku 1944 władza ludowa starała się pozyskać uznanego pisarza, jednak jej zabiegi spełzły na niczym. Parandowski, mimo że był świadomy zagrożenia związanego z treścią swojej młodzieńczej publikacji, nigdy nie zapragnął asekuracji i nie wystąpił z żadną deklaracją o charakterze politycznym. W przeciwieństwie do pokaźnej gromady innych ludzi pióra, których śliski serwilizm wobec nowego ustroju przechodził niekiedy wszelkie granice przyzwoitości i dobrego smaku. Maria Dąbrowska (1889-1965), głęboko przekonana o tym, że prowadzony potajemnie pamiętnik da alibi jej wypowiedziom oficjalnym, pisała po śmierci Stalina: „Grom nieubłaganych praw przyrody zakończył życie Józefa Stalina. (...) Setki milionów prostych, pracujących ludzi zawdzięczają Stalinowi, że wydobył ich z półsnu historycznego do pełni ludzkiego życia świadomie

---

159 Cyt. za: *ibidem*, s. 327.

160 *Ibidem*, s. 328. Por. J. Stępowski, *Zapiski dla zjawy*, przeł. J. Zieliński, Warszawa 2004, s. 30-31: „W trakcie późniejszych rokowań, dotyczących delimitacji granic, generał Skałłon, doradca wojskowy delegacji rosyjskiej, były oficer sztabu armii carskiej, popełnił samobójstwo. Pod pretekstem szukania mapy wyszedł z sali, w której przebywali delegaci, i zabił się strzałem z pistoletu. Na stole pozostawił kopertę zaadresowaną do żony i zawierającą skrawek papieru ze słowami: »Nie mogę dłużej żyć«. Niemcy pochowali Skałłona w Brześciu, z honorami należnymi marszałkowi. Po jego śmierci w delegacji rosyjskiej pozostali jedynie wojskowi awansowani przez rewolucję, których niemieccy oficerowie traktowali z wyniosłą pogardą. Podczas ceremonii pogrzebowej bolszewicki kamandir podał rękę generałowi Groenerowi, który uścisnął ją po krótkim wahaniu, po czym z odrazą zdjął rękawiczkę i upuścił na ziemię. Znam ten szczegół od generała Seehorscha, który był naocznym świadkiem zdarzenia”.

budującego swe dzieje". Przebywający wówczas na emigracji, Jan Lechoń z niesmakiem odnotował: „Ciekaw jestem, co by powiedziała, gdyby jej to pokazać po »wyzwoleniu«. Że musiała, że dla chleba? Dlaczegóż więc Parandowski niczego takiego nie napisał?"[161].

Podsumowanie

„Europejski pisarz, przywiązany do klasycznych tematów i form – a mimo to prawie nieznany w Niemczech? – dziwił się Marcel Reich-Ranicki – Nie pomimo, lecz właśnie dlatego. Co oznacza: kto pielęgnował i zachowywał europejską tradycję za pomocą klasycznych i klasycystycznych środków w swojej polskiej ojczyźnie i położył na tym polu wielkie zasługi, nie był dla niemieckiego czytelnika szczególnie oryginalny. (…) U jednego z wielkich polskich poetów można przeczytać, że »nie czas żałować róż, gdy płoną lasy«. I tak niejeden uśmiecha się z pobłażaniem na myśl o pisarzu takim, jak Jan Parandowski. Ale nie zapominajmy, co ludzkość ma do zawdzięczenia tym, którzy jeszcze po wiekach opłakują śmierć poety"[162].



Dziedziniec KUL. Okres międzywojenny

Święte słowa. Pamiętać zaś o wielkim pisarzu powinno zwłaszcza środowisko lubelskie. Jan Parandowski wykładał na KUL-u, gdzie był kie-

---

161 Oba cytaty za: A. Bikont, J. Szczęsna, *Dzień, w którym umarł Stalin*, „Gazeta Wyborcza" z 19 lutego 2000 roku – http://niniwa2.cba.pl/towarzysze_nieudanej_podrozy_05.htm.

162 M. Reich-Ranicki, *op. cit.*, s. 85-86.

rownikiem Katedry Kultury Antycznej, a potem Literatury Porównawczej. Do roku 1948 mieszkał w służbowym mieszkaniu, w wydzielonej części uniwersyteckiego budynku przy Alejach Racławickich. Podkreślić należy, że od pewnego momentu „chałtura" tego rodzaju nie była dla niego życiową koniecznością. „Była chwila – pisze Jerzy Starnawski (1922–2012) – gdy Lehr-Spławiński, rektor UJ, szczególnie dbały o dopełnienie kadry w swej uczelni po uszczupleniu wojennym, proponował Parandowskiemu katedrę w Krakowie. Odpowiedź brzmiała: »Idąc korytarzem do sali wykładowej w murach KUL, nie spotykam nikogo innego prócz przyjaciół«. Katedry UJ nie przyjął"[163]. Uniwersytet docenił swojego profesora, nadając mu w roku 1975 doktorat *honoris causa*. To jednak mało. Parandowski zasługuje na więcej!

[163] J. Starnawski, *Sylwetki lubelskich humanistów XIX i pierwszej połowy XX wieku*, Lublin 2004, s. 232.

Rozdział IV

O RECEPCJI INACZEJ

1. SYLWESTROWY SPLEEN GREGORA JELLINKA

Nikomu, kto choć trochę uważał na wstępie do prawoznawstwa, Georga Jellinka (1851-1911) przedstawiać nie trzeba. Dlatego jego intelektualna sylwetka scharakteryzowana zostanie w nieprzyzwoitym skrócie: wybitny teoretyk prawa, znawca prawa publicznego, rektor uniwersytetu w Heidelbergu, jeden z filarów pozytywizmu prawnego w Niemczech. Przedmiotem naszego nim zainteresowania nie będą jednak tym razem uczone traktaty, ale… list prywatny. Wśród jego niezwykle ciekawej korespondencji z Wiktorem Ehrenbergiem (1851-1929) jedno pismo zasługuje na szczególną uwagę. Jellinek napisał je w oczekiwaniu na trzeci egzamin doktorski (tak zwane rygorozum), nadający tytuł doktora praw. Dzień przed zakończeniem starego roku, zwierza się w nim ze swoich poglądów na wiele kwestii. Wśród poruszonych problemów nie zabrakło i rzymskiego prawa. Postawa, którą Jellinek prezentuje wobec dorobku antycznej myśli prawnej jest, powiedzmy…, dosyć typowa…

Treść listu

Wiedeń, 31 grudnia 1873 roku

Drogi, dobry Przyjacielu,

19 grudnia złożyłem drugie rygorozum. Oto historia moich ostatnich tygodni. Najpierw przerwane święta wielkanocne, potem nieodzowne zmęczenie, a ponieważ koniecznie przed Bożym Narodzeniem chciałem

się uwolnić od klasycznego zaduchu prawa rzymskiego, kanonicznego i niemieckiego, musiałem tę sprawę nieco forsować. Dlatego całe moje zainteresowanie skupiło się na wyświęcanych biskupach, *fures nec manifesti*, krewnych po kądzieli i podobnych osobistościach. Humor na temat pretora miejskiego, który boską ironią pobrzmiewał w moim ostatnim liście, szybko ustąpił przed elegijnym odczuciem, któremu Scheffel dał tak wspaniały wyraz w „Trębaczu". To jednak okropne, że po dwóch tysiącach lat wciąż musimy spoglądać na pokryte kurzem foliały Papiniana i Ulpiana jak na najwyższą mądrość. Kiedy nowe uwarunkowania społeczne wymuszają nowy rodzaj stosunku prawnego, dzisiejszy prawnik, jak gdyby nie istniała cała prawotwórcza moc ludzkości, z nabożną miną poszukuje opatrznościowego miejsca w Digestach, które niczym za wypowiedzeniem czarodziejskiego zaklęcia ma rozwiązać kłopotliwą zagadkę. Klasyczny przykład na to, jak daleko może sięgać to schorzenie ustaw i praw, daje jedno miejsce z austriackiego kodeksu cywilnego. Znajduje się tam mianowicie regulacja, zgodnie z którą, jeżeli ktoś znajdzie skarb w nieuczciwy sposób, zasługuje tym samym na karę. To przecież nic innego jak rzymski zakaz używania czarów przy poszukiwaniu zakopanych skarbów! Jedynym człowiekiem, który pojął prawdziwe znaczenie prawa rzymskiego, jako wielkiego historycznego tworu, a nie niezniszczalnego pałacu wiecznych dogmatów, był Jhering. Jego »Duch prawa rzymskiego« jest tak bogaty we wnioski filozoficzne i duchowe, że aż trudno uwierzyć, iż powstały w oparciu o suche stronice Gajusa. Jest on jednym z niewielu prawników, którzy posiadają gruntowne filozoficzne wykształcenie, bez którego nie da się stworzyć nic trwałego.

Czy Twój list z 1 grudnia wskazuje na zauważalną zmianę w Twoim wnętrzu? Spinoza umarł, niech żyje Grzegorz z Tours! To mniej więcej wynika z Twoich linijek. Nie chcę zbliżać się do tego frankijskiego starca mówiącego czwartorzędną łaciną, ale w Twoich dotychczasowych zainteresowaniach nie mogę odnaleźć nic, co mogłoby upoważniać Cię do znalezienia u pana Grzegorza źródła »zajęcia, które nigdy nie męczy«. Nieskończenie cieszę się z Twojego germańskiego dzieła, które ukazało się w 1875 roku. Myślę jednak, że w innych dziedzinach możesz osiągnąć tyle samo albo i więcej. Co się zaś tyczy Twoich wersów, to są one co najmniej tak dobre, jak któregoś z żyjących obecnie poetów i kto wie, czy w XX wieku jakiś zachwycony apologeta omówiwszy i objaśniwszy je,

nie odnajdzie wszystkich tendencji właściwych dla wieku XIX. Nudzisz się mój Przyjacielu. Widzę, że jestem Ci potrzebny. Nie łam sobie głowy, zdaj egzamin i „na świeże powietrze, ze swobodnym umysłem, w skupieniu zwracając się do słonecznego światła". Wzbij się na wyżyny nauki, co uraduje Twe serce, i zostaw w spokoju stare księgi. Prawnikiem trzeba się urodzić, jak poetą. Jeżeli nie czujesz w sobie powołania do Savigny'ego, zostań asesorem i pisz o literaturze włoskiej. W ten sposób »zrobisz coś dla ludzkości« i nie będziesz musiał robić sobie wyrzutów. Opanuj przynajmniej zbliżone do studiów prawniczych pole nauk społecznych. Tam w końcu tętni życie, tam wszystko jest teraźniejszością i prawdą. Nie pokrywają go pleśń i kurz ubiegłych stuleci.

Strzeż się jedynie zgubnego błędu wielu, by uważać za pomyłkę krótki sen młodzieńczego, choćby i teoretycznego tylko idealizmu. To przypuszczalnie najlepsza rzecz, jaką życie ma nam do zaofiarowania.

W tych dniach otrzymałem właśnie wydane dzieła zebrane Schopenhauera i, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, zobaczyłem, że Frauenstädt w przedmowie zupełnie przypadkowo zajmuje się mną i cytuje całą stronę z moich dzieł, do czego robi jeszcze krytyczne uwagi. Wyszedłem na tym dużo lepiej niż Zeller i Strauß, których straszliwie wyklina, podczas gdy mnie uznaje przypuszczalnie za zbłąkaną owcę, która może zostać jeszcze zwrócona na drogę pesymistycznej cnoty. Pomyśl tylko, każdy podlotek, który przez metafizykę będzie chciał się podszkolić w miłości cielesnej, przeczyta moje imię. Każdy twórca nowej idei, który z gruzów katastrofy będzie poszukiwał ratunku w „duchowości", potknie się o mnie jak o przeszkodę na drodze do zamierzonego celu! Wskutek tego wydarzenia kupiłem sobie parę nowych rękawiczek, aby godnie przechadzać się w glorii nieśmiertelności.

W czasopiśmie wydawanym przez miejscowy fakultet (możesz je przeczytać w swojej bibliotece) ukazała się bardzo ciepła krytyka na temat naszego przyjaciela Zitelmanna, napisana przez radcę dworu Haruma. Twój raport z Heidelbergu sprawił, że odszedłem od szorstkich sądów o nim, a przy okazji chciałbym do niego napisać, ale nie wiem, gdzie teraz przebywa. Przedwczoraj napisałem do Wildebranda, a od miesięcy oczekuję na odpowiedź od Tüngela. Podczas niedawnej orki nie byłem w stanie napisać jednej linijki.

Obecnie praca przed ostatnim rygorozum powoli posuwa się do przodu. Będę czuł się niczym nowo narodzony, kiedy marcowy wietrzyk wraz

z wiosną przyniesie mi wolność. To zawierzam mej poczciwej pamięci, że trzeba jeszcze opanować tysiące paragrafów, które stoją teraz przede mną.

Dziś dobiega końca rok, w którym Ty, świeżo ozdrowiały, przybyłeś do Lipska, podczas gdy ja cierpiałem przyciśnięty melancholią. Jak dużo zmieniło się w tym krótkim czasie! Spiżowe ramię przeznaczenia odcięło nas od siebie, stawiając nowe cele w naszych dążeniach, a przed Tobą nowe egzaminy. Stojąc na końcu roku, kierujemy swe spojrzenia wstecz oraz naprzód, widząc przyjaciół, nadzieje, rozczarowania, głupstwa przeszłości i na próżno wpatrujemy się w nieprzeniknioną ciemność przyszłości. Aby przyniosła nam radosny dzień spotkania!

Niech Ci się wiedzie mój drogi, dobry, jedyny Przyjacielu! Pozdrów ode mnie swoich rodziców i odpowiedz szybko.

Twój
Georg Jellinek

Skąd ten stres?

W tonie listu wyraźnie wyczuwa się napięcie związane z czekającym autora egzaminem. To bardzo niemiecko-austriackie podejście do rzeczy. Aby zrozumieć, co czuł nadawca listu, należy krótko objaśnić zasady, na których przyznawano tytuły doktorskie w Austro-Węgrzech. Pomocne okazują się w tym barwne pamiętniki Andrzeja Mycielskiego (1900-1993). Ich autor przystępnie wyjaśnia: „Cały materiał czteroletnich studiów obejmował trzy główne działy: historyczny, sądowy i polityczny – z odpowiadającymi im trzema egzaminami, tzw. państwowymi, oraz trzema, powtórkę tamtych stanowiącymi, rygorozami. Absolwent, który miał już za sobą trzy egzaminy pierwszego typu, stawał się w sensie urzędowym dyplomowanym prawnikiem, uprawnionym do służby państwowej. O ile złożył jeszcze trzy rygoroza (z tego samego materiału, ostrzej nieco traktowanego), otrzymywał bez żadnej pracy pisemnej tytuł doktora obojga praw – *utriusque iuris*. Wówczas również kariera naukowa stała przed nim otworem.

Tak to wyglądało i byłoby jeszcze do przyjęcia, gdyby nie jedno zasadnicze „ale". Spośród sześciu przewidzianych dwojakiego typu egzaminów jeden tyko państwowy – historyczny – składał student po trzecim semestrze, a do pięciu następnych przygotowywał się dopiero po absolutorium, a więc zakończeniu już właściwych czteroletnich studiów. W rezultacie na pierw-

szym roku nie robił on w ogóle nic, na drugim niewiele, a na trzecim i czwartym znów zgoła nic. Dopiero rok piąty – kiedy formalnie nic go już z uczelnią nie łączyło – był dla niego rokiem obłędu, wtedy dopiero kuł potępieńczo, ale faktycznie i wówczas do pogłębienia wiedzy nie dążył – wiedzy w sensie autentycznym. Nie chodziło bynajmniej o to, aby się czegoś naprawdę nauczyć, lecz aby szybciej »odwalić« czy »odfajkować« ten czy inny przedmiot. Była to walka o dyplom i dla większości absolwentów nic ponadto"[1].

Po tych szczerych do bólu wywodach jakoś lepiej jesteśmy w stanie pojąć, jakiż to wietrzyk i jaką wolność miał na myśli nadawca listu.

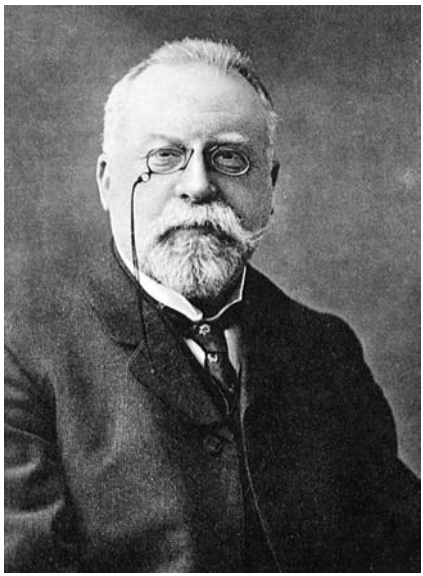
Piękna przyjaźń

Jellinek i Elzenberg byli rówieśnikami. W chwili napisania zacytowanego wyżej listu mieli po dwadzieścia dwa lata. Uwag na temat prawa rzymskiego nie warto komentować, zgodnie z mądrą zasadą „na grubiaństwa nie odpowiadamy". Zresztą pismo miało charakter prywatny, a stresy, którym nieustannie był wówczas poddawany jego nadawca, z pewnością przyczyniły się do zradykalizowania pewnych sądów.



Georg Jellinek w wieku dojrzałym

[1] A. Mycielski, *Chwile czasu minionego*, Kraków 1976, s. 166.



Wiktor von Ehrenberg w wieku dojrzałym



Rudolf von Jhering

Warto jednak zwrócić uwagę na coś innego. Młody prawnik pochwalił (bardzo słusznie zresztą) dwóch uczonych ważnych dla historii romanistyki. Pierwszym z nich był Rudolf von Jhering (1818-1892), autor monumentalnego dzieła zatytułowanego „Duch rzymskiego prawa". Jellinek zweryfikował również na korzyść swoje sądy na temat Ernsta Zittelmanna (1852-1923), jednego z najwybitniejszych dogmatyków prawa cywilnego tamtych czasów oraz ojca prawa międzynarodowego prywatnego. Nie wiadomo, do którego z tej dwójki Elzenberg pałał większą sympatią. W każdym razie, po latach, poślubił córkę von Jheringa – Helenę.

List powyższy, choć trudno go uznać za apologię prawa rzymskiego, dedykuję wszystkim doktorantom uprawiającym naszą dyscyplinę. Życzę Wam dyskusji o zbliżonej głębi i dobrych przyjaciół, bo bez nich przecież nie będą one możliwe.

2. POJAWIENIE SIĘ KOBIET W ADWOKATURZE A KŁOPOTLIWY BALAST RZYMSKIEGO PRAWA

Zgodnie z Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej kobieta i mężczyzna posiadają identyczne prawa w życiu rodzinnym, politycznym, społecznym i gospodarczym, co sprawia, że przedstawiciele obu płci mają równe prawo do kształcenia, zatrudnienia, awansów, jednakowego wynagrodzenia za pracę tej samej jakości itd.[2] Zapis ten od dawna nikogo nie dziwi, a panie robią kariery we wszystkich sektorach życia publicznego, nie wyłączając adwokatury. Warto wszakże pamiętać, że zjawisko powszechnego wykonywania przez nie zawodu obrońcy jest stosunkowo młode. Przedstawicielki płci pięknej stoczyły długą i zaciętą batalię o dostęp do tej profesji.

Późne zwycięstwo

Wszelkie próby złamania społecznego tabu związanego z pracą zawodową kobiet, zwłaszcza w zawodach powiązanych z wymiarem sprawiedliwości, od wieków niezmiennie spotykały się ze zdecydowanym oporem ze strony mężczyzn.

---

[2] Art. 33 ust. 1-2 Konst.

Problemy pojawiały się jeszcze na etapie planowania przyszłości. Wszak, aby pracować w charakterze adwokata, należy najpierw skończyć specjalistyczne studia. Tymczasem kiedy w roku akademickim 1884/1885 jeden z paryskich wydziałów prawa po raz pierwszy przyjął w poczet swych studentów dwie panie, kadra odniosła się do tego kroku nader nieżyczliwie, a one same miały trudności nawet ze wstępem do wydziałowych budynków ze względu na… nieprzejednaną postawę portiera. W Niemczech kobiety zaczęto przyjmować na prawo dopiero w 1908 roku.

Nie inaczej było na naszych ziemiach. W uchwale z 1900 roku przyjętej niemal jednogłośnie przez komisję powołaną na Uniwersytecie Jagiellońskim dla zbadania, czy panie są zdolne studiować prawo, czytamy:

„Kobiety ze względu na szczególne właściwości ich temperamentu i ich uzdolnienia umysłowe nie posiadają odpowiedniej kwalifikacji, aby z pożytkiem dla dobra publicznego spełniać ważne obowiązki sędziego, prokuratora, adwokata lub urzędnika administracyjnego, a więc aby móc po studiach prawniczych obrać jakąkolwiek z tych najważniejszych karier, do których właśnie te studia mają otworzyć drogę. (…) Z uwagi na to wydział większością głosów uznał, że dopuszczenie kobiet do studiów prawniczych byłoby środkiem nieprowadzącym do żadnego rozumnego celu, a mogłoby tylko wpłynąć szkodliwie na racjonalne przeprowadzenie w życiu społecznym podziału pracy ekonomicznej”[3]. Zbliżone stanowisko jeszcze przez długi czas prezentowali liczni uczeni z uniwersytetów we Lwowie i Warszawie.

Szczęśliwie barierę tę udało się rychło pokonać. Umożliwienie kobietom studiowania prawa nie rozwiązało wszakże problemu, gdyż w wielu europejskich państwach obowiązywał zakaz wykonywania przez nie zawodów prawniczych. Carski ukaz z 1874 roku kategorycznie zakazywał kobietom występowania przed sądem nawet w charakterze pomocniczek adwokatów przysięgłych. W Niemczech od 1878 roku w obliczu postępującej emancypacji wydano specjalny akt prawny zakazujący kobietom pracy adwokata. Posiadająca gruntowne prawnicze wykształcenie Włoszka Lidia Poët (1855-1930) w uzasadnieniu sądu apelacyjnego w Turynie, podtrzymującego decyzję zabraniającą jej praktyki adwokackiej, mogła przeczytać: „Byłoby niestosowne i prostackie oglądać kobiety wstępujące do palestry adwokatów, rzucające się pośród wrzasku rozpraw, wdające

[3] Cyt. za: Z. Milewski, *Zanim kobieta została adwokatem*, „Palestra” nr 1-2 (2002), s. 99.

się w dyskusje, które łatwo przekraczają granice dobrego smaku i w których mogłyby zostać potraktowane inaczej niż wypada wobec płci bardziej delikatnej". Sędziowie zwrócili również uwagę na wątek estetyczny. Ich zdaniem powaga urzędu sądowego obrońcy wiele straciłaby, gdyby kobiety nosiły togę i biret, kierując się obowiązującą modą i dobierając do nich wymyślne fryzury[4].



Helena Wiewiórska, adwokat. Pierwsza kobieta wpisana na listę polskiej palestry

A jednak mimo licznych „obaw" paniom udało się w końcu zdobyć przyczółek w adwokaturze. Wspomniana Lidia Poët rozpoczęła karierę adwokacką w 1883 roku. W Stanach Zjednoczonych pierwszą kobietą, która po długich bataliach zyskała w 1892 roku licencję na występowanie przed sądem, była Myra Bradwell (1831-1894). We Francji perspektywa robienia kariery adwokackiej otworzyła się przed paniami w 1900 roku, w Niemczech dwadzieścia dwa lata później. W tym ostatnim państwie pierwszą kobietą wpisaną na listę adwokatów była „asesorka panna Maria Otto". W niepodległej Polsce palma pierwszeństwa przypada Helenie Wiewiór-

4 Por. E. Ollandi, *Le donne e l'avvocatura*, Genowa 1913, s. 244 i n.

skiej (1888-1967), wpisanej na listę w 1925 roku. Tymczasem na pierwszego żeńskiego prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej, którym została mecenas Maria Budzanowska (1930-1988), musieliśmy czekać do 1982 roku.

A wcześniej? No cóż, uczciwie należy stwierdzić, że przez wieki panie padały ofiarą stereotypów, uprzedzeń oraz strachu mężczyzn, którzy obawiali się zdominowania rynku przez zdolniejsze koleżanki. Jak już powiedziano, w zależności od państwa nowe perspektywy zawodowe faktycznie otwarły się przed nimi dopiero w pierwszej połowie XX wieku. Mało kto zdaje sobie wszakże sprawę, że jeżeli chodzi o występowanie przed sądem, to kobiety nie uzyskały, ale odzyskały prawo, którego były pozbawione przez blisko dwa tysiące lat!

Trudne początki

W poszukiwaniu źródeł dyskryminacji kobiet na polu zawodowym należy cofnąć się daleko, aż do patriarchalnej starożytności. W antycznym Rzymie, który obieramy za punkt odniesienia do dalszych rozważań, podobnie jak we wszystkich niemal starożytnych społeczeństwach (chwalebny wyjątek stanowią Celtowie), przed kobietą stawiano dwa podstawowe zadania: urodzenie „legalnych" dzieci (najlepiej synów) oraz opiekę nad domem. Od reszty spraw trzymano je z dala. Nic zatem dziwnego, że w inskrypcji nagrobkowej rzymskiej matrony imieniem Murdia czytamy, iż kobietom trudno zasłużyć na jakieś niestandardowe pochwały, gdyż ich życie „nie jest bogate w wydarzenia"[5].

Uczciwie należy podkreślić, że jak od każdej zasady, również i od tej, istniały wyjątki. Społeczeństwo rzymskie cechował jednak na tym polu dużo większy konserwatyzm niż przykładowo monarchie hellenistyczne, w których więcej swobody miewały królowe i niekiedy królewskie córki. Do tych ostatnich należą Artemizja z Halikarnasu, która była kapitanem okrętu[6], czy Iliryjka Cynna, która zasłynęła jako uzdolniony dowódca[7]. Do grupy kobiet nietuzinkowych zaliczyć można także Spartankę Cyniskę czy królewską faworytę Bilistiche – udało im się zwyciężyć w wyścigach rydwanów[8].

---

5 CIL 6.10230.

6 Herod. 8.87-88.

7 Aten. *deinosoph*. 13.560 F.

8 Arist. *Ath. polit*. 13.16; P. Oxy. 2082.



Scena sądowa (Honore Daumier)

Niemniej również z pochodzących z czasów rzymskich inskrypcji nagrobkowych dowiadujemy się, że niektóre panie miały dosyć dużą swobodę w zarządzie majątkiem. Inne, jak żona pewnego lekarza z Pergamonu, z powodzeniem zajmowały się medycyną. W epitafium ułożonym przez męża wspomnianej Greczynki czytamy niezwykłe jak na owe czasy wyznanie: „Sprawiłaś, że nasza sława lekarska rozeszła się szeroko – choć byłaś kobietą, nie ustępowałaś mi umiejętnościami”[9]. Sylwetki tych i innych, wcale zresztą nie tak licznych kobiet, zapamiętano właśnie dzięki temu, że potrafiły wyłamać się z szablonu, który narzucało im społeczeństwo.

Co do sytuacji prawnej przedstawicielek płci pięknej w Rzymie, to niewiele przesady znajduje się w opinii jednego z wiodących rzymskich prawników, Papiniana (zm. 212), który twierdzi: „W licznych artykułach naszego prawa pozycja kobiet jest gorsza niż mężczyzn”[10].

Na gruncie prawa prywatnego każda kobieta, która nie znajdowała się pod władzą swego ojca lub męża, musiała posiadać opiekuna, który autoryzował wszelkie czynności prawne, których dokonywała na swoim własnym majątku. Cyceron tłumaczy ten fenomen w sposób dosyć typowy: „Przodkowie pragnęli, by każda kobieta z powodu słabości umysłu

9 Cyt. za: M.R. Lefkovitz, *Heroines and Histerics*, London 1981, s. 27.

10 D. 1.5.9.

znajdowała się pod władzą opiekuna”[11]. Podobnym tropem podąża jurysta Gajusz: „Przodkowie chcieli bowiem, by nawet pełnoletnie kobiety znajdowały się pod opieką ze względu na swoją lekkomyślność” (*animi levitas*)[12]. Dosadniej rzecz wyjaśnia anonimowy autor dziełka *Tituli ex corpore Ulpiani*: „Opiekunów nadaje się zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Jednak niepełnoletnim mężczyznom jedynie z powodu niedoświadczenia wynikającego z ich wieku. W przypadku kobiet opiece podlegają niedojrzałe i dojrzałe z powodu słabości płci oraz nieznajomości kwestii prawnych”[13]. Mimo że wspomniany Gajusz uważał przytoczony wyżej argument za raczej płytki[14], to jednak obowiązek pozostawania kobiet pod opieką *de iure* utrzymał się aż do czasów Konstantyna I (IV w.). Władca ten, nawiasem mówiąc, również nie miał o nich najlepszego zdania. W konstytucji z 326 roku nazywa je „pozbawionymi umiaru” (*immoderatae*)[15].



„Wszystko będzie dobrze” (Honore Daumier)

11 Cic. *pro Mur*. 27.
12 Gai. 1.144.
13 *Tit. ex. corp. Ulp*. 11.1.
14 Gai. 1.190.
15 CJ 5.37.22.5.

W źródłach prawniczych często wyczuwa się ton przyjaznej pobłażliwości, z którą cesarze oraz autorzy uczonych traktatów odnoszą się do damskiej „prostoduszności". Częstym zabiegiem „stylistycznym" jest sprowadzanie możliwości intelektualnych pań oraz ich znajomości zagadnień prawniczych do poziomu osób niepełnoletnich. Paulus, poruszając skądinąd fundamentalny problem wpływu błędu na skuteczność czynności prawnej, wyjaśnia: „Zasadą prawną jest, że nieznajomość prawa szkodzi, a nieznajomość stanu faktycznego nie. (…) Dozwala się nie znać prawa osobom poniżej 25. roku życia. Podobny sąd wyrażany jest na temat kobiet ze względu na niestałość płci" (*infirmitas sexus*)[16]. W innym dziele tego samego autora czytamy: „Małoletniemu poniżej 25. roku życia przychodzi się z pomocą oraz być może kobiecie z powodu niedoświadczenia" (*imperitia*)[17]. Kiedy w 294 roku bliżej nieznana Amfia zwróciła się o poradę do cesarskiej kancelarii, w udzielonej odpowiedzi urzędnicy cierpliwie rozpoczęli swój wywód od znaczącego wstępu: „Jeżeli ktoś nieznający prawa…" (*ius ignorans*)[18].

Jedynie okazjonalnie etykietka stworzenia o genetycznie zaniżonym ilorazie inteligencji, notorycznie przypinana rzymskim kobietom, okazywała się przydatna. W konstytucji wydanej w Ankarze w 397 roku cesarze Arkadiusz i Honoriusz oświadczyli konsulom, którzy mieli problem z pewną sprawą spadkową: „Rozstrzygnięcie powinno być łagodniejsze w stosunku do kobiet, które, jak ufamy, wskutek słabości płci (*infirmitas sexus*) ważą się na mniej [niż mężczyźni – M.J.]"[19].

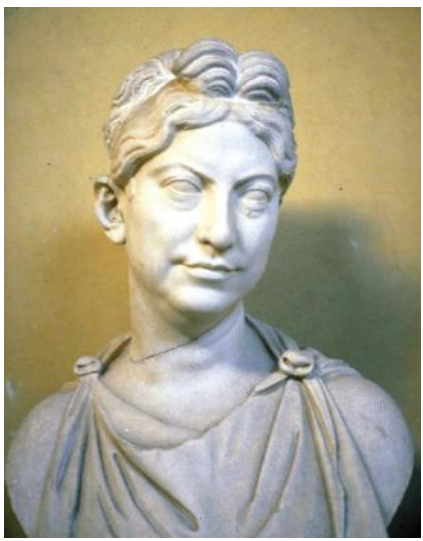
Prywatnoprawna pozycja kobiet w państwie rzymskim bez wątpienia rzutowała na ich status w świetle przepisów prawa publicznego. Ich wielowiekowe doświadczenie na tym polu, a raczej jego brak, zamyka lakoniczne oświadczenie nadwornego prawnika dynastii Sewerów, Domicjusza Ulpiana: „Kobiety wykluczone są ze sprawowania wszystkich funkcji prywatnych oraz publicznych i z tego powodu nie mogą być sędziami, piastować urzędów, występować z powództwami, bronić innych ani występować w charakterze pełnomocnika"[20].

---

16 D. 22.6.9 *pr*.
17 D. 2.8.8.2.
18 CJ 1.18.10.
19 CJ 9.8.5.3.
20 D. 50.17.2 *pr*.

Siła przebicia kobiet w męskim świecie

Przesadą byłoby twierdzenie, że panie nie miały żadnego wpływu na to, co się działo w rzymskim ustawodawstwie oraz wymiarze sprawiedliwości. Wiele zależało od ich pozycji społecznej oraz zainteresowania sprawami publicznymi. Kobiety należące do wąskiej grupy arystokratek niejednokrotnie zakulisowo rządziły państwem. Cezarobójca Brutus był bardzo związany ze swą matką Serwilią (190 r. p.n.e. – 42 r. p.n.e.). Tajemnicę poliszynela stanowiło przemożne oddziaływanie Terencji (ok. 98 r. p.n.e. – 4 r. n.e.) na Cycerona. Podobnie mówiono o żonie Oktawiana Augusta – Liwii (58 r. p.n.e. – 29 r. n.e.). Małżonka Klaudiusza, Messalina (17-48), ostentacyjnie ustawiała swe krzesło obok miejsca, w którym jej mąż sprawował wymiar sprawiedliwości, przyjmował posłów itd. Mamy również przykłady forteli stosowanych przez rzymskie damy w celu wysondowania tego, co działo się w rzymskim senacie.



Portret Rzymianki

Ponadto zdarzały się przypadki zbiorowego wywierania presji, podejmowane przez przedstawicielki płci pięknej w ich wspólnym interesie. Najbardziej znanym tego przykładem jest protest przeciw utrzymaniu w mocy postanowień uchwalonej w roku 215 p.n.e. *lex Oppia* (swoją dro-

gą historia ta powiela liczne stereotypy). Przyjęta w warunkach wojny z Hannibalem ustawa zakazywała kobietom noszenia biżuterii ważącej więcej niż 13,644 g (pół uncji), strojenia się w barwne szaty oraz używania zaprzęgów w mieście. Kiedy niebezpieczeństwo związane z kartagińską inwazją minęło, senat zebrał się, by zdecydować, co dalej z narzuconymi ongiś restrykcjami. Większość głosujących była za ich zniesieniem, jednak stosowna uchwała nie przeszła na skutek weta zgłoszonego przez dwóch trybunów ludowych. „Następnego dnia – jak pisze Liwiusz – wielka liczba kobiet wyległa na ulice i wspólnie obsiadła bramy wejściowe do domów Brutusów, którzy zablokowali wniosek kolegów, i nie odstąpiły, zanim trybuńskie weto nie zostało cofnięte”[21].

Światełko nadziei

W sprawach karnych przez długi czas kobiety nie mogły występować nawet jako oskarżone (*sic*!). W razie podejrzenia popełnienia przestępstwa obowiązek zbadania sprawy i ewentualnego ukarania winowajczyni spadał na jej najbliższych krewnych, którzy zbierali się jako tzw. rodzinny sąd (*iudicium domesticum*). Jeżeli rada uznała winę oskarżonej, ta mogła spodziewać się nawet śmierci. Do sporadycznych wyjątków należą sprawy rozpatrywane przez specjalne komisje śledcze (*quaestiones extraordinariae*), powoływane w chwilach poważnego zagrożenia bezpieczeństwa publicznego. Nawet jednak te organy, wydawszy wyrok skazujący na karę główną, przekazywały winowajczynie rodzinom, by we własnym zakresie odebrały im życie[22].

Sytuacja zmieniła się w niespokojnym okresie schyłku republiki rzymskiej (I w.). Wtedy to obok funkcjonującego dotychczas sądownictwa, sprawowanego przez sądy domowe oraz zgromadzenia ludu, pojawiły się trybunały przysięgłych, przed którymi mogły się pojawiać kobiety. Cyceron z emfazą podkreślał, że w sprawach dotyczących skrytobójstw i otruć, do czego, nawiasem mówiąc, kobiety miały posiadać szczególne predyspozycje, „wzywa się przed sąd wszystkich mężczyzn, kobiety, wyzwoleńców i niewolników”[23]. A jednak widok przedstawicielki płci

21 Liv. 34.1-8.
22 Por. Liv. 39.18.
23 Cic. *pro Cluent*. 148.

pięknej przed sądem, nawet w charakterze oskarżonej, nadal stanowił rzadkość. Ten sam Cyceron w mowie wygłoszonej w obronie Celiusza wykrzykiwał, że nigdy do głowy nie przyszłoby mu toczenie sporów z kobietami[24].

Faktyczne pojawienie się kobiet przed trybunałami przyniosło ostatnie półwiecze przed naszą erą, naznaczone krwawymi wojnami domowymi i prześladowaniami politycznymi, w których życie stracił kwiat arystokracji rzymskiej. Żony i krewne mężczyzn, których aktualna władza uznała za swych wrogów, zostały pozostawione same sobie. Ich mężowie i ojcowie nie żyli lub znajdowali się daleko. Pozostali krewni bali się występować w ich imieniu, by nie narazić się na zarzut sprzyjania wrogom państwa. W tych warunkach panie nie miały innego wyjścia, jak wziąć sprawy w swoje ręce.

W anonimowej mowie pogrzebowej powstałej około 8 roku mąż wśród licznych dokonań zmarłej żony wymienia także to: „Zostałaś osierocona nagle przed dniem naszych zaślubin, kiedy oboje twych rodziców razem zamordowano na wiejskim pustkowiu. Ponieważ ja wcześniej udałem się do prowincji Macedonia, a mąż twojej siostry, Kluwiusz, wyruszył do prowincji Afryka, to głównie dzięki twoim staraniom ich śmierć nie pozostała niepomszczona. Tak energicznie spełniłaś powinność córki, wysuwając usilne żądania i dochodząc sprawiedliwości, że nawet gdybyśmy byli obecni na miejscu, nie udałoby się nam zdziałać więcej”[25].

To niejedyny przykład sukcesu odniesionego wówczas przez kobietę przed sądem. Waleriusz Maksymus (I w.) w zbiorze anegdot zatytułowanym „O słynnych czynach i powiedzeniach” opisał kolejny proces karny: „Mezja z Sentinum, oskarżona przed pretorem Lucjuszem Titiuszem w obecności licznie zgromadzonego tłumu, broniła się sama, przechodząc przez wszystkie stadia obrony nie tylko ze znawstwem, ale również mężnie, i niemal jednogłośnie została uwolniona od zarzutów już w pierwszym głosowaniu. Ponieważ pod żeńską powłoką posiadała męskiego ducha, nazywano ją babochłopem” (*androgyne*)[26]. Na końcu wywodu nieprzypadkowo pojawia się grecki termin *androgyne* (hermafrodyta, oboj-

24 Cic. *pro Cael.* 13.32.
25 *Laudatio Turiae* 1.3-9.
26 Val. Max. 8.3.1.

nak, babochłop). Osoby o nieustalonej płci budziły przerażenie Rzymian. Uśmiercano je natychmiast po odkryciu u nich męskich i żeńskich organów płciowych. Przydomek, który nadano Mezji, nie był zatem jedynie obelgą. W jego brzmieniu czaił się zabobonny strach i groźba.

Inna przedsiębiorcza pani, korzystając z chwilowej koniunktury, zaczęła nie tylko występować przed sądem we własnym imieniu, ale również ośmieliła się reprezentować innych! Aktywnie realizowała się zarówno w sprawach karnych, jak i cywilnych. Tego było już za wiele… Ale nie uprzedzajmy faktów. Oto jej historia: „Karfania, żona senatora Licyniusza Bukcjonisa, wciąż była gotowa wziąć udział w rozprawie sądowej i zawsze osobiście przemawiała przed pretorem we własnej sprawie. Nie dlatego, że brakowało adwokatów, ale ponieważ zbywało jej na bezwstydzie. W ten sposób, wbrew ustalonym zwyczajom panującym na forum, osaczając trybunały swym szczekaniem, stała się najbardziej znanym przykładem kobiety pieniacza, do tego stopnia, że na niewiasty podłych obyczajów spada imię Karfanii ku pamięci występku tej ostatniej". Waleriusz Maksymus, podobnie jak zdecydowana większość przedstawicieli płci brzydkiej w Rzymie, nie pałał do Karfanii szczególną sympatią. Koniec jego relacji aż nadto dosadnie wyraża podskórne lęki Rzymian przed oddaniem kobietom głosu na forum: „Dożyła do konsulatu Gajusza Cezara oraz Publiusza Serwiliusza. W przypadku takiego potwora warto bowiem przechować pamięć raczej o momencie jego śmierci niż narodzin"[27]. Pisząc o kobiecie występującej przed sądem jako o potworze (*monstrum*), autor dał do zrozumienia, że stanowiła ona byt wynaturzony i anormalny. W interesie całego ludu i w imię zachowania dobrych relacji z bogami zasługiwała na jak najszybszą śmierć, podobnie jak, o czym wspomniano wyżej, hermafrodyci.

Męska reakcja

Gdyby imię damy, która rzekomo dała się we znaki rzymskim sędziom, zachowało się jedynie we wzmiance Waleriusza Maksymusa, jej historię do dziś można by postrzegać jako jeszcze jedną z wielu antycznych powiastek, w których panie występują w rolach czarnych charakterów. Tymczasem Karfanię w swych pismach uwiecznił również jurysta

[27] Val. Max. 8.3.2.

Ulpian. W jego komentarzu do edyktu pretorskiego znajdujemy następujące wyjaśnienie: „Pretor mówi: jeżeli uczestnicy procesu nie będą mieli adwokata, ja im go wyznaczę (…). Następnie przedstawiony jest edykt przeciw tym, którzy nie mogą reprezentować innych. Pretor wykluczył ich ze względu na płeć lub kalectwo oraz wytypował osoby dotknięte infamią. Ze względu na płeć – zabrania kobietom reprezentować innych przed sądem. Uzasadnienie tego zakazu jest takie, by kobiety nie mieszały się do cudzych spraw z uszczerbkiem na skromności właściwej ich płci ani nie wykonywały męskich funkcji. Prawo to wprowadzono, mając na uwadze przykład Karfanii, która bezwstydnie pojawiając się przed sądem i naprzykrzając się sędziemu, dała powód do wydania edyktu”[28].

Po śmierci Karfanii znany jest tylko jeden przypadek, w którym kobiety poważyły się publicznie wystąpić w obronie swych praw. Zgodnie z przyjętym zakazem nie wytoczyły nikomu procesu. Ich działanie miało charakter raczej spontaniczny. Kiedy niedługo po śmierci Cezara Rzym dostał się pod kontrolę triumwiratu, w skład którego weszli Marek Antoniusz (83 p.n.e. – 30 p.n.e.), Marek Lepidus (89 p.n.e. – 12 p.n.e.) oraz Oktawian (63 p.n.e. – 14 p.n.e.), nowi władcy natychmiast zapragnęli nieco uszczuplić majątki swych nieobecnych w mieście wrogów. W tym celu w 42 roku p.n.e. wiele rzymskich matron, matek, córek i żon osób wyjętych spod prawa, zostało obłożonych wysoką kontrybucją. Kiedy „nikt z męskich krewnych nie odważył się zabrać głosu w ich imieniu, Hortensja, córka Kwintusa Hortensjusza, stanowczo i z dobrym skutkiem przedstawiła sprawę triumwirom. Popisawszy się godnym ojca darem wymowy, zyskała umorzenie większej części podatku”. Wydarzenie to należy jednak traktować w kategoriach interesującego epizodu. Autor zacytowanej relacji z nutką żalu, zdominowaną wszakże uczuciem ulgi, dodaje, że bogata spuścizna elokwencji Hortensjusza wygasła „wraz z jedną mową wygłoszoną przez kobietę”[29]. Mimo odniesionego sukcesu zachowanie odważnych kobiet odebrano jako zuchwalstwo. Nie zostały one siłą odepchnięte od trybunału jedynie z powodu licznie zebranego tłumu, który stanął w ich obronie[30].

---

28 D. 3.1.1.4-5.

29 Val. Max. 8.3.3; por. Quint. *inst. or*. 1.1.6

30 App. *bell. civ*. 4.34.135.

Kobietom odebrano zatem prawo występowania przed sądem zarówno we własnym, jak i w cudzym imieniu. W konstytucji cesarskiej z 315 roku Konstantyn przypomniał zakaz występowania kobiet z powództwami cywilnymi. Zapobiegliwy władca podkreślił przy tym, że celem takiego rozwiązania jest ochrona „skromności matrony" (*matronalis pudor*)[31]. W sprawach karnych niemal identyczna opinia została wyrażona w decyzji z 322 roku, w której czytamy, że nie jest zgodne z prawem boskim (*fas*), by kobiety miały prawo wnoszenia oskarżenia we wszystkich rodzajach spraw karnych. Władca zdobył się przy tej okazji na zadziwiającą uwagę: „Należy również napomnieć adwokatów, aby z powodów merkantylnych lekkomyślnie nie przyjmowali jako klientów kobiet, które znajdując oparcie w swej płci, prą do bezprawnych działań"[32].

Problematyczne dziedzictwo

Wróćmy do Karfanii. Tłumaczenie, że „raz, gdzieś, kiedyś, za siedmioma górami" była sobie kobieta, która nadepnęła na odcisk męskiej ambicji i dlatego żadna z pań nie może występować przed sądem, stoi na podobnym poziomie, jak uzasadnienie przebywania kobiet pod opieką mężczyzn z powodu „słabości płci". A jednak od I wieku p.n.e. musiało minąć niemal dwadzieścia stuleci, by sala sądowa mogła ujrzeć kobietę w todze, zabierającą głos w cudzym imieniu. Zakaz występowania przed sądem, wyrażony w komentarzu Domicjusza Ulpiana, kompilatorzy justyniańscy włączyli do „Digestów" (powstały w latach 530-534). Powtórzyły go średniowieczne kodyfikacje prawa zwyczajowego, jak na przykład „Zwierciadło Saskie" (powstałe w latach 1220-1235) czy „Zwierciadło Szwabskie" (powstałe ok. 1275 roku). Podobne zarządzenia spotyka się w ordonansach francuskich królów, począwszy od Ludwika IX (1214-1270). Na gruncie procesu kościelnego kategoryczny zakaz reprezentowania interesów stron przez kobiety zawarto w Dekrecie Gracjana (powstał ok. 1140 roku) oraz w dekretałach papieża Grzegorza IX (promulgowane 5 sierpnia 1234 roku).

Wraz z kolejną falą recepcji prawa rzymskiego w Europie, która nastąpiła pod koniec średniowiecza, wykonywanie zawodów prawniczych ule-

31 C. 2.12.21 *pr*.
32 CTh. 9.1.3.

gło profesjonalizacji na podstawie między innymi pewnych zasad wypracowanych jeszcze przez Rzymian. Powstały więc funkcje, które mogli wykonywać jedynie wykształceni prawnicy. Spośród nich warto wyróżnić *procuratores*, którzy w cudzym imieniu zabierali głos przed sądem, oraz *advocati*, którzy koncentrowali się raczej na udzielaniu porad prawnych. Obie profesje były dostępne wyłącznie dla mężczyzn. Uzasadnienie tego stanu rzeczy odnajdowano również w prawie rzymskim. Szczególnie eksploatowanym argumentem wytaczanym przy okazji dyskusji na ten temat była troska o poszanowanie żeńskiej czci (*verecundia*), która przez dopuszczenie pań przed sądy mogłaby doznać uszczerbku. Dla pewności dodano nakaz ukończenia studiów z zakresu prawa rzymskiego i kanonicznego (*in utroque iure*), połączony z zakazem przyjmowania na studia prawnicze kobiet. Tym samym koło się zamknęło.

Podsumowanie

Bądźmy realistami – gdyby w „Digestach" nie znalazła się wzmianka na temat „wyszczekanej" Karfanii, na podstawie której *expressis verbis* sformułowano zakaz występowania przed sądem, panowie z pewnością znaleźliby inne wytłumaczenie pozwalające im jeszcze przez wiele wieków zachować monopol w tej sferze. Skoro jednak „Digesta" znajdowały się pod ręką… Argument ten, choć trafny, nieco, a raczej bardzo, zaciemnia obraz sytuacji. „W literaturze antycznej – trafnie zauważają Mary Beard i John Henderson – znajdowano precedensy i argumenty na rzecz wszelkiego rodzaju »ekscentrycznych« pomysłów, począwszy od powszechnego prawa wyborczego i demokracji, poprzez wegetarianizm, panteizm, wolną miłość, aż po eugenikę i ludobójstwo"; i dalej: „ten sam materiał z antycznego świata może okazywać się jednocześnie zabawny i wychowawczy, gorszący i inspirujący. Różnica bierze się wyłącznie z tego, jakie pytania postanawiamy mu zadać i jakie ramy zakreślamy dla odpowiedzi"[33]. Szukając w starożytności równouprawnienia we współczesnych jego przejawach, bez wątpienia doznamy więc szoku. Ci sami autorzy dodają wszakże zaraz: „badania takie [tj. nad społeczną i prawną sytuacją kobiet w starożytności – M.J.] wynikają bezpośrednio z prowadzonych

[33] M. Beard, J. Henderson, *Kultura antyczna. Bardzo krótkie wprowadzenie*, Warszawa 1997, s. 128.

w XX wieku debat nad prawami kobiet, nad rolą płci w życiu społecznym. W zamian za inspirację dla własnych poszukiwań nauka o antyku dostarcza tym współczesnym dyskusjom niezbędnej głębi historycznej”[34].

3. *COSMOPOLIS*

Rzymianie to nie tylko twórcy genialnych konstrukcji prawnych, którymi w różnym zakresie posługujemy się do czasów współczesnych. Było to również społeczeństwo bezwzględnych agresorów i zdobywców, których państwo przez wiele wieków prowadziło skrajnie ekspansjonistyczną politykę. „Ty, Rzymianinie, pamiętaj: masz władnie rządzić ludami. Te są twoje kunszty: masz pokojowi nadać prawo, szczędzić poddanych, wojną poskramiać zuchwałych” (przeł. Zygmunt Kubiak) – pouczał Publiusz Wergiliusz Maro (70-19 r. p.n.e.)[35]. Idee te stały się wzorem dla wszystkich monarchii marzących o budowie wszechświatowego imperium. O uniwersalistyczne zapędy w wiekach XVI i XVII oskarżane były zwłaszcza Hiszpania, Francja oraz Niderlandy. Ich doświadczenia bledną jednak przy tym, czego z biegiem lat udało się dokonać Wielkiej Brytanii.

Terra nullius

Odkrycie przez Krzysztofa Kolumba (1451-1506) Nowego Świata stworzyło nową jakość w europejskiej ekspansji terytorialnej. Kościół dostrzegł w nim niepowtarzalną szansę rozpoczęcia „nowej ewangelizacji”, a religijnym umocowaniem dla konkwistadorów oraz białych osadników kolonizujących zamorskie terytoria, stał się cytat z „Księgi Rodzaju”: „Czyńcie sobie ziemię poddaną”[36]. W wyścig o zajęcie jak największej liczby kolonii włączyła się oczywiście również Anglia.

Cóż jednak było począć z rdzennymi mieszkańcami tych ziem? Dla masowych mordów i przesiedleń należało w miarę szybko znaleźć jakieś możliwie dobre prawnicze uzasadnienie. Początki były skromne. Słynny żeglarz i faworyt królowej Elżbiety I (1533-1603), Sir Walter Raleigh

---

34 *Ibidem*, s. 42.
35 Verg. *Aen*. 6.847-853.
36 *Gen*. 1.28.

(1554-1618), przed wyruszeniem w podróż otrzymywał od angielskich monarchów listy lakonicznie opiewające na zdobycie i posiadanie zamorskich terytoriów[37]. Właścicielem miała być oczywiście Korona Brytyjska, tak jak kiedyś zdobyczami formalnie władał senat i lud rzymski.

Wciąż jednak brakowało spójnej doktryny w tym zakresie. Okazja pojawiła się w roku 1608, kiedy zastanawiano się nad prawnym statusem Szkotów na terenie Anglii. Poruszono przy tej okazji problem sposobów nabycia nowych terytoriów przez państwo. Do dwóch powszechnie znanych (podbój oraz dziedziczenie), sir Francis Bacon (1561-1626) dodał trzeci – zawłaszczenie terytorium niczyjego[38]. Idea powyższa nawiązuje do rzymskiej koncepcji rzeczy niczyjej (*res nullius*). „Rzecz niczyja przypada temu, kto ją zawłaszczy" – twierdził rzymski jurysta Gajusz[39]. Wiele wieków później jego myśl nieco doprecyzował Johann Gottlieb Fichte (1762-1814) w słowach: „Rzecz niczyja przypada temu, kto pierwszy ją zawłaszczy"[40].

Do koncepcji Gajusza z ochotą nawiązywał John Locke (1632-1704), który był czynnie zaangażowany w kształtowanie ustroju brytyjskich kolonii w Ameryce. Słynny filozof i liberał opracował szereg niepublikowanych traktatów, w których ze swadą uzasadniał prawa Korony Brytyjskiej do panowania w obu Amerykach. Niemniej ziemia, którą przyszło obejmować angielskim kolonistom niczyja nie była. Liczne terytoria zamieszkiwały przecież miejscowe plemiona indiańskie. Locke uznał jednak, że tubylcy żyją „w stanie natury", a zatem nie dbają o zamieszkiwane grunty. W związku z powyższym ich władztwo nad nimi było mocno ograniczone i bez wątpienia natychmiast wygasało z chwilą nadejścia „cywilizowanego społeczeństwa". Locke, jak i wielu jego uczonych kolegów, doskonale wiedział, że wiele indiańskich plemion prowadziło osiadły tryb życia i uprawiało ziemię. Fakt ten pominięty został jednak dyskretnym milczeniem[41].

---

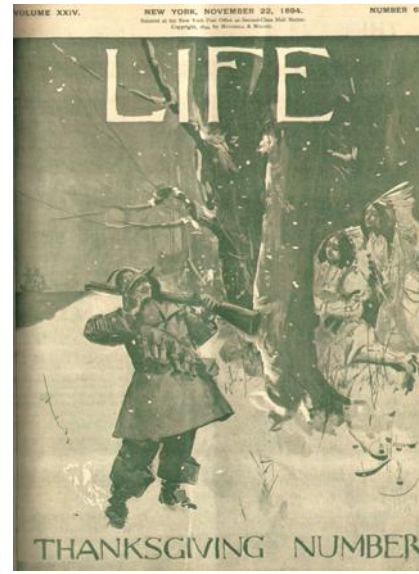
37 A. Fitzmaurice, *Humanism and America. An Intellectual History of English Colonialism*, Cambridge 2003, s. 140.

38 L.A. Benton, *Law and Colonial Cultures, Legal Regimes in World History. 1400-1900*, Cambridge 2002, s. 168, przyp. 3.

39 Gai. 2.66.

40 J.G. Fichte, *Grundlage des Naturrechts nach Prinzipien der Wissenschaftslehre*, Hamburg 1960, s. 132.

41 Ch. Gosden, *Archeology and Colonialism. Cultural Contact from 5000 B.C. to the Present*, Cambridge 2004, s. 27-28.



Idealizacja przeszłości. Egzemplarz magazynu „Life" z 22 listopada 1894 roku przypominający o Święcie Dziękczynienia

Kropkę nad „i" postawił prominentny brytyjski prawnik William Blackstone (1723-1780), który w dziele pod tytułem „Komentarze do praw Anglii" posłużył się pojęciem *terra nullius*, czyli „ziemia niczyja". Odtąd konkwistadorzy nie mieli już większych problemów z prawniczym uzasadnianiem krwawego zajmowania nowych ziem. Koncept *terra nullius* wykorzystano między innymi, aby nadać prawną podbudowę aneksji przez Anglików Australii[42].

Zapomniał wół…

W I wieku część Wysp Brytyjskich została krwawo podbita przez rzymskie legiony. A jednak zaskakująco szybko wszelkie zbrodnie i nieprawości, których dopuścili się tam Rzymianie nie tylko zostały wybaczone, ale doszło do tego, że ich przypominanie uchodziło za nieprzyzwoitość. Współcześnie przed Town Hall w Manchesterze podziwiać można monumentalny posąg Gnejusza Juliusza Agrykoli (40-93) w pełnej zbroi.

[42] Obszernie i przystępnie na temat koncepcji *terra nullius* – S. Lindqvist, *Terra nullius. A Journey through No One's Land*, przeł. S. Death, London 2007.

Rzymski generał, w istocie bezwzględny zdobywca, potraktowany został jako chorąży cywilizacyjnego postępu[43].

Joseph Rudyard Kippling (1865-1936), szerzej znany jako autor „Księgi Dżungli", w poczytnej książce dla dzieci pt. „Historia Anglii" następująco podsumował skutki rzymskiego podboju Anglii: „Rzymianie wprowadzili we wszystkich swych prowincjach system prawa tak słuszny i tak mocny, że niemal wszelkie najlepsze prawa nowoczesnej Europy zostały na nim oparte. Wszędzie słabi byli chronieni przed silniejszymi; na wybrzeżach wznoszono zamki; flota patrolowała Kanał i Morze Północne. Wspaniałe drogi przecięły wyspę ze wschodu na zachód i z północy na południe. Wzrastały pyszne miasta pełne wszelkiego dobra… świątynie… wiejskie wille"[44].

Angielscy uczeni nie bez powodu prowadzili badania nad tym, w jaki sposób Rzymianie organizowali kolonie i jak traktowali narody podbite. Charles Trevelyan (1870-1958), uzasadniając konieczność wprowadzenia w Indiach angielskiego sytemu edukacji, wzorował się na doświadczeniach Rzymu. Był głęboko przekonany, że rzymski język i literatura „wniknęły tak głęboko do języka i zwyczajów ludzi, że łacina po dziś dzień formuje bazę języków Francji i południowej Europy, a prawo rzymskie tworzy podstawę ich jurysprudencji". Dalej zaś dowodził: „Rzymianie natychmiast ucywilizowali narody Europy i włączyli je pod swe rządy przez romanizację lub, innymi słowy, przez kształcenie ich w rzymskiej literaturze i sztuce oraz ucząc ich, że swych zdobywców należy naśladować, a nie sprzeciwiać się im. Mam nadzieję, że mieszkańcy Indii już wkrótce znajdą się wobec nas w tej samej sytuacji, w jakiej kiedyś my znajdowaliśmy się względem Rzymian"[45].

Nauka nie poszła w las. W dramacie „Sen o Małpiej Górze" (*Dream on Monkey Mountain*) karaibskiego autora Dereka Walcotta (ur. 1930) znalazła się scena, w której mulat, kapral Lestrade, przystępuje do przesłuchania czarnego starca Makaka, oskarżonego o zdemolowanie po

---

43 Por.: M. Bradley, *Tacitus' Agricola and the Conquest of Britain,* [w:] *Classics and Imperialism in the British Empire*, Oxford 2010, s. 131.

44 R. Kippling, *History of England*, London 1911, s. 15-16.

45 R. Sundari Mantena, *Imperial Rome, Anglicization and Civilizing Indians*, [w:] *Classics and Imperialism,* s. 60-61.

pijanemu miejscowej kawiarni. Akcja dzieje się w Afryce. Lestrade jest dumny, wykonując „pracę białego człowieka" i nazywa sam siebie „instrumentem prawa". Przesłuchanie prowadzi po angielsku „przestrzegając zasad i reguł prawa rzymskiego, a prawo rzymskie jest prawem angielskim". Tym samym kapral odrzuca wszelkie inne systemy prawne, zwłaszcza afrykańskie, które są dla niego uosobieniem irracjonalności i chaosu. Zwraca się więc do Makaka słowami: „Prawo jest dla mnie i dla ciebie ratunkiem… Tu nie dżungla. Tu nie Afryka. Tu nie kolejny beztroski czarnuch do ciebie mówi, ale osoba urzędowa! Sługa i wykonawca prawa! Tu nie prawa dżungli, ale coś, czego biały człowiek uczy cię, byś był za to wdzięczny". Dalej zaś wyjaśnia przesłuchiwanemu i jego towarzyszom niedoli: „Prawo państwa jest prawem państwa. Prawo rzymskie, przyjaciele, nie jest prawem plemiennym. Dlatego, gdziekolwiek jesteśmy, wymierzajmy sprawiedliwość. Nie mamy czasu na cierpliwe reformy"[46].

Wołanie na puszczy

Dla ludów kolonizowanych na podstawie koncepcji *terra nullius* nadejście Brytyjczyków oznaczało najczęściej śmierć lub przymusowe przesiedlenie. Pojawiło się więc zapotrzebowanie, by znaleźć określenie, które pozwoli zbiurokratyzować masowe morderstwa i gwałty. Tu znowu z pomocą przyszła łacina i rzymskie doświadczenia. „Łacińskie *extermino* oznacza »wygnać poza granice«, *terminus* – »[skazać na – M.J.] wygnanie«. Z tych pojęć powstało angielskie *exterminate*, co znaczy »wygnać poza granice życia, deportować z życia«"[47]. Aby pozbyć się resztek skrupułów, wprowadzono również system określeń dotyczących tubylców, które niewątpliwie pomagały w kolonizacji nowych ziem. „Europejczycy – wyjaśnia Sven Lindqvist (ur. 1932) – od pierwszych kontaktów z mieszkańcami Afryki nazywali ich właśnie zwierzętami i opisywali jako *rude and beaslike*, *like to brute beasts* oraz *more brute than the beasts they hunt*"[48].

---

46 D. Walcott, *Dream on Monkey Mountain and Other Plays*, London 1970, s. 219, 279-280, 311.

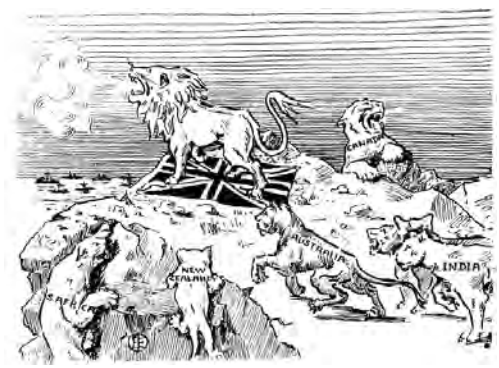
47 S. Lindqvist, *Wytępić całe to bydło*, przeł. M. Haykowska, Warszawa 2009, s. 18.

48 *Ibidem*, s. 19.



Parada wojsk brytyjskich w Dehli. Rok 1911

W roku 1897 imperium brytyjskie rozciągało się na jednej czwartej kuli ziemskiej. W samym Londynie poczytnością cieszyło się zaś pismo *Cosmopolis*, propagujące idee panbrytyjskie. Królową Wiktorię (1819-1901) porównywano w nim z największymi zdobywcami starożytnego świata: Dariuszem, Aleksandrem Wielkim i oczywiście Oktawianem Augustem.



„W odpowiedzi na wezwanie". Brytyjski plakat propagandowy z 1914 roku

Głosy utrzymane w innym tonie były mocne, choć dużo słabiej słyszalne. Oto w kwietniowym numerze *The social democrat* z roku 1897 szkocki arystokrata i socjalista Robert Bontine Cunningame Graham (1852-1936) z pasją perorował: „Dlaczego Bóg stworzył człowieka? Z niedbalstwa czy ze złośliwości? Tego nie wiemy. W każdym razie on, człowiek, istnieje. Czarny,

biały, czerwony, żółty. Dawno temu żyli i walczyli Asyryjczycy, Babilończycy i Egipcjanie. Bóg jednak cały czas pragnął czegoś innego, lepszego. Sprawił, że z mroków barbarzyństwa wyłonili się Grecy i Rzymianie, by utorować drogę dla rasy przeznaczonej do panowania nad całym rodzajem ludzkim, a mianowicie dla rasy brytyjskiej – ograniczonych wyspiarzy, chrzczonych we mgle, nadętych od sukcesów i bogactw. (…) O, Afryko! Bóg musiał być w złym humorze, kiedy tworzył ten kontynent. Jak inaczej wytłumaczyć fakt zaludnienia tej ziemi populacją skazaną na to, by zastąpiły ją inne, przybywające ze świata rasy? (…) Czarnuchy nie mają żadnych armat, nie mają więc też żadnych praw. Ich kraj jest naszym krajem. Ich bydło i ziemia, ich nędzny sprzęt domowy i to wszystko, co posiadają, jest nasze – tak jak i ich kobiety są nasze. Do tego, by brać je jako konkubiny, garbować im skórę albo wymieniać, by zarazić je syfilisem, zrobić im dziecko, obrażać i dręczyć, »aż najbardziej podli z naszych łajdaków uczynią je nędzniejszymi od zwierząt«. Nasi biskupi wołają o pomstę do nieba, kiedy Ormianie hańbieni są przez Turków. Milczą jednak, gdy jeszcze większe przestępstwa popełniają ich rodacy. To obłudne brytyjskie serce bije dla wszystkich poza tymi, których własne Imperium topi we krwi. Bóg, który stworzył takich jak my – czy nie był przypadkiem szaleńcem?”[49].



„Ciężar białego człowieka”. Karykatura z roku 1899

[49] Cyt za: *ibidem*, s. 110-111.

Podsumowanie

Głęboko skrywanym tajemnicom nadają Anglicy miano „trupa w szafie" (*skeleton in the closet*). Jednym z takich wstydliwych sekretów, słabo, co zrozumiałe, eksploatowanych w nauce prawa rzymskiego, jest rola *ius Romanum* w procesie tworzenia imperialno-kolonialnego prawodawstwa nowożytnej Europy.

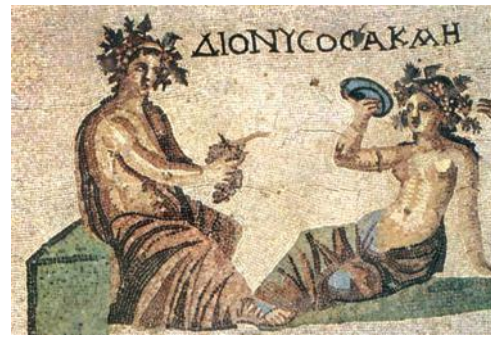
Angloamerykańska kultura spopularyzowała również (choć to zupełnie w innym kontekście, zgoda…) frazeologizm „wyjść z szafy" – co na użytek niniejszych rozważań przetłumaczmy jako „pokazać swoje prawdziwe ja". Otóż pora już, by prawo rzymskie wyszło z szafy, pokazało swoje prawdziwe „ja" i przestało się zasłaniać Justynianem, „Digestami", prawem prywatnym oraz łaciną, której i tak już nikt nie rozumie. Jego historia jest dużo bogatsza, bardziej złożona, a przez to również o wiele bardziej fascynująca, niż mogą na to wskazywać podręcznikowe omówienia. Wystarczy tylko trochę poszperać. Magistranci i doktoranci do piór!

4. *NUNC EST BIBENDUM*!

In vino veritas! (W winie prawda!) – twierdzili starożytni Rzymianie. Można zaryzykować twierdzenie, że trunek ten odgrywał kluczową rolę w Grecji i Rzymie, zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym. Trudno się więc dziwić, że wcale nierzadko problemem jego konsumpcji zajmowali się również ustawodawcy. O ile chodziło o reglamentację spożycia, naturalnie z marnym skutkiem.

Oi!

W starożytnej Grecji raczono się winem, mieszając je w odpowiednich proporcjach z wodą, gdyż picie wina czystego uchodziło za barbarzyństwo. Można mówić wręcz o winnej ideologii, której zręby Grek Atenajos (II/III w.) streścił w traktacie zatytułowanym „Biesiada filozofów". W zależności od rodzaju i okoliczności wino mogło więc mieć działanie relaksujące, pobudzające, rozweselające, a także lecznicze. Uzdrawiających właściwości wina pewny był ojciec medycyny Hipokrates (ok. 460 – ok. 370 r. p.n.e.).



Dionizos i Akme raczą się winem. Cypryjska mozaika

Dodać przy tym trzeba, że smak win, którymi delektowali się Grecy, a potem Rzymianie, nieco odbiegał od współczesnych standardów. „Smak i wygląd greckich win – zauważa Jain Gately (ur. 1965) – mimo wszelkich starań wkładanych w jego produkcję, byłby niewątpliwym wstrząsem dla współczesnego podniebienia. Świadectwa archeologiczne wskazują, że większość tych trunków miała posmak żywiczny, albowiem zaprawiane były i aromatyzowane gumą z drzewa terebint. Dodawano ją, żeby spowolnić proces utleniania i zapobiec przemianie wina w ocet. Inna popularna domieszka składała się z wody morskiej, przypraw i miodu. Na domiar złego w trakcie przygotowywania wino nie było filtrowane, w związku z czym przed podaniem należało je koniecznie przecedzić, żeby pijący nie zakrztusili się źdźbłami, pestkami i innymi niepożądanymi resztkami”[50].

Legendarny Zeleukos, który skodyfikował prawo Lokrów, greckiego miasta w Italii, postanowił, że każdy, kto bez lekarskiego zalecenia ośmieli się pić wino niezmieszane z wodą poniesie karę śmierci. Wzorował się na nim Ateńczyk Drakon (VII wiek p.n.e.), dodając do tego karę śmierci za kradzież winogron.

Zabiegi powyższe na niewiele się jednak zdały. Wino trwale wrosło w grecki krajobraz kulturowy. Nie mógł się bez niego obyć żaden sympozjon (uroczysta biesiada) czy też święto. Orator Demostenes (384-322 p.n.e.) zalecał pokrzepienie się winem mówcom z natury nieśmiałym lub stremowanym. Filozof Zenon z Kition (ok. 335-263 p.n.e.) dopiero po

[50] J. Gately, *Kulturowa historia alkoholu*, przeł. A. Kunicka, Warszawa 2011, s. 26.

degustacji stawał się przystępny dla otoczenia. Swoje zachowanie tłumaczył: „Ze mną bywa tak, jak z fasolkami łubinu. Nim się je namoczy, są bardzo gorzkie, po namoczeniu bardzo słodkie i smaczne".

A jednak nie wszystkim zwyczaj i prawo pozwalały na swobodne raczenie się szlachetnym trunkiem. Zakaz dotyczył przede wszystkim kobiet. Platon (ok. 427-347 p.n.e.) w „Prawach" postulował, by całkowitą abstynencję zachowali również mężczyźni, którzy nie ukończyli osiemnastu lat. Niemniej już w „Państwie" przekonywał, że warto przyzwyczajać młodzież do picia.

Niekiedy pijaństwo uchodziło za okoliczność łagodzącą. Dwóch młodych ludzi oskarżonych przed Pyrrusem (319-272 p.n.e.), królem Epiru, o to, że po pijanemu ubliżali władcy, bezceremonialnie oświadczyło: „Powiedzielibyśmy o wiele więcej przykrych rzeczy, ale zabrakło nam wina". Pyrrus wybuchnął śmiechem, po czym obu puścił wolno.

Tęgimi pijakami, zgodnie z nie zawsze przychylnymi im pogłoskami, mieli być królowie macedońscy. Filip II (382-336 p.n.e.) opisywany był jako „mężczyzna o gwałtownym temperamencie, który z upodobaniem igra z losem, już to z natury, już to z powodu picia; zagorzały opijus nierzadko napadający na wroga w stanie zamroczenia alkoholowego". Władcy niejednokrotnie zdarzało się w stanie upojenia wydawać decyzje wagi państwowej oraz rozstrzygać spory. Do spraw tych podchodził jednak poważnie. Pewnego razu jakaś kobieta, poprosiwszy o załatwienie pewnej sprawy, usłyszała: „Nie mam czasu". „W takim razie przestań być królem!" – wrzasnęła rozzłoszczona petentka. Sprawa została załatwiona natychmiast. Innym razem władca wydał niesprawiedliwy wyrok. „Składam apelację!" – oświadczyła poszkodowana. – „A dokogóż to?" – spytał rozbawiony król. – „Do Filipa, kiedy będzie trzeźwy" – brzmiała rezolutna odpowiedź. Na drugi dzień władca orzekł jeszcze raz, tym razem *lege artis* i sprawiedliwie.

W ojca wdał się Aleksander Wielki (356-323 p.n.e.), zdobywca potężnych połaci terenu i pogromca niezliczonych ludów. Napomnień Arystotelesa (384-322 p.n.e.), który był jego nauczycielem, w rodzaju: „człowiek, który popełnił przestępstwo w stanie nietrzeźwym, winien być ukarany dwukrotnie – raz za przestępstwo i raz za pijaństwo", nigdy nie wziął sobie do serca. Młodemu władcy często zdarzało się za to po pijanemu wybuchać gniewem, co kończyło się tragicznie dla ludzi z jego otoczenia. Jedna z hipotez na temat śmierci genialnego wodza głosi, że nie został

on, jak powszechnie wierzono, otruty, ale wypił duszkiem osiem rogów czystego wina, co pociągnęło za sobą tragiczny skutek.



Aleksander Wielki. Wojowniczy alkoholik

***Nunc est bibendum*!**

Nunc est bibendum! (Pora się napić!) – zachęcał współrodaków rzymski poeta Horacy (65-27 p.n.e.). W innym zaś utworze radził: *Vino pellite curas* (Winem rozpraszajcie troski). Prawdom tym towarzyszył szereg innych aforyzmów i mądrości, jak *vinum lac senum* (wino mlekiem starców) czy *vinum laetificat cor* (wino rozwesela serce).

Trzeba przy tym wiedzieć, że Rzymianie potrafili i przede wszystkim mieli czym rozpraszać smutki. W czasach Imperium Romanum „oferowano w handlu około 80 gatunków wyborowych win, z czego 1/3 to wina z Italii. Oprócz tego liczne wina gorszych gatunków. Szacuje się, że mieszkańcy Rzymu cesarskiego (około miliona mieszkańców) wypijali rocznie ponad 100 milionów litrów wina”[51]. Zanim jednak wino mogło doczekać

[51] M. Kuryłowicz, *Prawo i obyczaje w starożytnym Rzymie*, Lublin 1997, s. 90.

się swoich apologetów w mieście nad Tybrem, musiało upłynąć trochę czasu. Młody Rzym, otoczony zewsząd państwami nieprzyjaznych sąsiadów, musiał przez długi czas zachowywać wzmożoną czujność. Zgodnie z tradycją pierwszy jego władca spożywał wino w sposób bardzo powściągliwy, co zresztą narażało go na docinki ze strony otoczenia. Zachowały się również podania o restrykcyjnych zakazach picia, które dotyczyły rzymskich kobiet. Pliniusz Starszy (23-79) uwiecznił sylwetkę niejakiego Egnacjusza Metennusa, który widząc żonę pijącą wino z dzbana, odebrał jej życie uderzeniem pałki. Romulus uwolnił jednak sprawcę od zarzutu zabójstwa. Inna kobieta za „kradzież" kluczy do piwnicy, w której składowano wino, została zagłodzona na śmierć.



Stara pijaczka. Rzymska kopia hellenistycznej rzeźby

Konsumpcja wina na szerszą skalę pojawiła się w okresie wojen punickich, a nasiliła się po ich zakończeniu, kiedy rzymski senat nakazał przetłumaczyć na łacinę kartagiński traktat o rolnictwie. W efekcie powsta-

ło dzieło *De agricultura*, podpisane imieniem Katona Starszego (234-149 p.n.e.). Wiele miejsca poświęcono w nim uprawie winorośli i produkcji wina. Po pokonaniu monarchii hellenistycznych spożywanie wina w ilościach przemysłowych stało się w Italii powszechne. W komediach Plauta (ok. 254-184 p.n.e.) nie brakuje podchmielonych niewolników. Z czasem ich pijaństwo, obok skłonności do ucieczek czy uzależnienia do hazardu, źródła prawnicze sklasyfikowały jako „ukrytą wadę rzeczy".

Sytuacji starały się przeciwdziałać uchwalane okazjonalnie „ustawy przeciw zbytkowi", w których zakazywano między innymi importu drogich zagranicznych trunków. Wszystko na nic. Szlachetne wina na stałe zagościły na bogatszych rzymskich stołach. Z czasem pozbyto się również fałszywego wstydu związanego z upodobaniem w raczeniu się alkoholem. Marek Antoniusz (ok. 83-30 p.n.e.), podczas swojego pobytu w Aleksandrii, stylizował się na Dionizosa – bóstwo wina. Gajusz Kaligula (12-41) również miał zwyczaj przebierać się za tego boga, po czym zabierał się za rozstrzyganie spraw w sądzie. Sędziom tego rodzaju w niczym nie ustępowali niektórzy uczestnicy procesów.

Wino stanowiło ważny składnik żołnierskiego zaprowiantowania. Historyk Wegecjusz (IV w.), bazując na wielowiekowych doświadczeniach zebranych przez rzymską armię, doradzał wręcz żołnierzom zabieranie na wojenne ekspedycje dużej ilości wina, gdyż na nieznanym terytorium silnie zanieczyszczona woda często dziesiątkowała legiony. Niemniej nadużywanie napoju ze sfermentowanych winogron mogło być również fatalne w skutkach. Nieco wcześniej cesarz Hadrian (76-138), odnosząc się do problemu karnej odpowiedzialności, za nieudaną próbę samobójczą podjętą przez żołnierza, nakazał haniebne wydalenie sprawcy z armii. Ci jednak, którzy targnęli się na swoje życie po pijanemu, mieli być jedynie zdegradowani. To bardzo ciekawe. Komentarze prawnicze nie rozwijają tego wątku, a jednak można być niemal pewnym, że samobójcze próby pijanych lub trzeźwiejących żołnierzy, wywoływane były przez stany depresyjne spowodowane długotrwałym i nadmiernym spożywaniem alkoholu. Hadrian był dosyć wyrozumiały dla wojaków umilających sobie służbę napojami wyskokowymi. W innej konstytucji postanowił bowiem, że żołnierz, który po pijanemu umożliwił ucieczkę pilnowanemu jeńcowi, miał zostać wychłostany, przeniesiony do gorszej służby, choć w normalnych okolicznościach czekała go kara śmierci.

Miejscami ochoczo nawiedzanymi przez miejską społeczność były spelunki, gdzie na spragnionych wrażeń czekały amfory pełne wina, stoły obstąpione amatorami gier hazardowych oraz kelnerki, które ochotnie świadczyły również usługi cielesne. Podobną rolę poza miastami pełniły zajazdy, w których zatrzymywali się podróżni. Właściciele tych przybytków ponosili podwyższoną odpowiedzialność za wszelkie rzeczy wniesione tam przez klientów. Dodatkowo odpowiadali „jak gdyby z deliktu" za zachowanie swojego personelu. Mimo tego okoliczności sprzyjały łamaniu prawa. Prawnik Marcjan wyjaśnia: „Przestępstwo popełnia się z premedytacją, w afekcie lub przez przypadek. Z premedytacją działają rozbójnicy działający w grupach; w afekcie, kiedy po pijanemu dochodzi do rękoczynów lub chwyta się za broń; a przez przypadek, kiedy podczas polowania oszczep wyrzucony w dziką bestię zabija człowieka".



Szynkwas w pompejańskiej knajpie

Wino produkowane w Italii, choć nie najlepszej jakości, stanowiło jeden z podstawowych produktów w obrocie handlowym Rzymian. Na gruncie prawa cywilnego znaczenie miało więc dokładne określenie terminu dostawy i odbioru wina. „Terminy te miały znaczenie przy odpowiedzialności zbywcy za skwaśnienie wina: mogło ono np. przekształcić się w ocet już po degustacji, a przed wydaniem i odebraniem przez nabywcę. Prawo rzymskie rozróżniało tu dwie sytuacje: gdy wino skwaśniało przed sprzedażą (lub w międzyczasie, tj. przed odbiorem przez nabywcę) oraz gdy wino już skwaśniałe (właściwie więc – winny ocet) zostało sprzedane jako dobre wino. W pierwszym przypadku kontrakt kupna-sprzedaży

był ważny, a ryzyko rozkładało się w zależności od umówionych terminów degustacji. (…) W przypadku zaś sprzedaży octu jako wino nabywca mógł powołać się na błąd co do kupowanej substancji i nie zapłacić lub zażądać zwrotu wypłaconych już pieniędzy".

Przykładem wina również posługiwano się, omawiając skutki prawne specyfikacji. „Gdybyś z moich winogron albo oliwek, albo kłosów zrobił wino albo oliwę, albo ziarno, powstaje pytanie, czy wino albo oliwa, albo ziarno jest moje czy twoje" powiada jurysta Gajusz (przeł. W. Rozwadowski). Cesarz Justynian zdecydował się na przyjęcie w powyższym przypadku rozwiązania: „Jeśli ta nowa postać rzeczy może być przywrócona do postaci materiału, tego uważa się za właściciela, kto był właścicielem materiału. Jeśli nie może być przywrócona, raczej należy uważać za właściciela tego, kto wytworzył" (przeł. C. Kunderewicz) .

Epilog

Mutacją popularnej maksymy przytoczonego na początku niniejszego eseju stało się powiedzenie: *In vino feritas* (W winie szaleństwo). Miało ono przypominać również o zgubnych skutkach nadmiernego spożywania alkoholu. Kolejną jego mutacją stała się rymowanka: *In vino veritas in aqua sanitas* (W winie prawda, w wodzie zdrowie).

Prawdy powyższe nic nie straciły na aktualności również współcześnie. To żadna tajemnica, że w zakresie umiłowania napojów wyskokowych bez wątpienia już dawno prześcignęliśmy Greków, Rzymian i całą niemalże Europę. Zostańmy przy jednym przykładzie. Bohaterem jednej z najsłynniejszych fraszek Jana Kochanowskiego (1530-1584), „O doktorze Hiszpanie", jest Piotr Rojzjusz (ok. 1505-1571; właściwie Pedro Ruiz de Moros), rodem z Hiszpanii, wyborny znawca rzymskiego prawa. Po wizycie swoich polskich kolegów opowiada:

„Nasz dobry doktor spać się od nas bierze,
Ani chce z nami doczekać wieczerze".
„Dajcie mu pokój! najdziem go w pościeli,
A sami przedsię bywajmy weseli!".
„Już po wieczerzy, pódźmy do Hiszpana!"
„Ba, wierę, pódźmy, ale nie bez dzbana".
„Puszczaj, doktorze, towarzyszu miły!".

Doktor nie puścił, ale drzwi puściły.
„Jedna nie wadzi, daj ci Boże zdrowie!".
„By jeno jedna" – doktor na to powie.
Od jednej przyszło aż więc do dziewiąci,
A doktorowi mózg się we łbie mąci.
„Trudny – powiada – mój rząd z tymi pany:
Szedłem spać trzeźwo, a wstanę pijany"[52].

I doktor, nasi rodacy, z pewnością znali łacińską przestrogę: *Ne quid nimis!* (Nic ponad miarę!). Sęk w tym, że każdy ma miarę swoją.

Skoro jesteśmy przy zwyczajach rodzimych, warto na koniec przypomnieć zasadę, bądź – jeżeli ktoś woli – przestrogę, niezwykle popularną w czasach I Rzeczpospolitej. *Post vinum lac, testamentum fac!* – mawiali panowie bracia co w wolnym tłumaczeniu może brzmieć: „Po winie mleko, testament niedaleko". Jak widać, nasi przodkowie ewidentnie woleli leczyć podobne podobnym. Żadne kefiry i inne takie!

5. O PRAWNICZEJ ŁACINIE (PODZWONNE)

Zamiast wprowadzenia

Poglądu, że łacina jest językiem prawa, tak jak greka była językiem medycyny czy matematyki, nikt nie ośmielał się kwestionować już w starożytności. Schemat ten powieliły wieki następne. Pomijając kwestie natury politycznej i ideologicznej, w nadzwyczajnej karierze łaciny jako prawniczego kodu pomogły niepowtarzalne cechy tego języka. Ksiądz profesor Krzysztof Burczak (ur. 1959) z Katedry Historii Źródeł Prawa Kanonicznego KUL, prawnik i filolog klasyczny, trafnie podkreśla: „Łacina jest zwięzła, krótka, zdecydowana, niedwuznaczna, zawiera jeden sens. Potrafi tak jasno i prosto przedstawić rzecz, jak to tylko dla języka możliwe. (…) Język łaciński jest ścisły, zwarty, szczelny i przy tym masywny, mający swój ciężar. On kroczy od czasu spisania *lex duodecim tabularum*, jasno uformowany, pełen siły i zamknięty jak rzymskie kohorty, konserwatywny jak lud rzymski. (…) W łacinie nie ma przestrzeni na

[52] Cyt. za: J. Kochanowski, *Fraszki*, Wrocław 1957, s. 33.

niewypowiedziane, nierozstrzygnięte, przeczuwające. Ona wypowiada wszystko wprost, ponieważ wytworzył ją taki lud, który posiadał raczej zmysł ostrości niż głębi. (…) Łacina żyje czasownikiem (*verbum*), siłą, aktywnością, działaniem. Dlatego myśli szybciej i jest krótsza niż inne języki. (…) Łacina, matematyka, prawo i szachy to kamienie szlifierskie ludzkiego umysłu"[53]. Językiem prawa przez wiele wieków była łacina również w Polsce. Teoretycznie jest nim nadal. Teoretycznie.

Okres chwały

W świecie prawa łacina zaistniała dzięki prawu rzymskiemu, które według jego panegirystów do czasów współczesnych stanowi jeden z fundamentów kultury europejskiej. Warto przy tym pamiętać, że problemy z nauką tego języka mają charakter uniwersalny i nieobce były już adeptom tej dyscypliny w wieku VI. Wielki kodyfikator prawa rzymskiego Justynian Wielki (483-565), rozwiązawszy Akademię Platońską oraz zamknąwszy szkoły prawnicze w Aleksandrii i Cezarei, skoncentrował edukację prawniczą w Berycie (obecnie: Bejrut) oraz Konstantynopolu (obecnie: Stambuł). Mimo że grecki Wschód od wieków wykazywał wiele niechęci wobec języka łacińskiego, w obu tych ośrodkach na naukę łaciny położono duży nacisk. Nie spotkało się to z entuzjazmem przyszłych jurystów.

W Polsce nigdy nie dokonała się bezpośrednia recepcja prawa rzymskiego, jak to miało miejsce chociażby w sąsiednich Niemczech. A jednak od przyjęcia chrztu (966) łacina przez wieki stanowiła niezawodne medium promieniowania na polskie ziemie kultury i cywilizacji europejskiej. Nowy język stanowił jedno z wielu kulturalnych dobrodziejstw, jakie chrześcijaństwo zaszczepiło na ziemiach polskich. „Katolicyzm bowiem – naucza ks. Jan Kapica (1886-1930) – ogarnia wszystkie prawdy i walory, zawarte w innych systemach. Systemy fałszywe zawierają pewne cząstki prawdy i słuszności. Kultury babilońska i egipska, sztuka i filozofia grecka, prawo rzymskie zawierają cenne perły prawdy. Dzisiaj zdobią te perły Kościół katolicki – a objawione prawdy starozakonne stanowią dziś podstawę chrześcijaństwa"[54]. Jedną z niewymienionych wyżej pereł była z pewnością łacina.

---

53 K. Burczak, *Łacina trwałym nośnikiem myśli prawniczej*, „Monitor Prawniczy" 17.4 (2009), s. 186-187.

54 J. Kapica, *Kazania, mowy, odezwy*, red. E. Szramk, Katowice 1933, s. 304.

Od X wieku stała się ona językiem wyłącznym w książęcych i królewskich kancelariach. Była to naturalnie łacina „zepsuta", „jeszcze lichsza niż u glosatorów"[55]. Niemniej ówcześnie żaden inny język nie dawał takich możliwości, co ona. Zresztą był to ówcześnie język prawa nie tylko Polski, ale całej zachodniej Europy.

Statuty Kazimierza Wielkiego (1310-1370), jedna z fundamentalnych kodyfikacji prawa dla ziem polskich, zostały sformułowane po łacinie. Podobnie rzecz się miała z licznymi późniejszymi przywilejami dla szlachty, przywilejami lokacyjnymi dla miast itd. Co się tyczy tych ostatnich, to naturalnie po łacinie prowadzono księgi miejskie.

Na założonej w 1364 roku Akademii Krakowskiej wszystkie wykłady, w tym z prawa, prowadzone były po łacinie, podobnie jak to miało miejsce w pozostałych uniwersytetach europejskich. Od XVI wieku łacina stanowiła fundament niższej edukacji, realizowanej przez kolegia jezuickie kształcące szlachecką młodzież.



Sprawdzone metody wychowawcze. Napis nad sceną głosi: „Kto szczędzi rózgi, nienawidzi syna"

Zdarzało się również, i to wcale nierzadko, że po łacinie potrafili rozmówić się również przedstawiciele niższych warstw społecznych. Fryzyjczyk Urlich von Werdum (1632-1672) był zdumiony, kiedy podczas swej

[55] A.W. Maciejowski, *Historya prawodawstw słowiańskich*, t. I, Warszawa 1856, s. 148.

podróży po Polsce w roku 1670 pewna mieszczka odezwała się do niego absolutnie poprawnym wersem łacińskim[56].

W tych okolicznościach truizmem będzie stwierdzenie, że język Cezarów odegrał niebagatelną rolę również w polskiej praktyce prawnej. O ile przed sądami i trybunałami w przedrozbiorowej Polsce posługiwano się językiem polskim (*expressis verbis* fakt ten stwierdzono późno, bo w latach 1791 oraz 1792), to już do sporządzania akt sądowych wykorzystywano niemal wyłącznie łacinę. Dopiero w roku 1543 postanowiono, że dokumenty sądowe mogą być sporządzane nie tylko po łacinie, ale i po polsku. Pierwsze eksperymenty na tym polu nie przyniosły jednak zadowalających rezultatów. Kiedy w roku 1563 nakazano, by akta sądowe dla ziemi oświęcimsko-zatorskiej pisano wyłącznie po polsku, praktyka ta utrzymała się tylko do roku 1616, w którym wrócono do łaciny.

Naturalnie stopień znajomości języka przez uczestników procesu nie zawsze był zadowalający. Łukasz Górnicki (1527-1603), sekretarz króla Zygmunta II Augusta (1520-1572), sam znakomity łacinnik, zachęcał rodaków, by brali przykład z Czechów, którzy w sądach i urzędach posługiwali się w tym czasie wyłącznie językiem narodowym. Jego apele na niewiele się jednak zdały. Notorycznie zdarzało się, że pisano po łacinie pozwy bez elementarnej znajomości tego języka. Generalnie jednak utrzymywano pewien poziom. Historyk prawa, Wacław Aleksander Maciejowski (1793-1883), choć niechętny łacinie, zauważał: „Śmiech i politowanie bierze, czytając nasze akta urzędowe, dziką nastrzępione łaciną: a jednakże, czemu się właśnie należy dziwić, była ona lepsza od takiejże łaciny używanej po sądach w Anglii, Węgrzech, a nawet i w Niemczech”[57].

Powszechnie język polski dla aktów urzędowych w całym kraju wprowadzono dopiero w roku 1792. Powody tego kroku miały po części zabarwienie polityczne. Oto w liście z roku 1790 autorstwa Józefa Dzierzkowskiego czytamy: „Prosiliście panowie, żeby język łaciński był zachowany w stanach i cyrkułach, czyli starostwach. Mnie się zdaje – i takiego zdania są inni obywatele – iż potrzeba język ojczysty wcale w tych magistratach zachować, bo znacie kraj, że jest wielu godnych i zdanie mających oby-

---

56 W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, Warszawa 1964, s. 228; M. Wańkowicz, *Karafka La Fontaine'a*, t. II, Warszawa 1972, s. 461.

57 W.A. Maciejowski, *op. cit*., s. 154.

watelów, ale nie wszyscy rozumem i edukacją wzięli wiadomość języka łacińskiego, więc lepiej niech akta będą po polsku, a ten punkt jeszcze bardziej Niemców oddali od naszych magistratur. Nawet im nadzieję odjąć potrzeba, bo inaczej nie zapomną o Galicji, która tym jest dla nich, czym była dla Żydów ziemia obiecana"[58].

Pod zaborami i w niepodległej Polsce

W roku 1795 nastąpił trzeci rozbiór Polski, wskutek czego politycznie państwo polskie przestało istnieć. Dotychczasowe jego części weszły w skład Rosji, Austrii i Prus. Zaborców, co zrozumiałe, prawa polskie niewiele obchodziły. Niemniej rola łaciny nie tylko nie uległa osłabieniu, ale wręcz wzrosła. Kiedy w roku 1811 austriacki cesarz Józef II ogłosił w języku niemieckim nowy kodeks cywilny dla Austrii (ABGB), nie wszyscy przyjęli ten krok z zachwytem. Josef Winiwarter (1780-1848), jeden z najwybitniejszych austriackich cywilistów, który w latach 1806-1828 wykładał prawo cywilne we Lwowie, przetłumaczył nową kodyfikację na łacinę (*Corpus civilis universalis*, 1812), gdyż uznał, że w tej formie będzie bardziej przystępna[59]. W Niemczech, a tym samym w zaborze pruskim, dominującą rolę łaciny zakończyło w roku 1900 wejście w życie kodeksu cywilnego dla niemieckiej Rzeszy (BGB). Wiernym depozytariuszem prawniczej łaciny na polskich ziemiach pozostał natomiast Kościół katolicki, co miało znaczenie zwłaszcza na terenach zajętych przez Rosję, gdzie w roku 1863, po zdławieniu przez cara kolejnego zbrojnego powstania Polaków, władze narzuciły rosyjski jako język urzędowy. W żaden sposób nie wpłynęło to jednak zarówno na praktykę prowadzenia ksiąg parafialnych, formułę obrzędów religijnych, jak i przebieg procesu kanonicznego.

Kiedy w roku 1918 Polska odzyskała niepodległość, posługiwanie się łaciną w organach związanych z wymiarem sprawiedliwości, w takim zakresie jak kiedyś, było już odległym wspomnieniem. Wciąż istniały jednak świetne gimnazja klasyczne, w których nauczano tego języka na bardzo wysokim poziomie. Wykładów po łacinie mogli słuchać również studenci prawa kanonicznego. Było to nawet pożądane, gdyż *Corpus Iuris Canonici* z roku 1917 ogłoszony został w tradycyjnym języku Kurii

---

58 Cyt. za: R. Kaleta, *Sensacje z dawnych lat*, Wrocław 1986, s. 444-445.

59 J. Winiwarter, *Corpus Iuris Universalis*, vol. I-III, Wien 1812.

Rzymskiej. W okresie międzywojennym w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim szereg zajęć (w tym prawo rzymskie) dla księży odbywał się właśnie w tym języku. Jednym z ówczesnych jego profesorów był Gomar Michelis (1890-1965). Uczony ten, światowej sławy specjalista, z pochodzenia Belg, nigdy nie nauczył się języka polskiego. Z otoczeniem porozumiewał się więc głównie po łacinie. W tym też języku głosił wykłady i przyjmował egzaminy.



Zgromadzenie założycielskie Towarzystwa Umiędzynarodowienia Łaciny w Warszawie (1933). Prezydium: profesor Tadeusz Zieliński (z brodą), redaktor Ludwik Morstin (z lewej) oraz mecenas A. Zaniewicz (drugi z prawej)

Koniec pieśni

W latach 1939-1945 zarówno polskie szkolnictwo wyższe, jak i wymiar sprawiedliwości oficjalnie nie istniały. Heinrich Himmler (1900-1945) deklarował: „Dla polskiej ludności Wschodu nie mogą istnieć szkoły wyższe niż 4-klasowa szkoła ludowa. Celem takiej szkoły ludowej ma być wyłącznie proste liczenie, najwyżej do pięciuset, napisanie własnego nazwiska, wiedza, iż boskim przykazaniem jest być posłusznym Niemcom, uczciwym, pracowitym i rzetelnym. Czytania nie uważam za konieczne”[60]. Plany te nie ziściły się dzięki ofiarności polskich nauczycieli i wykładowców uniwersyteckich, którzy ryzykując życie, podjęli pracę z dziećmi i młodzieżą. Tajne nauczanie objęło naturalnie naukę zarówno łaciny, jak i prawa rzymskiego.

Po zakończeniu II wojny światowej władze komunistyczne nie były zainteresowane kontynuowaniem nauczania łaciny w dotychczasowym

60 T. Kułakowski, *Gdyby Hitler zwyciężył*, Warszawa 1959, s. 33.

zakresie. „Światopogląd naukowy odrzuca ciemnotę religijnych zabobonów" – można było przeczytać na łamach reżymowego czasopisma „Trybuna Ludu" w roku 1949. Dalej autor rzucał gromy na kler, który „za pomocą łaciny tumani lud pracujący miast i wsi". Paralelnie podjęto działania wymierzone przeciw prawu rzymskiemu. W uzasadnieniu „Projektu programu studiów prawniczych" przygotowanego przez Ministerstwo Sprawiedliwości w roku 1946, napisano: „Ministerstwo Sprawiedliwości uważa dotychczasowy system dogmatycznego wykładu prawa rzymskiego za wysoce szkodliwy, bowiem zaraża on psychikę młodego prawnika formułami myślenia magicznego z równoczesnym zatraceniem zrozumienia prawa jako jednej z nauk społecznych. Zjawisko to można stale obserwować wśród prawników-praktyków wychowanych w dotychczasowej szkole rozumowania prawniczego, opartego na prawie rzymskim"[61]. Aluzja do łaciny jest więcej niż wyraźna.

Reforma ostatecznie nie weszła w życie, ale na efekty polityki władz nie trzeba było długo czekać. Poeta Władysław Broniewski (1897-1962) w okolicznościowym poemacie zatytułowanym „Słowo o Stalinie" z roku 1949 chełpił się:

> Rewolucjo! – któż wiatr powstrzyma,
> kto ziemię zawróci w biegu?
> Rewolucjo, tablice praw Rzymu
> Obalamy od Chin po biegun![62]

Tymczasem Marek Korowicz (1903-1964) – dyplomata, emigrant i polityczny dysydent, kreśląc atmosferę stalinowskich rządów w Polsce w latach 40-tych i 50-tych, ze zgorszeniem zauważał między innymi: „Pogrom łaciny jest generalny. Przyjmuje się na wydział prawa ludzi bez znajomości łaciny, a profesor prawa rzymskiego, który z tej przyczyny w Krakowie zupełnie wyłysiał pomimo młodego wieku (Osuchowski), musi przy pomocy asystentów tłumaczyć swoim studentom wyjątki z tekstów rzymskich, które my kiedyś znaliśmy po łacinie na pamięć. Za moich czasów prof. Wróblewski wykładał prawo rzymskie przez 150 godzin w roku i tyleż prof. Taubenschlag. Teraz godzin jest ok. 60 i tylko

---

61 AAN, Min. Ośw. D.IV-169/21.

62 Cyt. za: W. Broniewski, *Nadzieja: poezje*, Warszawa 1951, s. 62.

na jednym semestrze. Jakimi oni chcą być prawnikami bez znajomości prawa rzymskiego, matki wszelkiego zachodniego prawodawstwa?”[63].



Władysław Broniewski

W czasach komunistycznych filologię klasyczną można było studiować jedynie w kilku ośrodkach naukowych, w tym także w Lublinie. O pisarzu Jacku Bocheńskim (ur. 1926), którego łaciny nauczył ojciec, a potem miał z nią kontakt dzięki studiom na KUL-u, napisano po latach: „łacina i prawo rzymskie nauczyły go zresztą nie gorzej niż życie walki *contra tyrannos*”.

Skazanie łaciny na wegetację, spowodowało dramatyczne braki w ogólnym wykształceniu społeczeństwa. Pewnego rodzaju kryzys odczuwa się w związku z tym nawet wśród uczonych zajmujących się prawem rzymskim czy historią prawa. Pisarz i prawnik Marek Nowakowski (ur. 1935) nie bez racji nazywał swoich profesorów prawa rzymskiego

63 M.S. Korowicz, *W Polsce pod sowieckim jarzmem*, Londyn 1955, s. 286.

– Edwarda Gintowta (1889-1965) i Rafała Taubenschlaga (1881-1958), „ostatnimi Mohikanami starego świata”[64].

„Kiedyś – zauważa wspomniany wyżej Jacek Bocheński – uczył się łaciny każdy, kto mógł, mianowicie po to, żeby zapewnić sobie wyższy cenzus społeczny i żeby mu się lepiej powodziło w życiu. Dzisiaj uczą się nieliczni, którzy z powodu szczególnych upodobań kulturalnych godzą się właśnie na mniej społecznego uznania i niższy standard życia”[65].

Kolumny Sądu Najwyższego

Stosunek państwa do prawa rzymskiego, a co za tym idzie do łaciny, diametralnie zmienił się po roku 1989. Po zmianie ustroju podjęto szereg działań, które miały na celu zapewnić prawu rzymskiemu i łacinie prawniczej należne im miejsce w systemie edukacji prawniczej.

Najdobitniejszym tego wyrazem stało się umieszczenie na nowej siedzibie polskiego Sądu Najwyższego (oddany do użytku w roku 1999) łacińskich paremii prawniczych, symbolizujących fundamenty porządku prawnego demokratycznego państwa. Architekt Marek Budzyński (ur. 1939) pierwotnie planował przyozdobić budowlę fragmentami obowiązującego prawa polskiego. Pomysłowi temu sprzeciwiły się jednak środowiska prawników, w których opinii łacina nadaje się lepiej do wyrażania wartości o charakterze ponadczasowym. Ostatecznie na kolumnach otaczających gmach sądu umieszczono osiemdziesiąt sześć łacińskich maksym, z których większość pośrednio lub bezpośrednio nawiązuje do prawa rzymskiego. Jedynie dwie pochodzą z łacińskich źródeł prawniczych Polski przedrozbiorowej (*Iustitias vestras iudicabo* – nr 30, *Neminem captivabimus nisi iure victum* – nr 31). Ich liczba oraz forma, w której zostały wyeksponowane stanowią ewenement w skali światowej.

Na odwołania do łacińskich maksym prawniczych wciąż można natknąć się w praktyce nie tylko Sądu Najwyższego, ale również sądów niższej instancji. Co ciekawe, największym powodzeniem w orzecznictwie cieszą się formuły, których rodowód nie sięga antycznego Rzymu, choć nie ma wątpliwości, że stworzono je, bazując na rzymskim fundamencie, na przykład: *in dubio pro reo*, *nullum crimen sine lege*, *nulla*

64 M. Nowakowski, *Grisza, ja tiebie skażu*, Warszawa 1986, s. 7.

65 J. Bocheński, *Antyk po antyku*, Warszawa 2010, s. 55.

poena sine lege, *pacta sunt servanda*, *clara non intepretanda sunt*, *superficies solo cedit*, *ignorantia iuris nocet*, *volenti non iniuria fit*, *dura lex sed lex*. W powszechnej świadomości utrwaliło się przekonanie, że prawo rzymskie stanowi ekwiwalent prawa sprawiedliwego. Nie brakuje zatem uzasadnień wyroków, w których łacińskie maksymy prawnicze stawiane są obok przepisów obowiązującego prawa polskiego.

W orzecznictwie, jak i w literaturze specjalistycznej przyjęło się również używanie łacińskich zwrotów, takich jak: *ad rem*, *contra legem*, *de lege ferenda*, *de lege lata*, *erga omnes*, *ex lege*, *in fine*, *in exceptione*, *in rem*, *ipso iure*, *ratio legis*, *rebus sic stantibus*, *reformatio in peius*, *res iudicata*, *vacatio legis*, *verba legis* itd. Co ciekawe, dla wszystkich istnieją polskie ekwiwalenty. Siła tradycji nie pozwoliła jednak wyprzeć tradycyjnych formuł łacińskich.

O tym, że w polskim środowisku prawniczym otacza się łacinę szacunkiem, świadczy również szereg nazw kancelarii prawnych. Oto wybrane przykłady: *Advocatus*, *Agnosco*, *Amicus*, *Animus*, *Astra*, *Bona Fides*, *Causa*, *Codex, Cognitor*, *Consensus*, *Contractus*, *Credo*, *Custodia*, *Iudex*, *Ius*, *Iustus*, *Forum*, *Glossa*, *Legitimus*, *Lex*, *Legatus*, *Prudentia*, *Silex*, *Vindex*, *Vis Legis*. Świeżo upieczeni adwokaci i radcowie prawni wręcz wertują słowniki łacińsko-polskie w poszukiwaniu „chwytliwej" nazwy dla nowej kancelarii.

Druga strona medalu

Opinie sędziów, adwokatów, prokuratorów oraz przedstawicieli innych zawodów prawniczych na temat łaciny są zgodne: jest to język dla prawnika potrzebny. Z drugiej wszakże strony nieznajomość łaciny wśród polskich prawników jest zjawiskiem powszechnym. Niezwykle trudno znaleźć obecnie jurystę, który wie, czym są gramatyczne konstrukcje, takie jak: *accusativus duplex*, *coniugatio periphrastica passiva* czy też *infinitivus cum indicativo*. Na pierwszym roku prawa studenci przez osiem miesięcy uczą się łaciny, pod kątem przyswojenia podstawowej terminologii prawniczej. Dla przytłaczającej większości z nich jest to pierwszy kontakt z tym językiem. W tym czasie opanowanie i utrwalenie nawet podstaw gramatyki jest właściwie niemożliwe. Tymczasem zajęcia z przedmiotu: „łacina prawnicza", odbywające się na drugim roku, polegają zwykle na analizowaniu łacińskich paremii prawniczych, które syn-

taktycznie i leksykalnie są dla uczestników zajęć zupełnie niezrozumiałe. Nikt jednak nie widzi problemu.

W środowisku prawniczym wciąż popularna jest teza, zgodnie z którą znajomość łaciny, obok togi i kodeksu, stanowi nieodłączny atrybut prawnika. A jednak żaden student prawa (nie mówiąc o praktykach) nie ma złudzeń co do tego, że w obecnej Polsce znajomość łaciny w minimalnym nawet stopniu nie przyczynia się do zwiększenia jego szans na rynku pracy. Dlatego w gruncie rzeczy nikt się łaciną specjalnie nie przejmuje, choć okazjonalne zacytowanie jakiejś łacińskiej maksymy lub zrobienie wtrętu w tym języku nadal uchodzi za szykowne. Do niedawna kroniki humoru sądowego pełne były cytowań łacińskich paremii prawniczych. Obecnie jest jeszcze gorzej. W kompilacjach sądowych anegdot z łaciny raczej się rezygnuje. Czytelnicy, zwłaszcza młodzi, nie rozumieją, o co chodzi.

Dochodzi przy tym często do zabawnych (dla wtajemniczonych) nieporozumień. Poczytne prawnicze pismo „Prawo i Życie" (2000, nr 4, s. 73) opublikowało tekst zatytułowany „Zabójstwo na żądanie", który opatrzony został łacińską paremią *volenti non fit iniuria*. Zamysł był dobry, ale autor lub korektor niestety nie znał łaciny w stopniu dostatecznym, w związku z czym w wersji drukowanej ukazało się *violenti non fit iniuria*. Tym samym z zasady: „chcącemu nie dzieje się krzywda" powstała życiowa mądrość – „gwałcącemu nie dzieje się krzywda".

W dniu 8 grudnia 2008 roku prawnicze czasopismo „Monitor Prawniczy" oraz Okręgowa Izba Radców Prawnych z Warszawy zorganizowały seminarium „Łacińskie paremie prawnicze a współczesna praktyka prawnicza"[66]. Po zakończeniu obrad jeden ze starszych radców, który łaciny miał okazję uczyć się jeszcze w szkole, przyznał, że niechętnie odwołuje się w sądzie do tego języka, gdyż… nie chce zaszkodzić swoim klientom. „Kiedy pewnego razu – wspominał – oświadczyłem, że nie będę dokładnie omawiał przepisów, gdyż *iura novit curia*, na sali sądowej zapanowało krępujące milczenie. Nikt, na czele z sądem, nie zrozumiał moich intencji". Przy innej okazji jeden z sędziów nie krył sarkazmu oświadczając: „Łacinę słyszę tylko na sali sądowej w momentach, kiedy adwokaci

[66] M. Jońca, *Seminarium: „Łacińskie paremie prawnicze a współczesna praktyka prawnicza"*, „Czasopismo Prawno-Historyczne" 61.1 (2009), s. 416.

chcą zrobić dobre wrażenie na swoich klientach, używając obiegowych sentencji".

Wspomniano o łacińskich nazwach kancelarii adwokackich i radcowskich. Należy dodać, że wiele z nich, naturalnie nie zostaną wymienione przykłady, korzysta z nazw łacińskich, które jednakowoż zostały napisane z błędami stylistycznymi lub wręcz ortograficznymi. Zdarzają się również koszmarne hybrydy łacińsko-angielskie, łacińsko-polskie oraz łacińsko--bliżej nieznane.

Prawnicy deklarują, że bardzo chętnie widzieliby łacinę w roli *lingua franca* prawniczego świata. Do tego jednak potrzebna jest nie tylko chęć, ale i niemały wysiłek. Tymczasem fragmentaryczne badania pokazują, że problemem wśród polskich sędziów czy prokuratorów jest znajomość jakiegokolwiek języka obcego, z angielskim na czele[67].

Zapomniane dziedzictwo

Polska terminologia prawnicza zawsze wiele zawdzięczała i nadal zawdzięcza łacinie. Dopiero pod koniec XVIII wieku podjęto starania o to, by utworzyć nowy język polski dla nauki, a także dla funkcjonowania sądów i urzędów. Była to jednak praca, którą należało rozłożyć na wiele lat. W roku 1807 na mocy traktatu w Tylży na części ziem polskich zagarniętych przez Prusy utworzono buforowe Księstwo Warszawskie. Na jego terytorium obowiązywać miały przepisy Kodeksu Napoleona. W tym celu postanowiono przełożyć tekst kodyfikacji na język polski. Tłumacze napotkali jednak na nie lada przeszkodę. Oto po raz kolejny okazało się, że prawnicza polszczyzna jest zbyt uboga w specjalistyczną terminologię. Zdecydowano się więc sięgnąć do prawa rzymskiego – *ergo* znowu do łaciny.

Skutki tego stanu rzeczy odczuwamy także obecnie. Kiedy więc na przykład mówi się o abolicji, aborcji, abrogacji, absencji, absolucji, absolutorium, umowach adhezyjnych, akcesoryjności, umowach aleatoryjnych, alienacji, aukcji, delacji, depozycie, derelikcji, dezalienacji, domicylu wekslowym, dylatoryjności, ekspektatywach, ekspulsji, eksterytorialności, ekstradycji, emisji, ewaluacji, ewikcji, firmie, formularzu,

---

67 M. Iwanowski, *Angielski – hobby czy konieczność* – http://www.nawokandzie.ms.gov.pl/dobre-praktyki-iv/news/134/angielski-hobby-czy-koniecznosc-.

fundacji, globalizmie, testamencie holograficznym, immisjach, indosie, intercyzie, sądowej interdykcji, kognicji, kolizji, konsensie, konstytucji, kontrasygnacie, korporacji, korupcji, naturalizacji, nomenklaturze, normie, nupturientach, obligatoryjności, peremptoryjności, plagiacie, preambule, prejudycjalności, probacji, prohibicji, prokuratorii, promulgacji, prowokacji, reglamentacji, rekognicji, reparacji, repatriacji, sekularyzacji, subsydiarności, tabeli, terminach, testyfikacji, transakcji, utylitaryzmie, wadium czy wadimonium, warto pamiętać, że wszystkie te terminy są pochodzenia łacińskiego. To zresztą jedynie skromna część potężnego zbioru terminów zbudowanych na łacińskim fundamencie. Jan Boć (ur. 1939) umieszcza je wśród „prawniczych wyrazów trudnych"[68]. Cóż, gdyby łacina nadal była przedmiotem obowiązkowym przynajmniej w liceach, z pewnością aż tak trudne by nie były.

Można zapytać, czy nie lepiej zupełnie pozbyć się tego balastu. Liczne próby zostały już podjęte. Marginalizacja łaciny zamiast wyklarowania pojęć oraz przybliżenia zasad funkcjonowania prawa społeczeństwu doprowadziły do jeszcze większego chaosu. Profesor Tadeusz Zieliński (1926-2003), były rzecznik praw obywatelskich i minister pracy, człowiek będący wielkim miłośnikiem starożytności klasycznej, szczerze ubolewał: „Stanem języka prawniczego niepokoją się też wielce nasi językoznawcy. Niektórzy z nich biją nawet na alarm, wytykając licznym tekstom ustawowym niepoprawność stylistyczną, mętność pojęć, błędność składni i mnogość zapożyczeń z języków obcych. Gorzej jeszcze przedstawia się jakość języka, którym posługują się w swych pracach uczeni prawnicy. Książki i artykuły pisane przez wybitnych nieraz jurystów roją się od neologizmów, wśród których przeważają przekręty terminów używanych w literaturze zagranicznej"[69].

Nieznany obszar recepcji

Aleksander Wojciech Mikołajczak (ur. 1957) – autor świetnej rozprawy poświęconej roli, którą łacina odegrała i odgrywa w Polsce, kompleksowo scharakteryzował obszary recepcji tego języka w naszym kraju[70].

---

68 Zob.: *Prawniczy słownik wyrazów trudnych*, red. J. Boć, Łódź 2005.

69 T. Zieliński, *Taryfowe fertagi*, [w:] *Droga do Ziemi Obiecanej*, Warszawa 2002, s. 26.

70 A.W. Mikołajczak, *Łacina w kulturze polskiej*, Wrocław 2005.

Zapomniał wszakże o jednej sferze przenikania, co ciekawe, pozostającej w ścisłym związku z wymiarem sprawiedliwości. Andrzej Szczeklik (1938-2012), lekarz, akademik i miłośnik rzeczy ładnych, w następujący sposób opisuje spotkanie z pewnym pacjentem: „Jestem na wizycie. Podchodzę do łóżka. Pielęgniarka odsłania kołdrę. Pokazuje mi się mocno zbudowany mężczyzna. Całe ciało ma pokryte tatuażem – od szyi do paznokci u stóp. Nagie postacie kobiece opływają girlandy sentencji, arabeski wersów. Wszystkie po łacinie, pulsują rytmem. »Ars amandi« i »Metamorfozy« Owidiusza, »Ody« Horacego. Czytam na skórze szkolne lekcje sprzed dziesiątek lat. Nasz pacjent wyszedł niedawno z więzienia. Przesiedział dwa lata w celi z doktorem filologii klasycznej, który zajął się jego ciałem. Przykładam stetoskop nad serce. A tam Horacy: *Mutato nomine de te fabula narratur* (Pod zmienionym imieniem o tobie mówi ta bajka). *Nomen, nominis* – myślę, która to deklinacja? Trzecia czy czwarta? Nie jestem pewny, nie mogę się skupić. Rytm heksametru zaczyna mi przesłaniać rytm serca. »Przyjdę do pana później« – mówię choremu. On nie okazuje zdziwienia. Jasna sprawa, chcę mieć więcej czasu, by podziwiać jego tatuaż”[71].



Skutki recepcji aforyzmów Cezara za więzienną kratą (fot. Sławomir Przybyliński)

Pacjent profesora Szczeklika dostał się w ręce specjalisty. Wystarczy jednak otworzyć niezwykle kształcące opracowanie pt. „»Dziara«, »cynkówka«, »kolka« – zjawisko tatuażu więziennego”, by przekonać się, że

[71] A. Szczeklik, *Kore. O chorych, chorobach i poszukiwaniu duszy medycyny*, Kraków 2007, s. 17.

łacińskie frazy i określenia (najczęściej przepisywane z błędami) nadal cieszą się popularnością wśród skazanych[72]. Wśród sentencji mających charakter, powiedzmy, ogólno-instruktażowy, jak: *homo sum* (jestem człowiekiem), *dux hell* (książę piekła; swoją drogą niezłe złożenie…), *vide cul fide* (właściwie: *vide cui fides* – patrz, komu ufasz) czy *alea asta est* (właściwie: *alea iacta est* – kości zostały rzucone), znaleźć można również powiedzenia niezwykle popularne w świecie prawniczym, jak *pacta sunt servanda* (tym razem, o dziwo, „wydziargane" bez błędu).



Mariaż prawa i fizyki. Tatuaż więzienny (fot. Sławomir Przybyliński)

Prognozy

Naturalnie zaprezentowany wyżej wizerunek łaciny prawniczej ma charakter panegiryczny. Nie tylko powody polityczne zadecydowały o jej niedawnej klęsce. Literatura przechowała niezliczoną liczbę opisów mąk uczniów zmuszanych do nauki „martwego języka". W Polsce bezlitośnie szydził z niej Witold Gombrowicz (1904-1969), w Czechach – Jaroslav Hašek (1883-1923).

Na szczęście w ostatnich latach, które można nazwać epoką zbiorowej amnezji, w Europie zaobserwować można ponowny wzrost zainteresowania łaciną. Papież Benedykt XVI (ur. 1927) zezwolił na odprawianie

[72] S. Przybyliński, *„Dziara", „cynkówka", „kolka" – zjawisko tatuażu więziennego*, Kraków 2007, s. 18, 44-45, 47.

mszy świętej po łacinie bez konieczności uzyskania zgody miejscowego biskupa. Z „wulgarną" łaciną żołnierzy rzymskich (choć w rzeczywistości mówili oni raczej po grecku) można zapoznać się dzięki „Pasji" Mela Gibsona (ur. 1956). Powstają koła zainteresowań, których członkowie pragną doskonalić się w znajomości języka starożytnych Rzymian. Filolog klasyczny Wilfried Stroh (ur. 1939) wyjaśnia: „Im bardziej ludzie Zachodu stykają się u siebie z innymi kulturami, jak z islamem, tym bardziej zwracają się też ku korzeniom własnej kultury". Niekiedy pojawiają się również postulaty, by łacina stała się wspólnym mianownikiem prawa Unii Europejskiej. Ci, którym nie chce się wertować zakurzonych kurzem podręczników do gramatyki, odrzucają ją jednak jako „opcję zbyt watykańską".

Co się tyczy Polski, to w najbliższych latach prawdziwy renesans języka łacińskiego nie wydaje się prawdopodobny. W tym celu należałoby przywrócić naukę tego języka w gimnazjach i liceach. Tymczasem, zgodnie z ostatnimi planami polskiego Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego nie będzie można zdawać matury z języka łacińskiego. To jednak żadna tragedia. Zgodnie z utartym schematem, polegającym na spóźnionym kopiowaniu wzorców zachodnich, łacina do nas wróci. Pytanie tylko: kiedy? Co się zaś tyczy prawników, im mniej osób będzie w stanie zweryfikować ich cytaty wygłaszane po łacinie, naturalnie tym lepiej.

Podsumowanie

Śledząc losy łaciny na przestrzeni wieków, trudno nie zgodzić się z opinią węgierskiego pisarza Sandora Maraiego (1900-1989): „Łacina była ostatnią klamrą, która spinała europejską kulturę w duchową jedność. Ta klamra pękła: rozłamały ją narodowe ambicje. Bez wspólnego języka nie ma Europy, są jedynie narody, które nienawidzą się nawzajem w czterdziestu językach". Coś jest na rzeczy!

6. *GAUDEAMUS IGITUR*!

Gaudeamus igitur iuvenes dum sumus (Cieszmy się więc, dopóki jesteśmy młodzi). Słowa te rozpoczynają nieoficjalny hymn wszystkich uczelni świata. Zwykle śpiewa się go po łacinie podczas podniosłych akademickich uroczystości. Łacińskie strofy mają dodać powagi spotkaniu

oraz postaciom w togach i gronostajach, które w trakcie występu chóru bezgłośnie poruszają ustami. Któż jednak pamięta, że pierwotnie była to pieśń biesiadna, radośnie nucona przez wagantów – wędrownych bardów, których znaczna część rekrutowała się spośród studentów? Wbrew powszechnemu przekonaniu, studenci nigdy nie należeli do jednostek potulnych. Temat jest przestronny i wielowątkowy. Uwagi poniższe ograniczą się jednak do wybranych epizodów ze starożytności, średniowiecza i wczesnej epoki nowożytnej.

Biurokracja i „fala"

W okresie schyłkowym rzymskiego cesarstwa najprężniejszymi ośrodkami nauczania prawa stały się: Bejrut, Konstantynopol oraz Rzym. W konstytucji Walentyniana I z roku 370 znalazło się polecenie, by wszyscy przybywający do miasta studenci natychmiast zgłaszali się do urzędnika podatkowego (*magister census*) wraz z dokumentami potwierdzającymi personalia, miejsce pochodzenia, zezwolenie na wyjazd oraz przyjazd itd. Inne dokumenty miały w przyszłości rejestrować ich postępy w nauce. Najciekawsza była jednak dalsza część cesarskiego dokumentu: „Biuro administracji podatków (*officium censualium*) powinno pilnie obserwować tryb życia studentów w ich mieszkaniach oraz czy rzeczywiście poświęcają oni swój czas na studia, o których mniema się, że je podjęli. Funkcjonariusze tego *officium* powinni przypominać studentom, że w swym gronie muszą unikać zachowania się skandalicznego i nieuczciwego, które może zaszkodzić ich reputacji, jak również złych znajomości, uważanych przez cesarza prawie za zbrodnie. Studenci nie powinni chodzić zbyt często na widowiska ani też brać udziału w pijackich hulankach. Jeżeli student nie prowadzi się tak, jak tego wymaga godność studiów *litterae liberales*, prefekt miasta rozkaże publicznie go wychłostać, wydalić z Rzymu i odesłać do domu" (przeł. C. Kunderewicz)[73].

Ze szkoły prawa w Bejrucie ciekawe wspomnienia zachował Zachariasz Scholastyk (ok. 465-538), adwokat, a później biskup Mityleny na wyspie Lesbos. Wspomina on o ciężkim losie, który studenci starszych lat, zwani *Edictales*, gotowali nowicjuszom określanym jako *Dupontii*. Zjawi-

[73] CTh. 14.9.1. Zob. również: C. Kunderewicz, *Rząd i studenci w Kodeksie Teodozjańskim*, [w:] *Studia z rzymskiego prawa administracyjnego*, Łódź 1991, s. 80.

sko studenckiej „fali" kategorycznie potępił w konstytucji *Omnem* cesarz Justynian (482-565). Zakazał w niej studentom prawa w Bejrucie niegodnych gier, które mogłyby wyrządzić szkodę kolegom lub profesorom. „Któż bowiem nazwie zabawami czyny, z których rodzą się przestępstwa?" – pytał retorycznie władca[74]. W Bejrucie spotkał Zachariasz pobożnego kolegę Sewera, który pragnął odciąć się od reszty żaków, którzy „grają w kości, nurzają się w pijaństwie czy piją z prostytutkami, a nawet upadlają się kompletnie". Miasto zaś nazywał Sewer „źródłem rozkoszy"[75]. Inną „rozrywką" bejruckich studentów było praktykowanie sztuk tajemnych. „Zgromadzili oni księgi magiczne i pokazywali je tym, którzy starali się im przypodobać. (…) Ci studenci postanowili nocą zabić niewolnika etiopskiego, by bardziej przypodobać się diabłu" – ze zgrozą pisał Zachariasz[76].

Podnajem a sprawa studencka

Współcześnie studiowanie na konkretnym kierunku wywołuje szereg stereotypowych skojarzeń otoczenia. I tak studenci historii sztuki to artystyczne dusze, studenci prawa elegancko się ubierają, studenci weterynarii dużo piją itd. Podobne gradacje stosowano już w średniowieczu. W „Kodeksie" Justyniana zapisano: „Nikomu nie zabrania się podnajmowania rzeczy, którą sam wynajął w celach ekonomicznych, o ile nie uzgodniono inaczej"[77]. Profesor prawa rzymskiego na uniwersytecie w Bolonii, Odofredus (zm. 1265), komentując powyższą regulację, zauważył: „Tak powiedziano w ustawie, że tam, gdzie ktoś wynajmuje rzecz innemu dla celów ekonomicznych na okres jednego roku, jednocześnie pozostawia mu prawo do zbycia lub podnajęcia jej innym odpowiednim osobom. Tekst powinien zawierać zastrzeżenie: o ile nie spowoduje to pogorszenia rzeczy. A co, jeżeli wynajmę mój dom pewnemu studentowi prawa, a ten zapragnie go podnająć liberalnym studentom sztuki? Nie wolno mu tego

---

74 *Const. Omnem* § 9.

75 Zach. *Vit. Sev*. 52.77.

76 Zob.: P. Sadowski, *Szkoła prawa w Bejrucie w świetle Vita Severi Zachariasza Scholastyka*, [w:] *Romanitas et Christianitas. Stanislao Plodzien In memoriam*, red. A. Dębiński, S. Jóźwiak, Lublin 2008, s. 204.

77 C. 4.65.6. Dalsze uwagi na ten temat – P. du Plessis, *Rozwój doktryny prawniczej w ius commune: studium przypadku*, [w:] *Prawo rzymskie a kultura prawna Europy*, red. A. Dębiński, M. Jońca, Lublin 2008, s. 44-70.

zrobić, ponieważ wydaje się, że podnajęcie spowodowałoby pogorszenie jakości rzeczy”[78]. Jak widać, studenci prawa jawili się w oczach bolońskiego jurysty jako młodzież zdecydowanie mniej imprezowa od studentów sztuki… Na takie *dictum* niejeden przyszły i obecny prawnik zapłonie świętym oburzeniem, powołując się na własne bogate doświadczenia. Ale to nie ja mówię, Panie i Panowie, to profesor Odofredus tak twierdzi. Przy okazji warto zauważyć, że kwestia tego, na jakich zasadach żacy wynajmowali pokoje lub domy, była wówczas poważnym problemem, który zajmował uczonych tej miary, co Jacques de Revigny (1240-1296) w Orleanie czy Baldus de Ubaldis (1327-1400) w Pawii.



Średniowieczny student ścieli łóżko w swoim pokoju

Nie-świętoszki

W średniowieczu uważano studentów za społeczność podejrzaną i niebezpieczną. Kroniki pełne są śladów nieustającego napięcia, które panowało między żakami uczącymi się na słynnej Sorbonie oraz mieszkańcami Paryża. W mieście znajdowało się pole Pré-aux-Clercs, traktowane jako obszar służący do rekreacji dla członków akademickiej wspólnoty. Młodzi ludzie woleli na ogół spędzać wolny czas inaczej, to znaczy na pijaństwie, hazardzie oraz innych rozrywkach, których nocny Paryż nigdy nikomu nie skąpił. Znane było również ich zamiłowanie do siłowego rozwiązywania problemów. Mateusz z Paryża (ok. 1195-1259) wspo-

[78] Odofredus, *Lectura super Codicem; ad. C 4.65.6*, [w:] *Opera Iuridica Rariora*, t. I, red. E. Cortese, G. Rossi, Bologna 1967, s. 258.

mina w swej „Kronice większej" o pewnym znamiennym epizodzie. Otóż w roku 1229 grupa paryskich studentów udała się na wycieczkę do pobliskiego St. Marcel. W tamtejszej gospodzie wywiązała się scysja z oberżystą, której powodem był zawyżony, zdaniem konsumentów, rachunek za wino. Doszło do rękoczynów, przy czym na skutek interwencji miejscowych żacy zostali poturbowani i zmuszeni do ucieczki. Powróciwszy do Paryża, okazali rany i wezwali kolegów do odwetu. Następnego dnia tłum uzbrojony w miecze i pałki zjawił się w St. Martin. Po całkowitym zdemolowaniu oberży studenci rozbiegli się po mieście, zadając rany wielu przypadkowo spotkanym osobom.

Czyn ten pewnie uszedłby im na sucho, ale o sprawie powiadomiona została królowa. Znana z wybuchowego charakteru i śmiałości w podejmowaniu decyzji Blanka Kastylijska (1188-1252) natychmiast wysłała gwardzistów, którzy bez sądu dokonali masakry winowajców. Jej decyzja spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem paryżan. Nie wiadomo, czy postępek ten wzięto pod uwagę w jej procesie kanonizacyjnym. Faktem jest natomiast, że do świętej Blanki, królowej Francji, można się dziś modlić. Wątpliwe jednak, by orędowała za studentami.

Polacy – nie gęsi

Skłonność do ekstrawaganckiego życia cechowała studentów uczelni nie tylko zagranicznych. Przykłady mało chwalebnych epizodów z życia krakowskich studentów przytacza Dariusz Łukasiewicz: „Podczas batalii krakowskiej w 1549 r., kiedy studenci starli się ze służbą kościelną, broniącą łżonej nierządnicy, jedna osoba zginęła, a osiem odniosło rany. Henryk Barycz pisał o szerzącej się na Uniwersytecie Jagiellońskim »swawoli i rozwydrzeniu młodzieży (…) jej nieustannych bójkach i tumultach«. W 1551 r. żak Maciej Podolski, ćwicząc z nudów strzelanie z łuku, zabił dziecko, innym razem dwaj studenci, strzelając dla zabawy z pistoletów z okien akademików, ustrzelili zecera z drukarni. Warto dodać, że w 1566 r. biskup Padniewski, zezwalając studentom na posiadanie broni, prosił ich, »by wstrzymali się od zabójstw i wzniecania w mieście tumultów«"[79].

[79] Zob.: J.L. Lingman, *Daily Life in Medieval Europe*, Greenwood Press 1999, s. 205-206.

Sprawiedliwie powiedzieć jednak trzeba, że wcale nie lepiej działo się w gronie profesorskim. „W 1534 r. – ze względu na częste bójki między profesorami uniwersytetu krakowskiego – za podniesienie miecza na kolegę po fachu ustalono mandat w wysokości jednej kopy groszy. W razie wykorzystania jako pocisków kubków i talerzy w stołówce przewidywano karę pół złotego plus pokrycie kosztów leczenia. Na przykład pan profesor Jan Dobrosielski, podchmieliwszy sobie nieco, rzucił się na profesora Piotra z Poznania i nie dość, że obił go ciężko, to jeszcze pociągnął za włosy przez cały korytarz. Dla porządku dodajmy, że szarpanie kolegi za włosy lub brodę w ferworze polemiki naukowej kosztowało pięć grzywien. Do wyjątków nie należały przypadki pijaństwa, choroby francuskiej, a domy profesorskie oblegały tabuny niewiast lekkiego prowadzenia. W 1569 r. kilku uczonych, napadłszy na dom kolegi, przystąpiło do wymuszania usługi cielesnej na kucharce, którą na zachętę pierwej obili”[80].

Przy okazji wspomnieć warto, że obok profesorskiej „elity” to właśnie studencka brać, należała do najbardziej niezawodnej klienteli pań lekkich obyczajów. Miejsca, w których czas upływał miło, były powszechnie znane. Jan Andrzej Morsztyn (1621-1693) w swawolnej fraszce „Do Piotra” szydził ze studenckich doświadczeń niektórych duchownych:

[…]
Tym ja ślę wiersze, ten je czytać będzie,
co dawno chodzi z kusiem po kolędzie,
Kto nowicyjat odprawił w Lublinie
Na Czwartku, kto wie, jakie gospodynie
W Warszawskiej Baszcie, na Mostkach we Lwowie,
Co za szynk w Smoczej Jamie przy Krakowie[81].

Do Lublina zaglądali niekiedy młodzi adepci prawa studiujący w Akademii Zamojskiej. Między innymi w trosce o nich burmistrz Lublina, wykładowca Akademii, a w wolnych chwilach poeta oraz kompozytor – Sebastian Fabian Klonowic (1545-1602), przestrzegał przed „dwunogiemi

80 D. Łukasiewicz, *Niemieckie psy i polskie świnie oraz inne eseje z historii kultury*, Gdynia 1997, s. 49.

81 Cyt. za: J.A. Morsztyn, *Wybór poezji*, Wrocław 1988, s. 207.

i niepłochemi łaniami" i radził, by wystrzegać się ich jak gangreny. Lublin miał pod dostatkiem „tego kwiatu" nie tylko na wzgórzu Czwartek.



Sebastian Fabian Klonowic

Skowronki w główkach

Wszelkie działania, które ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym opisuje jako „czyny uchybiające godności studenta" (art. 211.1), a które ściągają na delikwenta odpowiedzialność dyscyplinarną (niekiedy również i karną), stanowczo potępiamy! A ponieważ czytają nas głównie (choć nie tylko!) studenci prawa, przeto zadajmy pytanie: co sprawia, że przyszli prawnicy okazjonalnie zachowują się „niestandardowo"? Dlaczego w studenckich głowinach lęgną się skowronki? Problem jest złożony. Poza uwarunkowaniami rodzinno-środowiskowymi, genami, hormonami oraz poczuciem swobody i wszechmocy wywołanymi opuszczeniem domu, być może pod uwagę wziąć należy jeszcze jeden czynnik? Może to nudy na wykładach i ćwiczeniach, które wcześniej czy później muszą spowodować reakcję zwrotną. Sam nie wiem... Nie znam wykładowcy, który sam uważałby się za nudziarza. Moje zajęcia są w każdym razie rewelacyjne!

7. BYŁO... MINĘŁO... – „RZYMSKIE" EPIZODY ZE STUDENCKIEGO ŻYWOTA OSÓB ZNANYCH I MNIEJ ZNANYCH

Każdy, kto studiował na wydziale prawa, może o prawie rzymskim napisać własną historię. I trzeba to zrobić. Przykład w tej mierze dały wspomnienia niezliczonych zastępów studentów i absolwentów prawa, które ukazały się w ostatnich dziesięcioleciach. Jest w czym wybierać. „Profesorowie – jak słusznie zauważa Jerzy Urbankiewicz (1915-2004) – podobnie jak aktorzy, znajdują się zwykle pod kontrolą setek oczu, toteż wiele z ich zamierzonych i niezamierzonych zachowań zyskuje powab anegdoty"[82]. Zobaczmy.

To, jednak nie to

Zaczniemy nietypowo, to znaczy od tych, którym prawo rzymskie pomogło podjąć decyzję o… opuszczeniu wydziałów prawa. Z reguły były to osoby o zainteresowaniach artystycznych lub społecznicy, którym szkoda było czasu lub zabrakło cierpliwości do studiowania przedmiotu, z którym nie utożsamiali się w najmniejszym nawet stopniu.

Dla niejednego czytelnika pewnie niespodzianką okaże się informacja, że prawniczką chciała zostać organizatorka i bohaterka spektakularnej akcji pomocy Żydom – Irena Krzyżanowska, po mężu Sendler (1910-2008). W wieku siedemnastu lat zapisała się na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, licząc, że uda jej się tam rozwinąć swoje społecznikowskie pasje. Zawód był bolesny i całkowity. „Kierujący katedrą profesor Ignacy Koschembahr-Łyskowski – pisała we wspomnieniach – wielki erudyta, ale i wielki nudziarz, okazał się wrogiem studentek kobiet. Po dwóch latach studiowania (zgodnie z programem) prawa rzymskiego zrozumiałam, że na tym kierunku studiów nie poznam tego, co mnie wówczas interesowało najbardziej, i przeniosłam się na wydział humanistyczny o specjalności polonistyka"[83].

Przygoda z prawem rzymskim wybitnego filologa klasycznego, Wiktora Steffena (1903-1993), zakończyła się tak szybko, jak się zaczę-

---

82 J. Urbankiewicz, *Szabla zardzewiała*, Warszawa 1991, s. 11.

83 *Matka dzieci Holocaustu. Historia Ireny Sendlerowej*, oprac. A. Mieszkowska, Warszawa 2004, s. 83.

ła. Zacznijmy jednak od początku. „Profesora Lisowskiego – czytamy w autobiografii poznańskiego hellenisty – poznałem osobiście już dawno. Kiedy był dziekanem Wydziału Prawno-Ekonomicznego, odwiedziłem go dwukrotnie w jakichś sprawach urzędowych. Zrobił wtedy na mnie wrażenie człowieka mało przystępnego. Bliżej poznałem go, gdy później zwrócił się do mnie z prośbą o wyjaśnienia. Opracowując pewne hasła z prawa rzymskiego do wielkiej *Encyklopädie der classischen Altertumwissenschaft*, chciał się upewnić, czy dobrze zrozumiał teksty łacińskie. Jak się wtedy przekonałem, doskonale znał język łaciński, ale będąc niezwykle dokładnym, nie chciał oddać artykułów do druku, zanim nie przekonsultował ich ze specjalistą. Przychodził więc do mnie i na paru posiedzeniach omawialiśmy teksty. W trakcie tych rozmów nauczyłem się fachowej terminologii prawniczej. Profesor Lisowski zaproponował mi, żebym przeszedł do jego katedry na stanowisko starszego asystenta i odbywał równocześnie studia prawnicze. Ale byłem zbyt zainteresowany filologią klasyczną i nie chciałem zmieniać kierunku studiów"[84].



Irena Sendlerowa: „Po dwóch latach studiowania (zgodnie z programem) prawa rzymskiego zrozumiałam, że na tym kierunku studiów nie poznam tego, co mnie wówczas interesowało najbardziej"

84 W. Steffen, *Moja droga przez życie*, Olsztyn 1987, s. 127.

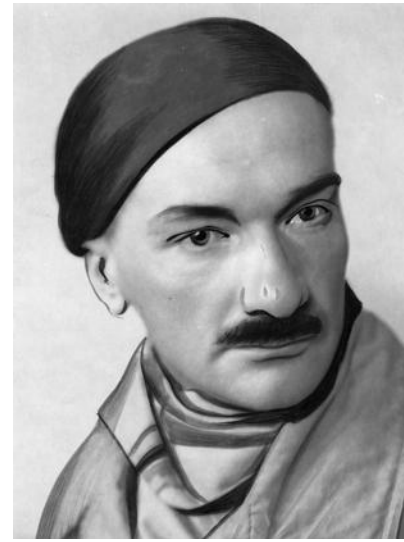
Na tle licznych wojennych przygód epizod związany z prawem rzymskim w życiorysie „Wani", a właściwie Alfreda Paczkowskiego (1909-1986), lekarza i bojownika o wolność Polski, jawi się jako zupełnie nieistotny. Pewnie słusznie, ale przypomnijmy: „Otrzymałem świadectwo dojrzałości i zrobiłem najdziwniejszą rzecz w życiu. Zgłosiłem się jako robotnik kesonowy do firmy »K. Rudzki i Ska«. Wprawdzie mogłem zostać urzędnikiem za sto złotych, ale jako kesoniarz zarabiałem kilkakrotnie więcej. Firma budowała wtedy mosty kolejowe w Toruniu i na Brdzie w Bydgoszczy i potrzebowała ludzi do łopaty. Następnie zapisałem się na wydział prawa uniwersytetu wileńskiego, gdzie nie obowiązywały egzaminy wstępne. Moja szlachetna kuzynka, Helena Witkowska, stworzyła mi doskonałe warunki ukończenia studiów prawniczych. Przyjechałem do Wilna na początek roku akademickiego, by zrobić próbę. Miasto było pełne powabów i przemiłych ludzi, ale słuchanie prawa rzymskiego lub teorii prawa okazało się ponad moje siły. Utwierdziłem się w przekonaniu, że tylko medycyna i nic więcej"[85]. Cytat powyższy z premedytacją poszerzono o „robotnicze" doświadczenia autora. Ku pokrzepieniu serc absolwentów prawa marzących, by zarabiać połowę tego, co miesięcznie zarabia pomocnik murarza lub poczatkujący glazurkarz. Dla doktorantów pracujących za darmo chwilowo nie ma niestety żadnego pocieszenia.

Wróćmy do „rzymskich" doświadczeń niedoszłych prawników. Artystyczna natura przeszkodziła w polubieniu *ius Romanum* malarzowi, uczniowi Jacka Malczewskiego i wybitnemu przedstawicielowi koloryzmu, Eugeniuszowi Geppertowi (1890-1979). „Prawo jednak nie pociągało mnie i właściwie nie rozumiałem przedmiotu. Jeszcze część historyczna budziła jakieś zaciekawienie, lecz suche formułki prawa rzymskiego były mi zupełnie obce. I kiedy profesor Wróblewski, wykładając, zaznaczał: »To ciekawy wypadek prawniczy« – nie umiałem się tym wzruszyć. Toteż wynik tych dwóch lat był negatywny. Ściąłem się przy egzaminie właśnie z prawa rzymskiego i zamiast zdawać po wakacjach drugi raz – przeniosłem się na historię, która była mi dużo bliższa i którą się do dziś dnia interesuję. O sztuce jednak myślałem wciąż…"[86].

---

85 A. Paczkowski, *Ankieta cichociemnego*, Warszawa 1984, s. 11.

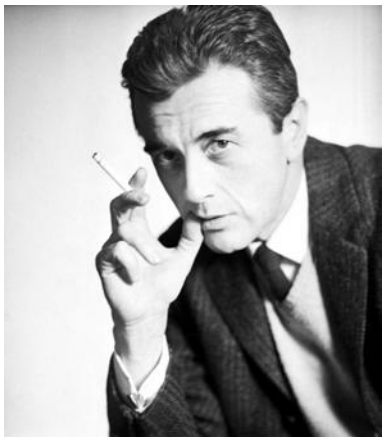
86 E. Geppert, *Moja droga*, Kraków 1968, s. 9.



Eugeniusz Geppert: „Suche formułki prawa rzymskiego były mi zupełnie obce"

Podobne wspomnienia związane z prawniczym geniuszem antycznych Rzymian, a może raczej z dydaktycznym antygeniuszem niektórych bardziej współczesnych propagatorów tego dorobku miał aktor Zbigniew Koczanowicz (1909-1987), który opisując długą i usłaną cierniami drogę do zawodowej samorealizacji w przybytku Melpomeny, wspomina: „Akademicki rok 1930-31 zapowiadał się dla mnie jako trzeci już tzw. »zmarnowany rok«. O szkole teatralnej nie było mowy, ponieważ ojciec mój stał na niewzruszonym stanowisku: »Nikt w rodzinie komediantem nie był, więc i ty nie będziesz«. Po roku studiów na polonistyce, wystraszony wykładami profesora Szobera z gramatyki – schroniłem się na wydziale prawa. »Zaatakowany« prawem rzymskim przez profesora Jarrę – po roku zrejterowałem na leśnictwo do SGGW"[87]. Eugeniusza Jarrę (1881-1973), profesora teorii prawa na Uniwersytecie Warszawskim, mało który z jego byłych studentów wspomina dobrze. Jeżeli istotnie „zaatakował" Koczanowicza prawem rzymskim, to bez wątpienia wyświadczył temu przedmiotowi niedźwiedzią przysługę.

[87] Z. Koczanowicz, *Czterdzieści lat to niewiele*, Warszawa 1976, s. 5.



Andrzej Łapicki: „Dla mojego ojca prawo rzymskie było nie tylko zbiorem zasad, których należy przestrzegać, punktem odniesienia w życiu. Prawo rzymskie było dlań rodzajem wiary"

Ostatni przypadek z trudem mieści się w niniejszej kategorii, gdyż zainteresowany prawa nigdy nie studiował. Ale o prawie rzymskim „od kuchni" wie wiele z powodów, powiedzmy, rodzinnych. To Andrzej Łapicki (1924-2012), syn wybitnego romanisty Borysa Łapickiego (1889-1974). W wywiadzie udzielonym w roku 1999, na pytanie: „Pochodzi Pan z inteligencji. Pana ojciec był profesorem prawa rzymskiego. Jakie wartości, zasady wyniósł Pan z domu?" – odpowiedział: „Dla mojego ojca prawo rzymskie było nie tylko zbiorem zasad, których należy przestrzegać, punktem odniesienia w życiu. Prawo rzymskie było dlań rodzajem wiary. Mówiąc szczerze, nigdy nie miałem z ojcem dobrego kontaktu. Czułem się tak, jakby oddzielała nas szyba. Całowałem go w rękę i bałem się go. Mama ocieplała surowe ojcowskie zasady. Stanowili ciekawą, uzupełniającą się parę. Ojciec był bardzo przystojny. Mama też zresztą była ładna. Poza tym była towarzyska, traktowała wszystko z poczuciem humoru, które po niej odziedziczyłem. Ojciec był introwertykiem, człowiekiem zasadniczym. Na długo zapamiętywał krzywdzące opinie na swój temat, tkwiły w nim jak cierń. Ojciec podobał się swoim studentkom, ale w stosunku do nich też był niezłomny. Doskonale pamiętał, które nie chodziły na wykłady. Gdy zbliżał się czas wpisów do indeksów, dziewczyny wywoływały mnie z domu i prosiły, żebym podsunął ich indeksy ojcu. Bały się, że ojciec zrzuci je ze schodów"[88]. Nic dziwnego, że syn wybrał karierę artystyczną.

O klasowej równości

Kwaśne uwagi i nieprzychylne opinie wygłaszane na temat romanistów muszą u miłośnika rzymskiego prawa powodować konsternację. Ponieważ jednak niekiedy wiążą się one z epizodami w sumie zabawnymi, nie warto zbywać ich milczeniem. Nawet jeżeli dotyczą tak uznanego w środowisku badaczy prawa rzymskiego autorytetu, jak Teodor Dydyński (1836-1921).



Profesorowie warszawskiej Szkoły Głównej. Drugi od lewej Teodor Dydyński

Autorem wspomnienia o nim jest Kazimierz Wroczyński (1883-1957), absolwent prawa, bardziej znany ze swojej działalności organizacyjnej (w latach 1933-1939 dyrektorował łódzkim teatrom), literackiej (jest współautorem popularnej pieśni „Rozkwitały pąki białych róż") i dziennikarskiej. Wroczyński studiował prawo w Warszawie jeszcze w czasach carskich. Dobrych wspomnień nie zachował. Przywołując tamte lata, pisał: „W początkach XX wieku ogół profesorów Uniwersytetu warszawskiego nie promieniował luminarzami. Nie mówiąc już o profesorach Polakach, z których najwybitniejsi zmuszeni byli wykładać na wszechnicach w głębi Imperium (jak na przykład Petrażycki), w Warszawie psychologię wykładał prof. Struwe i prawo rzymskie Dydyński. Obaj nie orły.

Ogół wykładowców rosyjskich, poza nielicznymi wyjątkami (głównie medycy), składał się bądź to z miernot, bądź politycznych karierowiczów. Wykładów, które by animowały słuchaczów, w ogóle nie było. Większość wykładowców kontentowała się cynicznie odczytywaniem swych prelek-

---

[88] *Czy nie zabiliby panowie królika?*, cz. I, Z Andrzejem Łapickim rozmawiają Katarzyna Bielas i Jacek Szczerba , „Gazeta Wyborcza" z 5 marca 1999 roku – http://niniwa2.cba.pl/lapicki_wywiad_1.htm.

cji z lat poprzednich. Toteż audytorium złożone z paru lub kilkunastu studentów należało do zjawisk normalnych. Mimo że szperam usilnie w pamięci – niewiele da się wyskrobać z roku mojej przyrody, a potem trzech lat prawa. Może tyle, że niektóre egzaminy były istną operetką, jak np. historia rzymskiego prawa, gdy stary Dydyński (miał dziewiąty krzyżyk), byleby mu przez pierwsze parę minut coś trajkotać, po prostu zasypiał, dopóki go nie zbudził raport studenta:

– Już panie profesorze!

– Ano, to dobrze. – I stawiał zwykle czwórkę.

Dążyliśmy u Dydyńskiego do piątek, co podwyższało ogólną sumę wszystkich stopni, na zasadzie zaś pewnego kwantum tej sumy przechodziliśmy z kursu na kurs.

Na tym tle przypomina mi się komiczny epizod. Jeden z kolegów, którego Dydyński znał jako notującego jego kurs, co po powieleniu kupowali jako pomoce do egzaminu ci, którzy zazwyczaj nie uczęszczali na wykłady, zwrócił się do Dydyńskiego po egzaminie z wyrzutem:

– Pan profesor postawił Jezierskiemu tylko czwórkę. A to przecież hrabia.

– To czego mi ten dureń tego wcześniej nie powiedział! Zresztą poprawię. Hrabia, a taki nierozgarnięty! – żachnął się, odchodząc”[89].

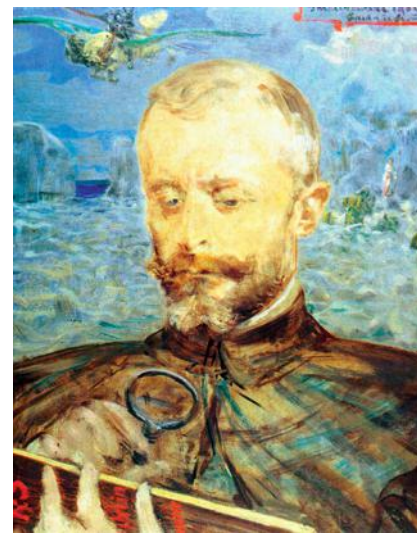
Tylko we Lwowie!

Obrazoburczo wręcz brzmią dla romanisty słowa znawcy prawa międzynarodowego i ochrony dóbr kultury, Stanisława Edwarda Nahlika (1911-1991), absolwenta wydziału prawnego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. We wspomnieniowym szkicu profesora znalazło się między innymi następujące oświadczenie: „Na pierwszym roku nudzili Leon Piniński i Kamil Stefko. A już arcynudny był Przemysław Dąbkowski”[90]. Jeszcze ciekawsza obserwacja pochodzi ze wspomnień znakomitego geografa Alfreda Jahna (1915-1999), który razu jednego z ciekawości odwiedził wykład z prawa rzymskiego: „Wkrótce po zaczęciu wykładu podniosła się wrzawa w ostatnich ławkach Sali. Staruszek Piniński próbował uspokoić audytorium, bez rezultatu, gdyż wśród rzędu ławek pojawiło się kilku wesołych chłopa-

[89] K. Wroczyński, *Z moją młodością przez Warszawę*, Warszawa 1957, s. 103-104.

[90] S.E. Nahlik, *Przesiane przez pamięć: w rodzinnym gnieździe*, Wrocław 1987, s. 48.

ków, niosąc na rękach udającego zemdlenie studenta. Scena jakby żywcem wyjęta z »Lalki« Prusa. Rzekomo chory student stroił dziwaczne miny, które miały świadczyć o jego cierpieniu. Jak się potem dowiedziałem, był to jeden z wypracowanych sposobów, aby urozmaicić na ogół nudne wykłady dziadka Pinińskiego"[91]. Leon Piniński (1857-1938), swego czasu namiestnik Galicji, wieloletni wykładowca prawa rzymskiego na lwowskiej wszechnicy, w istocie uchodził za wiekowego pracownika nauki. Jego i Marcelego Chlamtacza (1865-1947) nazywali studenci „Matuzalemami katedry". „Na pierwszym roku praw wykładali prawo rzymskie Leon hr. Piniński, pan nadradca, *Geheimrat*, lat 82 i Marceli Chlamtacz, lat 82, a ogólną teorię prawa największy znawca wszystkich konstytucji na świecie – profesor Stanisław Starzyński, lat 85" wspominał Adam Kozłowski[92]. W związku z powyższym użalano się po cichu nad Wacławem Osuchowskim (będzie o nim jeszcze mowa, pesymistyczne przepowiednie nie sprawdziły się na szczęście), który przechadzał się po uniwersytecie w wątpliwej glorii „dożywotniego docenta"[93].



„Renesansowy paniaga" Leon Piniński (Jacek Malczewski)

91 A. Jahn, *Z Kleparowa w świat szeroki*, Wrocław 1991, s. 52.
92 A. Kozłowski, *Lwów: wizja utraconego miasta*, Nowy Jork 1991, s. 73.
93 *Ibidem*, s. 143.



„Batiar nad batiary". Marceli Chlamtacz

Nie zawsze jednak było śmiesznie. Leon Piniński uchodził za surowego egzaminatora. Jak każdy jednak miał swoje słabostki i w tym studenci zwykle upatrywali szansy na ratunek. Jedną z nich było upodobanie do dawnych tytułów rodem jeszcze z austro-węgierskiej monarchii. „Piniński – pisze dalej Kozłowski – był postrachem wszystkich egzaminowanych. Jako światowej sławy znawca prawa rzymskiego prywatnego, potrafił wyciągnąć ze swego skarbca wiedzy takie pytanie jak: »Prawo *uxoris romani*«, na które prawdopodobnie sam wielki Mommsen nie potrafiłby odpowiedzieć. Ale tu przychodził w sukurs 75-letni pedel Wiśniewski: »Panie nadradco! Telefon z Widnia do jego ekscelencji!«. I szedł pan *Geheimrat* do telefonu, który oczywiście, »buczał« i burczał: »Ci warszawscy sanatorzy, to nawet kulturhalnie chcą nas od Widnia odsepahować«. A wróciwszy do sali egzaminazyjnej, zadawał już inne pytanie"[94].

Ciekawe rzeczy działy się również wtedy, kiedy przychodził moment podpisywania indeksów. „Frekwencja – zauważa Bogusław Longchamps de Bérier (1884-1947) – szczególnie na wydziale prawa, wzmagała się

[94] *Ibidem*, s. 74.

w dniach, w których wykładowcy potwierdzali w indeksach uczęszczanie studenta na wykłady, a więc na początku semestru dawali tzw. nomen, a na koniec frekwentacje. Składało się wówczas na katedrę profesora stosy indeksów, oczywiście w nieporównywalnie większej liczbie niż liczba obecnych na sali. Można było wyróżnić składane razem przez jednego »delegata« indeksy z miast prowincjonalnych, tak że profesor Chlamtacz zapytywał »czy Drohobycz już skończony« lub »czy teraz idzie Tarnopol, czy Stanisławów, czy Kołomyja«. Czytanie katalogu należało do niezwykłych rzadkości i nie powodowało dla nieobecnych żadnych szkodliwych konsekwencyj. Przypominano sobie jednak w tych rzadkich przypadkach dawne tradycje uniwersytetu, kiedy to mianowicie w r. 1830 na 1831 zacny i dowcipny profesor historii, Niemiec Maus, czytając katalog, przy nazwiskach obecnych na wykładzie Polaków zapytywał ze szczerym zdumieniem: *Sind sie noch da?*"[95]. Egzaminy u profesora Chlamtacza należały do uczelnianych osobliwości. „Marceli Chlamtacz, światowej sławy znawca historii i systemu prawa rzymskiego — to batiar nad batiary. W młodości... czeladnik ślusarski, własną pracą stał się »luminarzem« nauki polskiej. Ale nie zatracił swego batiarskiego humoru i »nie dał pogrześć swojego bałaku«, i stawiał takie pytania: »Czy jak dam panu moje buty *in fiduciam*, to może pan je nosić?«. »Mogę, panie profesorze!«. »Klawo student to odpowiedział, bo według prawa rzemskiego to tak«"[96].

Frekwencja na lwowskich wykładach z prawa rzymskiego niekiedy kulała, niemniej każdy student od czasu do czasu pojawiał się w auli z braku lepszego zajęcia, bądź… z ciekawości. Taka była zresztą utarta praktyka. Wiedzę na temat zasad działania uniwersytetu młodzi studenci zdobywali nie w dziekanatach, ale w… bufecie, stanowiącym nieformalne serce uczelni. Przywołany wyżej Adam Kozłowski otrzymał od starszych żaków następujące zalecenie: „Koledzy bufetowi poradzili mi: »Przynajmniej na jednym wykładzie musisz być, bo takich luminarzy nigdy więcej w życiu nie usłyszysz«. Dzięki ci za to, kolego bufetowy, bo bez twego polecenia nie mógłbym tej kroniki napisać"[97].

---

95 B. Longchamps de Bérier, *Ochrzczony na szablach powstańczych... Wspomnienia (1884-1918)*, Wrocław 1983, s. 180-181.

96 A. Kozłowski, *op. cit.*, s. 75.

97 *Ibidem*, s. 73.

Wracając do Pinińskiego, studencka brać znała również jako wytrwanego kolekcjonera. „Profesor Leon hr. Piniński – wspomina jeszcze Kozłowski – mieszkał na drugim końcu ogrodu jezuickiego w ślicznym renesansowym pałacyku, przy ulicy Jana Matejki 4, między ulicami Adama Mickiewicza i premierów rządu austriacko-węgierskiego, którego on też był członkiem, Badenich. Ten »renesansowy paniaga« zgromadził słynne zbiory obrazów mistrzów włoskiego renesansu, bo to miasto wybudowali »Italiańce«"[98]. Powszechnie znane były zachowania profesora, które nawet w oczach liberałów musiały uchodzić za ekstrawagancje. „*Leon Magnificus*, *vir illustris*, *Geheimrat*, szedł na swe wykłady rannym spacerkiem przez park imienia Tadeusza Kościuszki, którego żaden lwowianin nie znał, bo był to dla niego zawsze ogród jezuicki, a dochodząc do Uniwersytetu, stawał pod pomnikiem Agenora hr. Gołuchowskiego i… lał. Wtedy podchodził do niego, pilnujący tu pasącego się konia, na którym przycwałował z podlwowskiego folwarczku, jego kolega, profesor ekonomii — Stanisław Grabski, mówiąc: »Panie nadradco, tu zaraz obok, za tym jaśminowym żywopłotem jest siusiak publiczny!«. »No tak – odpowiadał *Geheimrat* – ale w moim wieku już tak mało zostało możliwości rozkoszy, że niech mi pan nie odbiera tej przyjemności: obszczać pomnik tego skurhwysyna«. Takim renesansowym »paniagą« był ten pięknoduch Piniński"[99].

Piątka u „Bukowera"

Pora przenieść się do drugiej słynnej kresowej wszechnicy. Związana z nią jest przepyszna anegdota zapamiętana przez krytyka sztuki, pisarza i tłumacza Zbigniewa Florczaka (1923-2005). Ogłosił ją wśród opartych na autobiograficznych wątkach opowiadań zebranych w cyklu „Inny brzeg jesieni. *Carmen vilnense*". Jedno z nich opisuje studencką, całkiem niewinną zresztą, bibkę, podczas której:

„Jarek Filozof zerwał się raptem i kręcąc się po pokoju, opowiedział o swoim niedawnym egzaminie z prawa rzymskiego, który zdawał u znanego z pedantycznej surowości profesora Bukowskiego. Potwierdziło się tym samym, że Jarek nie jest naszym kolegą z wydziału.

---

98 *Ibidem*, s. 88-89.

99 *Ibidem*, s. 75.

– Zdaję, wiecie, u Bukowera! Strach mnie ściska, tym bardziej, że staruszek przy oknie robi przysiady. Pytam, czy przyszedłem nie w porę. Odpowiada, że przecież sam mnie na tę godzinę zaprosił. »Proszę pana, ja w tej chwili robię dwie rzeczy naraz: gimnastykę i pilnuję mego synka bawiącego się na podwórku. A od pana żądam zajęcia się tylko jednym, żeby mi pan odpowiedział na proste pytanie: do jakiej gałęzi kultury zaliczyłby pan prawo rzymskie?«.

Wyobraźcie sobie, coś mnie natchnęło. Czy wy w ogóle wiecie, co to jest natchnienie? Odpowiadam Bukowerowi: »Prawo rzymskie należy do sztuk pięknych, panie profesorze!«. Przerwał przysiady i brwi podniósł. A ja walę dalej i trzeba było widzieć, jak mu się ta sucha twarz rozjaśniała w miarę mojego wywodu, a jak się trzęsła ta jego sławna bródka. »Nie ma praktycznie – mówię – żadnego spójnego dokumentu o prawie stosowanym przez Rzymian. Istnieją tylko aluzje w tekstach literackich, fragmenty inskrypcji i wieloznaczne cytaty. Z tej surowej gliny Zachód od wieków lepi architekturę prawa rzymskiego. Czyż nie zasługuje na to, aby je zaliczyć do sztuk pięknych?«. Bukowski pokręcił głową, rzekł krótko: »Stawiam panu najwyższy stopień. Dziękuję!«. I wrócił do swoich przysiadów"[100].



Prawnicy, profesorowie na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, odznaczeni „Złotymi Pierścieniami Leonarda da Vinci". Pierwszy z lewej siedzi Franciszek Bossowski – „Bukower"

Autor studiował w Wilnie na Wydziale Sztuk Pięknych. Z niewiadomych powodów (być może z szacunku dla uczonego, tak okrutnie doświadczonego podczas II wojny światowej?) w opowiadaniu przekręcił

[100] Z. Florczak, *Inny brzeg jesieni. Carmen vilnense*, Warszawa 1999, s. 136-137.

jednak nazwisko słynnego romanisty i wykładowcy prawa rzymskiego na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Bohaterem opisanego powyżej zdarzenia jest naturalnie Franciszek Bossowski (1879-1940).

Tak nawiasem mówiąc, dziwne niekiedy rzeczy pozostają w pamięci. Andrzej Mycielski (1900-1993) na przykład zapamiętał, że w czwartki państwo Bossowscy urządzali przyjęcia, podczas których serwowano słynny na całe Wilno tort migdałowy[101].

Karabin maszynowy

W międzywojennym Poznaniu prawo rzymskie nierozerwalnie wiązało się z postacią profesora Zygmunta Lisowskiego (1880-1955). Absolwent studiów prawniczych, a później sam profesor prawa, Józef Górski (1904-1983), zapamiętał go tak: „Oryginalnym typem profesora był Zygmunt Lisowski, kierownik Katedry Prawa Rzymskiego. Szczupły, nerwowy, stary kawaler, zgorzkniały odludek, a w istocie człowiek gołębiego serca. Znakomity romanista i cywilista, jeden z niewielu znawców papirologii w Polsce. (...) Przy zawsze pełnym audytorium prowadził wykłady w tempie karabinu maszynowego. Na głosy studentów: »Prosimy wolniej«, zwalniał na chwilę tempo, ale rychło o tym zapominał. Nie oduczył się tego do końca życia"[102].

Student prawa na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, Jan Morelewski (1913-1993), późniejszy członek ruchu oporu na Wileńszczyźnie i uczestnik akcji „Ostra Brama", pisząc o swoim profesorze prawa rzymskiego, również odwołuje się, co zbytnio nie dziwi, do terminologii militarystycznej. Otóż: „Prof. Lisowski, zarazem dziekan Wydziału, wykładał prawo rzymskie. Mówił z szybkością karabinu maszynowego, tak, że wprost niemożliwe było notowanie jego wykładów. Było to jednak konieczne, bo materiał z tej dyscypliny polecane książki traktowały bardzo obszernie i konieczne było uchwycenie tego, na co Profesor zwracał szczególną uwagę. Niezbędna była tu znajomość łaciny, aby uczyć się w tym języku różnych formułek prawnych"[103].

Morelewski z pewnością nie był jedynym, który „nie nadążał" na wykładach Zygmunta Lisowskiego (1880-1955). Na identyczny przymiot

---

101 A. Mycielski, *Chwile czasu minionego*, Kraków 1976, s. 223.

102 J. Górski, *Wspomnienia z minionych lat*, Poznań 2000, s. 82.

103 J.F. Morelewski, *Pokolenie akowskie*, Bydgoszcz 1995, s. 42.

dydaktyczny Lisowskiego zwraca uwagę znany poznański ekonomista – Zbigniew Zakrzewski (1912-1992): „Z ust naszego niezmiernie szanowanego profesora prawa rzymskiego, Zygmunta Lisowskiego, wyciekał rwący potok słów wypowiadanych z zawrotną szybkością, a składających się na zadziwiająco zwarty i treściwy wywód prawniczy, piękną prowadzony polszczyzną. Objaśniając taką, czy inną *lex* czy *actio*, potrafił nagle, nie robiąc najmniejszej przerwy, wpleść jakąś uwagę natury porządkowej z odcieniem przytyku lub napomnienia: »Nie wolno, panowie, wieszać płaszczy na oknach, od tego jest szatnia!«. Po czym natychmiast puszczał w ruch swą galopującą mowę, opisując i interpretując instytucje prawne starożytnego Rzymu. A oto epizod z egzaminu u Lisowskiego. Zdarzało się, że profesor gołębiego serca, lecz nerwus, podrażniony odpowiedziami studenta, potrafił po prostu wyrzucić go z sali, ciskając w niego indeksem. Po chwili, nie zważając na to, że ten sam delikwent wpełzał niepostrzeżenie na salę, sam uspokojony i udobruchany, zaczął go znowu poddawać próbie ognia, z której student szczęściarz, bywało i tak, wychodził ostatecznie zwycięsko"[104].



„Karabin maszynowy" – Zygmunt Lisowski

[104] Z. Zakrzewski, *Wspominam Poznań. Fakty i refleksje*, Poznań 1986, s. 76.

Dobrze zapamiętał zajęcia z prof. Lisowskim Tadeusz Zabłocki-Gwasz (1904-1997), publicysta i działacz polonijny. We wspomnieniach wracał do nich z roczuleniem. „Nigdy nie zapomnę – pisał – tych wykładów. Prawo rzymskie, jasne, logiczne, zawsze mi imponowało. Pamiętam, jak pierwszy raz przyjechałem do Rzymu i stanąłem na Forum, gdzie to prawo się rodziło, uczułem wzruszenie. To tu zbudowano kulturę prawniczą, która opanowała całą Europę z wyjątkiem Anglii. Gdy później porównywałem kodeksy karne i cywilne oparte na prawie rzymskim z praktykowaną w Anglii jusyrprudencją opartą na zasadach *common law* i *common sense*, przekonałem się o nieporównywalnie wiekszej mądrości i praktyczności prawa opartego na normach rzymskich, których uczył mnie prof. Lisowski w Poznaniu”[105].

Po zakończeniu II wojny światowej Zygmunt Lisowski automatycznie dołączył do reprezentacji uczonych reprezentujących dawny styl uprawiania nauki. Jego wychowankowie z tamtych czasów zapamiętali, że pozostał wierny etosowi uczonego prawnika. „Profesor prawa rzymskiego Zygmunt Lisowski delikatnie, lecz wyraźnie szydził z dogmatycznych, bełkotliwych wywodów prawników radzieckich” kwituje Stanisław Podemski (1924-2011)[106].

Favor militiae

O tym, jak można było, zdając trzy rygoroza, zostać doktorem praw, była już mowa. Warto w tym kontekście przytoczyć ciekawe wspomnienie emigracyjnego dziennikarza Wacława Zbyszewskiego (1903-1985): „Studenci z tzw. »starej ordynacji«, czyli zapisani przed jesienią 1921 roku, zdawali u końca studiów tylko trzy tak zwane rygoroza i to jednocześnie z całego programu studiów; to znaczy nie było dorocznej kontroli studiów; w rezultacie studenci prawa nic nie robili przez trzy lata, a »kuli« tylko przez rok ostatni. Cały ten system, zdaje się, że odwieczny, nie miał cienia sensu, tym bardziej w okresie powojennym. Nasi koledzy, o rok albo dwa starsi, byli zapisani przeważnie jeszcze na »starą ordynację«, a ci, którym wojna przerwała studia, więc prawie wszyscy Legioni-

[105] Cyt. za: S. Nicieja, *Z Kijowa na Piccadilly: wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza*, Opole 1993, s. 52-53.

[106] S. Podemski, *Pitawal PRL-u*, Warszawa 2006, s. 24.

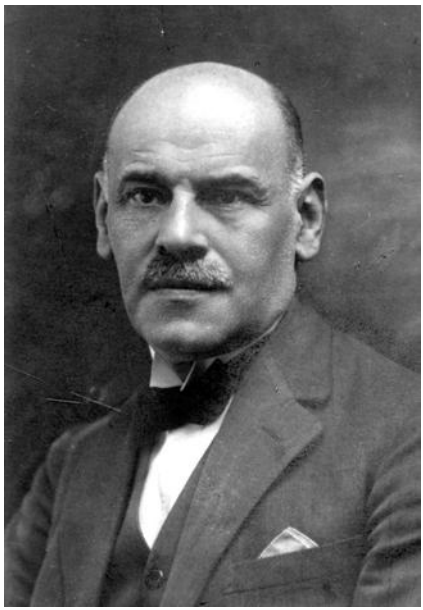
ści, a także ci, którzy służyli w wojsku austriackim albo w wojsku polskim w latach 1918-1929, korzystali z reguły z przywilejów »starej ordynacji«, gdzie trzy rygoroza dawały automatycznie tytuł Dr. Praw, bez konieczności pisania i bronienia tezy doktorskiej. Studia na »starej ordynacji« były mało co warte nawet w najlepszych wypadkach, a w wypadku kolegów byłych wojaków – specjalnie oficerów, specjalnie Legionistów, którzy byli w Krakowie przez profesorów faworyzowani – były czystą formalnością.

Pamiętam taki egzamin z prawa rzymskiego jednego z naszych dobrze od nas starszego kolegi, bardzo zresztą sympatycznego, doskonałego żołnierza, inwalidy, inteligentnego człowieka, poza tym miłego i koleżeńskiego, który przybył na egzamin z prawa rzymskiego w mundurze, z Virtuti i całą baretką innych odznaczeń. Prof. Stanisław Wróblewski, brat posła naszego w Londynie, prezes (późniejszy) Akademii Umiejętności, prezes (późniejszy) Komisji Kodyfikacyjnej, z reguły bardzo wymagający, zwrócił się do kandydata słodko i uprzejmie: »Panie Majorze, czy mógłby pan coś powiedzieć o pandektach Justyniana?«. – »Pandekta Justyniana to kodeks prawa rzymskiego« – odparł dziarsko i z entuzjazmem kandydat. – »Doskonała odpowiedź« – replikował z miejsca Wróblewski. – »A był to oczywiście kodeks jakiego prawa?« – kontynuował. – »Prawa cywilnego« – znowuż dziarsko i stanowczo odpowiadał kandydat. – »Świetna odpowiedź« – mówił Wróblewski. – »Widzę, że się pan wybornie orientuje w prawie rzymskim, dalszy egzamin byłby zbyteczny, jest pan przyjęty, życzę panu wszelkich sukcesów w życiu. Do widzenia«. Kandydat stuknął obcasami, czerwony z radości zasalutował, uścisnął rękę profesora i na tym się skończyło. Ten doktorat przydał się później w życiu temu jakże sympatycznemu kandydatowi.

O ile nagradzanie dzielnych żołnierzy stanowiskami ministrów czy dygnitarzy jest zawsze bardzo złą polityką, o tyle dawanie im sutych emerytur i ułatwianie im dyplomami »przejścia do cywila« jest obowiązkiem społeczeństwa wobec swych obrońców. Dotąd uważam, że stanowisko profesorów UJ wobec Legionistów i żołnierzy 1920 roku zasługiwało na całkowite poparcie; ale dla mojego, już powojennego rocznika, zupełnie inne, dużo surowsze podejście do studiów było absolutnie konieczne"[107].

---

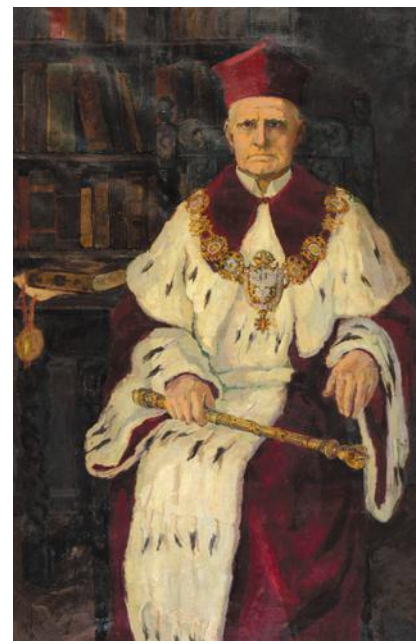
[107] W. Zbyszewski, *Wydział Prawa UJ*, „Kultura" 327.12 (1974), s. 98-99.



Stanisław Wróblewski – „polski Papinian"

Jedym z młodych wiarusów odbywających studia w czasach wojennej zawieruchy był późniejszy sędzia i prokurator Franciszek Lis (1983-1969). Egzamin z prawa rzymskiego zdawał będąc w stanie „tymczasowej demobilizacji". Wcześniej jednak był świadkiem ciekawego wydarzenia, jakim było nadanie doktoratu *honoris causa* Józefowi Piłsudskiemu przez Uniwersytet Jagielloński. „Byłem przy drzwiach auli i słyszałem tylko fragmenty mowy Piłsudskiego. Podobała mi się szczególnie pointa, iż własnie on, który w swoim życiu tak często walczył z prawem, został pierwszy w Polsce zaszczycony honorowym doktoratem prawa". Wracając do prawa rzymskiego: „W czasie pierwszej wizyty w sali egzaminacyjnej, przysłuchując się pytaniom profesorów i odpowiedziom studentów, nabrałem przekonania, że właściwie na żadne pytanie nie mógłbym odpowiedzieć, że z przerobionego materiału nic mi nie zostało w głowie i że w ogóle nie mam pojęcia o kilku ważnych działach prawa rzymskiego, jak zobowiązania, prawo spadkowe czy familijne, gdyż posiadane przeze mnie podręczniki nie dotyczyły tych przedmiotów. W pośpiechu wypożyczyłem brakujące skrypty i dniem i nocą uzupełniałem braki. Na egzamin przyszedłem

z kompletnym chaosem w głowie i bez żadnej nadziei na pomyślne jego rezultaty. Przypadek zrządził, iż pierwsze pytanie z prawa rzymskiego odnosiło się do tych zagadnień, które opanowałem pamięciowo. Cytowałem biegle wykute definicje, przeczytałem łacińskie formuły i w rezultacie zdałem bez trudu prawo rzymskie. Nabrałem otuchy i następne przedmioty zdalem z większym lub mniejszym powodzeniem"[108]. Autorowi wspomnień nie można odmówić pracowitości i determinacji. Niemniej nauka do egzaminu z prawa rzymskiego ze skryptów... Wydaje się, że w tym trudnym dla państwa okresie epolety sierżanta mogły odrobinę pomóc.



Ignacy Koschembahr-Łyskowski jako rektor Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1923-1924 (L. Bielska-Tworkowska)

Nie zawsze jednak magia munduru odnosiła spodziewany skutek. Na Ignacym Koschembahrze-Łyskowskim uniformy nie wywierały żadnego wrażenia. „W czasie egzaminów – zapamiętał Władysław Kempfi (1903-

[108] F. Lis, *Przez cztery wojny*, Kielce 1999, s. 175.

1981) – a Profesor był bardzo wymagający i surowy, zdarzały się często różne incydenty. Kiedyś przyszedł na egzamin oficer, major, w mundurze, w pełnej gali, z orderami bojowymi na piersi. Profesor Łyskowski po kilku wstępnych pytaniach, na które odpowiedzi nie były mu »po myśli«, zwrócił się do majora słowami: »Proszę Pana, po co Pan to wszystko założył. Ja i tak widzę, że Pan jest odważny, bo Pan nic nie umie i na egzamin przychodzi«"[109].

Anegdota „z brodą"

Historię tę słyszałem już niezliczoną ilość razy. Prawdziwym zaskoczeniem była jednak niedawna informacja, że jej bohaterką jest, a raczej była, obecna prezydent Warszawy (dawniej zaś: przez wiele lat urodziwa studentka i zdolny naukowiec[110]), Hanna Gronkiewicz-Waltz (1952). Szczerze mówiąc, jeżeli trafnie odczytuję intencję tych, którzy kolportują te bzdury, to oburzające, że nawet na gruncie historii nauczania prawa rzymskiego w Polsce polityka chce zbić kapitał i zyskać tani poklask.



Komisja Organizacyjna Studium Teologii Prawosławnej na Uniwersytecie Warszawski. Pierwszy z lewej siedzi Ignacy Koschembahr-Łyskowski. Rok akademicki 1924/1925

Wydarzenie, o którym mowa, o ile rzeczywiście miało miejsce, lokować należy w okresie międzywojennym. Wspominają o nim liczne pamiętniki i wspomnienia. I tak pisarz Stanisław Maria Saliński (1902-1969) wspomina: „Wysoką rangę miały katedry na Wydziale Prawa, że

109 W. Kempfi, *Moje lata uniwersyteckie*, „Zeszyty Historyczne" 119 (1997), s. 156.
110 L. Falandysz, *Warto być prawnikiem*, Warszawa 2004, s. 36.

wymienić chociażby nazwiska profesorów: Leon Petrażycki, Józef Rafacz, Eugeniusz Jarra, Ignacy Koschembahr-Łyskowski… Znów dygresja: o najkrótszym egzaminie u profesora Koschembahra-Łyskowskiego. Zdawała go jedna z naszych koleżanek – czy nie owa złotowłosa Irusia, dla której skomponował piosenkę Wertyński? A profesor znany był ze swego kąśliwego stosunku do studentek, wręcz znęcał się nad nimi na egzaminach obcesowo i szokująco. Egzamin dotyczył dekretów jakiegoś Dioklecjana czy Tytusa (profesor wykładał prawo rzymskie), a jeden z owych dekretów zezwalał na prowadzenie domów publicznych w Rzymie wyłącznie mężatkom. Profesor zadał pierwsze pytanie: »A proszę mi powiedzieć, czy pani mogłaby w Rzymie prowadzić dom publiczny?«. – »Ja, nie – odpowiedziała bez namysłu – ale pańska żona, tak«. – »Dziękuję. To wszystko«. Sięgnął po indeks i zamaszyście podpisał notkę o zaliczeniu egzaminu. Studentka, przygotowana na dłuższe tortury, oniemiała"[111].

Topos „burdelowy" w krótkim czasie stał się niezwykle popularny i zaczął być przypisywany innym wykładowcom. Cezary Chlebowski (ur. 1928), opisując egzaminy zdawane na Wydziale Prawa UW w latach 50-tych ubiegłego wieku, skojarzył omawianą anegdotę z profesorem Jerzym Sawickim (1910-1967), głośnym oskarżycielem hitlerowskich zbrodniarzy. „Mieszkał – pisze Chlebowski – w willi na Saskiej Kępie, przed którą w dzień i w nocy stali wartownicy z pepeszami. Tam też nas egzaminował. Nie wiem, czy kiedykolwiek postawił komuś dwóję. O jego egzaminach krążyły legendy. Zadawał pytania i cieszył się, gdy otrzymywał oczekiwane – co do słowa – odpowiedzi. Na przykład, kiedy wchodziła do niego grupka studentów, pytał pierwszego:

– Wejdzie pan na wysoką wieżę. Co pan widzi?
– Pola… łąki… domy…
– Po co pan tu przyszedł?
– Zdać egzamin.
– Z czego?
– Z prawa.
– No, wreszcie. A co pan widzi z wysokiej wieży? – pytał następnego.
– Przedmioty i podmioty prawa.

111 S.M. Saliński, *Utwory wybrane*, t. II, Gdańsk 1972, s. 380.

– No właśnie. Pan dostaje piątkę, pozostali panowie po trójce. Chyba że chcą zarobić więcej?

Takich odważnych raczej nie było i chłopcy brali trójki.

Dla dziewcząt miał w zasadzie jedno pytanie:

– Czy w starożytnym Rzymie mogłaby pani otworzyć burdel?

– Ja, nie – odpowiadała najodważniejsza, już do tego pytania przyzwyczajona – ale pańska żona mogłaby.

– A dlaczego ona tak, a pani nie?

– Bo pana żona jest mężatką, a ja panną, zaś prawo rzymskie zabraniało tego pannom.

– Brawo! – krzyczał Sawicki i wpisywał dziewczynie piątkę”[112].

Sawicki, pisujący ciekawe felietony prawnicze pod pseudonimem Lex, słynął z zachowań ekstrawaganckich i zapewne „wypożyczył” patent Koschembahra-Łyskowskiego, a potem korzystał z niego skwapliwie. Kolejna anegdota nie ma może związku z prawem rzymskim, ale niewykluczone, że również została „pożyczona” od któregoś z romanistów. Otóż razu jednego pewien student otworzył gabinet profesora. Zobaczywszy, że jest pusty, westchnął zrezygnowany: „Znów nie ma tego sk...a”. Wtedy odpowiedział mu głos Sawickiego dobiegający zza szafy: „Pan chyba zapomniał, że na uczelni używa się tytułów naukowych, a nie rodowych”.

Mizogin

Wracając do Koschembahra-Łyskowskiego, „któremu sztywny staroświecki kołnierzyk wcinał się w półgardle”[113], wydaje się, że niektóre opinie na jego temat były odrobinę przesadzone, a niekiedy wręcz niesprawiedliwe. Jeden z jego wychowanków, Jerzy Tymiński, zauważa: „Prof. Koschembahr-Łyskowski, wykładowca prawa rzymskiego, tej podstawowej wiedzy nie tylko o systematyce prawa, ale również czy przede wszystkim – wzoru prawniczego rozumowania, uchodził, nie wiadomo dlaczego, za wroga kobiet. Zwłaszcza tych rozpieszczonych pannic, które na prawo szły tylko po to, aby miło spędzać czas, no i może przy okazji złapać kandydata na męża. Z tego też powodu egzamin studentki u groźnego profesora wymagał dodatkowych przygotowań i rekwizytów. Tak więc z modnej kiecki przebie-

112 C. Chlebowski, *Bez pokory*, t. I, Warszawa 1997, s. 371.

113 W. Strzałkowski, *Moi profesorowie*, Kraków 1984, s. 9.

rano się tuż przed wejściem na salę tortur, czyli do profesorskiego gabinetu, w jakąś najlichszą sukieńczynę, zakładano koniecznie ciemne okulary, zakrywające zmęczone nauką oczy, rozpuszczano wodą resztki ondulacji, by jako przepracowana bidula, skromnie ubrana, z widocznym wysiłkiem odpowiadająca na przemyślne pytania profesora uzyskać jego względy"[114].



Komers korporacji akademickiej K! Unia. Jej honorowym filistrem był Ignacy Koschembahr-Łyskowski

Z innych relacji wynika, że profesor był jednak odrobinę przewrażliwiony. Władysław Kempfi (1903-1981) wystawił mu w omawianej materii raczej surową laurkę: „Wykłady prawa rzymskiego prof. Koschembahra-Łyskowskiego odznaczały się tym, że były niezmiernie suche i nudne, dyktował on treść wykładów monotonnym głosem. Toteż w czasie wykładów padały z jego ust tak zwane »zwuschenrufy« w rodzaju: »proszę Państwa, czwarta ławka na prawo pod oknem, proszę nie flirtować. Uniwersytet to nie instytucja do stręczenia małżeństw«. Po czym znów trwał wykład"[115]. Potrafił jednak docenić inwencję i bezpośredniość. „Wypada też wspomnieć i o tym – pisze dalej Kempfi – że profesor Łyskowski nie lubił studentek. Niemal każdą zapytywał: »Proszę Pani, po co Pani studiuje prawo?«. Odpowiedzi bywały różne: zamiłowanie, prawa itd. itp. Ale znalazła się jedna koleżanka, która na pytanie takie odpowiedziała pięknie się uśmiechając: »Dla przyjemności, Panie Profesorze«. Na to usłyszała: »Co Pani mówi? Pani jest pierwszą kobietą, która mi tak odpowiedziała. Daję Pani stopień dostateczny«"[116].

---

114 J. Tymiński, *Pisane o zmierzchu. Wspomnienia z lat 1924-1985*, Warszawa 1988, s. 35.
115 W. Kempfi, op. cit., s. 156.
116 *Ibidem*, s. 157.

Wyrazy uznania pod adresem głośnego wykładowcy znalazły się również we wspomnieniach bojownika o niepodległość, pisarza i historyka Józefa Garlińskiego (1913-2005): „Prawo rzymskie wykładał światowej sławy prof. Ignacy Koschembahr-Łyskowski, drobny, zasuszony staruszek, mający ponad 80 lat, który nie chciał ustąpić z katedry (przed wojną było to możliwe). W ten sposób blokował własnego zięcia, docenta, którego sylwetkę nadal widzę, ale nazwiska już nie pamiętam. Wykłady profesora były znakomite, docierały do sedna rzymskiego prawa, aula była zawsze przepełniona, choć wykładowca miał już trudności z wymową”[117]. Nawet jednak i ten były student Koschembahra, z estymą wyrażający się o nim po latach, przyznawał, że przystąpienie do egzaminu wiązało się z dużym stresem. „Bałem się egzaminatorów – pisze – bo stary profesor nie dosłyszał, irytowało go to, a jak stracił cierpliwość, ciął egzaminowanych bez miłosierdzia. Docent, zgorzkniały, pożerany niespełnionymi ambicjami, znany był z pedantycznych pytań i bardzo surowych ocen”[118].

Na obronę profesora warto powiedzieć, że przed wojną panie o wiele częściej spotykały się z afrontami ze strony wykładowców niż ma to miejsce obecnie. Jerzy Sikora ujmuje rzecz w sposób następujący: „Niektórzy starsi profesorowie niechętnie odnosili się do studentek, jak np. prof. Taubenschlag. Nie wahał się on krzyknąć wobec całej sali do studentki, bądź co bądź dojrzałej kobiety: »Pani jest głupia!«. Nie pamiętam wypadku, aby któraś z tak dotkniętych koleżanek, przestraszona surowością profesora, zareagowała publicznie na takie (mówiąc delikatnie) nietaktowne powiedzenie”[119].

Wspomnienie o nietuzinkowym romaniście należy zakończyć jakimś akcentem pogodnym. Nie wypada, by zapamiętano go jedynie jako mizogina i przyspawanego do stołka nudziarza. Piękne wspomnienie i zarazem skojarzenie z nim związane zachował polityk i działacz ludowy Adam Bień (1899-1998). Wracając pamięcią do lat dzieciństwa spędzonych w rodzinnym domu w Ossali, pisał: „Najważniejszy był komin i piec chlebowy. Na kominie płonął ogień, który nigdy prawie nie wygasał. Mój profesor prawa rzymskiego, Ignacy Koschembahr-Łyskowski, zacyto-

117 J. Garliński, *Świat mojej młodości*, Warszawa 1992, s. 206.
118 *Ibidem*, s. 215.
119 Cyt. za: *Patrząc ku młodości*, red. K. Wyka, Kraków 1964, s. 40.

wał nam kiedyś z ustawy XII tablic: *Virgines vestales in urbe custodiunto ignem foci publici sempiternum*. Rzymski ów *ignis sempiternus* przywiódł mi zaraz na myśl ogień płonący w kuchni naszej w Ossali, a westalką przy ogniu tym była matka moja. Widzę ją: stoi przy kominie, wysoka, smukła, czarne włosy splecione z tyłu głowy w warkocz opadający w dół. Twarz skupiona, surowa"[120].

Zdradliwe *actiones*

Do kanonu akademickiej anegdoty należą opowieści zbudowane wokół „prawa" egzaminowanego studenta do trzech pytań. Władysław Kempfi, zdający egzamin u prof. Koschembahra-Łyskowskiego – na własnej skórze miał okazję przekonać się, że to nie tylko stereotyp. „A kiedy indziej – pisze – z ust profesora padło pod adresem egzaminowanego pytanie: »Proszę Pana, co to jest *actio in rem*«. Odpowiedź była niewystarczająca. Padło drugie pytanie: »Co to jest *actio in personam*«. Odpowiedź była również niedostateczna. Profesor na to mówi: »Stawiam Panu stopień niedostateczny«. Egzaminowany na to: »Panie Profesorze, ja mam jeszcze prawo do trzeciego pytania«. A na to Profesor: »To wobec tego niech mi Pan powie, jaka jest różnica między *actio in rem* i *actio in personam*«. Oczywiście i na to pytanie odpowiedź musiała być niedostateczna.

W ogóle pytanie dotyczące *actio in rem* i *actio in personam* należało do typowych. Toteż każdy znał odpowiedź na to pytanie na pamięć, jak pacież. I mnie osobiście na pierwszym roku studiów na egzaminie z prawa rzymskiego spotkało to właśnie pytanie. Odpowiedź wyrecytowałem jak z nut. Spotkałem się z oceną: »Proszę Pana, Pan to wykuł, ale Pan tego nie rozumie. Stawiam Panu stopień niedostateczny«. Pociągało to za sobą automatycznie i drugą dwóję z historii prawa na Zachodzie i trzeba było powtarzać cały rok mimo ocen dobrych i celujących z pozostałych przedmiotów.

Po roku, nie wiem, czy przypadkiem, czy Profesor to pamiętał, zostało mi postawione to samo pytanie. Nauczony doświadczeniem policzyłem sobie do trzydziestu, udając zastanawianie się, po czym wolno wyre-

120 A. Bień, *Bóg wysoko – Bóg daleko. Obrazy przeszłości 1900-1920*, Warszawa 1984, s. 51.

cytowałem to samo, co powiedziałem przed rokiem. Było dobrze. Ocena była dostateczna”[121].

Przed obiadem czy po obiedzie?

Franciszek Ryszka (1924-1998) zdawał prawo rzymskie we Wrocławiu u byłego lwowskiego „dożywotniego docenta”, a wówczas już profesora, Wacława Osuchowskiego (1906-1988). We wspomnieniach z tamtego czasu odnotował: „Był on postrachem wszystkich studentów I roku. I słusznie. Za sprawą wysoce trudnego przedmiotu i surowości profesora nastąpił radykalny odsiew nie gorzej niżby się stać miało dzięki egzaminowi wstępnemu, punktom za pochodzenie, za matury czy za cokolwiek. »Wacio« jak zwaliśmy go przekornie, załatwiał sprawę szybko choć niebezboleśnie. (…) Przy tym wszystkim »Wacio« okazał się niezwykle sympatyczny, kiedy już jako asystent dopuszczony zostałem do pewnych konfidencji z ciałem profesorskim. Niewysoki, okrąglutki: z postawy podobny trochę do Alfreda Hitchcocka, lubił dobrze zjeść i wypić. Krążyły wśród studentów legendy, czy lepiej trafić na egzamin przed obiadem, kiedy »Wacia« drąży głód i myśli głównie o tym, by znaleźć się w ulubionej, a wytwornej knajpie »Pod strzechą« parę kroków od Wydziału na ulicy Kuźniczej. Inny wariant to trafić na moment kiedy profesor wracał najedzony i po kielichu; jak każdy normalny człowiek potrafił być wtedy w lepszym humorze. Wydaje mi się, że obie rachuby były płonne. „Wacio” egzaminował na zimno bez emocji. Po prostu trzeba było umieć”[122].

Przygoda Franciszka Ryszki z prawem rzymskim nie tylko zakończyła się dobrze, ale początkowa niechęć do przedmiotu przerodziła się w sympatię. Po latach wspominał: „w nauce prawa rzymskiego z książek, co kosztowało mnie tyle nerwów, pomocną okazała się łacina z dobrej szkoły grodzieńskiej, »Wacio« wymagał, aby wiedzę z *Fontes Iuris Romani*, zbioru tekstów, które sam wydał, nie przekazywać opisowo, ale poprawnie przetłumaczyć. I tu prawo rzymskie, które serdecznie znienawidziłem, odsłoniło mi swoje uroki, to jest uroki języka w przyswajaniu prawa. Z czasem zrozumiałem, że tzw. suche paragrafy mają w sobie coś z poezji.

---

121 W. Kempfi, *op. cit*., s. 157.

122 F. Ryszka, *Pamiętnik inteligenta*, t. II, *Samo życie*, Łódź 1996, s. 43.

Są syntetyczne i abstrakcyjne, jak powinna być poezja. Różnica polega na emocji, a nie na samej estetyce. (…)

Prawo rzymskie było też wprowadzeniem do nauki prawa cywilnego, nie da się zaś ukryć, że prawo cywilne to fundament wiedzy prawniczej. Dobry prawnik to przede wszystkim dobry cywilista"[123].

Na mumię

Oryginalny sposób zdania egzaminu z prawa rzymskiego zapamiętał profesor Lech Falandysz (1942-2003): „Nieżyjący już niestety nasz kolega, świetny adwokat Józio Gajek zawsze był od reszty bystrzejszy i umyślił sobie ciekawy sposób, aby gładko zdać egzamin z prawa rzymskiego u siejącego postrach, przedwojennego jeszcze profesora Gintowta. Profesor był arystokratą, nosił się po staroświecku, miał nawet przysłowiowe białe rękawiczki. Józio przyszedł na egzamin cały w bandażach. Półprzytomny, chwiejący się na nogach został przyjęty przez profesora poza kolejką, bo wydusił z siebie zbolałym głosem, że miał wypadek motocyklowy. Profesor wraz z asystentką (była nią późniejsza pani profesor Bukowska) ostrożnie położyli Józia na sofie i z najwyższą delikatnością próbowali nawiązać z nim egzaminacyjny kontakt. Po wyjściu z czwórką w indeksie nasz cwany mecenas *in spe*, rycząc ze śmiechu, zerwał bandaże i wkrótce, w asyście pełnych podziwu kolegów, wylądował »na murku«, aby odetchnąć trochę i przygodę dokładnie opowiedzieć"[124].

Podumowanie

Istnieje jeszcze wiele pamiętnikarskich relacji na temat klimatu panującego podczas zajęć i egzaminów z prawa rzymskiego. Wystarczy je tylko znaleźć i pogrupować, a następnie ogłosić. Wcale nie jest to praca aż tak niepoważna, na jaką wygląda na pierwszy rzut oka. Kiedyś przecież ktoś zbierze relacje, które nasi studenci pozostawią o nas.

---

123 *Ibidem*, s. 44.

124 L. Falandysz, *op. cit*., s. 10.

8. PRAWO RZYMSKIE – DLA JEDNYCH BŁOGOSŁAWIEŃSTWO, DLA INNYCH TRAUMA

Studenci i absolwenci prawa, pytani o przedmioty, które przysporzyły im podczas studiów najwięcej trudności, z reguły włączają do katalogu „kobył" prawo rzymskie. Pocieszający jest wszakże fakt, że część z tych, którym uda się ukończyć studia, docenia jednak, jeżeli nie wartość myśli prawniczej starożytnych jurystów, to w każdym razie wiedzę i osobowość prowadzących zajęcia z tego przedmiotu. Bywają i tacy, dla których osławiony „Rzym" staje się traumą, od której nijak nie są w stanie się uwolnić. Rzućmy okiem na kilka przykładów.

Kazus modelowy

W rekordowo krótkim czasie udało się prawo rzymskie opanować Napoleonowi Bonaparte (1769-1821). Tak w każdym razie głosi jedna z licznych legend na temat cesarza Francuzów. Według niej, jeszcze za panowania Ludwika XVI (1754-1793), nikomu nieznany młody Korsykanin, uczeń szkoły wojennej, został wsadzony na jeden dzień „do paki" za jakieś drobne uchybienie dyscyplinarne. W odosobnieniu postanowił konstruktywnie wykorzystać czas i przeczytał od deski do deski „Instytucje" Justyniana. Teraz wystarczyło cierpliwie poczekać na odpowiedni moment, by wykorzystać nabytą wiedzę. W roku 1800, już jako władca Francji, powołał Napoleon czteroosobową komisję dla skodyfikowania kodeksu cywilnego. Efektem jej działalności stało się uchwalenie w 1804 roku kodeksu cywilnego Francuzów (od 1807 roku Kodeks Napoleona). Podczas obrad toczonych nad kształtem nowej kodyfikacji członkowie komisji z niekłamanym zdziwieniem wysłuchiwali, jak Bonaparte z pamięci recytuje całe strony z justyniańskiego podręcznika. Oczywiście po łacinie[125].

W nowym kodeksie naturalnie znalazł się szereg zapożyczeń z prawa rzymskiego, a cesarz był niezwykle dumny ze „swojego" dzieła. Po bitwie pod Waterloo (1815), kiedy znalazł się na zesłaniu na Wyspie Świętej Heleny, zwykł mawiać, że kodeks jest jednym z jego najwybitniejszych osiągnięć. To wszystko po części oczywiście bajka. Ale jaka piękna!

---

125 S. Mackiewicz, *Był bal*, Warszawa 1961, s. 8.



Napoleon koronowany przez alegorię czasu pisze kodeks cywilny (Jean-Baptiste Mauzaisse)

Burza mózgów

Prawo, w tym prawo rzymskie, częściej bywa jednak przyczyną traumy. Zacznijmy nietypowo, gdyż nie będzie tu mowy o złożonej materii ani niezrównoważonych wykładowcach, ale nieodpowiednim towarzystwie i zaniżonym poczuciu własnej wartości.

Zjawisko nie jest nowe. Ot, weźmy choćby fragment autobiograficznej powieści zatytułowanej „Wspólny pokój". Zbigniew Uniłowski (1909-1937) uwiecznił w niej swoje wspomnienia z lat studenckich. Znalazło się tam streszczenie ciekawej rozmowy toczonej między kilkoma studentami na temat życiowych priorytetów: „Do rozmowy wtrącił się Bednarczyk: »My, synowie prostych i biednych ludzi, powinniśmy starać się piąć jak najwyżej. Skoro już sami głodują i łożą pieniądze na nasze wykształcenie, naszym obowiązkiem jest wykorzystać wszelkie możliwości aż do ostatecznych granic. Powinniśmy osiągnąć wysokie stanowiska w społeczeństwie, aby nagrodzić nędzę tylu pokoleń. Tylko synowie zamożnych i wykształconych rodziców mogą poprzestać na byle czym«. Edward wyszedł z drugiego pokoju i zaczął mówić głośno: »Mówi pan same brednie. Nie bierze pan pod uwagę różnic czysto naturalnych. Czy zdajecie sobie sprawę z faktu, że mózgi wasze są zupełnie różne od mózgów synów kulturalnych rodziców? Bierzmy rzecz jak najrealniej, po prostu u was jest inne unerwienie, zupełnie inny system orientacji. Macie zupełnie inaczej zbudowane tam w głowie to, co jest istotą inteligencji. Musicie pocić się, męczyć, zanim pojmiecie to, co pierwszy lepszy panek zgry-

zie jak porzeczkę, jedynie dzięki inteligencji swoich rodziców. Możecie mieć wrodzoną inteligencję, ale nie macie mózgu zbudowanego do pojmowania subtelnych spraw nauki« (…). »Mówisz pan złośliwe rzeczy. Ja sam doskonale czuję, że skończę moje prawo, zostanę adwokatem i całym moim dążeniem będzie być wybitnym adwokatem. Nie wstrzymam się przed żadnym wysiłkiem, by dojść do jak największego stanowiska. Pan mówisz brednie, nie będę panu wyliczał legionu nazwisk, które wyszły z niskiego stanu, a stały się wielkimi w dziejach historii. A czymże pan jesteś w końcu, skąd panu o tym mówić?«. »Właśnie zacząłem mówić, lecz pan mi przerwał. Za chwilę powiem panu nie czym, ale kim jestem. Lecz przedtem: prawo. Ukończy pan prawo. Czy pan wie, co to jest prawo, właśnie prawo! – Prawo Rzymian, prawo Cezarów! – Czy zdajesz pan sobie sprawę z tego, że ma kilkanaście wieków kultury, że prawo ma za sobą rasę wysokiej marki? I to prawo chcesz pan przejąć swoim prostackim umysłem, podejść jego tajemnice i na jego grzebiecie wsunąć się na wysokie stanowisko. Hola, stop, to nie tak, to nie tędy!«"[126].

No właśnie. Chodzi o to, by nie dać sobie wmówić podobnych absurdów. To ważne, gdyż dyskusje toczone w podobnym tonie nadal stanowią codzienność w studenckich stancjach, w akademikach, w parkach, w barach i tak dalej. Sam pamiętam kilkanaście, w których ze swadą dyskutowano na temat inteligencji w ogóle, inteligencji w tak zwanych rodzinach prawniczych oraz oczywiście na temat dziedziczności prawniczych uzdolnień.

W „Złotej Pradze"

Wróćmy jednak do prawa rzymskiego. Fatalne wspomnienia na jego temat (i, jak się zdaje, prawa w ogóle również) zachował niepozorny praski urzędnik ubezpieczeniowy, którego twórczość zrewolucjonizowała literaturę XX wieku. Nazywał się Franz Kafka (1883-1924). Swego czasu nie posłuchał on intuicji, która podpowiadała mu, by podjął studia z chemii, a następnie z filologii germańskiej.

Nie on pierwszy i nie ostatni wahał się poważnie przed wyborem kierunku studiów. Jego tylko trochę młodszy krajan, Reiner Maria Rilke

126 Z. Uniłowski, *Wspólny pokój*, Warszawa 1988, s. 119-122.

(1875-1926), uwiecznił swe rozterki w sympatycznym wierszyku zatytułowanym „Kiedy wstąpiłem na uniwersytet" (*Als ich Universität bezog*):

> Wpierw prawo studiować byłem gotowy
> Przez jedną rzecz mój dobry nastrój pierzchł:
> Pandekty kurzem pokryte, surowe.
> I tak plan cały wziął w końcu w łeb[127]
> przeł. M. Jońca

Rilke posłuchał głosu rozsądku i podjął studia z zakresu literatury, historii sztuki oraz filozofii.

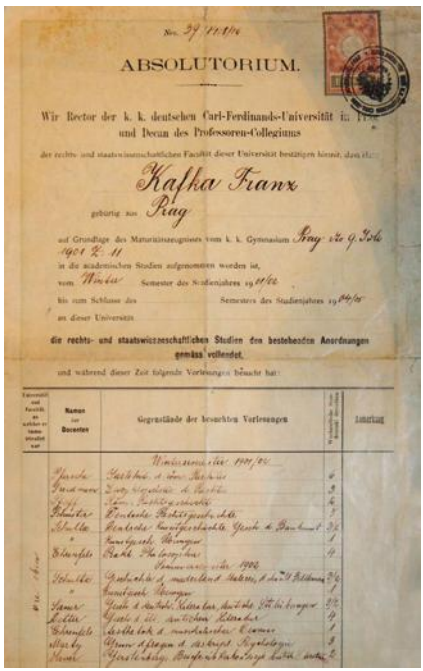


Reiner Maria Rilke w roku 1897. Niedoszły student prawa

Tymczasem Kafka w 1901 roku rozpoczął studia prawnicze na uniwersytecie niemieckim w Pradze. Mimo że częściej można go było spotkać na zajęciach z historii kultury i germanistyki, w 1906 roku uzyskał tytuł doktora praw. Zanim to się jednak stało, musiał zdać egzamin państwowy, w którego zakres

[127] Za oryginałem w: R.M. Rilke, *Gedichte*, Berlin 1987, s. 33.

wchodziło również prawo rzymskie. Wątek ten pojawia się w korespondencji do jego kochanki i powierniczki Mileny Jesenskiej (1886-1944). W liście z 1920 roku Kafka zwierzył się jej, że krótko przed egzaminem przemierzał ulice Pragi, „powtarzając w pamięci ohydne prawo rzymskie". Wtedy zauważył w jednym z okien „dziewczynę sklepową". Młody adept prawa, który nie miał wcześniej bliższych kontaktów z kobietami, umówił się na randkę. Po latach wspominał: „W rzeczywistości byłem szczęśliwy, ale szczęściem, które dało wreszcie trochę spokoju memu wciąż narzekającemu ciału. Szczęśliwy przede wszystkim, gdyż całe to doświadczenie nie okazało się bardziej plugawe i obrzydliwe"[128]. Kiedy weźmiemy pod uwagę to i inne doświadczenia, które pisarz wiązał z prawem, być może łatwiej przyjdzie nam zrozumieć obecność pewnych wątków w jego powieściach. Warto przy tym dodać, że każdy szanujący się absolwent prawa powinien znać przynajmniej „Proces" i „Zamek".



ABSOLUTORIUM.

Wir Rector der k. k. deutschen Carl-Ferdinands-Universität in Prag und Decan des Professoren-Collegiums

der rechts- und staatswissenschaftlichen Facultät dieser Universität bestätigen hiemit, dass etc.

Kafka Franz

gebürtig aus Prag

auf Grundlage des Maturitätszeugnisses vom k. k. Gymnasium Prag vom 9. Juli 1901 Z. 11 in die akademischen Studien aufgenommen worden ist,

vom Winter Semester des Studienjahres 1901/02

bis zum Schlusse des Semesters des Studienjahres 1904/05

an dieser Universität

die rechts- und staatswissenschaftlichen Studien den bestehenden Anordnungen gemäss vollendet,

und während dieser Zeit folgende Vorlesungen besucht hat:

Laufende Nummer	Namen der Docenten	Gegenstände der besuchten Vorlesungen	Anmerkung
		Wintersemester 1901/02	
	Jarsch	Enzyklopädie d. Rechtswissenschaft	4
	Lammasch	Staatsrecht d. Deutschen Reiches	5
	Lammasch	Staatsrecht d. Österreichischen Kronländer	4
	Schuster	Österreichisches Privatrecht	5
	Schulte	Österreichisches Handelsrecht	3½
	Lammasch	Völkerrecht	3
	Schwiedland	Nationalökonomie	4
		Sommersemester 1902	
	Schwiedland	Volkswirtschaftspolitik	2½
	Lammasch	Völkerrecht	3
	Jarsch	Geschichte d. deutschen Rechtes	4½
	Lehmann	Geschichte d. röm. Rechtes	4
	Schwiedland	Statistik	4
	Mayer	Geschichte d. österr. Verfassung	2

Absolutorium Franza Kafki wydane przez wydział prawa niemieckiego uniwersytetu Karola Ferdynanda w Pradze

128 F. Kafka, *Letters to Milena*, New York 1990, s. 146.



Franz Kafka. Neurotyk po praskim wydziale prawa

Prawnikiem z wykształcenia był inny wielki praski pisarz – i przy okazji miłośnik Kafki – Bohumil Hrabal (1914-1997), który w rozmowie z László Szigetim (ur. 1957) wyznał: „Wspominam o nim [tj. o Kafce – M.J.], ponieważ był doktorem praw i ja również jestem panem dokto-

rem praw". Nieco dalej jeszcze raz powrócił wątek prawniczego wykształcenia. „Skoro o tym mowa – zrobił pan dyplom z prawa" – stwierdził Szigeti, na co padła znacząca odpowiedź: „Wiele mnie kosztowało, żeby to wszystko zapomnieć"[129]. Niemniej podkreślić należy, że o ile z reguły o prawie w ogólności Hrabal mówił źle, to już o pandektach wypowiadał się z umiarkowaną rewerencją.

Trudny przypadek

Kafka kojarzył z prawem rzymskim traumę pierwszej inicjacji seksualnej i pewnie dlatego „uciekł" w literaturę, gdzie skanalizował wszelkie negatywne emocje związane ze studiami, a następnie praktyką prawną. Podobnie uczynił Hrabal. Inni mieli mniej szczęścia. Część wylądowała nawet na kozetkach u psychoanalityków. Jeden z takich przypadków opisany został w liście, który węgierski psychiatra, Sándor Ferenczi (1873-1933), napisał do swego mistrza Zygmunta Freuda (1856-1939). Pismo jest datowane na 15 stycznia 1914 roku. W początkowej jego partii wyłuszczono: „Właśnie (trzy dni temu) rozpocząłem analizę typowego masochisty, bardzo inteligentnego i zamożnego (prawnik) człowieka, który zgłosił się do mnie za twą poradą". Dalsza część epistoły, opisująca ze szczegółami upodobania rzeczonego jurysty, niestety nie nadaje się do przytoczenia. Uwagę czytelnika przykuwa natomiast koniec relacji: „Śnił, że został zwolniony spod mej opieki całkowicie wyleczony oraz że mój asystent wyznał mu, iż jego przypadek jest unikalny; »to pierwszy przypadek, w którym masochizm został uznany za (?)«. Słowo, które zastąpił znak zapytania, początkowo nie przychodzi. Pierwszą myślą była *obligatio faciendi* drugą *servitus*! – a więc dwa sformułowania prawnicze, z których szczególnie drugie, paralelnie oznaczające podporządkowanie i zależność, było charakterystyczne dla masochizmu właśnie w tym sensie. Od teraz jednak termin ten powinien być interpretowany również w sensie prawa rzymskiego, mianowicie jako »obowiązek tolerowania ingerencji osób trzecich w moje prawo własności«"[130]. W odpowiedzi

---

129 L. Szigeti, *Drybing Hidegkutiego, czyli rozmowy z Hrabalem*, przeł. A. Kaczorowski, Warszawa 2011, s. 123.

130 *The Correspondence of Sigmunt Freud and Sándor Ferenczi*, t. I, 1908-1914, Harvard University Press 1993, s. 534.

z 1 lutego 1914 roku Freud skarży się, że pisze wiele, choć w ogóle nie ma czasu, informuje o najbliższych spotkaniach, rzuca kurtuazyjną uwagę na temat zdrowia swego rozmówcy, po czym kończy, przepraszając za swój lapidarny styl. Szkoda, bo chętnie dowiedzielibyśmy się, jakie było zdanie ojca psychoanalizy na temat przenikania w podświadomość konstrukcji zaczerpniętych z prawa rzymskiego.



Sándor Ferenczi. Węgierski psychoanalityk

Podsumowanie

Z historii młodego Bonapartego współcześni powinni wycisnąć tyle, ile się tylko da. „Instytucje" Justyniana w znakomitym tłumaczeniu Cezarego Kunderewicza warto umieścić w instytucjach następującego rodzaju: więzieniach, aresztach śledczych, noclegowniach, izbach wytrzeźwień oraz przytułkach. To żadna tajemnica, że czas spędza tam bezproduktywnie wielu inteligentnych ludzi. Ich spotkanie z prawniczym geniuszem starożytnych Rzymian mogłoby dać olśniewający efekt.

Co się zaś tyczy „oryginalnych" opinii, którymi straszeni są studenci zwłaszcza młodszych lat lub tacy, którzy nie mają odpowiedniego „rodzinnego" zaplecza, to, no cóż…, idiotyzmami nie warto się przejmować.

Z trudną materią i niezrównoważonymi prowadzącymi jest cięższa sprawa. Materii i charakteru nie da się niestety zmienić jednym przytknięciem palców. Swoją drogą ciekawe, czy któryś(-aś) z tylu młodych

szantażystów(-ek), tak często oświadczających mi łamiącym się głosem: „Jeszcze raz mnie pan odeśle, to chyba zwariuję!", kiedy dzięki mnie odkryje w sobie nieznane pokłady wrażliwości, przyjdzie kiedyś podziękować.

9. RAFAŁ TAUBENSCHLAG WE WSPOMNIENIACH I ANEGDOCIE

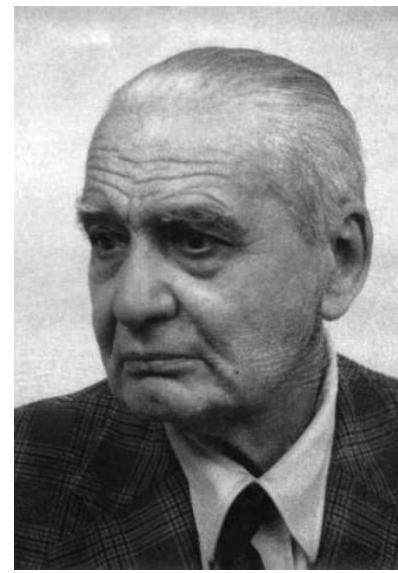
Rafała Taubenschlaga (1881-1958) uczczono już licznymi biogramami oraz okolicznościowymi omówieniami naukowych osiągnięć. Ze współczesnej perspektywy, ukształtowanej głównie przez listę publikacji i nekrologi, jawi się on niczym półmityczny heros nauki. Trudno sobie wyobrazić, by jakiś szanujący się uczony, badający egipskie papirusy pochodzące z okresu ptolemejsko-rzymskiego, nie słyszał o Taubenschlagu lub, co gorsza, nie czytał jego prac. Od czasu do czasu warto jednak przypomnieć sobie również, że uczeni, zasłużenie otoczeni pośmiertną sławą, byli przecież postaciami z krwi i kości. Niekiedy, jak w przypadku Rafała Taubenschlaga, została po nich nieprzebrana masa wspomnień i anegdot.

Powrót do przeszłości

Spośród wielu pośmiertnych notatek i okolicznościowych biogramów, poświęconych uczonemu romaniście i wybitnemu papirologowi, bez wątpienia wyróżnia się artykuł jego byłego studenta, nietuzinkowego emigracyjnego dziennikarza i publicysty – Wacława Zbyszewskiego (1903-1985). Tekst ukazał się w roku 1958 w londyńskich „Wiadomościach", a potem, wiele lat później, bo w roku 1971, przedrukowała go paryska „Kultura". Zbyszewski napisał w nim: „Przeglądając dzisiaj rano – służbowo i mechanicznie – pracowite zestawienia nasłuchów radiowych, na którejś żółtej kartce natrafiłem na zdanie, że pogrzeb zmarłego śmiercią samobójczą profesora Taubenschlaga odbędzie się w Krakowie…

Rzuciłem kartkę do kosza, bo nie odpowiadała moim zapotrzebowaniom służbowym, ale nie mogłem o niej zapomnieć. No tak. To przecież mógł być tylko Rafał Taubenschlag, profesor prawa rzymskiego w Krakowie przed wojną, w czasie wojny w *Columbia University*, po wojnie

w Warszawie. I w oczach stawała mi ciągle ta sala Kopernika w krakowskim *Collegium Novum*, przepełniona i wypełniona tłumem ubogich studentów w łachmanach, ojcowskich portkach w paski, w rozlatujących się mundurach legionowych czy wojska polskiego, wygłodzonych, śmierdzących, skulonych u stóp wysokiej katedry. I pamiętam, jak na tej katedrze punktualnie zjawiał się prof. Taubenschlag i »trzymał« godzinny wykład o pandektach i prawie pretorskim, i *ususfructus*, i tylu innych rzeczach, które wówczas wydawały mi się tak ważne, tak istotne, a teraz? Było dwóch profesorów prawa rzymskiego podówczas w Krakowie – wielki Wróblewski, siostrzeniec większego fizyka, mefistofeliczny, machiaweliczny, łysy, faustowski, późniejszy prezes komisji kodyfikacyjnej, prezes Akademii Umiejętności, zbyt mądry, zbyt przefajnowany, by biednych »akademików« czegoś nauczyć; i był Taubenschlag, belfer uniwersytecki, »konował«, ale dobry pedagog, który wbijał nam w głowę prawo rzymskie, taki sumienny, rzetelny »wkuwacz«. Był mały, wygolony, miał nos semicki, krótkie nóżki, głos trochę *staccato*, z lekkim żydowskim akcentem, bladolicy, jakiś też biedny, smutny i prowincjonalny.



Wacław Zbyszewski. Autor nostalgicznego wspomnienia Rafała Taubenschlaga opublikowanego w roku 1958 na łamach londyńskich „Wiadomości”



Rafał Taubenschlag, profesor prawa rzymskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim

Pamiętam dalej, że za cenę Bóg wie jakich ofiar kupiłem wówczas, na tym pierwszym roku upragnionego uniwersytetu, podręcznik prawa rzymskiego Girarda. *Manuel de droit romain* nazywało się to wielkie tomisko, w którym uplasowałem już wówczas przejściową – jak się okazało – namiętność do prawa (…).

Pamiętam, jak – bezgranicznie dumny z tego nabytku – złapałem kiedyś we framudze okna na korytarzu *Collegium Novum* Taubenschlaga i pokazałem mu mego Girarda. Pamiętam, jak usiadł we framudze okna, jak jego krótkie nóżki bełtały się w powietrzu. Pamiętam jak kartkował tego mego Girarda i wreszcie rzekł:

– No, jak pan się tego wszystkiego nauczy, to będzie pan wiedział tyle, co ja.

Pokraśniałem z radości. Potem Taubenschlag mówił coś dalej, zapamiętałem, że w tym monologu użył wyrażenia »naukowcy« zamiast »uczeni«. Wydało mi się to bardzo dziwne, niezgodne z zasadami języka polskiego, ale nie śmiałem oponować”[131].

Naukowcy i uczeni

Dla większości współczesnych czytelników terminy „naukowiec" i „uczony" stanowią synonimy. Niesłusznie. W skomplikowany świat uniwersyteckiej tytulatury przedwojennego UJ-u wprowadzają pamiętniki Romana Wodzickiego (1904-1978), prawnika, dyplomaty, a po II wojnie dziennikarza i wydawcy. Wspominając okres swoich studiów, autor ten oświadcza: „W ogóle miałem jakoś szczęście do egzaminów u Taubenschlaga, uchodzącego w Krakowie za bardzo surowego egzaminatora. Był on, jak wiadomo, jednym z dwóch ówczesnych profesorów prawa rzymskiego UJ. Obaj ze Stanisławem Wróblewskim uchodzili, oprócz profesora prawa polskiego – Stanisława Kutrzeby, za najwybitniejszych uczonych spośród grona profesorskiego krakowskiego Wydziału Prawa. Osobiście przyznałbym nawet raczej palmę pierwszeństwa jako wykładowcy profesorowi ekonomii – Adamowi Krzyżanowskiemu. (…) Pomimo to ani ekonomiście Adamowi Krzyżanowskiemu, ani całej plejadzie innych cenionych profesorów prawa krakowskiego uniwersytetu, jak np. cywilistom: Fryderykowi Zollowi »młodszemu« (choć w latach dwudziestych już dobrze podtatusiałemu; Zoll starszy od wielu lat nie żył) czy Franciszkowi Ksaweremu Fierichowi, długoletniemu prezesowi ślimaczącej z robotą Komisji Kodyfikacyjnej RP, czy Stanisławowi Gołąbiowi nie przyczepiano jakoś etykiety uczonych.



Nadanie doktoratu wicewojewodzie krakowskiemu Piotrowi Małaszyńskiemu na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Stoją od lewej: wiceminister wyznań religijnych i oświecenia publicznego Bronisław Żongołłowicz, minister spraw wewnętrznych Władysław Raczkiewicz, rektor UJ dr Stanisław Maziarski, wicewojewoda krakowski Piotr Małaszyński, profesor Rafał Taubenschlag, profesor Stanisław Gołąb

131 W. Zbyszewski, *Profesorowie UJ*, „Kultura" 328-331 (1975), s. 162.

Tamtych nazywano naukowcami. Nikt zresztą nie próbował zdefiniować, na czym ma polegać różnica. W każdym razie nie polegała ona na tym, że jedni profesorowie zdobywali się na wydawanie dzieł naukowych i podręczników dla studentów, inni nie"[132].

Nieco o uczelnianych zwyczajach

W *Collegium Novum* największych rozmiarów pomieszczeniem była sala nr 62 nosząca imię Mikołaja Kopernika. „Sala Kopernika – wyjaśnia Jan Bielatowicz (1913-1965) – służyła, oczywiście, na najtłumniejsze wykłady, tudzież manifestacje, wiece i zebrania studenckie. Tutaj odbywały się wykłady prof. Chrzanowskiego, najlepszego oratora uczelni w latach akademickich 567-573. (…) Również niektóre wykłady prawa, szczególnie rzymskiego, Rafała Taubenschlaga, i historii ustroju Polski, Stanisława Kutrzeby, mogły skupić słuchaczy w *lectorium* Kopernika. W latach trzydziestych ogromna masa studentów rzuciła się na prawo, a wysłuchanie wykładów było tam nie tylko obowiązkowe, ale i konieczne, bo przy braku skryptów większość profesorów żądała dużej precyzji odpowiedzi. Nic dziwnego: prawo to nie literatura piękna. Rozumie się, że osobista wykładnia prawa rzymskiego czy staropolskiego przez studentów nie przyniosłaby niczego dobrego. Zatem przezorniejsi słuchacze zajmowali miejsca w sali Kopernika już wieczorem, w przeddzień wykładu, aby spędziwszy noc w ławach, móc rano wysłuchać wykładów Taubenschlaga. Owe nocne koedukacyjne okupacje po kilku tygodniach zaniepokoiły senat, toteż pedle zaczęli zamykać *lectorium* na klucz po ostatnim wieczornym wykładzie"[133]. Dodajmy do tego, że w sali Kopernika panowała dosyć specyficzna atmosfera. Prof. Jerzy Lande (1886-1954) zwykł żartować, że sala Kopernika nie była wietrzona od czasów Kopernika.

Podczas wykładów Taubenschlag wymagał uwagi i skupienia. „Prof. Taubenschlag – zapamiętał z kolei Jerzy Sikora – odzywał się nieraz nagle w czasie wykładu, wskazując gwałtownym ruchem ręki w kierunku rozmawiającego studenta lub studentki. Na przykład: »Pani w czerwonym berecie, w 8 rzędzie od okna, czwarta od środka!... Ja panią spalę przy

---

132 R. Wodzicki, *Wspomnienia. Gdańsk – Warszawa – Berlin 1928-1939*, Warszawa 1972, s. 53.

133 J. Bielatowicz, *Gaude Mater Polonia*, Paryż 1964, s. 19-20.

egzaminie!«. Starsi studenci, którzy znali już dobrze obyczaje profesora, twierdzili, że nie były to czcze pogróżki wykładowcy, który ponoć rozpoznawał przy egzaminie takiego delikwenta czy też delikwentkę i dotrzymywał słowa”[134].

Bolączki dnia codziennego współczesnych profesorów z pewnością niewiele różnią się od trosk uczonych okresu międzywojennego. Jest ich bez liku i cechują się, co zrozumiałe, różnorodnością. Niektórym na przykład trudności przysparza zwłaszcza zstąpienie z wysokości katedry i zmieszanie się z „szarym” tłumem. Zakorzeniona w nich przemożna chęć stałego pouczania innych wydaje się niemal nie do przezwyciężenia. Bielatowicz zwraca uwagę na inny aspekt tego samego zjawiska: „Największą niedogodnością życia profesorskiego było wychodzenie na Kraków. Wszyscy się profesorom kłaniali, tak że kapelusze sfruwały co chwilę z uczonych głów, na różne sposoby, w zależności od stosunku do osoby składającej ukłon: ledwie uniesione w górę, uchylone bliżej i dalej, odchylone faliście i długotrwale, spuszczone nisko, niekiedy ledwie dotknięte dłonią. Tak się kłaniał Stanisław Estreicher. Niektórzy profesorowie nawet albo w ogóle nie dostrzegali, albo też udawali, że nie dostrzegają ukłonów. Rafał Taubenschlag mógł naprawdę nie dostrzegać, był bowiem całkowicie pochłonięty dialogami, jakie wiódł głośno ze sobą. Gestykulował przy tym zamaszyście i miotał obelgi. Miał szczególne upodobanie do chodzenia jedną stopą po krawężniku bruku, drugą po jezdni, czym z daleka przypominał kolebiącą się kaczkę”[135]. Studenci nazywali go Taubelasem, co sam zainteresowany przyjmował ze spokojem.

Przekleństwo podręcznika

Początkowo profesor Taubenschlag korzystał z polskiego tłumaczenia podręcznika „Instytucje, historja i system rzymskiego prawa prywatnego” autorstwa Rudolfa Sohma (1841-1917). „800-stronicowy podręcznik Sohma miał wszakże jedną wielką wadę: był za obszerny. Zanim student dotarł do końca, zapominał, co wyczytał na początku. (…) Taubenschlag doszedł też z czasem do wniosku, że wywody Sohma są zbyt rozwlekłe i napisał, wspólnie ze Stanisławem Kozubskim, zwięzłe skondensowane

134 Cyt. za: *Patrząc ku młodości*, red. K. Wyka, Kraków 1964, s. 42.
135 J. Bielatowicz, *op. cit.*, s. 26.

kompendium, o połowę krótsze od podręcznika Sohma, a mimo to bez porównania bogatsze w treści"[136].

Opracowanie to rychło stało się zmorą studentów. Egzaminator „wymagał od zdającego studenta dokładnej znajomości (na pamięć) swego podręcznika liczącego 316 stronic. Tłumaczył to tym, że podręczniki prawa rzymskiego poprzednich autorów miały około 2 tysięcy czy też tysiąc stronic. »Jeżeli – dowodził profesor – student zapamiętał 1/7 część materiału, to i tak znał 300 lub co najwyżej 150 stronic. Cóż by umiał – martwił się – gdyby z tego 316 stronicowego podręcznika zapamiętał akademik tylko 1/7 część?!«.

Stale wyrzucał sobie podczas wykładów, że zdecydował się napisać zbyt krótki podręcznik i nadto skrótowo potraktował działalność takich wybitnych prawników rzymskich, jak np. Domitiusa Ulpianusa, Gajusa i innych. W końcu doszedł do przekonania, że najlepszy byłby podręcznik do prawa rzymskiego w formie encyklopedii[137]".

Egzamin nie należał do najłatwiejszych. „Taubenschlag był z natury pobudliwy, porywczy, impulsywny. Wszystko robił z pasją, impetem, osobistym zaangażowaniem"[138]. Późniejszy krytyk teatralny i dziennikarz, a także doktor zarówno praw (na UJ-cie), jak i nauk humanistycznych (na UW), wspominając studia prawnicze w Krakowie, gorzko kwitował: „Swoją drogą trzeba powiedzieć, że ówczesny system egzaminów prawniczych, wzorowany chyba na egzaminach mandarynów chińskich, był barbarzyński. Zdawaliśmy w ciągu jednego dnia (a właściwie w ciągu jednego przedpołudnia) cały materiał, a więc cztery przedmioty. Ponieważ zaś egzaminy prawnicze wymagały przede wszystkim pamięciowego opanowania materiału, a więc »wkucia« ponad 2000 stron, wysiłek nerwowy i napięcie było ogromne. Ten jeden dzień, tych kilka godzin miało zadecydować o całym roku. »Trup słał się gęsto«. Na egzamin do profesora Taubenschlaga wchodziło zwykle od dwudziestu do dwudziestu pięciu studentów, a zdawało zaledwie kilku, czasem trzech, czasem czterech lub pięciu. Ale bo też jego sposób egzaminowania był straszliwy. Zaczynał od opisu jednej z instytucji lub jakiegoś przepisu z podręcznika, a student

136 H. Ritterman-Abir, *op. cit.*, s. 136.
137 J. Sikora, *op. cit.*, s. 42.
138 H. Ritterman-Abir, *op. cit.*, s. 136.

musiał kontynuować, przy czym profesor Taubenschlag wodził palcem po swojej książce, sprawdzając, czy nieszczęśnik czegoś nie pominął. Kiedy pytano profesora, dlaczego wybrał tak bezmyślny sposób egzaminowania, odpowiadał, że uczynił to dla dobra studentów. W ten sposób sprawdza bowiem siebie. Nie może pamiętać, co umieścił w podręczniku, a gdyby pytał z prawa rzymskiego według tego, co sam wie o nim, po prostu nikt by nie zdał. Jego podręcznik liczył 317 stron druku. Trzeba było znać je na pamięć"[139].

Zdarzało się wszakże, że jeszcze po latach byli studenci z nostalgią wspominali wkuwanie podręcznika i nie żywili żalu do wykładowcy z prawa rzymskiego. Juliusz Kydryński (1921-1994) w felietonie z roku 1980 załamywał ręce: „Niedawno X Krajowy Zjazd Zrzeszenia Prawników przyjął uchwałę, w której postuluje się przywrócenie prawa rzymskiego jako odrębnego przedmiotu nauczania na prawniczych studiach uniwersyteckich. Mój Boże, a ja, znający niegdyś całe prawo rzymskie Taubenschlaga na pamięć, nie wiedziałem nawet, że przestano je wykładać! Zgrozą przejmuje myśl, co tam jeszcze powyrzucano z programu studiów na różnych wydziałach, o czym my, którzy dawno opuściliśmy uniwersytety, nie wiemy, a co znowu jakieś zjazdy będą musiały przywracać. Czy na medycynie np. wykłada się jeszcze anatomię?"[140].

Pocałunek w prawie rzymskim

Niekiedy zdarza się, że wpadamy na znakomity pomysł, a potem okazuje się, że kilka, a nawet kilkanaście osób przed nami nie tylko miały identyczną koncepcję, ale również plan swój wprowadziły w życie w sposób o niebo lepszy, niż zamierzaliśmy my. Tak było z esejem „Pocałunek w prawie rzymskim", który tylko nieznacznie odbiega od przemyśleń zawartych w artykułach autorstwa N.T. Steinlaufa oraz M. Brown Pharr. Niemałym zaskoczeniem okazało się jednak odkrycie, że jeszcze wcześniej, bo u zarania trzydziestych lat XX wieku, na identyczny koncept wpadł student pierwszego roku prawa UJ – Jan Meysztowicz (1910-1997). W tle jego wspomnień wyraźnie rysuje się również postać profesora prawa rzymskiego – Rafała Taubenschlaga.

---

139 R. Szydłowski, *Wojna zaczęła się w Tarnowie. Wspomnienia*, Kraków 1991, s. 304-305.

140 J. Kydryński, *Powrót do natury*, Kraków 1984, s. 158.

Zacznijmy jednak od początku. Jan Meysztowicz, dyplomata i pisarz, wracając do dni swojej młodości, odnotował: „Egzaminy na pierwszym roku studiów na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, w czerwcu 1930 roku, oblałem haniebnie. Główną przeszkodą, na której potknąłem się i ja, stanowiącą najgęstsze sito odsiewu początkujących studentów, było oczywiście prawo rzymskie. Prof. Rafał Taubenschlag wykładał je fascynująco, ale egzaminował niemiłosiernie. Zaabsorbowany bujnym życiem towarzyskim Krakowa i polityką na szczeblu akademickim zlekceważyłem arkana prawa rzymskiego, więc nie pozostawało mi nic innego, jak po raz drugi zostać studentem roku pierwszego”[141].

Wszystko skończyło się jednak dobrze i nie bez elementu humorystycznego. „Organem Myśli Mocarstwowej na UJ – pisze dalej Meysztowicz – było wychodzące co miesiąc czterokolumnowe pisemko »Civitas Academica«. Jego redaktor Ksawery Prószyński namówił mnie do napisania czegoś okolicznościowego, i tak pod datą 1 czerwca 1931 ukazał się na tych znamienitych łamach mój pierwszy w życiu felieton zatytułowany »Pocałunek w świetle prawa rzymskiego«, podpisany tylko inicjałami, do tego fałszywymi, gdyż bałem się narazić prof. Taubenschlagowi. Na nic mi się to jednak nie zdało. Ksawery był wtedy asystentem przy katedrze prof. Stanisława Estreichera i zastawszy go w gabinecie przy ul. Gołębiej czytającego *Civitas* zdradził profesorowi poufnie, kto jest autorem »Pocałunku…«, ale mnie o tym nie wspomniał. Prof. Estreicher nie omieszkał, jak się okazało, pokazać felieton koledze i, znając zresztą jego poczucie humoru, ujawnił, że autor – tu imię i nazwisko – jest jego uczniem już od dwóch lat. Nadszedł dzień egzaminu z prawa rzymskiego i gdy znalazłem się w obliczu prof. Taubenschlaga zaraz po pierwszym, dosyć łatwym pytaniu, na które odpowiedziałem gładko, ogarnęło mnie przerażenie. Następne pytania dotyczyły wyłącznie terminów, jakie w humorystycznym kontekście figurowały w moim felietonie, takie na przykład, jak »pocałunek jest to kontrakt wzajemnego wygodzenia, *commodatum irregulare*«. Jąkałem się, pociłem, wiercіłem na krześle, a prof. Taubenschlag znęcał się nade mną z filuternym uśmiechem, aż wreszcie orzekł, że zdałem na »dostatecznie« i wręczając mi indeks dodał: »Zdaje mi się, że z pana będzie lepszy dziennikarz niż praw-

[141] J. Meysztowicz, *Czas przeszły dokonany: wspomnienia ze służby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w latach 1932-1939*, Warszawa 1984, s. 9-10.

nik«"[142]. Istotnie, po zakończeniu II wojny światowej Meysztowicz odszedł ze służby dyplomatycznej i poświęcił się działalności dziennikarskiej.

Wiceminister

W środowisku filologów klasycznych hasło: Kazimierz Kumaniecki (1905-1977) to nie tyle personalia, ile pomnik. Prawnicy częściej wspominają natomiast jego ojca, wybitnego specjalistę w zakresie prawa administracyjnego, również Kazimierza Kumanieckiego (1880-1941). Otóż Kumaniecki senior w roku 1922 objął tekę ministra wyznań i oświecenia publicznego w rządzie Juliana Nowaka (1865-1946). Gabinet rządził niespełna pół roku, a jego dymisję odebrał pierwszy demokratycznie wybrany prezydent Rzeczypospolitej Polskiej – Gabriel Narutowicz (1865-1922). Były minister tak jednak przyzwyczaił się do ministerialnej tytulatury, że po powrocie na uniwersytet nie znosił, kiedy zwracano się do niego per „panie profesorze". Profesor Aleksander Wolter (1905-1967) zapamiętał w związku z tym następującą anegdotę: „Pewnego razu Kumaniecki przyjął studenta, który zaczął referować mu swoją sprawę, zaczynając od sakramentalnego zwrotu »panie profesorze!«.

– Źle! – przerwał mu b. minister.

– Panie dziekanie! – poprawił się szybko ofuknięty.

– Jeszcze gorzej!

– Panie… panie… – jąkał się student, szukając właściwego tytułu.

– Może »panie Kaziu«? – zagrzmiał ironicznie Kumaniecki.

Któraś z obecnych w dziekanacie urzędniczek podpowiedziała zakłopotanemu młodzieńcowi właściwą formułę.

– Panie ministrze! – powtórzył student złamanym głosem.

– No, wreszcie – odetchnął usatysfakcjonowany profesor"[143].

Tytularne upodobania profesora Kumanieckiego stały się pewnego razu źródłem zabawnego wydarzenia z udziałem Rafała Taubenschlaga. Otóż pewnego razu podczas immatrykulacji prof. Kumaniecki, ówczesny dziekan Wydziału Prawa, wręczał studentom pierwszego roku indeksy, na co każdy z nich odpowiadał sakramentalnym: „Dziękuję, panie ministrze!". W pewnej chwili został jednak poproszony do telefonu, wobec

142 *Ibidem*, s. 13.

143 R. Kaleta, *Sensacje z dawnych lat*, Wrocław 1986, s. 301.

czego zastąpił go prof. Taubenschlag, pełniący wówczas funkcję prodziekana Wydziału Prawa. Student, który w nabożnym skupieniu odebrał z jego rąk indeks, dziarsko wyrecytował: „Dziękuję, panie ministrze!". Na to zagadnięty, spokojnie odpowiedział: „Ja tu jestem tylko w zastępstwie". Student, nie tracąc rezonu, poprawił się: „Dziękuję, panie wiceministrze!".



Kazimierz Kumaniecki – „minister"

Sprawa baldachimu i śmiertelna wojna

Jednym z bardziej pożądanych wśród zbieraczy-bibliofilów woluminów jest opublikowany w roku 1926 „Przewodnik bibliograficzny (seria II, tom IV, zeszyt 13)". Jako miejsce wydania wskazano Niebylec, jako wydawcę – Narodowy Instytut Bibliograficzny, a jako redaktora głównego – Szymona Starowolskiego (współredagowali: J.A. Załuski, J.D.A. Janocki, M.H. Juszyński oraz A.B. Jocher). Naturalnie wszystkie te dane zostały zmyślone.

Publikacja nawiązywała do popularnego periodyku wydawanego w okresie międzywojennym przez Ossolineum. Znalazły się w niej nazwiska przedstawicieli ówczesnej inteligencji polskiej, w tym naukowców oraz literatów, wraz z listą ich publikacji przypadających na rok 1925.

Nie zabrakło w nim również, pod numerami 4562 oraz 4563, badawczych „osiągnięć" profesora Rafała Taubenschlaga za rok 1925. Złożyły się na nie dwie monografie:

– Taubenschlag R., Prof. Uniw. Jag., „Zwyczaj noszenia baldachimu podczas procesji Bożego Ciała w Palermo". Kraków. Nakładem Sodalicji Mariańskiej Panów. 1925. 16º. str. 36;

– Taubenschlag R., Prof. Uniw. Jag., „Mój proces polski z Kutrzebą". Tel Awiw. Drukarnia krakowska. 1925. 8º. str. 186.

Badacz osobliwości zebranych w niezwykłej księdze, profesor Roman Kaleta (1924-1989), wyjaśnia: „Długo nie mogłem dociec, jaki epizod z życia wybitnego badacza prawa rzymskiego dał pochop krakowskim wesołkom do sowizdrzalskiego chichotu. Dopiero we czwartek 5 sierpnia 1971 r., w czasie wakacyjnego spotkania w kawiarni »U Zbója Becza« w Bieczu usłyszałem z ust prof. Juliana Krzyżanowskiego anegdotę, która pasuje jak ulał do zagadkowego tytułu i znakomicie go objaśnia. Powtarzam ją z pamięci możliwie dosłownie: »Kilka lat po pierwszej wojnie światowej (bodajże w 1925 r.) prof. Taubenschlag zwiedzał Italię. Przybywszy do Palermo w święto Bożego Ciała, złożył m.in. wizytę tamecznemu *sindaco* (burmistrzowi) i w jego towarzystwie biskupowi, który akuratnie wybierał się do kościoła na nabożeństwo. Po krótkiej rozmowie biskup, pragnąc uhonorować Polaka, zaprosił go do niesienia baldachimu. Taubenschlag, zmieszawszy się nieco, wyznał, że nie jest katolikiem. Biskup tolerancyjnie machnął ręką i rzekł:

– To nie szkodzi, proszę pana«"[144].

Faktem jest, że Taubenschlag sporo podróżował i miał dobre kontakty ze środowiskiem romanistycznym na świecie. Zwłaszcza – czemu w sumie trudno się dziwić – upodobał sobie Włochy. „W dziekanacie Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego – zdradza Henryk Ritterman-Abir (1906-1983) – wisiała fotografia, na której widać Taubenschlaga, Mussoliniego i grono uczonych biorących udział w zjeździe naukowym w Rzymie.

Opowiadano, że Taubenschlag został zatrzymany na granicy włoskiej, ponieważ jego papiery — paszport czy wiza — nie były w porządku. Znając świetnie język włoski, zrozpaczony delikwent prosił, aby mu nie robiono trudności, gdyż nazajutrz musi być obecny na inauguracji kongresu naukowego. Na pytanie, czy może się powołać na kogoś, kto by to potwierdził profesor miał odpowiedzieć, że informacji o nim mogą udzielić dwaj dostojnicy: papież i Mussolini. Odpowiedź ta, skwitowana salwą śmiechu, miała ten skutek, że uczonego wsadzono do paki. Ale

144 R. Kaleta, *op. cit*., s. 301-302.

komendant posterunku mimo wszystko połączył się z Rzymem i po kilku godzinach Taubenschlag mógł wyruszyć w dalszą drogę żegnany z całym szacunkiem przez rozbawionych carabinieri”[145].



Stanisław Kutrzeba – „wróg” Taubenschlaga

145 H. Ritterman-Abir, op. cit., 1984, s. 135.

Mniej problemów nastręcza dotarcie do źródeł powstania drugiego tytułu. Otwarty i dość intensywny konflikt Taubenschlaga z Kutrzebą był sprawą powszechnie znaną. „Antagozim ten – pisze dalej R. Kaleta – był ponoć zasadniczą przyczyną, dla której zjadliwy w odniesieniu do swojego uniwersyteckiego kolegi znawca prawa rzymskiego nie został przyjęty w poczet Polskiej Akademii Umiejętności. Kiedy Kutrzeba został wybrany prezesem PAU, jego adwersarz zaczął się odnosić ze szczególną pogardą do tej »prześwietnej« instytucji naukowej i spiekliwszy się, nieraz mawiał, że on, Taubenschlag, »Polską Akademię Umiejętności ma w du(żym poważaniu)«"[146].

Nie zabrakło zaczepek i drobnych złośliwości. Kiedyś Taubenschlag wygłosił wykład na temat historii prawa polskiego, co spowodowało natychmiastową reakcję Kutrzeby:

– Pan wchodzi w moje kompetencje – miał oświadczyć wzburzony historyk prawa.

– Proszę bardzo, niech pan wchodzi w prawo rzymskie – odparł spokojnie Taubenschlag[147].

Pascudea

W latach trzydziestych przez całą Polskę przetoczyła się fala antysemickich wystąpień. To nieprzyjemne zjawisko nie ominęło i wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. W warunkach antysemickiej nagonki i postulatów, by wprowadzić *numerus nullus* dla Żydów, Rafał Taubenschlag znalazł się w dosyć trudnym położeniu. Henryk Ritterman-Abir odrobinę idealizuje, pisząc: „W przeciwieństwie do Wróblewskiego, który zdawał się wyznawać niemiecką zasadę *Warum einfach, wenn etwas auch kompliziert sein kann* (po co upraszczać, skoro można komplikować) Taubenschlag był mistrzem symplifikacji. W jego ujęciu najtrudniejszy problem prawny wydawał się dziecinnie łatwy. Toteż jego wykłady – żywe jasne i przystępne – cieszyły się, podobnie jak jego seminaria, ogromną frekwencją. Nawet w czasie eskalacji antysemityzmu i getta ławkowego na wykładach Taubenschlaga nie było ekscesów i zakłóceń"[148]. Z innych rela-

146 R. Kaleta, *op. cit*., s. 302.

147 Za: R. Tokarczuk, *Antologia anegdoty akademickiej*, Warszawa 2007, s. 203.

148 H. Ritterman-Abir, *op. cit.*, s. 135.

cji wynika wszakże, iż podczas wykładów z prawa rzymskiego narodowi aktywiści urządzali kocią muzykę, a nawet zdarzało im się wyrzucanie studentów-Żydów z auli.



Udało się! Międzynarodowy kongres prawników katolickich w Rzymie. Widoczni od lewej: książę Hohenlohe z Wiednia, prymas Węgier Justynian Seredi, prof. Collinet z Paryża, prof. Rafał Taubenschlag z Polski, rektor papieskiego uniwersytetu w Rzymie ks. Pasquini. Nad stołem prezydialnym portret papieża Piusa XI

Pawłowy przywilej

Sprawa chrztu Rafała Taubenschlaga oraz jego powtórnego małżeństwa do dziś budzi więcej emocji niż na to zasługuje. Faktem jest, że w roku 1938 Taubenchlag został chrześcijaninem. Być może to nieistotne, ale kapłanem, za którego pośrednictwem dokonała się konwersja, był nie mniej znakomity znawca rzymskiego prawa, profesor KUL – ks. Henryk Insadowski (1888-1946).



Ks. Henryk Insadowski, lubelski romanista, który ochrzcił Rafała Taubenschlaga. Lublin, Park Saski, lata 30-te XX wieku

W każdym razie dla studentów wyznań wszelakich zmiana ta nie miała najmniejszego znaczenia. „Taubenschlag – pisze Jan Bielatowicz – przyjął chrzest katolicki w latach trzydziestych i z prawdziwie dziecięcą wiarą wyrażał swoją dumę z odręcznego na tę okoliczność pisma papieskiego. Ale oblewał studentów, żydowskich i chrześcijańskich, także i potem niemiłosiernie. Ha, prawo rzymskie nie przelewki: 316 stron formuł łacińskich na pamięć! To arcyzwięzłe kompendium opracował sam Taubenschlag. Największym zmartwieniem jego życia – czemu nie omieszkiwał wielokrotnie dawać wyraz w czasie wykładów – był skrupuł, że zbyt mało miejsca poświęcił różnym Ulpianom, Gaiusom itp. Nic dziwnego, że 316 stronic formuł łacińskich uważał za absolutne minimum dla przyszłego prawnika, i jednak niezapamiętana linijka zagradzała studentowi drogę na drugi rok studiów”[149].

Bardziej osobistą relację zachował Wacław Zbyszewski: „Kiedyś, na kilka lat przed wojną, zawadziłem o Kraków. Na Plantach było zielono, a na Rynku ciepło i gwarno. Ex-kolega, ongi filar konserwy, potem zajadły sanator, dzisiaj pono czołowy marksista, spotkał mnie na AB i trzymając za guzik, pytał:

– Czy wiesz, że Taubenschlag się wychrzcił, he, he? I że pani Krysia Potocka (wdowa po namiestniku Andrzeju, miała wówczas 70 lat) wraz z Wróblewskim trzymali go do chrztu, hi, hi, hi, ha, ha, ha?

I pamiętam, że ten krakauerski ton taniego dowcipu i wydrwiwania nie spodobał mi się i że choć Taubenschlaga już od lat nie widziałem, odparłem cierpko, wyniośle i oschle:

– Myślę, że Taubenschlag nawrócił się z przekonania, a że Wróblewski i pani Andrzejowa zgodzili się być jego rodzicami chrzestnymi, to tylko dobrze o nich świadczy”[150].

A pewnie. Dobrze świadczy również o profesorze Taubenschlagu, który zdecydował się na osobistości tego formatu. Stanisław Wróblewski (1868-1938), zwany polskim Papinianem, był najznakomitszym wówczas znawcą rzymskiego prawa, a na jego wykłady ściągały tłumy studentów. Każde jego wystąpienie kończyła feeria braw, zgodnie ze zwyczajami panującymi na paryskiej Sorbonie czy *College de France*. Krystyna z Tysz-

149 J. Bielatowicz, *op. cit.*, s. 26.

150 W. Zbyszewski, *op. cit.*, s. 163.

kiewiczów Potocka (1866-1952) była żoną Andrzeja Potockiego, swego czasu namiestnika Galicji (zastąpił na tym stanowisku Leona Pinińskiego). Karolina Lanckorońska (1898-2002) pisała o niej: „Ogromnie mi się ta ciotka podobała. Była śliczną blondyną”[151]. Swego czasu Krystyna Potocka mimowolnie przyczyniła się do uzyskania ogromnego kredytu na rozbudowę Politechniki Lwowskiej. Otóż jej mężowi „(…) wypadł w tym czasie *Hofball*, bal dworski, w którym wypadało mu, przebywając w Wiedniu, uczestniczyć wraz z żoną. Poprosił ją telegraficznie o przywiezienie pełnej biżuterii. Ciocia Krysia posłusznie przyjechała ze sławnymi perłami i brylantami, które kamerdyner w czasie podróży nosił przy niej w walizkach. Przyjechała bardzo niechętnie, nie umiała jednego słowa po niemiecku, a takie wystąpienie było jej obce. Wszystko się bez trudu i wspaniale odbyło. Na drugi dzień ciocia, panna służąca i kamerdyner wrócili do Lwowa. W dwa dni później namiestnik został zaproszony do ministra finansów, który mu oświadczył, że cały kredyt zaprojektowany na sprawę Politechniki Lwowskiej jest do jego dyspozycji. Potocki wrócił do hotelu i kazał sekretarzowi wezwać telefonicznie do siebie kilku wyższych urzędników z różnych ministerstw austriackich, którzy byli Polakami. Namiestnik ich prosił, by jak najprędzej weszli w kontakt z kolegami innych narodowości i zrobili wywiad. Powiedział im, że po różnych wielomiesięcznych walkach o część chociaż kredytu na sprawę Politechniki, nagle dziś otrzymał całą sumę. Po dwóch dniach się dowiedział, że ta ważka decyzja nastąpiła po ukazaniu się cioci Krysi na balu dworskim. »Tak bogatemu człowiekowi niczego odmówić nie wypada«. Biżuty się przydały, namiestnik za nimi wrócił do Lwowa. Sprawa była załatwiona”[152].

Tacy to rodzice chrzestni „trzymali do chrztu” Rafała Taubenschlaga.

„Skandalista”

Wojnę uczony papirolog spędził w Stanach Zjednoczonych, do których dostał się statkiem z Portugalii. Tam oddał się pracy naukowej. Melchior Wańkowicz (1892-1974), omawiając dorobek polskich uczonych w Ameryce, zauważa: „z zakresu historii prawa profesor Taubenschlag,

151 K. Lanckorońska, *Szkice wspomnień*, Warszawa 2005, s. 44.
152 *Ibidem*, s. 45-46.

redaktor »Journal of Juristic Papyrology«, wydał na podstawie źródeł, które odkrył w papirusach, dwa podstawowe w nauce światowej dzieła z dziedziny prawa grecko-rzymskiego w Egipcie”[153].

Po zakończeniu II wojny światowej Rafał Taubeschlag powrócił do kraju i podjął pracę na Uniwersytecie Warszawskim. Czasy były nieciekawe. „W związku z tymi etapami rozwoju społecznego – pisze Marek Korowicz (1903-1964) – historiografia musiała przeprowadzić odpowiedni podział dziejów, czyli ustalić tzw. periodyzację, w każdym poszczególnym kraju, ponieważ poszczególne etapy realizowały się w różnych czasach w różnych państwach. Szereg konferencyji historyków, m.in. historyków prawa, był poświęcony temu problemowi. Tak np. zjazd historyków prawa w r. 1951 w Poznaniu obradował nad tym zawzięcie. Został tam zblamowany stary profesor prawa rzymskiego Rafał Taubenschlag za to, że starał się dowieść, cytując skrypty papirusowe i rozliczne dzieła, iż tzw. kolonat rzymski w pierwszych stuleciach po Chr. był zbliżony do gospodarstw czynszowych okresu kapitalizmu. Dr Bardach [Juliusz Bardach (1914-2010) – M.J.], zastępca profesora Uniw. Warsz., komunistyczny nadzorca katedr historii prawa, wytknął staremu uczonemu nieznajomość podstaw materializmu historycznego, bowiem instytucja kolonatu, praktykowana w państwie niewolniczym, nie mogła przeskoczyć całego etapu feudalnego”[154].



Instytut Papirologii UW. Lata 50-te XX wieku. Od lewej siedzą: Józef Modrzejewski, Henryk Kupiszewski, Cezary Kunderewicz. Z palcem w nosie – mistrz

[153] M. Wańkowicz, *De profundis: Polacy w Ameryce*, Warszawa 1991, s. 168.
[154] M. Korowicz, *W Polsce pod sowieckim jarzmem*, Londyn 1955, s. 119-120.



Rafał Taubenschlag w Instytucie Papirologii UW. Lata 50-te XX wieku

Profesor Taubenschlag nie był jednak z tych, którzy pozwalali sobie w kaszę dmuchać. Janusz Szpotański (1929-2001) zapamiętał inne znamienne wydarzenie: „Nauka radziecka była w owym czasie istną legendą, czymś mitycznym w swoim tytanizmie, jakąś niedościgłą czy niedosiężną dla zwykłych śmiertelników mocą duchową. Nic też dziwnego, że gdy któregoś dnia obwieszczono uroczyście, iż oto z wyżyn naukowego Olimpu zjeżdża do nas, w niskie progi Uniwersytetu Warszawskiego dwóch przedstawicieli nauki radzieckiej, zapanowało niesłychane podniecenie i gorączka przygotowań. (…) Wizytę uczonych radzieckich celebrowano z pompą godną cara Mikołaja I. Najpierw, zanim fizycznie zjawili się na terenie Uniwersytetu, nieomal z godziny na godzinę informowano o ich krokach na polskiej ziemi. (…) Kulminacyjnym punktem wizyty uczonych radzieckich w Warszawie były wykłady, z którymi wystąpili oni na uniwersytecie. Wykłady odbyły się, oczywiście, w jednej z największych sal (w sali Instytutu Historycznego), tak by możliwie największa liczba słuchaczy mogła bezpośrednio czerpać z tej krynicy wiedzy i mądrości” . Jako pierwszy głos zabrał filozof, profesor Konowałow (*sic*!). „Zasadnicza struktura wykładu była jakby żywcem wzięta ze znanych mi już z »Myśli filozoficznej« rozpraw autorów radzieckich. Naprzód więc miażdżąca krytyka wszystkiego, co zachodnie oraz przedrewolucyjne, a następnie dytyramb na cześć filozofii i nauki radzieckiej oraz wszystkiego co rosyjskie w tym zakresie – jako prowadzące dialektycznie do obecnego złotego wieku. (…) Najbardziej jednak znęcał się Konowałow nad św. Augustynem. Obrzucił go, zaiste, lawiną wyzwisk w rodzaju: mrakabies, obsku-

rant, fideista, zatwardziały i przewrotny klecha, degenerat drapujący się w szaty świętoszka, obmierzły zboczeniec (prawdopodobnie sodomita), no, słowem, samo dno i bagno. Przeciwstawił mu czystego, bo wywodzącego się z ludu, Iwanuszkę Duraczoka z Bylin, z jego piękną optymistyczną filozofią, proroczo zapowiadającą obecną etykę marksistowską i opartą na niej moralność nowego człowieka radzieckiego, który świeci przykładem całemu światu. (…) Druga część wykładu prawie całkowicie poświęcona była Łomonosowowi. No, ten Łomonosow – w ujęciu Konowałowa – był dosłownie jakąś gigantyczną figurą. Był to po prostu największy uczony wszechczasów. Czegoż to on nie wymyślił! Poza wszystkimi co ważniejszymi prawami fizyki, wynalazł elektryczność, węgiel kamienny, światło, a nawet zorzę polarną! Mało tego! Już w końcu XVIII wieku skonstruował on samolot, podczas gdy na Zachodzie w tym czasie ledwo co balonem wznoszono się nad ziemię; nic w tym zresztą dziwnego, skoro zajmował się tym ciemny kler w rodzaju księdza Lana czy księdza de Gusmao. (…) Następnie Konowałow przeszedł do tego, jak wredni uczeni zachodnioeuropejscy – zawsze burżuazyjni, bez względu na epokę – okradali naukę i filozofię rosyjską, jak podszywali się pod cudze zasługi, ogłaszając prawa wynalezione przez Rosjan jako swoje. Taki los nie ominął, niestety, i Łomonosowa. Prawo zachowania materii na przykład przypisuje się powszechnie Antoine'owi Lavoisierowi. Tymczasem nic bardziej mylnego. Prawo to faktycznie odkrył Łomonosow"[155].

Ostatecznie wykład skończył się drobnym skandalem. „Gdy Konowałow tak perorował i grzmiał, obwieszczając, jak to było naprawdę, nagle z bocznego miejsca podniósł się jakiś staruszek – nie wiem, czy siłą tam zapędzony, czy też przybyły z własnej woli, wiedziony ciekawością – i donośnym głosem oświadczył: »Ja bardzo przepraszam, ale podobnych bzdur to ja dłużej już słuchać nie mogę!«. Po czym ostentacyjnie opuścił salę, głośno trzaskając drzwiami. Zapanowała grobowa cisza. Konowałow po prostu osłupiał. Wreszcie któryś z »Michcików« z pierwszego rzędu zaczął nerwowo wyjaśniać, iż człowiek ten jest niespełna rozumu, że winni wpuszczenia go na salę zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, a wszystkim jest niezmiernie przykro z powodu tego incydentu. Konowa-

[155] J. Szpotański, *Fragmenty nienapisanej biografii*. Cyt. za: http://www.polskieradio.pl/files/19bc6b26-6b9c-435f-8126-16a794165418.file.

łow podjął wykład. Większość słuchaczy była już jednak myślami gdzie indziej, tym bardziej, że zza drzwi coraz to dochodził donośny i piskliwy głos staruszka, który przed chwilą był opuścił salę, a teraz wykrzykiwał coś niezrozumiale"[156].

Epilog

Rafał Taubenschlag rozstał się z życiem 25 czerwca 1958 roku. Z całego świata do Warszawy spłynęły dziesiątki kondolencji. Wszystkie pisma branżowe zamieściły okolicznościowe wspomnienia i nekrologi. My jednak raz jeszcze oddajmy głos Wacławowi Zbyszewskiemu: „Nie dowiem się nigdy, jaki był powód tego samobójstwa. Nieuleczalna choroba? Samotność? Poczucie czczości życia? Duszenie się w niewoli? Lub może mary krewnych, przyjaciół, współplemieńców, osób drogich i kochanych, wygazowanych w piecach Oświęcimia? Nie wiem, nie dowiem się nigdy. Może zwątpił o tym *Credo*, które kiedyś za Wróblewskim i Andrzejową Potocką powtarzał, może czuł wyrzuty sumienia, że wyrzekł się Wielkiego Zakonu Izraela? Nie wiem – i może nikt nie wie.

I nie wiem także, dlaczego ta śmierć człowieka, tak mi obojętnego, tak zapomnianego, nagle ścisnęła moje wystygłe, zgorzkniałe serce. Czy może majestat śmierci, zawsze tak groźny, nabiera dodatkowej złowrogiej wagi, gdy łączy się z samobójstwem, tym wyzwaniem Boga? Czy może buchnęła mi raz jeszcze w twarz odwieczna prawda, że życie każdego z nas – a więc i moje – jest zagadką, dopóki nie oddamy ostatniego tchnienia? Czy może ponownie, poza banalnym *fait divers*, wyczułem niezrozumiałą tajemnicę duszy żydowskiej, geniusz i przekleństwo Izraela, którego Taubenschlag padł ofiarą? A może – jakby powiedział jakiś nieudolny uczeń Prousta – roztkliwiłem się nad samym sobą i spoza zamglonego oblicza zapomnianego profesora spojrzał na mnie nieznajomy, daleki studencik, szczupły i czarny, i smagły i biedny, i nędzny, ale z ideałami, z wiarą, z entuzjazmem, studencik, któremu podówczas wszyscy do znudzenia przepowiadali wspaniałą przyszłość, wróżyli ogromną karierę…

A teraz ten studencik żywi bezgraniczną pogardę dla życia, dla świata, dla swych zajęć, dla całego swego otoczenia i przede wszystkim dla samego siebie.

---

156 *Ibidem*, s. 25.

I może dlatego, zamiast grudki ziemi na ten daleki, obcy, niepotrzebny grób, niepotrzebne wspomnienie z daleka i z oddali rzuca obcy, daleki przechodzień”[157].

10. ADWOKAT DIABŁA

W dzienniku adresowanym do „zjawy” pod datą 30 września 1940 roku Jerzy Stempowski (1893-1969) odnotował: „Rano ogarnęły mnie gorzkie refleksje na temat położenia moralnego Polski, torturowanej przez Hansa Franka (1900-1946), doktora *honoris causa* uniwersytetu w Rzymie”[158]. Pamiętnikarz popełnił drobną pomyłkę. Wybitne naukowe i organizatorskie osiągnięcia Franka docenił uniwersytet nie w Rzymie, ale w Modenie. Stempowski, co poniekąd zrozumiałe, pominął szereg innych megalomańskich tytułów i godności, którymi szczycił się generalny gubernator. A było ich wiele. W niniejszym szkicu skupimy się nie na pobieżnym prześledzeniu prawniczej kariery Hansa Franka, ale na uchwyceniu jego związków z prawem rzymskim.

Student

W poszukiwaniach prawniczego rodowodu wojennego zbrodniarza, który zawisł w Norymberdze obok dziesięciu swoich kompanów, kluczowe znaczenie ma rok 1919. Wtedy to młody Frank rozpoczął studiowanie prawa i ekonomii na uniwersytecie w Monachium. Nie odczuwał jednak przyjemności wynikającej ze studiowania. „Na co mi uniwersytet, a więc spotkania ignorantów i kompletnych ignorantów, skoro mam w domu Leibniza?” – pytał retorycznie w swoim dzienniku. W innym zaś miejscu wyznawał z rezygnacją: „Przerażające być tak młodym i już we wszystkim skończonym”. Sympatii początkującego studenta nie budziły również sposób bycia profesorskiego grona oraz styl prowadzenia zajęć. Wśród jego zapisków z tamtego okresu zachował się taki: „Kiedy sobie pomyślę, że Kant też przeszedł tę drogę! Czyż to nie cud, że napisał swoją »Krytykę«? Po prostu kocham ich, tych gorliwych, skrzętnych profesorów, którzy po

[157] W. Zbyszewski, *op. cit*., s. 164.
[158] J. Stempowski, *Zapiski dla zjawy*, przeł. J. Zieliński, Warszawa 2004, s. 50.

raz 66 serwują ten sam wykład z nowymi przyprawami". Przeciw uniwersyteckiemu życiu jednak raczej się nie buntował. „Przede wszystkim – czytamy – przypada mi do gustu swoboda studiowania, życzyłbym sobie tylko, aby podczas tych wykładów o zakrzepłych odlewach życia gdzieś za katedrą rozbrzmiewała muzyka"[159].



Hans Frank. Fotografia portretowa

W dniu 27 października 1921 roku, z bliżej nieznanych powodów, Frank przeniósł się na wydział prawoznawstwa i nauki o państwie na uniwersytecie w Kilonii. Tam też w roku 1924, po zdaniu egzaminu końcowego, uzyskał stopień doktorski.

Profesor Max Pappenheim (1860-1934) – ówczesny dziekan wydziału prawa Uniwersytetu Chrystiana Albrechta w Kilonii, wydziału, który już wkrótce miał zasłynąć jako forpoczta nazizmu i „fakultet grup uderzeniowych" (*Stoßtruppfakultät*), był Żydem. Mało tego! Przez krótki czas podczas studiów w Monachium Frank pracował jako wolontariusz

[159] Cyt. za: D. Schenk, *Hans Frank. Biografia generalnego gubernatora*, przeł. K. Jachimczak, Kraków 2009, s. 33.

w katedrze profesora Ersta Rabela (1874-1955), romanisty i komparatysty pochodzenia żydowskiego. Rabel zapamiętał młodego człowieka jako studenta sumiennego i jeszcze po latach wspominał go z sympatią. Frank odpłacił mu zmasowaną kampanią zmierzającą do wyrugowania żydowskich autorów z niemieckiej nauki prawa. Rabel był katolikiem, ale w świetle uchwalonych w roku 1935 ustaw norymberskich nie miało to najmniejszego znaczenia. Został zmuszony do odejścia z uniwersytetu, po czym w roku 1939 udał się na emigrację. Obecnie uchodzi za ojca niemieckiej komparatystyki prawniczej.

Adwokat „ruchu"

„Wyczyny" Hansa Franka po przejęciu władzy przez nazistów, a zwłaszcza podczas II wojny światowej są dobrze znane. Co innego z prawniczymi usługami, które świadczył dla „ruchu" przed rokiem 1933. A trzeba przyznać, że miał co robić. Hitler wielokrotnie był pozywany, ale i sam wytaczał procesy, z reguły związane z ochroną dóbr osobistych. Frank, zauroczony charyzmą wodza, z niejakim podziwem wspominał, że Hitler akceptował przebieg postępowania sądowego (*sic*!), z czego wywodził, że Führer akceptuje prawo.

Problem zadań i czynności wykonywanych przez Franka w tamtym czasie częściowo naświetlił Dieter Schenk (ur. 1937). W biografii generalnego gubernatora zauważa: „Procesy, w których Frank reprezentował Hitlera, przebiegały zazwyczaj według podobnego schematu. Z powodu oszczerstwa lub obrazy Hitlera w prasie, na plakatach lub podczas imprez publicznych adwokat Hans Frank II składał wniosek o wszczęcie postępowania w trybie karnym i z oskarżenia prywatnego, poza tym występował z powództwem o zaniechanie naruszania dóbr osobistych klienta, często w połączeniu z wnioskiem o wydanie zakazu rozpowszechniania głoszonych oszczerstw. We wnioskach pisemnych określał Hitlera jako pisarza. Postępowania rozstrzygano najczęściej na korzyść Hitlera, czasem Frank wnosił o ugodę, gdy zaś chodziło o satyrę polityczną, sąd zwykle odstępował od wymierzenia kary. (…) Do licznych skarg o zniewagę skłoniło Franka II oświadczenie Hitlera, w którym ten ustosunkował się do twierdzenia, że jego matka była »z urodzenia Czeszką, która nie rozumiała ani słowa po niemiecku«. Hitlera pomawiano już o niejedno, wylicza Frank: o niemoralny tryb życia, liczne romanse, sekciarskie orgie,

hulanki, kazirodztwo. Rozumie się, że mówca, który na wyborczym wiecu SPD w roku 1928 wypowiedział zdanie: »Hitler sypia z Żydówką«, nie miał przed sądem żadnych szans"[160].

19. punkt programu NSDAP

„W kolebce cywilizacji zachodniej istniały jednak wartości, przed którymi należy zdjąć kapelusz. Badacze teorii i praktyki faszyzmu słusznie wywodzą, że wspólną cechą rozmaitych jego odmian jest nienawiść do prawa rzymskiego" trafnie zauważa Paweł Jasienica (1909-1970)[161]. Nie inaczej było w Niemczech. W 19. artykule NSDAP znalazł się następujący postulat: „Żądamy zastąpienia prawa rzymskiego, służącego interesom materialistycznego ładu świata, przez niemieckie prawo powszechne". Proweniencja powyższej regulacji nie jest znana. Nie przeszkodziło to wszakże w stworzeniu szeregu jej „dogmatycznych" uzasadnień. W roku 1932 jeden z czołowych reżymowych prawników, Helmut Nicolai (1895-1955), wyjaśniał, że prawo rzymskie, stworzone przez „mieszankę ras i narodów późnego antyku" w żadnym wypadku nie może być wzorem dla prawa niemieckiego[162]. Pisano również, że prawo rzymskie jest tworem „spółki rasowej", w skład której weszły „rasa przednioazjatycka oraz orientalna". Nowe prawo – „nordyczne" – odtąd opierać się miało nie na ustawach, ale na zwyczaju.

Polski działacz narodowy, Karol Stojanowski (1895-1947), obserwując „nowatorskie" tendencje za naszą zachodnią granicą zauważał: „jeśli gdziekolwiek bierze się pióro do ręki, aby spisać prawo, to jest to dowodem, że tam zaniknie rasa nordyczna"[163]. Ulicy to jednak nie obchodziło. Faktem pozostaje natomiast, że dzięki deklaracji powyższej szerokie rzesze szeregowych towarzyszy, na co dzień skupiające się na rozbijaniu szyb w żydowskich sklepach i knajpianych walkach z komunistycznymi bojówkami, dowiedziały się, że w ogóle jakieś prawo rzymskie istnieje.

---

160 D. Schenk, *op. cit*., s. 58-60.

161 P. Jasienica, *Długie, szczęśliwe życie Marka Tulliusza*, [w:] *Tylko o historii*, Warszawa 2009, s. 30.

162 Zob. *Z historii ludności żydowskiej w Polsce i na Śląsku*, red. K. Matwijowski, Katowice 1994, s. 162.

163 Cyt. za: M. Marszał, *Włoski faszyzm* i *niemiecki narodowy socjalizm* w *poglądach ideologów Narodowej Demokracji 1926-1939*, Kolonia Limited 2001, s. 187.

Hitler i prawnicy

Relacje pomiędzy Hitlerem i światem prawniczym były, delikatnie mówiąc, skomplikowane. W roku 1924 skazał przyszłego Führera na pięć lat twierdzy sędzia Georg Neithardt (1871-1941). Proces można uznać za wzorcowy z punktu widzenia sądowego savoir vivre'u. Przewodniczący składu orzekającego zwracał się do poszczególnych oskarżonych per „pan", a czasem nawet (jak w przypadku generała von Ludendorffa) „ekselencjo". „Cóż to za gigant, ten Hitler" mruczał do siebie Neithardt podczas kolejnych rozpraw[164]. Pozwalał gadać Hitlerowi godzinami. Obserwatorzy twierdzili, że jeszcze nigdy sąd nie był tak zgodny z twierdzeniami oskarżonych. Wyrok opiewał wprawdzie na pięć lat twierdzy, ale Hitlera uwolniono przedterminowo już w grudniu 1925 roku.

Wódz nie zachował jednak jurystów we wdzięcznej pamięci. Powszechnie znana była jego niechęć do prawa i prawników. Uważał, że pokolenie wychowane na prawie rzymskim nie potrafi nic poza jałowym dzieleniem włosa na czworo. Jak zauważa Franciszek Ryszka (1924-1998): „Hitler żywił psychopatyczną wprost nienawiść do prawników starej szkoły, wychowanych na tradycji prawa rzymskiego i pozytywistycznym formalizmie cesarstwa. Nienawiść, której dawał często i dobitnie wyraz, przenosiła się na wszystkich »jurystów«, co w oczach Führera równało się niemal obeldze. (…) Spośród żyjących cenił tylko Lammersa i Fricka, natomiast zupełnie nie poważał Hansa Franka"[165].

Identyczny stosunek do prawa zakorzenionego w antycznej tradycji żywił jeden z najbardziej oddanych siepaczy wodza – Heinrich Himmler (1900-1945). „Fanatyczny – pisze Ryszka – ale zwykle opanowany morderca milionów tracił swoje opanowanie, kiedy przyszło mu mówić o tradycjach prawniczych i prawnikach jako gatunku ludzkim. Prawo rzymskie recypowane w średniowieczu było dla niego »schorzeniem toczącym jak rak zdrowe ciało narodu niemieckiego«, wobec czego przebudowa i tworzenie nowego prawa będzie wymagać operacyjnego cięcia lancetem i wtedy zatriumfuje ogólne germańskie poczucie prawa"[166].

W efekcie „recepcję prawa rzymskiego w średniowieczu określano jako niewybaczalną szkodę wyrządzoną Niemcom. Kultura prawnicza XIX wie-

---

164 W. Wesel, *Recht, Unrecht und Gerechtigkeit*, München 2003, s. 31.

165 F. Ryszka, *Państwo stanu wyjątkowego*, Wrocław 1985, s. 378.

166 *Ibidem*, s. 379.

ku, ściślej – pozytywizm identyfikowany z liberalizmem, parlamentaryzmem etc. zostały napiętnowane i potępione. Przywódcy i główni doktrynerzy nazistowscy, a w ślad za nimi wszelacy pomniejsi propagandyści, przecząc wartościom przeszłości, atakowali wywodzący się z niej porządek prawny"[167].

Jak widać, *ius romanum* zajęło więc poczesne, i to bardzo, miejsce w ideologicznym dyskursie nazistów. Kiedy w roku 1934 ukazał się w Pradze antyhitlerowski pamflet, napisany, co ciekawe, przez narodowego socjalistę, znalazło się w nim stwierdzenie, że Hitler, będąc u władzy, i tak niczego nie zmieni. To znaczy utrzyma traktat wersalski, prawo rzymskie, konkordaty z Watykanem, federalistyczną strukturę rządu oraz, co najgorsze, konstytucję Republiki Weimarskiej[168].

Nowe prawo

Problem, skąd wśród deklaracji programowych NSDAP wziął się postulat usunięcia prawa rzymskiego, jest dla niniejszych rozważań mało istotny. Ważniejszy jest fakt, że po dojściu Hitlera do władzy natychmiast zabrano się za wprowadzanie go w życie. Jeden z czołowych nazistowskich teoretyków prawa – Karl Schmitt (1888-1985) pisał na łamach redagowanego przez Franka czasopisma „Deutsches Recht", że prawo rzymskie zmieniło i wygięło charakter rzymskich prawników, a dokonało tego w sposób „najbardziej bezmyślny, najbardziej szkodliwy i najbardziej niebezpieczny". Cechować się ono miało zgubnym normatywizmem, a myślenie normatywistyczne miał w Niemczech zaszczepić „napływowy lud żydowski". To Żydzi, pisał Schmitt, pozbawieni własnego państwa, od wieków kształtowali wśród siebie manierę normatywistycznego myślenia, która pomagała im rządzić się między sobą[169].

Odrzucenie prawa rzymskiego wiązało się nie tylko z odrzuceniem prawa obcego, ale przede wszystkim redefinicją koncepcji prawa własności. Naziści naturalnie utrzymali w mocy § 903 BGB, a także postrzegali własność jako podstawę porządku społecznego. Kodeksowa regulacja głosi: „Właściciel rzeczy, o ile nie sprzeciwia się to ustawie i prawom osób

---

167 *Ibidem*, s. 379-380.

168 G. Strasser, *Sozialistische Revolution oder Faschisticher Krieg*, Prag brw, s. 2, 4-7, 10.

169 C. Schmitt, *Nationalsozialistisches Rechtsdenken*, „Deutsche Recht" 10 (1934), s. 226-227.

trzecich, może rozporządzać rzeczą według własnego uznania, a innych wykluczyć od wszelkich ingerencji". Niemniej nazistowskie rozumienie własności odbiegało od wizji twórców kodeksu. Cechował ich, jak sami tłumaczyli, mniejszy „egoizm" na tym polu.



Nowe porządki. 10 marca 1933 monachijski adwokat żydowskiego pochodzenia, Michael Siegel, jest prowadzony przez ulice miasta pod eskortą uzbrojonych bojówek SA. Człowiek ten idzie boso. Jego spodnie zostały obcięte powyżej kolan. Na tablicy, którą powieszono mu na szyi widnieje napis: „już nigdy więcej nie poskarżę się policji" (*Ich werde mich nie mehr bei der Polizei beschweren*)

„Właśnie rzymska koncepcja własności – wyjaśnia Franciszek Połomski (ur. 1934) – uważana była za najbardziej indywidualistyczną i jej przeciwstawiano germańską ideę, wyrosłą rzekomo na zasadach solidarności i poczuciu wspólnego dobra. Na tym tle karierę zrobiło hasło: *Gemeinnutz geht vor Eigennutz* – »Dobro ogólne przed dobrem jednostki«, które później narodowosocjalistyczna nauka i praktyka prawna podniosły do rangi zasady, nowej klauzuli generalnej. Gdy bezsporne walory prawa rzymskiego uznano za zimne i bezpłodne, jednocześnie proponowano ich zastąpienie »zdrowym odczuciem narodowym« (*das gesunde Volksempfinden*). W nim upatrywano element korygujący, także w sferze oddziaływania prawa własności"[170]. Od tego już tylko krok do rezygnacji z opartej na prawie rzymskim konstrukcji praw podmiotowych oraz osławionej koncepcji „aryzacji własności żydowskiej".

Recepcja mimo woli

Deklarowanemu odrzuceniu prawa rzymskiego towarzyszyła nieustająca fascynacja nazistów antykiem rzymskim. Joseph Gebhard Himmler

[170] F. Połomski, *Prawo własności a tzw. „rozwiązanie kwestii żydowskiej" w Niemczech hitlerowskich*, Wrocław 1991, s. 23.

(1865-1936), ojciec jednego z największych zbrodniarzy wszechczasów, czytał swojemu małemu synowi fragmenty „Wojny żydowskiej" Józefa Flawiusza. Hitler podczas posiłków, które okraszał swymi sławnymi monologami, przywoływał paralele pomiędzy Rzymem i III Rzeszą. Chyba nie bez racji. Wystarczy porównać sposób prowadzenia polityki zagranicznej obu krajów.

Monumentalna nazistowska architektura chciała być nową inkarnacją rzymskich świątyń, pałaców oraz budynków użyteczności publicznej. Hitler pragnął jednak przewyższyć dokonania cesarzy rzymskich na tym polu. Zabudowa miast służyć miała propagandzie z jednej oraz jeszcze ściślejszemu podporządkowaniu sobie społeczeństwa z drugiej strony. Nadworny architekt Hitlera, Albert Speer (1905-1981), doskonale wyczuwał upodobania swojego chlebodawcy. Oddany do użytku w roku 1938 nowy gmach Kancelarii Rzeszy w swojej formie oraz wystroju wyraźnie nawiązuje do koncepcji wypracowanych w starożytności. Wrażenia dopełniały pseudoklasycystyczne rzeźby Arno Brekera (1900-1991).

Ekscentrycznym zamiłowaniom wodza przyszła w sukurs również niemiecka nauka. Rzymski tytuł *princeps* zaczęto kojarzyć z niemieckim *Führer*, a pojęcie „rasy panów" (*Herrenvolk*) używać w stosunku do starożytnych Rzymian. Większość romanistów, których z powodów politycznych lub rasowych nie usunięto z uniwersytetów, aktywnie wsparło nowe „kierunki badań". Dobrym tego przykładem jest praca Burkharda von Bonin zatytułowana „O nordyckiej krwi w prawie rzymskim".

Opinia Hitlera wygłoszona w „Mein Kampf", zgodnie z którą historia starożytna jest najlepszą nauczycielką, stało się powszechną wytyczną w dydaktyce. Kiedy Ronald Syme (1903-1989) opublikował głośną „Rewolucję rzymską", w której ukazał Oktawiana Augusta jako krwawego satrapę, spotkał się z powszechną krytyką niemieckich uczonych. Dowodzili oni, że *pax Romana*, z takim trudem wywalczona przez pierwszego pryncepsa, to „pokój zbrojny". Pokój, którego zdobycie i utrzymanie nie jest możliwe bez rozlewu krwi. Zgadzało się to z nazistowską koncepcją *Friedensordnung*[171].

---

171 K. Zarzycka-Stańczak, *Iterum digna legi. Przybliżenia wergiliańskie*, Lublin 1995, s. 38-40.

W niedługim czasie nastąpiło przejście od słów do czynów. Rzymska *lex talionis* znalazła odbicie w nazistowskich „środkach odpłaty" (*Vergeltungsmassnahmen*), stosowanych głównie wobec ludności cywilnej podbitych narodów. W warunkach wojennych zwykle nawiązywano do starożytności w sposób mało wyrafinowany. Ludwig Hirszfeld (1885-1954), który z oburzeniem wracał pamięcią do tych strasznych czasów, relacjonuje przebieg znamiennego wydarzenia: „Biblioteki lekarzy Żydów ulegają rekwizycji. Nie krępują się z nich korzystać uczeni i lekarze z narodu panów. Przychodzi młody oficer lekarz do doktora Srebrnego, zasłużonego starszego otiatry i bez ceremonii zabiera mu bibliotekę. Doktor Srebrny ogłaszał cenne prace naukowe również i po niemiecku. Wywiązuje się między nimi następująca rozmowa: »Czy to pańskie dzieło?« – pyta lekarz Niemiec. »Tak, pisałem je w czasach, kiedy Niemcy szanowali jeszcze naukę«. »Teraz nastały inne czasy – powiada Niemiec – czy nie słyszał pan, jak żołnierz rzymski zabił Archimedesa?«. Wówczas doktor Srebrny dał odpowiedź jedyną, która wstydem powinna palić każdego Niemca: »Tak, ale nazwisko Archimedesa zna pan i ja, i inni, ale jak się nazywał ów żołnierz rzymski, tego nikt nie wie«"[172].

Prawo rzymskie nie takie złe…

Hitler z trudem tolerował Franka, choć ten stawał wręcz na głowie, by przypodobać się wodzowi. Führer nie zamierzał jednak polubić się z prawnikami nawet wtedy, kiedy Frank ogłosił, że wola wodza stanowi najwyższe prawo, a jego geniusz jest źródłem wszelkiego prawodawstwa. W roku 1936, jako Wódz Prawa Rzeszy (*Reichsrechtsführer*), tłumaczył swoim podwładnym: „Bazą dla interpretacji wszelkich źródeł prawa jest narodowo-socjalistyczna ideologia, a szczególnie to, co zostało wyrażone w programie partii i decyzjach Führera. Jeżeli chodzi o decyzje Führera, wydane w formie ustawy lub dekretu, sędzia nie ma prawa ich kwestionować. Sędzia jest również związany innymi decyzjami Führera, o ile wywołują one przemożne wrażenie chęci ustanowienia prawa"[173]. Mimo swojego przesadnego służalstwa Frank nigdy nie został ministrem spra-

[172] L. Hirszfeld, *Historia jednego życia*, Warszawa 1989, s. 231-232.

[173] *General Introduction*, [w:] *Law under the Swastika. Studies on Legal History in Nazi Germany*, red. M. Stolleis, Chicago 1998, s. 14.

wiedliwości Rzeszy, choć miał na to wielką ochotę. Musiał zadowolić się szeregiem pomniejszych tytułów godności.

Co innego Mussolini (1883-1945). Duce uważał Franka za przyjaciela, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Początek tej zażyłości datuje się na rok 1936, kiedy to Frank, z polecenia Hitlera, przybył do Rzymu, by nawiązać bliższe kontakty z włoskim dyktatorem. Pociągnęło to za sobą ożywioną współpracę niemieckich i włoskich prawników. Tymczasem wśród Włochów prawo rzymskie cieszyło się niezwykle wysoką estymą. Mussolini, na każdym kroku nawiązujący do starożytności klasycznej, wielokrotnie akcentował wielkość i znaczenie prawa rzymskiego. Powtarzał tym samym koncepcje swojego nadwornego ideologa, twórcy koncepcji „rzymskości" (*Romanità*), Pietra de Francisci (1883-1971). De Francisci był znakomitym romanistą, a przy tym wysoko postawionym członkiem włoskiej partii faszystowskiej.

Nic dziwnego, że temperamentni Włosi nie mogli ignorować poglądów na prawo rzymskie głoszonych w Niemczech. Padały niewygodne pytania, z którymi jednak Frank świetnie sobie radził. W roku 1938 podczas spotkania z członkami *Istituto Fascista di Cultura* tłumaczył, że naziści w żadnym wypadku nie starają się pomniejszyć zasług antycznego prawa rzymskiego, a sprzeciwiają się jedynie formalizmowi, który został z niego wyprowadzony w średniowieczu i w epoce nowożytnej.

Oświadczenia tego z zadowoleniem wysłuchał włoski minister sprawiedliwości Arrigo Solmi (1873-1944), który zadeklarował chęć wydania treści przemówienia po włosku i po niemiecku. Znaleźć się w nim miało podkreślenie przywiązania prawa faszystowskiego we Włoszech do prawa rzymskiego oraz zaznaczenie, że nawet prawo nazistowskie w Niemczech czerpie inspirację z prawa rzymskiego.

W pogodnej atmosferze ustalono również, że ataki nazistów przypuszczane na prawo rzymskie nie były wymierzone w antyczne *ius romanum*, ale w pandektystykę. Padło stwierdzenie, że głównymi beneficjentami dorobku myślowego pandektystów stały się ciemne siły kapitalizmu i żydostwa, co z kolei zrodziło przesadzony w swej treści postulat całkowitego odsunięcia prawa rzymskiego[174].

---

[174] A. Solmi, *Le nuove direttive dell diritto*, „Deutsches Recht" 1938, s. 176-177.



Farsa. Doktorat honoris causa wręcza rektor uniwersytetu w Modenie Ruggero Balli. Kwiecień 1940



Fragment wnętrz nowej Kancelarii Rzeszy. Na podłodze widoczna mozaika z motywem swastyki



Arno Breker „Partia". Jedna z rzeźb zdobiących Kancelarię Rzeszy

To jedno z wielu spotkań, w których Frank starał się upudrować swoje poglądy wygłaszane w Niemczech. Trzeba przy tym powiedzieć, że w istocie zasygnalizowane wyżej kontrowersje nie miały większego wpływu na relacje pomiędzy środowiskiem prawników włoskich i niemieckich, nie mówiąc już o politykach.

Król Polski

W roku 1939 wybuchła wojna, w której jako pierwsza po krótkim, aczkolwiek mężnym boju, padła Polska. Dla Hansa Franka zaś rozpoczął się nowy etap życia. Mianowany generalnym gubernatorem buforowego tworu, utworzonego na części ziem przedwojennego państwa polskiego, szybko dał się poznać jako sprawny realizator wytycznych Hitlera. Jego rola w procesach masowej eksterminacji, a także rabunku majątku narodowego oraz dóbr kultury na tych ziemiach była kluczowa. On sam chciał widzieć w sobie króla Polski. Kiedy zażądał kluczy od Wawelu, który wybrał na swoją rezydencję, usłyszał od arcybiskupa Adama Sapiehy: „tylko niech pan nie zapomni ich zwrócić przed wyjazdem".

Generalny Gubernator zlekceważył dobrą radę. Dla realizacji zbrodniczych planów dobrał sobie godnych siebie pomocników. Były więzień obozów koncentracyjnych, Antoni Gładysz (1907-1991), wspominał: „Jacyż byli ci Niemcy? Wcale nie tacy, jakich sobie wyobrażałem w oparciu o tradycyjne podglądy na nich w ich austriackim odcieniu. I nie tacy, jakichby się można spodziewać po wielkiej niemieckiej literaturze i sztuce. I nawet nie tacy, jakich spotykałem w podróżach czy na wycieczkach, zjazdach, bo tamci byli kulturalni, uczciwi, a gdy o niemieckich nauczy-

cielach mowa – serdeczni i koleżeńscy. Ci Niemcy, jacy się u nas zjawili, to była w 90% tępa i zdemoralizowana hołota. A z pozostałej 10% części przeważnie ludzie bez moralnego kręgosłupa.



Kardynał Adam Sapieha

Łatwo to wyjaśnić. Niemiecka literatura, muzyka, nauka, narzucają nam mit, że Niemcy są narodem intelektualistów i estetów. Rzeczywistość wygląda inaczej. (…) Światopogląd nazistowski mógł przyjąć tylko naród o małej ilości ludzi zdolnych do krytycznego myślenia, naród o dużej liczbie półinteligentów czy osób poza dziedziną swej specjalizacji myślowo bezkrytycznych”[175].

„Oczywiście – pisze ten sam autor – nie mogło być mowy ani o moralności w sensie chrześcijańskim, ani o moralności w sensie rzym-

[175] A. Gładysz, *Piekło na ziemi. Wspomnienia z lat 1939-1945*, t. I, Doylestown 1972, s. 56.

skiego prawa. Mniejsza o to, że pojęcia etyczne całej europejskiej cywilizacji wspierały się jakby na dwóch filarach – na chrześcijańskiej dekalogii, obowiązku miłości bliźniego itd. i po drugie na klasycznych pojęciach o sprawiedliwości i umiarze, o dobru, prawdzie i pięknie. Nazizm stworzył dla siebie własną etykę opartą o zasadę, że dobrem jest wszystko, co jest dla Niemców pożyteczne, a złym jest to, co jest dla Niemiec szkodliwe i zastąpił prawo rzymskie nowym prawem opartym o tę właśnie zasadę i nawiązując bezpośrednio do tradycji plemion germańskich z czasów nim zetknęły się z cywilizacją. (…) Hitleryzm trwał zbyt krótko, by mógł do wybuchu wojny przekształcić wszystkich Niemców w krwiożercze bestie, ale trwał jednak dość długo, by wyhodować sobie sporą armię siepaczy”[176].



Hans Frank przemawia w ośrodku szkoleniowym NSDAP do kierowników NSDAP i sędziów najwyższego sądu niemieckiego w Krakowie. Marzec 1944

W obliczu szubienicy

Arcybiskup Sapieha trafnie przewidział przyszły rozwój wypadków. Wszystko ma swój kres. Aresztowany przez Amerykanów 4 maja 1945 roku, Hans Frank został oskarżony przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości.

Czekając na proces w norymberskiej celi, nie tylko dokonał spektakularnego nawrócenia na katolicyzm, ale również zaczął prowadzić notatki, które w roku 1953 jego żona wydała pod znaczącym tytułem „W obliczu szubienicy” (*Im Angesicht des Galens*)[177].

---

176 *Ibidem*, s. 58, 60.

177 H. Frank, *Im Angesichts des Galens*, München 1953.



Koniec. Zwłoki Hansa Franka po wykonaniu wyroku

Trafne podsumowanie jej treści natychmiast znalazło się na łamach paryskiej „Kultury": „Hans Frank należy do owego drobnomieszczaństwa niemieckiego, które burżuazja przemysłowa sploretaryzowała w okresie inflacji, zdemoralizowała i wpędziła w rozpacz. Frank otrzymał wykształcenie prawnicze, a gdy Piefke ma fach, utożsamia się z nim. Próbuje więc Frank występować wobec Hitlera jako obrońca prawa, a w szczególności prawa rzymskiego. Ale daje się ofuknąć bez żalu, choć gryzie go, że Führer nie szanuje jego idiosynkrazji zawodowej. Bo Hitler, to jest co prawda »wysłannik piekieł« (eksterminacja Żydów jest niewybaczalna), ale równocześnie był on namaszczonym wodzem narodu i byłby nim pozostał, gdyby umarł w r. 1937. (…) Czym dla Napoleona były piramidy, czym dla Hitlera grobowiec pod kopułą Inwalidów, tym dla Hansa Franka był Wawel. »Nie łatwo być w Polsce królem« powie mu dr Cybichowski przed grobowcem Jagiellończyka. Notując te słowa, Frank odsłoni zarazem swoją megalomanię i swój kompleks niższości. Bo Wawel uświadomił Frankowi, że nie był w Krakowie na swoim miejscu. W Norymberdze zrozumie, że miejsce to jest na szubienicy i będzie mu się wydawało, że godząc się ze swoim losem, dokonywa aktu bohaterskiej pokory. Włoży głowę w pętlę z błogim uczuciem, że wchodzi w Królestwo Niebieskie, a równocześnie wznosi sobie pomnik ze spiżu"[178].

[178] J.U., *Niemcy a rewolucja przemysłowa*, „Kultura" 9.71 (1953), s. 129.

Podsumowanie

Wstrząsającym *résumé* dla rozważań na temat nazistowskiej koncepcji prawa, którą Frank tak ochoczo wcielał w życie na ziemiach polskich, niech będzie fragment poruszającego opowiadania Kornela Filipowicza (1913-1990), zatytułowanego „Gutman albo ostatnia przed wakacjami lekcja języka niemieckiego". Żeby nie było wątpliwości: „W opowiadaniu o Gutmanie wszystko jest prawdziwe, nawet jego nazwisko. Mógłbym je łatwo zmienić i wymyślić inne, na przykład »Kleinmann« albo »Grossmann«, może byłoby zabawniejsze – ale po co? To, co opisuję, działo się pół wieku temu w pewnym niedużym, ale naprawdę istniejącym mieście".



Le droit romain n'est plus. Odbieranie dobytku przybyłym na Majdanek połączone z selekcją

Kto chce dowiedzieć się, cóż takiego wydarzyło się w powiatowym mieście, musi sięgnąć po książkę. Dla rozważań niniejszych kluczowe znaczenie ma niezwiązana z głównym wątkiem inwokacja autora: „Zygfrydzie Gutmanie, gdzie jesteś, czy tylko w moich wspomnieniach? Ktoś opowiadał mi, że twój ojciec był zdania, że prawo niemieckie, oparte bądź co bądź o prawo rzymskie, będzie bardzo surowe, ale w swojej surowości sprawiedliwe, i postanowił nigdzie nie uciekać. Życie w tym mieście będzie ciężkie, bardzo ciężkie, ale zawsze lepsze od poniewierki – miał powiedzieć. Podobno jednak któregoś zimowego ranka musiałeś wsiąść z rodzicami do pociągu jadącego do obozu pracy. Twoja matka przygotowała na pewno do tej podróży wszystko jak należy. Ciepłe ubrania, bieliznę, skarpetki, jestem przekonany, że nie zapomniała nawet włożyć do walizki podręcznej apteczki. Byłeś wprawdzie już dorosłym mężczy-

zną, po magisterium, na praktyce adwokackiej i parę razy, w drobnych sprawach, zastępowałeś już w sądzie obrońcę – ale zdrowie miałeś zawsze wątłe. Marzłeś i łatwo się przeziębiałeś"[179].

11. INNY ŚWIAT. PRAWO RZYMSKIE A STALINOWSKA ROSJA

Śmieszne są doprawdy twierdzenia, zgodnie z którymi elementy prawa rzymskiego odnaleźć można nawet w tak egzotycznych systemach, jak prawo sowieckie. Być może ta czy inna sowiecka instytucja prawna koresponduje z grubsza z koncepcjami XIX-wiecznych teoretyków prawa, a w konsekwencji „od bidy" jej genezy można doszukiwać się jeszcze w prawie rzymskim. Nie o to jednak chodzi. „Tak i prawo rzymskie jednem z najznakomitszych zjawisk prawodawczych jest i pozostanie i rozważanie jego zasad i kolei będzie zawsze niezbędne do dopełnienia tego, co dla ukształcenia statysty jest potrzebne. Lecz zastosowanie nie z litery, lecz z ducha w ogóle uważanego… powinny być czynione" – powiada hrabia Aleksander Wielopolski (1803-1877)[180]. No właśnie. Tego ducha w sowieckiej Rosji nie było nigdy.

W Nibylandii

Z przemyśleniami Wielopolskiego najwyraźniej nie zapoznał się nasz rodak – profesor Henryk Rot (1926-1995), który w rozprawie „Problemy kodyfikacji prawa w PRL" z rozczulającą naiwnością (stosujemy tu naturalnie *praesumptio boni viri*) wyjaśnia: „Gdy się jednak patrzy na zmiany w prawie socjalistycznym z szerszej perspektywy historyczno-porównawczej, wówczas dostrzega się elementy pewnej ciągłości tradycji kultury prawnej, z którą kodyfikacja socjalistyczna nie zrywa. Jest rzeczą charakterystyczną, że stanowczo przeciwny pogląd wypowiadają skrajni wrogowie socjalizmu, których zdaniem nie ma żadnego związku między »wielką prawną tradycją cywilizacji światowej« a porządkiem prawnym panującym w ZSRR. Natomiast trzeźwiej myślący prawnicy zachodni

179 K. Filipowicz, *Kot w mokrej trawie*, Kraków 1977, s. 40.

180 Cyt. za: A.M. Skałkowski, *Aleksander Wielopolski w świetle archiwów rodzinnych*, t. I, Poznań 1947, s. 200.

dostrzegają pewne nawiązanie nowych aktów prawnych, w tym aktów kodyfikacyjnych, do tradycji ogólnoludzkiej odzwierciedlonej m.in. w przedrewolucyjnych kodeksach. (…) Bez zbędnych emocji powiedzmy, że w tym zakresie, w jakim prawo radzieckie przejęło pewne konstrukcje prawne dawnej Rosji, znalazły się w nim określone elementy prawa bizantyjskiego, a więc w istocie prawa rzymskiego; doszły tu jeszcze takie elementy współczesnego prawa europejskiego, jak prymat ustawy, wyodrębnienie organizacyjne i niezawisłość sądu, podstawowe prawa i wolności obywatelskie, zaś równościowe przesłanki ideologiczne rewolucji socjalistycznej uwzględniły najlepsze idee całej kultury europejskiej"[181].

Relacja „z pierwszej ręki"

Oddajmy głos „skrajnym wrogom socjalizmu". Mało znana książka, po raz pierwszy wydana „gdzieś we Włoszech" w roku 1945 (jakimś cudem przecisnęła się przez sito brytyjskiej cenzury…), a napisana przez Kazimierza Zamorskiego (1914-2000) oraz Stanisława Starzewskiego, to prawdziwa uczta dla poszukiwaczy wartości prawa rzymskiego we współczesnym świecie. Obaj autorzy mieli wątpliwą przyjemność zakosztować rozkoszy sowieckiego raju. Przygotowując pracę do druku, zebrali również szereg świadectw innych osób, które przeszły przez to samo piekło, co oni. W eseju niniejszym nie da się streścić całości, która zaprawdę jest godna poznania. Dlatego zaprezentowane zostaną jedynie nieliczne, wybrane fragmenty poświęcone tradycji prawa rzymskiego oraz formom jej odrzucenia przez sowiecką Rosję.

Na Zachodzie, piszą autorzy, „utrwalenie się zasady niezależności wymiaru sprawiedliwości od czynnika rządzącego dokonało się na drodze walki z doktryną o zwierzchności władzy panującego nad tym wymiarem, która to doktryna jest zresztą istotną cechą prawa rzymskiego. Tę walkę prowadzono w imię praw indywidualnych albo społecznych prowadzonych przez stany"[182]. Dalej czytamy o fundamentach państwa prawa, na które składają się między innymi zasady: *ne bis in idem*, *lex retro non agit*, *nullum crimen sine lege* czy *nulla poena sine lege*.

---

181 H. Rot, *Problemy kodyfikacji prawa w PRL*, Wrocław 1978, s. 38-39.

182 K. Zamorski, S. Starzewski, *Sprawiedliwość sowiecka*, Warszawa 1994, s. 25.

Tymczasem „Rosja sowiecka nie oparła swej sprawiedliwości na zasadach i technice prawa rzymskiego i zerwała ze światopoglądem wyrażającym się w kulcie wartości obiektywnych, niezależnych od interesów czy wartościowań poszczególnych jednostek. Dlatego sprawiedliwość sowiecka nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością niezależną i nie stawia sobie za cel wykrycia obiektywnej prawdy. W klasycznym traktacie »Państwo a rewolucja«, wydanym w 1918 roku, Lenin wprowadził, pilnie przez teorię i praktykę sądowniczą przestrzeganą, zasadę podziału obywateli na dwie kategorie: lud i wrogowie ludu. Stąd też państwo ma być »demokratyczne w nowym sensie (dla proletariatu i w ogóle biednych) i dyktatorskie w nowym sensie – przeciwko burżuazji«. Toteż pierwsze pytanie sądu sowieckiego czy też oficera NKWD, działającego z ramienia prokuratury, dotyczy pochodzenia podsądnego. Z tego właśnie dualizmu wypływa terrorystyczny charakter sowieckiej sprawiedliwości”[183].



Proces kułaków. Rok 1927

Dwa słowa na temat procedury karnej: „Jeżeli chodzi o śledztwo, to uderzająca jest prymitywna jego metoda. Dowody są zbierane przede wszystkim u samego podejrzanego, który, nawiasem mówiąc, jest traktowany, jakby już był skazany. Dowody z okoliczności zewnętrznych, a więc świadków, dowodów materialnych itp. z reguły nie są brane pod uwagę. Chodzi tylko o przyznanie się do winy, które w nowoczesnych syste-

183 *Ibidem*, s. 29.

mach karnych samo przez się nie ma znaczenia, o ile nie jest materialnie potwierdzone w okolicznościach zewnętrznych.

Do osiągnięcia przyznania urzędnik prowadzący śledztwo dąży wszelkimi sposobami: podstępem, terrorem (karcer w zimnej piwnicy z wodą), biciem, torturami najbardziej wyrafinowanymi fizycznie i moralnie, doprowadzeniem do osłabienia woli wszelkimi sposobami, jak osamotnienie przez szereg dni, badanie z reguły w godzinach nocnych, umyślne budzenie kilka razy w nocy na śledztwo po to, by po raz setny postawić to samo pytanie, »czy przyznajesz się, że jesteś szpiegiem?« – Rosja choruje na kompleks szpiegowski.



„Sowiecki sąd – sąd narodu!". Plakat propagandowy

Zanim przywykłem do tego systemu, nie mogłem pogodzić się z tym, że nie chciano ze mną mówić o świadkach na moją obronę, tzw. u nas świadkach odwodowych. Wydawało mi się to pogwałceniem kardynalnej zasady procesowej państw nowoczesnych, traktującej o obowiązku wzięcia pod uwagę wszystkich okoliczności przemawiających tak przeciwko, jak i na korzyść oskarżonego. O rzymskiej zasadzie *in dubio pro reo* – w wypadku wątpliwości rozstrzyga się na korzyść oskarżonego, nawet marzyć nie można. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa obrony swoich praw wobec sądu.

Po sześciokrotnym podpisaniu protokołu o zakończeniu śledztwa (w każdej nowej miejscowości, do której mnie przenoszono, rozpoczynało się nowe śledztwo) oczekiwałem wyroku, a ponieważ mówiono mi, że

przysługuje oskarżonemu prawo korzystania z państwowego adwokata, zwróciłem się do naczelnika więzienia o skomunikowanie mnie z adwokatem, na co otrzymałem odpowiedź: »po wyroku«"[184]. I tak dalej, i tak dalej…

Inny przykład. 22 grudnia 1948 roku chińska milicja aresztowała w Mandżurii członków misji katolickiej, a wśród nich Józefa Hermanowicza (1890-1978), marianina, nauczyciela miejscowego katolickiego liceum. Po przekazaniu zatrzymanych w ręce NKWD, postawiono im zarzuty członkostwa w terrorystycznej organizacji i szpiegostwa na rzecz Watykanu. Podczas pobytu w więzieniu jeden z jego towarzyszy niedoli zapytał go: „Dużo w więzieniu przemyślałem. Ludzkość przez dwa tysiące lat szanowała prawo rzymskie, które weszło do kultury całego świata. A my mamy możność żyć w kraju w całej pełni swobodnym. I ja właśnie w tym »wolnym i sprawiedliwym« państwie przy pierwszym mym spotkaniu ze śledczym usłyszałem od niego: – »Ty, taka twoja. . .« – Proszę mi powiedzieć, jak pogodzić jedno z drugim?". „Nie znalazłem na to żadnej odpowiedzi – pisze Hermanowicz – bo nam obu było wstyd" [185].



Łagiernicy

[184] *Ibidem*.

[185] J. Hermanowicz, *Chiny, Sybir, Moskwa. Wspomnienia misjonarza z łagrów sowieckich*, Londyn 1966, s. 49.

„Dziewięć gramów w kark"

System był jednakowo nieludzki zarówno dla obcych, jak i dla swoich. Razumnik Wasiliewicz Iwanow (1878-1946), krytyk literacki i socjolog, przeciwnik caratu, związany w młodości z nurtem eserowców, obok milionów jego rodaków, doświadczył tego na własnej skórze. Wspominając swoje życie w Rosji po rewolucji, pisał: „Nie tknięto mnie w ciągu następnych piętnastu lat i pozwolono mi kontynuować pracę literacką, choć w warunkach dalekich od swobody. Lecz przypatrując się temu, co się działo dookoła, nie wierzyłem nigdy w trwałość mego domu zbudowanego na piasku"[186]. Dom runął w roku 1933, w którym nastąpiło pierwsze aresztowanie pisarza. Rok 1937 przyniósł następne. Iwanow zapisał przebieg jednej z wielu rozmów toczonych z sędzią śledczym Szeptałowem. Ta przeprowadzona została w roku 1938 na moskiewskiej Łubiance:

– Państwo powinno karać ludzi za to, co robią, a nie za to, co myślą. Prawo rzymskie głosiło, że *cogitationis nemo patitur*.

– Cóż to znaczy?

– Znaczy to, że myśli nie są karalne. Juryści rzymscy ustalili tę zasadę przed dwoma tysiącami lat.

– Byli z pewnością niespełna rozumu – odparł ze szczerym osłupieniem Szeptałow[187].

Bolszewicka Rosja na każdym kroku podkreślała nowatorstwo i niepowtarzalność wypracowanych przez siebie instytucji prawnych. Prawo rzymskie odrzucano jako system sankcjonujący niewolnictwo i krwawy wyzysk. Nikt nie chciał lub może raczej nie był w stanie zrozumieć jak złożoną ewolucję prawo rzymskie przeszło od momentu upadku cesarstwa zachodniorzymskiego i jak doniosłą rolę odegrało ono na przestrzeni wieków w procesie kształtowania się nowoczesnej Europy. „Oczywiście – pisze Stanisław Cat Mackiewicz (1896-1966) – prawo nowoczesne realizuje zasadę równości człowieka wobec prawa, a prawo rzymskie godziło się z pojęciem niewolnika. Ale to są zagadnienia prawa materialnego, które się zmienia zgodnie z nowymi warunkami życia społecznego, natomiast prawo formalne jest przez nas przejęte od Rzymian w całości. Takie zasady, jak: »prawo nie działa wstecz« i inne podobne są nadal podstawą

---

186 Cyt. za: G. Herling-Grudziński, *Upiory rewolucji*, Lublin 1999, s. 27.

187 Cyt. za: *ibidem*, s. 32.

myślenia prawniczego i do takich zasad od czasów rzymskich nic prawie nowego nie dodaliśmy”[188].



Aleksander Sołżenicyn. Fotografia wykonana krótko po aresztowaniu

Interesujące przemyślenia na temat sowieckiego systemu prawnego miał Aleksander Isajewicz Sołżenicyn (1918-2008). W bazującym na osobistych doświadczeniach trzytomowym traktacie „Archipelag GUŁag”, pisał: „Ograniczeni Rzymianie wymyślili formułkę: »prawo nie działa wstecz«. A u nas – działa! Stare reakcyjne przysłowie głosi – »Prawo nie chodzi rakiem«. A u nas – chodzi! Jeśli wyszła nowa ustawa, a prawo świerzbi ręka, by zastosować ją do tych, co już dawno w kozie siedzą – to dlaczego nie, prosimy bardzo! Tak się stało z waluciarzami i łapownikami: posłano z terenu (np. z Kijowa) ich spisy do Moskwy, z prośbą, by zaznaczyć na liście do kogo z wymienionych zastosować wolno ustawę *a posteriori* (tzn. zwiększyć szpulę albo zamienić na dziewięć gramów)[189].

---

188 S. Mackiewicz, *Europa in fragranti*, Warszawa 1965, s. 36.

189 A.J. Sołżenicyn, *Archipelag GUŁag, 1918-1956: próba analizy literackiej*, t. III, przeł. M. Kaniowski, Paryż 1974, s. 527.

Drobne wyjaśnienie: „»dziewięć gramów w kark« czy »ćwiartka«, to oznacza dwadzieścia pięć lat – ćwierć wieku życia”[190].

Dawać Augustyna!

Z Sołżenicynem wiąże się pewna tragikomiczna anegdota. Otóż największą grozę budził wśród podsądnych art. 58 sowieckiego kodeksu karnego, szalenie niespójny i dający szerokie pole do swobodnej interpretacji, a traktujący o kontrrewolucji. Oto jego treść: „Za kontrrewolucyjny uznaje się każdy czyn zmierzający do obalenia, podważenia lub osłabienia władzy rad robotniczo-włościańskich i wybranych przez nie na podstawie konstytucji Związku S.R.R. i konstytucji republik związkowych, rządów robotniczo-włościańskich Związku S.R.R., związkowych i autonomicznych republik, lub do podważenia albo osłabienia bezpieczeństwa zewnętrznego Związku S.R.R. i podstawowych gospodarczych, politycznych i narodowych zdobyczy rewolucji proletariackiej. Z mocy międzynarodowej solidarności interesów wszystkich pracujących takież czyny uznane są za kontrrewolucyjne również wtedy, gdy są one skierowane przeciw każdemu innemu państwu pracujących, chociażby i nie wchodzącemu do Związku S.R.R.”[191].

Artykuł budził grozę, gdyż każdy wiedział, że to on właśnie pewnego dnia może zostać pociągnięty do odpowiedzialności na jego podstawie. „Aby rozstrzelać popa, wystarczy, jeżeli u niego znajdzie się trochę monet z carskim stemplem, lub na strychu zapomnianą chorągiew o barwach narodowych rosyjskich, albo ikona z napisem, w którym wspomniany był cesarz. Wszystkie tego rodzaju przedmioty, oczywiście przez przypadek, przez zapomnienie, mogą się znaleźć u każdego w mieszkaniu”[192].

Sołżenicyn, zapoznawszy się z treścią artykułu, miał wykrzyknąć: „Ależ dajcie mi tu świętego Augustyna, a też mu ten artykuł przypnę!”.

Antypody

W latach trzydziestych, podczas kurtuazyjnej wizyty w Związku Sowieckim, pobieżnie z działaniem sowieckiego sądownictwa zapoznał

---

190 *Ibidem*, t. I, s. 22.

191 Cyt. za: K. Zamorski, S. Starzewski, *op.cit*., s. 31.

192 S. Mackiewicz, *Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów*, Poznań 1990, s. 46.

się Antoni Słonimski (1895-1976). Jego wnioski nie odbiegają zbytnio od tego, co już wiemy: „W sądzie sowieckim można się spotkać z wiele znaczącą egidą: »Sąd służy obronie interesów proletariatu«. Temida sowiecka nie jest ślepa. Ma ona otwarte jedno oko. Oko lewe. Pochodzenie klasowe stron ma wpływ na wyrok sądu. (…) Po brudnym gmachu włóczą się zastraszone chłopki z dziećmi przy piersiach, na ławkach w korytarzach wysiadują godzinami jacyś senni ludzie. (…) Czas czekających nie ma tu dla nikogo znaczenia. Kłopoty czy cierpienia jednostki nie mają prawdziwej wagi. (…) Teraz upiorem jest znudzony urzędnik. Widziałem takiego sędziego z papierosem w ustach na sprawie bandyckiej. Znając już drogę do sądu, wybrałem się tam sam i trafiłem na rozprawę przeciw trzem młodym chłopcom oskarżonym o napad na »kułaka«. Sala, w której odbywała się rozprawa, miała wygląd bardzo swoisty. Na czymś w rodzaju estrady stał fortepian. Na ścianach wisiały portrety Lenina i Stalina. Sala była ozdobiona czerwonymi afiszami, festonami z czerwonej bibułki i lampionami. Widocznie wieczorem służyła za pokój klubowy albo też były to resztki po partyjnym zebraniu. Zarówno sędzia, jak i oskarżeni, i konwój palili papierosy. Żołnierze z bagnetami dozorujący oskarżonych skręcali sobie papierosy, używając zamiast bibułki kartek z książki. (…) Sądy sowieckie są łagodne wobec urodzonych przestępców. Wobec ludzi urodzonych w środowisku burżuazyjnym są nieubłagane. Przestępstwo wobec państwa jest dowodem nieuleczalnej zbrodniczości. Miałoby się ochotę popatrzeć z bliska w zimne, niebieskie oczy takich sędziów z Łubianki. (…) W oczach tych sędziów, lękam się, znaleźć można nie okrucieństwo zwierzęce, ale coś gorszego: człowieczą nudę”[193]. Słonimski, kiedy pisał te słowa, nie wiedział, o co prosi. Później z pewnością niejednokrotnie dziękował losowi, że życzenie to się nie spełniło.

W oczy sowieckich sędziów miał okazję spojrzeć Stanisław Vincenz (1888-1971), aresztowany przez NKWD jesienią 1939 roku. W swoich późniejszych pismach nie tyle skarżył się on jednak na sowiecki system, ile z nutką nostalgii wracał do tego, czego był świadkiem zanim przyszli oswobodziciele z czerwonymi gwiazdami na hełmach. I tak w eseju zatytułowanym „Kłopoty z sądami” pisał: „Sędziowie drugiej połowy XIX w. w naszym kraju byli to ludzie, których łatwiej opisać zbiorowo

[193] A. Słonimski, *Moja podróż do Rosji*, Łomianki 2007, s. 107, 109-110.

niż każdego poszczególnie, coś tak, jak członków zbytnio »wyrasowanej« rodziny. Byli nieprzejednani wobec wszelkiej ciemnoty i nieokrzesania, a jedyną ich słabością było zamiłowanie do wyrafinowania prawniczego, nieraz na iście naukowym poziomie. Toteż jedynym zabiegiem, którym adwokat zastępujący podsądnych mógł ująć i niejako przekupić sędziego, były uczone wskazówki, cięcia szermierskie, czerpanie nie tylko z paragrafów, z nowel prawnych, lecz zatrącające także o subtelne definicje, o intencje prawodawcy, o liczne komentarze, do tego stopnia, jak gdyby posiedzenia sądowe powtarzały fechtunki komentatorów. Dlatego zatłoczone chłopami sale rozpraw w Gródku Jagiellońskim, w Krakowcu pod Lwowem, w Kosowie czy w Kutach, a nawet w Żabiem i w Peczeniżynie, przemieniały się nierzadko, nawet z powodu dosyć błahych pozwów i skarg, w seminaria prawnicze, a błyski wielkich prawników i szkół, od Ulpiana poprzez pandekty aż do mistrza precyzyjnych definicji profesora Wlassaka, rozświecały atmosferę zagęszczoną dymem fajkowym, jakby rozpylały zaduch baranich kożuchów i siarkowych zapałek, zwanych grekokatolickimi.

Podkładem sądu było nie wyczucie, lecz świadomość umotywowana, cały aparat wyrazistych dokumentów i reguł, dostępnych dla każdego, kto światły; zaś czynne były reguły fechtunku, szabla przeciw szabli, szpada przeciw szpadzie, to znaczy: definicja przeciw definicji, paragraf przeciw paragrafowi, komentarz przeciw komentarzowi i świadkowie przeciw świadkom. (…) Poza tym sędziowie, mimo że tworzyli pewną osobliwie światłą kastę, pochodzili z różnych klas. Jeśli do jakiej klasy należeli – to do spadkobierców prawa rzymskiego. Wspólny jasny język, wyraźne reguły gry i walki były ich klasą. Bezsprzecznie troszczyli się o sprawiedliwy interes podsądnych, lecz w ich oczach niszczył się sam taki podsądny, który siebie samego zaniedbywał przez brak świadomości prawnej”[194].

Przyjmując powyższą perspektywę, lepiej rozumiemy Stanisława Cata Mackiewicza (1896-1966), który podczas swojej podróży po Rosji sowieckiej w roku 1931 zanotował: „Na przystanku Kołosowo, między Stołpcami a Niegorełoje stoi pociąg. Zardzewiała brama żelazna nad torem rzuca zardzewiałe żelazne słowa: »Pozdrowienie pracującym zachodu«. Do wagonu wsiada

[194] S. Vincenz, *Na wysokiej połoninie. Nowe czasy*. Księga druga. *Listy z nieba*, Sejny 2004, s. 461.

czterech gepistów (G.P.U.), w czapkach filcowych, zakończonych ostro ku górze. Coś jest w tych czapkach z tajemnic Tybetu, coś ze snów o okrucieństwie Iwana Groźnego. Szynele do kostek. Wchodzą jako wierna straż rewolucji. Tam po naszej stronie stała tablica schowana w zielonych krzakach, na białem tle głosił amarantowy napis: »Niech żyje Rzeczpospolita Polska«.

Uważam to za niezręczność z naszej strony. Napis tego rodzaju pomniejsza i nasze znaczenie, i rolę tej granicy, której pilnujemy. Na uniwersalizm sowiecki odpowiadamy hasłem, które posiada znaczenie tylko dla nas, obywateli polskich. Jakbyśmy tyko dla nas pilnowali tej granicy. Dlatego proponuję białą tablicę z krzaków usunąć, a równie śmiało, jak bolszewicy, przerzucić przez tor kolejowy bramę z winogron – jako symbol dostatku, jako przeciwieństwo tej koszmarnej nędzy, która panuje w państwie socjalistycznem. Na bramie tej umieścić słowa: »U nas zaczyna się swobodne życie swobodnego człowieka«"[195].

Dwa światy. Po roku 1939 pokolenie sędziów, wychowane na pandektach i definicjach romanisty Moriza Wlassaka (1854-1939), zostało osądzone i skazane przez pokolenie sędziów proletariackich, wychowanych na doktrynie Lenina i Stalina. Do tego pokolenia sędziów „wierzących" w prawo rzymskie strzelano w Katyniu.

Daleka analogia

Radziecki cywilista Siergiej Bratuś (1904-1997) pisał, że „komuniści są prawowitymi spadkobiercami wszystkich naukowych, kulturalnych i innych osiągnięć, zdobytych przez ludzkość w ciągu wielowiekowego rozwoju"[196], a wzmiankowany już wyżej profesor Rot dzielnie mu basuje w słowach: „jeśli więc trzymać się przedstawionej wyżej perspektywy oceniającej prawo socjalistyczne jako część kultury narodowej i ogólnoludzkiej, wówczas można stwierdzić pewne *continuum* od prawa ukształtowanego w odległych czasach (np. prawo rzymskie)"[197]. Zaciekłe zaprzeczanie tezom, że i w prawie sowieckim znaleźć można analogie z prawem

---

195 S. Mackiewicz, *Myśl w obcęgach*, *op. cit*., s. 55.

196 S.W. Bratuś, *Priedmiet i sistema sowietskogo graždanskogo prawa*, Moskwa 1963, s. 179-180.

197 H. Rot, *Dialektyka tradycji i innowacji w prawie socjalistycznym (uwagi metodologiczne),* [w:] *Tradycja i innowacja w prawie socjalistycznym*, red. H. Rot, Wrocław 1984, s. 10.

rzymskim, byłoby w istocie przejawem zadufania i zbytniej pewności siebie. Te analogie przecież są. Ot, weźmy chociażby pamiętniki noblisty – Iwana Bunina (1870-1953). Znalazła się tam następująca notatka:

„Z gazety »Russkoje słowo«:

Tambowscy chłopi ze wsi Pokrowskoje sporządzili protokół:

»30 stycznia my, społeczność gminy, ścigaliśmy dwóch złodziei, obywateli naszych – Nikitę Aleksandrowicza Bułkina i Adriana Aleksandrowicza Kudinowa. Według postanowienia naszej gminy zostali oni osądzeni i w tejże samej chwili zabici«.

»Społeczność« ta opracowała także oryginalne postanowienie o karach za przestępstwa:

– Jeśli ktoś kogoś uderzy, to poszkodowany powinien sprawcę krzywdy uderzyć dziesięć razy.

– Jeśli ktoś kogoś uderzy ze zranieniem lub ze złamaniem kości, to sprawcę pozbawić życia.

– Jeśli ktoś dopuści się kradzieży albo weźmie kradzione, to pozbawić życia.

– Jeśli ktoś dopuści się podpalenia i zostanie wykryty, to takiego pozbawić życia”[198].

Czy przepisów w podobnym brzmieniu już gdzieś kiedyś nie słyszeliśmy? Cóż to innego jeżeli nie kolejna inkarnacja Ustawy XII Tablic z jej *ius talionis*? Wymarzony teren badawczy dla antropologów prawa! Teren jest dziewiczy, a jego eksploracja stosunkowo prosta. I co najważniejsze, wychodzi taniej od ekspedycji badającej zwyczaje pierwotnych społeczności, dajmy na to: w Afryce Równikowej czy w Dolinie Amazonki.

Rozważania powyższe w dużej mierze poświęcono prawu karnemu, a profesor Rot i jego mistrzowie, dostrzegając związki pomiędzy prawem rzymskim i sowieckim, mieli zapewne na myśli prawo cywilne. Oddajmy głos Janowi Parandowskiemu (1895-1978), który lata I wojny światowej i okres początku rewolucji spędził w Saratowie, gdzie jako poddany austriacki został internowany. Oto dwie raptem refleksje na temat cywilistycznych „dokonań” sowieckiej władzy. Zacznijmy od problemu ochrony prawa własności: „opłakane rezultaty dał dekret o ziemi zawierający *brevi manu* przeprowadzoną reformę agrarną. Wydano więc prikaz niemal nazajutrz po przewrocie, wzywający chłopów

198 I. Bunin, *Przeklęte dni*, przeł. J. Kornel, Warszawa 2000, s. 11.

do dzielenia między siebie majątków. Powstało istne piekło. Właścicieli wypędzano z majątków, podpalano ich, bito i mordowano. Dobytek rabowano miedzy siebie. Ziemię rozbierano, dzieląc na równe części. Nie leżało to jednak ani w zakresie możności chłopów, ani nie mieli oni ochoty do obrabiania całości zabranych gruntów. (…) Majątki większe były nieraz pięknymi oazami wśród ugorów ledwo zaoranych prymitywną sochą drewnianą. Obecnie one znikły i ziemia wyżywić nie może ludności, ta ziemia, która żywiła całą Europę"[199]. A teraz sowiecka interpretacja zasady *superficies solo cedit* ogłoszona na łamach piotrogrodzkiej „Prawdy" z dnia 13 września 1918 roku: „Przez niedzielę wyrzucono z mieszkań 2000 sterroryzowanych burżujów i ułożono listy robotników, którzy zgodzili się zająć ich mieszkania. Zarejestrowano wszystkie meble. Osoby wyrzucone nie mają prawa ich brać ze sobą ani sprzedawać. Burżuje, którzy zlikwidowali swoje interesy, żyjąc z kapitałów ukrytych lub posiadają fabryki, warsztaty, domy dochodowe, przedsiębiorstwa handlowe – wszyscy zostaną wyrzuceni. Zabiera im się wszystko, co posiadają. Zostawi im się tylko »rację podróżną«, tj. jeden kostium do zmiany, bieliznę, poduszkę i kołdrę, tyle ile daje się żołnierzowi Armii Czerwonej, który wyjeżdża na front. Ponieważ ziemia należy do ludu, domy zbudowane na tej ziemi również należą do niego, wraz z meblami, które znajdują się w mieszkaniach"[200].



Niezatapialny. Andriej Wyszyński. Czołowy stalinowski prokurator

199 J. Parandowski, *Bolszewizm i bolszewicy*, Londyn 1996, s. 94.
200 Cyt. za: *ibidem*, s. 109.

Zresztą czemu tu się dziwić? Niesławnej pamięci stalinowski prokurator Andriej Wyszyński (1883-1954) z niejaką satysfakcją wyznawał: „U podstaw prawa radzieckiego, a zwłaszcza u podstaw radzieckiego prawa cywilnego, leży nie prawo rzymskie opierające się na prywatnej własności (...), lecz założenia publiczno-prawne”[201]. Jak zatem widać, w sowieckiej Rosji po raz pierwszy w historii prawo cywilne stało się prawem publicznym. Efekty nie dały na siebie długo czekać.



Niedzielna msza polowa w Dżalalabadzie, celebrowana dla żołnierzy armii polskiej w ZSRR oraz polskiej ludności cywilnej. Na placu widoczne popiersie Józefa Stalina

Podsumowanie

Stefan Bratkowski (ur. 1934) trafnie zauważa: „Utarła się opinia, że tak zwany socjalizm zatrzymał nas w rozwoju na blisko pięćdziesiąt lat. W rzeczywistości stało się coś gorszego: »socjalizm« – cofnął Polskę, wycofał ją ze współczesnej cywilizacji. Niszczył nagminnie albo zniekształcał stare, mądre instytucje, które zdążyły przedtem tak wrosnąć w codzienność, że nikt już nawet ich genialności nie dostrzegał; wydawało się, że były »zawsze« i dopiero, kiedy znikły, odkrywano, co znaczyły. Następne zaś pokolenia nawet nie wiedziały, że coś tam takiego w ogóle istniało!”[202].

W latach ostatnich, między innymi dzięki „nowatorskim” inicjatywom uczonych włoskich, doszło do szeregu spotkań i konferencji poświęconych tradycji prawa rzymskiego w Rosji. W ich trakcie dowodzono między

[201] A. Wyszyński, *Zagadnienia teorii państwa i prawa*, Warszawa 1952, s. 139.
[202] S. Bratkowski, *Skąd przychodzimy*, BGW 1993, s. 153.

innymi obecności prawa rzymskiego w systemie prawnym ZSRR, również w okresie stalinowskim. Słysząc podobne stwierdzenia, chce się sparafrazować kwestię z filmu „Przepraszam, czy tu biją?" Marka Piwowskiego (ur. 1935): „Mogę mieć jedną prośbę? Ja mam zajady, więc proszę mnie nie rozśmieszać".

ZAKOŃCZENIE

Ślady recepcji prawa rzymskiego, cóż z tego, że często wypaczonej czy powierzchownej, znaleźć można przecież niemal we wszystkich dziedzinach życia! To wdzięczny temat do dalszych poszukiwań, których z pewnością nie zarzucę. To również doskonała okazja, by przypomnieć „laikom" o antycznym dziedzictwie i roli, którą prawo rzymskie odgrywało i nadał odgrywa w łacińskiej Europie. Nie mniej istotne jest przypomnienie, jak ważne były wartości wynikające z prawa rzymskiego dla naszych rodaków.

Badania tego rodzaju intelektualnie odprężają i rozwijają jednocześnie. Przede wszystkim jednak dają okazję wyjścia poza zaklęty krąg specjalistów, którzy od stuleci spierają się na przykład o konstrukcję takiej czy innej *actio*, czy o zakres kompetencji pretora na tym czy innym etapie rozwoju prawa rzymskiego. Są to problemy zapewne ważne, nie przeczę. Ich naukowa analiza przyczynia się do rozwoju romanistyki, daje tytuły, a ostatnio również, z trudem to piszę… punkty. Z *actiones* oraz formułką układaną przez pretora nie mamy jednak czego szukać poza własnym środowiskiem. Najwyższy czas zacząć popularyzować prawo rzymskie na sposoby wielokrotnie sprawdzone przez archeologów czy historyków. Małymi kroczkami, nawet za cenę skrótów myślowych i uogólnień, należy przybliżać znakomite dziedzictwo prawa rzymskiego w Polsce i na świecie. Działając rozsądnie, być może doczekamy dnia, w którym twierdzenie, że *ius romanum* jest fundamentem kultury Zachodu, przestanie być wytartym komunałem.

BIBLIOGRAFIA

Adorno T.W., *Minima moralia. Refleksje z poharatanego życia*, przeł. M. Łukasiewicz, Kraków 1999

Ajdukiewicz K., *Język i poznanie. Wybór pism z lat 1920-1939*, Warszawa 2006

Antologia poezji głupich i mądrych Polaków w Ludwika Stommy wyborze, oprac. M. Zadworny, Warszawa 1995

Asser D., *Audi et alteram partem: A Limit to Judicial Activity*, [w]: *The Roman Law Tradition*, red. A.D.E. Lewis, D. J. Ibbetson, Cambridge 1994, s. 209-223

Barańczak S., *Uciekinier z Utopii: o poezji Zbigniewa Herberta*, Kraków 2001

Bartoszewicz J., *Krainy retoryczne: zapiski z podróży*, Wrocław 2008

Barzykowski S., *Historya powstania listopadowego*, t. I, Poznań 1883

Beard M., Henderson J., *Kultura antyczna. Bardzo krótkie wprowadzenie*, przeł. G. Muszyński, Warszawa 1997

Benton L.A., *Law and Colonial Cultures, Legal Regimes in World History. 1400-1900*, Cambridge 2002

Beseler G. von, *Römisches Recht und Revolution*, [w:] G. Radbruch, *Gesamtaufgabe*, XIII, *Politische Schriften aus der Weimarer Zeit*, t. I, red. A. Kaufmann, Heidelberg 1993

Bielatowicz J., *Gaude Mater Polonia*, Paryż 1964

Bień A., *Bóg wysoko – dom daleko. Obrazy przeszłości 1900-1920*, Warszawa 1984

Bierzanek R., *Przez wiek XX. Wspomnienia i refleksje*, Warszawa 2006

Bikont A., Szczęsna J., *Dzień, w którym umarł Stalin*, „Gazeta Wyborcza" z 19 lutego 2000 roku – http://niniwa2.cba.pl/towarzysze_nieudanej_podrozy_05.htm

Bocheński J., *Antyk po antyku*, Warszawa 2010

Bocheński J., *Wtedy. Rozmowy z Jackiem Bocheńskim*, Warszawa 2011

Bracton H. de, *De legibus et consuetudinibus Angliae*, t. II, London 1964

Bratuś S.W., *Priedmiet i sistema sowietskogo graždanskogo prawa*, Moskwa 1963

Broniewski W., *Nadzieja: poezje*, Warszawa 1951

Bloch M., *Pochwała historii, czyli o zawodzie historyka*, przeł. W. Jedlicka, Kęty 2009
Bradley M., *Tacitus' Agricola and the Conquest of Briain*, [w:] *Classics and Imperialism in the British Empire*, red. M. Bradley, Oxford 2010, s. 123-157
Bratkowski S., *Skąd przychodzimy*, BGW 1993
Brojer W., *Diabeł w wyobraźni średniowiecznej. Trzynastowieczne exempla kaznodziejskie*, Wrocław 2003
Broda M., *Mentalność, tradycja kulturowo-polityczna i bolszewickie doświadczenia Rosji*, [w:] *Komunizm w Rosji i jego polskie interpretacje*, red. M. Broda, J. Kurczak, P. Waingertner, Łódź 2006, s. 145-209
Brown Pharr M., *The Kiss in Roman Law*, „The Classical Journal" 42.7 (1947), s. 393-397
Brzechwa J., *Okruchy wspomnień*, [w:] *Wspomnienia o Julianie Tuwimie*, red. W. Jedlicka, M. Toporowski, Warszawa 1963, s. 119-124
Bułhakow M., *Biała Gwardia*, przeł. I. Lewandowska, W. Dąbrowski, Warszawa 1998
Bujnicki T., *Szkice wileńskie. Rozprawy i eseje*, Kraków 2002
Bunin I., *Przeklęte dni*, przeł. J. Kornel, Warszawa 2000
Bunsch K., *Odnowiciel*, Kraków 1984
Burczak K., *Łacina trwałym nośnikiem myśli prawniczej*, „Monitor Prawniczy" 17.4 (2009), s. 186-189
Burke B., *The General Armory of England, Scottland, Ireland, and Wales*, London 1864
Chachaj M., *Zagraniczna edukacja Radziwiłłów*, Lublin 1995
Chamfort N., *Anegdoty i charaktery. Małe dialogi filozoficzne. Maksymy i myśli*, przeł. T. Boy-Żeleński, Warszawa 2010
Chlebowski C., *Bez pokory*, t. I, Warszawa 1997
Chybiński A., *W czasach Straussa i Tetmajera*, Kraków 1959
Clair J., *De immundo*, przeł. M. Ochab, Gdańsk 2007
Clair J., *Kryzys muzeów*, Gdańsk 2009
Corsi P., *The Enchanted Loom: Chapters in the History of Neuroscience*, Oxford 1991
Czajkowska M., *„Kochane zwierzątka…". Listy Zbigniewa Herberta do przyjaciół Magdaleny i Zbigniewa Czajkowskich*, Warszawa 2000
Czapliński L., *Księga przysłów, sentencji i wyrazów łacińskich używanych przez pisarzów polskich*, Warszawa 1892
Czy nie zabiliby panowie królika?, cz. I, Z Andrzejem Łapickim rozmawiają Katarzyna Bielas i Jacek Szczerba, „Gazeta Wyborcza" z 5 marca 1999 roku – http://niniwa2.cba.pl/lapicki_wywiad_1.htm
Daum A.W., *Kennedy in Berlin*, Washington 2008
Dedecius K., *Kraków – Niemcy – Europa*, [w:] *Kraków – dialog tradycji*, red. Z. Baran, A. de Vincenz, Kraków 1991, s. 53-63
Dialogi o Żagarach. Wywiad z Aleksandrem Rymkiewiczem, „Poezja" 16.5-6 (1981), s. 82-90

Dla dobra Rzeczpospolitej. Antologia myśli państwowej, oprac. K. Budziło, J. Prószyński, Warszawa 1996
Dobrowolski S.R., *Brzechwa*, [w:] *Akademia Pana Brzechwy*, red. A. Marianowicz, Warszawa 1984 [dalej: *Akademia*], s. 37-49
Domański J., *Użytkownicy i badacze dziedzictwa antycznego, czyli o różnicy między humanizmem i humanistyką*, Lublin 2006
Eco U., *Nadinterpretowanie tekstów*, [w:] *Interpretacja i nadinterpretacja*, red. S. Collini, przeł. T. Bieroń, Kraków 2008, s. 51-76
Falandysz L., *Warto być prawnikiem*, Warszawa 2004
Fichte J.G., *Grundlage des Naturrechts nach Prinzipien der Wissenschaftslehre*, Hamburg 1960
Filipowicz K., *Kot w mokrej trawie*, Kraków 1977
Fitzmaurice A., *Humanism and America. An Intellectual History of English Colonialism*, Cambridge 2003
Fiut A., *Czesława Miłosza autoportret przekorny*, Kraków 2003
Frei N., *Adenauer's Germany and the Nazi Past: The Politics of Amnesty and Integration*, New York 1983
Florczak Z., *Inny brzeg jesieni. Carmen vilnense*, Warszawa 1999
Franaszek A., *Miłosz. Biografia*, Warszawa 2011
Frank H., *Im Angesichts des Galens*, München 1953
Fuks M., *Prasa żydowska w Warszawie*, Warszawa 1979
Garliński J., *Świat mojej młodości*, Warszawa 1992
Gately J., *Kulturowa historia alkoholu*, przeł. A. Kunicka, Warszawa 2011
Geppert E., *Moja droga*, Kraków 1968
Giedroyc J., *Bardzo luźne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa*, „Archiwum Emigracji" 3 (2000), s. 221-232
Giedroyc A., Pomian K., *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 1994
Glemp J., *De conceptu fictionis iuris apud Romanos*, Roma 1974
Glemp J., *Kościół na drogach Ojczyzny: wybór kazań i homilii z lat 1982-1985*, Poznań 1985
Gładysz A., *Piekło na ziemi. Wspomnienia z lat 1939-1945*, t. I, Doylestown 1972
Gombrowicz W., *Dzieła*, t. XVI, Kraków 1996
Gomulicki W., *Sędzia Stanisław Rybiński – nieznany bohater norwidowskiego procesu Zenona Przesmyckiego z Tadeuszem Pinim. 1934-1938*, „Palestra" nr 3-4 (2002), s. 138-158
Gorczyńska R., *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze*, Warszawa 1993
Górski J., *Wspomnienia z minionych lat*, Poznań 2000
Grabowski Z., *Rosa mystica*, „Poets and Painters" 1966
Grydzewski M., *Silva rerum*, Gorzów Wielkopolski 1994

Gosden Ch., *Archeology and Colonialism. Cultural Contact from 5000 B.C. to the Present*, Cambridge 2004
Grochowska M., *Jerzy Giedroyc*, Warszawa 2009
Hattenhauer H., *Sigillum Facultatis Juridicae. Siegel Juristischer Fakultäten im deutschen Sprachraum*, Heidelberg 2005
Heine H., *Buch der Lieder. Neue Lieder. Tragödien*, Philadelphia 1860
Heine H., *Sämmtliche Werke*, t. I, Hamburg 1869
Helman K.A., *Pomysł nowego kursu jurysprudencyjnego, ku ożywieniu w umysłach woli sprawiedliwości a podniesieniu jej do wszechwładnej potęgi*, „Biblioteka Warszawska" 4 (1862), s. 120-125
Herbert Z., *Barbarzyńca w ogrodzie*, Lublin 1991
Herbert Z., *Labirynt nad morzem*, Warszawa 2000
Herbert Z., *Poezje*, Warszawa 1998
Herbert Z., *Węzeł gordyjski oraz inne pisma rozproszone 1948-1998*, Kraków 2008
Herbert Z., Cz. Miłosz, *Korespondencja*, Kraków 2006
Herling-Grudziński G., *Upiory rewolucji*, Lublin 1999
Heydecker J.J., Leeb J., *Proces w Norymberdze*, przeł. M. Zeller, Warszawa 2009
Hirszfeld L., *Historia jednego życia*, Warszawa 1989
Hlond A., *Nauczanie 1897-1948*, Toruń 2003
Holmgren B., *Women's Works in Stalin's Time: on Lidia Chukovskaia and Nadezhda Mandelstam*, Bloomington-Indianapolis 1993
Horspool M., *European Union Law*, Oxford 2006
Ingram J.K., *On Two Collections of Medieval Moralized Tales: A Paper Read Before the Royal Irish Academy (Read: 10th April 1882)*, „Proceedings of the Royal Irish Academy" 16 (1879-1888), s. 129-144
Iwanowski M., *Angielski – hobby czy konieczność* – http://www.nawokandzie.ms.gov.pl/dobre-praktyki-iv/news/134/angielski-hobby-czy-koniecznosc-
Iwaszkiewicz J., *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1994
J.U., *Niemcy a rewolucja przemysłowa*, „Kultura" 9.71 (1953), s. 127-129
Jahn A., *Z Kleparowa w świat szeroki*, Wrocław 1991
Jarymowycz R.J., *Cavalry from Hoof to Track*, bmw 2008
Jasienica P., *Tylko o historii*, Warszawa 2009
Jońca M., *Seminarium: Łacińskie paremie prawnicze a współczesna praktyka prawnicza*, „Czasopismo Prawno-Historyczne" 61.1 (2009), s. 416
Kafka F., *Letters to Milena*, New York 1990
Kaleta R., *Sensacje z dawnych lat*, Wrocław 1986
Kandinsky N., *Kandinsky und ich*, München 1976
Kandinsky W., *Rückblicke*, Baden-Baden 1955
Kapica J., *Kazania, mowy, odezwy*, red. E. Szramk, Katowice 1933
Karbowska J., *Z Mackiewiczem na ty*, Warszawa 1994

Krótkie zebranie rzeczy potrzebnych z strony wolności a swobód polskich zebrane, przez tego, który wszego dobrego życzy ojczyźnie swojej, uczynione roku 1587, 12 Februarii, Kraków 1859
Katani R., *Defining British Citizenship: Empire, Commonwealth and Modern Britain*, Routlege 2003
Kelly J.M., *Audi Alteram Partem*, "Natural Law Forum" 9 (1964), s. 103-110
Kelly J.M., *Historia zachodniej teorii prawa*, Kraków 2006
Kempfi W., *Moje lata uniwersyteckie*, „Zeszyty Historyczne" 119 (1997), s. 152-174
Kępiński T., *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, Kraków 1974
Kippling R., *History of England*, London 1911
Kodeks cywilny, t. I, *Komentarz do artykułów 1-534*, red. E. Gniewek, Warszawa 2004
Klapper J., *Erzählungen des Mittelalters in deutscher Übersetzung und lateinischem Urtext*, Breslau 1914
Kochanowski J., *Fraszki*, Wrocław 1957
Koczanowicz Z., *Czterdzieści lat to niewiele*, Warszawa 1976
Korowicz M.S., *W Polsce pod sowieckim jarzmem*, Londyn 1955
Kowalczyk A.S., *Giedroyc i „Kultura"*, Wrocław 1999
Kowalski J., *Konstytucja Federacji Rosyjskiej a rosyjska i europejska tradycja konstytucyjna*, Warszawa – Poznań 2009
Kozłowski A., *Lwów: wizja utraconego miasta*, Nowy Jork 1991
Krasiński Z., *Listy do różnych adresatów*, red. Z. Sudolski, Warszawa 1991
Krzemiński Z., *Kartki z dziejów warszawskiej adwokatury*, Warszawa 2008
Krzywicki A., *Diabelski młyn*, Warszawa 2005
Kucharzewski J., *Od Białego do Czerwonego Caratu*, Londyn 1958
Kula M., *Czy bliżej nam do Europy, czy do Ameryki Łacińskiej?*, [w:] *Inni wśród swoich*, red. W. Władyka, Warszawa 1994, s. 44-52
Kułakowski T., *Gdyby Hitler zwyciężył*, Warszawa 1959
Kundera M., *Zdradzone testamenty*, przeł. M. Bieńczyk, Warszawa 2008
Kunderewicz C., *Rząd i studenci w Kodeksie Teodozjańskim*, [w:] *Studia z rzymskiego prawa administracyjnego*, Łódź 1991, s. 79-90
Kuropieska J., ***, [w:] *Akademia*, s. 50-57
Kuryłowicz M., *Prawo i obyczaje w starożytnym Rzymie*, Lublin 1997
Kuryłowicz M., *Prawo rzymskie. Historia, tradycja, współczesność*, Lublin 2003
Kuryłowicz M., *Symbol prawa ludzkiego. Szkice o prawie rzymskim w utworach Louisa Aragona i Mieczysława Jastruna*, Lublin 2008
Kydryński J., *Powrót do natury*, Kraków 1984
Lanckorońska K., *Szkice wspomnień*, Warszawa 2005
Lasocki I., *„Suum cuique": uwag parę o restauracji i malowaniu katedry płockiej oraz wogóle o polichromji u nas kościelnej*, Płock 1910

Lausberg H., *Retoryka literacka. Podstawy wiedzy o literaturze*, przeł. A. Gorzkowski, Bydgoszcz 2002
Law under the Swastika. Studies on Legal History in Nazi Germany, red. M. Stolleis, Chicago 1998
Lefkovitz M.R., *Heroines and Histerics*, London 1981
Leibnizes Gesammelte Werke aus den Handschriften der Königlichen Bibliothek zu Hannover, red. G.H. Pertz, Bibliothek zu Hannover, t. III.3, Mathematik, Halle 1855
Lelewel J., *Polska wieków średnich*, t. III, Poznań 1859
Lenk K., *Krótkie teksty o sztuce projektowania*, Gdańsk 2010
Lingman J.L., *Daily Life in Medieval Europe*, Greenwood Press 1999
Linqvist S., *Terra nullius. A Journey through No One's Land*, przeł. S. Death, London 2007
Lindqvist S., *Wytępić całe to bydło*, przeł. M. Haykowska, Warszawa 2009
Lis F., *Przez cztery wojny*, Kielce 1999
Liszcz T., *Zwierzęta w prawie stanowionym*, „Więź" (1998) nr 7, s. 46-54
Litewski W., *Rzymski proces cywilny*, Kraków 1988, s. 60
Longchamps de Bérier B., *Ochrzczony na szablach powstańczych... Wspomnienia (1884-1918)*, Wrocław 1983
Longchamps de Bérier F., *Audiatur et altera pars. Szkic o brakującej kolumnie Pałacu Sprawiedliwości*, [w]: *Leges sapere. Studia i prace dedykowane prof. Januszowi Sondlowi w 50 rocznicę pracy naukowej*, red. W. Uruszczak-P. Święcicka-A. Kremer, Kraków 2008, s. 271-283
Łoziński W., *Życie polskie w dawnych wiekach*, Warszawa 1964, s. 228
Łukasiewicz D., *Niemieckie psy i polskie świnie oraz inne eseje z historii kultury*, Gdynia 1997
Mackiewicz S., *Był bal*, Warszawa 1961
Mackiewicz S., *Dom Radziwiłłów*, Warszawa 1990
Mackiewicz S., *Europa in fragranti*, Warszawa 1965
Mackiewicz S., *Herezje i prawdy*, Warszawa 1962
Mackiewicz S., *Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów*, Poznań 1990
Mackiewicz S., *Odeszli w zmierzch. Wybór pism 1916-1966*, Warszawa 1968
Maciejowski A.W., *Historya prawodawstw słowiańskich*, t. I, Warszawa 1856
Majer D., *„Non-Germans" Under the Third Reich: The Nazi Judicial and Administrative System in Occupied Eastern Europe with Special Regard to Occupied Poland*, Baltimore 2003
Małajny R.M., *Constitutio suprema lex? (Unia Europejska a ustawy zasadnicze państw członkowskich)*, [w:] *Prawo a wartości. Księga jubileuszowa Profesora Józefa Nowackiego*, red. I. Bogucka, Z. Tobor, Kraków 2003, s. 206-212

Marai S., *Wyznania patrycjusza*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2005
Marianowicz A., *Poeta piszący w niebie wiersze*, [w:] *Akademia*, s. 64-77
Matka dzieci Holocaustu. Historia Ireny Sendlerowej, oprac. A. Mieszkowska, Warszawa 2004
Meysztowicz J., *Czas przeszły dokonany: wspomnienia ze służby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w latach 1932-1939*, Warszawa 1984
Między logiką a wiarą. Z Józefem M. Bocheńskim rozmawia J. Parys, Warszawa 1998
Mikołajczak A.W., *Łacina w kulturze polskiej*, Wrocław 2005
Milewski Z., *Zanim kobieta została adwokatem*, „Palestra" (2002) nr 1-2, s. 98-106
Miłosz Cz., *Abecadło*, Kraków 2001
Miłosz Cz., *Inne abecadło*, Kraków 1998
Miłosz Cz., *O podróżach w czasie*, Kraków 2010
Miłosz Cz., *Piesek przydrożny*, Kraków 1997
Miłosz Cz., *Rodzinna Europa*, Kraków 2001
Mikoszewski K., *Pamiętniki moje*, Warszawa 1987
Miodek J., *Rzecz o języku*, Wrocław 1983
Morelewski J.F., *Pokolenie akowskie*, Bydgoszcz 1995
Muratow P., *Obrazy Włoch*, t. I, przeł. P. Hertz, Warszawa 1972
Murdoch B., *Epitome of the Laws of Nova-Scotia*, t. I, Halifax 1832
Mycielski A., *Chwile czasu minionego*, Kraków 1976
Nahlik S.E., *Przesiane przez pamięć: w rodzinnym gnieździe*, Wrocław 1987
Napierski S., *Wybór wierszy*, Warszawa 1962
Nastulanka K., *Bajkopisarz mimo woli. Rozmowa z Janem Brzechwą*, [w:] *Akademia*, s. 114- 114-122
Nicieja S., *Z Kijowa na Piccadilly: wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza*, Opole 1993
Norwid C.K., *Do pani na Korczewie: wiersze, listy, małe utwory, proza*, Warszawa 1969
Nowaczyński A., *Małpie zwierciadło 1897-1904*, Kraków 1974
Nowakowski M., *Grisza, ja tiebie skażu*, Warszawa 1986
Od Herberta do Herberta. Nagroda „Wiadomości" 1958-1990, oprac. S. Kossowska, Londyn 1993
Odofredus, *Lectura super Codicem; ad. C. 4.65.6*, [w:] *Opera Iuridica Rariora*, t. I, red. E. Cortese, G. Rossi, Bologna 1967
Olesiewicz M., *Wileńskie szopki akademickie (1921-1933) jako świadectwo zbiorowego życia*, [w:] *Wilno teatralne*, red. M. Kozłowska, Warszawa 1998, s. 55-78
Ollandi E., *Le donne e l'avvocatura*, Genowa 1913
Orzechowski S., *Dyalog albo rozmowa około exekucyi polskiej korony*, Kraków 1859

Osiecka A., *Zabiłam ptaka w locie*, Warszawa 1970
Paczkowski A., *Ankieta cichociemnego*, Warszawa 1984
Panek W., *Jan Kiepura: życie jak z bajki*, Poznań 2002
Parandowski J., *Akacja. Opowiadania*, Warszawa 1967
Parandowski J., *Bolszewizm i bolszewicy w Rosji*, Stanisławów 1919
Parandowski J., *Petrarka*, Warszawa 1956
Parandowski J., *Z antycznego świata*, Warszawa 1971
Patrząc ku młodości, red. K. Wyka, Kraków 1964
Plessis P. du, *Rozwój doktryny prawniczej w ius commune: studium przypadku*, [w:] *Prawo rzymskie a kultura prawna Europy*, red. A. Dębiński, M. Jońca, Lublin 2008, s. 44-70
Podemski S., *Pitawal PRL-u*, Warszawa 2006
Połomski F., *Prawo własności a tzw. „rozwiązanie kwestii żydowskiej" w Niemczech hitlerowskich*, Wrocław 1991
Prawniczy słownik wyrazów trudnych, red. J. Boć, Łódź 2005
Prokop J., *Klerk i diabeł. Literatura, ideologia, mity*, Kraków 1999
Przybyliński S., *„Dziara", „cynkówka", „kolka" – zjawisko tatuażu więziennego*, Kraków 2007
Raina P., *Kardynał Wyszyński*, t. II, *Losy więzienne*, Warszawa 1993
Regulae Iuris. Łacińskie inskrypcje na kolumnach Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej Polskiej, red. W. Wołodkiewicz, Warszawa 2006
Reich-Ranicki M., *Najpierw żyć, potem igrać*, Wrocław 2005
Rilke R.M., *Gedichte*, Berlin 1987
Ripa C., *Ikonologia*, przeł. I. Kania, Kraków 2008
Ritterman-Abir H., *Nie od razu Kraków zapomniano*, Tirosh 1984
Rogalski A., *Katolicyzm w Niemczech po II wojnie światowej*, Warszawa 1952
Rot H., *Dialektyka tradycji i innowacji w prawie socjalistycznym (uwagi metodologiczne)*, [w:] *Tradycja i innowacja w prawie socjalistycznym*, red. H. Rot, Wrocław 1984, s. 5-17
Rot H., *Problemy kodyfikacji prawa w PRL*, Wrocław 1978
Rozmowa – wywiad z Jubilatem. Rozmawiają dr hab. Krzysztof Amielańczyk oraz ks. prof. dr hab. Antoni Dębiński, [w:] *Quid leges sine moribus? Studia nad prawem rzymskim dedykowane Profesorowi Markowi Kuryłowiczowi w 65. rocznicę urodzin oraz 40-lecie pracy naukowej*, red. K. Amielańczyk, Lublin 2009, s. 11-25
Rudziński W., *Wileńska szopka akademicka 1933*, [w:] *Wilno i Kresy Północno-Wschodnie*, t. II, *Kultura i trwanie*, red. E. Felisiak, A. Kisielewska, Białystok 1996, s. 269-282
Ryan H.R., *U.S. presidents as orators: a bio-critical sourcebook*, Greenwood 1995
Rybicki Z., *Zarys prawa administracyjnego i nauki administracji*, Warszawa 1988

Ryszka F., *Pamiętnik inteligenta*, t. II, *Samo życie*, Łódź 1996
Ryszka F., *Państwo stanu wyjątkowego*, Wrocław 1985
Sadowski P., *Szkoła prawa w Bejrucie w świetle Vita Severi Zachariasza Scholastyka*, [w:] *Romanitas et Christianitas. Stanislao Plodzien In memoriam*, red. A. Dębiński, S. Jóźwiak, Lublin 2008, s. 199-210
Sakowicz I., *Między autokracją a rewolucją. Liberalizm Konstantego Kawielina w epoce wielkich reform*, Gdańsk 1999
Saliński S.M., *Utwory wybrane*, t. II, Gdańsk 1972
Sawicki J., *Ludzie i martwe paragrafy*, Warszawa 1961
Schenk D., *Hans Frank. Biografia generalnego gubernatora*, przeł. K. Jachimczak, Kraków 2009
Scheffel V. von, *Gaudeamus!: Lieder aus dem Engeren und Weiteren*, Stuttgart 1872
Scheffel V. von, *Der Trompeter von Säckingen. Ein Sang vom Oberrhein*, bmw. 1864
Schiller L., *Na progu nowego teatru, 1908-1924*, Warszawa 1978
Schmitt C., *Nationalsozialistisches Rechtsdenken*, „Deutsches Recht" 4 (1934), s. 225-229
Seweryniak H., *Medytacje z Herbertem*, Płock 2006
Siedlecka J., *Jaśnie panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Kraków 2011
Siedlecka J., *Pan od poezji. O Zbigniewie Herbercie*, Warszawa 2002
Sienkiewicz H., *Ogniem i mieczem*, t. I, Warszawa 1987
Sienkiewicz H., *Pan Wołodyjowski*, Warszawa 1954
Sikorski J., *Ziemianin bez kompleksów. Wspomnienia*, Gdańsk 1990
Skałkowski A.M., *Aleksander Wielopolski w świetle archiwów rodzinnych*, t. I, Poznań 1947
Słonimski A., *Moja podróż do Rosji*, Łomianki 2007
Smolarski M., *Miasto starych dzwonów*, Kraków 1960
Solmi A., *Le nuove direttive dell diritto*, „Deutsches Recht" 1938, s. 176-177
Sołżenicyn A.J., *Archipelag GUŁag, 1918-1956: próba analizy literackiej*, t. III, przeł. M. Kaniowski, Paryż 1974
Sowa K.Z., *Uwagi o przejawach i przyczynach kryzysu moralnego w życiu publicznym,* [w:] *Kondycja moralna społeczeństwa polskiego*, red. J. Mariański, Kraków 2000, s. 209-232
Stambrowski J., *Czas przeszły niedokonany*, Londyn 1980
Starnawski J., *Sylwetki lubelskich humanistów XIX i pierwszej połowy XX wieku*, Lublin 2004
Staszic S., *Wybór pism*, Warszawa 1952
Stawecki T., Winczorek P., *Wstęp do prawoznawstwa. Skrypt dla studentów I roku Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1993
Stawiarska A., *Gombrowicz w przedwojennej Polsce*, Kraków 2001

Steffen W., *Moja droga przez życie*, Olsztyn 1987
Stein P., *Regulae Iuris. From Juristic Rules to Legal Maxims*, Edinburgh 1966
Steinlauf N.T., *The Kiss in Roman Law*, "The Classical Journal" 41 (1945), s. 24, 37
Strasser G., *Sozialistische Revolution oder Faschisticher Krieg*, Prag brw
Strzałkowski W., *Moi profesorowie*, Kraków 1984
Sundari Mantena R., *Imperial Rome, Anglicization and Civilizing Indians*, [w:] *Classics and Imperialism*
Szkice o polskich pisarzach emigracyjnych, red. M. Kisiel, W. Wójcik, Katowice 1996
Stępowski J., *Zapiski dla zjawy*, przeł. J. Zieliński, Warszawa 2004
Strauss und Torney V., *Gedichte*, Bielefeld 1841
Szigeti L., *Drybing Hidegkutiego, czyli rozmowy z Hrabalem*, przeł. A. Kaczorowski, Warszawa 2011
Szczeklik A., *Kore. O chorych, chorobach i poszukiwaniu duszy medycyny*, Kraków 2007
Szczygielski J., *Franciszek Bossowski (1879-1940). Szkic do biografii*, „Miscellanea Historico-Iuridica" 7 (2009), s. 71-83
Szpotański J., *Fragmenty nienapisanej biografii.* Cyt. za: *http://www.polskieradio.pl/files/19bc6b26-6b9c-435f-8126-16a794165418.file*
Szydłowski R., *Wojna zaczęła się w Tarnowie. Wspomnienia*, Kraków 1991
Szypowska J., *Łobodowski – poeta świadomy dziejów*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego" im. A. Mickiewicza 38 (2003), s. 17-30
Tatarkiewiczowie T. i W., *Wspomnienia*, Poznań 2011
Tazbir J., *Długi romans z Muzą Klio*, Warszawa 2007
The Correspondence of Sigmunt Freud and Sándor Ferenczi, t. I, 1908-1914, Harvard University Press 1993
Theisen F., *Studien zur Emphyteuse in audgewählte italienischen Regionen des 12. Jahrhunderts: Verrechtlichung des Alltags?*, Frankfurt am Main 2003
Tokarczuk R., *Antologia anegdoty akademickiej*, Warszawa 2007
Trotski L., *La jeunesse de Lenin*, Paris 1970
Tuwim J., *Poezje wybrane*, Warszawa 1977
Tymiński J., *Pisane o zmierzchu. Wspomnienia z lat 1924-1985*, Warszawa 1988
Uniłowski Z., *Wspólny pokój*, Warszawa 1988
Urbanek M., *Waldorff. Ostatni baron Peerelu*, Warszawa 2008
Urbankiewicz J., *Szabla zardzewiała*, Warszawa 1991
Utopia walcząca, oprac. R. Brandwajn, Warszawa 1962
Valentinov N., *The early years of Lenin*, University of Michigann Press 1969
Vincenz S., *Na wysokiej połoninie. Nowe czasy. Księga druga. Listy z nieba*, Sejny 2004
Vormbaum T., *Einführung: „Kraft meiner akademischen Befugniß als Doktor beider Rechte"*, [w:] *Rechtswissenschaft und Juristen im Werk Heinrich Heine*, red. T. Vormbaum, Berlin 2006, s. 1-36

Wacke A., *Audiatur et altera pars. Zum rechtlichen Gehor im romischen Zivil- und Strafprozess*, [w:] *Ars Boni et Aequi. Festschrift fur Wolfgang Waldstein zum 65. Geburtstag*, red. M.J. Schermaier, Z. Vegh, Stuttgart 1993, s. 375-376
Walcott D., *Dream on Monkey Mountain and Other Plays*, London 1970
Waldorff J., *Jan Kiepura*, Warszawa 1974
Waldorff J., *Zbuntowane uszy*, Warszawa 1968
Walicki A., *Rosja, katolicyzm i sprawa polska*, Warszawa 2002
Wańkowicz M., *De profundis: Polacy w Ameryce*, Warszawa 1991
Wańkowicz M., *Karafka La Fontaine'a*, t. II, Warszawa 1972
Wesel W., *Recht, Unrecht und Gerechtigkeit*, München 2003
Wessels J.W., *History of the Roman-Dutch Law*, Grahamstown 1908
Whitman J.Q., *The Origins of Reasonable Doubt. Theological Roots of the Criminal Trial*, New Haven – London 2008
Wieland Ch.M., *Sämtliche Werke*, Leipzig 1828
Wina i kara. Sprawiedliwość w grafice europejskiej XVI- XIX wieku, Kraków 2009
Winiwarter J., *Corpus Iuris Universalis*, vol. I-III, Wien 1812
Wittlin T., *Ostatnia cyganeria*, Warszawa 1989
Wodzicki R., *Wspomnienia. Gdańsk – Warszawa – Berlin 1928-1939*, Warszawa 1972
Wohlhaupter E., *Dichter-Juristen*, t. III, Tübingen 1957
Wojciechowski M., *Wielka księga bajek greckich. Ezop i inni*, Kraków 2006
Wołodkiewicz W., *Czy prawo rzymskie przestało istnieć?*, „Palestra" 1993, nr 1-2, s. 69-72
Wołodkiewicz W., *Europa i prawo rzymskie. Szkice z historii europejskiej kultury prawnej*, Warszawa 2009
Wójcik S., *Windykacyjna ochrona własności w polskim prawie cywilnym*, Kraków 1965
Wroczyński K., *Z moją młodością przez Warszawę*, Warszawa 1957
Wyszyński A., *Zagadnienia teorii państwa i prawa*, Warszawa 1952
Zakrzewski Z., *Wspominam Poznań. Fakty i refleksje*, Poznań 1986
Zamorski K., Starzewski S., *Sprawiedliwość sowiecka*, Warszawa 1994
Zarzycka-Stańczak K., *Iterum digna legi. Przybliżenia wergiliańskie*, Lublin 1995
Zbyszewski W., *Profesorowie UJ*, „Kultura" 328-331 (1975), s. 161-178
Zbyszewski W., *Wydział Prawa UJ*, „Kultura" 327.12 (1974), s. 96-105
Zieliński T., *Taryfowe fertagi*, [w:] *Droga do Ziemi Obiecanej*, Warszawa 2002, s. 26-28
Ziomek J., *Retoryka opisowa*, Wrocław 1990
Znamierowski Cz., *O naprawie studiów prawniczych*, Warszawa 1938